

Jeffrey Archer

Jedenaste przykazanie

Tytuł oryginału THE ELEVENTH COMMANDMENT

Copyright © by Jeffrey Archer 1998 Published by arrangement with Harper Collins Publishers Ltd.

Ilustracja na okładce Michael Bennett

C.G./ Agencja Free

Redaktor prowadzący serię Ewa Rojewska-Olejarczuk

Redakcja językowa Ewa Rojewska-Olejarczuk

Redakcja techniczna Barbara Wójcik

Korekta Bogusława Jędrasik

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 83-718(M45-8

Biblioteczka Konesera

Wydawca

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul.

Garażowa 7

Druk i oprawa

Opolskie Zakłady Graficzne SA

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Podziękowania

Pragnę wyrazić wdzięczność tym wszystkim, którzy mi pomogli w zbieraniu materiałów do tej książki.

Niechaj przyjmą moje podziękowania:

Szanowny William Webster, były dyrektor CIA i FBI

Szanowny Richard Thornburgh, były prokurator generalny Stanów Zjednoczonych

Szanowny Samuel Berger, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Stanów

Zjednoczonych

Patrick Sullivan, Secret Service Stanów Zjednoczonych, Oddział Operacyjny w

Waszyngtonie

Agent specjalny J.

Patrick Durkin, Służby tajne dyplomacji Stanów Zjednoczonych

Melanne Vermeer, Szefowa personelu Hillary Rodham Clinton

John Kent Cooke Jr, właściciel klubu Czerwonoskórych w Waszyngtonie

Robert Petersen, inspektor galerii prasowej Senatu Stanów Zjednoczonych

Jerry Gallegos, inspektor galerii prasowej Izby Reprezentantów

King Davis, szef policji Sierra Madre, Kalifornia

Michaił Piotrowski, dyrektor muzeów Ermitaż i Pałac Zimowy, Sankt Petersburg

Dr Galina Andriejewa, kustosz działu malarstwa XVIII i XIX wieku.

Państwowa Galeria Trietiaowska, Moskwa

Aleksander Nowosielow, asystent ambasadora Federacji Rosyjskiej, Waszyngton DC

Andriej Titow

Trzej członkowie mafii sankt petersburskiej,

którzy prosili o niepodawanie nazwisk

Malcolm Van de Riet i Timothy Rohrbaug, Nicole Radner, Robert Van Hoek, Phil Hochberg, David Gries, Judy Lowe i Philip Verveer, Nancy Henrietta, Lewis K. Loss, Darrell Green, John Komlos, Natasza Maximowa, John Wood i Chris Ellis.

Szczególne podziękowania należą się Janet Brown z Komisji do spraw Prezydenckich Debat Przed wyborczych i Michaelowi Brewerowi z Firmy Konsultacyjnej Brewera.

Księga pierwsza

W drużynie.

Otwierając drzwi włączył alarm.

Błąd typowy dla amatora, co dziwne, gdyż Connor Fitzgerald miał w swoim środowisku opinię profesjonalisty nad profesjonalistami.

Fitzgerald przewidywał, że upłynie kilka minut, nim miejscowa policja zareaguje na włamanie w dzielnicy San Victorina.

Brakowało jeszcze paru godzin do rozpoczęcia dorocznego meczu piłki nożnej z Brazylią, ale połowa telewizorów w Kolumbii była już włączona.

Gdyby Fitzgerald włamał się do lombardu w trakcie gry, policja prawdopodobnie nie kiwnęłaby palcem aż do końcowego gwizdka sędziego.

Wiadomo było, że miejscowi przestępcy traktują mecz jak dziewięćdziesięciminutowy czas łaski.

Ale on miał na te dziewięćdziesiąt minut plany, które postawią policję na nogi na wiele dni. Upłyną tygodnie, może miesiące, zanim ktoś odkryje prawdziwy sens włamania w to sobotnie popołudnie.

Alarm wciąż dzwięczał, gdy Fitzgerald zamknął drzwi i pospiesznie przemierzał niewielki magazyn, kierując się do frontowej części sklepu.

Nie zważał na rzędy zegarków na malutkich podstawkach, szmaragdy w celofanowych torebkach i złote przedmioty wszelkich kształtów i rozmiarów, wyłożone za gęstą siatką. Wszystko pieczołowicie oznaczone karteczkami z nazwiskiem i datą czekało na powrót zubożałych właścicieli, którzy w ciągu sześciu miesięcy mogli odzyskać rodzinne skarby. Jednak wracali nieliczni.

Fitzgerald odsunął na bok zasłonę z paciorków oddzielającą zaplecze od sklepu i zatrzymał się przy ladzie.

Utkwił wzrok w podniszczonej skórzanej walizce, umieszczonej na stojaku na środku wystawy.

Na wieku widniały zblakłe złote inicjały "D.V.R."

Stał nieruchomo, dopóki się nie upewnił, że nikt z zewnątrz nie patrzy.

Kiedy Fitzgerald kilka godzin wcześniej przyniósł do lombardu ręcznie wykonane cacko, oznajmił właścicielowi, że może je od razu

wystawić na sprzedaż, gdyż nie zamierza wrócić do Bogoty.

Nie był więc zdziwiony widząc je w oknie wystawowym.

Drugiego takiego okazu nie było wmieście.

Chciał przeskoczyć ladę, gdy dostrzegł młodego człowieka przechodzącego obok wystawy.

Zamarł, lecz uwagę tamtego pochłaniał o małe radio, które przyciskał do lewego ucha.

Fitzgerald interesował go tyle, co manekin.

Kiedy znikł z oczu, Fitzgerald przesadził ladę i podszedł do wystawy.

Spojrzał w prawo i w lewo, sprawdzając, czy niema przypadkowych widzów, ale ulica była pusta.

Jednym ruchem zdjął skórzaną walizkę ze stojaka i z powrotem przeskoczył przez ladę.

Odwrócił się i jeszcze raz spojrzał w okno, by się upewnić, czy nie obserwuje go jakieś wścibskie oko.

Szybko skierował się do magazynu.

Zaciągnął zasłonę i podszedł do zamkniętych drzwi.

Spojrzał na zegarek.

Alarm wył od dziewięćdziesięciu ośmiu sekund.

Wyszedł na uliczkę i nastawił uszu.

Gdyby usłyszał jęk policyjnej syreny, zwróciłby się na lewo i znikł w labiryncie ulic na tyłach lombardu.

Ale poza dźwiękiem alarmu nic nie było słycać.

Skręcił w prawo i niedbałym krokiem podążył w kierunku Carrera Septima.

Stanąwszy na chodniku, Connor Fitzgerald spojrzał w lewo, potem w prawo i, nie oglądając się za siebie, przeciął jezdnię klucząc między nielicznymi pojazdami.

Dał nura w głąb zatłoczonej restauracji, gdzie grupa hałaśliwych kibiców siedziała wokół telewizora o wielkim ekranie.

Nikt na niego nie spojrzał.

Wszyscy mieli wzrok wbity w telewizor, pokazujący w kółko powtórki trzech bramek, zdobytych dla Kolumbii w zeszłym roku.

Fitzgerald zajął stolik w kącie.

Wprawdzie nie widział stąd wyraźnie ekranu telewizyjnego, ale za to miał doskonały widok na przeciwną stronę ulicy.

Ponad lombardem w popołudniowym wietrze kołysała się podniszczona tablica z napisem: J.Escobar.

Monte de Piedad, establecido 1946".

Minęło kilka minut, nim wóz policyjny zatrzymał się ze zgrzytem hamulców przed lombardem.

Na widok dwóch policjantów w mundurach, wchodzących do budynku, Fitzgerald wstał i niedbałym krokiem wyszedł tylnymi drzwiami na inną ulicę, drzemiącą w ciszy sobotniego popołudnia.

Zatrzymał pierwszą wolną taksówkę i z wyraźnym południowoafrykańskim akcentem powiedział: "El Belvedere przy Plaza de Bolivar, por favor".

Szofer lekko skinął głową, jakby komunikując, że nie chce się wdawać w dłuższą rozmowę.

Gdy tylko pasażer opadł na tylne siedzenie zdezelowanej żółtej taksówki, włączył radio.

Fitzgerald spojrzał znów na zegarek.

Siedemnaście po pierwszej.

Kilka minut opóźnienia.

Przemówienie pewno już się zaczęło, ale ponieważ takie mowy trwają zwykle ponad czterdzieści minut, miał dość czasu, by zrealizować rzeczywisty cel swej bytności w Bogocie. Przesunął się trochę w prawo, żeby szofer mógł go wyraźnie widzieć we wstecznym lusterku.

Ważne było, żeby z chwilą, gdy policja zacznie śledztwo, wszyscy, którzy go widzieli w tym dniu, opisali go podobnie: mężczyzna, biały, w wieku około pięćdziesięciu lat, nieco powyżej metra osiemdziesiąt wzrostu, wagi dziewięćdziesięciu kilogramów, nie ogolony, o ciemnych, rozwichrzonych włosach, ubrany jak cudzoziemiec, mówiący z silnym obcym, ale nie amerykańskim akcentem.

Liczył na to, że chociaż jeden ze świadków rozpozna nosową wymowę południowoafrykańską.

Fitzgerald miał talent imitatorski.

W szkole średniej wciąż podpadał za przedrzeźnianie nauczycieli.

Radio wyrzucało z siebie opinie kolejnych ekspertów na temat prawdopodobnego rezultatu rokrocznie rozgrywanego meczu międzypaństwowego.

Fitzgerald nie wsłuchiwał się w język, którego nie miał zamiaru opanować, choć ostatnio wzbogacił swój ograniczony słownik o takie wyrażenia, jak, fuera i gol.

Kiedy siedemnaście minut później fiat zajechał przed El Belvedere, Fitzgerald wręczył kierowcy banknot o nominale dziesięciu tysięcy pesos i wymknął się z samochodu, nim tamten zdążył podziękować za tak hojny napiwek.

Co prawda taksówkarze w Bogocie nie nadużywają słów muchas gracias.

Fitzgerald wbiegł po schodach hotelowych mijając portiera w liberii, przez obrotowe drzwi dostał się do foyer i ruszył wprost do rzędu wind naprzeciw recepcji.

Już po kilku chwilach jedna z czterech wind zjechała w dół.

Gdy drzwi się rozsunęły, wszedł do środka i nacisnął guzik z napisem "8", a zaraz potem następny, blokujący wstęp innym.

Wysiadł na ósmym piętrze i korytarzem wyłożonym cienkim dywanem powędrował do pokoju numer 807.

Wcisnął w szczelinę plastikową kartę i gdy zapaliło się zielone światelko, przekręcił gałkę. Otworzył drzwi i na zewnątrz zawiesił tabliczkę z napisem Favor de no Mole star, po czym zamknął je i zaryglował.

Znów spojrzął na zegarek: za dwadzieścia cztery druga.

Policja musiała już opuścić lombard, uznawszy, że alarm był fałszywy.

Zatelefonują do Escobara na wieś i poinformują go, że wszystko wydaje się w porządku, oraz poproszą, by wróciwszy w poniedziałek do miasta dał im znać, czy czegoś nie brakuje.

Ale na długo przedtem Fitzgerald położył podniszczoną walizkę z powrotem na wystawie.

W poniedziałek rano Escobar zgłosi tylko kradzież kilku małych pakietów nieszlifowanych szmaragdów, świeżo przy wyjściu przez policjantów.

Ile czasu upłynie, zanim odkryje brak jeszcze tej jednej rzeczy?

Dzień?

Tydzień?

Miesiąc?

Fitzgerald już postanowił że zostawi jakąś drobną wskazówkę, żeby go szybciej naprowadzić na trop.

Zdjął marynarkę, powiesił ją na najbliższym krześle i wziął pilota ze stolika przy łóżku.

Włączył telewizor i usiadł na sofie.

Na ekranie ukazała się twarz Ricarda Guzmana.

Fitzgerald wiedział, że w kwietniu Guzman ma skończyć pięćdziesiąt lat, lecz gdy byłem wysoki, bez odrobiny nadwagi, o bujnej czarnej czuprynie człowiek oznajmił wielbiącemu go tłumowi, że nie przekroczył czterdziestki, uwierzono by mu bez wahania.

Zresztą Kolumbijczycy nie oczekują od swych polityków prawdy na jakikolwiek temat, nie wyłączając ich wieku.

Ricardo Guzman, faworyt w zbliżających się wyborach prezydenckich, był szefem kartelu Cali, który kontrolował w osiemdziesięciu procentach nowojorski rynek kokainy i zarabiał ponad miliard dolarów rocznie.

Nikt nie wiedział, ile zgonów na Manhattanie było bezpośrednim skutkiem działalności tej grupy.

Fitzgerald nie natknął się na tę informację w żadnym z trzech dzienników kolumbijskich, pewno dlatego, że większość dostaw papieru gazetowego w Kolumbii znajdowała się w ręku Guzmana.

- Gdy zostanę waszym prezydentem, pierwszym moim krokiem będzie znacjonalizowanie wszystkich firm, w których Amerykanie mają większość udziałów.

Niewielki tłum otaczający schody budynku Kongresu na Plaza de Bolivar wydał okrzyk aprobaty.

Doradcy Ricarda Guzmana wielokrotnie mu mówili, że przemawianie w dniu meczu będzie stratą czasu, ale on sobie wykalkulował, iż miliony widzów, przeskakujących z kanału na kanał w poszukiwaniu meczu, natkną się na niego choćby na moment.

Ci sami ludzie zdziwią się po godzinie, widząc go wkraczającego na przepelniony stadion.

Pitka nożna nudziła Guzmana, ale wiedział, że jego wejście na parę chwil przed ukazaniem się zespołu kolumbijskiego na boisku odwróci uwagę tłumu od

Antonia Herrery, wiceprezydenta i jego głównego rywala w wyborach.

Herrera będzie siedział w łoży dla ważnych osobistości, lecz Guzman znajdzie się wśród tłumu za jedną z bramek.

Chciał się zaprezentować jako człowiek ludu.

Fitzgerald ocenił, że do końca przemówienia zostało około sześciu minut.

Słyszał już Guzmana wiele razy: w zatłoczonych salach, w na pół pustych barach, na rogach ulic, nawet na dworcu autobusowym, gdzie kandydat przemawiał do miejscowych obywateli z tylnego pomostu autobusu.

Zdjął walizkę z łóżka i położył sobie na kolanach.

Antonio Herrera jest kandydatem liberałów - syczał Guzman - lecz Amerykanów.

To kukła brzuchomowcy, której każde słowo dobiera człowiek w Pokoju Ovalnym.

Tłum znów wznosił okrzyk aprobaty.

Pięć minut, uznał Fitzgerald.

Otworzył walizkę i spojrzał na remingtona 700, z którym rozstał się tylko na kilka godzin.

- Jak Amerykanie śmia sądzą, że zawsze postąpimy tak, jak im wygodnie?

- warknął Guzman.

-I to tylko ze względu na boską wszechmoc dolara.

Do diabła z dolarem!

Tłum wydał grzmiący okrzyk, gdy kandydat na prezydenta wyjął z portfela banknot dolarowy i podarł wizerunek Jerzego Waszyngtona na drobne kawałeczki.

- Mogę was zapewnić o jednym- ciągnął Guzman, rzucając na tłum skrawki zielonego papieru niczym konfetti.

-Bóg nie jest Amerykaninem.

- bezgłośnie powiedział Fitzgerald.

- Bóg nie jest Amerykaninem!

- krzyknął Guzman.

Fitzgerald ostrożnie wyjął ze skórzanej walizki łożę Mcmillana z włókna szklanego.

- Za dwa tygodnie cały świat usłyszy, co myślą obywatele Kolumbii!

- krzyknął Guzman.

- Cztery minuty - mruknął Fitzgerald spoglądając na ekran i przedrzeźniając uśmiech kandydata na prezydenta.

Z przegródki w walizce wydobyl lufę wykonaną ze stali nierdzewnej Harta i przykręcił ją silnie do łoża.

Pasowała jak rękawiczka.

- Na konferencjach międzynarodowych Kolumbia znów zasiądzie za stołem obrad, zamiast nazajutrz dowiadywać się o ich przebiegu z gazet.

W ciągu roku zmuszę Amerykanów, żeby traktowali nas jak równych sobie, a nie jak kraj Trzeciego Świata.

Tłum ryczał w uniesieniu, Fitzgerald zaś wydobyl z walizki lunetę celowniczą Power Leupold i wsunął ją w dwa rowki na górnej części lufy.

- Za sto dni ujrzycie takie zmiany w naszym kraju, jakie Herrerze nie wydawałyby się możliwe za sto lat.

Bo gdy zostanę waszym prezydentem.

Fitzgerald wolno przyłożył karabin do ramienia.

Miał wrażenie, że obcuje ze starym przyjacielem.

Nic dziwnego: każda część została ręcznie wykonana według jego dokładnego opisu.

Skierował lunetę celownika na ekran telewizora i ustawiał podziałkę do chwili, gdy kropki oznaczające tysięczne znalazły się dwa i pół centymetra powyżej serca kandydata.

- ...

zwalczę inflację.

Trzy minuty.

-

bezrobocie.

Fitzgerald wypuścił powietrze i położył kres nędzy.

Fitzgerald odliczył: trzy. dwa. jeden, po czym łagodnie nacisnął język spustowy.

Ledwie usłyszał jego szcęk wśród wrzawy.

Opuścił karabin, wstał z łożka i odłożył na bok pustą walizkę.

Upłynie jeszcze półtorej minuty, zanim Guzman przystąpi do obrzędowego wyklinania prezydenta Lawrence'a.

Z kieszonki w pokrywie walizki wyjął nabój z pociskiem z wgłębieniem wierzchołkowym.

Przełamał broń i wsunął nabój do komory.

Zatrzasnął lufę zdecydowanym ruchem w górę.

- To ostatnia szansa dla obywateli Kolumbii, by odwrócić katastrofalne klęski przeszłości!

- głośniej z każdym słowem wołał Guzman.

-Nie wolno nam więc.

- Jedna minuta- mruknął Fitzgerald.

Mógłby powtórzyć każde słowo z końcowych sześćdziesięciu sekund mowy Guzmana.

Odwrócił wzrok od telewizora i wolno podszedł ku drzwiom balkonowym.

- ...

Zmarnować tej wspaniałej okazji.

Fitzgerald odsunął koronkową firankę zasłaniającą widok na zewnętrzny świat i poszybował wzrokiem przez Plaža de Bolivar do jego północnego krańca, gdzie kandydat na prezydenta stał na szczycie schodów budynku Kongresu, ponad tłumem.

Teraz miał nastąpić coup de grace.

Fitzgerald cierpliwie czekał.

Nigdy nie bądź na widoku dłużej niż to konieczne.

- Viva la Colombia!
- krzyknął Guzman.
- Viva la Colombia!
- odkrzyknęli ludzie w uniesieniu, choć wielu z nich było tylko płatnymi klakierami strategicznie rozmieszczonymi wśród tłumu.
- Kocham mój kraj - obwieścił kandydat na prezydenta.
Trzydzieści sekund do końca przemówienia.
Fitzgerald otworzył drzwi balkonowe.
Zgiełk tłumu, powtarzającego każde słowo Guzmana, z pełną siłą dźwięku wdarł się do środka.
- I powiem otwarcie - kandydat na prezydenta ściszył głos niemal do szeptu.
- Tylko z tego jedyne go powodu pragnę wam służyć jako prezydent.
Po raz drugi Fitzgerald wolno przyłożył kolbę remingtona 700 do ramienia.
Wszystkie oczy wlepione były w kandydata, który grzmiał:
- Dios guarde ala Colombia!
Wrzawa dosięgła zenitu, gdy wyrzucił ręce wysoko w górę w podzięcie zwolennikom, którzy odpowiedzieli okrzykiem:
- Dios guarde a la Colombia!
Guzman przez kilka sekund trzymał ręce triumfalnie wzniesione w górę, jak zwykle pod koniec każdego przemówienia.
I, jak zwykle, przez kilka chwil stał nieruchomo.
Fitzgerald ustawił kropki podziałki dwa i pół centymetra nad sercem kandydata na prezydenta i zrobił wydech, zaciskając palce lewej dłoni na łożu.
- Trzy.
dwa..
jeden – powiedział stłumionym głosem i łagodnie nacisnął spust.
Guzman wciąż się uśmiechał, gdy pocisk z zaokrągloną częścią denną uderzył go w pierś.
Sekundę później osunął się na ziemię jak bezwładna kukła.
Ułamki kości, strzępy tkanek i mięśni roztrysnęły się na wszystkie strony.
Krew obryzgała najbliższych stojących.
Fitzgerald dojrzał jeszcze wyciągnięte ręce kandydata na prezydenta, jakby w geście poddania się nieznanemu wrogowi.
Fitzgerald opuścił broń, przełamał ją i szybko zamknął i zaryglował drzwi balkonowe.
Wykonał zadanie.
Teraz musi tylko dopilnować, by nie złamać jedenastego przykazania.

II

- Czy mam złożyć kondolencje żonie i rodzinie?

- spytał Tom Lawrence.

- Nie, panie prezydencie - odparł sekretarz stanu.

- Uważam, że powinien pan to zostawić zastępcy sekretarza do spraw stosunków między amerykańskimi.

Teraz jest pewne, że Antonio Herdera zostanie wybrany na prezydenta Kolumbii, więc to z nim będzie pan miał do czynienia.

- Czy będziesz mnie reprezentował na pogrzebie?

Czy powinienem wysłać wiceprezydenta?

- Nie radzę wysłać żadnego z nas - powiedział sekretarz stanu.

- Nasz ambasador w Bogocie będzie pana reprezentował wystarczająco.

Pogrzeb odbędzie się w ten weekend, trudno więc się spodziewać, abyśmy byli do dyspozycji z dnia na dzień.

Prezydent kiwnął głową.

Przywykł do tego, że Larry Harrington ma rzeczowe podejście do wszystkiego, ze śmiercią włącznie.

Ciekawiło go, jak zachowałby się Larry, gdyby to on sam został zabity.

- Panie prezydencie, chyba powinienem pana bliżej poinformować o naszej obecnej polityce w Kolumbii.

Dziennikarze mogą pana pytać, czy nie maczaliśmy palców.

Prezydent chciał coś wtrącić, kiedy zapukano do drzwi i do pokoju wszedł Andy Lloyd.

Na pewno jest jedenasta, pomyślał Lawrence.

Odkąd uczynił Lloyda szefem personelu Białego Domu, nie potrzebował zegarka.

- Później, Larry - rzekł prezydent.

- Mam wystąpić na konferencji prasowej w sprawie projektu ustawy o ograniczeniu zbrojeń nuklearnych, biologicznych, chemicznych i konwencjonalnych i nie wyobrażam sobie, aby wielu dziennikarzy interesowała śmierć kandydata na prezydenta w kraju, którego, powiedzmy to sobie wprost, większość Amerykanów nie umiałaby nawet wskazać na mapie.

Harrington nie odezwał się.

Nie poczuwał się do obowiązku przypomnienia prezydentowi, że większość Amerykanów nie umiałaby też wskazać na mapie Wietnamu.

Harrington wiedział, że kiedy Andy Lloyd wchodzi do pokoju, tylko wypowiedzenie wojny światowej dałoby mu pierwszeństwo.

Skinął Lloydowi lekko głową i opuścił Pokój Ovalny.

- Dlaczego ja w ogóle mianowałem tego faceta?

- zapytał Lawrence patrząc na zamknięte drzwi.

- Larry pozyskał dla nas Teksas, panie prezydencie, wtedy gdy badania opinii publicznej wskazywały, że większość południowców uważa pana za fajtlapę z Północy, który chętnie odda stanowisko przewodniczącego Kolegium Połączonych Sztabów homoseksualiście.

- Pewno bym to zrobił - powiedział Lawrence - gdybym uznał, że nadaje się na stanowisko.

Jednym z powodów, który skłonił Toma Lawrence'a do zaproponowania staremu przyjacielowi ze studiów posady szefa personelu w Białym Domu był fakt, że po trzydziestu latach znajomości nie mieli przed sobą żadnych sekretów.

Andy mówił o sprawach tak, jak je widział, bez cienia złośliwości czy podstępu.

Ta sympatyczna cecha udaremniała mu wszelką karierę, nie stanowił więc żadnego zagrożenia.

Prezydent otworzył niebieską teczkę z napisem "bieżące", którą Andy zostawił mu z samego rana.

Podejrzewał, że szef personelu śleczął nad nią przez całą noc.

Zaczął zapoznawać się po kolei z pytaniami, które zdaniem Andy'ego, padną najprawdopodobniej na południowej konferencji prasowej:

"Ile pieniędzy podatników spodziewa się pan zaoszczędzić dzięki tej ustawie?"

"Jak wielu Amerykanów straci w rezultacie pracę?"

- Przypuszczam, że jak zwykle pierwsze pytanie zada Barbara Evans.

- Lawrence podniósł wzrok.

- Czego może dotyczyć?

- Nie mam pojęcia, panie prezydencie – odparł Lloyd.

- Ale ponieważ należy na wprowadzenie tej ustawy od dnia, kiedy zwyciężył pan Gore'a w New Hampshire, nie będzie jej wypadło narzekać, gdy akurat się pan do tego zabiera.

- Słusznie.

Ale to jej nie przeszkodzi wystrzelić z czymś kłopotliwym.

Andy kiwnął potakująco głową.

- Kogo mam się najbardziej strzec?

- Reszty tych drani - zaśmiał się Lloyd.

- Ale kiedy już się pan z nimi upora, niech się pan zwróci do Phila Ansancha.

- Dlaczego do niego?

- Popierał ustawę na każdym etapie, poza tym będzie dziś wieczorem pańskim gościem na kolacji.

Prezydent uśmiechnął się i kiwnął głową, przesuając palcem po liście przewidywanych pytań.

Zatrzymał się przy pytaniu numer siedem.

"Czy nie jest to jeszcze jeden przykład na to, że Ameryka pobłądziła?"

- Czasami myślę - prezydent spojrzął na Lloyda - że nadal żyjemy na Dzikim

Zachodzie, sądząc po reakcjach pewnych kongresmanów na projekt tej ustawy.

- Zgadzam się, panie prezydencie.

Ale jak pan wie, czterdzieści procent Amerykanów nadal uważa, że naszym największym zagrożeniem są Rosjanie, a blisko trzydzieści procent się spodziewa, że za ich życia będziemy się bić z Rosją.

Lawrence zaklął i przeciągnął palcami przez gęste, przedwcześnie posiwiałe włosy.

Dalej czytał pytania, wreszcie zatrzymał się przy dziewiętnastym.

- Jak długo jeszcze będą mi wypominać, że spaliłem kartę powołania?

- Dopóki będzie pan naczelnym dowódcą sił zbrojnych, jak sędzę.

Prezydent mruknął coś pod nosem i przeszedł do następnego pytania.

Podniósł głowę.

- Chyba Wiktor Żeriński nie ma żadnych szans wyboru na następnego prezydenta Rosji?

- Chyba nie - rzekł Andy - ale według najnowszych badań opinii publicznej przesunął się w górę na trzecie miejsce i choć jest jeszcze daleko za premierem Czernopowem i generałem Borodinem, to jego sprzeciw wobec zorganizowanej przestępczości podkopuje ich przewagę.

Zwłaszcza że w opinii większości Rosjan Czernopow jest finansowany przez rosyjską mafię.

A co z generałem?

- Jego pozycja słabnie, gdyż większość armii rosyjskiej od miesięcy nie dostaje żywności.
Prasa podaje, że żołnierze na ulicach sprzedają mundury turystom.

- Dzięki Bogu, wybory dopiero za dwa lata.

Gdyby ten faszysta Żeriński miał cię szansę wyboru na prezydenta, projekt ustawy o ograniczeniu broni przepadłby na samym wstępie w obu Izbach.

Lloyd pokiwał głową.

Lawrence przewrócił stronę.

Wodził palcem po kolejnych pytaniach, aż dotarł do dwudziestego dziewiątego.

- Ilu kongresmanów ma w swoich okręgach zakłady zbrojeniowe i bazy militarne?

- zapytał, spoglądając na Lloyd'a.

- Siedemdziesięciu dwóch senatorów i dwustu jedenastu członków Izby

Reprezentantów - odparł Lloyd, nie zaglądając do swej teczki.

- Będzie pan musiał, panie prezydencie, przekonać co najmniej sześćdziesiąt procent ich wszystkich, by zapewnić sobie większość w obu Izbach.

I to przy założeniu, że możemy liczyć na głos senatora Bedella.

- Frank Bedell domagał się wprowadzenia ustawy o radykalnym ograniczeniu broni, kiedy byłem w szkole średniej w Wisconsin - zauważył prezydent.

- Musi nas poprzeć, nie ma wyboru.

- On może nadal być zwolennikiem ustawy, ale sądzi, że jest pan zbyt ostrożny, panie prezydencie.

Właśnie zażądał, żeby zredukować wydatki na obronę o ponad pięćdziesiąt procent.

- Jak niby mam tego dokonać?

- Wycofać się z NATO i pozwolić, aby Europejczycy sami troszczyli się o swoją obronę.

- Ależ to jest absolutnie nierealistyczne - rzekł Lawrence.

- Nawet Amerykanie na rzecz Akcji Demokratycznej byłiby przeciw.

- Pan to wie, panie prezydencie, ja wiem i podejrzewam, że zacny senator też wie.

Co mu nie przeszkadza występować w każdej stacji telewizyjnej od Bostonu po Los Angeles i dowodzić, że pięćdziesięcioprocentowa redukcja wydatków na obronę z dnia na dzień rozwiązałaby problem opieki zdrowotnej i emerytur w Ameryce.

- Chciałbym, żeby Bedell tak samo troszczył się o obronność Amerykanów, jak troszczy się o ich opiekę zdrowotną - skomentował Lawrence.

- Jak mam odpowiedzieć?

- Obsypać go pochwałami za niestrudzone i godne szacunku starania w obronie interesów ludzi starych.

Ale potem pokreślić, że dopóki pan będzie naczelnym dowódcą, nie dopuści pan do osłabienia obronności Ameryki.

Zawsze na pierwszym miejscu będzie pan stawiał pozycję Ameryki jako najpotężniejszego kraju świata, et cetera, et cetera.

W ten sposób powinniśmy zachować głos Bedella i może nawet przekonać kilku jastrzębi.

Prezydent zerknął na zegarek, po czym zaczął czytać trzecią stronę.

Przy trzydziestym pierwszym pytaniu głęboko westchnął.

"Jak może pan mieć nadzieję, że ta ustawa zostanie uchwalona, skoro demokraci nie mają większości w żadnej z Izb?

".

- No więc, Andy, jak na to odpowiedzieć?

- Po prostu, iż zainteresowani Amerykanie w całym kraju wyraźnie mówią wybranym przez siebie reprezentantom, że ustawa jest sporo opóźniona i że zwykły zdrowy rozsądek nakazuje ją uchwalić.

- Tak samo argumentowałem ostatnim razem ,Andy.
Pamiętasz ,w związku z ustawą o zwalczaniu narkotyków?

- Owszem, panie prezydencie, pamiętam.

I Amerykanie gremialnie pana poparli.

Lawrence znowu głęboko westchnął.

- Gdyby tak rządzić krajem - powiedział - w którym nie odbywają się co dwa lata wybory i którego nie nęka korpus prasowy, przekonany, że może lepiej kierować sprawami kraju niż demokratycznie wybrany rząd.

- Nawet Rosjanie muszą się pogodzić z dyktatem prasy – rzekł Lloyd.

- Kto by uwierzył, że tego dożyjemy?

- spytał Lawrence, przebiegając wzrokiem ostatnie pytanie.

- Mam wrażenie, że gdyby Czernopow obiecał Rosjanom, że zamierza być pierwszym prezydentem, który więcej wyda na opiekę zdrowotną niż na obronę, zwyciężyłby bez trudu.

-Możeto i racja- przyznał Lloyd.

- Ale gdyby wybrano Żerińskiego, z pewnością zaczęłyby od wskrzeszenia rosyjskiego arsenału jądrowego, a nie od budowy nowych szpitali.

- To nie ulega kwestii - rzekł prezydent.

- Ale skoro ten maniak nie ma szans.

Andy Lloyd milczał.

III

Fitzgerald wiedział, że następne dwadzieścia minut zdecyduje o jego losie.

Szybko przemierzył pokój i spojrzał na ekran telewizora.

Ludzie uciekali z placu na wszystkie strony.

Hałaśliwe uniesienie zamieniło się w ślełą panikę.

Dwóch doradców Ricarda Guzmana pochylało się nad jego zwłokami.

Fitzgerald odszukał łuskę i włożył ją na miejsce do skórzanej walizki.

Czy właściciel lombardu pozna, że jeden z naboii został wystrzelony?

Z drugiej strony placu narastał charakterystyczny jęk syreny policyjnej, zagłuszając wrzask tłumu.

Tym razem reakcja była znacznie szybsza.

Fitzgerald odjął celownik optyczny i wstawił go do dobranej kształtem przegródki.

Odkręcił lufę ,wsunął ją na miejsce, a na końcu schował łoże.

Spojrzał ostatni raz na ekran telewizora i zobaczył, jak miejscowa policja zalewa plac niczym mrówki.

Schwycił skórzaną walizkę, wsunął do kieszeni zapalniczkę z popielniczki na telewizorze i ruszył do drzwi.

Omiótł wzrokiem pusty korytarz i szybkim krokiem skierował się do windy towarowej. Kilkakrotnie nacisnął mały biały guzik w ścianie.

Wychodząc do lombardu otworzył okno wiodące do wyjścia pożarowego, ale wiedział, że gdyby musiał się uciec do rezerwowego planu, prawdopodobnie u dołu rozchwieanych metalowych stopni czekałby oddział policji.

Nie byłoby, jak w filmach z Rambo, śmigłowca z wirującym śmigłem, czekającego, by wśród świstu cudem omijających go kul uwięzić go ku chwale.

To był świat rzeczywisty.

Kiedy rozsunęły się ciężkie drzwi windy, Fitzgerald stanął twarzą w twarz z młodym kelnerem w czerwonej marynarce, z przeładowaną tacą w rękach.

Widać przypadł mu w udziale zły los i nie dostał wolnego popołudnia, by obejrzeć mecz.

Kelner nie zdołał ukryć zaskoczenia na widok gościa przed windą towarową.

- No, señor, perdone, no puede entrar- usiłował tłumaczyć gościowi, który pośpiesznie go minął.

Ale gość nacisnął guzik z napisem Piana Baja i drzwi się zamknęły, nim młody człowiek zdążył wyjaśnić, że ta winda zjeżdża do kuchni.

Dotarłszy na parter, Fitzgerald zwinnie przemknął między stolami z nierdzewnej stali, zastawionymi rzędami przystawek, czekających na zamówienie, i butelkami szampana, które będą otwarte, jeżeli wygra Kolumbia.

Znalazł się po drugiej stronie, pchnął wahadłowe drzwi i znikł, zanim ktokolwiek z personelu w białych fartuchach zdołał zaprotestować.

Pobiegł mrocznym korytarzem -poprzedniego wieczoru wykręcił większość żarówek –do ciężkich drzwi, prowadzących do podziemnego parkingu hotelowego.

Wyjął z kieszeni marynarki wielki klucz, zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Skierował się wprost do małego czarnego volkswagena, zaparkowanego w najciemniejszym kącie.

Z kieszeni spodni wyjął drugi, mniejszy kluczyk, otworzył drzwiczki, usiadł za kierownicą, umieścił skórzaną walizkę pod siedzeniem pasażera i włączył starter.

Silnik natychmiast ożył, chociaż nie pracował przez ostatnie trzy dni.

Naciskając pedał gazu Fitzgerald przez kilka sekund potrzymał silnik na szybkich obrotach, po czym wrzucił pierwszy bieg.

Bez pośpiechu manewrował między rzędami samochodów.

Pokonując stromy podjazd, wyjechał na ulicę.

Zatrzymał się na górze.

Policjanci włamywali się do zaparkowanego auta i nawet nie spojrzeli w jego stronę.

Skręcił w lewo i powoli oddalił się od Plaža de Bolívar.

Wtem usłyszał z tyłu jękliwy dźwięk.

Spojrzał we wsteczne lusterko i zobaczył za sobą dwa pędzące motocykle policyjne o błyskających światłach.

Fitzgerald zjechał na bok i przepuścił eskortę i ambulans wiozący zwłoki Guzman.

Skręcił w lewo w boczną ulicę i długą, okrężną trasą, często wracając po własnych śladach, pojechał do lombardu.

Dwadzieścia cztery minuty później dotarł na małą uliczkę i zaparkował za ciężarówką.

Wydobył podniszczoną skórzaną walizkę spod fotela pasażera i zostawił samochód nie zamknięty.

Planował, że za niecałe dwie minuty usiadzie z powrotem za kierownicą.

Prędko rozejrzał się w lewo i w prawo.

Na ulicze nie było żywego ducha.

I znowu, kiedy wchodził do budynku, włączył się alarm.

Ale teraz Fitzgerald nie lękał się szybkiego przyjazdu jakiegoś przypadkowego patrolu - wiedział, że policja ma pełne ręce roboty; albo uwija się na stadionie, gdzie za pół godziny zacznie się mecz, albo aresztuje każdego w promieniu kilometra od Plaža de Bolívar.

Fitzgerald zamknął za sobą tylne drzwi lombardu.

Szybko przeciął zaplecze i, odsunawszy zasłonę z paciorków, zatrzymał się przed ladą.

Sprawdził, czy nie ma nikogo na ulicy, i z powrotem postawił skórzaną walizkę na wystawie.

Ile minie czasu, zanim Escobar, który przyjdzie do sklepu w poniedziałek rano, odkryje, że jeden z pocisków magnum z zaokrągloną częścią denną został wystrzelony i została tylko łuska?

I czy będzie mu się chciało zgłosić o swym odkryciu policji?

Fitzgerald w niespełna półtorej minuty siedział już w volkswagenie.

Słyszał wycie alarmu jeszcze kiedy wyjeżdżał na główną ulicę i kierował się za znakami na Aeropuerto El Dorada.

Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Przecież lada chwila miał się zacząć mecz.

Zresztą, czyż mógł być jakiś związek między alarmem dźwięczącym w lombardzie w dzielnicy San Victorina a zabójstwem kandydata na prezydenta na Plaza de Bolivar?

Na autostradzie Fitzgerald trzymał się środkowego pasa i ani razu nie przekroczył dozwolonej prędkości.

Przemknęło koło niego kilka samochodów policyjnych w drodze do miasta.

Nawet gdyby go zatrzymano, by skontrolować dokumenty, stwierdzono by, że wszystko jest w porządku.

Wypchana walizka na tylnym siedzeniu nie zawierała nic niezwykłego jak na handlowca który odwiedził Kolumbię, żeby sprzedać urządzenia do kopalń.

Fitzgerald zjechał z autostrady odnogą prowadzącą na lotnisko.

Po kilkuset metrach skręcił nagle w prawo i wjechał na parking hotelu San Sebastian.

Otworzył schowek pod deską rozdzielczą i wyjął stamtąd paszport z mnóstwem pieczęci.

Zapałkami, które zabrał z hotelu El Belvedere, podpalił Dirka van Rensberga.

Kiedy ogień sparzył mu palce, otworzył drzwiczki samochodu, rzucił szczątki paszportu na ziemię i zdeptał płomień, mimo że godło Afryki Południowej wciąż było widoczne.

Odłożył zapalki nasiedzenie pasażera, schwycił walizkę i zatrzasnął drzwiczki samochodu, zostawiając kluczyki w stacyjce.

Ruszył do drzwi hotelu i szczątki paszportu oraz wielki, ciężki klucz wrzucił do pojemnika na śmieci u stóp schodów.

Przecisnął się przez obrotowe drzwi za grupą japońskich biznesmenów i nie odstępując ich wsiadł do otwartej dla nich windy.

Był jedynym pasażerem, który wysiadł na trzecim piętrze.

Udał się wprost do pokoju 347, wyjął następną plastikową kartę, która otworzyła inny pokój, zarezerwowany na inne nazwisko.

Rzucił walizkę na łóżko i spojrzał na zegarek.

Godzina i siedemnaście minut do odlotu.

Zdjął marynarkę i rzucił ją na jedyne krzesło, potem otworzył walizkę, wyjął neseser z przyborami do mycia i poszedł do łazienki.

Chwilę odczekał, aż woda będzie wystarczająco ciepła, i napełnił wannę.

Obciął w tym czasie paznokcie i wyszorował ręce tak starannie, jak chirurg przed operacją.

Usunięcie wszelkich śladów hodowanej przez tydzień brody zajęło mu dwadzieścia minut, a włosy stały się na powrót rudawe i falujące po długotrwałym myciu i splukiwaniu ciepłą wodą.

Wytarł się cienkim hotelowym ręcznikiem, wrócił do sypialni i wciągnął świeże krótkie kałesonki.

Podszedł do komody w głębi pokoju, wyciągnął trzecią szufladę i wymacał pakiecik przyklejony do szuflady powyżej.

Chociaż nie zajmował pokoju od kilku dni, był pewien, że nikt nie odkrył jego schowka.

Rozdarł brązową kopertę i pospiesznie sprawdził jej zawartość.

Jeszcze jeden paszport na jeszcze inne nazwisko.

Pięćset dolarów w używanych banknotach i bilet pierwszej klasy do Kapsztadu.

Uciekający zabójcy nie podróżują pierwszą klasą.

Pięć minut później opuścił pokój numer 347, zostawiając części garderoby rozrzucone na podłodze, a na kłamecze wywieszkę z napisem Favor de no Molestar.

Zjechał windą dla gości na parter, przekonany, że nikt nie zwróci uwagi na pięćdziesięciu letniego mężczyznę w niebieskiej bawełnianej koszuli, krawacie w paski, sportowej marynarce i szarych flanelowych spodniach.

Wysiadł z windy i przemierzył hali, nie podchodząc do recepcji.

Kiedy tu przybył osiem dni wcześniej, zapłacił gotówką z góry.

Barek pozostawił nietknięty, ani razu nie wzywał obsługi hotelowej, nie zamawiał rozmowy zamiejscowej ani nie wypożyczał filmu - nie musiał zatem nic dopłacać.

Czekał tylko kilka minut, nim autobus zajeżdżał przed hotel.

Spojrzał na zegarek.

Czterdzieści trzy minuty do odlotu.

Wcale się nie martwił, że się spóźni na samolot Aeroperu do Limy, lot numer 63.

Tego dnia nic nie mogło się odbyć o czasie.

Kiedy autobus zostawił go na lotnisku, nie spieszenie podążył do stanowiska odprawy pasażerów, gdzie bez zdziwienia usłyszał, że lot do Limy jest opóźniony o ponad godzinę.

W hali odlotów, pełnej gorączkowo biegających ludzi, kilku policjantów przyglądało się każdemu pasażerowi i choć parokrotnie zatrzymywano go i wypytywano, a dwa razy rewidowano mu walizkę, w końcu został przepuszczony do wyjścia numer czterdzieści siedem.

Zwolnił kroku, gdy zobaczył, jak strażnicy wloką dwóch podróżników z plecakami. Przez głowę przemknęła mu myśl, ilu Bogu ducha winnych, nie ogolonych białych mężczyzn spędzi nocną przesłuchaniach z jego powodu.

Ustawivszy się w kolejce do kontroli paszportowej, Fitzgerald powtarzał szeptem swe nowe nazwisko, trzecie w tym dniu.

Urzędnik w niebieskim mundurze, który siedział w małym boksie, otworzył nowozelandzki paszport i uważnie obejrzał fotografię; podobieństwo do stojącego przed nim, elegancko ubranego mężczyzny było niezaprzeczalne.

Zwrócił paszport i Alistair Douglas, inżynier budownictwa lądowego z Christchurch, przeszedł do poczekalni.

Po przedłużającym się opóźnieniu w końcu ogłoszono lot.

Stewardesa zaprowadziła pana Douglasa na jego miejsce w pierwszej klasie.

- Czy mogę panu podać kieliszek szampana?

Fitzgerald potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję.

Wystarczy szklanka nie gazowanej wody - powiedział, wypróbując nowozelandzki akcent.

Zapiął pas, oparł się wygodnie i udawał, że czyta biuletyn lotu;

tymczasem samolot, podskakując na wybojach, zaczął się wolno toczyć po pasie startowym.

Czekali w długiej kolejce, więc na długo zanim samolot przyspieszył, aby się wzbić w powietrze, Fitzgerald zdążył wybrać potrawy, które będzie jadł, i film, który obejrzy.

Gdy wreszcie koła oderwały się od ziemi, pierwszy raz tego dnia mógł się odprężyć.

Kiedy samolot osiągnął wysokość lotu, Fitzgerald odłożył biuletyn, przyklnął oczy i zaczął myśleć o tym, co należy zrobić po wylądowaniu w Kapsztadzie.

- Mówi kapitan - odezwał się głos, który brzmiał, jakby miał coś ważnego do zakomunikowania.

- Mam wiadomość, która, jak wiem, bardzo zmartwi niektórych pasażerów.

-Fitzgeralda aż poderwało.

Jedyną ewentualnością, jakiej nie brał pod uwagę, był nieplanowy powrót do Bogoty.

- Z przykrością muszę państwa poinformować, że dziś Kolumbia przeżyła narodową tragedię.

Fitzgerald lekko ścisnął poręcz fotela i zmusił się, żeby równo oddychać.

- Przyjaciele - po małej chwili oznajmił ponuro kapitan- Kolumbię spotkało nieszczęście.

- Zawiesił głos.

-Nasza reprezentacja przegrała z Brazylią dwa do jednego.

W samolocie rozległ się powszechny jęk, jakby roztrzaskanie się na najbliższym szczycie było czymś mniej strasznym.

Przez wargi Fitzgeralda przewinał się lekki uśmieszek.

Obok wyrosła stewardesa.

- Czy teraz mogę panu podać coś do picia?

-Dziękuję -odparł Fitzgerald.

- Chyba jednak poproszę o kieliszek szampana.

IV

Dziennikarze wstali, gdy Tom Lawrence wszedł do zatłoczonego pokoju.

- Prezydent Stanów Zjednoczonych - obwieścił sekretarz prasowy na wypadek, gdyby był tam przybysz z kosmosu.

Lawrence wstąpił po jednym stopniu na podium i położył niebieską teczkę Andy'ego Lloyda na pulpicie.

Znajomym gestem dał znak zgromadzonym dziennikarzom, żeby usiedli.

- Miło mi zakomunikować - zaczął prezydent ze swobodą – że przekazuję do Kongresu projekt ustawy, którą obiecałem Amerykanom podczas kampanii wyborczej.

Notowali tylko nie liczni ze starszych korespondentów z Białego Domu, siedzących na wprost prezydenta ,gdyż większość wiedziała, że jeśli trafi się jakaś gratka warta druku, to raczej podczas sesji pytań i odpowiedzi, a nie w trakcie wygłaszania gotowego oświadczenia. Zresztą wstępne uwagi prezydenta znajdą się w zestawie materiałów prasowych, które otrzymają na zakończenie.

Stare wygi dziennikarskie tylko wtedy korzystały z gotowego tekstu, gdy trzeba było czymś zapęłnić puste szpalty.

Nie bacząc na to prezydent przypomniał, że w po uchwaleniu ustawy o ograniczeniu zbrojeń będzie mógł przeznaczyć większą część dochodu narodowego na długofalowy program opieki zdrowotnej, dzięki czemu starsi Amerykanie będą się mogli spodziewać wyższego poziomu życia w okresie emerytalnym.

- To ustawa, którą z radością powitają wszyscy dobrzy, wykazujący troskę obywatele i czują się dumny, że jestem prezydentem, który przeprowadzi ją przez Kongres - Lawrence podniósł wzroki uśmiechnął się, zadowolony, że przynajmniej wstępne oświadczenie wypadło dobrze.

Gdy otwierał niebieską teczkę i przebiegał wzrokiem listę trzydziestu jeden pytań, ze wszystkich stron wołano: "Panie prezydencie!".

Spojrzał w górę i uśmiechnął się do znajomej twarzy w pierwszym rzędzie.

- Proszę, Barbaro- zwrócił się do długoletniej reporterki UPI ,która, jako dziekan korpusu prasowego, miała prawo do pierwszego pytania.

Barbara Evans wolno podniosła się z miejsca.

- Dziękuję, panie prezydencie.

- Odczekała chwilę i spytała: -Czy może pan potwierdzić, że CIA nie miała nic wspólnego z zabójstwem kolumbijskiego kandydata na prezydenta, Ricarda Guzmana, w sobotę w Bogocie?

W sali rozległ się szmer zainteresowania.

Lawrence spojrział na listę zbędnych trzydziestu jeden pytań i odpowiedzi i pożałował, że tak niefrasobliwie zbył Larry'ego Harringtona, który chciał go dokładniej zapoznać z tym tematem.

- Jestem rad, że oto zapytałaś, Barbaro – odparł nie zbity z tropu.

- Chcę bowiem, abyś wiedziała, że póki jestem prezydentem, nawet sugerowanie czegoś podobnego nie wchodzi w grę.

Ta administracja nigdy i w żadnych okolicznościach nie będzie się wtrącać w demokratyczne procesy suwerennego kraju.

W istocie dziś rano poleciłem sekretarzowi stanu zatelefonować do wdowy po Guzmanie i przekazać moje kondolencje.

-Lawrence był zadowolony, że Barbara Evans wymieniła nazwisko zabitego, gdyż nie byłby w stanie go sobie przypomnieć.

- Może również zainteresuje cię, Barbaro, że poprosiłem wiceprezydenta, by reprezentował mnie na pogrzebie, który, o ile wiem, odbędzie w Bogocie w najbliższy weekend.

Pete Dowd, agent Secret Service dowodzący oddziałem ochrony prezydenta, natychmiast wyszedł, aby uprzedzić wiceprezydenta, zanim dopadnie go prasa.

Barbara Evans nie wyglądała na przekonaną, ale nim zdążyła zadać następne pytanie, prezydent zwrócił się do mężczyzny z tyłu go rządu, który, jak miał nadzieję, nie interesuje się wyborami prezydenckimi w Kolumbii.

Ale wolałby już to, gdy usłyszał jego pytanie:

- Jakie szansę w Kongresie miałyby pański projekt ustawy o ograniczeniu zbrojeń, gdyby Żeriński został nowym prezydentem Rosji?

Przez czterdzieści minut Lawrence odpowiadał na pytania dotyczące ustawy o ograniczeniu zbrojeń, ale dziennikarze żądali również informacji o obecnej roli CIA w Ameryce Południowej i o tym, jakby sobie radził z Wiktorem Żerińskim, gdyby został on prezydentem Rosji.

Kiedy się wydało, że Lawrence nie wie więcej niż dziennikarze na żaden z tych tematów, pismacy poszli za tropem i zaczęli go wypytywać właśnie o te kwestie, pomijając wszystko inne, z ustawą o ograniczeniu zbrojeń włącznie.

Gdy w końcu Phil Ansanch z życzliwością zapytał o ustawę, Lawrence udzielił długiej, pełnej dygresji odpowiedzi, po czym nagle zakończył konferencję.

- Dziękuję panie i panowie - powiedział, uśmiechając się do napastliwej sfery dziennikarzy.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

-Odwrócił się, prędko wyszedł z sali i pomaszerował do Pokoju Owального.

- Chcę natychmiast mówić z Harringtonem - mruknął do Lloyda, gdy ten go dogonił - a ty zadzwoń do Langley.

Dyrektorka CIA ma się stawić u mnie najpóźniej za godzinę.

- Panie prezydencie, może byłoby lepiej.

- zaczął szef personelu.

- Najpóźniej za godzinę, Andy - powtórzył prezydent, nawet na niego nie patrząc.

- Jeżeli się dowiem, że CIA miała cokolwiek wspólnego z zabójstwem w Kolumbii, urwę łeb tej Dexter.

- Poproszę sekretarza stanu, panie prezydencie, żeby natychmiast zgłosił się do pana - rzekł Lloyd.

Wszedł do biura obok, podniósł słuchawkę najbliższego telefonu i zadzwonił do Larry'ego Harringtona w Departamencie Stanu.

Nawet przez telefon Teksasńczyk nie umiał ukryć satysfakcji, że się tak prędko okazało, iż miał rację.

Lloyd odłożył słuchawkę, wrócił do swojego gabinetu, zamknął drzwi i przez chwilę milcząc siedział przy biurku.

Gdy sformułował, co ma powiedzieć, wykręcił numer, pod którym zgłaszała się tylko jedna osoba.

- Dyrektorka - tak zawsze przedstawiała się Helen Dexter.

Connor Fitzgerald podał paszport australijskiemu urzędnikowi.

Byłoby ironią losu, gdyby dokument został zakwestionowany, gdyż pierwszy raz od trzech tygodni opiewał na prawdziwe nazwisko.

Funkcjonariusz w mundurze wystukał dane na klawiaturze, spojrzął na ekran komputera, potem nacisnął jeszcze kilka klawiszy.

Nie pojawiło się nic niepożądanego, wbił więc wizę turystyczną do paszportu.

- Życzę panu, panie Fitzgerald, miłego pobytu w Australii - powiedział.

Connor podziękował i przeszedł do hali bagażowej, usiadł naprzeciw nieruchomej taśmy bagażowej i czekał na swoją walizkę.

gdy nie przechodził pierwszy przez kontrolę celną, nawet kiedy nie miał nic do zadeklarowania.

Gdy poprzedniego dnia wylądował w Kapsztadzie, czekał na niego stary przyjaciel i kolega Carl Koeter.

Przez dwie godziny Connor składał mu dokładne sprawozdanie z wykonanego zadania, po czym przy lunchu rozmawiali o rozwodzie Carla oraz o Maggie i Tarze.

Napoczęli drugą butelkę wina Rustenberg Cabemet Sauvignon rocznik 1982 i niewiele brakowało, by Connor spóźnił się na samolot do Sydney.

W sklepie wolnocłowym pospieszenie wybrał dla żony i córki prezenty, na których widniały wyraźne napisy "Madę In South Africa".

W paszporcie nie miał nawet śladu, że przybył do Kapsztadu przez Bogotę, Limę i Buenos Aires.

Czekając, aż ruszy taśma z bagażami, dumął o tym, jak wyglądało jego życie w ciągu ostatnich dwudziestu ośmiu lat.

Connor Fitzgerald przyszedł na świat w rodzinie oddanej sprawie prawa i porządku.

Dziadek ze strony ojca, Oscar, nazwany tak na pamiątkę jeszcze jednego irlandzkiego poety, wyemigrował do Ameryki z Kilkenny na przełomie wieku.

W kilka godzin po wylądowaniu na Ellis Island podążył wprost do Chicago, gdzie wzorem swego kuzyna wstąpił do policji.

Podczas prohibicji Oscar Fitzgerald należał do nielicznych policjantów, którzy nie brali łapówek od gangów.

W rezultacie nie awansował powyżej rangi sierżanta.

Ale spłodził pięciu bogobojnych synów i dał za wygraną dopiero wtedy, gdy ksiądz mu oznajmił, że Wszechmocny nie pobłogosławi jego i Mary córką.

Żona z wdzięcznością przyjęła mądre słowa ojca O'Reilly - i tak trudno było wyżywić z pensji sierżanta pięciu krzepkich chłopaków.

A zważcie, że jak Oscar dał jej kiedy centa więcej niż zwykle ze swej tygodniówki.

Mary żądała, by dokładnie wytłumaczył, skąd go ma.

Ukończywszy szkołę średnią, trzech chłopaków wstąpiło do Chicagowskiej policji, gdzie szybko otrzymali awans, na jaki zasługiwał ojciec.

Czwarty złożył śluby kapłańskie ku radości Mary, a najmłodszy, ojciec Connora, studiował prawo karne na Uniwersytecie De Paula na podstawie regulacji o statusie żołnierzy.

Po dyplomie wstąpił do FBI.

W 1949 roku poślubił Katherine O'Keefe, dziewczynę, która mieszkała dwa domy dalej.

Mieli tylko jedno dziecko, syna, któremu dali na chrzcie imię Connor.

Connor urodził się ósmego lutego 1951 roku i jeszcze nie zaczął chodzić do szkoły, a już się zapowiadał na utalentowanego futbolistę.

Ojciec nie posiadał się ze szczęścia, kiedy chłopiec został kapitanem drużyny szkolnej w liceum Mount Carmel, ale matka pilnowała, żeby zawsze odrobił lekcje, nawet jeśli musiał ślęczeć do późna w noc.

Wciąż mu przypominała, że nie będzie grał w futbol przez całe życie.

Mając ojca, który wstawał, ilekroć do pokoju wchodziła kobieta, i matkę, która była prawie święta, Connor, mimo swej tężyzny fizycznej, był nieśmiały wobec kobiet. Niektóre koleżanki z liceum wyraźnie okazywały mu zainteresowanie, ale dopiero w ostatniej klasie, kiedy poznał Nancy, stracił cnotę.

Pewnego jesiennego popołudnia, po kolejnym zwycięskim meczu rozegranym przez jego drużynę, Nancy zaprowadziła go za trybuny i uwiodła.

Pierwszy raz widziałyby wówczas nagą kobietę, gdyby Nancy wszystko z siebie zdjęła.

Mniej więcej po miesiącu Nancy zapytała go, czy chciałby spróbować z dwiema dziewczynami naraz.

- Jeszcze nie miałem dwu dziewczyn, to co tu mówić o dwu naraz- odparł.

Nancy wzruszyła ramionami i odeszła.

Kiedy Connor zdobył stypendium Uniwersytetu Notre Dame, nie korzystał z propozycji, jakie otrzymywali wszyscy chłopcy z drużyny futbolowej.

Koledzy z dumą wydrapywali imiona dziewcząt, które im uległy, na wewnętrznej stronie drzwi szafek w szatni.

Brett Coleman, najlepszy kopacz w drużynie, miał pod koniec semestru w swojej szafce siedemnaście imion.

Poinformował on Connora, że liczy się tylko seks z penetracją, bo na seks oralny na drzwiczkach nie ma dość miejsca.

Pod koniec pierwszego roku na drzwiczkach Connora nadal wyryte było tylko imię Nancy. Któregoś wieczoru po treningu Connor obejrzał inne szafki i odkrył, że imię Nancy, czasem wraz z imieniem drugiej dziewczyny, powtarza się niemal we wszystkich.

Koledzy nie darowaliby mu tak marnego wyniku, gdyby nie był najlepszym pierwszo rocznym rozgrywającym, jakiego uczelnia miała od dziesięciu lat.

Wszystko się zmieniło na samym początku drugiego roku studiów.

Kiedy Connor przyszedł na cotygodniowe zajęcia w irlandzkim klubie tanecznym, ona wkładała pantofelki.

Nie widział jej twarzy, ale to nie było takie ważne, bo nie mógł oderwać oczu od jej długich, smukłych nóg.

Jako as futbolu przywykł, że dziewczyny gapią się na niego, a teraz ta jedna, na której chciałby zrobić wrażenie, nie wiedziała nawet o jego istnieniu.

Gorzej, że jej partnerem na parkiecie był Declan O'Casey, niezrównany tancerz.

Oboje trzymali się idealnie prosto, a ich stopy ledwo dotykały podłogi.

Taniec się skończył, a Connor ciągle nie wiedział, jak jej na imię.

W dodatku wyszła razem z Declanem, zanim zdążył coś wykombinować, żeby ich zapoznano. Zrozpaczony poszedł za nimi do żeńskiego akademika, zachowując odległość pięćdziesięciu kroków i cały czas starając się być niewidocznym, jak uczył go ojciec.

Krzywił się patrząc, jak się trzymają za ręce i beztriosko gawędzą.

Kiedy dotarli do domu studenckiego, ona cmoknęła Declana w policzek i weszła do środka.

Dlaczego, pomyślał z żalem, nie zajmowałem się więcej tańcem niż futbolem?

Gdy Declan ruszył do męskiego akademika, Connor zaczął się przechadzać niedbałym krokiem pod oknami sypialni dziewcząt, zastanawiając się, czy można by coś zrobić.

W końcu ujrzał ją przelotnie, jak w szlafroku zaciągała zasłonę.

Pokręcił się jeszcze trochę, wreszcie niechętnie wrócił do swego pokoju.

Usiadł na łóżku i napisał do matki, że zobaczył dziewczynę, którą zamierza poślubić, chociaż jeszcze z nią nie rozmawiał, a nawet nie zna jej imienia.

Zaklejając kopertę próbował sam siebie przekonać, że Declan O'Casey jest dla niej tylko partnerem do tańca.

W następnych dniach starał się jak najwięcej o niej dowiedzieć, ale ustalił tylko, że nazywa się Maggie Burkę, zdobyła stypendium do St.Mary College i jest na pierwszy mroku historii sztuki.

Przeklął się za to, że w życiu nie przestąpił progu galerii sztuki, a jedyny kontakt z malarstwem miał wtedy, gdy ojciec kazał mu wykończyć płot dokoła ogródka na tyłach ich domu przy South Lowe Street.

Declan, jak się okazało, chodził z Maggie od czasu, kiedy była w ostatniej klasie, i nie tylko był najlepszym tancerzem w klubie, ale miał opinię najzdolniejszego matematyka na uniwersytecie.

Inne uczelnie zapraszały go już na studia podyplomowe, chociaż jeszcze nie było wiadomo, z jakim wynikiem zda końcowe egzaminy.

Connor mógł się tylko pocieszać, że Declanowi zaproponują wkrótce nęcące stanowisko jak najdalej od South Bend.

W następny czwartek Connor przyszedł pierwszy do klubu tańca i kiedy z szatni wyłoniła się Maggie w kremowej bawełnianej bluzce i krótkiej czarnej spódnicy, niewiedział, czy patrzeć w zielone oczy dziewczyny, czy na długie nogi.

Znowu przez cały wieczór towarzyszył jej Declan, Connor zaś siedział w milczeniu na ławce, udając, że nie zwraca na nią uwagi.

Po ostatnim tańcu wymknęli się oboje.

Connor podążył za nimi w stronę żeńskiego akademika, ale zauważył, że dziś Maggie nie trzyma Declana za rękę.

Po długiej rozmowie i pocałunku w policzek Declan poszedł w swoją stronę.

Connor usiadł na ławce naprzeciw jej okna i spojrzał na balkon.

Chciał poczekać, aż będzie zaciągała zasłonę, ale zasnął, zanim się pokazała w oknie.

Obudził się z głębokiego snu, w którym widział Maggie, jak stoi przed nim w piżamie i szlafroku.

Ocknął się nagle, spojrzał na nią osłupiały, poderwał się i wyciągnął rękę.

- Cześć!

Nazywam się Connor Fitzgerald.

- Wiem - odparła, ściskając mu dłoń.

- A ja Maggie Burkę.

- Wiem - powiedział.

- Możesz się trochę posunąć?

- spytała.

Od tej chwili Connor nigdy nie popatrzył na inną kobietę.

W niedzielę Maggie pierwszy raz w życiu poszła na mecz futbolowy i przyglądała się błyskotliwym zagraniom Connora, dla którego tylko ona istniała na całym stadionie.

W następny czwartek tańczyli razem cały wieczór, a Declan siedział niepokieszony w kącie.

Wydawał się jeszcze bardziej opuszczony, gdy obydwójce wyszli, trzymając się za ręce.

Kiedy stanęli przed akademikiem, Connor pocałował ją.

Potem przyklęknął i oświadczył się.

Maggie wybuchnęła śmiechem, poczerwieniała i uciekła.

W drodze powrotnej Connor też się roześmiał, kiedy zobaczył Declana chowającego się za drzewem.

Odtej pory Connor i Maggie spędzali razem każdą wolną chwilę.

On ją uczył, co to jest przyłożenie, pole bramkowe i podanie w poprzek boiska, ona zaś mówiła mu, kim są Bellini, Bemini i Luini.

Wieczorem w każdy czwartek przez trzy lata przykładał na jedno kolano i prosił ją o rękę.

Kiedy koledzy z drużyny pytali, czemu nie wyskrobie jej imienia na drzwiach szafki, odpowiadał po prostu: bo się z nią ożenię.

Kiedy Connor kończył ostatni rok studiów, Maggie ostatecznie zgodziła się za niego wyjść – ale dopiero, gdy zaliczy egzaminy.

- Musiałem ci się oświadczać sto czterdzieści jeden razy, żebyś wreszcie przejrzała na oczy - powiedział triumfująco.

-Och, nie bądź głupi, Connorze Fitzgerald - odparła.

- Od kiedy usiadłam koło ciebie na tej ławce, wiedziałam, że spędzę z tobą całe życie.

Pobrali się w dwa tygodnie po tym, jak Maggie otrzymała dyplom z najwyższym wyróżnieniem.

Tara urodziła się dziesięć miesięcy później.

- Mam uwierzyć, że CIA nawet nie wiedziała o przygotowywanym zabójstwie?

-Tak było - powiedziała spokojnie dyrektorka CIA.

- Jak tylko się dowiedzieliśmy, a powiadomiono nas po kilku sekundach, dałam znać doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, który, jak rozumiem, przekazał panu tę informację bezpośrednio do Camp David.

Prezydent zaczął krążyć po Pokoju Ovalnym.

- A kiedy zatelefonował do mnie pan Lloyd i powiedział, że pan żąda więcej szczegółów, poprosiłam mego zastępcę Nicka Gutenburga, aby skontaktował się z naszymi ludźmi w Bogocie i dokładnie zbadał, co się stało w sobotę po południu.

Gutenberg wczoraj sporządził ten raport.

- Stuknęła w teczkę, którą miała na kolanach.

Prezydent wiedział, że spacer nie tylko daje mu więcej czasu do namysłu, ale zwykle wprawia jego gości w niepokój.

Większość osób przekraczających próg Pokoju Ovalnego była zresztą zdenerwowana.

Sekretarka powiedziała mu kiedyś, że czworo z pięciorga gości tuż przed spotkaniem z nim odwiedza toaletę.

Ale wąpił, czy siedząca przed nim kobieta w ogóle wie, gdzie jest najbliższa toaleta.

Gdyby w Ogrodzie Różanym wybuchła bomba, Helen Dexter przypuszczalnie uniosłaby tylko starannie wydepilowane brwi.

Jak na razie przetrzymała trzech prezydentów i mówiło się, że wszyscy w jakimś momencie żądali jej rezygnacji.

Przystanął pod portretem Abrahama Lincolna, który wisiał nad kominkiem.

Spojrzał w dół na kark Helen Dexter.

Ona nadal patrzyła prosto przed siebie.

Miała na sobie szykowny, dobrze skrojony ciemny kostium i skromną kremową bluzkę.

Rzadko nosiła biżuterię, nawet podczas uroczystości państwowych.

W przededniu wyborów w 1976 roku prezydent Ford, pragnąc ułagodzić feministyczne lobby, mianował trzydziestodwuletnią wówczas Dexter wicedyrektorką, w charakterze chwilowej zapchajdziury.

Ale ona przetrwała Forda.

Po łańcuszku często się zmieniających dyrektorów, którzy albo rezygnowali, albo odchodzili na emeryturę, osiągnęła upragnione stanowisko.

W małym świątku Waszyngtonu krążyło wiele pogłosek o jej krańcowo prawicowych poglądach i metodach, do jakich się uciekała, żeby awansować, ale żaden z senatorów nie śmiał zakwestionować jej nominacji.

Ukończyła z najwyższą notą Bryn Mawr College, a następnie prawo na Uniwersytecie Stanu Pensylwania, po czym podjęła pracę w jednej z najlepszych nowojorskich kancelarii prawniczych.

Po serii awantur z zarządem o to, jak długo kobieta musi czekać, aby zostać współnikiem, i po wytoczeniu sprawy, która została załatwiona ugodą poza sądową, Dexter przyjęła propozycję pracy w CIA.

Zacząła jako urzędniczka w wydziale operacyjnym, a dochrapała się stanowiska zastępczyni dyrektora Agencji.

W tym czasie przysporzyła sobie więcej wrogów niż przyjaciół, lecz z biegiem lat gdzieś się oni podziwiali, dostawali wymówienie albo przechodzili na wcześniejszą emeryturę. Została dyrektorką tuż po czterdziestce.

"Washington Post" napisała o niej, że zwalczyła wszelkie bariery na drodze awansu, ale bukmacherzy przyjmowali zakłady o to, ile dni się utrzyma.

Później dni zmienili na tygodnie, następnie miesiące.

Teraz zakłady idą o to, czy kadencja Dexter w CIA potrwa dłużej niż rządy J. Edgara Hoovera w FBI.

Już w kilka dni po wprowadzeniu się do Białego Domu Tom Lawrence odkrył, jak daleko Dexter gotowa się posunąć, by go zastopować, gdy wkracza na jej teren.

Kiedy domagał się raportów na tematy delikatne, nieraz czekał tygodniami, a gdy wreszcie pojawiały się na jego biurku, okazywało się, że są długie, rozwlekłe, nudne i nieaktualne.

Kiedy wzywał ją do Białego Domu, aby wytłumaczyła nie wyjaśnione kwestie, głuchoniemy byłby bardziej komunikatywny.

Jeżeli naciskał, grała na zwłokę, niewątpliwie zakładając, że ona pozostanie na swym stanowisku jeszcze długo po wyborach, w wyniku których on straci swoje.

Ale dopiero kiedy zaproponował swego kandydata do Sądu Najwyższego, zobaczył prawdziwie mordercze oblicze Helen Dexter.

Nie minęło kilka dni, a na jego biurku znalazły się materiały czarno na białym dowodzące, że nominacja ta jest nie do przyjęcia.

Lawrence obstawał jednak przy kandydacie, który był jednym z jego najstarszych przyjaciół. Znalaziono go powieszzonego w jego domu w przeddzień objęcia urzędu.

Lawrence potem się dowiedział, że wszystkim członkom senackiej Komisji Kwalifikacyjnej dostarczono poufne teczki, ale nigdy nie zdołał udowodnić, kto był za to odpowiedzialny.

Andy Lloyd kilkakrotnie go ostrzegał, że gdyby kiedyś chciał sunąć Dexter, musiałby zdobyć dowód zrodzajutych, które przekonałyby ludzi, iż matka Teresa ma tajne konto bankowe w Szwajcarii, regularnie zasilane przez przestępczy syndykat.

Lawrence przyznawał Lloydowi rację.

Teraz jednak czuł, że gdyby zdołał dowieść, iż CIA była zamieszana w zabójstwo Guzmána i nie raczyła go nawet o tym poinformować, Dexter musiałaby w ciągu kilku dni pożegnać się ze swym stanowiskiem.

Podszedł do krzesła i nacisnął guzik na biurku, żeby Andy mógł się przysłuchiwać rozmowie lub odsłuchać ją z taśmy wieczorem.

Lawrence zdawał sobie sprawę, że Deuter przejrzała jego zamiary i podejrzewał, że jej legendarna torebka, z którą nigdy się nie rozstawała, bynajmniej nie zawiera szminki, perfum i puderniczki, kojarzących się z płcią piękną, a każde zamienione przez nich słowo zostało już nagrane.

Niemniej zależało mu na zarejestrowaniu jej wersji wypadków.

- Skoro jest pani tak dobrze poinformowana - powiedział prezydent siadając -to może zechciałaby pani bardziej szczegółowo opisać, co się stało w sobotę w Bogocie?

Helen Dexter, ignorując jego sarkastyczny ton, podniosła teczkę, którą trzymała na kolanach.

Biała okładka, na której widniało godło CIA, opatrzona była napisem: "Wyłącznie do wiadomości prezydenta".

Lawrence chciałby wiedzieć, ile Dexter po drugiej stronie rzeki ma ukrytych teczek z napisem: "Wyłącznie do wiadomości dyrektorki".

- Jak zgodnie twierdzi kilka źródeł, sprawcą był samotny zabójca - przeczytała, otworzywszy teczkę.

-Proszę wymienić jedno z tych źródeł -warknął prezydent.

- Nasz attache kulturalny w Bogocie - odparła pani dyrektor.

Lawrence uniósł brwi.

Połowę attaches kulturalnych w ambasadach amerykańskich na świecie umieściła tam CIA po to, aby bezpośrednio składali meldunki Helen Dexter w Langley, bez konsultacji z ambasadorem, nie mówiąc o Departamencie Stanu.

Większość z nich byłaby przekonana, że suita "Dziadek do orzechów to danie w ekskluzywnej restauracji.

-Więc kto jego zdaniem wynajął zabójcę?

- zapytał z westchnieniem.

Dexter przewróciła kilka kartek, wyjęła fotografię i posunęła ją po blacie biurka.

Prezydent spojrział na wizerunek dobrze ubranego, zamożnie wyglądającego mężczyzny w średnim wieku.

- Któż to jest?

-Carlos Velez.

Kieruje drugim co do wielkości kartelem narkotykowym w Kolumbii.

Oczywiście Guzman był szefem największego.

- Czy Velez został oskarżony?

-Niestety, zabitogo kilka godzin po uzyskaniu przez policję nakazu aresztowania.

- Co za dogodny zbieg okoliczności!

Dexter nie oblała się rumieńcem.

To niemożliwe w jej przypadku, pomyślał Lawrence.

Żeby się rumienić, trzeba mieć w żyłach krew.

- A jak się nazywa ten samotny zabójca?

Czy też zginął zaraz po wydaniu nakazu.

- Nie, panie prezydencie, jest zdrow i cały - równie sarkastycznym tonem powiedziała dyrektorka CIA.

- Nazywa się Dirk van Rensberg.

- Co o nim wiadomo?

- spytał prezydent.

- To Południowoafrykańczyk.

Do niedawna mieszkał w Durbanie.

- Do niedawna?

-Tak.

Tuż po zabiciu Guzmana zapadł się pod ziemię.

- To chyba nie było specjalnie trudne, skoro nigdy przedtem nie wychynął na jej powierzchnię - zauważył prezydent.

Czekał na reakcję Dexter, ale ona zachowała obojętność.

- Czy Kolumbijczycy zgadzają się z pani wersją wydarzeń, czy też nasz attache kulturalny jest pani jedynym źródłem informacji?

-spytął po chwili.

- Nie, panie prezydencie.

Większość danych otrzymaliśmy od szefa policji w Bogocie.

Aresztował już jednego z pomocników Rensberga, który był zatrudniony jako kelner w hotelu El Belvedere, skąd oddano strzał.

Policja zatrzymała go na korytarzu kilka chwil potem, jak pomógł zabójcy uciec windą towarową.

- A czy coś wiadomo o dalszych poczynaniach van Rensberga?

- Wydaje się, że wsiadł do samolotu do Limy jako Alistair Douglas, a potem, posługując się tym samym paszportem, odleciał do Buenos Aires.

Później zgubiliśmy ślad.

- Wątpię, abyście go kiedyś odnaleźli.

-Och, nie byłabym taką pesymistką, panie prezydencie – rzekła Dexter, nie zważając na ton Lawrence'a.

- Wynajęci zabójcy bywa ją samotnikami, którzy często znikają na parę miesięcy po wykonaniu zadania.

Kiedy poczują, że sieć się rozluźniła, pojawiają się znów.

- Zapewniam panią, że dopilnuję, by w tym przypadku sieć pozostała zaciśnięta.

Możliwe, że następnym razem, kiedy się spotkamy, przedstawię pani własny raport.

- Chętnie go przeczytam- rzekła Dexter tonem krnąbrnego ucznia, umyślnie drażniącego się z nauczycielem.

Prezydent nacisnął guzik pod blatem biurka.

Po chwili ktoś zapukał i do pokoju wszedł Andy Lloyd.

- Panie prezydencie, za kilka minut ma pan spotkanie z senatorem Bedellem - oznajmił nie zważając na obecność Dexter.

-Zatem pożegnaj pana, panie prezydencie - powiedziała Dexter podnosząc się z krzesła.

Położyła teczkę na biurku, zabrała torebkę i wyszła z pokoju.

Prezydent nie odzywał się, póki za dyrektorką CIA nie zamknęły się drzwi.

Potem zwrócił się do Lloyda.

- Nie wierzę w ani jedno jej słowo- mruknął odkładając teczkę na tacę z korespondencją wychodzącą.

Lloyd zanotował sobie w pamięci, aby ją stamtąd zabrać, jak tylko prezydent wyjdzie z gabinetu.

- Możemy co najwyżej mieć nadzieję, że napędziliśmy jej strachu i że nie zaryzykuje drugiej takiej operacji, dopóki będę w Białym Domu.

-Pamiętając, jak potraktowała pana, kiedy był pan senatorem, wcale nie byłbym tego pewny.

- Skoro nie mogę wynająć zabójcy, żeby się jej pozbyć, co byś mi radził?

-Moim zdaniem są tylko dwie możliwości: albo ją pan zwolni i ściągnie sobie na głowę przesłuchania w Senacie, albo pogodzi się pan z porażką, zaakceptuje jej wersję wydarzeń w Bogocie i powetuje to sobie następnym razem.

- Jest jeszcze trzecia- cicho powiedział prezydent.

Lloyd słuchał uważnie, ani razu nie przerywając swemu zwierzchnikowi.

Okazało się, że prezydent poważnie się zastanawia, w jaki sposób usunąć Helen Dexterze stanowiska szefa CIA.

Connor otrząsnął się z zadumy i spojrzął na tablicę informującą o nadejściu bagażu. Karuzela zaczynała wyrzucać bagaże z jego lotu; pasażerowie odbierali pierwsze walizki.

Ciągle myślał ze smutkiem, że nie był przy narodzinach córki. Chociaż wątpił w sens polityki Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, podzielał patriotyzm swej rodziny.

Zaciągnął się na ochotnik do wojska i czekając, aż Maggie zrobi dyplom, ukończył szkołę oficerską.

Zdążyli tylko wziąć ślub i spędzić ze sobą cztery dni, po czym podporucznik Fitzgerald w lipcu 1972 roku wyruszył do Wietnamu.

Te dwa lata w Wietnamie pamiętał jak przez mgłę.

Awans do stopnia porucznika, pojmanie przez Wietkong, ucieczka i uratowanie życia innemu człowiekowi- wydawało się to tak odległe, jakby nigdy się nie zdarzyło.

Pięć miesięcy po powrocie do kraju prezydent udekorował go najwyższym amerykańskim odznaczeniem wojskowym, Medal of Honor, ale po dwóch latach spędzonych w Wietnamie Fitzgeraldowi wystarczyło do szczęścia, że żyje i jest znowu z kobietą, którą kocha.

A gdy ujrział Tarę, zakochał się drugi raz.

Kilka dni po powrocie do Stanów Connor zaczął się rozglądać za pracą.

Rozmawiał już w sprawie zatrudnienia w chicagowskim biurze terenowym CIA, kiedy pojawił się znieca kapitan Jackson, dowódca plutonu, w którym służył, i zaproponował mu, aby wstąpił do jednostki specjalnej z bazą w Waszyngtonie.

Został ostrzeżony, że jeśli przyłączy się do elitarnej drużyny Jacksona, z nikim, nawet z własną żoną, nie będzie mógł mówić o niektórych aspektach swej pracy.

Gdy się dowiedział, czego się od niego oczekuje, oznajmił Jacksonowi, że musi mieć trochę czasu do namysłu.

Omówił sprawę z ojcem Grahamem, księdzem rodziny, który po prostu mu poradził:

"Nigdy nie rób nic, co kłóciłoby się z twoim poczuciem honoru, nawet jeśli miałyby to być dla dobra twego kraju".

Kiedy Maggie zaproponowano pracę w Biurze Przyjęć Uniwersytetu Georgetown, Connor pojął, jak bardzo Jacksonowi zależy, aby go zwerbować.

Następnego dnia napisał do swego dawnego dowódcy i powiadomił go, że z radością podejmie pracę w "Ubezpieczeniach Maryland" na stażu menadżerskim.

Tak się zaczęła gra pozorów.

Connor, Maggie i Tara przeprowadzili się do Georgetown kilka tygodni później.

Znaleźli mały dom przy Avon Place.

Na zadatek wystarczyły pieniądze, które Maggie uszłała na rachunku bankowym Connora z jego żołdu, nie wierząc, że mąż zginął.

Jedynie, co mąciło radość tych pierwszych dni w Waszyngtonie, to dwa poronienia Maggie i przestroga ginekologa, że powinni przestać na jednym dziecku.

Dopiero po trzecim poronieniu Maggie wzięła sobie do serca radę doktora,

Mimo że obecnie byli już małżeństwem od trzydziestu lat, Maggie wciąż podniecała Connora - wystarczyło, że się uśmiechnęła i przeciągnęła mu ręką po grzbiecie.

Wiedział, że gdy po odprawie celnej znajdzie się w hali przylotów i ją zobaczy, to będzie tak, jakby pierwszy raz.

Uśmiechnął się na myśl, że przybyła na lotnisko conajmniej godzinę przed planowanym przylotem samolotu.

Podjechała jego walizka.

Schwycił ją i skierował się do wyjścia.

Wybrał zielone przejście, dla tych, którzy nie mają nic do oclenia;

nawet gdyby sprawdzono mu bagaż, celnika nie zainteresowałaby drewniana gazela z wyraźnym nadrukiem pod spodem: "Madę In South Africa".

Znalazłszy się w hali przylotów, natychmiast wyłowił wzrokiem żonę i córkę, stojące w tłumie.

Przypieszył kroku i uśmiechnął się do kobiety, którą wielbił.

Dlaczego w ogóle chciała na niego spojrzeć, jak to się stało, że zgodziła się zostać jego żoną? Uśmiechnął się jeszcze szerzej, biorąc ją w ramiona.

- Jak się masz, kochanie?

- zapytał.

- Zawsze odżywam, kiedy wracasz cało po wykonaniu zadania -szepnęła.

Próbował zignorować słówko "cało" wypuszczając ją z objęć i zwracając się do drugiej kobiety swego życia.

Trochę wyższa wersja oryginału, z takimi samymi długimi rudymi włosami i świetlistymi, zielonymi oczami, lecz o spokojniejszym temperamencie.

Jedynе dziecko Connora z takim rozmachem pocałowało go w policzek, że poczuł się o dziesięć lat młodszy.

Chrzcząc Tarę, ojciec Graham prosił Wszechmocnego, żeby dał dziecku urodę Maggie i rozum. Maggie.

Gdy Tara podrosła, jej stopnie w liceum i spojrzenia młodych mężczyzn dowiodły, że ojciec Graham jest nie tylko księdzem, ale i prorokiem.

Connor prędko przestał dawać odpór strumieniowi wielbicieli, pukających do drzwi ich domku w Georgetown czy trudzić się odbieraniem telefonów: nieodmiennie był to kolejny jękający się młodzian, który chciał się umówić z jego córką.

- Co słysząc w Afryce Południowej?

- zagadnęła Maggie, kiedy szli spleceni ramionami.

- Po śmierci Mandel i zrobiło się tam jeszcze niebezpieczniej -rzekł Connor.

Przy lunchu w Kapsztadzie otrzymał od Carla Koetera wyczerpujące informacje o problemach Afryki Południowej i swą wiedzę uzupełnił podczas lotu do Sydney, czytając lokalne gazety z całego tygodnia.

-Przestępczość w większości dużych miast przybrała takie rozmiary, że toleruje się przejazd skrzyżowania przy czerwonym świetle po zapadnięciu zmroku.

Mbeki robi co może, ale chyba będę musiał zalecić, żeby firma ograniczyła inwestycje w tej części świata -przynajmniej dopóki nie opanują wojny domowej.

Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;

Czysta anarchia szaleje nad światem'.

- wyrecytowała z uśmiechem Maggie.

-Yeats chyba nigdy nie by} w Afryce Południowej -rzekł Connor.

Ileż razy chciał wyznać Maggie całą prawdę i wytłumaczyć, dlaczego musiał tyle lat żyć w kłamstwie!

Ale to nie było takie proste.

Ona była jego panią, lecz oni -jego panami i Connor zawsze przestrzegał zasady absolutnego milczenia.

Przez te lata próbował sobie wmówić, że w jej interesie jest nie znać prawdy.

Ale gdy wrywały się jej takie słowa, jak "zadanie" czy "wrócić cało", uświadamiał sobie ,że wiedziała o wiele więcej, niż gotowa była przyznać.

Czyżby mówił przez sen?

Ale już wkrótce nie będzie musiał jej okłamywać.

Maggie jeszcze o tym nie wiedziała, ale misja w Bogocie była jego ostatnią.

Podczas wakacji napomknie o awansie, który będzie o znaczał mniej wyjazdów.

- A jak tam układy?

- zagadnęła Maggie.

- Układy?

A, tak, wszystko się udało zgodnie z planem – rzekł Connor.

Tyle mógł jej powiedzieć.

Zaczął myśleć o czekających go dwóch tygodniach w słońcu.

Przechodząc obok stojaka z gazetami zwrócił uwagę na niewielki tytuł na prawej szpalcie "Sydney Morning Herald":

"Amerykański wiceprezydent jedzie na pogrzeb do Kolumbii".

Maggie uwolniła się z objęć męża, gdy z hali przylotów wyszli na upalne powietrze i skierowali się na parking.

- Gdzie byłeś, kiedy w Kapsztadzie wybuchła bomba?

- spytała Tara.

Koeter nic nie wspomniał o bombie w Kapsztadzie.

Czy kiedyś jeszcze można będzie się odprężyć?

VI

Poleciał kierowcy, żeby go zawiózł do Galerii Narodowej.

Samochód ruszył spod wejścia dla personelu Białego Domu.

Wartownik mundurowego oddziału Secret Service otworzył wzmocnioną metalową bramę i uniósł rękę w powitalnym geście.

Szofer skręcił w ulicę State Place, potem pojechał między Terenem Południowym i Elipsą i koło budynku Departamentu Handlu.

Cztery minuty później samochód zatrzymał się przed wschodnim wejściem do Galerii.

Pasażer szybko przeciął brukowany podjazd i wbiegł po kamiennych schodach.

Na górze obejrzał się, spoglądając z zachwytem na wielką rzeźbę Henry Moore'a, królującą po drugiej stronie placu, i sprawdzając, czy ktoś go nie śledzi.

Nie miał pewności, ale przecież nie był zawodowcem.

W budynku zwrócił się w lewo i wspianymi marmurowymi schodami udał się do sal wystawowych na drugim piętrze, gdzie ew młodości spędzał długie godziny.

W ogromnych salach pełno było dzieci szkolnych, gdyż pora była ranna, a dzień powszedni.

Wszedł do galerii 71 i na widok znajomych dzieł Homera, Bellowa i Hoppera poczuł się swojsko; podobnego uczucia nigdy nie doznawał w Białym Domu.

Przeszedł do galerii 66, żeby jeszcze raz podziwiać Pomnik ku czci Shawa i pięćdziesiątego czwartego Pułku Massachusetts Augusta Saint-Gaudensa.

Kiedy pierwszy raz zobaczył kolosalny naturalnej wielkości fryz, stał przed nim urzeczony przez całą godzinę.

Dzisiaj zatrzymał się tylko na moment.

Ponieważ co chwilę przystawał, dopiero po kwadransie dotarł do rotundy w środkowej części budynku.

Szybko minął posąg Merkurego, zbiegł po schodach, zawrócił przez księgarnię, znów zbiegł po schodach, przemierzył podziemny korytarz i nareszcie dotarł do Wschodniego Skrzydła.

Udał się piętro wyżej, przeszedł pod wielką ruchomą konstrukcją Caldera podwieszoną pod sufitem, następnie przez obrotowe drzwi wydostał się na zewnątrz na brukowany podjazd.

Teraz był pewien, że nikt za nim nie idzie.

Wskoczył do pierwszej z czekających taksówek.

Wyjrzał przez okno i poprzeciwnej stronie placu zobaczył swój samochód i kierowcę.

- Do restauracji na New York Avenue.

Taksówka skręciła w lewo w Pennsylvania Avenue, a potem skierowała się na północ Szóstą Ulicą.

Usiłował jakoś logicznie uporządkować myśli, wdzięczny taksówkarzowi, że nie prezentuje mu swych opinii o rządzie, a zwłaszcza o prezydencie.

Skręcili w lewo na New York Avenue i taksówka zaraz zwolniła. Podał taksówkarzowi banknot dziesięciodolarowy, zanim samochód stanął, po czym wysiadł i zatrzasnął drzwiczki nie czekając na resztę.

Przeszedł pod czerwono-biało-zieloną markizą, która nie pozostawiała wątpliwości co do pochodzenia właściciela, i pchnął drzwi.

Jego wzrok dopiero po chwili przystosował się do światła, a raczej mroku.

Z ulgą stwierdził, że sala jest pusta i tylko w głębi przy małym stoliku siedzi samotna postać z na pół opróżnioną szklanką soku pomidorowego w ręku.

Świeżo odprasowany garnitur nie zdradzał, że mężczyzna jest bezrobotny.

Wprawdzie nadal sylwetkę miał atletyczną, lecz przedwczesna łysina sprawiała, że wyglądał starszej, niż podano w jego dossier.

Ich spojrzenia się spotkały i mężczyzna skinął głową.

Przybysz podszedł do niego i usiadł naprzeciwko.

Nazywam się Andy.

- zaczął.

- Wiem, kim pan jest, panie Lloyd, natomiast jest dla mnie zagadką, dlaczego szef prezydenckiego personelu chce się ze mną zobaczyć - rzekł Chris Jackson.

- Jaka jest pańska specjalność?

- zapytał Stuart McKenzie.

Maggie zerknęła na męża, pewna, że takie wścibstwo nie będzie mu w smak.

Connor po myślał, że Tara nie przestrzegła najnowszego adoratora, żeby nie poruszał tematu pracy ojca.

Do tej chwili rozkoszował się lunchem.

Rybę złowiono chyba zaledwie kilka godzin wcześniej, nim zasiedli przy narożnym stoliku w restauracyjce na plaży w Cronulli.

Owoce nie miały smaku konserwantów ani nie trąciły puszką, a piwo, cóż, chciałby móc je pić w Waszyngtonie.

Pociągnął łyk kawy, rozparł się wygodnie i obserwował surfujących z odległości niespełna stu metrów - żałował, że nie odkrył tego sportu dwadzieścia lat wcześniej.

Stuart był zdziwiony formą ojca Tary, gdy ten pierwszy raz próbował się ślizgać na desce surfingowej.

Connor oznajmił mu, że ćwiczy dwa, trzy razy tygodniowo, choć byłby bliższy prawdy, gdyby powiedział, że dwa, trzy razy dziennie.

Choć Connor nie uznałby nikogo za odpowiednią partię dla swej córki, musiał przyznać, że przez kilka ostatnich dni polubił towarzystwo młodego prawnika.

- Pracuję w ubezpieczeniach - odparł, świadom, że córka powiedziała już tyle Stuartowi.

- Tak, Tara mówiła, że jest pan na kierowniczym stanowisku, ale nie wdawała się w szczegóły.

Connor się uśmiechnął.

- To dlatego, że zajmuję się porwaniami i wymuszaniem okupów i sprawy moich klientów traktuję z taką samą dyskrecją, jaka obowiązuje w pańskim zawodzie.

- Ciekaw był, czy to powstrzyma młodego Australijczyka od drażenia tego tematu.

Nie powstrzymało.

- To musi być o wiele ciekawsze niż większość pospolitych spraw, w których ludzie szukają mojej rady - rzekł Stuart, próbując pociągnąć Connora za język.

- Dziewięćdziesiąt procent tego, co robię, to nuda i sztampa - odparł Connor.

- Podejrzewam, że mam więcej roboty papierkowej niż pan.

- Aleja nie podróżuję do Afryki Południowej.

Tara zerknęła z niepokojem na ojca; wiedziała, że nie będzie rad, iż dowiedział się o tym ktoś prawie obcy.

Ale Connor nie okazał cienia irytacji.

- Tak, muszę przyznać, że moja praca ma pewne zalety.

-Czy byłoby naruszeniem tajemnicy klienta, gdyby opowiedział mi pan o typowym przypadku?

Maggie chciała wtrącić kwestię, do której nie raz uciekała się już nieraz, gdy Connor ją uprzedził.

- Wśród klientów mojej firmy są korporacje o rozległych interesach za granicą.

-Dlaczego ci klienci nie korzystają z usług towarzystw ubezpieczeniowych w danym kraju?

Przecież u siebie na miejscu muszą mieć lepsze rozeznanie.

- Con - wtrąciła się Maggie.

- Chyba cię za mocno chwyciło.

Może byśmy lepiej wrócili do hotelu, zanim się spieczesz na raka.

Connora rozśmieszyła nie przekonująca interwencja żony, zwłaszcza że od godziny miał na głowie kapelusz, który kazała mu włożyć.

- To nigdy nie jest takie proste – odpowiedział młodemu prawnikowi.

- Weźmy dla przykładu taką firmę jak Coca Cola – której zresztą nie reprezentujemy.

Mają na całym świecie biura, zatrudniające dziesiątki osób.

W każdym kraju mają przedstawicieli dyirekcji ,w większości z rodzinami.

Maggie nie mogła uwierzyć, że Connor tak dalece dał się wciągnąć w rozmowę. Prędko zbliżała się ona do punktu, w którym wszelkie dalsze indagacje napotykały mur milczenia.

- Ale my w Sydney mamy odpowiednio wykwalifikowanych ludzi do prowadzenia takich spraw - zauważył Stuart, dolewając Connorowi kawy.

- W końcu porwania dla okupu nie są rzeczą nie znaną także w Australii.

- Dziękuję – rzekł Connor.

Pociągnął łyk kawy, zastanawiając się nad tym stwierdzeniem.

Stuart nie pozwalał się zbić z tropu - niczym wytrawny oskarżyciel cierpliwie czekał, aż świadek w pewnym momencie niebacznie się odsłoni.

- Prawdę mówiąc, wzywa się mnie tylko wtedy, gdy są komplikacje.

-Komplikacje?

- Powiedzmy, że na przykład, jakaś firma prowadzi działalność na dużą skalę w kraju, gdzie przestępczość jest powszechna, a porwania dla okupu częste.

Zostaje uprowadzony prezes tej firmy – lub raczej jego żona, gdyż nie jest aż tak dobrze pilnowana.

- I wtedy pan wkracza?

-Niekoniecznie.

W końcu miejscowa policja może znać się narzeczy i potrafi się uporać z takimi problemami, poza tym nie wiele jest firm, które by lubiły ingerencję z zewnątrz, szczególnie ze Stanów Zjednoczonych.

Często tylko przylatuję do stolicy i prowadzę dochodzenie na własną rękę.

Jeśli byłem wcześniej w tej części świata i nawiązałem stosunki z miejscową policją, to zawiadamiam o swej obecności, ale czekam, żeby poprosili mnie o pomoc.

- A jeżeli nie poproszą?

- spytała Tara.

Stuart zdziwił się, że dziewczyna nigdy przedtem nie spytała oto ojca.

- Wtedy muszę prowadzić sprawę sam, co jest o wiele bardziej ryzykowne.

-Ale skoro policja nie robi postępów, to dlaczego nie miałyby zwrócić się do pana o pomoc?

Przecież musi zdawać sobie sprawę z pańskich szczególnych umiejętności?

- spytał Stuart.

- Ponieważ wiadomo, że sama bywa zamieszana na niektórych szczeblach.

-Nie rozumiem – powiedziała Tara.

- Może się zdarzyć, że miejscowi policjanci biorą część okupu -podsunął Stuart - więc nie chcą, żeby ktoś z zewnątrz się wtrącał.

Zresztą mogą uważać, że firmę zagraniczną stać na taki wydatek.

Connor kiwnął głową.

Teraz pojmował, dlaczego Stuart dostał pracę w jednej z najznakomitszych kancelarii prawniczych w Sydney, specjalizujących się w prawie karnym.

- I co pan robi, kiedy pan uzna, że miejscowa policja bierze swoją dolę?

- spytał Stuart.

Tara zaczęła żałować, że nie ostrzegła Stuarta, by nie posuwał się za daleko, chociaż szybko doszła do wniosku, że pojęcie to jest obce Australijczykom.

- Wtedy trzeba pomyśleć o wejściu w układy z porywaczami, bo jeśli klient zostanie zabity, to z pewnością śledztwo nie będzie wnikliwe i mało prawdopodobne, aby schwytano porywaczy.

-A jeśli zdecyduje się pan na negocjacje, od czego pan zacznie?

- Hm, założmy, że porywacz żąda miliona dolarów - oni zawsze żądają okrągłych sum, zwykle w dolarach amerykańskich.

Moim głównym celem, jak każdego zawodowego negocjatora, jest zawarcie jak najkorzystniejszego układu.

Najważniejsze zaś jest, by pracownikowi firmy włos nie spadł z głowy.

Ale jeżeli uznam że mego klienta można uwolnić bez narażania firmy na jakiegokolwiek wydatki, nigdy nie przystępuję do negocjacji.

Im więcej płacisz, tym bardziej prawdopodobne, że przestępca po kilku miesiącach znowu kogoś porwie czasem tę samą osobę.

- Kiedy dochodzi pan do etapu negocjacji?

-Osiągam go w połowie przypadków.

Okazuje się wtedy, czy mam do czynienia z zawodowcami.

Im dłużej przeciąga się układy, tym pewniejsze, że amatorzy zaczną się denerwować, iż zostaną złapani.

A często po kilku dniach nabierają sympatii do osoby, którą porwali, co im utrudnia realizację pierwotnego planu.

Na przykład podczas oblężenia ambasady peruwiańskiej skończyło się na turnieju szachowym i terroryści wygrali.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem i Maggie trochę się odprężyła.

- Kto wysyła uszy pocztą?

Zawodowcy czy amatorzy?

- spytał krzywiąc się Stuart.

- Na szczęście tonie ja reprezentowałem firmę, która prowadziła układy z porywaczami wnuka Getty'ego.

Ale nawet kiedy mam do czynienia z profesjonalistą, to ja dysponuję atutami.

- Connor nie zauważył, że żona i córka nie tknęły kawy.

- Proszę mówić dalej - rzekł Stuart.

-Większość porwań to przedsięwzięcia dokonywane po raz pierwszy i chociaż prawie zawsze sprawcami są zawodowi przestępcy, mają niewielkie lub żadne doświadczenie w prowadzeniu układów w takiej sytuacji.

Zawodowcy są prawie zawsze zbyt pewni siebie.

Wydaje im się, że ze wszystkim sobie poradzą.

Jak adwokat, który sobie wyobraża, że może prowadzić restaurację, gdyż trzy razy dziennie jada posiłki.

- Więc na co się godzą, gdy zrozumieją, że nie dostaną mitycznego miliona?

- spytał z uśmiechem Stuart.

- Mogę tylko mówić na podstawie własnego doświadczenia - rzekł Connor, - Na ogół kończy się na tym, że wręczam ćwierć żądanej sumy - w używanych, łatwych do zidentyfikowania banknotach.

Kilka razy musiałem wypłacić aż połowę.

Tylko raz zgodziłem się przekazać całą kwotę.

Ale na moją obronę, panie mecenasie, dodam, że w tym szczególnym przypadku nawet premierna tej wyspie brał swoją dolę.

- Ilu porywaczom uchodzi ten proceder na sucho?

-Z przypadków, którymi zajmowałem się w ciągu ostatnich siedemnastu lat, tylko trzem, co wynosi około ośmiu procent.

- Niezły wynik.

A ilu klientów pan stracił?

Wkraczali teraz na teren, na który nawet Maggie nigdy nie śmiała się zapuścić.

Zaczęła się nerwowo kręcić na krześle.

- Jeżeli stracisz klienta, firma udzieli ci bezwzględного poparcia - rzekł Connor.

Chwilę milczał.

- Ale nie pozwoli nikomu potknąć się drugi raz.

Maggie wstała, zwróciła się do Connora i powiedziała:

- Idę popływać.

Czy ktoś pójdzie ze mną?

- Janie, ale mam ochotę na jeszcze jedną rundę na desce - oznajmiła Tara, wspomagając matkę, która chciała położyć kres indagacjom.

-Ile razy przewróciłaś się dziś rano?

- spytał Connor, potwierdzając, że on też ma dość.

- Dziesięć albo więcej - odparła Tara.

- Ten upadek był najgorszy - z dumą pokazała wielki siniec na prawym udzie.

- Dlaczego pozwalasz jej tak szarżować, Stuarcie?

- spytała Maggie, siadając z powrotem, żeby obejrzeć siniec.

- Żeby mieć szansę ją ratować i udawać bohatera.

-Uważaj, bo za kilka dni ona się podszkoli i ciebie będzie ratować - powiedział ze śmiechem Connor.

- Też się tego spodziewam - odparł Stuart.

- Ale wtedy zamierzam zapoznać ją ze skokami z liną.

Maggie zbladła jak papier i rzuciła szybkie spojrzenie Connorowi.

- Niech się pani nie martwi - pospiesznie dodał Stuart.

- Do tej pory wszyscy państwo będziecie już w Ameryce.

-Zadne z nich wolało o tym nie myśleć.

Tara chwyciła Stuarta za rękę.

- Chodźmy, Supermanie.

Poszukajmy następnej fali, żebyś mógł mnie ratować.

Stuart poderwał się.

- Gdyby kiedyś się okazało - zwrócił się do Connora - że porwano pańską córkę, uprzedzam, że nie zgodzę się na żadne układy i nie zażądam okupu - ani w dolarach amerykańskich, ani w żadnej innej walucie.

Tara oblała się rumieńcem.

Pociągnęła Stuarta i pobiegli plażą ku olbrzymim falom.

- I chyba pierwszy raz nie będę próbował negocjować – zauważył Connor i przeciągnął się.

-To miły chłopiec - powiedziała Maggie, biorąc go za rękę.

-Szkoda tylko, że nie Irlandczyk.

- Byłoby gorzej - powiedział Connor, wstając z krzesła – gdyby był Anglikiem.

Maggie uśmiechała się, gdy szli ku rozbijającym się o brzeg falom.

- Wiesz - powiedziała - ona wróciła dopiero o piątej rano.

-Nie mów mi, że czuwasz przez całą noc, kiedy twoja córka idzie na randkę – zaśmiał się Connor.

- Connorze Fitzgerald, mów ciszej i nie zapominaj, że to nasze jedyne dziecko.

-Maggie, ona nie jest już dzieckiem.

To dorosła kobieta.

I za niecały rok będzie miała tytuł doktora.

- A ty, oczywiście, o nią się nie troszczysz.

-Przecież wiesz, że tak - powiedział Connor, biorąc ją w ramiona.

- Ale skoro sypia ze Stuartem, to jej sprawa.

Mogłaby trafić gorzej.

- Ja nie spałam z tobą przed ślubem i nawet, kiedy mi powiedzieli, że zaginęłaś w Wietnamie, nie spojrzałam na innego mężczyznę.

I to nie z powodu braku chętnych.

- Wiem, kochanie - rzekł Connor.

- Ale wtedy już wiedziałaś, że jestem niezastąpiony.

Wypuścił żonę z objęć i pobiegł ku falom, trzymając się od niej nabezpieczoną odległość.

Kiedy go w końcu dogoniła, nie mogła złapać tchu.

- Declan O'Casey oświadczył mi się dużo wcześniej, niż.

-Wiem, kochanie - odparł patrząc w jej zielone oczy i odgarniając jej z czoła kosmyk włosów.

- I nie ma dnia, żebym nie dziękował Bogu za to, że na mnie czekałaś.

To jedyne, co mnie trzymało przy życiu, kiedy byłem w niewoli w Wietnamie.

To i myśl, że zobaczę Tarę.

Słowa Connora napęłniły Maggie smutkiem, przypominając jej o przeżytych poronieniach i o tym, że nie mogła mieć więcej dzieci.

Wychowała się w licznej rodzinie i marzyła o całym stadku.

Nigdy nie zgodziła się z opinią swej matki, że to woła boska.

Kiedy Connor był w Wietnamie, spędziła z Tarą wiele szczęśliwych chwil.

Ale gdy wrócił, mała despotka z dnia nadziei przelała na niego swe uczucia i chociaż Maggie łączyły z córką serdeczne więzi, wiedziała, że nigdy nie będą one tak bliskie, jak między Tarą i Connorem.

Kiedy Connor podjął staż menadżerski w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Maryland, zaskoczył Maggie.

Zawsze myślała, że wzorem ojca wstąpi do instytucji zajmującej się ochroną porządku prawnego.

Ale potem Connor jej wyjawiał, gdzie w rzeczywistości będzie pracował.

Bez wdawania się w szczegóły poinformował ją o tym, kto jest jego chlebodawcą i coto znaczy być agentem najwyższego stopnia utajnienia.

Przez lata lojalnie strzegła jego sekretu, chociaż czasem krępowało ją, że nie może porozmawiać z przyjaciółmi i znajomymi o tym, czym zajmuje się mąż.

Jednak uznała, że to drobna niedogodność w porównaniu z losem wielu żon, które musiały wysłuchiwać niekończących się tyrad mężów o ich pracy.

Tylko uboczne zajęcia woleli utrzymać w tajemnicy.

Pragnęła, aby pewnego dnia jej córka spotkała kogoś, kto będzie czekał całą noc na parkowej ławce tylko po to, żeby zobaczyć, jak zaciąga zasłonę.

VII

Jackson zapalił papierosa i uważnie wysłuchał każdego słowa człowieka z Białego Domu.

Nie przerwał mu ani razu.

Lloyd wreszcie skończył, pociągnął łyk stojącej przednim wody mineralnej i czekał na pierwsze pytanie byłego zastępcy dyrektora CIA.

- Czy może mi pan powiedzieć - spytał Jackson, zdusiwszy papierosa - dlaczego uznał pan, że nadaję się do tego zadania?

Lloyd nie był zaskoczony.

Z góry postanowił, że jeśli Jackson o to go spyta, powie mu prawdę.

- Wiemy, że ustąpił pan ze swego stanowiska w CIA z powodu.

różnicy zdań - zaakcentował te słowa - z Helen Dexter, mimo że pańska przeszłość w Agencji była wzorowa i że uważano pana za jej oczywistego następcę.

Ale od czasu rezygnacji, z powodów, które w tym świetle zdają się dziwaczne, nie może pan, o ile wiem, znaleźć pracy godnej pańskich kwalifikacji.

Podejrzewamy, że to sprawka Dexter.

- Wystarczy jeden telefon - rzekł Jackson - naturalnie nieoficjalny - żeby człowiek stracił prawie pewną pracę.

Zawsze wystrzegam się mówienia źle o żyjących, ale dla Helen Dexter chętnie zrobię wyjątek.

- Zapalił następnego papierosa.

-Widzi pan, Dexter uważa, że Tom Lawrence wcale nie zajmuje najważniejszego stanowiska w Ameryce.

To ona jest prawdziwym obrońcą wiary, ostoją narodu, a obieralni politycy są według niej tylko przejściową niedogodnością, która wcześniej czy później zostanie usunięta przez wyborców.

- Prezydentowi nieraz dawano to do zrozumienia - rzekł ze wzburzeniem Lloyd.

-Proszę pana, prezydenci przychodzą i odchodzą.

Idę o zakład, że pański szef, tak jak my wszyscy, jest tylko człowiekiem, może więc pan być pewien, że Dexter ma całą tekę z listą powodów, dlaczego on nie nadaje się na drugą kadencję.

A skoro o tym mówimy, to ma drugą, prawie tak samo grubą, dotyczącą pana.

- Zatem my będziemy musieli gromadzić materiały do naszej teczki.

Nikt lepiej nie nadaje się do tego zadania niż pan.

- Od czego miałbym zacząć?

-Od zbadania, kto jest odpowiedzialny za zabójstwo Ricarda Guzmana w Bogocie w zeszłym miesiącu -odparł Lloyd.

- Mamy powody, by przypuszczać, że CIA była zaangażowana bezpośrednio lub pośrednio.

- Bez wiedzy prezydenta?

- spytał Jackson z niedowierzaniem.

Lloyd potaknął, wyjął z teczki plik dokumentów i podsunął Jacksonowi.

- Niech się panie spieszy - powiedział - bo będzie pan musiał to wszystko zapamiętać.

Jackson zagłębił się w materiałach i zaczął dzielić się spostrzeżeniami, nim doczytał do końca pierwszej strony.

- Jeśli przyjąć, że to był samotny zabójca, zdobycie wiarygodnych informacji będzie właściwie niemożliwe.

Tacy ludzie nie zostawiają adresu kontaktowego.

- Jackson na chwilę zamilkł.

-Z drugiej strony, jeśli sprawcą jest CIA, Dexter ma nad nami przewagę dziesięciu dni.

Prawdopodobnie zatarła już wszelkie ślady, które mogłyby naprowadzić na trop zabójcy - chyba że.

- Chyba że.

- podjął Lloyd.

- Nie jestem jedynym człowiekiem, z którym ta kobieta ma na pieńku.

Możliwe, że na posterunku w Bogocie jest ktoś, kto przerwał.

- Ile mam czasu?

- Nowo obrany prezydent Kolumbii przybędzie z oficjalną wizytą do Waszyngtonu za trzy tygodnie.

Dobrze byłoby, gdybyśmy coś mieli do tej pory.

- Przypominają mi się dawne czasy - rzekł Jackson gasząc papierosa.

- Ale teraz mam tę przyjemność, że Deuter stoi po przeciwnej stronie.

- Zapalił następnego papierosa.

- Dla kogo będę pracował?

- Oficjalnie jako wolny strzelec, ale nieoficjalnie - dla mnie.

Otrzyma pan pensję takiej samej wysokości, jak pod koniec pracy w Agencji, co miesiąc pieniądze będą wpływały na pański rachunek bankowy, ale z oczywistych powodów pańskie nazwisko nie będzie figurowało w żadnych księgach.

Będę się z panem kontaktował, kiedy tylko.

- Nie, panie Lloyd - przerwał Jackson.

- To ja będę się z panem kontaktował, kiedy będę miał do przekazania coś ważnego.

Dwustronne kontakty podwajają niebezpieczeństwo, że ktoś się na nas natknie.

Potrzebuję tylko niemożliwego do zlokalizowania numeru telefonu.

Lloyd napisał siedem cyfr na serwetce.

- To jest numer aparatu na moim biurku, bezpośredni, omijający nawet moją sekretarkę.

Po północy automat przełącza na aparat przy moim łóżku.

Może pan do mnie dzwonić w dzień i w nocy.

I proszę się nie przejmować różnicą czasu, kiedy będzie pan za granicą, nie przeszkadza mi, kiedy ktoś mnie budzi.

-To dobrze - rzekł Jackson.

- Bo Helen Dexternie śpi chyba nigdy- Czy omówiliśmy wszystko?

-spytał z uśmiechem Lloyd.

- Nie zupełnie - odparł Jackson.

- Kiedy pan będzie wychodził, proszę skrócić w prawo i potem znowu w prawo.

Proszę się nie oglądać i nie zatrzymywać taksówki, póki nie minie pan co najmniej czterech przecznic.

Od tej chwili ma pan myśleć jak Dexter, a niech pan pamięta, że ona tkwi w tym od trzydziestu lat.

Znam tylko jednego człowieka, który jest od niej lepszy.

- Mam nadzieję, że to pan.

-Niestety, nie.

- Proszę mi nie mówić, że on pracuje dla Dexter.

-Chociaż jest moim najbliższym przyjacielem, gdyby Dexter kazała mu mnie zabić, żadne towarzystwo ubezpieczeniowe w mieście nie zaryzykowałoby wydania mi polisy na życie.

Miejmy nadzieję, że nie straciłem całkiem formy przez ostatnie osiem miesięcy, jeśli mam sobie poradzić z nim i z nią.

Wstali z miejsc.

- Żegnam, panie Lloyd - powiedział Jackson, gdy uścisnęli sobie ręce.

- Szkoda, że to nasze pierwsze i ostatnie spotkanie.

- Ale ja myślałem, że postanowiliśmy.

- rzekł Lloyd, spoglądając z niepokojem na swą zdobycz.

- Współpracować, ale nie widywać się.

Widzi pan, dwóch spotkań Dexternie uznałoby za przypadek.

- Będę czekał na wiadomość od pana.

- Lloyd kiwnął głową.

- I niech pan nie odwiedza znowu Galerii Narodowej, chyba zewyłącznie po to, aby podziwiać obrazy.

-Dlaczego?

- spytał Lloyd, marszcząc brwi.

- Bo ten zaspany strażnik w galerii 71 został tam zainstalowany w dniu, kiedy otrzymał pan nominację.

To wszystko jest w pańskich aktach.

Chodzi pan tam trzy razy w tygodniu.

Czy Hopper jest nadal pańskim ulubionym artystą?

Lloydowi zaschło w ustach.

- Czyli że Dexter już wie o naszym spotkaniu?

-Nie – powiedział Jackson.

- Tym razem udało się panu.

Strażnik akurat miał wolne.

Wprawdzie Connor często widywał swoją córkę we łzach, gdy była młodsza – kiedy skaleczyła się w nogę, poczuła się upokorzona albo po prostu nie postawiła na swoim, ale to było całkiem coś innego.

Podczas gdy Tara kurczowo tuliła się do Stuarta, Connor udawał, że przygląda się bestsellerom na stojaku z gazetami i rozmyślał o wakacjach, najprzyjemniejszych, jakie pamiętał.

Przybrał trochę na wadze i prawie opanował surfing, doświadczając przy tym wiele wzlotów i upadków.

Podczas tych dwóch tygodni najpierw polubił Stuarta, potem zaczął darzyć go szacunkiem.

A Maggie przestała przypominać mu każdego ranka, że Tara wieczorem nie wróciła do swego pokoju.

Uznał to za przejaw niechętniej aprobaty.

Connor wziął ze stojaka "Sydney Morning Herald".

Przerzucał gazetę, czytając tylko nagłówki, aż natrafił na dział zatytułowany:

"Wiadomości ze świata".

Zerknął ku Maggie, płacącą za pamiątki, których nigdy nie wystawią na pokaz ani nawet nie dadzą nikomu w prezencie – niewątpliwie trafią w końcu na bożonarodzeniową wyprzedaż ojca Grahama.

Connor pochylił głowę nad gazetą.

"Miażdżące zwycięstwo Herrery w Kolumbii" – głosił tytuł biegnący przez trzy szpalty u dołu strony.

Przeczytało przytłaczającym zwycięstwem Herrery nad kandydatem Partii Narodowej, wysuniętym w ostatniej chwili na miejsce Ricarda Guzmana.

Herrera, jak podawał artykuł, planuje wkrótce odwiedzić Stany Zjednoczone, aby przedyskutować z prezydentem Lawrence'em problemy, stojące obecnie przed Kolumbią. Wśród najważniejszych tematów.

- Jak uważasz, czy to nadawałoby się dla Joan?

Connor spojrzął na żonę, trzymającą wręku rysunek portu Sydney autorstwa Kena Done'a.

- Na mój gust trochę za nowoczesny.

- To będziemy musieli jej coś kupić w samolocie.

- Po raz ostatni wzywa się pasażerów udających się do Los Angeles liniami United Airways, lot osiemset szesnaście – zabrzmiał głos, który odbił się echem w hali dworca lotniczego.

- Wszyscy ci, którzy jeszcze nie znajdują się na pokładzie samolotu, proszeni są o natychmiastowe zgłoszenie się do wyjścia numer dwadzieścia siedem.

Connor i Maggie ruszyli w stronę wielkiej tablicy odlotów, usiłując trzymać się kilka kroków przed córką i Stuartem, którzy jakby przyrosli do siebie.

Po odprawie paszportowej Connor został z tyłu, a Maggie pospieszyła do wyjścia, aby powiedzieć, że za moment nadejdzie dwoje ostatnich pasażerów.

Kiedy Tara wreszcie się zjawiła, Connor położył jej delikatnie rękę na ramieniu i powiedział:

- Wiem, że to cię nie pocieszy, ale twoja matka i ja uważamy, że on jest.

- zawahał się.

- Wiem - wyjąkała wśród łkań.

- Jak tylko wrócę na uczelnię, spytam, czy pozwolą mi dokończyć dysertację na uniwersytecie w Sydney.

Connor zauważył, że żona rozmawia ze stewardesą u wejścia do samolotu.

- Czy ona tak się boi latać?

- szepnęła stewardesa, widząc zapłakaną młodą kobietę.

- Nie.

Tylko musiała zostawić coś, czego nie przepuszczono jej na cle.

Maggie przespała prawie cały czternastogodzinny lot z Sydney do Los Angeles.

Tara nieraz się dziwiła, jak matka to potrafi.

Ona co najwyżej mogła się zdrzemnąć, choćby połknęła nie wiadomo ile pastylek nasennych. Mocno trzymała ojca za rękę.

On się do niej uśmiechał, ale nic nie mówił.

Tara też się uśmiechała.

Odkąd pamiętała, był dla niej najważniejszy w świecie.

Nigdy nie martwiło jej, że nie spotka mężczyzny, który mógłby zająć jego miejsce, raczej ,że jeśli to się stanie, on nie zdoła tego zaakceptować.

A teraz ,kiedy to się zdarzyło, z ulgą odkryła, że może się na nim oprzeć.

To matka stanowiła problem.

Tara wiedziała, że gdyby wszystko miało się potoczyć po myśli matki, nadal byłaby dziewczicą i prawdopodobnie mieszkałaby jeszcze w domu.

Dopiero w jedenastej klasie przestała wierzyć, że jak pocałowało się chłopca, zachodziło się w ciążę.

Koleżanka z klasy dała jej mocno wysłużony egzemplarz "Radości seksu".

Co noc, z kocem naciągniętym na głowę, Tara połykała kolejne stronicie, przyświecając sobie latarką.

Jednak dopiero po ukończeniu szkoły w Stone Ridge straciła dziewictwo ,i w dodatku, jeżeli wszystkie koleżanki mówiły prawdę, jako ostatnia z klasy.

Tara wybrała się razem z rodzicami w od dawna obiecywaną podróż do kraju przodków.

Pokochała Irlandię i jej mieszkańców zaraz gdy tylko wylądowała w Dublinie.

Pierwszego wieczoru, przy kolacji w hotelu, powiedziała ojcu, że nie może zrozumieć, dlaczego tak wielu Irlandczyków wyemigrowało, zamiast zadowolić się życiem w swoim kraju.

Młody kelner, który ich obsługiwał, popatrzył na nią i wyrecytował:

Irlandia zawsze była smutna.

To prawda iście bałamutna.

Radość tu kiedyś była górą

Gdy każdy dzierzył miecz i pióro.

- Walter Savage Landor - powiedziała Maggie.

- Ale czy zna pan następną strofę?

Kelner skłonił się i zaczął:

A gdy Tara wzniosła się tak wysoko.

Tara oblała się rumieńcem.

Connor wybuchnął śmiechem.

Na twarzy kelnera odmalowało się zdziwienie.

- Tak mam na imię - wyjaśniła Tara.

Kelner ponownie się skłonił i sprzątnął ze stołu.

Kiedy ojciec dziewczyny regulował rachunek, a matka odbierała płaszcz, zapytał Tarę, czy chciałyby pójść z nim na drinka do Gallaghery, kiedy skończy pracę.

Tara chętnie się zgodziła.

Przez następne dwie godziny oglądała w swoim pokoju stary film, a tuż po północy wymknęła się na dół.

Pub, o którym mówił Liam, znajdował się w pobliżu, i gdy Tara weszła do środka, zobaczyła ,że chłopak czeka przy barze.

Liam nie zwlekając wtajemniczył ją w uroki guinnessa.

Nie zdziwiła się, kiedy wyznał, że przyjął pracę kelnera na wakacje, a jesienią zaczyna ostatni rok studiów w Trinity College, gdzie specjalizuje się w irlandzkiej poezji.

Natomiast jego zdumiało, że Tara potrafi recytować wiele fragmentów Yeatsa, Joyce'a, Wilde'a i Synge'a.

Dwie godziny później odprowadził ją do pokoju, delikatnie pocałował w usta i zapytał:

- Jak długo będziesz w Dublinie?

- Jeszcze dwa dni - odparła.

-Więc nie traćmy ani jednej chwili.

Kiedy po trzech nocach, podczas których prawie nie zmrużyła oka, Tara odjeżdżała do Kilkenny, miejsca urodzenia Oscara, czuła, że mogłaby coś dopisać do "Radości seksu".

Connor wsunął Liamowi ,który zniósł ich bagaże do wynajętego samochodu, sowity napiwek i wyszeptał podziękowanie, na co Tara zaczerwieniła się jak piwonie.

W drugim roku studiów na Uniwersytecie Stanforda Tara przeżyła romans ze studentem medycyny.

Ale dopiero, kiedy się jej oświadczył, uświadomiła sobie, że nie chce z nim spędzić życia.

Nie musiała czekać roku, aby dojść do zupełnie innego wniosku wobec Stuarta.

Poznali się, gdy na siebie wpadli.

Z jej winy - przecięła mu drogę, gdy spadał ze szczytu olbrzymiej fali.

Obydwoje wyrzuciło w powietrze.

Kiedy pomógł się jej pozbierać, spodziewała się, że ją zwymyśla, na co święcie zasłużyła.

Ale on się uśmiechnął i powiedział:

- Na przyszłość staraj się unikać pasa szybkiego ruchu.

Tara powtórzyła tego popołudnia ten sam manewr, ale tym razem zrobiła to umyślnie i on o tym wiedział.

- Albo zacznę ci dawać lekcje - powiedział ze śmiechem- albo pójdziemy na kawę.

Jeśli nie - następnym razem możemy się spotkać w szpitalu.

Więc co wolisz?

- Najpierw chodźmy na kawę.

Tara miała ochotę iść ze Stuartem do łóżka jeszcze tej nocy, a gdy dziesięć dni później odjeżdżała, żalowała, że kazała mu czekać trzy dni.

Do końca tygodnia.

- Mówi kapitan.

Zaczynamy schodzić do lądowania w Los Angeles.

Maggie nagle się przebudziła, przetarła oczy i uśmiechnęła się do córki.

- Czy zasnąłam?

- zapytała.

- Ale dopiero kiedy samolot wzniósł się w powietrze – odparła Tara.

Odebrali bagaże.

Tara pożegnała się z rodzicami i odeszła, aby odlecieć do San Francisco.

Gdy zniknęła w tłumie przylatujących i odlatujących pasażerów, Connor szepnął do Maggie:

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby zawróciła i wsiadła do pierwszego samolotu do

Sydney.

Maggie skinęła głową.

Udali się w kierunku krajowego portu lotniczego i wsiedli na pokład nocnego samolotu.

Maggie zdążyła zasnąć, zanim skończył się film instruktażowy o środkach bezpieczeństwa w czasie lotu.

Kiedy przemierzali wszerz Stany Zjednoczone, Connor próbował przestać myśleć o Tarze i Stuarcie i skupić się na tym, co ma do zrobienia w Waszyngtonie.

W ciągu trzech miesięcy miał odejść z czynnej służby i wciąż nie wiedział, do jakiego wydziału zostanie przeniesiony.

Ogarniał go strach na myśl, że zaproponują mu pracę w centrali od dziewiątej rano do piątej po południu, polegającą na przekazywaniu młodym agentom doświadczeń w terenie.

Upredzi już Joan, że złoży rezygnację, jeżeli nie znajdzie się nic ciekawszego.

Nie był stworzony na belfra.

W ciągu ubiegłego roku napomykano o paru ważnych stanowiskach, które zamierzano mu zaproponować, ale to było, zanim jego szef zrezygnował bez wyjaśnienia.

Mimo dwudziestu siedmiu lat służby i kilku pochwał Connor zdawał sobie sprawę, że teraz, gdy Jacksona nie ma w Firmie, jego przyszłość wcale nie przedstawia się tak różowo, jak sobie wyobrażał.

VIII

- Czy jesteś pewien, że Jacksonowi można zaufać?

-Nie, panie prezydencie.

Ale jednego jestem pewien: Jackson nie znosi - powtarzam, nie znosi - Helen Dexter, tak samo jak pan.

- To pierwszorzędna rekomendacja – powiedział prezydent.

-Czym jeszcze kierowałeś się przy jego wyborze?

Bo jeżeli nienawiść do Deuteru znać za główne kryterium, to znaleźlibyśmy sporo kandydatów na tę posadę.

- On ma też inne zalety.

Jako oficer walczył w Wietnamie, był szefem kontrwywiadu, cieszył się doskonałą opinią jako wicedyrektor CIA.

- To dlaczego nagle zrezygnował, skoro miał przed sobą tak obiecującą karierę?

-Pewno Deuter uznała, że zbyt obiecującą i że Jackson może być poważnym konkurentem do jej stanowiska.

- Gdyby potrafił dowieść, że to ona wydała rozkaz zabicia Ricarda Guzmana, mógłby jeszcze nim zostać.

Andy, wygląda na to, że wybrałeś najlepszego człowieka do tego zadania.

- Jackson mi mówił, że jest jeden lepszy.

-To go też zwerbujemy -powiedział prezydent.

- Wpadłem na taki sam pomysł.

Ale okazało się, że on już pracuje dla Dexter.

- Hm, przynajmniej nie będzie wiedział, że Jackson pracuje dla nas.

Co jeszcze Jackson miał do powiedzenia?

Lloyd otworzył teczkę i zrelacjonował prezydentowi rozmowę z byłym wicedyrektorem CIA.

- Więc mówisz, że mam siedzieć beczynn timer i kręcić młynka palcami ,czekając aż Jackson coś wymyśli?

-Takie postawił warunki.

Ale mam wrażenie, że Jackson nie jest człowiekiem, który by siedział beczynn timer i kręcił młynka.

- Lepiejnie, bo każdy dzień spędzony przez Dexter w Langley to dla mnie o jeden dzień za dużo.

Miejmy nadzieję, że Jackson przygotuje pętlę na jej szyję.

Publiczną egzekucję przeprowadzimy w Ogrodzie Różanym.

- Skorzystamy podwójnie – przytaknął szef personelu Białego Domu.

- Pozyskamy głosy kilku republikanów na rzecz ustawy o bezpiecznych ulicach i zmniejszeniu przestępczości.

Prezydent się uśmiechnął.

- Kto następny?

- zapytał.

- Senator Bedell czeka już od kilku minut - odparł Lloyd, spojrzawszy na zegarek.

-Czego on teraz chce?

- Przedyskutować najnowsze propozycje poprawek do ustawy o ograniczeniu zbrojeń. Prezydent zmarszczył brwi.

- Czy zauważyłeś - zapytał - ile punktów zdobył Żerański w najnowszych sondażach?

Ledwo Maggie przestąpiła próg małego domku w Georgetown, wykręciła numer kierunkowy 650.

Connor zaczął rozpakowywać walizki, przysłuchując się konwersacji Maggie z córką.

- Dzwonię, żeby ci dać znać, że szczęśliwie dotarliśmy do domu - zaczęła.

Connor uśmiechnął się pod nosem.

Tara była za bystra, żeby się na to nabrać, ale wiedział, że podejmie grę.

- Dziękuję za telefon, mamó.

Cieszę się, że cię słyszę.

- U ciebie wszystko w porządku?

- spytała Maggie.

- Tak, mamó – odparła Tara i przez kilka minut usiłowała okrężną drogą zapewnić matkę, że nie popełni żadnego głupstwa.

Gdy doszła do wniosku, że ją przekonała, spytała, czy ojciec jest w pobliżu.

- Jest koło mnie.

- Maggie podała aparat Connorowi na drugą stronę łóżka.

- Tatusiu, mógłbyś coś dla mnie zrobić?

- Oczywiście.

- Wy tłumacz mamie, że nie zrobię nic bezsensownego.

Stuart dzwonił już dwa razy, a ponieważ zamierza - zawahała się- przyjechać do Stanów na Boże Narodzenie, jestem pewna, że wytrwam do tej pory.

Przy okazji, tatusiu, chyba lepiej, żebym ci powiedziała, że wiem, jaki bym chciała prezent na Gwiazdkę.

- Co takiego, kochanie?

- Żebyś zapłacił za moje rozmowy telefoniczne w ciągu przyszłych ośmiu miesięcy.

Czuję, że to będzie więcej kosztować niż ten używany samochód, który mi obiecałeś, jeżeli zrobię doktorat.

Connor się zaśmiał.

- Więc lepiej załatw sobie ten awans, o którym wspominałeś w Australii.

Pa, tatusiu.

- Pa, kochanie.

Connor odłożył słuchawkę i uśmiechnął się uspokajająco do Maggie.

Właśnie chciał jej po raz dziesiąty powiedzieć, żeby się nie zamartwiała, kiedy zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę, myśląc, że to znowu Tara.

Ale to nie była ona.

- Przepraszam, że dzwonię, gdy tylko wróciłeś do domu - odezwała się Joan - ale właśnie telefonowała szefowa w pilnej sprawie.

Jak szybko mógłbyś tu być?

- Za dwadzieścia minut - odparł Connor, spojrzawszy na zegarek, i położył słuchawkę.

-Kto to był?

- spytała Maggie, która krzątała się przy walizkach.

- Joan.

Chce, żebym podpisał kilka kontraktów.

To nie potrwa długo.

- OJ -jęknęła Maggie.

- Zapomniałam jej kupić prezent w samolocie.

- Znajdę coś po drodze do biura.

Connor szybko wyszedł z pokoju, zbiegł po schodach i wypadł z domu, zanim Maggie zdążyła go o coś zapytać.

Wsiadł do starej rodzinnej toyoty, ale silnik nie od razu zaskoczył.

Wreszcie zapalił i Connor skierował "stary czołg", jak Tara nazywała toyotę, na Dwudziątą Dziewiątą Ulicę.

Piętnaście minut później skręcił w lewo w Ulicę M, potem jeszcze raz w lewo i wreszcie zjechał na nie oznakowany podziemny parking.

Gdy wchodził do budynku, wartownik na jego widok dotknął daszka czapki.

- Witam pana.

Nie spodziewałem się pana tutaj przed poniedziałkiem.

- Ja też - Connor odwzajemnił żartobliwy salut i skierował się ku windom.

Pojechał na siódme piętro.

Na korytarzu powitał go uśmiech recepcjonistki, siedzącej za biurkiem pod wydrukowanym wielkimi literami napisem: "Towarzystwo Ubezpieczeniowe Maryland".

Książka adresowa na parterze oznajmiała, że szacowna firma zajmuje siódme, ósme, dziewiąte i dziesiąte piętro.

- Jak miło pana widzieć, panie Fitzgerald- powiedziała recepcjonistka.

- Ma pan gości.

Connor się uśmiechnął, kiwnął głową i poszedł dalej korytarzem.

Za rogiem ujrzał Joan stojąc przy drzwiach jego biura.

Sądząc z wyrazu twarzy, musiała tam czekać już od pewnego czasu.

Nagle przypomniał sobie słowa Maggie, kiedy wychodził z domu – chociaż Joan wcale nie wyglądała na osobę pochłoniętą myślami o prezencie.

- Szefowa jest od kilku minut- szepnęła Joan, otwierając mu drzwi.

Connor wkroczył do pokoju.

Z drugiej strony jego biurka siedziała osoba, która chyba nigdy nie wyjeżdżała na wakacje.

- Przepraszam, że musiała pani na mnie czekać.

Ja właśnie.

- Mamy problem- rzuciła Helen Dexter i podsunęła mu teczkę.

-Daj mi tylko jedną dobrą wskazówkę, a ja już sobie poradzę - powiedział Jackson.

- Chris, gdybym tylko mógł - odparł główny komendant policji w Bogocie.

- Ale kilku twoich dawnych kolegów dało mi do zrozumienia, że jesteś teraz persona non grata.

- Zawsze myślałem, że jesteś facetem, który nie bawi się w takie subtelności - rzekł Jackson, dolewając komendantowi whisky.

-Chris, zrozum, kiedy reprezentowałeś swój rząd ,to było legalne.

- Z łapówkami włącznie, jeśli dobrze pamiętam.

-Ależ naturalnie - nonszalancko rzucił policjant.

- Pierwszy byś przyznał, że trzeba mieć parę groszy na pokrycie kosztów.

-Upił łyk z kryształowej szklaneczki.

- Jak dobrze wiesz, Chris, inflacja w Kolumbii jest wciąż bardzo wysoka.

Pensji nie starczami nawet na codzienne wydatki.

- Czy chcesz powiedzieć, że stawka jest taka jak była, nawet dla kogoś, kto jest persona non grata?

Komendant policji wysączył ostatnią kropelkę whisky i otarł wąsy.

- Chris -powiedział - prezydenci przychodzą i odchodzą w twoim i moim kraju - ale starzy przyjaciele pozostają.

Jackson skrzywił usta w uśmiechu i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę, którą podał komendantowi pod stołem.

Policjant zajrzał do środka, odpiął kieszeń bluzy i schował pieniądze.

- Widzę, że nowi szefowie nie pozwalają ci na taki gest jak przedtem, jeśli chodzi o koszty.

- Jedna dobra wskazówka, to wszystko, o co proszę – powtórzył Jackson.

Komendant uniósł w górę pustą szklaneczkę i czekał, aż kelner napełni ją po brzegi. Pociągnął długi łyk.

- Zawsze uważam, że jak się szuka okazji, trzeba zacząć od lombardu.

Najpierw zaszedłbym do dzielnicy San Victorina.

- Uśmiechnął się, wychylił whisky i wstał od stolika.

- A przy twoich obecnych kłopotach, przyjacielu, poprzestałbym na obejrzeniu wystawy.

Przeczytawszy poufne materiały Connor oddał teczkę szefowej.

- Za ile lat kończy pan służbę?

- zaskoczyła go pytaniem.

- Odchodzę z czynnej służby pierwszego stycznia przyszłego roku, ale oczywiście mam nadzieję, że zostanę w Firmie.

- Teraz może nie być tak łatwo znaleźć zastosowanie dla pańskich szczególnych talentów - powiedziała sucho Dexter.

- Ale jes wolne stanowisko, na które mogłabym pana polecić.

- Zawiesiła głos.

- Dyrektora naszego biura w Cleveland.

- Cleveland?

- Tak.

- Spodziewałem się - rzekł Connor - że po dwudziestu ośmiu latach służby w Firmie znajdzie pani dla mnie coś odpowiedniego w Waszyngtonie.

Jestem pewien, że pani wie, iż moja żona jest dyrektorką Biura Przyjęć w Georgetown.

Raczej niemożliwe, żeby znalazła równorzędną posadę w Ohio.

Nastąpiło długie milczenie.

- Chętnie poszłabym panu na rękę - powiedziała Dexter tym samym chłodnym tonem - ale w tej chwili nie ma w Langley nic odpowiedniego dla pana.

Gdyby zdecydował się pan na tę posadę w Cleveland, za dwa lata można by pana przenieść z powrotem.

Connor spojrział przez stół na kobietę, której służył przez ostatnie dwadzieścia sześć lat, świadom, że skierowała teraz przeciw niemu tę samą broń, co wcześniej wobec wielu jego kolegów.

Ale przecież zawsze spełniał jej rozkazy codo joty.

Spojrzał na teczkę.

Czy prezydent zażądał czyjejś głowy po tym, jak wypytywano go tak dociekliwie o działalność CIA w Kolumbii?

Czy Cleveland ma być nagrodą za jego dwudziestoosmioletnią służbę?

- Czy jest jakaś inna możliwość?

- zapytał.

- Zawsze może pan przejść na wcześniejszą emeryturę – odparła Dexter bez wahania.

Mówiła takim tonem, jakby chodziło o sześćdziesięcioletniego portiera w jej domu.

Connor siedział w milczeniu, wprost nie wierząc własnym uszom.

Całe swoje życie oddał Firmie i, jak wielu innych jej pracowników, nieraz otarł się o śmierć.

- Proszę dać mi znać, kiedy się pan zdecyduje.

- Helen Dexter wstała i wyszła z pokoju.

Connor siedział dłuższy czas przy biurku, próbując ogarnąć pełne znaczenie słów dyrektorki.

Przypomniał sobie, że Chris Jackson opowiadał mu o prawie identycznej rozmowie, która miała miejsce osiem miesięcy wcześniej.

Jemu proponowała posadę w Milwaukee.

- Mnie nie mogłoby to spotkać - powiedział mu wtedy.

- Ja gram w drużynie i nikt nie mógłby podejrzewać, że chcę zająć jej miejsce.

Ale Connor popełnił jeszcze cięższy grzech.

Wykonując polecenie Dexter, mimowolnie stał się sprawcą jej prawdopodobnego upadku. Gdyby znikł i nie sprawiał kłopotu swą obecnością, mogłaby wyjść z opresji obronną ręką. Ilu porządnych ludzi, pomyślał, poświęciła w ciągu lat w imię własnych interesów?

Zadumę Connora przerwała Joan, wchodząc do pokoju.

Nie trzeba jej było mówić, że spotkanie się nie udało.

- Czy mogę coś zrobić?

- spytała cicho.

- Nie, Joan.

Dziękuję.

- Po krótkim milczeniu dodał: - Wiesz, że niedługo odchodzę z czynnej służby.

- Pierwszego stycznia - powiedziała.

- Ale zważywszy na twoje zasługi.

Firma z pewnością ofiaruje ci wielkie biurko, przyzwoite godziny pracy dla odmiany i dorzuci jeszcze długonogą sekretarkę.

- Chyba nie - rzekł Connor.

- Jedyne, co mi zaproponowała dyrektorka, to posada kierownika biura w Cleveland i ani słowem nie wspomniała o długonogiej sekretarce.

- Cleveland?

- powtórzyła z niedowierzaniem Joan.

Connor potaknął.

- Dziwka!

Connor zaskoczony spojrzał na swoją długoletnią sekretarkę.

Przez dziewiętnaście lat ani razu nie słyszał, żeby w podobny sposób o kimś się wyraziła, a co dopiero o szefowej.

- Co powiesz Maggie?

- spytała Joan, patrząc mu w oczy.

- Nie wiem.

Ale skoro ją okłamuję od dwudziestu ośmiu lat, to chyba i teraz coś wymyślę.

Gdy Chris Jackson otworzył frontowe drzwi, rozdzwonił się dzwonek, alarmując właściciela, że ktoś wszedł do sklepu.

W Bogocie jest ponad sto lombardów, a większość znajduje się w San Victorina.

Jackson nie nachodził się tak od czasu, gdy był początkującym agentem.

Zaczynał już myśleć, że jego stary przyjaciel, komendant policji, skierował go na fałszywy trop.

Ale nie ustawał w poszukiwaniach, gdyż wiedział, że ten policjant zawsze dba o to, by znowu dostać kopertę pełną banknotów.

Escobar spojrzał znad wieczornej gazety.

Stary człowiek uważał, że zawsze pozna, zanim klient stanie przed ladą, czy chce coś kupić, czy sprzedać.

Po spojrzeniu, kroju ubrania, nawet pochodzie.

Raz rzucił okiem na tego dżentelmena i już wiedział, że dobrze postąpił nie zamykając sklepu wcześniej.

- Dobry wieczór panu - rzekł Escobar, podnosząc się ze stołka.

Zawsze dodawał tego "pana", gdy sądził, że klient zamierza coś kupić.

- Czym mogę panu służyć?

- Ten karabin na wystawie.

-Ach, tak.

Widzę, że zna się pan na rzeczy.

To rzecz dla kolekcjonera.

- Escobar podniósł klapę w ladzie i podszedł do wystawy.

Zdjął walizkę i położył na ladzie, żeby klient mógł z bliska obejrzeć jej zawartość.

Jacksonowi wystarczył rzut oka na wykonany ręcznie karabin, aby domyślić się jego pochodzenia.

Nie zdziwił się widząc, że jeden z naboji został użyty.

- Ile kosztuje?

-Dziesięć tysięcy dolarów -odparł Escobar, rozpoznawszy amerykański akcent.

- Nie mogę nic opuścić.

Tyle osób o niego pytało.

Po trzydniowej wędrówce w skwarze i duchocie Jackson nie był w nastroju do targów. Ale nie miał przy sobie tyle gotówki, a nie mógł wypisać czeku ani użyć karty kredytowej.

- Czy mogę zostawić zadatek -spytał - i zabrać karabin rano?

-Oczywiście, proszę pana - rzekł Escobar.

- Jednak za ten szczególny okaz chciałbym otrzymać dziesięć procent ceny.

Jackson kiwnął głową i wyjął portfel.

Wydobył wszystkie używane banknoty i podał je właścicielowi lombardu.

Escobar wolno odliczył dziesięć banknotów studolarowych, poczym umieścił je w kasie i wypisał kwit.

Jackson spojrział na otwartą walizkę, uśmiechnął się, wyjął łuskę i wsadził do kieszeni.

Stary człowiek zdumiał się- nie tym, co zrobił Jackson, ale byłby przysiągł, że kiedy kupował karabin, było tam dwanaście naboji.

-- Jutro bym się spakowała i przyfrunęła do ciebie - powiedziała -gdyby nie rodzice.

- Na pewno by zrozumieli -rzekł Stuart.

-Być może -odparła Tara.

- Ale ja bym się czuła winna ze względu na ojca, który przez całe lata się poświęcał, żebym mogła zrobić doktorat.

Nie mówię o matce.

Ona by chyba dostała ataku serca.

- Ale mówiłaś, że się dowiesz, czy promotorka pozwoliłaby ci skończyć pracę doktorską w Sydney.

-Ona nie stwarza przeszkód - odparła Tara.

- To dziekan się nie zgadza.

- Dziekan?

-Tak.

Kiedy wczoraj z tym wystąpiła, oznajmił, że to wykluczone.

- Nastąpiło długie milczenie, wreszcie Tara spytała: - Jesteś tam, Stuart?

- No pewnie - odrzekł i westchnął niczym szekspirowski kochanek.

-Jeszcze tylko osiem miesięcy - przypomniała mu Tara.

- Mogłabym ci nawet powiedzieć, ile dni.

Inie zapominaj, że przyjeżdżasz na Boże Narodzenie.

- Nie mogę się doczekać - rzekł Stuart.

- Nie chciałbym tylko narzucać się twoim rodzicom.

Przecież oni zobaczą cię po dłuższej przerwie.

- Nie bądź niemądry.

Ucieszyli się, kiedy im powiedziałam, że spędzisz z nami święta.

Mama za tobą przepada, jak sam dobrze wiesz, i jesteś pierwszym mężczyzną, o którym ojciec dobrze się wyraża.

- On jest niezwykły.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Przypuszczam, że dobrze wiesz, co.
- Lepiej kończmy, bo inaczej tatuś będzie musiał prosić o podwyżkę, żeby zapłacić za moje telefony.
Przy okazji, teraz twoja kolej.
Stuart udał, że nie zauważył, jak nagle Tara zmieniła temat.
- Zawsze wydaje mi się dziwne - ciągnęła - że ty jeszcze pracujesz, kiedy ja mocno śpię.
- Jest sposób, żeby to zmienić - zauważył Stuart.
Kiedy otworzył drzwi, zabrzmiał alarm.
Podróżny zegar na zapleczu wydzwonił drugą, gdy odsuwał zasłonę z paciorków i wchodził do sklepu.
Spojrzał na wystawę.
Karabinu już nie było na stojaku.
Znalazł go po kilku minutach, ukryty pod ladą.
Obejrzał każdą część i stwierdził brak jednego naboju.
Wsadził walizkę pod pachę i wyszedł równie szybko jak wszedł.
Nie żeby się bał, że zostanie schwytany; komendant policji zapewnił go, że włamanie nie zostanie zgłoszone przed upływem pół godziny.
Nim zamknął drzwi, spojrzął na zegar.
Wskazywał dwanaście po drugiej.
Trudno winić komendanta policji za to, że jego stary przyjaciel nie miał przy sobie tyle gotówki, żeby kupić karabin.
Poza tym komendant bardzo lubił, gdy mu dwa razy płacono za tę samą informację.
Zwłaszcza dolarami.
Naląła mu drugą filiżankę kawy.
- Maggie, myślę, żeby odejść z towarzystwa i rozejrzeć się za pracą, która nie wymagałaby takich częstych wyjazdów.
- Spojrzal na żonę, siedzącą po drugiej stronie stołu kuchennego, i czekał na jej reakcję.
Maggie odstawiła dzbanek z kawą na płytkę i upita łyk ze swego kubka.
- Dlaczego teraz?
- spytała po prostu.
- Prezeska mi powiedziała, że zostanę odsunięty od spraw porwań i okupów i zastąpiony przez kogoś młodszego.
Taki jest tryb postępowania firmy wobec osób w moim wieku.
- Ale w firmie jest chyba mnóstwo innych stanowisk dla kogoś z twoim doświadczeniem.
- Prezeska wystąpiła z propozycją - rzekł Connor - że bym pokierował naszym oddziałem w Cleveland.
- W Cleveland?
- powiedziała Maggie z niedowierzaniem.
Chwilę milczała, po czym zapytała cicho: - Dlaczego jej tak nagle zaczęło zależeć, żebyś znikł jej z oczu?
- Och, nie jest tak źle.
Jeżeli odrzucę tę propozycję, to i tak zachowam prawo do pełnej emerytury - odparł Connor, nie odpowiadając na pytanie żony.
- Zresztą Joan mówi, że w Waszyngtonie jest kilka wielkich towarzystw ubezpieczeniowych, które chętnie zatrudnią kogoś z moim doświadczeniem.
- Ale nie to, w którym obecnie pracujesz - stwierdziła Maggie, patrząc na męża.

Connor spojrzął jej w oczy, ale nie przychodziło mu do głowy nic przekonującego. Nastąpiło dłuższe milczenie.

- Czy nie sądzisz, że czas, byś mi powiedział całą prawdę?

- spytała Maggie.

- Czy też mam dalej, jako ta uległa żona, wierzyć we wszystko, co mówisz?

Connor opuścił głowę i milczał.

- Nigdy nie ukrywałeś, że to twoje towarzystwo ubezpieczeniowe jest tylko pokrywką dla CIA.

Ja też nigdy cię nie wypytywałam.

Ale ostatnio nawet te twoje podróże, choć tak dobrze maskowane, zostawiły ślad.

- Chyba cię nie rozumiem - próbował się bronić.

- Gdy odbierałam twój garnitur z pralni, powiedzieli mi, że to znaleźli w kieszeni.

- Maggie położyła na stole małe krążki.

- Podobno nie ma żadnej wartości poza Kolumbią.

Connor wbił wzrok w dziesięć pesetową monetę, wystarczającą na miejscową rozmowę telefoniczną w Bogocie.

- Wiele żon pomyślałoby tylko o jednym, Connorze Fitzgerald - ciągnęła Maggie.

- Ale znam cię od ponad trzydziestu lat i dobrze wiem, że nie byłbyś zdolny do takiego oszustwa.

- Maggie, przysięgam.

- Wiem, Connorze.

Zawsze rozumiałam, że musiałeś mieć jakiś ważny powód, skoro nie byłeś ze mną całkiem szczerą przez te wszystkie lata.

- Pochyliła się nad stołem, ujęła rękę męża i powiedziała: - Ale jeśli teraz wyrzucają cię na złom bez żadnego powodu, to czy nie uważasz, że mam prawo usłyszeć, czym się naprawdę zajmowałeś przez ostatnie dwadzieścia osiem lat?

Jackson polecił taksówkarzowi zatrzymać się przed lombardem i czekać.

Powiedział mu, że wpadnie tam tylko na parę minut i potem chce jechać na lotnisko.

Gdy wszedł do lombardu, Escobar wybiegł drobnym kroczkiem z zaplecza.

Widać było, że jest wzburzony.

Kiedy poznał klienta, skłonił głowę, bez słowa nacisnął przycisk kasy i wysunął szufladkę.

Powoli wyjął dziesięć banknotów studolarowych i podał je przez ladę.

- Muszę pana przeprosić - powiedział, spoglądając w górę na wysokiego Amerykanina - ale niestety karabin został w nocy skradziony.

Jackson nie zareagował.

- Co dziwne - ciągnął Escobar - złodziej nie wziął żadnych pieniędzy.

Jackson nadal milczał.

Po wyjściu klienta Escobar nie mógł opędzić się myśli, że wcale nie był zdziwiony.

W drodze na lotnisko Jackson wsadził rękę do kieszeni marynarki i wyjął łuskę.

Nie mógł udowodnić, kto pociągnął za spust, ale nie miał teraz cienia wątpliwości co do tego, kto wydał rozkaz zabicia Ricarda Guzmana.

IX

Śmigłowiec miękko wylądował obok podłużnej Zwierciadlanej Sadzawki pomiędzy obeliskiem Waszyngtona i pomnikiem Lincolna.

Gdy łopatki wirnika zwolniły obroty, ze środka na trawnik wysunięto schodki.

Drzwiczki "Nocnego Ptaka" otworzyły się i pojawił się prezydent Herrera w galowym mundurze, który nadawał mu wygląd drugorzędnej postaci z lichego filmu.

Stanął na baczność i odsalutował żołnierzom z powitalnego oddziału piechoty morskiej, po czym przemierzył krótki dystans do opancerzonego cadillaca.

Kiedy kawalkada samochodów sunęła Siedemnastą Ulicą, na wszystkich masztach powiewały flagi kolumbijska, amerykańska i Dystryktu Kolumbii.

Tom Lawrence, Larry Harrington i Andy Lloyd czekali przed Białym Domem od strony południowego portyku.

Im lepiej skrojony strój, im bardziej kolorowa szarfa, im więcej medali, tym mniej znaczący kraj, pomyślał Lawrence, wychodząc naprzeciw gościowi.

- Antonio, drogi, stary przyjacielu - powiedział, gdy Herrera go uścisnął, chociaż spotkali się wcześniej tylko raz.

Kiedy Herrera wypuścił gospodarza z objęć, Lawrence odwrócił się, żeby przedstawić mu Harringtona i Lloyd.

Błysnęły flesze, zaterkotały kamery wideo i orszak prezydencki skierował się do Białego Domu.

W długim korytarzu, pod portretem ukazującym całą postać Jerzego Waszyngtona zrobiono jeszcze kilka dodatkowych zdjęć zastygłych w uśmiechu i ściskających sobie dłonie przywódców.

Po obowiązkowej trzyminutowej sesji fotograficznej prezydent wprowadził gościa do Pokoju Owального.

Podano kolumbijską kawę i wykonano jeszcze kilka zdjęć.

Nie poruszano żadnych ważnych tematów; dopiero kiedy zostali sami, sekretarz stanu naprowadził rozmowę na obecne stosunki między obu krajami.

Lawrence był wdzięczny Larry'emu za informacje, których udzielił mu rano.

Mógł teraz ze znajomością rzeczy mówić o umowach o ekstradycję, o tegorocznych zbiorach kawy, problemie narkotyków, a nawet o nowej linii metra budowanej w Bogocie przez przedsiębiorstwo amerykańskie w ramach programu pomocy zagranicznej.

Kiedy sekretarz stanu poszerzył dyskusję o takie tematy, jak spleta sprolongowanych pożyczek dolarowych i dysproporcja między eksportem i importem obu krajów, Lawrence wybiegł myślami ku sprawom, z którymi będzie musiał się uporać tego dnia.

Projekt ustawy o ograniczeniu broni ugrzązł w komisji i Andy już go ostrzegł, że głosów bynajmniej nie przybywa.

Prawdopodobnie będzie musiał się spotkać osobiście z kilkoma kongresmanami, aby go przepchnąć.

Zdawał sobie sprawę, że obrzędowe wizyty w Białym Domu służą tylko jednemu: podnoszą poczucie wartości własnej kongresmanów.

Mogli potem oznajmić wyborcom w swoich okręgach - jeżeli byli demokratami - w jak bliskich stosunkach są z prezydentem albo - jeżeli byli republikanami - jak bardzo prezydent potrzebuje ich poparcia, by przeforsować jakiegokolwiek ustawy.

Lawrence zdawał sobie sprawę, że w obliczu wypadających w środku kadencji wyborów do Kongresu, które miały się odbyć za niecały rok, w najbliższych tygodniach czeka go sporo nieplanowanych spotkań.

Nagle przywołały go do rzeczywistości słowa Herrery:

I za to, panie prezydencie, muszę osobiście panu podziękować.

Szeroki uśmiech wykwit na twarzy kolumbijskiego przywódcy, gdy trójka najpotężniejszych ludzi w Ameryce spojrzała na niego w osłupieniu.

-Antonio, czy mógłbyś to jeszcze raz powtórzyć?

- poprosił prezydent, nie pewny, czy się nie przesłyszał.

- Tom, skoro znajdujemy się w zaciszu Pokoju Owального, chciałbym ci wyrazić wdzięczność za osobistą interwencję podczas mojej kampanii wyborczej.

Panie Fitzgerald, jak długo pan pracuje w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Maryland?

- spytał prezes rady nadzorczej.

To było pierwsze jego pytanie podczas rozmowy trwającej ponad godzinę.

- W maju będzie dwadzieścia osiem lat, proszę pana – odparł Connor, patrząc prosto na pana Thomsona, który siedział naprzeciwko, pośrodku wielkiego stołu.

- Pańskie osiągnięcia zawodowe są imponujące, pańska opinia bez zarzutu - odezwała się kobieta siedząca po prawicy prezesa.

- Muszę zapytać, dlaczego chce pan zrezygnować ze swej obecnej pracy.

I, co chyba ważniejsze, dlaczego pańska firma zgadza się, żeby pan odszedł?

Poprzedniego wieczoru przy kolacji Connor naradzał się z Maggie, jak odpowiedzieć na to pytanie.

- Po prostu powiedz prawdę- podsunęła mu.

- Inie baw Si ęw żadne wykręty.

Nigdy w tym nie byłeś dobry.

- Connor nie spodziewał się innej rady.

-Jedyny awans, na jaki mógłbym szybko liczyć, wiązałby się z przenosinami do Cleveland -odparł - a nie chciałym prosić żony, żeby porzuciła pracę na Uniwersytecie Georgetown.

Byłoby jej trudno znaleźć równorzędną posadę w Ohio.

Trzecia osoba zasiadająca w komisji kwalifikacyjnej skinęła głową.

Maggie uprzedziła go, że jeden z członków komisji ma syna na ostatnim roku Uniwersytetu Georgetown.

- Chyba nie ma potrzeby zatrzymywać pana dłużej –oznajmił prezes.

- Chciałym panu podziękować, że pofatygował się pan do nas dzisiaj.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Connor i wstał, żeby odejść.

Ku jego zdziwieniu prezes podniósł się zza stołu i podszedł do niego.

- Czy zechciałym pan razem z żoną zjeść z nami kolację któregoś dnia wieczorem w przyszłym tygodniu?

- zapytał, odprowadzając Connora do drzwi.

- Będzie nam bardzo miło, proszę pana - odparł Connor.

-Ben - podpowiedział prezes.

- Nikt w Washington Providentnie zwraca się do mnie per pan, a już na pewno nie personel kierowniczy.

-Uśmiechnął się i mocno uścisnął Connorowi dłoń.

- Polecę sekretarce, żeby zadzwoniła jutro do ciebie do biura i ustaliła datę.

I bardzo chętnie poznam twoją żonę -Maggie, czy tak?

-Tak, proszę pana - odparł Connor.

Zamilkł na chwilę.

- Ja też chętnie poznam panią Thompson, Ben.

Szef personelu Białego Domu podniósł słuchawkę czerwonego telefonu, ale nie od razu poznał głos.

- Mam informacje, które mogą się panu przydać.

Przepraszam ,że trwało to tak długo.

Lloyd prędko schwyił świeży żółty bloczek i zdjął zakrętkę z flamastra.

Nie musiał naciskać guzika - wszystkie rozmowy prowadzone przez ten telefon były automatycznie nagrywane.

- Dopiero co wróciłem po dziesięciodniowym pobycie w Bogocie.

Ktoś tam pilnował, żeby nie tylko zatrzaskiwano przede mną drzwi, ale żeby je zamykano na klucz i zasuwę.

- Czyli że Dexter musiała się dowiedzieć, o co panu chodzi -rzekł Lloyd.

-Przypuszczam, że w kilka minut po mojej rozmowie z komendantem miejscowej policji.

- Czy to znaczy, że ona wie, dla kogo pan pracuje?

-Nie, zabezpieczyłem się pod tym względem i dlatego tak późno się odzywam.

I zapewniam pana, że po tym, jak wyprowadziłem w pole jednego z jej młodszych agentów, nigdy nie będzie w stanie wydedukować, z kim się komunikuję.

Nasz attache kulturalny w Bogocie rozpracowuje teraz każdego znanego barona narkotykowego, każdego niższego urzędnika w wydziale narkotykowym i połowę miejscowej policji.

Jego raport zapełni tyle stron, że przez miesiąc nie będą w stanie go przeczytać, a co dopiero wykryć, co ja tam takiego robiłem.

- Czy ma pan coś, żeby przyszpilić Dexter?

-Nic takiego, by jak zwykle nie mogła się wykręcić sianem.

Ale wszystko wskazuje na to, że zabójstwo jest robotą CIA.

- Niewiele brakuje, a moglibyśmy sami tego dowieść – rzekł Lloyd.

- Problem polega na tym, że chociaż nasz informator jest osobą w pełni wiarygodną, nie mógłby wystąpić jako świadek, bo odniósł bezpośrednią korzyść z zabójstwa.

Czy miałby pan coś, co można by przedstawić sądowi?

- Tylko zeznania komendanta policji w Bogocie, który z pewnością nie jest osobą wiarygodną.

Gdyby stanął przed sądem, do końca nie byłoby wiadomo, za kim się opowie.

- To skąd panwie, że CIA była zamieszana?

-Widziałem karabin, z którego, o czym jestem przekonany, zastrzelono Guzmana.

Mam nawet łuskę pocisku, który go trafił.

Po za tym jestem absolutnie pewien, że znam człowieka, który wykonał tę broń.

Jest najlepszy w branży i pracuje dla wąskiego grona bardzo szczególnych klientów.

- Może spróbuję zgadnąć?

- rzucił Lloyd.

-Wszyscy są z CIA.

- Prócz jednego, którego Dexter kilka dni temu przeniosła na emeryturę.- To natychmiast go skaptujmy i wciągnijmy na naszą listę płac.

-Panie Lloyd - odezwał się Jackson po długim milczeniu - może tak się postępuje w Białym Domu, ale ten człowiek za żadne pieniądze nie zdradziłby swego byłego pracodawcy. Grózb też by się nie przeląkł, choćby mu pan przystawił pistolet do głowy.

- Skąd może pan być taki pewien?

-Służył pode mną wWietnamie i nawet Wietkong nic z niego nie wydobył.

Jeżeli chce pan wiedzieć, zawdzięczam mu życie.

Tak czy owak, Dexter zdąży go przekonać, że wydawane przez nią rozkazy pochodzą prosto z Białego Domu.

- My moglibyśmy powiedzieć mu co innego - rzekł Lloyd.

-To by tylko naraziło jego życie na niebezpieczeństwo.

Nie, muszę dowieść zaangażowania Dexter, nie wtajemniczając go.

A to nie będzie łatwe.

- Więc jak pan chce to zrobić?

-Pójdę na przyjęcie, które wydaje z okazji odejścia na emeryturę.

- Mówi pan serio?

-Tak, bo będzie tam pewna kobieta, która kocha go jeszcze bardziej niż swój kraj.

I może zechce mówić.

Będę w kontakcie.

Telefon umilkł.

Pierwszą osobą, którą zobaczył Nick Gutenberg, wicedyrektor CIA, przestępując próg salonu Fitzgeralda, był jego poprzednik Chris Jackson, pogrążony w rozmowie z Joan Bennett.

Czy opowiada jej, na czyje zlecenie był w Bogocie?

Gutenberg chętnie by posłuchał, o czym mówią, ale najpierw musiał się przywitać z gospodarzami.

- Odpracuję jeszcze dziewięć miesięcy w firmie -mówiła Joan.

-Do tego czasu nabędę prawo do pełnej emerytury.

Potem chciałabym dołączyć do Connora w jego nowej pracy.

- Przed chwilą o niej usłyszałem.

Wydaje się idealna.

Z tego, co mówiła Maggie, wynika, że nie będzie musiał tyle podróżować.

- Zgadza się.

Ale to jeszcze nie jest oficjalne.

Wiesz, że Connor nie lubi, kiedy się coś przesądza z góry.

Ale ponieważ prezes Washington Provident zaprosił go razem z Maggie jutro na kolację, możemy chyba uznać, że pracę ma załatwioną.

Oczywiście, o ile pan Thompson nie szuka tylko czwartego do brydza.

- Miło, Nick, że przyszedłeś –powiedział ciepło Connor, podając wicedyrektorowi szklanekę perriera.

Pamiętał, że Gutenberg nie bierze do ust alkoholu.

- Za nic w świecie nie opuściłbym takiej okazji – rzekł Gutenberg.

-Maggie - Connor zwrócił się do żony.

- Pozwól, to jest NickGutenberg, mój kolega.

Pracuje w.

- W dziale likwidacji szkód – wtrącił szybko Gutenberg.

- Nam wszystkim w Ubezpieczeniach Maryland będzie brakowało pani męża - dodał.

- Myślę, że teraz, kiedy Connor podejmie pracę w tej samej branży, wasze drogi znowu się zejdą - rzekła Maggie.

-To jeszcze nie jest pewne - powiedział Connor.

- Ale jak zostanie potwierdzone, to ty, Nick, pierwszy będziesz o tym wiedział.

Wzrok Gutenberga powędrował w stronę Jacksonai gdy ten zostawił Joan Bennett, Gutenberg szybko przeciął pokój i do niej podszedł.

- Joan, ucieszyłem się, kiedy usłyszałem, że zostajesz u nas - zaczął.

- Myślałem, że odchodzisz z Connorem do nowego miejsca.

- Nie, nie opuszczam firmy- odparła Joan, niepewna, ile wie wicedyrektor.

-Sądziłem, że skoro zostaje w branży.

Aha, chcesz mnie pociągnąć za język, pomyślała.

- Nie wiedziałam- powiedziała.

-Z kim rozmawia Chris Jackson?

-spytał Gutenberg.

Joan spojrzała na drugą stronę pokoju.

Najchętniej by udała, że nie ma pojęcia, ale wiedziała, że to by jej nie uszło na sucho.

- Z ojcem Grahamem, zaprzyjaźnionym z rodziną Fitzgeraldów proboszczem z parafii w Chicago, i z Tarą, córką Connora.

-Co ona robi?

- Piszę pracę doktorską na Uniwersytecie Stanforda.

Gutenberg zdał sobie sprawę, że traci czas, usiłując wydobyć jakieś informacje od sekretarki Connora.

W końcu pracowała z Fitzgeraldem prawie dwadzieścia lat i nie ulegało wątpliwości, że była wobec niego lojalna - chociaż w jej teczce nie było niczego, co by sugerowało, że ich stosunki wykraczały poza służbowe.

Zresztą wyglądało na to, że Joan Bennett jest jedyną czterdziestopięcioletnią dziewczyną, jaka się uchowała w Waszyngtonie.

Gdy córka Connora podeszła do stolika z trunkami, by napelnić swój kieliszek, Gutenberg bez słowa zostawił Joan.

- Jestem Nick Gutenberg - oznajmił, wyciągając rękę.

- Kolega pani ojca.

- Tara - przedstawiła się.

- Pan pracuje w biurze w śródmieściu?

- Nie, na przedmieściu - odparł Gutenberg.

- A pani nadal studiuje na Zachodnim Wybrzeżu i pisze pracę dyplomową?

- Zgadza się - przyznała Tara, cokolwiek zdziwiona.

- A pan w jakim dziale pracuje?

- Jestem likwidatorem szkód.

To nudne w porównaniu ze specjalizacją pani ojca, ale ktoś musi siedzieć na miejscu i zajmować się papierkową robotą - zaśmiał się lekko.

- Przy okazji, z radością usłyszałem o nowej pracy pani tatusia.

- Tak, mama się cieszy, że renomowane towarzystwo ubezpieczeniowe tak prędko go porwało.

Chociaż to jeszcze nieoficjalna wiadomość.

- Czy będzie miał siedzibę w Waszyngtonie?

- zagadnął Gutenberg, sącząc perriera.

- Tak, budynek towarzystwa jest o kilka ulic od jego dawnego biura.

- Tara zamilkła, usłyszawszy ostry dźwięk.

Odwróciła się ujrzała, że to Chris Jackson uderza w stół, uciszając gości.

- Przepraszam - wyszeptała.

- Wzywają mnie obowiązki związane z przyjęciem.

- Szybko odeszła, a Gutenberg odwrócił się, by posłuchać swojego poprzednika w Langley.

- Panie i panowie - zaczął Chris.

Odczekał, aż wszyscy umilkną, po czym ciągnął dalej.

- Proponuję toast za pomyślność moich najstarszych przyjaciół, Connora i Maggie.

Przez te lata Connor nie raz wpędzał mnie w kłopoty.

Goście wybuchnęli śmiechem.

- Święta prawda!

- zawołał jeden.

- Dobrze to znam - dodał drugi.

- Ale kiedy człowiek wpadnie w kłopoty, nikt tak jak on nie potrafi z nich wyciągnąć.

- Rozległy się oklaski.

- Pierwszy raz spotkaliśmy się.

Gutenberg usłyszał brzęczenie pagera i prędko zdjął go z paska.

Odczytał hasło wzywające, żeby się natychmiast zgłosił.

Skasował je i wymknął się do hallu.

Podniósł słuchawkę najbliższego telefonu, jakby był u siebie w domu, i nakręcił numer, nie wymieniony w żadnej książce telefonicznej.

Zanim zadzwieczył sygnał, odezwał się głos:

- Tak?

- Odebrałem wiadomość, ale dzwonię z niepewnego telefonu.

- Nie musiał się przedstawiać.

- To, co mam do powiedzenia, za kilka godzin będzie znał cały świat.

- Prezydent Rosji umarł na atak serca siedemnaście minut temu - oznajmiła Helen Dexter.

- Niech się pan natychmiast zgłosi u mnie w biurze i odwoła wszystkie zajęcia w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

Przerwano połączenie.

Żadna rozmowa z biurem Dexter na linii nie chronionej nie mogła trwać dłużej niż czterdzieści pięć sekund.

Dexter miała na biurku stoper.

Gutenberg położył słuchawkę i wysliznął się przez frontowe drzwi, nie zadając sobie trudu, by się pożegnać z panią domu.

Był już w drodze do Langley, kiedy Chris uniósł kieliszek i powiedział:

- Za Connora i Maggie i za ich przyszłość!

Wszyscy zgromadzeni goście wzniesli w górę kieliszki.

- Za Connora i Maggie!

- odpowiedzieli chórem.

- Powiem pani, od kogo mam te informacje - rzekł Tom Lawrence.

- Od samego prezydenta Kolumbii.

Osobiście mi podziękował za interwencję na jego rzecz w wyborach.

- To żaden dowód - zauważyła Helen Dexter bez cienia emocji.

- Helen, pani nie wierzy moim słowom?

- Prezydent nie krył gniewu.

- Skądże, panie prezydencie - spokojnie powiedziała Dexter.

- Ale jeżeli zarzuca pan Agencji przeprowadzenie tajnej operacji bezpieczeństwa wiedzy, to mam nadzieję, że nie opiera pan tego oskarżenia wyłącznie na słowach jakiegoś południowoamerykańskiego polityka.

Prezydent pochylił się do przodu.

- Proponuję, żeby wysłuchała pani uważnie rozmowy, która niedawno odbyła się w tym gabinecie - powiedział.

- Ponieważ te słowabrzmią prawdziwie - a podejrzewam, że w ostatnich latach rzadko stykała się pani z prawdą.

Dyrektorka CIA nadal nie zdradzała zakłopotania, choć Nick Gutenberg, który siedział po jej prawicy, niespokojnie poruszył się na krześle.

Prezydent dał głową znak Lloydowi, ten zaś nacisnął klawisz magnetofonu, stojącego w rogu prezydenckiego biurka.

- Czy mógłby pan podać więcej szczegółów?

- Oczywiście, choć jestem pewien, że nie powiem nic, czego by pan już nie wiedział

Mój jedyny prawdziwy rywal, Ricardo Guzman, został w porę skreślony z list na dwa tygodnie przed wyborami.

- Chyba pan nie sugeruje. - to był głos Lawrence'a.

- Cóż, jeżeli to nie byli pańscy ludzie, to z pewnością nie byli moi Herrera nawet nie czekali, aż prezydent dokończy zdanie.

Zapadło tak długie milczenie, że Gutenberg już myślał, iż rozmowa się skończyła, ale ponieważ Lawrence i Lloyd trwali nieruchomo, wywnioskował, że będzie dalszy ciąg.

- Czy ma pan jakiś dowód, żeby łączyć to zabójstwo z CIA?

- Zapytał w końcu Lawrence.

- Kula, która go zabiła, naprowadziła na trop karabinu, który zabójca sprzedał w lombardzie przed ucieczką z kraju.

Karabin został potem zabrany z lombardu przez jednego z pańskich agentów i przesłany do Stanów Zjednoczonych pocztą dyplomatyczną.

- Skąd to pan wie?
-Widać mój komendant policji jest ze mną o wiele bardziej ze mną szczerzy niż CIA z panem.
Andy Lloyd wyłączył magnetofon.
Helen Dexter podniosła głowę i napotkała świdrujące spojrzenie prezydenta.
- No więc?
- rzucił Lawrence.
-Jakie teraz usłyszę proste wytłumaczenie?
- Ta rozmowa absolutnie nie dowodzi związku CIA z zabójstwem Guzmana - powiedziała spokojnie Dexter.
- Według mnie sugeruje tylko, że Herrera próbuje kryć człowieka, który wykonał jego rozkaz.
- Przypuszczam, że ma pani namyśli "samotnego zabójcę", który, jak na zawołanie, przepadł gdzieś w Afryce Południowej – rzekł z sarkazmem prezydent.
-Jak tylko wychynie na powierzchnię, panie prezydencie, dopadniemy go i wtedy dostarczę panu dowodu, którego pan żąda.
- Niewinny człowiek, zastrzelony w zaułku Johannesburga, nie będzie dla mnie wystarczającym dowodem.
-Ani dla mnie - rzuciła Dexter.
- Gdy postawię przed panem człowieka, który zabił, nie będzie wątpliwości, na czyje zlecenie to zrobił.
-W jej głosie zabrzmiała uraza.
- Jeżeli się to pani nie uda - powiedział prezydent -nie zdziwię się, gdy ta taśma - postukał w magnetofon -znajdzie się w rękach pewnego reportera z "Washington Post", który, jak powszechnie wiadomo, nie kocha CIA.
Niech on zdecyduje ,czy Herrera osłania siebie, czy mówi prawdę.
Tak czy owak, będzie pani musiała odpowiedzieć na mnóstwo kłopotliwych pytań.
- Jeżeli tak się stanie, znajdzie się kilka i dla pana, panie prezydencie - odparła Dexter, nie mrugnawszy okiem.
Lawrence z gniewem wstał z krzesła i spiorunował ją wzrokiem.
- Proszę przyjąć do wiadomości, że stanowczo żądam dowodu istnienia tego Południowoafrykańczyka, który się gdzieś zawieruszył.
Jeżeli nie będę go miał w ciągu dwudziestu ośmiu dni, oczekuję rezygnacji was obojga na moim biurku.
A teraz proszę odejść.

Dyrektorka i jej zastępca wstali i bez słowa opuścili pokój.
Nic nie mówili, dopóki nie znaleźli się w samochodzie.
Kiedy wyjechali z terenu Białego Domu, Dexter nacisnęła guzik w oparciu fotela, podnosząc przydymioną szybę, aby kierowca - starszy rangą agent -nie słyszał rozmowy.
- Czy dowiedział się pan, które towarzystwo ma zatrudnić Fitzgeralda?
-Tak - odparł Gutenberg.
- Więc musi pan zatelefonować do prezesa.
-Nazywam się Nick Gutenberg.
Jestem wicedyrektorem CIA.
Czy zechciałby pan oddzwonić?
Oto numer naszej centrali - siedem zero trzy, cztery osiem dwa, jeden jeden zero zero.
Jeżeli pan poda telefonistce moje nazwisko, połączy pana z moim biurem.
- Odłożył słuchawkę.
W ciągu lat Gutenberg się przekonał, że na takie telefony nieodmiennie mu odpowiadano, a w dodatku ten mały fortel zawsze dawał mu przewagę.

Siedział przy biurku i czekał.
Minęły dwie minuty, ale się nie niepokoił.
Wiedział, że ten człowiek zechce sprawdzić numer.
Kiedy się przekona, że to centrala CIA, nabierze jeszcze większego respektu.
Kiedy wreszcie telefon zadzwonił poprawie trzech minutach, Gutenberg nie od razu podniósł słuchawkę.
- Dzień dobry panu, panie Thompson - powiedział, nie czekając, aż rozmówca się przedstawi.
- Jestem wdzięczny, że pan tak szybko się odezwał.
- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Gutenberg – odparł prezes Washington Provident.
- Obawiam się, że sprawa, o której chcę z panem mówić, jest delikatna.
Nie telefonowałbym do pana, gdyby nie było to w pańskim interesie.
- Doceniam to - rzekł Thompson.
- O co chodzi?
- Ostatnio odbywał pan rozmowy z kandydatami na posadę dyrektora działu porwań i okupów w pańskim towarzystwie.
Stanowisko wymagające nieskazitelnej prawości.
- Oczywiście - zgodził się Thompson.
- Ale myślę, że znalazłem idealnego człowieka na to stanowisko.
- Nie mam pojęcia, kogo pan wybrał, ale chcę pana zawiadomić, że obecnie prowadzimy śledztwo w sprawie jednego z kandydatówi gdyby znalazło ono epilog w sądzie, mogłoby to niekorzystnie odbić się na pańskiej firmie.
Jednakże, panie Thompson, jeśli jest pan pewien, że znalazł pan odpowiedniego człowieka, to CIA nie będzie rzucać mu kłód pod nogi.
- Chwileczkę, proszę pana.
Jeżeli wie pan o czymś, o czym powinienem być poinformowany, chętnie posłucham.
- Czy mogę zapytać - powiedział Gutenberg po chwili milczenia- o nazwisko kandydata, któremu chce pan
- Oczywiście, gdyż nie mam cienia wątpliwości co do jego reputacji, przeszłości i uczciwości.
Zamierzamy podpisać umowę z Connorem Fitzgeraldem.
- Zapadło długie milczenie.
Wreszcie Thompson zapytał: - Panie Gutenberg, czy jeszcze pan tam jest?
- Tak, panie Thompson.
Czy znalazłby pan czas, żeby mnie odwiedzić w Langley?
Myślę, że powinienem pana dokładniej poinformować o prowadzonym obecnie przez nas śledztwie w sprawie oszustwa.
Mógłby pan również przejrzeć poufne dokumenty, które znalazły się w naszych rękach.
Tym razem zamilkł Thompson.
- Bardzo mi przykro, że to słyszę - powiedział wreszcie cicho.
- Sądzę że moja wizyta nie będzie konieczna.
A wydawał się takim przyzwoitym człowiekiem.
- Mnie jest również przykro, że musiałem w tej sprawie do pana zadzwonić.
Ale mógłby pan mieć do mnie większy żal, gdybym tego nie zrobił, a sprawa trafiłaby na pierwszą stronę "WashingtonPost".
- Trudno mi się z tym nie zgodzić – rzekł Thompson.
- Chciałbym dodać - powiedział wicedyrektor CIA - choć tonie ma związku z prowadzonym przez nas śledztwem, że mam polisę pańskiego towarzystwa od dnia, kiedy zacząłem pracować w CIA.

- Miło mi to słyszeć, panie Gutenberg.
Chciałbym powiedzieć, że podziwiam pana i pańskich kolegów za waszą skrupulatność.

- Mam nadzieję, że do czegoś się przydałem.

Do widzenia panu, panie Thompson.

Gutenberg odłożył słuchawkę i natychmiast nacisnął jedynekę na najbliższym stojącym aparacie telefonicznym.

- Tak?

- spytał głos.

- Myślę, że Washington Provident nie przyjmie Fitzgeralda do pracy.

- To dobrze.

Poczekajmy trzy dni, a potem pan zaproponuje mi inną.

- Po co czekać trzy dni?

-Widocznie nie czytał pan, co napisał Freud o największej podatności.

Z przykrością pana informujemy.

Connor po raz rzucił odczytywał list, gdy zadzwonił telefon na jego biurku.

Dosłownie osłupiał.

Co się stało?

Kolacja w domu u Thompsonów bardzo się udała.

Kiedy wraz z Maggie wychodzi przed północą, Ben zaproponował partię golfa w Burning Treew następnego weekend, a Elizabeth Thompson zaprosiła Maggie na kawę w czasie, kiedy panowie będą się uganiać za białymi piłeczkami.

Nazajutrz zatelefonował jego prawnik i oznajmił, że umowa, którą Washington Provident przysłał mu do akceptacji, wymaga tylko kilku drobnych poprawek.

Connor podniósł słuchawkę.

- Tak, Joan.

-Wicedyrektor chce z tobą mówić.

- Połącz go -powiedział ze znużeniem.

-Connor?

- odezwał się głos człowieka, któremu nigdy nie ufał.

- Wydarzyło się coś ważnego i dyrektorka poleciła mi, żebym cię natychmiast poinformował.

-Oczywiście- rzekł Connor, do którego nie docierały słowa Gutenberga.

- A więc o trzeciej, tam gdzie zawsze?

-Oczywiście - powtórzył Connor.

Ciągle trzymał słuchawkę telefonu, chociaż rozmówca dawno się wyłączył.

Czwarty raz przeczytał list i postanowił, że nic nie powie Maggie, dopóki nie dostanie propozycji innej pracy.

Connor pierwszy przybył na Plac Lafayette'a.

Usiadł na ławce na wprost Białego Domu.

Kilka minut później na drugim końcu ławki usiadł Gutenberg.

Connor uważał, żeby nawet nie spojrzeć w jego stronę.

- Sam prezydent prosi, żebyś się podjął tego zadania – wyszeptał Gutenberg, wlepiając wzrok w Biały Dom.

- Zażądał naszego najlepszego człowieka.

- Ale ja odchodzę z Firmy za dziesięć dni - rzekł Connor.

- Tak, dyrektorka mu o tym powiedziała.

Ale prezydent nalegał, żebyśmy cię koniecznie przekonali, abyś został do czasu spełnienia tej misji.

Connor milczał.

- Connor, wynik wyborów w Rosji zaważy na losie całego wolnego świata.

Jeżeli ten szaleniec Żeriński zostanie wybrany, może o oznaczać natychmiastowy powrót zimnej wojny.

Prezydent będzie musiał zapomnieć o ustawie o ograniczeniu zbrojeń, a Kongres zażąda zwiększenia budżetu obronnego, co nas wszystkich zrujnuje.

- Ale w sondażach opinii publicznej Żeriński jest daleko z tyłu –rzekł Connor.

- Przecież prognozy mówią, że zdecydowanie wygra Czernopow.

- To tak wygląda teraz - stwierdził Gutenberg.

- Ale do wyborów jeszcze trzy tygodnie i prezydent - zaakcentował to słowo, wciąż wpatrując się w Biały Dom - uważa, że przy tak niestabilnym elektoracie wszystko może się zdarzyć. Byłby o wiele spokojniejszy, wiedząc, że jesteś tam, na wypadek, gdyby twoje szczególne umiejętności okazały się potrzebne.

Connor nie zareagował.

- Jeżeli się martwisz o swoją nową pracę- ciągnął Gutenberg -to chętnie pogadam z prezesem towarzystwa, gdzie będziesz zatrudniony, i wyjaśnię mu, że to tylko krótkoterminowe zadanie.

-To nie będzie konieczne - rzekł Connor.

- Ale potrzebuję trochę czasu do namysłu.

- Oczywiście - powiedział Gutenberg.

- Kiedy się zdecydujesz, zadzwoń do dyrektorki i daj jej znać, co postanowiłeś.

-Gutenberg wstał i oddalił się w stronę Placu Farraguta.

Trzy minuty później Connor wyruszył w przeciwnym kierunku.

Andy Lloyd podniósł słuchawkę czerwonego telefonu.

Tym razem natychmiast poznał głos.

- Jestem prawie pewien, kto przeprowadził misję w Bogocie –rzekł Jackson.

-Z ramienia CIA?

-spytał Lloyd.

-Tak.

- Czy ma pan dość dowodów, żeby przekonać kongresową Komisję Doboru Kadr

Wywiadu?

-Nie.

Większość tego, co zgromadziłem, odrzucono by jako dowody pośrednie.

Ale jest w tym za dużo zbiegów okoliczności, jak na mój gust.

- Na przykład?

-Agent, który moim zdaniem pociągnął za spust, został zwolniony ze służby wkrótce po tym, jak prezydent wezwał Dexter i zażądał wyjaśnień, kto jest odpowiedzialny za zabójstwo Guzmana.

- Nie do przyjęcia jako dowód.

-Możliwe.

Ale tenże agent miał objąć w Washington Provident posadę dyrektora działu porwań i okupów, gdy nagle, bez żadnego wyjaśnienia, firma się wycofała.

- To drugi zbieg okoliczności.

-Jest i trzeci.

Gutenberg spotkał się z owym agentem trzy dni później na ławce w parku na Placu Lafayette'a.

- W jakim celu?

-Żeby dać mu szansę pozostania na liście płac CIA.

- Za jaką pracę?

-Jednorazowe zadanie.

- Na czym ono polega?

-Nie mam pojęcia.

Ale proszę się nie zdziwić, jeżeli odciągnie go daleko od Waszyngtonu.

- Czy mógłby pan jakimś sposobem dowiedzieć się, dokąd?

-Nie w tej chwili.

Nawet jego żona nie wie.

- Dobrze.

Więc popatrzmy na całą sprawę z ich punktu widzenia- rzekł Lloyd.

- Jak pan myśli, co teraz robi Dexter, żeby ratować własny tyłek?

- Zanim panu odpowiem, chciałbym wiedzieć, jak wyglądało jej ostatnie spotkanie z prezydentem -rzekł Jackson.

-Dał jej i Gutenbergowi dwadzieścia osiem dni na udowodnienie, że Agencja nie miała nic wspólnego z zabójstwem Guzmanai dostarczenie niepodważalnego dowodu na to, kto go zabił.

Wyraźnie im też zapowiedział, że jeśli tego nie zrobią, zażąda ich rezygnacji i przekaże wszystkie dowody "Washington Post".

- To znaczy - powiedział Jackson po dłuższej chwili milczenia -że ten agent ma przed sobą niecały miesiąc życia.

-Ona nigdy by nie zlikwidowała jednego ze swoich ludzi – rzekł Lloyd z niedowierzaniem.

- Panie Lloyd, wydział CIA, w którym pracuje ten agent, oficjalnie nie istnieje.

-Jak to?

- On jest agentem najwyższego stopnia utajnienia, nie związanym z żadną instytucją rządową.

Dzięki temu CIA może zaprzeczyć, że wiedziała o jego działaniach, gdyby stało się coś złego.

- Hm, stało się coś bardzo złego -rzekł Lloyd.

Po chwili dodał: -To pański dobry przyjaciel, prawda?

- Tak - cicho powiedział Jackson.

-Więc lepiej niech się pan postara, żeby żył.

- Dzień dobry, pani dyrektor.

Mówi Connor Fitzgerald.

- Dzień dobry, Connorze, miło pana słyszeć.

- Głos Deuter brzmiał cieplej niż podczas ostatniego spotkania.

- Gutenberg prosił, żebym do pani zadzwonił, gdy podejmę decyzję w sprawie, o której rozmawiałem z nim w poniedziałek.

-Tak - Dexter powróciła do swego normalnego, ostrego tonu.

- Chcę się podjąć tego zadania.

-Cieszę się.

- Pod jednym warunkiem.

-To znaczy?

- Że otrzymam dowód, iż operację zatwierdził prezydent.

Zapadło długie milczenie.

- Poinformuję prezydenta o pańskim żądaniu - powiedziała Dexter.

- Więc jak to działa?

- spytała Dexter.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio była w laboratoriach w Langley.

- To jest naprawdę proste - rzekł profesor Ziegler, dyrektor służb technicznych CIA.

Odwrócił się do stanowiska komputerów i nacisnął kilka klawiszy.

Na ekranie pojawiła się twarz Toma Lawrence'a.

Dexter i Gutenberg przysłuchiwali się przez chwilę prezydentowi.

- Co w tym szczególnego?

- zapytała wreszcie Dexter.

-Wszyscy słyszeliśmy przemówienia prezydenta.

- Być może, ale tego nie słyszeliście - rzekł Ziegler.

-Co pan ma na myśli?

- spytał Gutenberg.

Na twarzy profesora wykwitł niemal dziecięcy uśmiech satysfakcji.

- Zmagazynowałem w moim komputerze- kryptonim "Tommy"- ponad tysiąc przemówień, wywiadów telewizyjnych, radiowych i rozmów telefonicznych prezydenta z ostatnich dwóch lat.

Każde słowo czy zdanie, wypowiedziane przez niego w tym czasie, jest przechowywane w pamięci komputera.

Oznacza to, że mogę sprawić, by wygłosił mowę na każdy temat, jaki państwo wybiorą.

Mogę nawet zdecydować, jakie ma zająć stanowisko w dowolnej kwestii.

Dexter zaczęła rozważać możliwości.

- Gdyby zapytać o coś "Tommy'ego", czy umiałby udzielić przekonującej odpowiedzi?

- spytała.

- Sam z siebie - nie.

Ale gdyby podała pani w przybliżeniu pytania ,na które miałby odpowiedzieć, to chyba mógłbym okpić nawet matkę Lawrence'a.

- Czyli, że musimy tylko przewidzieć, co powie druga osoba -rzekł Gutenberg.

-Co nie musi być takie trudne, jak się wydaje- stwierdził Ziegler.

- Przecież jeżeli telefonuje prezydent, nikt go nie będzie pytał pozycję dolara ani o to, co jadł na śniadanie.

W większości wypadków wiadomo, w jakiej sprawie dzwoni.

Nie wiem, do czego wam jest potrzebny "Tommy", ale gdybyście mi przygotowali pierwsze i ostatnie zdanie oraz, powiedzmy, pięćdziesiąt pytań lub twierdzeń, na które najprawdopodobniej będzie musiał zareagować, mogę prawie zagwarantować, że przeprowadzi przekonującą rozmowę.

- Jestem pewien, że możemy to zrobić – odezwał się Gutenberg.

Dyrektorka przytaknęła, a potem spytała Zieglera:

- W jakim celu wymyślono to urządzenie?

-Skonstruowano je na wypadek, gdyby prezydent umarł, kiedy Ameryka byłaby w stanie wojny, a nam by zależało, żeby wróg myślał, że żyje.

Ale "Tommy" ma wiele innych zastosowań.

Na przykład.

- Jestem o tym przekonana - przerwała mu Dexter.

Ziegler zrobił rozczarowaną minę.

Zrozumiał, że szefowa nie ma ochoty dłużej go słuchać.

- Jak długo by trwało opracowanie określonego programu?

-spytał Gutenberg.

- A ile czasu zajmie wam przygotowanie tego, co ma powiedzieć prezydent?

- odpowiedział pytaniem na pytanie Ziegler.

Na jego twarz powrócił dziecięcy uśmiech.

Naciskała brzęczyk, póki Connor nie podniósł słuchawki telefonu.

- O co chodzi, Joan?

Nie jestem głuchy.

- Mam na linii Ruth Preston, osobistą sekretarkę prezydenta.

Zaraz potem Connor usłyszał kobiecy głos:

- Czy to Connor Fitzgerald?

-Tak,słucham.

- Connor czuł, jak poci mu się dłoń trzymająca słuchawkę.
To się nigdy nie zdarzało, kiedy czekał, żeby nacisnąć spust.

- Prezydent chce z panem mówić.

Usłyszał trzask.

- Dzień dobry - powiedział znajomy głos.

- Dzień dobry, panie prezydencie.

- Myślę, że wie pan, dlaczego telefonuję.

- Tak, wiem.

Profesor Ziegler wcisnął klawisz włączający "wstępną kwestię".

Dyrektorka i jej zastępca wstrzymali oddech.

- Pomyślałem, że powinienem do pana zatelefonować i powiedzieć, że uważam tę misję za bardzo ważną.

- Pauza.

- Gdyż nie wątpię, że jest pan właściwym człowiekiem, żeby ją spełnić.

- Pauza.

- I mam nadzieję, że zgodzi się pan jej podjąć.

Ziegler nacisnął klawisz "czekać".

- Panie prezydencie, cenię sobie pańskie zaufanie - rzekł Connor

- i jestem wdzięczny, że znalazł pan czas, żeby osobiście do mnie zatelefonować.

- Numer jedenaście - mruknął Ziegler, który znalazł na pamięć

wszystkie odpowiedzi.

- Uważałem, że to najmniejsze, co mogę zrobić w tej sytuacji.

Pauza.

- Dziękuję, panie prezydencie.

Wprawdzie pan Gutenberg zapewnił mnie o pańskim zaangażowaniu i sama pani dyrektor, jak pan wie, dzwoniła dziś popołudniu, aby to potwierdzić, jednak nadal nie czułem się zdolny podjąć się tego zadania, póki nie byłem pewien, że to pański rozkaz.

- Numer siedem.

- Dobrze rozumiem pański niepokój.

- Pauza.

- Numer dziewiętnaście.

- Kiedy będzie po wszystkim, chciałbym, żeby pan razem z żoną odwiedził mnie w Białym Domu - jeżeli pani dyrektor nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Pauza.

- Numer trzy - rzekł Ziegler.

Rozległ się głośny śmiech.

Connor odsunął lekko słuchawkę od ucha.

- Będziemy zaszczytzeni, panie prezydencie - powiedział, kiedy śmiech umilkł.

- Końcowa kwestia - rzekł Ziegler.

- Doskonale.

Będzie czekał na pana po pańskim powrocie.

- Pauza.

- Często myślę, jakie to smutne, że Ameryka nie zawsze docenia swoich bezimiennych bohaterów.

- Pauza.

- Miło było z panem rozmawiać.

Do widzenia.

- Do widzenia, panie prezydencie.

Connor wciąż trzymał w ręku słuchawkę, kiedy Joan weszła do pokoju.

- I tak rozwiął się jeszcze jeden mit- powiedziała.

Connor spojrzał na nią i pytająco uniósł brwi.

- Że prezydent każdemu mówi po imieniu.

XI

Gutenberg wręczył mu dużą brązową kopertę, zawierającą cztery paszporty, trzy bilety lotnicze i banknoty w różnych walutach.

- Czy nie muszę tego pokwitować?

- spytał Connor.

- Nie.

To wszystko wypadło dość nagle, więc formalności mogą poczekać do twojego powrotu.

Kiedy będziesz w Moskwie, idź do sztabu wyborczego Żerańskiego i okaż swoją legitymację niezależnego reportera z Afryki Południowej.

Dadzą ci materiały prasowe ze szczegółowym programem jego kampanii wyborczej.

- Czy mam jakiś kontakt w Moskwie?

-Tak.

Ashley Mitchell.

- Gutenberg zawahał się.

-To jego pierwsze poważne zadanie i otrzymał tylko niezbędne informacje.

Został poinstruowany, żeby nawiązać z tobą kontakt tylko wtedy, gdy zapali się zielone światło, i wówczas ma dostarczyć ci broń.

- Marka i model?

-Jak zwykle, wykonany na zamówienie remington 700 - rzekł Gutenberg.

- Ale jeżeli Czernopow utrzyma swoją przewagę, to otwoje usługi nie będą potrzebne i w takim przypadku wrócisz do Waszyngtonu nazajutrz po wyborach.

Obawiam się, że ta misja może się okazać niewypałem.

- Miejmy nadzieję – rzucił Connor i bez podania ręki opuścił pokój wicedyrektora

CIA.

-Postawiono mnie w tak przymusowej sytuacji, że nie mogłem powiedzieć nie - rzekł Connor, wkładając do walizki jeszcze jedną niebieską koszulę.

- Mogłeś - upierała się Maggie.

- Rozpoczęcie nowej pracy od pierwszego byłoby przekonującą wymówką.

-Zamilkła na chwilę.

-Jak zareagował Ben Thompson?

- Był bardzo wyrozumiały - odparł Connor.

- Nie ma nic przeciwko temu, że bym zaczął miesiąc później.

Grudzień zawsze jest spokojnym miesiącem.

- Connor przycisnął ubrania, zastanawiając się, czy upchnie jeszcze neseser z przyborami toaletowymi.

Żałował, że nie pozwolił Maggie, aby go spakowała, ale nie chciał, żeby natknęła się na kilka drobiazgów, które by go zdradziły.

Usiadł na walizce, Maggie zatrzęsła zamek i oboje ze śmiechem opadli na łóżko.

Wziął ją w ramiona i trzymał trochę za długo.

- Connor, czy wszystko w porządku?

- cicho spytała.

- Jak najbardziej, kochanie - odparł, wypuszczając ją z objęć.

-Schwył walizkę i zniósł ją na dół.

- Przykro mi, że nie będę tutaj w Dzień Dziękczynienia.

Nie zapomnij Tarze powiedzieć, że chcę ją zobaczyć w Boże Narodzenie, dobrze?

- powiedział do Maggie, która wyszła z nim przed dom.
Zatrzymał się przy samochodzie, którego nigdy jeszcze nie widziała.
- I Stuarta też - przypomniała.
- Tak, oczywiście - rzekł, umieszczając walizkę w bagażniku.
- Cieszę się, że go znowu zobaczę.
- Znowu wziął żonę w ramiona.
Teraz pilnował się, żeby uścisk nie trwał za długo.
- O Boże, co damy Tarze na Gwiazdkę?
- nagle powiedziała Maggie.
- W ogóle o tym nie pomyślałam.
- Gdybyś zobaczyła jej ostatni rachunek telefoniczny, nie musiałabyś o tym myśleć - rzekł Connor, siadając zakierownicą.
- Nie pamiętam tego samochodu - zauważyła Maggie.
- To jeden z wozów służbowych - wyjaśnił i przekręcił kluczyk w stacyjce.
- Do zobaczenia, kochanie.
Uruchomił samochód i wyjechał na ulicę.
Nienawidził pożegnań z Maggiei zawsze starał się je maksymalnie skrócić.
Zerknął wewsteczne lusterko.
Stała na skraju podjazdu i machała do niego, kiedy skręcał w Cambridge Place i kierował się na lotnisko.
Znalazłszy się na końcu drogi dojazdowej na lotnisko Dullesa, nie musiał szukać znaku wskazującego parking dla samochodów zatrzymujących się na długi postój.
Zjechał w dół, oderwał bilet z automatu i zaparkował w odległym kącie.
Zamknął samochód i podążył do wejścia na lotnisko, następnie wjechał windą na półpiętro, gdzie znajdowało się stanowisko United Airlines.
- Dziękuję, panie Perry - powiedziała umundurowana kontrolerka sprawdzając bilet.
- Pasażerowie oczekujący na lot numer dziewięćset osiemnaście zostaną wkrótce poproszeni na pokład samolotu.
Proszę się udać do wyjścia C siedem.
Przeszedłszy przez punkt kontroli bezpieczeństwa, Connor pojechał autobusem do terminalu środkowego.
W poczekalni usiadł w najdalszym kącie, a gdy pasażerów poproszono na pokład samolotu, zajął jak zwykle miejsce z tyłu koło okna.
Dwadzieścia minut później wysłuchał kapitana, który wyjaśniał, że wprawdzie nie wystartują o czasie, ale jakimś cudownym sposobem wylądują zgodnie z rozkładem.
Tymczasem na dworcu lotniczym młody człowiek w granatowym ubraniu wystukał numer na telefonie komórkowym.
- Tak?
- spytał głośno.
- Dzwoni agent Sullivan ze "Stajni".
Ptaszek odleciał.
- Dobrze.
Zgłosił się znowu, jak wykonasz resztę zadania.
- W słuchawce zapadł cisza.
Młody człowiek wyłączył telefon i zjechał windą na parter.
Podszedł do samochodu stojącego w głębi parkingu, otworzył drzwiczki kluczykiem, wjechał na górę, uiścił opłatę i skierował się na wschód.
Trzydzieści minut później zdał kluczyki w parku samochodowym i podpisał dzienny wykaz wyjazdów; wynikało z niego, że to on używał auta tego dnia.
- Czy jest pan absolutnie pewny, że nie będzie śladu, iż on kiedykolwiek istniał?

- spytała dyrektorka.

- Żadnego śladu - odparł Gutenberg.

- Proszę nie zapominać, że nigdy nie figurował w rejestrach Firmy.

- A co z jego żoną?

-Czemu miałyby coś podejrzewać?

Jego pensja wpłynęła na ich wspólne konto.

Nie będzie się nad tym zastanawiać.

Z tego co jej wiadomo, zrezygnował ze swojej dotychczasowej posady i pierwszego stycznia zaczął pracować w Washington Provident.

- Jest jeszcze jego była sekretarka.

-Przeniosłem ją do Langley, żeby mieć ją na oku.

- Jaki wydział?

-Bliski Wschód.

- Dlaczego tam?

-Żeby był w biurze w godzinach pracy tego wydziału, od szóstej po południu do trzeciej rano.

I w ciągu najbliższych ośmiu miesięcy zapędzę ją do takiej roboty, że będzie zbyt zmęczona, żeby myśleć o czymkolwiek poza przejściem na emeryturę.

- Dobrze.

Gdzie jest w tej chwili Fitzgerald?

- W połowie drogi nad Atlantykiem - odparł Gutenberg, spojrzawszy na zegarek. Zacztery godziny wylądował na londyńskim Heathrow.

- A samochód?

- Został z powrotem odstawiony do parku samochodowego.

Będzie przemalowany i otrzymane tablice rejestracyjne.

- Co z biurem Fitzgeralda przy Ulicy M?

- Do rana zostanie opróżnione, a piętro w poniedziałek oddane w ręce agentów handlu nieruchomościami.

- Zdaje się, że pomyślał pan o wszystkim, oprócz tego, co się stanie, kiedy on wróci do Waszyngtonu - powiedziała Dexter.

- On nie wróci do Waszyngtonu - odparł Gutenberg.

Connor dołączył do długiej kolejki oczekujących na kontrolę paszportową.

Kiedy w końcu dotarł do stanowiska odpraw, urzędnik obejrzał jego paszport i powiedział:

- Życzę panu, panie Perry, miłych dwóch tygodni w Anglii.

W rubryczce "Jak długo zamierza pan przebywać Wielkiej Brytanii?"

pan Perry napisał: czternaście dni.

Ale nazajutrz na lotnisku miał się pojawić pan Lilystrand.

Obserwowało go dwóch mężczyzn, kiedy opuszczał Trzeci Terminal i wsiadał do autobusu jadącego na dworzec Victoria.

Czterdzieści dwie minuty później ci sami mężczyźni przyglądali się, gdy ustawił się w kolejce do taksówek.

Oddzielnie podążyli za czarną taksówką do Kensington Park Hotel, gdzie jeden z nich już zostawił pakiet w recepcji.

- Czy jest coś dla mnie?

- spytał Connor, podpisując kartę meldunkową.

- Tak, panie Lilystrand - odparł kierownik recepcji.

- Jakiś mężczyzna zostawił to dla pana dziś rano.

- Podał Connorowi olbrzymią brązową kopertę.

- Ma pan pokój numer dwieście jednaście.

Portier zaniesie pański bagaż.

- Dziękuję, poradzę sobie sam - powiedział.

Connor rozdarł kopertę, ledwie przestąpił próg swego pokoju.

Wewnątrz był bilet do Genewy na nazwisko Theodore'a Lilystrandai sto franków szwajcarskich.

Zdjął marynarkę i położył się na łóżku, ale mimo zmęczenia, nie mógł zasnąć.

Włączył telewizor i przesakał kanał kanał - Tara nazywała to surfingiem telewizyjnym - ale to nie pomogło.

Nigdy nie lubił oczekiwania przedawką.

Tylko wtedy ogarniały go wątpliwości.

Mówił sobie, że to jego ostatnia misja.

Zaczął myśleć Bożym Narodzeniu z Maggie i Tarą - i, tak, ze Stuartem.

Niewolno mu było nosić fotografii najbliższych i zawsze musiał wyobrażać sobie ich twarze.

Najprzykrejsze było to, że nie mógł po prostu podnieść słuchawki i porozmawiać z córką i żoną, ilekroć znajdował się za granicą.

Connor nie ruszał się z łóżka, póki nie zapadł zmrok.

Wtedy wyłonił się ze swej celi, w której miał spędzić jedną noc, i wyruszył, by znaleźć coś do zjedzenia.

U gazeciarszarni rogu kupił "Evening Standard" i zaszedł do pustawej włoskiej knajpki, na High Street Kensington.

Kelner zaprowadził go do ustronnego stolika w kącie.
Światłobyło tak słabe, że z trudem dało się czytać gazetę.
Connor zamówił dietetyczną colę i do tego dużo lodu.
Brytyjczycy nigdy nie rozumieli, co to znaczy "dużo lodu", więc się nie zdziwił, kiedy po kilku minutach kelner przyniósł wysoką szklanke, w której swobodnie pływały trzy malutkie kostki lodu i kawałek cytryny.
Zamówił cannellonii sałatkę.
Śmieszne, ale ilekroć był za granicą, wybierał ulubione potrawy Maggie.
Cokolwiek, żeby tylko ją przypominało.
"Przed rozpoczęciem nowej pracy musisz zrobić jedno: znaleźć dobrego krawca - powiedziała mu Tara, gdy ostatnio rozmawiali.
-Pójdę z tobą i pomogę ci wybrać koszule i krawaty".
"Nowa praca".
Znowu pomyślał o liście.
"Z przykrościapana informujemy.
". Tyle razy nad tym się zastanawiał i nie mógł odgadnąć, dlaczegoThompson zmienił zdanie.
Coś tu się nie zgadzało.
Zaczął czytać tytułową stronę gazety: dziewięciu kandydatów ubiegało się o wybór na urząd pierwszego burmistrza Londynu.
To dziwne, pomyślał Connor: czyż oni nie mieli zawsze burmistrza?
A Dick Whittington?
Spojrzał na fotografie rywali iich nazwiska,ale nic mu nie mówiły.
Za kilka tygodni jeden z nich będzie rządził stolicą Anglii.
Zapłacił gotówką i zostawił napiwek, który nie da kelnerowi powodu, żeby go zapamiętał.
Po powrocie do hotelu włączył telewizjo i przez parę minut oglądał komedię, która go wcale nie bawiła.
Potem próbował obejrzeć dwa filmy, wreszcie zasnął nie spokojnym snem.
Pocieszał się myślą, że jest w lepszej sytuacji niż ci dwaj, stojący na dworze na chodniku, którzy wcale nie zmrują oka.
Zauważył ich zaraz po wylądowaniu na Heathrow.

Spojrzał na zegarek.

Kilka minut po północy - kilka minut po siódmej w Waszyngtonie.

Był ciekaw, jak Maggie spędzi ten wieczór.

- Jak tam Stuart?

- spytała Maggie.

- Ciągłe przy mnie trwa - odparła Tara.

- Za piętnaście dni będzie w Los Angeles.

Nie mogę się doczekać.

- Czy oboje przylecicie wprost tutaj?

- Nie, mam - powiedziała Tara, starając się nie okazać irytacji.

- Jak ci już kilka razy mówiłam, chcemy wypożyczyć samochód i objechać Zachodnie

Wybrzeże.

Stuart nigdy nie był w Ameryce i chciałby zobaczyć Los Angeles i San Francisco.

Pamiętasz?

- Jedź ostrożnie, dobrze?

- Mam, jeżdżę samochodem od dziewięciu lat i nawet jeszcze zapłaciłam mandat.

Proszę, przestań się zamartwiać i powiedz, jak spędzisz ten wieczór?

- Idę posłuchać Placida Domingo w "Cyganerii".

Postanowiłam poczekać, aż ojca nie będzie w mieście, bo on by zasnął jeszcze przedkońcem pierwszego aktu.

- Wybierasz się sama?

- Tak.

- Więc bądź ostrożna i nie siadaj w pierwszych sześciu rzędach.

- Dlaczego?

- spytała Maggie niewinnym tonem.

- Bo jakiś bogaty, przystojny mężczyzna mógłby wyskoczyć z łóżka i cię zgwałcić.

- Uważam się za stosownie upomnianą - zaśmiała się Maggie.

- Dlaczego nie poprosisz Joan, żebyz tobą poszła?

Potem mogłybyście przegadać o tacie całą noc.

- Dzwoniłam do niej do biura, ale chyba linia jest uszkodzona.

Zatelefonuję później do domu.

- Pa, mam, porozmawiamy jutro.

- Tara wiedziała, że teraz, kiedy Connor jest poza domem, matka będzie telefonowała codziennie.

Ilekcio Connor wyjeżdżał za granicę albo wybierał się do klubu brydzowego, by partnerować ojcu Grahamowi, Maggie nadrabiała zaległości w takich sferach działań na uniwersytecie, jak Patrol Antyśmieciowy Uniwersytetu Georgetown, którego to Patrolu była członkiem-zatożycielem, Stowarzyszenie Żyjących Poetek i klub tańca irlandzkiego, gdzie udzielała lekcji.

Widok młodych tancerzy o wyprostowanych plecach i stopach lekko muskających podłogę przywodził jej na myśl Declana O'Caseya.

Był teraz cenionym profesorem, miał katedrę na Uniwersytecie Chicagowskim.

Nie ożenił się i na każde Boże Narodzenie przysyłał jej życzenia świąteczne oraz nie podpisaną kartkę na dzień świętego Walentego.

Staroświecka maszyna dopisania z krzywą czcionką "e" nieodmiennie zdradzała tożsamość adresata.

Znowu podniosła słuchawkę i wykręciła domowy numer Joan, ale nikt nie odpowiadał.

Przygotowała sobie lekką sałatkę, a potem pojechała do Centrum Kennedy'ego.

Pojedynczy bilet zawsze można było zdobyć, nawet jeżeli występował sławny tenor.

Maggie zauroczył pierwszy akt "Cyganerii" i żałowała, że nie ma się z kim podzielić wrażeniami.

Gdy opadła kurtyna, wraz z tłumem widzów podążyła do foyer.

Kiedy zbliżała się do zatłoczonego bufetu, wydało się jej, że widzi Elizabeth Thompson.

Przypomniała sobie, że Elizabeth zaprosiła ją na kawę, ale nie ponowiła zaproszenia.

Zdziwiło ją to, bo wydawało się wtedy tak szczere.

Kiedy Ben Thompson się odwrócił i ich spojrzenia się spotkały, Maggie podeszła do nich z uśmiechem.

- Miło cię widzieć, Ben - powiedziała.

- I panią też, pani Fitzgerald - odparł, ale nietym ciepłym tonem, jaki pamiętała z kolacji przed dwoma tygodniami.

I dlaczego nie zwrócił się do niej po imieniu?

Nie zrażona brnęła dalej.

- Domingo jest olśniewający, prawda?

- Tak, i mieliśmy szczęście, że udało się ściągnąć Leonarda Slatkina z St.

Louis - rzekł Ben Thompson.

Maggie zdziwiło, że nie proponuje jej nic do picia, a kiedy zamówiła sok pomarańczowy, jeszcze bardziej ją zastanowiło, że nawet nie próbuje za niego zapłacić.

- Connor nie może się doczekać, kiedy rozpocznie pracę w Washington Provident - powiedziała, pociągawszy łyksoku.

Elizabeth Thompson wydawała się zdziwiona, ale nie zareagowała.

- Jest ci szczególnie wdzięczny, Ben, za to, że zgodziłeś się przesunąć o miesiąc termin podjęcia pracy, dzięki czemu może sfinalizować kontrakt w swojej starej firmie.

Elizabeth chciała coś powiedzieć, ale zabrzmiał dzwonek zapowiadający koniec antraktu.

- Lepiej wracajmy na miejsca - zaproponował Ben Thompson, chociaż jego żona nie dopiła jeszcze napoju.

- Miło było panią znowu spotkać, pani Fitzgerald.

- Zdecydowanie ujął żonę pod rękę i skierowali się na widownię.

- Mam nadzieję, że drugi akt sprawi pani przyjemność.

Drugi akt nie sprawił Maggie przyjemności.

Nie mogła się skupić, gdyż cały czas dźwięczała jej w głowie rozmowa w foyer, którą żaden sposób nie zgadzała się z zachowaniem Thompsonów w ich domu zaledwie dwa tygodnie wcześniej.

Gdyby tylko wiedziała, jak skontaktować się z Connorem, złamałaby zasadę życia i zadzwoniła do niego.

Zrobiła więc to, co mogła najlepszego w tej sytuacji.

Wróciwszy do domu zatelefonowała znowu do Joan Bennett.

Telefon dzwonił i dzwonił bez końca.

Następnego dnia Connor wstał wcześniej.

Uregulował rachunek gotówką, złapał taksówkę i był w drodze do Heathrow, zanim dyżurny portier się zorientował, że opuścił hotel.

Za dwadzieścia ósma wsiadł do samolotu Swissair, lot 839, udającego się do Genewy.

Podróż trwała niespełna dwie godziny i gdy koła samolotu dotknęły ziemi, przestawił zegarek na wpół do jedenastej.

Podczas przerwy w podróży skorzystał z oferty Swissair i wziął prysznic.

Wszedł do "luksusowej" kabiny - jak ją określał biuletyn pokładowy - jako Theodore Lilystrand, bankier ze Sztokholmu specjalizujący się w lokatach kapitałowych, a po czterdziestu minutach wyłonił się z niej jako Piet de Villiers, reporter z gazety "Johannesburg Mercury".

I chociaż miał jeszcze całą godzinę wolnego czasu, nie bobrował w żadnym z wolnocłowych sklepów, kupił tylko rogalik i kawę w jednej z najdroższych restauracji świata.

W końcu powędrował do wyjścia numer 23.

Na samolot Aeroftotudo Sankt Petersburga czekało niewiele osób.

Gdy po kilku minutach wezwano pasażerów, Connor usiadł z tyłu samolotu.

Zastanowił się, co trzeba będzie zrobić następnego dnia rano, kiedy pociąg wjedzie na Dworzec Petersburski w Moskwie.

Wrócił jeszcze raz do instrukcji wicedyrektora CIA, dziwiąc się, dlaczego Gutenberg powtarzał: "Nie daj się złapać.

Ale jeżeli wpadniesz, stanowczo zaprzeczaj, że masz coś wspólnego z CIA.

Niemartw się - Firma zawsze o ciebie zadba".

Tylko całkiem zielonym nowicjuszom trzeba było przypominać jedenaste przykazanie.

- Samolot do Sankt Petersburga przed chwilą wystartował z naszą przesyłką na pokładzie.

- To dobrze - powiedział Gutenberg.

- Jeszcze coś?

- Nie - odparł młody agent CIA.

Zawahał się.

- Tylko że.

- Tylko co?

Wykrztusił to.

- Inny pasażer, który wsiadał do tego samolotu wydał mi się znajomy.

-Kto to był?

- rzucił Gutenberg.

- Nie pamiętam, jak się nazywa, nie jestem nawet pewien, czy go widziałem.

Nie mogłem oderwać wzroku od Fitzgeralda na dłużej niż kilka sekund.

- Dzwon do mnie natychmiast, jak sobie przypominisz, kto to taki.

-Dobrze, proszę pana.

- Młody człowiek wyłączył telefon i skierował się do wyjścia numer 9.

Za kilka godzin zasiadzieza swoim biurkiem w Bernie, wcielając się w rolę attache kulturalnego ambasady amerykańskiej.

- Dzień dobry.

Mówi Helen Dexter.

- Dzień dobry - odpowiedział chłodno szefpersonelu Białego Domu.

-Zdaje się, że prezydent chciał natychmiast wiedzieć, kiedy mężczyzna, którego polecił nam wytropić w Afryce Południowej, znów ruszy do akcji.

- Nie bardzo rozumiem - rzekł Lloyd.

-Szef naszej placówki w Johannesburgu przed chwilą mnie poinformował, że zabójca Guzmana dwa dni temu odleciał samolotem Południowoafrykańskich Linii Lotniczych do Londynu.

Miał paszport na nazwisko Martina Perry'ego.

Spędził tylko jedną noc w Londynie.

Następnego dnia rano poleciał samolotem Swissair do Genewy, korzystając z szwedzkiego paszportu na nazwisko Theodore^ Lilystranda.

Lloyd tym razem jej nie przerwał.

W końcu mógł prezydentowi odegrać wszystko z taśmy, gdyby ten chciał słyszeć słowo w słowo, co mówiła Dexter.

- W Genewie wsiadł do samolotu Aeroftotu do Sankt Petersburga, legitymując się paszportem Pieta de Villiersa.

Z Sankt Petersburga pojechał nocnym pociągiem do Moskwy.

- Do Moskwy?
Dlaczego do Moskwy?
- spytał Lloyd.

- O ile dobrze pamiętam - odrzekła Dexter - w Rosji będą wybory.

Kiedy samolot wylądował w Sankt Petersburgu, zegarek Connora pokazywał piątą pięćdziesiąt.

Connor ziewnął, przeciągnął się i dopiero gdy samolot się zatrzymał, przestawił wskazówki na czas miejscowy.

Wyjrzał przez okienko na lotnisko pogrążone w półmroku, gdyż brakowało połowy żarówek. Prószył śnieg, ale roztopiał się w powietrzu.

Stu znużonych pasażerów musiało czekać dwadzieścia minut na autobus, który przewiózł ich do budynku dworca lotniczego.

Pod niektórymi względami nic się nie zmieniło, czy rządziło KGB, czy rosyjska mafia.

Connor wyszedł na samym końcu z samolotu i potem za autobusu.

Mężczyzna, który podróżował pierwszą klasą tym samym samolotem, wysunął się pospiesznie do przodu, żeby przejść jako pierwszy przez odprawę paszportową i celną.

Był zadowolony, że Connor trzyma się podręcznikowych instrukcji.

Wysiadłszy z autobusu, mężczyzna nie oglądał się za siebie.

Wiedział, że Connor zachowa czujność.

Pół godziny później Connor wyszedł z lotniska na wyboistą drogę, zatrzymał pierwszą taksówkę i kazał jechać na Dworzec Procki.

Podróżny z pierwszej klasy podążył za Connorem do hali kasowej, która bardziej przypominała operę niż dworzec kolejowy.

Patrzył uważnie, żeby się dowiedzieć, do jakiego tamten wsiądzie pociągu.

Ale w głębi krył się jeszcze inny osobnik i ten znał nawet numer przedziału sypialnego, w którym miał jechać Fitzgerald.

Amerykański attache kulturalny w Sankt Petersburgu zrezygnował tego wieczoru z przedstawienia Baletu Kirowa, toteż mógł poinformować Gutenburga, kiedy Fitzgerald wsiadł do nocnego pociągu do Moskwy.

Nie musiałmu towarzyszyć, gdyż jego kolega w stolicy, Ashley Mitchell, będzie czekał na czwartym peronie następnego ranka i potwierdzi, czy Fitzgerald dotarł na miejsce.

Wyraźnie dano mu do zrozumienia, że to jest operacja Mitchella.

- Sleeping pierwszej klasy do Moskwy - powiedział Connor po angielsku do kasjera.

Kasjer podał mu bilet przez drewniany kontuar i z rozczarowaniem przyjął banknot o nominale dziesięciu tysięcy rubli.

Liczył na to, że zarobi drobną kwotę na różnicy w kursie wymiany - drugą tego wieczoru.

Connor sprawdził bilet i skierował się do moskiewskiego ekspresu.

Torował sobie drogę przez zatłoczony peron, mijając kilka starych, zielonych wagonów, które wyglądały, jakby pamiętały rewolucję październikową.

Zatrzymał się przy wagonie K i okazał bilet kobiecie, która stała przy otwartych drzwiach.

Skasowała go i przepuściła Connora.

Wszedł do środka i powędrował korytarzem w poszukiwaniu przedziału numer 8.

Znalazłszy go, zapalił światło i zamknął się od środka, nie po to, by się uchronić przed napadem bandytów, co często opisywała amerykańska prasa, lecz dlatego,

że znowu musiał się przeobrazić.

Widział młodzieńca o różowym obliczu, stojącego pod tablicą przylotów na lotnisku w Genewie i zastanawiał się, skąd Agencja ich rekrutuje w obecnych czasach.

Nie zadał sobie nawet trudu, żeby wyluskać z tłumy agenta w Sankt Petersburgu, gdyż wiedział, że ktoś tam będzie, by sprawdzić, czy przybył, i że ktoś inny będzie czekał na peronie w Moskwie.

Gutenberg szczegółowo opowiedział mu o Mitchellu, określając go jako początkującego agenta, nieświadomego pozycji Fitzgeralda.

Pociąg ruszył ze stacji w Sankt Petersburgu punktualnie minutę przed północą i łagodny, rytmiczny stukot kół uspił Connora.

Obudził się nagle i popatrzył na zegarek: czwarta trzydzieści siedem.

Pierwszy raz od trzech nocy spał tak długo.

Nagle przypomniał sobie swój sen.

Siedział na ławce na Placu Lafayette'a na wprost Białego Domu i rozmawiał z kimś, kto ani razu nie spojrzałw jego stronę.

Spotkanie z wicedyrektorem CIA zostało odtworzone co do jednego słowa, ale nie mógł sobie przypomnieć, co w tej rozmowie nie dawało mu spokoju.

W chwili, gdy Gutenberg miał wypowiedzieć zdanie, które chciał ponownie usłyszeć, obudził się.

Nie był bliższy rozwiązania zagadki, kiedy ośmej trzydzieści rano pociąg wjeżdżał na dworzec Raweltaj.

- Gdzie pan jest?

- zapytał Andy Lloyd.

- W budce telefonicznej w Moskwie -odparł Jackson.

- Dotarłem tu przez Londyn, Genewę i Sankt Petersburg.

Zaraz jak wysiadł z pociągu, wystrychnął wszystkich na dudka.

Zgubił naszego człowieka w Moskwie po dziesięciu minutach.

Gdybym to nie ja uczył go kiedyś jak mylić ślady, mnie też by się pozbył,

- I gdzie się zatrzymał?

- spytał Lloyd.

- W hoteliku w północnej części miasta.

-Jest tam nadal?

- Nie, wyszedł mniej więcej godzinę temu, ale był tak ucharakteryzowany, że mało brakowało, a bym go nie poznał.

Zdradził gochód.

- Dokąd się udał?

-Poszedł jeszcze inną okrężną drogą i dotarł do sztabu wyborczego Wiktora Żerińskiego.

- Dlaczego Żerińskiego?

-Jeszcze nie wiem, ale wyszedł z budynku z materiałami o kampanii wyborczej Żerińskiego.

Potem kupił plan miasta w stoisku z gazetami i zjadł lunch w pobliskiej restauracji.

Po południu wynajął mały samochód, potem wrócił do hotelu.

Od tego czasu nie opuszczał budynku.

- O Boże!

- nagle powiedział Lloyd.

-Teraz to będzie Żeriński.

Po drugiej stroniezapadło długie milczenie.

- Nie, to niemożliwe - odezwał się w końcu Jackson.

-Dlaczego?

- Nigdy by się nie podjął tak delikatnego zadania bez rozkazu bezpośrednio z Białego Domu.

Znam go dostatecznie długo, żebymieć pewność.

- Niech pan nie zapomina, że pański przyjaciel wykonał identyczne zadanie w Kolumbii.

Bez wątpienia Dexter go przekonała, żeta operacja również została zatwierdzona przez prezydenta.

- Może być jeszcze inny scenariusz -powiedział cicho Jackson.

-Mianowicie?

- Że chcą zabić nie Żerińskiego, lecz Connora.

Lloyd zanotował imię w żółtym bloczku.

Księga druga

Samotny gracz.

XII

- Amerykanin?

-Tak - odparł Jackson, nie patrząc w dół, skąd dochodził piskliwy głosik.

- Potrzeba ci czegoś?

-Nie, dziękuję - powiedział, nadalnie odrywając oczu od drzwi hotelu.

- Musisz czegoś potrzebować.

Amerykanom zawsze czegoś potrzeba.

- Nic nie chcę.

Idź sobie - stanowczo powtórzył Jackson.

- Kawior?

Rosyjskie lalki?

Mundur generalski?

Czapka futrzana?

Kobieta?

Jackson pierwszy raz spojrzął na chłopca.

Cały tonął w kożuszkę za dużym na niego o trzy rozmiary.

Na głowie miał czapkę z króliczego futra, z każdą minutą coraz bardziej upragnioną przez Jacksona.

Uśmiechając się odsłonił dwie szczyrby.

- Kobieta?

O piątej rano?

- Dobra pora na kobietę.

A może wolisz mężczyzn?

- Ile sobie liczysz za swoje usługi?

-Jakie usługi?

- podejrzliwie spytał chłopiec.

- Posłańca.

-Posłańca?

- No to pomocnika.

-Pomocnika?

- Asystenta.

-A, chodzi ci o współnika, jak w filmach amerykańskich?

- No, dobrze, mądrało, skoro uzgodniłszy nazwę twego zajęcia, to teraz ustalmy stawkę.

-Za dzień?

Za tydzień?

Za miesiąc?

- Za godzinę.

- Ile dajesz?

-Mały biznesmen, co?

- Uczymy się od Amerykanów - powiedział chłopiec, uśmiechając się od ucha do ucha.

-Dolara - rzucił Jackson.

Chłopak wybuchnął śmiechem.

- Może ja jestem mądrała, ale ty jesteś zgrywus.

Dziesięć dolarów.

- To zwykle zdzierstwo.

Chłopiec pierwszy raz miał niepewną minę.

- Dam ci dwa.

-Sześć.

- Cztery.

-Pięć.

- Zgoda - rzekł Jackson.

Chłopiec podniósł wysoko w górę prawą rękę - co też widywał w amerykańskich filmach.

Jackson uderzył dłonią w jego dłoń.

Dobili targu.

Chłopiec natychmiast spojrzał na swój zegarek marki Rolex.

- Jak ci na imię?

- spytał Jackson.

- Siergiej - odparł chłopiec.

- A ty?

- Jackson.

Ile masz lat?

- A ile chcesz, żebym miał?

-Nie pleć bzduri powiedz, ile masz lat.

- Czternaście.

-Dałbym ci najwyżej dziewięć.

- Trzynaście.

-Dziesięć.

- Jedenaście.

-Niech ci będzie jedenaście.

- A ty ile masz lat?

- spytał chłopiec.

- Pięćdziesiąt cztery.

-Niech ci będzie pięćdziesiąt cztery - rzekł Siergiej.

Pierwszy raz od wielu dni Jackson się roześmiał.

- Jak to się stało, że tak dobrze mówisz po angielsku?

- spytał, wciąż nie spuszczając oczu z drzwi hotelu.

- Moja mama żyje z Amerykaninem wiele lat.

On wraca do Stanów, ale nas nie zabiera.

Tym razem Jackson wierzył, że chłopak mówi prawdę.

- Jaka to robota, wspólniku? - zagadnął Siergiej.

- Trzeba mieć na oku kogoś, kto zatrzymał się w tym hotelu.

-Przyjaciół czy wróg?

- Przyjaciół.

-Mafia?

- Nie, on jest po dobrej stronie.

-Nie traktuj mnie jak dziecka - rzekł Siergiej urazą w głosie.

-Jesteśmy wspólnikami, pamiętasz?

- W porządku, Siergiej.

To przyjaciel- powiedział Jackson.

W tym momencie Connor ukazał się w drzwiach.

- Nie ruszaj się.

-Chwycił chłopca mocno za ramię.

- To on?

- spytał Siergiej.

- Tak, to on.

-Ma sympatyczną twarz.

Lepiej, żebym był po jego stronie.

Dzień Wiktora Żerińskiego dopiero się zaczął; zegar wskazywał ósmą z minutami. Żeriński przewodniczył posiedzeniu komitetu centralnego partii komunistycznej, a jego szef sztabu wyborczego, Dmitrij Titow, wygłaszał sprawozdanie.

- Do Moskwy przybyło międzynarodowe grono obserwatorów -mówił Titow - żeby kontrolować prawidłowość przebiegu wyborów.

Zasadniczo interesują ich wszelkie oznaki świadczące o oszustwach wyborczych, lecz przewodniczący już przyznał, że przy tak olbrzymim i tak szeroko rozrzuconym elektoracie nie ma sposobu, aby wykryć każde uchybienie.

Titow na zakończenie powiedział, że obecnie, gdy towarzysz Żeriński wywindował się na drugie miejsce w sondażach opinii publicznej, mafia pcha jeszcze więcej pieniędzy w kampanię Czernopowa.

Żeriński gładził gęstego wąsa, spoglądając pokolei na każdego z mężczyzn siedzących wokół.

- Kiedy zostanę prezydentem - oznajmił, wstając ze swego miejsca u szczytu stołu - wtrącę tych drani z mafii jednego po drugim do więzienia.

Wtedy do końca życia będą mogli liczyć tylko kamienie.

-Członkowie komitetu centralnego wielokrotnie słyszeli, jak ich przywódca atakuje mafię, chociaż nigdy nie robił tego publicznie.

Niski, zwalisty mężczyzna uderzył pięścią w stół.

- Rosja musi powrócić do starodawnych wartości, za które szanował nas świat.

- Dwudziestu jeden obecnych potaknęło, chociaż w ciągu kilku ostatnich miesięcy wiele razy słyszeli te słowa.

- Przez ostatnie dziesięć lat zajmowaliśmy się tylko importowaniem tego, co najgorsze w Ameryce.

Dalej kiwali głowami i wlepiali wzrok w twarz przywódcy.

Żeriński przesunął ręką po gęstych, czarnych włosach, westchnął i opadł na krzesło.

Spojrzał na szefa swego sztabu wyborczego.

- Co robię dziś rano?

- zapytał.

- Odwiedza pan Muzeum imienia Puszkina - rzekł Titow.

-Oczekują pana o dziesiątej.

- Odwołać!

Niepotrzebna strata czasu, a do wyborów tylko osiem dni.

- Znów uderzył w stół.

-Powiniennem pokazywać się na ulicach, żeby ludzie mnie widzieli.

- Ale dyrektor muzeum wystąpił o fundusze rządowe na odrestaurowanie prac największych artystów rosyjskich - rzekł Titow.

-Marnowanie pieniędzy- powiedział Żeriński.

- I Czernopowa skrytykowano za obcięcie subsydiów na sztukę -ciągnął Titow.

-No dobrze.

Poświęcę im piętnaście minut.

- Dwadzieścia tysięcy Rosjan odwiedza co tydzień Muzeum imienia Puszkina - dodał Titow, zaglądając do spisanych na maszynie notatek.

-Niech będzie pół godziny.

- Czernopow oskarżył pana w zeszłym tygodniu w telewizji, że jest pan nieukiem.

-Co takiego?

- ryknął Żeriński.

-Studiowałem prawo na Uniwersytecie Moskiewskim, kiedy on był robotnikiem rolnym.

- To prawda, panie przewodniczący - rzekł Titow -ale nasze wewnętrzne sondaże potwierdzają, że ludzie są innego zdania i że słowa Czernopowa do nich trafiają.

-Wewnętrzne sondaże?

Jeszcze coś, co zawdzięczamy Amerykanom.

- Dzięki nim Tom Lawrence objął urząd.

-Jak mnie wybiorą, sam utrzymam się na urzędzie.

Connor pokochał sztukę jeszcze w czasach studenckich, dzięki Maggie, która ciągnęła go po galeriach.

Z początku towarzyszył jej tylko po to, żeby z nią dłużej przebywać, ale po paru tygodniach połąkali bakcyła.

Ilekcioć wyjeżdżali gdzieś razem, chętnie szedł z nią do galerii, jaką wybrała, a gdy przenieśli się do Waszyngtonu, zostali Sympatykami Galerii Coreorana i członkami Kolekcji Phillipsa. Kiedy Żeriński,oprowadzany przez dyrektora,zwiedzał Muzeum Sztuki imienia Puszkina, Connor musiał się pilnować, żeby nie patrzeć na liczne arcydzieła, ale skupić się na obserwacji komunistycznego przywódcy.

W latach osiemdziesiątych, kiedy pierwszy raz wysłano go doRosji, wyżsi politycy najbliższej stykali się z ludem spoglądając nań z trybuny z okazji pochodów pierwszomajowych.

Lecz teraz, kiedy masy mogły dokonywać wyboru, trzeba było wśród nich przebywać, a nawet wysłuchiwać ich opinii.

Galeria była zatłoczona jak stadion Cooke'a podczas meczu Czerwonoskórych i tam, gdzie pojawiał się Żeriński, tłum rozstępował się niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Kandydat na prezydenta wolno posuwał się między moskwianami, a ich powitalnie wyciągnięte dłonie bardziej go interesowały niż rzeźby i obrazy.

Żeriński był niższy, niż wydawał się na fotografiach, a dla poprawy samopoczucia otaczał się switą jeszcze niższych doradców.

Connor przypomniał sobie, co prezydent Truman powiedział kiedyś pewnemu studentowi z Missouri na temat wzrostu: "Jeśli chodzi o cale,mój drogi chłopcze, tylko czoło należy brać pod uwagę.

Lepiej mieć jeden cal więcej między nasadą nosa i linią włosów niż między kostką i rzepką".

Connor zauważył,że próżność Żerińskiego nie znajduje odbicia w jego stroju.

Miał na sobie źle skrojone ubranie i koszulę wytartą przy kołnierzyku i mankietach.

Connor nie był pewien, czy to mądrze ze strony dyrektora Muzeum, że występuje

W szytym na miarę garniturze, który na pewno nie został skrojony w Moskwie.

Connor wiedział, że Żeriński jest bystrym i wykształconym człowiekiem, jednak prędko wyszło na jaw, że rzadko bywa w galeriach sztuki.

Uwijając się wśród tłumu od czasu do czasu wskazywał palcem któreś z płócien i głośno wymieniał nazwisko artysty.

Parokrotnie się pomylił, lecz tłummu przyklasnął.

Zignorował wspaniałegoRubensa, bardziej interesując się stojącą w tłumie matką tulącą dziecko, niż arcyzmem, z jakim została przedstawiona taka sama scena tuż za nią.

Gdy wziął dziecko na ręce i ustawił się do zdjęcia razem z matką, Titow poradził, aby przesunął się trochę w prawo.

Wtedy zdjęcie obejmie również Najświętszą Pannę i każda gazeta zechce je zamieścić na pierwszej stronie.

Po przejściu kilkunastu sal i upewnieniu się, że wszyscy zwiedzający są świadomi jego obecności, Zeriński się znudził i obdarzył uwagę dziennikarzy, depreczających mu po piętach. Na podeście pierwszego piętra zainicjował zaimprovizowaną konferencję prasową.

- No, dalej, pytajcie mnie, o co chcecie - zaczął, spoglądając spode łba na tłumek reporterów.

- Co pan sądzi o najnowszych badaniach opinii publicznej?

- zapytał moskiewski korespondent "Timesa".

- Zmierzają we właściwym kierunku.

- Jest pan teraz na drugim miejscu - zawołał inny dziennikarz - więc Czernopow ma w panu jedyne prawdziwego rywala!

- W dniu wyborów to ja będę miał w nim jedyne prawdziwego rywala - odrzekł Zeriński.

Jego świta posłusznie zarechotała.

- Czy uważa pan, że Rosja powinna stać się na powrót państwem komunistycznym?

- padło nieuchronne pytanie, wypowiedziane z amerykańskim akcentem.

Chytry polityk był zbyt czujny, żeby się na to złapać.

- Jeśli rozumie pan przez to powrót do wyższego zatrudnienia, niższą inflację i lepszy standard życia, to odpowiedź musi brzmieć - tak.

- Mówił zupełnie jak amerykański kandydat republikański podczas prawyborów.

- Ale Czernopow twierdzi, że właśnie do tego zmierza obecna polityka rządu.

- Obecna polityka rządu zmierza do tego, by na szwajcarskie konto premiera płynęło jak najwięcej dolarów.

Te pieniądze są własnością ludu rosyjskiego i dlatego Czernopow nie nadaje się na naszego następnego prezydenta.

Powiadają, że kiedy "Fortune" opublikuje w najbliższym numerze listę dziesięciu najbogatszych ludzi świata, Czernopow będzie na siódmym miejscu.

Wybermy go na prezydenta, to w pięć lat przegoni Billa Gatesa.

Nie, mój przyjacielu - ciągnął Zeriński - przekonasz się, że rosyjski lud głośno się wypowie za powrotem dni, kiedy byliśmy najbardziej szanowanym krajem świata.

- I wzbudzającym największy strach?

- rzucił inny dziennikarz.

- Wolałbym raczej to niż obecną sytuację, kiedy jesteśmy po prostu ignorowani przez resztę świata - rzekł Zeriński.

Teraz dziennikarze notowali każde jego słowo.

- Czemu twój przyjaciel tak się interesuje Wiktorem Zerińskim?

- szepnął Siergiej na drugim końcu sali.

- Zadajesz za dużo pytań - odparł Jackson.

- Zeriński to zły człowiek.

- Dlaczego?

- spytał Jackson nie odrywając oczu od Connora.

- Jak go wybiorą, wsadzi takich jak ja do więzienia i wszystko będzie jak za "dawnych dobrych dni", a on na Kremlu będzie się obżerał kawiozem i pił wódkę.

Zeriński ruszył do wyjścia, a za nim, próbując dotrzymać mu kroku, dyrektor i towarzysząca świta.

Przystanął na najwyższym stopniu, by sfotografowano go na tle olbrzymiego płótna Goi "Zdjęcie z krzyża".

Obraz tak przykuł uwagę Connora, że przesuwający się tłum omal go nie przewrócił.

- Jackson, podoba ci się Goya?

- szepnął Siergiej.

- Nie widziałem wielu jego obrazów - przyznał Amerykanin.

-Ale tak.

Jest wspaniały.

- Mają jeszcze kilka w podziemiach- rzekł Siergiej.

- Mógłbym jeden zorganizować.

-zrobił znaczący ruch palcami.

Jackson chętnie przyłożyłby chłopcu, gdyby nie ściągnęło to na nich uwagi.

- Twój człowiek wychodzi - nagle powiedział Siergiej.

Jackson podniósł wzrok i ujrzał, jak Connor znika w bocznych drzwiach galerii.

Connor siedział sam w greckiej restauracji na Prieczistiencei rozmyślał o tym, co widział przed południem.

Chociaż Żerińskiego cały czas otaczała banda drabów z oczami biegającymi na wszystkie strony, jednak nie chroniono go tak dobrze, jak większości zachodnich polityków.

Możliwe, że kilku tych osiłków było dzielnych i bystrych, jednak tylko trzech zdawało się mieć jakieś doświadczenie w ochronie przywódcy światowej rangi.

Ale oni niemogli być bez przerwy na służbie.

Próbując się uporać z niesmaczną musaką, studiował dalszy program Żerińskiego, aż do dnia wyborów.

Kandydat na prezydenta miał wystąpić publicznie dwadzieścia siedem razy w ciągu najbliższych ośmiu dni.

Zanim kelner przyniósł czarną kawę, Connor zdążył wytypować trzy miejsca, które by wchodziły w grę, gdyby trzeba byłoby wyeliminować z list wyborczych jednego z kandydatów.

Sprawdził godzinę.

Wieczorem Żeriński będzie przemawiał na spotkaniu partyjnym w Moskwie.

Nazajutrz pojedzie pociągiem do Jarosławia, gdzie dokona uroczystego otwarcia fabryki, a potem wróci do stolicy na występ baletu Teatru Bolszoi.

Stąd pojedzie nocnym pociągiem do Sankt Petersburga.

Connor zdecydował już, że ruszy za Żerińskim do Jarosławia.

Zarezerwował też bilet na balet na pociąg do Sankt Petersburga.

Popijając kawę Connor myślał o Mitchellu, który w Muzeum imienia Puszkina chował się za najbliższym filarem, ilekroć spojrzał w jego stronę, i z trudem hamował śmiech.

Postanowił, że pozwoli Mitchellowi chodzić za sobą w ciągu dnia - może w jakimś momencie okazać się pożyteczny - ale nie dopuści, by się dowiedział, gdzie śpi w nocy.

Wyjrzał przez okno i zobaczył attache kulturalnego; siedział na ławce i czytał "Prawdę".

Connor uśmiechnął się.

Zawodowiec zawsze powinien umieć obserwować tropioną zwierzynę nie będąc widzianym.

Jackson wydobyl portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął sturublowy banknot i podał chłopcu.

- Przynies nam coś do jedzenia, ale nie zbliżaj się do tej restauracji – powiedział wskazując ruchem głowy na drugą stronę ulicy.

-Nigdy nie byłem w żadnej restauracji.

Na co masz ochotę?

- Zjem to, co ty.

-Jesteś pojętny, Jackson- rzucił Siergiej i gdzieś pobiegł.

Jackson omiótł wzrokiem ulicę.

Człowiek siedzący na ławce czytający "Prawdę" nie miał na sobie płaszcza.

Widocznie wyobrażał sobie, że inwigilację prowadzi się tylko w ciepłych, wygodnych pomieszczeniach, ale straciwszy z oczu Fitzgeralda poprzedniego dnia, najwyraźniej nie chciał ryzykować i ruszać się z miejsca.

Miał purpurowe uszy, twarz zaczerwienioną od zimna i nikogo, kto bymu przyniósł coś do jedzenia.

Jackson wątpił, czy zobaczą go jutro.

Siergiej wrócił po kilku minutach z dwoma papierowymi torbami.

Jedną podał Jacksonowi.

- Big Mac z frytkami i keczupem - oznajmił.

-Dlaczego mi się wydaje, że jeśli Żeriński zostanie prezydentem, zamknie McDonalda?

- mruknął Jackson.

Ugryzł kęs hamburgera.

- I pomyślałem, że to ci się przyda - rzekł Siergiej, podając mu oficerską czapkę z króliczego futra.

-Czy sto rubli wystarczyło na wszystko?

- spytał Jackson.

- Nie, czapkę gwizdłem - powiedział spokojnie Siergiej.

- Pomyślałem, że bardziej jej potrzebujesz niż "tamten".

- Mógłbyś nas obu wpakować do więzienia.

-Wątpię - rzekł Siergiej.

- W Rosji jest dwa miliony wojskowych.

Połowa od miesięcy nie dostaje żołdu, a większość sprzedałaby własną siostrę za sto rubli.

Jackson przymierzył czapkę - pasowała idealnie.

Nie odzywali się do siebie, pochłaniając obiad ze wzrokiem wlepionym w restaurację.

- Jackson, widzisz tego faceta, co siedzi na ławce i czyta "Prawdę"?

-Tak - wykrztusił Jackson między jednym idrugim kęsem.

- Był dziś rano w galerii.

-Ty też jesteś pojętny - rzekł Jackson.

- Nie zapominaj, że mam matkę Rosjankę - rzucił Siergiej.

-Przy okazji, po czyjej stronie jest ten facet?

- Wiem, kto mu płaci - odparł Jackson - ale nie wiem, po czyjej stoi stronie.

XIII

Connor przyszedł do Muzeum Lenina jako jeden z ostatnich.

Zajął miejsce z tyłu sali, w części zarezerwowanej dla prasy i starał się jak najmniej rzucać w oczy.

Wrócił myślami do poprzedniego wiecu w Rosji, w którym uczestniczył.

Wtedy także przybył, aby posłuchać kandydata komunistów, ale działo się to w czasach, gdy na kartkach wyborczych widniało tylko jedno nazwisko.

Co było zapewne powodem, że w dniu wyborów frekwencja wyniosła tylko siedemnaście procent.

Rozejrzał się po sali.

Chociaż kandydat na prezydenta miał się pojawić dopiero za piętnaście minut, wszystkie miejsca siedzące były już zajęte, a w przejściach panował tłok.

Na podium kręciło się paru ludzi, sprawdzając, czy wszystko jest tak, jak sobie życzy przywódca.

Starszy człowiek ustawiał w głębi okazałe krzesło.

Zgromadzenie partyjne w niczym nie przypominało amerykańskiej konwencji wyborczej.

Ubrania delegatów, jeśli ci ludzie rzeczywiście nimi byli, uderzały szarżyzną.

Wyglądali na niedożywionych i siedzieli w milczeniu oczekując Żerińskiego.

Connor opuścił głowę i zaczął robić notatki; nie miał ochoty wdawać się w rozmowę z dziennikarką po lewej.

Zdażyła już powiedzieć korespondentowi, który sąsiadował z nią z drugiej strony, że reprezentuje "Istanbul News", jedyną anglojęzyczną gazetę w Turcji, i że zdaniem jej naczelnego byłoby nieszczęściem, gdyby Żeriński został prezydentem.

Oznajmiła też, że napisała w ostatniej korespondencji, iż przywódca komunistów ma szansę wygranej.

Gdyby spytała Connora o zdanie, musiałby się z nią zgodzić.

Prawdopodobieństwo, że będzie musiał wypełnić swą misję, zwiększało się z każdą godziną.

Po chwili turecka dziennikarka zaczęła szkicować portret Żerińskiego.

Widać jej gazetanie mogła sobie pozwolić na taki luksus jak własny fotograf i prawdopodobnie korzystała z usług agencji oraz pomysłów reporterki.

Connor musiał przyznać, że rysunek dobrze oddawał podobieństwo.

Znowu rozejrzał się wokół.

Czy byłoby możliwe zabić kogoś w sali tak zatłoczonej jak ta?

Nie, jeżeli chciało się mieć szansę ucieczki.

Można by próbować zaatakować Żerińskiego w jego samochodzie, choć na pewno był dobrze strzeżony.

Żaden zawodowiec nie zaryzykowałby bomby, gdyż często ofiarą takiego zamachu padali niewinni ludzie, natomiast jego obiekt uchodził z życiem.

Jeżeli ma mieć szansę ratunku, musi na otwartej przestrzeni użyć karabinu o dużej sile rażenia.

Nick Gutenberg zapewnił go, że odpowiednio dostosowany remington 700 znajdzie się w ambasadzie amerykańskiej na długo przed jego przyjazdem do Moskwy - jeszcze jedno nadużycie poczty dyplomatycznej.

Jeśli Lawrence wyda rozkaz, wybór czasu i miejsca będzie należał do Connora.

Po drobiazgowym przestudiowaniu trasy Żerińskiego Connor wytypował

Siewierodwińsk, gdzie przywódca komunistyczny miał przemawiać na wiecu w stoczni dwa dni przed wyborami.

Connor zaczął się zaznajamiać z różnymi rodzajami dźwigów, jakie pracowały na rosyjskich nabrzeżach, i rozważać możliwość ukrycia się którymś z nich przez dłuższy czas.

Ludzie zaczęli odwracać głowy, więc Connor też się obejrzał.

Dosali weszła grupa mężczyzn wle uszytych ubraniach, wybrzuszonych pod pachami.

Uważnie badali wzrokiem salę, do której zachwilę miał wkroczyć wódz.

Connor widział, że ich metody są prymitywne i nieskuteczne, ale jak wszyscy funkcjonariusze sił bezpieczeństwa prawdopodobnie liczyli na to, że sama ich obecność i liczba podziała odstrasząco.

Przyjrzał się twarzom: wszyscy trzej zawodowcy byli na służbie.

Nagle z tyłu sali rozległy się głośne oklaski, a potem okrzyki.

Członkowie partii wstali jak jeden mąż na powitanie swego przywódcy.

Nawet dziennikarze musieli powstać, żeby go dojrzeć.

Żeriński co chwile przystawał i ścisnął wyciągnięte ręce.

Kiedy wreszcie doszedł do podium, wrzawa była ogłuszająca.

Podstarzały przewodniczący, który cierpliwie czekał, poprowadził Żerińskiego na podium i ku wielkiemu krzesłu.

Żeriński usiadł, on zaś wolnym krokiem podążył do mikrofonu.

Publiczność zajęła na powrót miejsca i umilkła.

Przewodniczący niezręcznie przedstawił "nowego prezydenta Rosji", a im dłużej mówił, tym bardziej niecierpliwiła się publiczność.

Ludzie ze świty Żerińskiego, którzy stali za swym przywódcą, zaczęli się wiercić i złościć.

Na koniec mężczyzna w krasomówczym zapale nazwawszy Żerińskiego "naturalnym sukcesorem Włodzimierza Iljicza Lenina", usunął się na bok, by zrobić miejsce wodzowi. Z miny Żerińskiego można było poznać, że porównanie z Leninem nie było mu w smak.

Na widok Żerińskiego, który wstał i wystąpił naprzód, tłum znowu ożył.

Przywódca wznosił w górę ramiona, a tłum odpowiedział gromkim okrzykiem.

Connor niespuszczał oczu Żerińskiego.

Uważnie obserwował każdy jego ruch, postawę, pozę.

Jak wszyscy ludzie obdarzeni energią, kandydat na prezydenta ani chwili nie stał spokojnie.

Gdy Żeriński uznał, że owacja trwa dostatecznie długo, machnięciem ręki nakazał ludziom usiąść.

Connor odnotował, że cały rytuał od początku do końca trwał nieco ponad trzy minuty.

Żeriński odczekał, aż wszyscy usiądą i zapanuje niczym nie zmacona cisza.

- Towarzysze - zaczął mocnym głosem.

- To dla mnie wielki zaszczyt, że stoję przed wami jako wasz kandydat.

Z każdym dniem coraz bardziej sobie uświadamiam, że Rosjanie chcą zacząć wszystko od nowa.

Chociaż niewielu obywateli życzy sobie powrotu dodawnego totalitarnego reżimu, większość pragnie sprawiedliwszego podziału bogactwa, wytworzonego dzięki ich umiejętnościom i ciężkiej pracy.

Znów zerwały się oklaski.

- Nie zapominajmy - ciągnął Żeriński - że Rosja może znowu stać się najbardziej szanowanym państwem świata.

Jeżeli inne kraje żywią co do tego wątpliwości, za mojej prezydentury niechaj czynią to na własne ryzyko.

Dziennikarze zawzięcie notowali, a sala znów rozbrzmiała okrzykami.

Upłynęło prawie dwadzieścia sekund, nim Żeriński mógł mówić dalej.

- Spójrzcie, towarzysze, na ulice.

Tak, ujrzyście mercedesy, BMW i jaguary, ale kto nimi jeździ?

Garstka uprzywilejowanych.

Ta właśnie garstka się spodziewa, że zostanie wybrany Czernopow i że będzie mogła nadal cieszyć się stylem życia, o jakim nikt natej sali niemoże nawet marzyć.

Nadszedł czas, przyjaciele, aby to bogactwo - wasze bogactwo - podzielić między wielu, nie między nielicznych.

Tęsknie wyglądam dnia, kiedy Rosja nie będzie się chlubić tym, że posiadawiecej limuzyn niż zwykłych samochodów, więcej jachtów niż łódek rybackich i więcej kont w bankach szwajcarskich niż szpitali,

Znowu wybuchła długotrwała owacja.

Gdy wrzawa ucichła, Żeriński przemówił ciszej, ale każde jego słowo docierało do najodleglejszego zakątka sali.

- Kiedy zostanę waszym prezydentem, nie będę zakładał kont bankowych w Szwajcarii, ale fabryki w całej Rosji.

Nie będę wypoczywał w luksusowej dacy, ale pracował dzień i noc dla mojego kraju.

Będę wam służył z oddaniem i pensja prezydenta aż nadto mnie zadowoli - nie będę brał łapówek od nieuczciwych biznesmenów, których interesuje tylko rabunek majątku narodowego.

Tym razem dopiero po minucie mógł kontynuować przemówienie.

- Z tyłu - rzekł, wskazując serdelkowatym palcem zgromadzonych dziennikarzy - siedzą przedstawiciele prasy światowej.

- Przerwał, skrzywił usta i dodał: - Czy mogę powiedzieć, jak mile są widziani?

Ta uwaga nie została przyjęta oklaskami.

- Jednak chciałbym im uzmysłowić, że kiedy zostanę prezydentem, będą musieli stale być w Moskwie, nie tylko w okresie przedwyborczym.

Bo wtedy Rosja nie będzie czekać na okruchy z pańskiego stołu po spotkaniu Klubu Siedmiu, ale znowu będzie odgrywać główną rolę na arenie świata.

Gdyby wybrany został Czernopow, Amerykanie bardziej by się liczyli ze zdaniem Meksyku niż Rosji.

W przyszłości prezydent Lawrence będzie musiał słuchać waszego głosu, nie tylko opowiadać dziennikarzom, jak to on lubił Borysa.

Na sali rozległ się śmiech.

- Może sobie wszystkim mówić po imieniu, ale do mnie będzie się zwracał "panie prezydencie".

Connor wiedział, że amerykańskie środki przekazu powtórzą tę wagę od wybrzeża do wybrzeża i że każde słowo tego przemówienia będzie wielokrotnie przeżuwane w Pokoju Owalnym.

- Przyjaciele, dzieli nas tylko osiem dni od momentu, kiedy naród podejmie decyzję – rzekł Żeriński.

- Wykorzystajmy ten czas, by zapewnić sobie miażdżące zwycięstwo w dniu wyborów. Zwycięstwo, które obwieści wszem wobec, że Rosja z powrotem jest potęgą, z którą się trzeba liczyć na scenie świata.

- Głos Żerińskiego potężniał z każdym słowem.

- Ale nie czyńcie tego dla mnie.

Ani nawet dla partii komunistycznej.

Zróbcie to dla następnego pokolenia Rosjan, żeby mogli odegrać rolę obywateli największego narodu świata.

Zatem, kiedy oddacie swój głos, zróbcie to wiedząc, że znów uczynimy lud przewodnią siłą narodu.

- Przerwał i obrzucił wzrokiem audytorium.

- Proszę tylko o jedno - o zaszczyt przewodzenia temu ludowi.

- Zniżając głos niemal do szeptu, zakończył: - Pragnę być waszym sługą.

Postąpił krok w tył i wyrzucił w górę ramiona.

Publiczność zerwała się z miejsc.

Końcowa część przemówienia trwała czterdzieściosiedem sekund i mówca ani przez chwilę nie stał nieruchomo.

Najpierw przesunął się w prawo, potem w lewo, podnosząc kolejno prawą i lewą rękę, ale nigdy nie wytrwał w jednej pozycji dłużej niż kilka sekund.

Potem nisko się skłonił i, zastygłszy w bezruchu na dwanaście sekund, nagle wyprostował się i zaczął klaskać wraz z publicznością.

Pozostał na środku podium jeszcze przez jedenaście minut, powtarzając raz poraz kilka swych gestów.

Nasyciwszy się owacją i uznawszy, że nic więcej nie wycisnie z publiczności, zstąpił po schodach wraz ze swoją świtą.

Kiedy sunął głównym przejściem, wrzawa dosięgła zenitu i wyciągnęło się ku niemu jeszcze więcej rąk.

Żeriński uściśnął tyle, ile mógł, powoli podążając dowyjścia.

Connor ani na chwilę nie spuszczał go z oka.

Nawet po wyjściu Żerińskiego tłum wznosił okrzyki.

Ustały dopiero wtedy, gdy ludzie zaczęły opuszczać salę.

Connor spostrzegł kilka charakterystycznych ruchów głowy i rąk, drobne, często powtarzane gesty.

Zorientował się już, że niektóre poruszenia towarzyszą pewnym wyrażeniom, i był pewien, że wkrótce potrafi je przewidzieć.

- Twój przyjaciel wychodzi - odezwał się Siergiej.

- Iść za nim?

- Nie trzeba - powiedział Jackson.

- Wiadomo, gdzie spędzi noc.

A ten biedny drań, który depcze mu popiętach, będzie miał ładny taniec przez najbliższą godzinę.

-Co teraz robimy?

- spytał Siergiej.

- Prześpij się trochę.

Czuję, że jutro czeka nas ciężki dzień.

- Jeszcze mi nie zapłaciłeś za dzisiaj - rzekł Siergiej i wyciągnął rękę.

- Dziewięć godzin po sześćdolarów - należy się pięćdziesiąt sześć dolarów.

- Ejże, chyba osiem godzin po pięćdolarów za godzinę - rzekł Jackson.

- No, ale nie zaszkodziło spróbować.

-Podał chłopcu czterdzieści dolarów.

- A jutro?

- zapytał mały wspólnik, przeliczywszy ischowawszy pieniądze do kieszeni.

-O której mam przyjść?

- Spotkajmy się przed jego hotelem o piątej, tylko się nie spóźnij.

Przypuszczam, że pojedziemy za Żerińskim do Jarosławia, potem wrócimy do Moskwy, a później wyprawimy się do Sankt Petersburga.

- Masz szczęście, Jackson.

Urodziłem się w Sankt Petersburgu i znam tam każdy kąt.

Tylko pamiętaj, poza Moskwą biorę podwójną taryfę.

- Wiesz, Siergiej, jak tak dalej pójdzie, to niedługo sam się wyeliminujesz z rynku.

XIV

Maggie wyjechała z parkingu uniwersyteckiego minutę po dwunastej.

Skręciła w lewo Prospect Street, na chwilę zwolniła przy pierwszym znaku stopu, po czym znów przyspieszyła.

Nigdy nieprzeznaczała więcej niż godzinę na lunch jeśli nie znajdzie miejsca parkingowego blisko restauracji, skróci to czas spotkania.

A dziś zależało jej na każdej chwili.

Coprawda, gdyby zwolniła się na całe popołudnie, nikt z jej personelu nie miałby przeciwko temu.

Gdyby teraz, po dwudziestuśmiu latach pracy na uniwersytecie - a sześciuostatnich w charakterze dziekana wydziału rekrutacji - wystąpiła o zapłatę wstecz z nadgodziny, uniwersytet musiałby ogłosić specjalną zbiórkę.

Przynajmniej dziś los jej sprzyjał.

Jakaś kobieta wycofywała samochód z miejsca tuż obok restauracji, w której była umówiona. Maggie wrzuciła do licznika cztery ćwierćdolarówki, aby opłacić godzinę postoju.

Wchodząc do Cafe Milano podała starszemu kelnerowi swoje nazwisko.

- Tak, proszę bardzo, pani Fitzgerald - powiedział i zaprowadził ją do stolika przy oknie, gdzie już siedziała osoba, która nigdy nigdzie się nie spóźniała.

Maggie pocałowała w policzek kobietę, która dziewiętnaście lat była sekretarką Connora, i usiadła naprzeciw.

Joan prawdopodobnie kochała Connora nad wszystko w świecie, i za tę miłość była nagradzana co najwyżej cmoknięciem w policzek i prezentem na gwiazdkę, kupowanym w końcu przez Maggie.

Chociaż Joan nieprzekroczyła jeszcze pięćdziesiątki, jej praktyczne tweedy, pantoflana płaskim obcasie i krótko przycięte ciemne włosy świadczyły, że dawno temu przestała myśleć o podobaniu się mężczyznom.

- Ja już wybrałam - powiedziała, zamykając kartę dań.

- Ja też wiem, co zamówię - rzekła Maggie.

- Co u Tary?

- zagadnęła Joan.

- Jakoś trwa, mówiąc jej własnymi słowami.

Mam tylko nadzieję, że skończy pracę doktorską.

Chociaż Connor nie powiedziałby jej złego słowa, byłby bardzo rozczarowany, gdyby się jej nie udało.

- Connor ciepleśmó wio Stuarcie - zauważyła Joan, gdy stanął przy nich kelner.

- Tak - powiedziała trochę smutno Maggie.

- Chyba muszę pogodzić się z tym, że moje jedyne dziecko będzie mieszkało w odległości trzynastu tysięcymil odemnie.

- Podniosła oczy na kelnera.

- Proszę cannellonii sałatkę.

- A dla mnie makaronnitki - zamówiła Joan.

- Czy podać paniom coś do picia?

- spytał kelner z nadzieją

w głosie.

- Tylko szklanekę wody - powiedziała zdecydowanie Maggie.

Joan skinęła twierdząco głową.

- Tak, Connor ze Stuartem przypadli sobie do gustu - rzekła Maggie, kiedy kelner się oddalił.

- Stuart odwiedzi nas w święta Bożego Narodzenia, więc będziesz miała okazję go poznać.

- Bardzo się cieszę - powiedziała Joan.

Maggie wyczuta, że chciała coś dodać, ale po latach znajomości wiedziała, że wypytywanie nie ma sensu.

Joan sama jej powie, kiedy będzie gotowa.

- Próbowałam ostatniokilkakrotniesię do ciebie dodzwonić.

Miałam nadzieję, że wybierzesz się ze mną do opery albo wpadnieszktóregoś wieczoru na kolację, ale nie mogłamcię zastać.

- Po odejściu Connora z firmy zamknięto biuro na Ulicy Mi przeniesiono mnie z powrotem do centrali - oznajmiła Joan.

Maggie podziwiała precyzję, z jaką Joan dobierała słowa.

Aniśladu napomknienia, gdzie pracuje, sugestii, dla kogo, wskazówki, jakie sa jej nowe obowiązki po rozstaniu z Connorem.

- Nie jest tajemnicą, że on chce, abyś przeszła do Washington Provident.

- Bardzo bym chciała.

Ale nie ma sensu nic robić, póki nie wiadomo, co się dzieje.

- A co się "dzieje", Joan?

- spytała Maggie.

- Connor już przyjął ofertę Bena Thompsona.

Musi wrócić przed świętami, żeby zacząć nową pracę na początku stycznia.

Zapadło długie milczenie.

- A więc - w końcu cicho powiedziała Maggie - on jednak nie dostał tej pracy w Washington Provident.

- Trochę parmezanu, proszę pani?

- spytał kelner, który przyniósł zamówienie dania.
- Dziękuję - powiedziała Joan, wpatrując się w swój makaron.
- To dlatego Ben Thompson tak mnie ozięble potraktował w zeszły czwartek w operze.
Nawet nie zaproponował, że postawi mi coś do picia.
- Przykro mi - rzekła Joan po odejściu kelnera.
- Myślałam, że wiesz.
- Nie przejmuj się.
Connor by mnie o tym powiadomił zaraz porozmowie w sprawie następnej pracy, a potem by powiedział, że będzie o wiele lepsza od tej w Washington Provident.
- Jak ty go dobrze znasz - zauważyła Joan.
- Czasem się zastanawiam, czy w ogóle go znam - westchnęła Maggie.
- W tej chwili nie mam pojęcia, gdzie jest ani co zamierza.
- Nie wiem więcej niż ty - rzekła Joan.
- Pierwszy raz od dziesięciu lat wyjechał nicmi nie mówiąc.
- Tym razem jest inaczej, prawda, Joan?
- spytała Maggie, patrząc jej w twarz.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Powiedział, że jedzie za granicę, ale nie zabrał paszportu.
Przypuszczam, że wciąż jest w Ameryce.
Ale dlaczego.
- Tonie dowodzi, że nie jest zagranicą - orzekła Joan.
- Możliwe - przyznała Maggie.
- Ale pierwszy raz się zdarzyło, że ukrył paszport tam, gdzie wiedział, że go znajdzie.
I zostawił jeszcze to.
- Wyjęła z torebki grubą brązową kopertę i podała ją Joan przez stół.
Tamta przeczytała napis: "Maggie - otwórz tylko w wypadku, gdybym nie wrócił do 17 grudnia".
- Może to kartka bożonarodzeniowa - rzuciła lekko.
- Nie - odparła Maggie prawie ze śmiechem.
- Nie znam mężów, którzy by dawali swoim żonom kartki bożonarodzeniowe, a już na pewno nie w brązowych kopertach.
- A gdybyś stworzyła ją teraz?
- poradziła Joan po długim milczeniu.
- Mogłoby się okazać, że niepotrzebnie się martwisz.
- Nie mogę przed siedemnastym grudnia - powiedziała cicho Maggie.
- Gdyby wcześniej wrócił do domu i odkrył, że otworzyłam ją, to.
Ponownie zjawił się kelner i szybko zabrał talerze.
- Czy któraś z pań miałaby ochotę na deser?
- zapytał.
- Nie, dziękuję - odparła Joan.
- Proszę tylko kawę.
- Ja też - rzuciła Maggie.
- Czarną, bez cukru.
- Spojrzała na zegarek.
Zostało jej tylko szesnaście minut.
Przygryzła wargę.
- Joan, nigdy dotąd nie prosiłam cię o wyjawienie tajemnic służbowych, ale jest coś, co muszę wiedzieć.
Joan spojrzała w okno i obrzuciła wzrokiem przystojnego młodzieńca, który od czterdziestu minut stał oparty o ścianę po drugiej stronie ulicy.

Pomyślała, że chyba gdzieś go już wcześniej widziała.

Kiedy za siedem pierwsza Maggie wychodziła z restauracji, nie zauważyła, że ten sam młodzieniec wyjął przenośny telefon i wystukał numer, którego nie było w żadnej książce telefonicznej.

- Tak?

- odezwał się Nick Gutenberg.

- Pani Fitzgerald właśnie skończyła lunch z Joan Bennett w Cafe Milano na Prospekt Street.

Były razem czterdzieści siedem minut.

Nagrałem każde słowo ich rozmowy.

- To dobrze.

Natychmiast dostarcz mi taśmę.

Gdy Maggie wbiegała po schodach do biura, zegar na dziedzińcu uniwersyteckim wskazywał dokładnie pierwszą.

W Moskwie była dziesiąta.

Connor oglądał finał "Giselle" w wykonaniu baletu Teatru Bolszoi.

Ale, w odróżnieniu od większości widzów, nie kierował lornetki na wirtuozerski popis primabaleriny.

Od czasu do czasu spoglądał w prawo i sprawdzał, czy Zeriński jest jeszcze w łoży.

Connor wiedział, jaką przyjemność sprawiłoby Maggie obejrzenie tańca willid, trzydziestu sześciu młodzieńkich panien młodych w ślubnych strojach, kręcących piruety w świetle księżycy.

Pilnował się, żeby nie urzekły go ich "plies" i arabeski, i starał się skupić na tym, co się dzieje w łoży Zerińskiego.

Maggie często chodziła na spektakle baletowe, kiedy nie było go w mieście, i ubawiłaby się, gdyby wiedziała, że przywódca komunistów rosyjskich w ciągu jednego wieczoru sprawił to, co jej się nie udawało przez trzydzieści lat.

Connor obserwował mężczyzn w łoży.

Po prawicy Zerińskiego siedział Dmitrij Titow, szef sztabu wyborczego, z lewej zaś strony starszy mężczyzna, który poprzedniego wieczoru witał Zerińskiego.

Z tyłu kryło się trzech ochroniarzy.

Connor przypuszczał, że jeszcze co najmniej kilkunastu znajduje się w korytarzu na zewnątrz.

Do tego ogromnego teatru z pięknymi, spiętrzonymi balkonami, o złożonych, krytych czerwonym aksamitem krzesłach w pierwszych

rzędach parteru, bilety zawsze były wyprzedane kilka tygodni przed przedstawieniem.

Ale teoria Maggie, że zawsze można kupić pojedynczy bilet, nawet w ostatniej chwili, sprawdzała się nawet w Moskwie.

Tuż przed pojawieniem się dyrygenta w kanale dla orkiestry część publiczności zaczęła klaskać.

Connor podniósł wzrok znad programu i ujrzał, że kilka osób pokazuje łożę na drugim balkonie.

Zeriński wybrał idealny moment na wejście.

Stał z przodu łoży i z uśmiechem machał ręką.

Prawie połowa widzów wstała i wznosiła głośne okrzyki, pozostali siedzieli - jedni uprzejmie klaszcząc, inni nie przerywając rozmów, jakby nigdy nic.

Zdawało się to potwierdzać trafność wyników badań opinii publicznej - że Czernopow wyprzedza teraz swego rywala zaledwie o kilka punktów procentowych.

Gdy kurtyna poszła w górę, Connor prędko odkrył, że Zerińskiego balet interesuje równie mało jak malarstwo.

Dla kandydata na prezydenta to był kolejny męczący dzień i Connora nie dziwiło, że od czasu do czasu tłumi ziewanie.

Wczesnie rano wyruszył pociągiem do Jarosławia i od razu, zgodnie z programem, odwiedził fabrykę tekstylną na peryferiach miasta.

Pożegnawszy po godzinie działaczy związkowych, złapał w locie kanapkę, zajrzał na targ owocowy, później do szkoły, na posterunek milicji do szpitala, po czym zrobił nie planowany wypad na rynek miasta i spotkał się z ludźmi.

Na koniec odwiedziono go pośpiesznie na dworzec, gdzie wskoczył do pociągu, który na niego czekał.

Prawdy, które Żeriński głosił każdemu, kto miał ochotę słuchać, nie różniły się wiele od tych z poprzedniego dnia, poza tym, że "Moskwę" zastąpił "Jarosław".

Goryle otaczający kandydata na prezydenta wyglądali na jeszcze większych nowicjuszy niż ochraniarze w gmachu Muzeum Lenina.

Widać miejscowi nie dopuścili moskwian na swe terytorium.

Connor zdał sobie sprawę, że zamach na życie Żerińskiego ma o wiele większą szansę powodzenia poza stolicą.

Powinno sięgo dokonać w mieście dostatecznie dużym, żeby sięw nim zgubić, i dość ambitnym, by nie pozwoliło trzem zawodowcom z Moskwy grać pierwszych skrzypiec.

Wyglądało na to, że wizyta Żerińskiego za kilka dni w stoczni w Siewierodwińsku stworzy najlepszą okazję.

Nawet w pociągu do Moskwy Żeriński nie próżnował.

Zwołał do swego wagonu zagranicznych dziennikarzy na kolejną konferencję prasową.

Zanim jednak ktokolwiek zdołał o coś spytać, powiedział:

- Czy widzieliście państwo najnowsze sondaże opinii publicznej, według których znacznie wyprzedzam generała Borodina, a od Czernopowa dzieli mnie tylko jeden punkt?

- Ale pan zawsze nam mówił, żeby lekceważyć badania opinii publicznej - zdobył się na odwagę jeden dziennikarzy.

Żeriński się skrzywił.

Connor trzymał się z tyłu zgiełkliwej gromady i obserwował człowieka, który mógł zostać prezydentem.

Wiedział, że musi doskonale poznać grę twarzy Żerińskiego, jego ruchy i charakterystyczne pozy, umieć dosłownie powtórzyć jego przemówienie.

Gdy cztery godziny później pociąg stanął na stacji, Connor poczuł, że ktoś go obserwuje.

Ktoś inny niż Mitchell.

Po dwudziestu ośmiu latach rzadko się mylił w tych sprawach.

Zastanawiał się, czy Mitchell nie za bardzo rzuca się w oczy i czy oprócz niego nie ma jeszcze kogoś bardziej wytrawnego.

A jeżeli tak, to co chodzi?

Wcześniej tego dnia odniósł wrażenie, jakby ktoś lub coś, czego przedtem nie zauważył, przemknęło mu przez drogę.

Odrzucał urojenia, ale jak każdy profesjonalista nie wierzył w przypadki.

Opuścił dworzec i wrócił tą samą trasą do hotelu, pewien, że nikt za nim nie idzie.

Ale może nie było to konieczne, skoro wiedzą, gdzie się zatrzymał.

Usiłował odpędzić te myśli, pakując rzeczy.

Dziś wieczór zgubi każdego, kto go śledzi - o ile, oczywiście, nie orientują się już, dokąd zmierza.

W końcu, gdyby wiedzieli, dlaczego jest w Rosji, wystarczyłoby, żeby śledzili program Żerińskiego.

Kilka minut później wymeldował się z hotelu i uiścił należność gotówką.

Pięć razy zmieniał taksówki, nim z ostatniej wysiadł przed teatrem. Oddał worek starej kobiecie, która siedziała za kontuarem w podziemiach, i wypożyczył lornetkę.

Pozostawienie worka upewniało kierownictwo, że lornetka zostanie zwrócona.

Kiedy po spektaklu opadła kurtyna, Żeriński wstał i znów pomachał do publiczności. Odzew nie był tak entuzjastyczny jak przedtem, ale Connor pomyślał, że Żeriński wyszedł z teatru z przekonaniem, iż wizyta się opłaciła.

Na stopniach teatru głośno informował wychodzących widzów, jak bardzo mu się podobał wspaniały taniec Jekatieriny Maksimowej.

Czekał na niego i jego świętą sznur samochodów - wsiadł do trzeciego z kolei.

Cała kawalkada wraz z milicyjną eskortą popędziła, aby przerzucić go do innego pociągu na innej stacji.

Connor zauważył, że liczbę jadących na przedzie motocyklistów zwiększono z dwóch do czterech.

Widocznie inni ludzie też doszli do wniosku, że Żeriński może zostać prezydentem.

Connor przybył na dworzec kilka minut po Żerińskim.

Okazał strażnikowi kartę prasową i kupił bilet na pociąg odchodzący jedenastej pięćdziesiąt dziewięć do Sankt Petersburga.

Znalazłszy się w przedziale sypialnym, zaryglował drzwi, zapalił lampkę nad łóżkiem i przystąpił do analizy programu Żerańskiego w Sankt Petersburgu.

W wagonie na drugim końcu pociągu kandydat na prezydenta również przeglądał program wizyty z szefem sztabu wyborczego.

-Znowu zwariowany dzień -utyskiwał, nim jeszcze Titow dołożył wizytę w Ermitażu.

- Po co mam sobiezawracać głowę Ermitażem, skoro jestem w Sankt Petersburgu tylko przez kilka godzin?

-Bo był pan w Muzeum imienia Puszkina, a pominięcie największego muzeum Rosji byłoby obrażą dla mieszkańców Sankt Petersburga.

- Cieszymy się chociaż, że zdążymy wyjechać, zanim kurtynau Teatrze Kirowa pójdzie w górę.

Żeriński wiedział, że najważniejsze w tym dniu będzie spotkanie z generałem Borodinem i wyższym dowództwem wojskowym w koszarach Kelskow.

Gdyby mu się udało przekonać generała, żeby się wycofał z wyścigu do fotela prezydenckiego i poparł go, wtedy wojsko- prawie dwa i pół miliona ludzi - z pewnością przeszłoby na jego stronę i miałyby zwycięstwo w kieszeni.

Planował, że zaoferuje Borodinowi tekę ministra obrony, ale odkrył, że Czernopow obiecał mu to samo.

Wiedział, że Czernopow spotkał się z generałem poprzedniego poniedziałku i wyjechał z niczym.

Żeriński uznał to za dobry znak.

Zamierzał złożyć Borodinowi ofertę, której ten się nie oprze.

Connor też zdawał sobie sprawę, że jutrzejsze spotkanie z generałem może przesądzić o losie Żerińskiego.

Zgasił światło kilka minut po drugiej w nocy ułożył się do snu.

Mitchell zgasił światło w chwili, gdy pociąg ruszył ze stacji, ale nie spał.

Siergiejnie mógł ukryć podniecenia na myśl, że pojedzie petersburskim ekspresem.

Dreptał za Jacksonem do wagonu sypialnego jak zadowolony szczeniak.

Gdy Jackson otworzył drzwi przedziału,

chłopiec oznajmił, że jest większy niż jego mieszkanie.

Wskoczył na łóżko, zrzucił buty i nie zdejmując ubrania naciągnął na siebie pościel.

- Oszczędzam sobie mycia i przebierania - wyjaśnił Jacksonowi, wieszającemu marynarkę spodnie na najmarniejszym drucianym wieszaku, jaki widział.

Kiedy Amerykanin słał łóżko, Siergiej potarł łokciem zaparowane okno, żeby wyrzeć na zewnątrz.

Nie odzywał się, dopóki pociągnięciem zaczął się powoli toczyć.

Jackson wgramolił się na swoje łóżko i zgasił lampkę.

- Ile jest kilometrów do Sankt Petersburga?

- spytał Siergiej.

- Sześćset trzydzieści.

- Jak długobędziemy tam jechali?

- Osiem i pół godziny.

Znowu nas czeka męczący dzień, więc trochę się prześpijmy.

Siergiej zgasił lampkę, ale Jackson nie spał.

Był teraz pewien, że wie, dlaczego jego przyjaciela wysłano do Rosji.

Najwyraźniej Helen Dexter chciała go się pozbyć, ale Jackson wciąż nie wiedział, jak daleko gotowasię posunąć, żeby ratować własną skórę.

Próbował po południu dodzwonić się do Andy'ego Lloyda z swego telefonu komórkowego, ale nie mógł uzyskać połączenia.

Nie chciał ryzykować i dzwonić z hotelu, postanowił więc, że spróbuje znowu następnego dnia, po wygłoszeniu przez Żerińskiego przemówienia na Placu Wolności, kiedy Waszyngton będzie się budził.

Jackson był pewien, że z chwilą gdy Lloyd się dowie, co w trawie piszczy, upoważni go do odwołania operacji, zanim będzie za późno.

Zamknął oczy.

- Jackson, czy jesteś żonaty?

- Nie, rozwiedziony - odparł.

- W Rosji jest teraz co roku więcej rozwodów niż w Stanach.

Wiedziałeś o tym?

- Nie.

Ale przez te dwa dni przekonałem się, że w twojej głowie aż się roi od takich bezużytecznych wiadomości.

- A dzieci masz?

- Nie - odparł Jackson.

- Straciłem.

- To może byś mnie zaadoptował?

Pojechałbym z tobą do Ameryki.

- Nie sądzę, żeby nawet Ted Turner mógł sobie pozwolić, by akurat ciebie zaadoptować.

Śpij już, Siergiej.

Zapadło długie milczenie.

- Jeszcze jedno pytanie, dobrze?

- Co mam zrobić, żebyś zamilkł?

- Dlaczego ten facet jest dla ciebie taki ważny?

Jackson nie od razu zareagował.

- Dwadzieścia dziewięć lat temu - powiedział w końcu - uratował mi życie w

Wietnamie, więc można chyba powiedzieć, że jestem mu coś winien za te lata.

Czy to zrozumiałe?

Siergiej odpowiedziałby mu, ale zmorzył go sen.

XV

Władimir Bolczenkow, szef petersburskiej milicji, miał dość spraw na głowie i bez tych czterech tajemniczych telefonów.

Czernopow odwiedził miasto w poniedziałek i żądaniem, aby zapewniono mu kawalkadę samochodową tak dużą, jak uprzednio nie żyjącemu prezydentowi, sparaliżował ruch.

Borodin nie chciał wypuścić swoich ludzi z koszar, dopóki nie dostaną żołdu, i teraz, kiedy wyglądało na to, że wypadł z wyścigu o prezydenturę, znów zaczęły krążyć pogłoski o przewrocie wojskowym.

- Nie trudno przewidzieć, jakie miasto Borodin będzie chciał zająć najpierw - ostrzegł mera szef milicji.

Bolczenkow powołał cały wydział do zwalczania terroryzmu naczas trwania kampanii wyborczej.

Jeżeli zamierzano zabić któregoś z kandydatów - to nie w jego mieście.

Tylko w tym tygodniu wydział otrzymał dwadzieścia siedem ostrzeżeń o zamachu na życie Zerińskiego.

Szef milicji lekceważył je jako zwyczajny wyglup zgrai dziwaków i pomyleńców - do chwili, gdy młody porucznik wpadł rano do jego gabinetu.

Był błąd jak ściana i mówił o wiele za szybko.

Szef usiadł i wysłuchał taśmy, przed chwilą nagranej przez porucznika.

Pierwszy telefon miał miejsce dwadzieścia cztery po dziewiątej, pięćdziesiąt jeden minut po przybyciu Zerińskiego do miasta.

- Dziś popołudniu będzie zamach na życie Zerińskiego - powiedział męski głos o akcencie, którego Bolczenkow nie potrafił określić.

Może to był ktoś ze Środkowej Europy, ale z pewnością nie Rosjanin.

- Wynajęty przez mafię zabójca dokona zamachu, kiedy Zeriński będzie przemawiał na wiecu na Placu Wolności.

Zadzwoń znowu za kilka minut, ale będę mówił tylko z Bolczenkowem.

- Przerwano połączenie.

Rozmowa trwała tak krótko, że sprawdzenie, z jakiego aparatu telefonowano, było niemożliwe.

Bolczenkow od razu poznał, że ma do czynienia z profesjonalistą.

Po jedenastu minutach zatelefonowano ponownie.

Porucznik próbował przeciągać rozmowę, twierdząc, że szukają szefa, ale usłyszał tylko:

- Zadzwoń znowu za kilka minut.

Dopilnujcie, żeby Bolczenkow wtedy był.

To wy tracicie czas, nie ja.

Właśnie wtedy porucznik wpadł do gabinetu szefa.

Bolczenkow tłumaczył jednemu z kompanów Zerińskiego, dlaczego nie może mu przydzielić tylu milicjantów na motocyklach, ilu ich miał Czernopow.

Natychmiast zgasił papierosa i poszedł do swego zespołu antyterrorystycznego.

Po dziewięciu minutach rozległ się dzwonek telefonu.

- Czy jest tam Bolczenkow?

- Przy telefonie.

- Człowiek, którego szukacie, będzie udawał zagranicznego dziennikarza, reprezentującego nie istniejącą gazetę południowoafrykańską.

Przyjechał do Petersburga rano ekspresem z Moskwy.

Działa sam.

Zadzwoń znowu za trzy minuty.

Po trzech minutach zgromadził się cały wydział, żeby posłuchać anonimowego rozmówcy.

- Jestem pewien, że teraz już cały wydział milicji petersburskiej do walki z terroryzmem słucha każdego mojego słowa – zaserwował im na początek rozmówca.

- Pozwólcie więc, że podam wam pomocną dłoń.

Zabójca jest wysoki, ma niebieskie oczy i rudoblond włosy.

Ale prawdopodobnie będzie ucharakteryzowany.

Nie wiem, jak się ubierze, ale przecież wy też musicie coś zrobić, żeby zasłużyć na swoje pensje.

- Przerwano połączenie.

Przez następne pół godziny cały zespół odsłuchiwał w kółko taśmy.

Nagle szef zdusił następnego papierosa.

- Przegrajcie jeszcze raz trzecią taśmę - polecił.

Młody porucznik wcisnął klawisz, ciekaw, co takiego zauważył

zwierzchnik, co umknęło uwagi ich wszystkich.

Przysłuchiwali się z napięciem.

- Stop - powiedział szef po kilku sekundach.

- Tak myślałem.

Cofnij taśmę i licz.

- Co mam liczyć?

- chciał spytać porucznik naciskając klawisz.

Tym razem dosłyszał niewyraźny głos zegara podróznego w tle.

Jeszcze raz cofnął taśmę i znowu słuchali.

- Wydzwonił drugą - rzekł porucznik.

- Jeżeli to była druga popołudniu, to nasz informator musiał telefonować z Dalekiego Wschodu.

Szef uśmiechnął się.

- Nie sądzę - powiedział.

- Bardziej prawdopodobne, że telefonowano odrugiej w nocy ze Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych.

Maggie siedziała wpatrzona w grubą brązową kopertę leżącą na nocnym stoliku i zastanawiała się, czy znowu z jej powodu spędzi bezsenłą noc.

Nie poruszyła się niemal przez godzinę.

Nagle sięgnęła po telefon stojący przy łóżku i wykręciła numer zaczynający się na 650.

Po dwóch sygnałach podniesiono słuchawkę.

- Tara Fitzgerald - odezwał się dziarski głos.

Żadne "halo", ani "dobry wieczór", ani potwierdzenie, że telefonujący zadzwonił się pod właściwy numer.

Po prostu zdecydowane oznajmienie nazwiska, tak że nikt nie musiał tracić czasu.

Całkiem jak jej ojciec, pomyślała Maggie.

- Tu mama, złotko.

- Och!

Cześć, mamó.

Czy to znowu samochód, czy też stało się coś poważnego?

- Nie, złotko.

Tylko tęsknię do twego ojca - odparła ze śmiechem.

- Myślałam, że znajdziesz parę chwil, żeby porozmawiać.

- Cóż, ty przynajmniej tęsknisz do jednego mężczyzny.

- Tara specjalnie powiedziała to lekkim tonem.

- A ja do dwóch.

- Tak, ale ty wiesz, gdzie jest Stuart, i możesz do niego zadzwonić, kiedy chcesz.

A ja nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jest twój ojciec.

- To nic nowego, mamó.

Obie wiemy, jakie s zasady, kiedy tata wyjeżdża.

Niewiasty mają siedzieć w domu i potulnie czekać na powrót pana i władcy.

Typowo irlandzkie.

- Tak, wiem.

Ale ten wyjazd szczególnie mnie niepokoi - rzekła Maggie.

- Jestem pewna, że niepotrzebnie.

Przecież nie ma go dopiero od tygodnia.

Pamiętasz, mamó, ile już razy objawiał się, kiedy się go najmniej spodziewałaś?

Zawsze sądziłam, że to niegodziwa intryga, żeby się upewnić, czy nie masz kochanka.

Maggie zaśmiała się przymusem.

- Coś jeszcze cię martwi, prawda, mamó?

- cicho powiedziała Tara.

- Co takiego?

- Natknęłam się na zaadresowaną do mnie kopertę, schowaną w szufladzie z jego rzeczami.

- Stary romantyk - skwitowała Tara.

- Co miał do powiedzenia?

- Nie mam pojęcia.

Nie otworzyłam jej.

- Dlaczego, na Boga?

- Bo wyraźnie na niej napisał: "Nie otwierać przed siedemnastym grudnia".

- Mamo, jestem pewna, że gdyby ojciec wiedział, że tak cię toniepokoi, to wolałby, abyś ją otworzyła.

- Jego instrukcja jest wyraźna - rzekła Maggie.

- Żałuję tylko, że zauważyłam tę kopertę.

- Kiedy ją znalazłaś?

- W środę.

Była schowana między jego sportowymi rzeczami w szufladzie, którą rzadko otwieram.

- Trzy dni temu - powiedziała Tara.

- Ja nie wytrzymałabym nawet trzech minut.

- Wiem, kochanie - stwierdziła Maggie - ale jednak myślę, że poczekam jeszcze kilkadziesiąt dni.

Włożę ją z powrotem do szuflady na wypadek, gdyby nagle wrócił.

Wtedy nigdy się nie dowie, że się na nią natknęłam.

- Może powinnam przylecieć do Waszyngtonu.

- Dlaczego?

- żeby ci pomóc otworzyć.

- Nie bądź głupia.

Taro.

- Nie głupsza niż ty, która tam siedzisz sama i zamartwiasz się, co może być w środku.

- Chyba masz rację.

- Mamo, skoro jesteś taka niezdeterminowana, po prostu zadzwoń do Joani i spytaj ją o radę.

- Już ją pytałam.

- I co powiedziała?

- żeby otworzyć.

Bolczek siedział za biurkiem w pokoju operacyjnym i patrzył na doborową dwudziestkę mężczyzn.

Potarł zapałkę o pudełko i zapalił siódmego tego ranka papierosa.

- Ilu ludzi spodziewamy się po południu na placu?

- zapytał.

- Możemy się tylko domyślać, szefie - odezwał się najstarszy stopniem, umundurowany oficer - ale niewykluczone, że nawet sto tysięcy.

Rozległ się szmer wymienianych szeptem uwag.

- Cisza!

- ostro powiedział szef.

- Dlaczego aż tyle, kapitanie?

Czernopow zgromadził siedemdziesiąt tysięcy.

- Żeriński to postać wiele bardziej charyzmatyczna, a teraz, kiedy sondaże pokazują wzrost jego popularności, może się okazać jeszcze bardziej atrakcyjny.

- Ilu ludzi może pan tam wysłać?

- Wszyscy, którymi rozporządzam, będą na placu.

Odwołałem wszystkie przepustki.

Rozdałem też opis tego mężczyzny w nadziei, że uda się go zatrzymać, zanim dotrze na plac.

Ale tylko nielicznym jakimkolwiek doświadczenie w sprawach tego kalibru.

- Jeżeli rzeczywiście napłac ściana tysięcy ludzi - powiedział Bolczenkow - to dla mnie też będzie to coś nowego.

Czy wszyscy pańscy funkcjonariusze otrzymali opis?

- Tak, ale jest wielu cudzoziemców z niebieskimi oczami i rudoblon włosami.

I proszę pamiętać, że im nikt nie powiedział, dlaczego chcemy go przesłuchać.

Nie możemy wywoływać paniki.

- Zgoda.

Ale nie chciałbym spłoszyć goteraz tylko po to, żeby daćmu drugą szansę później.

Czy ktoś zabrał jeszcze jakieś informacje?

- Tak, szefie - odpowiedział młodszy mężczyzna, który stał w głębi sali oparty o ścianę.

Bolczenkow zgasił papierosa i skinął głową.

- Oficjalnie wyborami zajmujesz się trzech południowoafrykańskich dziennikarzy.

Moim zdaniem opis przekazany przez naszego informatora najbardziej pasuje do tego, który nosi nazwisko Piętda Yilliers.

- Jest coś o nim w komputerze?

- Nie pod tym nazwiskiem - powiedział młody oficer.

- Ale policjant w Johannesburgu była nadzwyczaj uczynna.

Mają w swoim rejestrze trzech mężczyzn o tym nazwisku, sprawców przestępstw drobnych kradzieży po bigamię, ale żaden z nich nie odpowiada opisowi, zresztą dwóch obecnie jest pod kluczem.

Gdzie znajduje się trzeci - nie wiedzą.

Wspomnieli także o powiązaniu z sprawą kolumbijską.

- To znaczy?

- spytał Bolczenkow zapalając kolejnego papierosa.

- Kilka tygodni temu CIA rozesała poufny okólnik podając szczegóły zabójstwa kandydata na prezydenta w Bogocie.

Chyba trafili na ślad zabójcy w Afryce Południowej, potem go zgubili.

Skontaktowałem się z moim oficerem kontaktowym w CIA, ale jedyne, co mógł mi powiedzieć, to to, że ten człowiek znów jest w akcji i że ostatnio go widziano, kiedy wsiadał do samolotu do Genewy.

- To wszystko, czego potrzebuję - powiedział szef petersburskiej milicji.

- Zapewne nie pojawił się podczas wizyty Żerińskiego w Ermitażu dziś rano?

- Nie, szefie - odezwał się inny głos.

- Niewidzę korpusie prasowym.

Było tam dwudziestu trzech dziennikarzy tylko dwóch więcej odpowiadało opisowi. Jeden z nich to Clifford Symonds, prezenter CNN, a drugiego znam od lat, gram z nim w szachy.

- Wszyscy w pokoju wybuchnęli śmiechem, który rozładował napięcie.

- Dachy i budynki?

- spytał Bolczenkow.

- Odkomenderowałem dwunastu ludzi do ubezpieczenia dachów wokół placu - powiedział dowódca oddziału strzelców.

- Większość budynków to siedziby instytucji, więc przy każdym wejściu i wyjściu postawię cywilnych funkcjonariuszy.

Gdyby ktoś odpowiadający opisowi próbował wejść na plac lub do któregoś z przyległych domów, z miejsca zostanie aresztowany.

- Uważajcie, żeby nie aresztować jakiegoś zagranicznego dygnitarza i nie wpakować nas w jeszcze gorsze kłopoty.

Są pytania?

- Tak, szefie.

Czy rozważał pan możliwość odwołania wiecu?

-zapytał ktoś z tyłu.

- Owszem,ale ją odrzuciłem.

Gdybym za każdym razem, kiedy dostaję pogrózkę pod adresem jakiejś osobistości, odwoływał zgromadzenie, nasze linie telefoniczne byłyby zablokowane telefonami niedowierzonych radykałów, których jedynym zajęciem jest wywoływanie zamętu. Zresztą to może być fałszywy alarm.

A nawet jeśli deVilliers krąży w mieście, kiedy zobaczy, że obstawiliśmy teren, może zrezygnować.

Jeszcze jakieś pytania?

Nikt się nie poruszył.

- Jeśli ktoś z was natknie się na cokolwiek, powtarzam - cokolwiek - chcę o tym natychmiast wiedzieć.

Niech Bóg ma w swojej opiece tego, który mi później powie: "Nie wspominałem o tym, szefie, bo nie myślałem wtedy, że to ważne", i

Connor goił się przy włączonym telewizorze.

Hillary Bowker zaznajamiała widzów z najnowszymi wydarzeniami w Stanach.

Ustawa o ograniczeniu broni przeszła w Izbie Reprezentantów, większością ledwie trzech głosów.

Jednak Tom Lawrence nazwał rezultat triumfem zdrowego rozsądku.

Ale eksperci już ostrzegali, że w Senacie może pójść wiele gorzej.

- Nic podobnego -zapewnił prezydent dziennikarzy podczas po 132 ranej konferencji prasowej.

Connor się uśmiechnął.

- Izba Reprezentantów po prostu spełniła wolę narodu i jestem przekonany, że Senat uczyni to samo.

Prezydenta zastąpiła ładna dziewczyna o płomiennie czerwonych włosach.

Na jej widok Connor pomyślał o Maggie.

Kiedyś jej powiedział, że przy swojej pracy powinien poślubić spikerkę.

- A teraz, żeby się więcej dowiedzieć o zbliżających się wyborach w Rosji, łączymy się z Cliffordem Symondsem, naszym korespondentem w Sankt Petersburgu.

Connor przestał się golić i utkwiał wzrok w ekranie.

- Badania opinii publicznej wskazują, że szansę dwóch czołowych kandydatów, premiera Grigorija Czernopowa i przywódcy komunistów Wiktora Żerińskiego są wyrównane. Kandydat komunistyczny dziś po południu będzie przemawiał na Placu Wolności w wiecu, który według przewidywań policji zgromadzi aż sto tysięcy ludzi.

Przed południem Żeriński spotka się prywatnie z generałem Borodinem, który, jak się oczekuje, wkrótce ogłosi, że wycofuje się z wyścigu z powodu słabych wyników w najnowszych sondażach opinii publicznej.

Nie wiadomo, któremu z dwóch głównych kandydatów udzieli poparcia, a od tej decyzji zależy wynik wyborów.

Mówił Clifford Symonds dla CNN, Sankt Petersburg.

Na ekranie ponownie pojawiła się twarz Hillary Bowker.

- A teraz o pogodzie w waszej części świata - powiedziała z szerokim uśmiechem.

Connor wyłączył telewizor, gdyż nie interesowała go temperatura na Florydzie.

Roztarł jeszcze trochę piany na twarzy i dalej się golił.

Postanowił już, że nie weźmie udziału w porannej konferencji prasowej Żerińskiego, która ograniczy się do mowy pochwalnej sekretarza prasowego na temat tego, czego jego boss

dokonał jeszcze przedśniadaniem, ani nie pójdzie do Ermitażu, gdzie głównym jego zajęciem byłoby unikanie Mitchella.

Skoncentruje się natomiast na najważniejszym publicznym występie Żerińskiego tego dnia.

Znalazł już wygodną restaurację po zachodniej stronie placu.

Nie słynęła cokolwiek z dobrej kuchni, ale miała tę zaletę, że położona była na drugim piętrze i jej okna wychodziły na Plac Wolności.

Co ważniejsze, miała tylne wejście, więc nie będzie musiał wchodzić na plac wcześniej niż to konieczne.

Wyszedłszy z hotelu, zadzwonił do restauracji z najbliższej budki telefonicznej i zamówił narożny stolik przy oknie na dwunastą.

Potem wybrał się na poszukiwanie samochodu do wynajęcia, co było jeszcze trudniejsze w Sankt Petersburgu niż w Moskwie.

Czterdzieści minut później wjechał do centrum i zostawił pojazd na podziemnym parkingu tuż przy Placu Wolności.

Zdecydował, że po przemówieniu wróci do Moskwy samochodem.

W ten sposób szybko się przekonał, czy ktoś go śledzi.

Przewędrował kawałek ulicą, wszedł do najbliższego hotelu i wsunął starszemu portierowi banknot dwudziestodolarowy tłumacząc, że potrzebuje pokoju na godzinę, żeby wziąć prysznic i się przebrać.

Gdy zjechał windą na dół kilka minut przed dwunastą, starszy portier go nie poznał. Connor zostawił sukienki w worek i powiedział, że zabierze go około czwartej.

Chowając worek pod kontuar portiera po raz pierwszy zauważył walizkę.

Ponieważ na obu widniała nalepka z tym samym nazwiskiem, umieścił je razem.

Connor szedł powoli boczną uliczką blisko Placu Wolności.

Minął dwóch milicjantów, którzy indagowali wysokiego, rudobłond cudzoziemca.

Nawet się za nim nie obejrżeli, gdy wśliznął się do bramy i pojechał windą do restauracji na drugie piętro.

Podał szefowi swoje nazwisko i natychmiast został zaprowadzony do stolika w kącie.

Usiadł tak, że był zasłonięty przed większością gości, ale miał widok z góry na plac poniżej.

Myślał o tym, jak długo Lawrence będzie zwlekał z podjęciem decyzji, gdy stanął przy nim kelner i podał mu kartę dań.

Connor spojrzał w okno i ze zdumieniem stwierdził, że plac już zaczyna się zapelniać, chociaż do przybycia Żerińskiego brakowało jeszcze dwu godzin.

Zauważył w tłumie kilku milicjantów w cywilu.

Dwóch czy trzech młodszych uczepliło się pomnikom i omiatało wzrokiem plac.

Ale czego szukali?

Czy szef milicji był przesadnie ostrożny, czy też bał się jakiejś demonstracji podczas przemówienia Żerińskiego?

- Czy mógłbym przyjąć od pana zamówienie?

- spytał szef sali, który znów do niego podszedł.

- Milicja poleciła nam zamknąć restaurację o drugiej.

- Wobec tego poproszę o jednogminutowy stek - powiedział Connor.

XVI

- Jak myślisz, gdzie on jest?

- spytał Siergiej.

- Gdzieś tutaj, ale na ile go znam, nie sposób będzie go znaleźć w tym tłumie - odparł Jackson.

- To jakby szukać igły w stogu siana.

- Czy ktoś kiedy zgubił głę w stogusiana?
-Przestań mędrkować i rób to,za co ci płacą - rzekł Jackson.
-Dam ci dziesięć dolarów premii, jeżeli go wypatrzysz.
Pamiętaj, jest prawdopodobnie ucharakteryzowany.
Siergiej nagle bardzo się zainteresował rojącym się tłumem.
- Widzisz tego faceta na najwyższym stopniu w północnym narożniku placu?
- zapytał.
-Rozmawia z milicjantem.
- Tak - odparł Jackson.
-To Władimir Bolczenkow, szef milicji.
Porządny gość, chociaż jest drugim najważniejszym człowiekiem w Sankt Petersburgu.
- A kto jest pierwszy?
Mer?
- Nie, jego brat Josif.
Boss petersburskiej mafii.
- Czynie wynika z tego drobna sprzeczność interesów?
-Nie.
Tu aresztuje się tyłkotych, którzy nie są mafii.
- Skąd masz te wszystkie informacje?
- zagadnął Jackson.
- Od matki.
Spała z nimi obydwoma.
Jackson zaśmiał się.
Obserwował dalej szefa petersburskiej milicji, rozmawiającego z oficerem w mundurze.
Chętnie by posłuchał, o czym mówią.
Gdyby to się działo w Waszyngtonie, CIA potrafiłaby odtworzyć każde ich słowo.
- Widzi pan tych smarkaczy przyklejonych do posągów?
- spytał wyższy oficer, który stał obok Bolczenkowa.
- Co to za jedni?
-Gdyby się pan przypadkiem zastanawiał, dlaczego ich nie aresztowałem, to informuję, że to moi chłopcy i że stamtąd mają najlepszy widok na tłum.
Niech się pan obejrzy, szefie: sprzedawca hotdogów, tych dwóch wózkami kwiatów, czterech gazeciary - to wszystko moi ludzie.
A przecnie dalej mam dwanaście autobusów pełnych mundurowej milicji, które mogą tu natychmiast podjechać.
Poza tym w ciągu następnej godziny na placu będzie się kręciło stu agentów w cywilu.
Wszystkie wyjścia są strzeżone, a każdy, kto ma widok na plac, na karku będzie miał mojego człowieka.
- Jeżeli on jest taki dobry jak myśle - rzekł szef milicji - to znajdzie miejsce, o jakim się panu nie śniło.
Connor zamówił kawę i dalej obserwował plac poniżej.
Chociaż doprzybycia kandydata brakowało jeszcze pół godziny, plac był już pełen ludzi, od czicieli Żerińskiego po zwyczajnych ciekawskich.
Patrzył z rozbawieniem, jak sprzedawca hot dogów bardzo się stara, żeby się nie wydało, że jest milicjantem.
Biedakowi znów się oberwało - pewno poskąpił sosu pomidorowego.
Connor spojrział nad rógą strone placu.
Mała trybuna wzniesiona dla prasy była teraz jedynym pustym miejscem.
Zastanawiał się, dlaczego tak wielu tajniaków snuje się wokół, znacznie więcej niż potrzeba, aby nie dopuścić przypadkowych przechodniów na zastrzeżony obszar.

Coś się tu nie zgadzało.

Gorąca kawa, którą przed nim postawiono, przerwałate rozmyślania.

Popatrzył nazegarek.

Spotkanie Żerińskiego z generałem Borodinem powinno się już skończyć.

Wszystkie stacje telewizyjnepodadzą jego rezultatjakopierwszą wiadomość.

Connor był ciekaw, czy odgadnie z zachowania Żerińskiego, czy dobił targu.

Poprosił o rachunek i czekając nakelnera po raz ostatni objąłwzrokiem scenę poniżej.

Żaden zawodowiec nigdy by niewziął poduwagę Placu Wolności jako strefy ataku.

Niezależnie od wszystkichprzeszkód, które rozpoznał, rzucała się w oczy skrupulatność szefamilicji.

Mimo to Connorznał, że przy tak wielkim tłumie będzie miał najlepszą okazję, aby z bliska przyjrzeć się Żerińskiemu, i dlatego postanowił tym razem nie siadać między dziennikarzami.

Zapłaciłrachunek gotówką, wolnym krokiem podszedł do dziewczyny siedzącej w małym boksie i podał jej numerek.

Oddała mu płaszcz i kapelusz, on jej wręczył banknot pięćiorublowy.

Gdzieśprzeczytał, że starzy ludzie zawsze zostawiają małe napiwki.

Dołączył do strumienia pracowników wychodzących z biur napierwszym piętrze; widać zwolniono ich, by wzięli udział w wiecu.

Wszyscy kierownicy w bliskim sąsiedztwie placu pogodzili sięprawdopodobnie z faktem, że tego popołudnia nicy z pracy.

Dwajmilicjanci w cywilu, stojący o kilka kroków od drzwi,

kontrolowaligrupęurzędników, jednak na mroźnym powietrzu ludzie tylko minimalnie się odsłaniali.

Connora niósł tłum wylewający się nachodnik.

Plac Wolności był już zatłoczony.

Connor przeciskał się między ludźmi, torując sobie drogę ku podium.

Tłum musiał liczyć dobrzepowyżej siedemdziesięciutysięcy ludzi.

Connor wiedział, że szef milicji modli się o burzę z piorunami, ale był to typowy zimowy dzień w Sankt Petersburgu - zimny, rześki i bezchmurny.

Spojrzał w stronę odgraniczzonego linami miejsca dla prasy, wokół którego panował spory ruch.

Uśmiechnął się, gdy dostrzegł Mitchella na posterunku, około dziesięciu kroków od miejsca, gdzie normalnie by siedział.

Niedziś, przyjacielu.

Przynajmniej tym razem Mitchell miał ciepły płaszcz i stosowne nakrycie głowy.

Dobry dzień dla kieszonkowców - zauważył Siergiej pilnie przyglądając się tłumowi.

- Nieba liby się przy takim zagęszczeniu milicjantów?

- spytał

tackson.

- Zawsze można spotkać gliniarza nie w porę - powiedział Siergiej.

- Widziałem już, jak kilku recydywistów nawiewa z portfelami, ale milicjanie zwracała uwagi.

- Mają dość na głowie.

Tu naplacu jest prawie stotysięcy ludzi, a Żeriński nadjedzie lada moment.

Siergiej utkwiał wzrok wszefie milicji.

- Gdzie on jest?

- pytał Bolczenkow sierżanta z radiotelefonem.

- Wyszedł ze spotkania z Borodinem przed osiemnastoma minutami i jedzie ulicą

Prejti.

Powinientu być za jakieś siedem minut.

- Więc za siedem minut zaczną się kłopoty - rzekł szef i spojrzał

na zegarek.

- A może on spróbuje zaatakować Żerińskiego w samochodzie?

-Niemożliwe- powiedział szef milicji.

- Mamy do czynienia z zawodowcem.

Nie strzelałby do ruchomego celu, zwłaszcza w pancernym samochodzie.

Zresztą, nie byłby pewien, którym wozem jedzie Żeriński.

Nie, on jest gdzieś tutaj w tym tłumie.

Czuję to przez skórę.

Trzeba pamiętać, że kiedyś ostatnio porwał się na coś podobnego, mierzył do celu znajdującego się na otwartej przestrzeni.

Wtedy prawie nie sposób trafić kogoś innego, a przy tak wielkim tłumie ma się większą szansę ucieczki.

Connor wciąż posuwał się wolno w stronę podium.

Obrzucił tłum spojrzeniem i wyłowił jeszcze kilku milicjantów w cywilu.

Żeriński nie miałby nic przeciwko ich obecności, gdyż zwiększali jeszcze tłum.

Zależałomu tylko na liczniejszej widowni, niż miał Czernopow.

Connor sprawdził dachy.

Kilkunastu strzelców wyborowych obserwowało tłum przez lornetki.

Nie rzucaliby się bardziej w oczy, gdyby mieli nasobnie żółte kombinezony.

Ponadto plac okalał kordon co najmniej dwustu milicjantów w mundurach.

Najwyraźniej szef milicji wierzył w moc odstraszenia.

W oknach budynków wokół placu pełno było urzędników, którzy chcieli mieć jak najlepszy widok na to, co się dzieje w dole.

Connor jeszcze raz spojrział na oddzielone linami miejsce dla prasy, które zaczynało się wypełniać.

Policjanci wszystkich dokładnie legitymowali - nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że niektórych dziennikarzy proszono o zdjęcie nakryć głowy.

Connor przyglądał się parę chwil.

Wszyscy oni mieli dwie wspólne cechy: byli mężczyznami i byli wysocy.

Uświadomiwszy to sobie, stanął jak wryty.

Wtem kątem oka zauważył w tłumie Mitchella w odległości kilku kroków od siebie.

Zmarszczył brwi.

Jakim sposobem młody agent go rozpoznał?

Znienacka, jak grom z jasnego nieba, za jego plecami zerwał się potężny ryk, jakby na scenie stanęła gwiazda rocka.

Odwrócił się i ujrzał, jak kawalkada samochodów powoli objeżdża plac naokoło i zatrzymuje się w północno-wschodnim narożniku.

Tłum entuzjastycznie bił brawo, choć ludzie nie mogli widzieć kandydata, gdyż okna wszystkich samochodów były zaciemnione.

Drzwi ził otwarto, ale nie sposób się było zorientować, czy Żeriński jest wśród wysiadających, gdyż otaczali go ciasnym murem krzyczący głośnie.

Gdy chwilę później kandydat wstąpił na schody, tłum zaczął wznosić głośnie okrzyki, które się nasilały, kiedy zbliżał się do skraj podium.

Stanął i pomachał najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

Teraz Connor już mógłby powiedzieć, ile zrobi kroków, nim stanie iznowu pomacha.

Ludzie podskakiwali, żeby coś zobaczyć, lecz Connor nie zwracał uwagi na to zamieszanie.

Obserwował milicjantów; większość nie patrzyła na podium.

Wypatrywali czegoś lub kogoś.

Przez głowę przemknęła mu myśl, lecz natychmiast ją odrzucił.

Nie, to niemożliwe.

Ogarnia go paranoja.

Kiedyś pewien agent weteran powiedział mu, że najgorzej jest podczas ostatniego zadania.

Ale w razie wątpliwości zawsze obowiązuje ta sama zasada: wydostać się z niebezpiecznego rejonu.

Rozejrzał się wokoło, zastanawiając się, którądy wyjść.

Tłum stopniowo cichł, czekając na pierwsze słowa Żerińskiego.

Connor postanowił, że zacznie się posuwać po północnej stronie placu, gdy nastąpi długotrwała owacja.

Wówczas prawdopodobieństwo, że zostanie dostrzeżony, prześlizgując się między ludźmi, będzie mniejsze.

Niemal odruchowo sprawdził, gdzie jest Mitchell.

Stał nadal w odległości kilku kroków w prawo, nawet trochę bliżej niż wtedy, gdy Connor zobaczył go pierwszy raz.

Żeriński zbliżał się do mikrofonu ze wzniesionymi rękoma, dając w ten sposób tłumowi znak, że przemówi.

- Widzę igłę - rzekł Siergiej.

- Gdzie?

- spytał Jackson.

- Stoi twarzą do Żerińskiego, w odległości około dwudziestu kroków od podium.

Ma włosy innego koloru i porusza się jak stary człowiek.

Należy mi się dziesięć dolarów.

- Jak go wypatrzyłeś z tej odległości?

- spytał Jackson.

- Jest jedynym człowiekiem, który próbuje opuścić plac.

Jackson podał chłopcu dziesięć dolarów w chwili, gdy Żeriński stanął przed mikrofonem.

Niemłody mężczyzna, który witał go w Moskwie, siedział samotnie w głębi podium.

Żerińskinie pozwolił mu powtórzyć drugi raz tego samego błędu.

- Towarzysze!

- zaczął donośnym głosem.

- To dla mnie wielki zaszczyt, że staję przed wami jako wasz kandydat.

Z każdym dniem coraz bardziej sobie uświadamiam.

Badając wzrokiem tłum, Connor znów ujrzał Mitchella.

Zbliżył się do niego jeszcze o krok.

- Chociaż niewielu obywateli chciałoby, żeby wróciły dawne, totalitarne czasy, przeważająca większość.

Tylko zmienił pojedyncze słowo tu i tam - pomyślał Connor.

Spojrzał na prawo.

Co ten Mitchell kombinuje?

pragniesz sprawiedliwszego podziału bogactwa, wytworzonego; dzięki ich umiejętnościom i ciężkiej pracy.

- Gdy tłum zaczął wznożyć okrzyki, Connor szybko zrobił kilka kroków w prawo.

Gdy wrzawa ucichła, zastygł bez ruchu.

- Dlaczego ten człowiek z ławki chodzi za twoim przyjacielem?

- Bo to amator - rzekł Jackson.

- Albo zawodowiec, który dobrze wie, co robi - poddał Siergiej.

- Mój Boże, nie mów mi, że wychodzę z obiegu - powiedział Jackson.

- Jak dotąd jeszcze go tylko nie pocałował - zauważył Siergiej.

- Spójrzcie, przyjaciele, na ulice Sankt Petersburga - mówił dalej Zeriński.

- Tak, zobaczycie mercedesy, BMW i jaguary, ale kto nimi jeździ?

Tylko garstka uprzywilejowanych.

Kiedy tłum zgotował mówcy owację, Connor postąpił kilka kroków w kierunku północnym.

- Tęsknie wyglądam dnia, kiedy nie będziemy jedynym krajem na świecie, który ma więcej luksusowych limuzyn niż zwykłych samochodów.

Connor zerknął za siebie i stwierdził, że Mitchell zbliżył się do niego dwa, może trzy kroki.

Co on wyprawia?

- ...

Więcej rachunków w bankach szwajcarskich niż w szpitali.

Będzie musiał go zgubić podczas następnej owacji.

Skupił się na

słowach Zerińskiego, by dokładnie przewidzieć, kiedy ma wykonać następny ruch.

- Chyba go mam - powiedział milicjant w cywilu, z lornetką przy oczach.

- Gdzie, gdzie?

- spytał Bolczenkow, chwytając lornetkę.

- Na wprost, pięćdziesiąt metrów dalej, ani drgnie.

Stoi przed kobietą w czerwonej chusteczce.

Nie wygląda jak na fotografii, ale kiedy tylko tłum zaczyna wiwatować, porusza się owiele za szybko jak nikt w tym wieku.

Bolczenkow nastawił lornetkę.

- Mam go - powiedział.

Po kilku sekundach dodał: - Tak, to może być on.

Poleć tym dwóm bardziej w prawo, żeby się podkradli i aresztowali go, a parze dwadzieścia metrów przed nim każ ich ubezpieczać.

Załatwmy to jak najszybciej.

- Młody oficer miał niespokojną minę.

- W razie pomyłki - dodał szef milicji - biorę odpowiedzialność na siebie.

- Nigdy nie zapominajmy - ciągnął Zeriński - że Rosją może znówu być najpotężniejszym państwem świata.

Mitchell znajdował się teraz tylko o krok od Connora, który udawał, że go nie widzi.

Za kilka sekund, gdy Zeriński powie, co zrobi, kiedy zostanie prezydentem, wybuchnie długotrwała owacja.

Żadnych rachunków bankowych zasilanych łapówkami nieuczciwych biznesmenów - ta fraza zawsze pobudzała tłum do najgłośniejszych wiwatów.

Wtedy się wymknie i dopilnuje, żeby Mitchella przerzucono do pracy urzędniczej w jakiejś apadłej dziurze nekanej przez moskity.

- ...

będę wam służył z poświęceniem i zadowolę się w pełni pensją prezydenta, zamiast brać łapówki od nieuczciwych biznesmenów, których interesuje tylko grabież majątku narodowego.

Wybuchł awrząwa.

Connor nagle się obrócił i zaczął się przepychać w prawo.

Zrobił za ledwie trzy kroki, kiedy pierwszy milicjant schwycił go za lewe ramię.

Sekundę później drugi natarł na niego z prawej.

Powalili go na ziemię, lecz on wcale nie stawiał oporu.

Pierwsza zasada: jeżeli nie masz nic do ukrycia, nie broń się przed aresztowaniem.

Wykręcono mu ręce do tyłu i założono kajdanki.

Wokół trzech mężczyzn ludzie utworzyli krąg.

Teraz bardziej interesowało ich to uboczne widowisko niż słowa Żerińskiego.

Mitchell stał z tyłu, czekając na nieuchronne: "Kto to jest?"

".

- Zabójca wynajęty przez mafię - wyszeptał do uszu najbliższych stojących.

Wycofując się w stronę miejsca dla prasy, co chwilę mruczał: - Mafijny zabójca.

- Bądźcie pewni, zacni obywatele, że gdy zostanę prezydentem, dopilnuję.

- Jest pan aresztowany - powiedział trzeci mężczyzna, którego Connor nie mógł zobaczyć.

Nos miał przyciśnięty do ziemi.

- Zabrać go - powiedział ten sam władczy głos i Connora powleczono na północny kraniec placu.

Żeriński zauważył zamieszanie w tłumie, ale jako stary zawodowiec je zignorował.

- Gdyby został wybrany Czernopow - ciągnął bez zająknięcia - Amerykanie bardziej by się liczyli ze zdaniem Meksyku niż Rosji.

Jacksonnie odrywał oczu od Connora, gdy tymczasem tłum szybko się rozstał, żeby zrobić przejście dla milicji.

- Przyjaciele, zostało tylko sześć dni, nim naród zadecyduje.

Mitchell oddalił się szybko w stronę podium dla prasy.

- Nie róbcie tego dla mnie.

Ani nawet dla partii komunistycznej.

Zróbcie to dla następnego pokolenia Rosjan.

Samochód milicyjny w asyście czterech motocyklitorował sobiodrogę wyjeżdżając z placu.

żeby mogli grać rolę obywateli największego narodu świata.

Proszę tylko o jedno: o zaszczyt przewodzenia temu narodowi.

- Tym razem milczał, dopóki się nie upewnił, że słuchają go wszyscy na placu.

Wtedy cicho zakończył: - Towarzysze, pragnę wam służyć.

Cofnął się i nagle dźwięk syren milicyjnych utonął w ryku, który wyrwał się ze stu tysięcy gardeł.

Jackson spojrział w stronę miejsca dla prasy.

Spostrzegł, że dziennikarzy o wiele bardziej interesuje oddalający się samochód milicyjny niż często powtarzane słowa Żerińskiego.

- Zabójca wynajęty przez mafię - informowała kolegę turecka dziennikarka.

O tym "fakcie" usłyszała od kogoś w tłumie, kogo potem przytoczy jako "wiarygodne źródło".

Mitchell spoglądał w górę na szereg kamerzystów, którzy filmowali samochód milicyjny z błyskającym niebieskim światłem, póki nie znikł im z oczu.

Utkwił wzrok w człowieku, z którym musiał zamienić kilka słów.

Czekał cierpliwie, a kiedy wreszcie Clifford Symonds spojrzał w jego kierunku, dał mu znak, że chce z nim pilnie porozmawiać.

Reporter CNN szybko podszedł do amerykańskiego attaché kulturalnego, który stał wśród wiwatującej masy.

Żeriński trwał na środku podium, sycąc się czołobitnością tłumu.

Nie miał zamiaru odchodzić, póki tłum wył na jego cześć.

Symonds uważnie słuchał słów Mitchella.

Miał wejść na wizję za dwanaście minut.

Jego uśmiech z każdą sekundą stawał się coraz szerszy.

- Jesteś absolutnie pewien?

- zapytał, gdy Mitchell skończył.

- Czy kiedyś cię zawiodłem?

- odpowiedział pytaniem Mitchell, przybierając obrażony ton.

- Nie, nigdy - odparł przepraszająco Symonds.

- Ale musisz trzymać tę informację o milion mil od ambasady.

- Oczywiście.

Ale jakie mam wskazać źródło?

- Bystrą isumienną milicję.

Temu szef milicji z pewnością nie zaprzeczy.

Symonds roześmiał się.

- Lepiej porozumiem się z redaktorem wydania, jeśli to ma pójść na pierwszym miejscu w dzienniku porannym.

- Dobrze.

Tylko pamiętaj - nie wygadaj się, że dowiedziałeś się odemnie.

- Czy kiedyś cię zawiodłem?

- odgryzł się Symonds.

Odwrócił się i popędził w stronę pomostu dla prasy.

Mitchell przemknął się przeciwnym kierunkiem.

Był jeszcze jeden chętny, któremu należało podszepnąć tę historyjkę i trzeba było to zrobić, zanim Żeriński zejdzie ze sceny.

Kordon goryli zagradzał drogę nadmiernie entuzjastycznym wielbicielom kandydata na prezydenta.

Mitchell dojrzał sekretarza prasowego Żerińskiego w odległości kilku kroków, napawającego się owacją na cześć przywódcy.

Mitchell zwrócił się do jednego ze strażników bezbłędnie po rosyjsku, wskazując mu, z kim chce mówić.

Drab odwrócił się na pięcie i krzyknął na sekretarza prasowego.

Mitchell pomyślał, że jeżeli Żeriński wygra, jego prezydentura nie będzie się odznaczać subtelnością.

Sekretarz prasowy natychmiast dał znak, by przepuścić Amerykanina, więc ten wkroczył na otoczony kordonem obszar i podszedł do swego kolejnego partnera szachowego.

Szybko przekazał mu wiadomość, informując, że de Yilliers był ucharakteryzowany nastarcą i podając, z którego hotelu wyszedł tuż przed wejściem do restauracji.

Ponieważ do Fitzgeralda i Jacksona dotarło, że mieli do czynienia z prawdziwym zawodowcem.

XVII

Prezydent i szef personelu Białego Domu siedzieli sami w Pokoju Owalnym i oglądali poranny dziennik telewizyjny.

Żaden z nich nie odezwał się słowem, kiedy Clifford Symonds przekazywał swoje sprawozdanie.

- Międzynarodowy terrorysta został aresztowany dziś po południu na Placu Wolności, w trakcie przemówienia przywódcy komunistów Wiktora Żerińskiego.

Mężczyznę, którego nazwiska jeszcze nie znamy, zamknięto w osławionym więzieniu Kriesty, w centrum Sankt Petersburga.

Tutejsza milicja nie wyklucza, iż może to być ten sam człowiek, którego ostatnio łączono z zabójstwem Ricarda Guzmana, prezydenckiego kandydata w Kolumbii.

Przypuszcza się, że mężczyzna zatrzymany przez milicję śledził Żerińskiego od kilku dni, gdy ten objeżdżał kraj podczas kampanii wyborczej.

Zaledwie w zeszłym tygodniu "Newsweek" pisał o nim, że jest najdroższym na Zachodzie zabójcą na zlecenie.

Sądzi się, że rosyjska mafia zaoferowała mu milion dolarów za wyeliminowanie Żerińskiego z wyścigu do prezydentury.

W czasie aresztowania trzeba było czterech milicjantów, żeby go obezwładnić.

Następnie puszczono materiał filmowy ze sceną aresztowania i wyprowadzenia jakiegoś mężczyzny, ale najlepsze ujęcie, jakie udało się nakręcić, pokazało tylko tył głowy w futrzanej czapce.

Na ekranie ponownie pojawiła się twarz Symonasa.

- Kandydat komunistyczny kontynuował przemówienie, chociaż aresztowanie miało miejsce kilka kroków od podium.

Później Żeriński pochwalił milicję w Sankt Petersburgu za sumienność i profesjonalizm i oświadczył, że niezależnie od tego, ile razy próbowano by targnąć się na jego życie, nie gonie powstrzymać od zwalczania zorganizowanej przestępczości.

Obecnie Żeriński ma takie same notowania w sondażach opinii publicznej jak premier Czernomyr, ale zdaniem licznych

obserwatorów dzisiejszy incydent wpłynął na zwiększenie jego popularności w końcowej fazie kampanii.

Kilka godzin przed wiecem Żeriński spotkał się prywatnie z generałem Borodinem w jego siedzibie w północnej części miasta.

Nikt nie zna rezultatu tych rozmów, ale rzecznicy generała nie zaprzeczają, że wkrótce zakomunikuje, czy zamierza kontynuować swoją kampanię o prezydenturę i, co

zapewne ważniejsze, którego z dwóch pozostałych kandydatów poprze, jeżeli się wycofa. Te wybory zaczęły się na dobre.

Mówił Clifford Symonds dla CNN z Placu Wolności w Sankt Petersburgu.

- W poniedziałek Senat będzie nadal debatował nad ustawą o ograniczeniu zbrojeń nuklearnych, biologicznych, chemicznych i konwencjonalnych.

Prezydent nacisnął guzik pilota i ekran zgasł.

- Więc powiadasz, że człowiek, którego aresztowano, nie ma powiązań z rosyjską mafią, ale pracuje na zlecenie Dexter?

- Tak.

Czekam, kiedy zadzwoni Jackson i potwierdzi, że to ten sam człowiek, który zabił Guzmana.

- Co mam powiedzieć dziennikarzom, jeśli mnie o to będą pytać?

- Musi pan blefować, panie prezydencie, bo nikt nie może się dowiedzieć, że człowiek, którego złapali, to jeden z naszych.

- Ale to by raz na zawsze załatwiło Dexter i tego pęta jej zastępcę.

-Ależ skąd.

Gdyby pan utrzymywał, że nic pan o tym niewiedział, topolowa ludność dyskredytowałaby pana jako naiwniaka, wystrychniętego przez CIA na dudka.

Natomiast gdyby pan przyznał, że pan wiedział, druga potowa zażądałaby, żeby zdjęto panazurzędu.

Więc radzę, byna razie ograniczył się pan do stwierdzenia, że z zainteresowaniem czeka pan na rezultat wyborów w Rosji.

- I to jakim!

- rzekł Lawrence.

-Ostatnie, czego mi potrzeba, to żeby ten faszystowski kurdupel Żeriński został prezydentem. Wtedy z dnia na dzień wrócilibyśmy do programu Gwiezdných Wojen.

- Przypuszczam, że właśnie dlatego ustawa utknęła w Senacie.

Nie chcą podejmować ostatecznej decyzji, póki nie poznają wyniku wyborów.

Lawrence skinął głową.

- Jeżeli do tego przekłętego pudła wsadzili jednego z naszych, musimy coś w tej sprawie zrobić, i to szybko.

Jak Żeriński zostanie prezydentem, tylko Bóg doła pomóc temu biedakowi, boja na pewno nie. Connor milczał.

Siedział wciśnięty między dwóch funkcjonariuszy w tyle milicyjnego auta.

Wiedział, że ci młodzi ludzie nie mają ani odpowiedniej rangi, ani władzy, żeby go przesłuchać.

To nastąpi później, a przesłuchujący będzie miał o wiele bogatsze galony namundurze.

Kiedy wjechali przez wielkie, drewniane wrota Kriestów na szary, brukowany dziedziniec, Connor zobaczył komitet powitalny.

Trzech osiłków w więziennych ubiorach wystąpiło do przodu, prawie wyrwało tylne drzwiczki samochodu z zawiasów i wywlokło Connora na zewnątrz.

Młodzi milicjanci, którzy siedzieli po obu jego bokach, mieli przerażone miny.

Trzech drabów szybko powlokło nowego więźnia przez dziedziniec i wepchnęło do długiego, ponurego korytarza.

Tam zaczęło się kopanie i okładanie pięściami.

Connor chciał zaprotestować, ale ich słownictwo ograniczało się do pomruków.

Gdy dotarli do końca korytarza, jeden z nich otworzył ciężkie stalowe drzwi, a dwaj pozostali rzucili Connorowi do maleńkiej celi.

Nie próbował się bronić, gdy najpierw ściągnęli mu buty, potem zegarek, ślubną obrączkę i portfel - z którego nie mogli się niczego dowiedzieć.

Odeszli, zatraskując zasobą drzwi.

Connor powoli się podniósł i z trudem rozprostował kości, bada-fjąc, czy któraś nie jest złamana.

Nie stwierdził trwałych uszkodzeń, już wystąpiły sińce.

Rozejrzył się po celi, nie większej od prze-;

działu sypialnego, w którym jechał z Moskwy.

Zielone ceglane ściany wyglądały, jakby nie malowano ich farbą od początku wieku.

Connor spędził w Wietnamie osiemnaście miesięcy w wielu ciasniejszej komórce.

Wtedy rozkazy były jasne: kiedy będziesz przesłuchiwany przez wroga, podaj tylko swoje nazwisko, stopień i numer identyfikacyjny.

Ale te zasady nie odnosiły się do ludzi z CIA.

Jedenaste przykazanie: Niedaj się tapać.

Ale jeżeli wpadniesz, stanowczo zaprzeczaj, że masz coś wspólnego z CIA.

Niemartw się - Firma zawsze o ciebie zadba.

Connor miał świadomość, że tym razem mimo zapewnień Gutenberga, musi zapomnieć o "zwykłych kanałach dyplomatycznych".

Kiedy teraz leżał na pryczyw ciasnej celi, wszystko ułożyło się w logiczną całość.

Nie poproszono go, by pokwitował odbiór gotówki ani samochodu.

Przypomniał sobie również zdanie, które przepadło gdzieś w zakamarkach pamięci.

Powtórzył je teraz słowo w słowo:

Jeżeli się martwisz o swoją nową pracę, to chętnie pogadam z prezesem towarzystwa, gdzie będziesz zatrudniony, i wyjaśnię mu, że to tylko krótkoterminowe zadanie.

[Skąd Gutenberg wiedział o jego rozmowie w sprawie nowej pracy i o tym, że miał do czynienia bezpośrednio z prezesem towarzystwa?]

Wiedział, ponieważ już rozmawiał z Benem Thompsonem.

To dlatego wycofali swoją ofertę.

"Z przykrością pana informujemy.

Jeżeli chodzi o Mitchella, to powinien był przejrzeć tę anielską maskę chłopięcia z chóru kościelnego.

Co nadal stanowiło zagadkę, to telefon od prezydenta.

Dlaczego Lawrence ani razu nie wrócił się do niego po imieniu?

I zdania były trochę bez związku, śmiech trochę za głośny.

Nawet teraz trudno mu było uwierzyć, że Helen Dexter mogła się posunąć tak daleko, by ratować własną skórę.

Zapatrzył się w sufit.

Przed wszystkim, jeżeli prezydent nie telefonował, to trzeba się pożegnać z nadzieją wyjścia na wolność.

Dexter z powodzeniem usunęła jedyną osobę, która mogła ją zdemaskować, i Lawrence nic nie mógł na to poradzić.

Bezwarunkowa akceptacja przez Conнора kodeksu agenta CIA uczyniła z niego ochocznego pionka w planie przetrwania pani dyrektor.

Żaden ambasador nie będzie składał dyplomatycznych protestów w jego obronie.

Nie będzie paczek żywnościowych.

Sammusizatoszczyć się o siebie, tak jak było w Wietnamie.

A jeden z młodych milicjantów, którzy goaresztowali, uświadomił mu jeszcze inną trudność, z którą będzie musiał się uporać: od osiemdziesięciu czterech lat nikt nie uciekł z tego więzienia.

Drzwi nagle się otworzyły i do celi wkroczył mężczyzna w niebieskim mundurze bogato zdobionym złotymi galonami.

Stał i zapalił papierosa.

Piętnastego w tym dniu.

Jackson pozostał na placu, póki samochód milicyjny nie znikł z oczu.

Był na siebie wściekły.

W końcu odwrócił się i odmaszerował, pozostawiając z tyłu krzyczący tłum.

Szedł tak prędko, że Siergiej musiał za nim biec.

Mały Rosjanin rozumiał, że to nie jest pora stawiania pytań.

Słowo "mafia" było na ustach wszystkich ludzi, których mijali.

Siergiej odczuł ulgę, kiedy Jackson stanął i zatrzymał taksówkę.

Jackson mógł tylko podziwiać, jak sprawnie Mitchell - bez wątplenia kierowany przez Dexter i Gutenberga - przeprowadził całą operację 147.

cję. To była klasyczny numer CIA, ale z tą różnicą, że tym razem zostawili na zatrącenie w zagranicznym więzieniu własnego człowieka.

Próbował niemyśleć o tym, co czeka Connora.

Skupił się na sprawozdaniu, które miał przekazać Lloydowi.

Gdyby zdołał się nim skontaktować wczoraj wieczorem, mógłby otrzymać zgodę na wycofanie Connora.

Telefon komórkowy nadal nie działał, musiał więc zaryzykować i skorzystać z telefonu w pokoju hotelowym.

Podwładzemu dziewięciu lat otrzymał szansę wyrównania rachunków.

I nie stanęła wysokość zadania.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem Jacksona.

Zapłacił taksówkarzowi i wpadł do hotelu.

Nie czekając na windę wbiegł po schodach na pierwsze piętro i popędził korytarzem dopokoju Siergiej dogonił go akurat w chwili, kiedy przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

Chłopak usiadł na podłodze i wysłuchał rozmowy Jacksona z kimś o nazwisku Lloyd.

Kiedy Jackson wreszcie odłożył słuchawkę, był blady i trząsał się z furii.

Siergiej odezwał się pierwszy raz, odkąd opuścili plac.

- Może zadzwonię do jednego z klientów matki - zaproponował.

- Gratuluję - powiedziała Dexter, gdy Gutenberg wkroczył do jej gabinetu.

Wicedyrektor uśmiechnął się, siadając naprzeciw szefowej kładąc na biurku tekturową teczkę.

- Właśnie oglądałam skrót wiadomości ABC i CBS - powiedziała.

- Obie stacje przedstawiają to, co wydarzyło się na Placu Wolności, zgodnie z wersją Symonsona.

Wiadomo już, czy jutro prasa zrobi wokół tego dużego hałasu?

- Tracą już zainteresowanie.

Nie padł żaden strzał ani nawet cios okazało się, że podejrzany jest nieuzbrojony.

I nikt nie sugeruje, że facet, którego aresztowano, może być Amerykaninem.

Jutro o tej porze tylko w Rosji ta historia będzie na pierwszych stronach gazet.

- Jak reagujemy na pytania dziennikarzy?

- Mówimy, że to jest wewnętrzny problem Rosjan i że w Sankt Petersburgu wynajęcie zabójcy kosztuje taniej niż przyzwoity zegarek.

Ja im radzę, żeby sobie poczytali artykuł w "Newsweeku" z zeszłego miesiąca o rosyjskim ojcu chrzestnym, aby docenić wagę problemu.

Kiedy mnie naciskają, kieruję ich w stronę Kolumbii.

Jeśli naciskają mnie dalej, dorzucam Afrykę Południową.

To im daję potępiający tekst, by zaspokoić apetyt redaktora.

- Czy jakaś stacja telewizyjna pokazała film z aresztowania Fitzgeralda?

- Tylko ujęcie jego głowy z tyłu, zresztą był w otoczeniu milii ciantów.

Gdyby mieli coś innego, napewno puszczaliby film bez końca.

- Czy jest możliwość, że wystąpi publicznie i wygłosi kompromiujące oświadczenie, które podchwyci prasa?

- Właściwie żadna.

Gdyby w ogóle urządził proces, prasa zagraniczna z pewnością zostanie dopuszczona do sądu.

A jeżeli Żeriński zostanie prezydentem, Fitzgerald nigdy nie wyjdzie z Kriestów.

- Czy przygotował pan raport dla Lawrence'a?

- spytała Dexter.

- Bo jest pewne, że będzie próbował zrobić z igły widły.

Gutenberg pochylił się do przodu i poklepał teczkę, którą położył na biurku dyrektorki. Otworzyła ją i zaczęła czytać.

Odwracała stronę za stroną, nieokazując żadnych emocji.

Wreszcie skończyła, z lekkim uśmiechem zamknęła teczkę i posunęła ją ku Gutenbergowi.

- Proszę to podpisać i wysłać natychmiast do Białego Domu - powiedziała.

- Bo niezależnie od wątpliwości, jakie nurtują w tej chwili prezydenta, nigdy nie zechce wrócić do tej sprawy, jeżeli wygra Żeriński.

Gutenberg kiwnął głową na znak zgody.

Helen Dexter spojrzała przez biurko na swego zastępcę.

- Szkoda, że musieliśmy poświęcić Fitzgeralda - powiedziała.

- Ale jeżeli to pomoże w wyborze Żerińskiego, osiągniemy podwójny cel.

Projekt ustawy Lawrence'a o ograniczeniu zbrojeń zostanie odrzucony przez Kongres, a Biały Dom będzie się mniej wtrącał w sprawy CIA.

Connor zdjął nogi z pryczy, opuścił białe stopy na podłogę i stanął przed gościem.

Szef milicji głęboko zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym wysoko w powietrze.

- Obrzydliwy nałóg - powiedział doskonałą angielszczyzną.

- Zona ciągle mi powtarza, że bym z tym skończył.

Connor nie zareagował,

- Nazywam się Władimir Bolczenkow.

Jestem szefem milicji w tym mieście i pomyślałem, że moglibyśmy zamienić parę słów przed oficjalnym przesłuchaniem.

- Ja się nazywam Pięć de Villiers.

Jestem obywatelem Afryki Południowej, pracuję w "Johannesburg Journal" i chcę się widzieć moim ambasadorem.

- Tu mam pierwszy problem - rzekł Bolczenkow.

Papieros dyndał mu w kąć ust.

- Widzi pan, janie wierzę, że pan się nazywa Pięć de Villiers, jestem prawie pewien, że nie jest pan obywatelem Afryki Południowej i wiem na sto procent, że nie pracuje pan dla "Johannesburg Journal", ponieważ nie ma takiej gazety.

A żebyśmy nie tracili niepotrzebnie czasu, dodam, iż wiem z najpewniejszego źródła, że nie został pan wynajęty przez mafię.

Przyznaję, że jeszcze nie wiem, kim pan jest, a nawet z jakiego kraju pan pochodzi.

Ale ten, kto pana wysłał, kimkolwiek jest, wrzucił pana, że się tak wyrażę, w wielkie gówno.

I to, jeżeli można tak powiedzieć, z dużym rozmachem.

Connor ani mrugnął.

- Ale zapewniam pana, że ze mną im się to nie uda.

Jeśli więc nie jest pan w stanie pomóc mi w śledztwie, nie pozostaje mi nic innego, jak pozwolić, żeby pan tu gnął, podczas gdy ja dalej będę się pławił w chwale, która niezасłużenie na mnie spada.

Connor nie zareagował.

- Widzę, że nie możemy się porozumieć - rzekł Bolczenkow.

Uważam za swój obowiązek zwrócić panu uwagę, że to nie Kolumbia, i że nie będę zonglował swoją lojalnością i obdarzał nią osoby, z którą rozmawiałem jako ostatnią albo od której dostałem więcej dolarów.

- Zamilkła chwilę i zaciągnęła się papierosem.

- Podejrzewam, że to jedna z wielu naszych wspólnych cech.

- Odwrócił się skierował do drzwi, ale przystanął.

- Proszę to przemyśleć.

Ale gdybym był w pańskiej skórze, długo bym nie czekał.

- Zastukałw drzwi.

-Chciałbym pana zapewnić, kimkolwiek pan jest - dodał, kiedy otwartodrzwi - że nie będzie żadnych śrub dozgniataania kciuków, żadnego naciągania stawów ani innych, bardziej wyrafinowanych tortur, dopóki będę zwierzchnikiem milicji w Sankt Petersburgu.

Nie mam dotortur przekonania, to niew moim stylu.

Aleniemogę panu obiecać, że będzie równie sympatycznie, kiedy Żerińskiego wybiorąprezydentem.

Szef milicji zatrzasnął drzwi celi i Connor usłyszał zgrzyt kluczaprzekręcane go w zamku.

XVIII

Trzy białe BMW zajęchały przed hotel.

Mężczyźni, siedzący obok kierowcy w każdym z samochodów, wyskoczyli na chodnik i sprawdzili ulicę.

Gdy uznali, że wszystko w porządku, otwarto tylne drzwiczki środkowego samochodu, z którego wysiadł Aleksiej Romanow, wysoki młodzieniec w czarnym kaszmirowym palcie.

Wszedł szybko do hotelu nie rozglądając się na boki.

Podążali za nim, otaczając go półkolem, trzech goryle.

Z przekazanego telefonicznie opisu Romanow od razu rozpoznał wysokiego Amerykanina, który stał na środku hallu i wyraźnie na kogoś czekał.

-Pan Jackson?

- spytał Romanow gardłowym głosem.

- Tak - odparł Jackson.

Podałby tamtemu rękę, ale Romanow

jakby nigdy nic odwrócił się i pomaszerował prosto do wyjścia.

Silniki trzech samochodów były włączone i drzwiczki wciąż otwarte, kiedy Jackson wyszedł na ulicę.

Wskazano mu tylne drzwiczki środkowego samochodu i posadzono między mężczyzną, który nie chciał wymienić z nim uścisku ręki, a drugim, również milczącym, ale mocniej zbudowanym niż tamten.

Trzy auta skręciły na środkowy pas i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystkie pojazdy zjechały im z drogi.

Tylko światła, sygnalizacyjne zdawały się nie wiedzieć, kim oni są.

Podczas gdy mała kawalkada sunęła przez miasto, Jackson znowu przeklinał się w duchu.

Nie byłoby takiej konieczności, gdyby mógł porozumieć się z Lloydem dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

Ale to było przewidywanie po fakcie, pomyślał - dar typowy dla polityków.

- Powinieneś się spotkać z Mikołajem Romanowem- rzekł Siergiej.

Wykręcił numer telefonu matki i gdy wreszcie uzyskał połączenie, zachowywał się tak, jak jeszcze Jackson nie widział.

Był pełen szacunku, słuchał z uwagą i nie przerwał ani razu.

Po dwudziestu minutach odłożył słuchawkę.

- Myślę, że ona zadzwoni - powiedział.

- Problem w tym, że nie można się dostać do klanu wory w zakonie - czyli mafii, jak wy mówicie - jeżeli się nie skończyło czterem lat.

Odnosiło się to nawet do Aleksego, jedyne go syna cara.

Następni Siergiej wyjaśnił, że poprosił o umożliwienie Jacksonowi spotkania z carem, przywódcą organizacji Wory-w-zakonie.

Ich początki sięgają czasów, kiedy w Rosji panował prawdziwy car, przetrwali i stali się budzącą największy strach i respekt organizacją przestępczą świata.

- Moja matka jest jedną z nielicznych kobiet, z którą car zechce rozmawiać.

Poprosi go, żeby udzielił ci audiencji - oznajmił Siergiej.

Zadzwoił telefoni chłopak natychmiast podniósł słuchawkę.

Słuchając słów matki zbladł i zadrżał.

Chwilę się wahał, ale w końcu zgodził się na jej propozycję.

Ręka wciąż się trzęsła, kiedy odkładał słuchawkę.

- Zgodził się ze mną zobaczyć?

- spytał Jackson.

- Tak - odparł cicho Siergiej.

- Jutro rano przyjedzie po ciebie dwóch mężczyzn, Aleksiej Romanow, syn cara, który po jego śmierci zajmie jego miejsce, i Stiepan Iwanicki, kuzyn Aleksieja, trzeci w hierarchii.

- To w czym problem?

- Ponieważ cię nie znają, postawili jeden warunek.

- Jaki?

- Jeżeli car uzna, że spotkanie z tobą było stratą czasu, ci dwaj wrócą i złamią mi nogę, żebym sobie zapamiętał i drugi raz nie zawracał im głowy.

- Więc lepiej, żeby cię tu nie było, kiedy wrócę.

- Jak mnie tu nie będzie, to przyjdą do mojej matki i jej złamią nogę.

A jak mnie złapią, to złamią mi obie nogi.

To ich nie pisany kodeks.

I Wór w zakonie (ros.)- przestępca przestrzegający niepisanego, ale surowo egzekwowanego kodeksu świata przestępczego {worowskiej zakon} ; kodeksów, o wieloletniej tradycji, ustanawia normy zachowań i kary za ich naruszenie (przyp. red.).

Jackson zastanawiał się, czy nie odwołać spotkania.

Nie chciał, żeby przez niego chłopiec został kaleką.

Ale Siergiej powiedział, że jest za późno.

Przystał już na ich warunki.

Jedno spojrzenie na siedzącego po prawej Stiepana Iwanickiego, siostrzeńca cara, przekonało Jacksona, że złamanie komuś nogi zajęłoby mu tylko chwilę i natychmiast by o tym zapomniał.

Gdy trzy BMW wyjechały poza granice miasta, mała kawalkada przyspieszyła do stu kilometrów na godzinę.

Wspinając się krętymi drogami na wzgórze, mijali tylko z rzadka inne pojazdy.

Przejeżdżali obok wieśniaków o pochylonych głowach i twarzach, w których nie było śladu myśli o przeszłości czy o przyszłości.

Jackson zaczął pojmować, dlaczego słowa Zerińskiego mogły podsycić ostatnią iskierkę nadziei, drzemającą w ich sercach.

Nagle pierwszy samochód zjechał w lewo i zatrzymał się przed masywną bramą z kutego żelaza, zwieńczoną herbem, przedstawiającym czarnego orła z rozpostartymi skrzydłami.

Dwóch mężczyzn kałasznikowami wystąpiło do przodu i kierowca pierwszego samochodu opuścił szybę z przydymionego szkła, żeby mogli zajrzeć do środka.

Przypominało to Jacksonowi wjazd do kwatery głównej CIA - z tym, że w Langley wartownicy musieli się zadowolić bronią boczną, spoczywającą w futerałach.

Po skontrolovaniu wszystkich trzech samochodów jeden z wartowników skinął głową i skrzydła orła się rozwarły.

Kawalkada sunęła teraz bardziej majestatycznie zwirowaną, wijącą się drogą, wiodącą przez gęsty las.

Upłynęło pięć minut, nim Jackson ujrzał z daladom - choćnie był todom.

Przed wiekiem był to pałac następcy tronu.

Obecnie zamieszkiwał go potomek pobocznej linii, który także uważał się za pretendenta.

- Nie mów nic, dopóki car do ciebie się nie odezwie- przestrzegł go Siergiej.

- I traktuj go jak jego cesarskich przodków.

-Jackson wolał nie mówić Siergiejowi, że nie ma pojęcia, jak należy zwracać się do członka rosyjskiego domu panującego.

Samochody zahamowały na chrzęszczącym żwirze przed frontowymi drzwiami.

Wysoki, elegancki mężczyzna w długim czarnym fraku, białej koszuli, z fontaziem podszyją, stał w oczekiwaniu u schodów.

Skłonił się przed Jacksonem, który starał się zachowywać, jakby był przyzwyczajony do takich ceremonii.

W końcu spotkał się kiedyś z Richardem Nixonem.

- Witam pana, panie Jackson, w "Zimowym Pałacu" - powiedział kamerdyner.

Pan Romanow oczekuje pana w Błękitnej Galerii.

Aleksiej Romanow i Stiepan Iwanicki weszli wraz z Jacksonem do środka.

Jacksoni młody Romanow podążyli za kamerdynerem długim, marmurowym korytarzem, Iwanicki zaś został przy drzwiach.

Jackson chętnie by przystanął, aby podziwiać obrazy i rzeźby, które byłyby ozdobą każdego muzeum na świecie, ale musiał dotrzymać kroku kamerdynerowi.

Ten stanął na końcu korytarza przed białymi drzwiami, sięgającymi niemal sufitu.

Zapukał, otworzył jedno skrzydło i usunął się na bok, robiąc przejście Jacksonowi.

- Pan Jackson - zaanonsował i wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Jackson znalazł się w olbrzymim, bogato umeblowanym pokoju.

Całą podłogę zaścierał olbrzymi dywan, za który niejednen Turek oddałby życie.

Z obitego czerwonym aksamitem, o wysokim oparciu fotela w stylu Ludwika XIV podniósł się starszy mężczyzna w niebieskim garniturze w prążki.

Miał srebrne włosy, a bladość skóry dowodziła, że od lat choruje.

Jego szczupła sylwetka była lekko zgarbiona.

Postąpił krok do przodu, żeby przywitać się gościem.

- To uprzejmie z pańskiej strony, że fatygował się pan, żeby się ze mną zobaczyć - powiedział.

- Proszę mi wybaczyć, ale mój angielski trochę zardzewiał.

Musiałem opuścić Oksford w 1939 roku, wkrótce po wybuchu wojny, chociaż byłem dopiero na drugim roku studiów.

Wie pan, Brytyjczycy nigdy naprawdę nie ufali Rosjanom, chociaż później mieliśmy zostać sojusznikami.

- Uśmiechnął się miło.

- Myślę, że podobnie się zachowują w stosunku do Amerykanów.

Jackson nie bardzo wiedział, jak zareagować.

- Zechce pan usiąść - stary człowiek wskazał taki sam fotel, na jakim sam siedział.

-Dziękuję - rzekł Jackson.

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział, od kiedy wyszedł z hotelu.

- Otóż, panie Jackson - powiedział Romanow, opuszczając się powoli na fotel - gdy zadam panu pytanie, proszę odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Jeżeli będzie pan miał jakieś wątpliwości, proszę się zastanowić, zanim pan odpowie.

Bo jeśli pan mnie okłamie, to -jakby to określić?

- nie tylko nasze spotkanie dobiegnie kresu.

Jackson wiedział, że stary człowiek jest prawdopodobnie jedyną osobą w świecie, która może wydostać Connora żywego z Kriestów.

Krótko skinął głową na znak, że zrozumiał.

- Dobrze - rzekł Romanow.

- A teraz chciałbym się czegoś więcej dowiedzieć o panu, panie Jackson.

Na pierwszy rzut oka widzę, że pracuje pan w instytucji zajmującej się ochroną porządku prawnego, a ponieważ jest pan w moim kraju - zaakcentował słowo "moim" - domyślam się, że jest to raczej CIA niż FBI.

Mam rację?

- Byłem zatrudniony w CIA przez dwadzieścia osiem lat aż doniedawna, kiedy przyjęto na moje miejsce kogo innego - Jackson ostrożnie dobierał słowa.

- Mieć kobietę za szefa to wbrew prawom natury - zauważył Romanow bez cienia uśmiechu.

- Organizacja, którą kieruję, nigdy nie pozwoliłaby sobie na taki idiotyzm.

Stary człowiek przechylił się w lewo i sięgnął na stolik po małą szklaneczkę bezbarwnego płynu, której Jackson do tej chwili niespostrzegł.

Pociągnął łyk, odstawił szklaneczkę na stół i dopiero wtedy zadał następne pytanie.

- Czy obecnie pracuje pan na zlecenie innej instytucji pilnującej prawa i porządku?

- Nie - uciął krótko Jackson.

- Więc działa pan na własną rękę?

- zasugerował starszy pan.

Jackson nie odpowiedział.

- Ach, tak.

Z pańskiego milczenia wnioskuję, że nie jest pan jedyną osobą, która nie ufa Helen Dexter.

Jackson znowu nie zareagował.

Ale szybko pojmował, dlaczego nie opłaciłoby się okłamywać Romanowa.

- Czemu chciał się pan ze mną widzieć, panie Jackson?

Jackson podejrzewał, że stary człowiek dobrze wie, dlaczego, ale podjął grę.

- Przybyłem w sprawie przyjaciela, który przez moją głupotę został aresztowany i zamknięty w więzieniu Kriesty.

- Ta instytucja nie słynie z humanitarnego podejścia, zwłaszcza gdy chodzi o wyrażenie zgody na wniesienie apelacji czy zwolnienie warunkowe.

Jackson skinął potakująco głową.

- Wiem, że to nie pański przyjaciel poinformował prasę, iż moja organizacja zaofiarowała mu wysoką zapłatę za wyeliminowanie Zerińskiego z wyścigu do prezydentury. Gdyby tak było, już by dawno wisiał w swej celi.

Nie, podejrzewam, że osobą rozpuszczającą to kłamstwo jest jeden z fagasów Helen Dexter.

Gdyby przyszedł pando mnie trochę wcześniej, byłbym pana przestrzegł przed Mitchellem.

- Pociągnął znowu łyk ze swojej szklaneczki.

- To jeden z nielicznych pańskich rodaków, którego chciałbym zwerbować do mojej organizacji.

Widzę, że jest pan zaskoczony rozległością mojej wiedzy.

A Jackson myślał, że zachował kamienną twarz.

- Panie Jackson, chyba nie zdziwi pana wiadomość, że mam swoich ludzi dobrze usadowionych na wysokich szczeblach zarówno CIA, jak i FBI?

- Lekki uśmiezek powrócił na jego twarz.

- A gdybym uznał to za pożyteczne, miałbym też kogoś w Białym Domu.

Ale ponieważ prezydent Lawrence ujawnia wszystko, o co go zapytać, podczas konferencji prasowych, nie jest to konieczne.

Co nasuwa mi następne pytanie.

Czy pański przyjaciel pracuje dla CIA?

Jackson nieodpowiedział.

- Ach, rozumiem.

Tak właśnie myślałem.

Cóż, sądzę, że może być pewien, iż Helen Dexter nie pospieszy mu na ratunek w tym wypadku.

Jackson nadal nic nie mówił.

- Dobrze - powiedział stary człowiek.

- Zatem teraz dokładnie wiem, czego pan ode mnie oczekuje.

- Zamilkł na chwilę.

- Ale niebardzo rozumiem, co pan ma do zaoferowania w zamian.

- Nie mam pojęcia, jaka jest obecna stawka - rzekł Jackson.

Starszy pan wybuchnął śmiechem.

- Panie Jackson, chyba ani przez sekundę pan nie podejrzewał, że ciągnąłem tu pana, żeby rozmawiać o pieniądzach.

Proszę rozejrzeć się wokół, to zobaczy pan, że choćby nie wiem ile miał pan do zaoferowania, i tak będzie to za mało.

"Newsweek" był daleki od prawdy, kiedy snuł domysły co do mojej potęgi i bogactwa.

Tylko w zeszłym roku moja organizacja miała sto osiemdziesiąt siedem miliardów dolarów obrotu, więcej niż wyniósł dochód narodowy Belgii czy Szwecji.

Posiadamy obecnie w pełni operacyjne oddziały w stu czterdziestu dwóch krajach.

Co miesiąc, wzorem McDonalda, otwieramy nowy.

Nie, panie Jackson, nie mam tyle życia przed sobą, żeby marnować czas na dyskusję o pieniądzach z człowiekiem bez grosza.

- Dlaczego więc zgodził się pan ze mną spotkać?

- spytał Jackson.

- Proszę nie pytać - uciął ostro Romanow.

- Może pan tylko odpowiadać.

Jestem zaskoczony, że nie przygotowano pana jak należy.

Stary człowiek najpierw upił kolejny łyk bezbarwnego płynu, a dopiero potem wyjaśnił, czego oczekuje w zamian za pomoc Connorowi w ucieczce.

Jackson wiedział, że nie jest upoważniony do przyjęcia warunków Romanowa w imieniu Connora, ale ponieważ poleconemu o nic nie pytać, więc milczał.

- Będzie pan potrzebował trochę czasu, żeby przemyśleć moją propozycję - ciągnął starszy pan.

- Ale gdyby pański przyjaciel zgodził się na moje warunki, a potemnie dotrzymał umowy, musi zdawać sobie sprawę z konsekwencji.

- Przerwał, by zaczerpnąć tchu.

- Mam nadzieję, że nie jest człowiekiem, który podpisawszy kontrakt zwraca się do sprytnego adwokata, żeby mu znalazł furtkę, dzięki której nie będzie musiał tego kontraktu honorować.

Widzi pan, w tym sądzie ja jestem i sędzią, i ławą przysięgłych, a mojego syna Aleksieja mianuję oskarżycielem.

Będzie musiał osobiście dopilnować, by ten szczególny kontrakt wypełniono co do joty.

Wydałem już polecenie, że ma wam obu towarzyszyć do Stanów Zjednoczonych i nie wróci, dopóki umowa nie zostanie wypełniona.

Mam nadzieję, że jasno się wyraziłem, panie Jackson.

Trudno sobie wyobrazić większy kontrast niż między biurem Żerińskiego i wiejską rezydencją cara.

Siedziba przywódcy komunistycznego znajdowała się na trzecim piętrze nędznego budynku na północnych przedmieściach Moskwy - chociaż ci, którzy zostali zaproszeni do jego dachy nad Wołgą, wiedzieli, że luksus nie jestmu obcy.

Ostatni głos oddano poprzedniego wieczoru o dziesiątej.

Teraz Zeriński mógł tylko siedzieć i czekać, aż komisje wyborcze od Bałtyku po Pacyfik obliczą głosy.

Dobrze wiedział, że w niektórych okręgach ludzie głosowali po kilka razy.

W innych urny wyborcze w ogóle nie trafiły do ratusza.

Był przekonany, że teraz, gdy doszedł do porozumienia z Borodinem i generał wycofał swoją kandydaturę, ma realne szansę wygranej.

Ale był też na tyle realistą, by wiedzieć, że skoro mafia popiera Czernopowa, to musi uzyskać sporo ponad połowę głosów, by ogłoszono go zwycięzcą.

Dlatego też postanowił poszukać sojusznika w obozie cara.

Wynik wyborów będzie nie znany przez dwa dni, gdyż w większej części kraju kartki z głosami nadal liczone ręcznie.

Dobrze pamiętał często przytaczaną uwagę Stalina, że jest ważne, jak ludzie głosują, tylko kto liczy głosy.

Współpracownicy Zerińskiego tkwili przy telefonach, usiłując się zorientować, co się dzieje w rozległym państwie, ale gubernatorzy obwodów powtarzali tylko, że wyniki są tak wyrównane, iż trudno rozstrzygnąć.

Wódz komunistów częściej uderzał pięścią w stół tego dnia niż w zeszłym tygodniu i na długo zamykał się w pokoju odbywając poufne rozmowy telefoniczne.

- To dobra wiadomość, Stiepan - mówił.

- Byłeś tylko uporał się z problemem swojego kuzyna.

- Słuchał odpowiedzi Iwanickiego, kiedy zapukano do drzwi.

Odłożył słuchawkę, gdy zobaczył, że szef sztabu wyborczego wchodzi do pokoju.

Nie życzył sobie, żeby Titow dowiedział się, z kim rozmawia.

- Dziennikarze się dopytują, czy pan z nimi porozmawia - powiedział Titow, mając nadzieję, że to zajmie szefa przez kilka minut.

Ostatnio Zeriński zetknął się z sępami, jak nazywał dziennikarzy, poprzedniego dnia rano, kiedy stawili się w komplecie, żeby patrzeć, jak oddaje głos w Koskach, dzielnicy Moskwy, w której się urodził.

Gdyby się ubiegało urząd prezydenta w Stanach Zjednoczonych, nie byłoby inaczej.

Zeriński niechętnie skinął głową i zszedł za Titowem na dół naulicę.

Poleciał personelowi nigdy nie wpuszczać nikogo z prasy do budynku; bał się, że wyniuchają, jak niesprawną i niedostatecznie obsadzoną ludźmi jest jego organizacja.

To jeszcze jedna rzecz, która się zmieni, gdy położy rękę na finansach państwa.

Nawet szefowi sztabu wyborczego nie powiedział, że jeżeli wygra, to za jego życia Rosjanie nie będą więcej głosowali w żadnych wyborach.

A zagraniczne gazety i magazyny mogą sobie do woli protestować.

W krótkim czasie przestaną się ukazywać na wschód od Niemiec.

Gdy Zeriński wyszedł przed dom, ujrzał największą gromadę dziennikarzy od początku kampanii wyborczej.

- Czy jest pan pewien zwycięstwa?

- wyrwał się ktoś, nie pozwalając mu nawet na słowa powitania.

- Jeżeli zwycięży człowiek, za którym wypowie się większość obywateli, zostanie nowym prezydentem Rosji.

- Ale przewodniczący międzynarodowej komisji obserwatorów powiada, że to były najbardziej demokratyczne wybory w historii Rosji.

Czy nie zgadza się pan z tą opinią?

- Zgodzę się, kiedy ogłoszą moją Wiktorię.
- Dziennikarze skwitowali tę aluzję do jego imienia uprzejmym śmiechem.
- Jeśli pana wybiorą, jak prędko odwiedzi pan prezydenta Lawrence'a w Waszyngtonie?
- Wkrótce po jego wizycie w Moskwie - padła natychmiast odpowiedź.
- Jeśli zostanie pan prezydentem, co się stanie z człowiekiem, aresztowanym na Placu Wolności i oskarżonym o przygotowywanie spisku na pańskie życie?

-O tym zadecyduje sąd.

Ale mogę zapewnić, że zostanie sprawiedliwie osądzony.

Żerińskiego nagle ogarnęła nuda.

Bez słowa odwrócił się napięcie i znikł w drzwiach budynku, nie zważając na pytania, które zanim wykrzykiwano.

- Czy zaproponował pan Borodinowi stanowisko w rządzie?

-Co pan zrobi z Czeczenią?

- Czy najpierw rozprawi się pan z mafią?

Kiedy znużony wchodził po wytartych kamiennych schodach na trzecie piętro, przyrzekł sobie, że, czy wygra, czy przegra, nigdy więcej nie będzie rozmawiał z dziennikarzami.

Nie zazdrościł Lawrence'owi rządzenia krajem, w którym dziennikarze chcieli być, traktowani jak równi prezydentowi.

Dobrnawszy do swego biura, opadł na jedyne wygodne krzesło i zasnął pierwszy raz od wielu dni.

Klucz obrócił się w zamku i drzwi celi otworzyły się na oścież.

Do środka wkroczył Bolczenkow, niosąc duży sukieny worek i podniszczoną skórzaną walizeczkę.

- Wróciłem, jak pan widzi - rzekł szef petersburskiej milicji i usiadł naprzeciw Connora.

- Z czego może pan wywnioskować, żeżnowu chodzi mi o nieoficjalną pogawędkę. Ale chciałbym, by tym razem była bardziej owocna.

Obrzucił spojrzeniem mężczyznę siedzącego na pryczy.

Wyglądało, że Connor mocno schudł przez ostatnie pięć dni.

- Widzę, że jeszcze pan nie przywykł do naszej nouvelle cuisine -stwierdził Bolczenkow zapalając papierosa.

- Muszę przyznać, że nawet petersburskie społeczeństwo dopiero po kilku dniach w pełni docenia tutejsze menu.

Ale akceptują je, gdy uświadomią sobie, że zostaną i tu do końca życia i że nie ma wyboru dla carte.

- Zaciągnął się głęboko papierosem i wypuścił nosem dym.

- Może czytał pan niedawno w gazetach - ciągnął- że jeden z naszych więźniów zjadł swego współtowarzysza.

Ale zważywszy na brak żywności i problem przeludnienia uznaliśmy, że nie warto z tego powodu wszczynać rwetesu.

Connor się uśmiechnął.

- O, widzę, że jednak nie jest pan z kamienia - rzekł Bolczenkow.

-Otóż muszę panu powiedzieć, że od czasu naszego spotkania zaszły dwa ciekawe wydarzenia, o których, jak sądzę, chciałby się pan dowiedzieć.

Położył worek i walizkę na podłodze.

- Te dwie sztuki bagażu zostały zgłoszone jako nie odebrane przez starszego portiera w hotelu.

Connor uniósł brwi.

- Tak jak myślałem - rzekł szefmilicji.

- Prawdę mówiąc, kiedy pokazaliśmy portierowi pańską fotografię, stwierdził, że chociaż pamięta, iż mężczyzna do pana podobny zostawił worek, nie przypomina sobie walizeczki. Jednak podejrzewam, że nie trzeba panu opisywać, co jest w środku.

Szef milicji nacisnął zameczki i uniósłwieko, odsłaniając remingtona 700.

Connor patrzył przed siebie, udając obojętność.

- Chociaż sądzę, że miał pan wcześniej do czynienia z tym rodzajem broni, to jestem przekonany, iż nigdy nie widział pan na oczy tego okazu, mimo inicjałów P. D.V., tak poręcznie wypisanych na walizce.

Nawet kompletny nowicjusz by wykombinował, że wystawiono pana do odstrzału.

- Bolcenkow głęboko się zaciągnął.

-W CIA chyba myślą, że mamy najgłupszą policję na świecie.

Czy chociaż przez moment mogli przypuścić, że nie wiemy, kim naprawdę jest Mitchell?

Attache kulturalny!

- Parsknął śmiechem.

-On pewniemyśli, że Eritaż to dom towarowy.

Zanim pan cokolwiek powie, chciałbym panu przekazać jeszcze jedną informację, która może pana zainteresować.

- Znowu wciągnął dym głęboko w płuca.

-Wiktor Żeriński wygrał wybory i w poniedziałek obejmie urząd prezydenta.

Connor blado sięśmiechnął.

- A ponieważ trudno sobie wyobrazić, żeby zaprosił pana na ceremonię inauguracji do pierwszego rzędu - powiedział Bolcenkow -myślę, że najwyższy czas, aby opowiedział pan swoją historię, panie Fitzgerald.

XIX

Prezydent Żerański wkroczył dumnie do pokoju.

Jego koledzy powstali natychmiast zkrzesel wokół długiego, dębowego stołu i klaskali, póki nie usiadł na swym miejscu pod portretem Stalina, odratowanym z podziemi Muzeum imienia Puszkina, gdzie tkwił od 1956 roku.

Żeriński miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę i czerwony jedwabny krawat. Wyglądem zdecydowanie się różnił od pozostałych mężczyzn siedzących dokoła stołu, nadal odzianych w źle leżące ubrania, które nosili podczas kampanii i wyborczej.

Wniosek był oczywisty - wszyscy powinni nazajutrz odwiedzić krawca.

Żeriński napawał się przez dłuższą chwilę oklaskami, po czym uciszył je machnięciem ręki, jakby tonie jego koledzy klaskali, ale uwielbiający go tłum.

- Wprawdzie oficjalnie zaczynam urzędowanie w najbliższy poniedziałek - zaczął - ale w paru dziedzinach zamierzam wprowadzić natychmiastowe zmiany.

- Prezydent obrzucił spojrzeniem swych popleczników, którzy trwali przy nim przez chude lata i teraz mieli zostać nagrodzeni za swoją lojalność.

Wielu z nich pół życia czekało na ten moment.

Zatrzymał wzrok na niskim, przysadzistym mężczyźnie, który patrzył tępo przed siebie.

Josif Piesków został wyniesiony z pozycji ochroniarza Żerińskiego na stanowisko członka politbiura w ciągu jednego dnia, kiedy zastrzelił trzech mężczyzn, którzy próbowali zabić jego szefa podczas wizyty w Odessie.

Piesków miał jedną wielką zaletę, jakiej Żeriński życzyłby sobie u każdego ministra: jeżeli rozumiał jego rozkazy, wypełniał je co do joty.

- Josif, stary druhu - rzekł Żeriński.

- Zostaniesz ministrem spraw wewnętrznych.

-Siedzący wokół stołu usiłowali nie okazać zaskoczenia lub rozczarowania; większość z nich wiedziała, że o wie.

Ale bardziej by się nadawali na to stanowisko niż dawny dokerz Odessy. Niektórzy podejrzewali, że nie potrafi nawet napisać bez błędów słowa "wewnętrzny". Mały, krępy mężczyzna promieniał jak dziecko, któremu niespodziewanie podarowano zabawkę.

- Twoim pierwszym zadaniem będzie rozprawienie się ze zorganizowaną przestępczością.

Najlepiej zacząć od aresztowania Mikołaja Romanowa, tak zwanego cara.

Bo nie będzie miejsca dla carów, prawdziwych, czy nie, póki jestem prezydentem.

Twarze, przed chwilą posępne, nagle się rozjaśniły.

Niewielu miało ochotę stanąć w szranki z Mikołajem Romanowem i żaden nie wierzył, że Piesków sprosta zadaniu.

- O co mam go oskarżyć?

- prostodusznie spytał Piesków.

- O co zechcesz, od oszustwa po morderstwo- odparł Zeriński.

- Ważne tylko, żeby do niego przylgnęło.

Piesków był już lekko przestraszony.

Wolałby, gdyby szef poprostu kazał mu zabić tego człowieka.

Zeriński obiegnął wzrokiem stół.

- Lew - zwrócił się do innego z obecnych, ślepo mu oddanego.

- Ty będziesz odpowiadał za drugą część mojego programu zaprowadzenia prawa i porządku.

Lew Szulow miał niepewną minę.

Nie wiedział, czy powinien być wdzięczny za to, czym zostanie obdarzony.

- Zostaniesz ministrem sprawiedliwości.

Szulow się uśmiechnął.

- Powiem wprost: teraz w sądach jest za duży zastój.

Mianuj kilkunastu nowych sędziów.

Dopilnuj, żeby wszyscy byli starymi członkami partii.

Najpierw im wyjaśnij, że mam tylko dwa zalecenia, jeżeli chodzi o prawo i porządek: krótsze procesy i dłuższe wyroki.

A żeby nie było wątpliwości, jaki los czeka tych, którzy wejdą mi w drogę, na samym początku urzędowania chcę ukarać dla przykładu kogoś, kto wzbudzi zainteresowanie prasy.

- Czy ma pan namyśli kogoś konkretnego, panie prezydencie?

- Tak - odparł Zeriński bezwahania.

- Zapamiętaj.

Rozległo się ciche pukanie.

Wszyscy się odwrócili, żeby zobaczyć, kto śmie nowemu prezydentowi przerywać pierwsze posiedzenie rządowe.

Dopokoju wśliznął się bezszelestnie Dmitrij Titow, który uznał, że Zeriński i bardziej by się złościł, gdyby mu nie przeszkodził.

Prezydent bębnił palcami w stół, gdy Titow przemierzał cały pokój, potem zaś pochylił się i coś szeptał mu do ucha.

Zeriński wybuchnął śmiechem.

Pozostali mieli ochotę mu zawtórować, ale nie słysząc żartu, nie mogli.

Podniósł głowę i spojrzał na towarzyszy.

- Dzwoni prezydent Stanów Zjednoczonych.

Wygląda na to, że chce mi pogratulować.

- Teraz już mogli się śmiać.

- Jako wasz przywódca muszę teraz zdecydować, czy kazać mu czekać.

Prze następne trzy lata.

- Wszyscy oprócz Titowa, roześmiali się jeszcze głośniejszymi - czy odebrać telefon.

Nikt nie wyraził opinii.

- Dowiemy się, o co mu chodzi? - spytał Zeriński.

Wszyscy pokiwali głowami.

Titow podał szefowi słuchawkę telefonu.

- Witam, panie prezydencie - rzekł Zeriński.

-Nie, proszę pana - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Nazywam się Andy Lloyd, jestem szefem personelu Białego Domu.

Czy mogę pana połączyć z prezydentem Lawrence'em?

- Nie, nie może pan - odparł ze złością Zeriński.

- Powiedz pan swojemu prezydentowi, że jak zadzwoni następnym razem, niech sam trzyma słuchawkę, bo ja nie zadaję się z posłańcami.

-Trzasnął słuchawką i znowu wszyscy się roześmiali.

- No więc, co ja mówiłem?

-Miał nam pan powiedzieć, panie prezydencie - wyrwał się Szulow - kto powinien zostać przykładowo ukarany, żeby zademonstrować nowy kurs resortu sprawiedliwości.

- Ach, tak - na usta Zerińskiego powrócił uśmiech.

W tym momencie zadzwonił telefon.

Zeriński wskazał na Titowa, który podjął słuchawkę.

- Czy mógłbym rozmawiać z prezydentem Zerińskim?

- zapytano.

- Kto dzwoni?

- spytał Titow.

- Tom Lawrence.

-Prezydent Stanów Zjednoczonych - powiedział tylko Titowi podał słuchawkę Zerińskiemu.

- To ty, Wiktorze?

-Prezydent Zeriński przy telefonie.

A kto mówi?

- Tom Lawrence - odparł prezydent, patrząc z zaskoczeniem na sekretarza stanu i szefa personelu Białego Domu, którzy przysłuchiwali się rozmowie przy swoich aparatach.

-Dzień dobry.

W czym mógłbym być pomocny?

- Dzwonię, żeby dołączyć moje gratulacje do wszystkich innych, które z pewnością napływają po pańskim imponującym – Lawrence chciał powiedzieć "nieoczekiwanym", ale Departament Stanu odradził - zwycięstwie.

Walka była zacięta.

Ale każdy polityk ma od czasu do czasu taki problem.

- Ja nie będę miał więcej tego problemu - powiedział Zeriński.

-Lawrence zaśmiał się, przypuszczając, że to żart.

Powstrzymałby się, gdyby widział kamienne twarze mężczyzn, siedzących dokoła stołuna Kremlu.

- Mów dalej - szepnął Lloyd.

-Przede wszystkim, Wiktorze, chciałbym cię bliżej poznać.

- W takim razie zacznijmy od tego, że tylko moja matka mówi do mnie po imieniu.

Lawrence spojrział w notatki na swym biurku.

Wyłowił wzrokiem pełne imię Zerińskiego: Wiktor Leonidowicz.

Podkreślił słowo "Leonidowicz", ale Larry Harrington pokręcił przecząco głową.

- Przepraszam - powiedział Lawrence.

- Jak mam się do pana zwracać?

- Tak jakby pan chciał, żeby się do pana zwracał ktoś, kto pana nie zna.

Chociaż do ludzi siedzących wokół stołu w Moskwie docierała tylko część konwersacji, cieszyła ich pierwsza potyczka pomiędzy dwoma przywódcami. Tych z Pokoju Ovalnego - nie.

- Panie prezydencie, proszę spróbować z innej strony - rzucił sekretarz stanu, zasłaniając dłonią słuchawkę.

Tom Lawrence przebiegł wzrokiem pytania przygotowane przez Andy'ego Lloyda i przeskoczył do następnej strony.

- Mam nadzieję, że niedługo nadarzy się okazja, żeby się spotkać.

Właściwie to dziwne - dodał - żeśmy się do tej pory nie zetknęli.

- Wcale nie takie dziwne - rzekł Żeriński.

- Kiedy był pan ostatnio z wizytą w Moskwie, w czerwcu, pańska ambasada nie raczyła zaprosić mnie czy kogoś z moich kolegów na kolację wydaną dla pana.

- Wokół stołu rozległy się aprobujące pomruki.

- Cóż, na pewno pan dobrze wie, że podczas podróży zagranicznych człowiek jest zdany na miejscowych urzędników.

- Ciekaw jestem, którego z tych urzędników po tak istotnym potknięciu zechce pan zmienić.

- Żeriński zawiesił głos.

- Zapewne zacznie pan od ambasadora.

Nastąpiło znowu długie milczenie.

Trzech mężczyzn w Pokoju Ovalnym studiowało pytania, które przygotowywali z taką pieczołowitością.

Jak dotychczas, nie przewidzieli ani jednej odpowiedzi

Żerińskiego.

- Mogę pana zapewnić - dodał Żeriński - że ja nie pozwolę żadnemu z moich urzędników, miejscowych czy innych, nie liczyć się z moimi osobistymi życzeniami.

- Szczęściarz z pana - rzekł Lawrence, nie zwracając sobie głowy jakąś przygotowaną odpowiedzią.

- Szczęście nie jest tym czynnikiem, który biorę pod uwagę - powiedział Żeriński.

- Zwłaszcza kiedy mam do czynienia z przeciwnikami.

Larry Harrington miał wyraźnie dość, ale Andy Lloyd nabazgrał pytanie nabloczku i podsunął pod nos prezydentowi.

Lawrence skinął głową.

- Może byśmy spróbowali zaaranżować rychłe spotkanie, żeby trochę lepiej się poznać?

Trio w Białym Domu czekało na odpowiedź, spodziewając się szorstkiego odrzucenia oferty.

- Poważnie się nad tym zastanowię - powiedział Żeriński, co zdziwiło wszystkich z jednej i drugiej strony.

- Proszę powiedzieć panu Lloydowi, żeby skontaktował się z towarzyszem Titowem, który zajmuje się organizowaniem moich spotkań z zagranicznymi przywódcami.

- Na pewno to zrobię - odrzekł z ulgą Lawrence.

- Poproszę Lloyda, żeby zadzwonił do pana Titowa w ciągu najbliższych dwóch dni.

- Lloyd znowu coś napisał i podał kartkę Lawrence'owi.

Jej treść brzmiała: "I oczywiście z przyjemnością odwiedzę Moskwę".

- Do widzenia, panie prezydencie - powiedział Żeriński.

- Do widzenia.

panie prezydencie - odparł Lawrence.

Odłożywszy słuchawkę, Żeriński zastopował nieuchronny wybuch oklasków, szybko zwracając się do szefa gabinetu prezydenta.

- Gdy zadzwoni Lloyd - powiedział - zaproponuje, żebym odwiedził Waszyngton.
Przyjmij zaproszenie.

Titow zrobił zdziwioną minę.

- Zależy mi - powiedział prezydent zwracając się do kolegów -aby Lawrence jak najszybciej zdał sobie sprawę, z jakim człowiekiem ma do czynienia.

Co ważniejsze, pragnę, żeby Amerykanie sami się o tym przekonali.

- Złączył palce obu rąk.

-Na początek zamierzam spowodować, żeby projekt ustawy Lawrence'a o ograniczeniu zbrojeń przepadł w Senacie.

Myślę, że to najbardziej stosowny prezent naBoże Narodzenie dla.

Toma.

Tym razem pozwolił zebrany na krótkotrwałe brawa, po czym uciszył je machnięciem ręki.

- Musimy jednak na chwilę wrócić do problemów wewnętrznych, które są o wiele bardziej naglące.

Uważam, że jest ważne, aby nasi obywatele też sobie uświadomili, jaki bojowy jest ich nowy przywódca.

Chcę im dostarczyć przykładu, który pokaże czarnonabiałym, jak rozprawiam się z tymi, którzy próbują mi się sprzeciwić.

- Wszyscy czekali, żeby się dowiedzieć, komu Żeriński uczyni tenhonor.

Prezydent spojrział na świeżo mianowanego ministra sprawiedliwości.

- Gdzie jest ten wynajęty przez mafię morderca, który próbowa mnie zabić?

- zapytał.

- Siedzi w Kriestach - odparł Szulow.

- Myślę, że życzy pan sobie, żeby tam został do końca życia.

- Na pewno nie - oznajmił Żeriński.

- Dożywocie to stanowczo łagodny wyrok dla takiego zbira.

Aż się prosi, żeby mu wytoczyć proces.

To będzie nasz pierwszy publiczny przykład.

- Boję się, że milicja nie znalazła żadnego dowodu, że on.

-To sfabrykujcie dowody - rzucił Żeriński.

- Na jego procesie nie będzie nikogo oprócz lojalnych członków partii.

- Rozumiem, panie prezydencie- powiedział nowy minister sprawiedliwości.

- Zawahał się.

-Co pan ma na myśli?

- Szybki proces pod przewodnictwem naszego nowego sędziego, z ławą przysięgłych składającą się wyłącznie z funkcjonariuszy partii.

-A wyrok, panie prezydencie?

- Kara śmierci, oczywiście.

Po ogłoszeniu wyroku poinformuję pan prasę, że będę obecny podczas egzekucji.

- Kiedy to będzie?

- spytał minister sprawiedliwości, notując każde słowo Żerińskiego.

Prezydent przerzucił kartki kalendarza w poszukiwaniu piętnastominutowego okienka.

- O ósmej rano w następny piątek.

A teraz coś znacznie ważniejszego - moje plany co do sił zbrojnych.

-Uśmiechnął się do generała Borodina, który siedział po jego prawicy i który jeszcze nie otworzył ust.

- Dla pana, panie wiceprezydencie, największa nagroda.

XX

W obozie Nañ Dinh Connor opracował system liczenia dni spędzonych w niewoli.

Co rano o piątej strażnik Wietkongu zjawiał się z miską pływającego w wodzie ryżu - posiłkiem na cały dzień.

Connor ukrywał pojedyncze ziarenko w jednym z siedmiu bambusowych prętów, tworzących materac.

Co tydzień przynosił jedno z siedmiu ziarenek na belkę nad pryczą, a pozostałe sześć zjadał.

Co cztery tygodnie brał ziarenko z belki nad pryczą i wkładał między deski podłogowe pod pryczą.

W dniu, kiedy razem z Chrisem Jacksonem uciekli z obozu, Connor wiedział, że był w niewoli rok, pięć miesięcy i dwa dni.

Ale leżąc na pryczy w pozbawionej okna celi więzienia Kriestynawet on nie umiał wymyślić systemu pozwalającego obliczyć, jak długo tu jest.

Szef milicji odwiedził go dwukrotnie i wyszedł z niczym.

Connor powtarzał w kółko nazwisko, narodowość oraz żądał sprowadzenia ambasadora i ciekaw był, kiedy Bolczenkow się zirytuje.

Na odpowiedź nieczekał długo.

Parę chwil po drugiej wizycie Bolczenkowa do celi wpadło trzech drabów, którzy powitali go tegopopołudnia, gdy przybył do więzienia.

Dwóch wywlokło go z pryczy i rzuciło na krzesło, które dopiero co zajmował szef milicji.

Wykręcili mu ręce do tyłu i założyli kajdanki.

Wtedy po raz pierwszy Connor zobaczył brzytwę.

Podczas gdy dwóch mężczyzn go przytrzymywało, trzeci czternastoma pociągnięciami zarzewiałego ostrza ściął mu z głowy wszystkie włosy, a przy okazji sporo skóry.

Nie tracił czasu na wodę i mydło.

Krew płynęła skulonemu na krzesło Connorowi po twarzy i wsiąkała w koszule jeszcze długo po ich wyjściu.

Przypomniał sobie, co powiedział Bolczenkow podczas pierwszego spotkania:

- Nie uznaję tortur.

To nie w moim stylu.

W końcu zapadł w sen, ale nie wiedział, na jak długo.

Następnie, co pamiętał, to to, że podniesiono go z podłogi, rzucono z powrotem na krzesło i znów przytrzymano.

Trzeci drab zamiast brzytwy wyjął długą, grubą igłę i z taką samą delikatnością, jaką się wykazał jako fryzjer, wytatuował na lewym przegubie więźnia numer 12995.

Widać nazwisko na nic się nie przydawało, kiedy człowiek rezerwował sobie pokój z wyżywieniem w Kriestach.

Wrócili trzeci raz, poderwali go z podłogi i wypchnęli z celi nadługi, ciemny korytarz. W takich chwilach żałował, że ma wyobraźnię.

Wolał nie myśleć o tym, co chcą nim zrobić.

We wniosku o przyznanie mu Medal of Honor opisywano, jak nieustraszony był porucznik Fitzgerald prowadząc do walki swych ludzi, jak uratował towarzysza broni i dokonał brawurowej ucieczki z północnowietnamskiego obozu jenieckiego.

Lecz Connor wiedział, że nigdy nie spotkał człowieka, który byłby nieustraszony.

W Nañ Dinh wytrzymał rok, pięć miesięcy i dwa dni - ale wtedy miał tylko dwadzieścia dwa lata, a kiedy się ma dwadzieścia dwa lata, człowiek wierzy, że jest nieśmiertelny.

Gdy wypchnęli go z korytarza na dziedziniec zalany porannym słońcem, rzuciła mu się w oczy szubienica wznoszona przez grupę więźniów.

Teraz Connor miał pięćdziesiąt jeden lat.

Nikt mu nie musiał mówić, że nie jest nieśmiertelny.

Kiedy tego poniedziałku Joan Bennett zgłosiła się do pracy w Langley, dokładnie wiedziała, ile dni odsłużyłaby swego ośmiomiesięcznego wyroku, gdyż każdego wieczoru, przed wyjściem do pracy, karmiła kota i wykreślała kolejną datę w kalendarzu na ścianie w kuchni.

Zostawiła samochód na zachodnim parkingu i podążyła wprost do biblioteki. Zarejestrowała się, po czym zeszła metalowymi schodami do biblioteki podręcznej. Przez następne dziewięć godzin, tylko z przerwą na posiłek północy, miała czytać pliki nadesłanych pocztą elektroniczną najnowszych wyciągów z gazet z Bliskiego Wschodu. Jej główne zadanie polegało na wyszukiwaniu wszelkich wzmianek dotyczących Stanów Zjednoczonych i, jeżeli były krytyczne, elektronicznym ich skopiowaniu, zestawieniu i przestaniu pocztą elektroniczną do szefa na trzecim piętrze, który przeanalizuje ich znaczenie rano, o bardziej cywilizowanej godzinie.

Była to nudna, ogłupiająca praca.

Kilakrotnie myślała, żeby zrezygnować, ale twarzą postanowiła, że nie da Gutenbergowi tej satysfakcji.

Tuż przed północą, przed przerwą na posiłek, Joan rzucił się w oczy tytuł "Istanbul News" - "Zabójca wynajęty przez mafie rosyjską przed sądem".

Dotychczas myślała, że jest tylko mafia włoska, i z zaskoczeniem konstatała, iż artykuł dotyczy południowoafrykańskiego terrorysty, postawionego przed sądem za próbę zamachu na nowego prezydenta Rosji.

Notatka nie zainteresowała by jej, gdyby nie spostrzegła rysunkowego portretu oskarżonego mężczyzny.

Serce zaczęło jej mocno bić, gdy zagłębiła się w długi artykuł Fatimy Kusmann, korespondentki gazety z Europy Wschodniej, w którym autorka pisała, iż siedziała obok zawodowego zabójcy podczas wiecu, na którym przemawiał Żeriński.

Minęła północ, ale Joan wciąż tkwiła za biurkiem.

Na dziedzińcu więziennym, gdzie stał Connor i patrzył na w połowie gotowe rusztowanie, zajęła samochód milicyjny i jeden z drabów wpełznął więźnia natylnie siedzenie.

Connor ze zdziwieniem zobaczył, że czeka na niego szef milicji.

Bolczenkow z trudem rozpoznał w zmierzwanym mężczyźnie wygoloną głowę.

Żaden z nich nic nie mówił, gdy samochód wyjeżdżał przez więzienną bramę na miasto. Kierowca skręcił w prawo i jechał bulwarem Newy z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Minęli trzy mosty, wreszcie skręcili w lewo i przejechali przez czwarty, kierując się do centrum miasta.

Kiedy przecinali rzekę, Connor spojrzał przez boczne okno na blade zielone Ermitaż.

Trudno byłoby o większy kontrast z więzieniem, które właśnie opuścił.

Spojrzał w górę na czyste, błękitne niebo, a potem w dół, na przechodniów przemierzających ulice.

Szybko zdołał sobie uświadomić, jak bardzo sobie ceni wolność.

Gdy znaleźli się na południowej stronie rzeki, kierowca skręcił w prawo i po przejechaniu kilkuset metrów zahamował przed Pałacem Sprawiedliwości.

Drzwiczki samochodu utworzył czekający milicjant.

Gdyby Connorowi zaświtała myśl ucieczki, widok pięćdziesięciu innych milicjantów stojących na chodniku odwiódłby go od tego zamiaru.

Uformowali długi szereg powitalny, kiedy wstępował po stopniach do wielkiego, kamiennego gmachu.

Zaprowadzono go do dyżurki portiera, gdzie milicjant przygiął mu lewe ramię do kontuaru, obejrzał przegub i wpisał do rejestrunumer "12995".

Następnie kazano mu iść marmurowym korytarzem ku masywnym, dębowym drzwiom. Kiedy był blisko, drzwi nagle się rozwarły i wkroczył do pełnej ludzi sali sądowej.

Ujrzał morze twarzy i pojął, że czekano na niego.

Joan wklepała do komputera hasło "zamach na Żerińskiego".

Wszystkie doniesienia prasowe zgadzały się co do jednego: że mężczyznę, którego aresztowano na Placu Wolności był Pięt de Yilliers, południowoafrykański płatny zabójca, wynajęty przez mafię rosyjską, żeby zamordować Żerińskiego.

Karabin znaleziony w jego bagażu był identyczny z tym, z którego przed dwoma miesiącami strzelano do Ricarda Guzmana w Kolumbii.

Joan wskanowała do komputera portret rysunkowy de Villiers z tureckiej gazety i powiększyła go, aż wypełnił cały ekran.

Następnie przybliżyła oczy i powiększyła je do naturalnej wielkości.

Była teraz pewna, kim jest naprawdę mężczyzna, którego mają postawić przed sądem w Sankt Petersburgu.

Spojrzała na zegarek.

Wskazywał kilka minut po drugiej.

Schwyciła słuchawkę stojącego obok telefonu i wykręciła numer, który znała na pamięć.

Dzwonił przez pewien czas, wreszcie odezwał się zaspany głos.

- Kto to?

- Musimy się zobaczyć.

Będę u Ciebie za trochę więcej niż godzinę - powiedziała tylko Joan i odłożyła słuchawkę.

Parę chwil później kogoś innego zbudził dzwonek telefonu.

Wysłuchał skupieniu słów rozmówcy, poczym powiedział:

- Musimy przyspieszyć nasz pierwotny plan o kilka dni.

Connor stał za barierką dla oskarżonych i rozglądał się po sali sądowej.

Najpierw przyjrzał się przysięgłym.

Dwunastu dobrych i sprawiedliwych?

Wątpliwe.

Żaden nawet nie spojrzał w jego stronę.

Podejrzewał, że zaprzysiężenie ich nie zajęło dużo czasu i że nikt nie poprosi o zastępcę.

Wszyscy w sądzie wstali na widok mężczyzny w długiej czarnej todze, który wyłonił się z bocznych drzwi.

Zasiadł na wielkim skórzanym krześle na środku podium, pod obrazem ukazującym całą postać prezydenta Żerińskiego.

Wstał urzędnik sądowy i po rosyjsku odczytał akt oskarżenia.

Connor z trudem śledził tok postępowania sądowego i niktgo nie spytał, czy się przyznaje do winy, czy nie.

Urzędnik zajął swe miejsce, a z ławki poniżej sędziego wstał wysoki mężczyzna w średnim wieku, o ponurym wyglądzie, i zwrócił się do przysięgłych.

Trzymając się za klapy marynarki, oskarżyciel przez całe przedpołudnie opisywał wydarzenia, które doprowadziły do aresztowania oskarżonego.

Opowiedział przysięgłym, że widziano, jak de Yilliers ukradkiem obserwował Żerińskiego, nim został ujęty na Placu Wolności.

I jak broń, z której zamierzał zastrzelić ukochanego prezydenta, znaleziono między jego osobistymi rzeczami w hotelu.

- Oskarżonego zaślepiała próżność - stwierdził oskarżyciel.

- Walizka, w której znajdowała się broń, jest opatrzona jego monogramem.

-Sędzia pozwolił przysięgłym obejrzeć karabin i walizkę.

- Jeszcze bardziej obciążającym dowodem jest skrawek papieru, ukryty wśród przyborów do mycia - ciągnął oskarżyciel - potwierdzający transfer miliona dolarów amerykańskich na rachunek bankowy na hasło cyfrowe w Genewie.

- I znów przysięgli mogli obejrzeć ów dowód.

Oskarżyciel w dalszym ciągu przemówienia wychwalał milicję w SanktPetersburgu za sumienności pomysłowość, z jaką zdołała zapobiec zbrodniczemu czynowi, oraz za profesjonalizm, którym się wykazała ujmując przestępcę, który zamierzał go popełnić. Dodał, że naród jest winien wdzięczność Władimirowi Bolczenkowowi, szefowi komendy miasta.

Kilku sędziów przysięgłych skinęło głowami.

Oskarżyciel zakończył swój monolog, informując przysięgłych, że ilekroć oskarżonego pytano, czy został wynajęty przez mafię, aby zabić prezydenta, ten odmawiał odpowiedzi.

- Musicie sami rozstrzygnąć, co oznacza to milczenie - powiedział.

- Moim zdaniem, po zapoznaniu się z postępowaniem dowodowym, można wydać tylko jeden werdykt i orzec tylko jeden wyrok.

-Uśmiechnął się blado do sędziego i usiadł.

Connor rozejrzał się wokół, by zobaczyć, kogo wybrano na jego obrońcę. Zastanawiał się, jak adwokat poradzi sobie z zadaniem, skoro się nawet niewidzieli.

Sędzia spojrział na drugi koniec ławki i skinął głową.

Młody człowiek, który wyglądał, jakby dopiero co skończył studia prawnicze, podniósł się ze swego miejsca.

Nie trzymał się za klapy marynarki, gdy patrzył w górę na sędziego, nie uśmiechał się do niego, ani nawet niewyglądał przemówienia do przysięgłych.

- Mój klient nie przedstawia dowodów przeciw - powiedział tylko i usiadł.

Sędzia skinął głową, następnie zwrócił wzrok na przewodniczącego ławy przysięgłych, mężczyznę o poważnym wyglądzie, który dokładnie wiedział, czego od niego oczekiwano.

Wstał jak na zawołanie.

- Panie przewodniczący, rozważywszy dowody, które tu przedstawiono, jaki jest pański werdykt?

-Winien- wygłosił ten składający się z jednego słowa tekst, bez zachęty ani konsultacji z pozostałymi członkami ławy przysięgłych.

Sędzia pierwszy raz spojrział na Connora.

- Skoro przysięgli jednomyślnie wydali werdykt, mnie pozostało tylko ogłosić wyrok. Prawo zaś przewiduje tylko jedną karę za taką zbrodnię.

- Zawiesił głos, utkwiał w Connorze obojętny wzrok i powiedział: - Skazuję pana na śmierć przez powieszenie.

-Sędzia zwrócił się ku obrońcy.

- Czy chce pan wnieść apelację?

-zadał retoryczne pytanie.

- Nie, Wysoki Sądzie - padła natychmiastowa odpowiedź.

-Wyrok zostanie wykonany w piątek o ósmej rano.

Connor zdziwił się, że będą czekać do piątku, by go powiesić.

Joan przejrzała przed wyjściem jeszcze kilka artykułów.

Daty opisywanych wydarzeń zgadzały się z datami zagranicznych wojaży Connora.

Najpierw wypad do Kolumbii, potem wizyta w SanktPetersburgu.

Trochę za wiele, by zacytować ulubione powiedzenie Connora, zbiegów okoliczności.

O trzeciej Joan czuła się kompletnie wyczerpana.
Z niechęcią myślała, że musi zapoznać Maggie z wynikami swoich detektywistycznych poczynąń.
Ale jeżeli to rzeczywiście Connor miał stanąć przed sądem w Sankt Petersburgu, nie było chwili do stracenia, gdyż gazety tureckie były sprzed kilku dni.
Joan wyłączyła komputer i zamknęła biurko.
Miała nadzieję, że szef nie zauważy, iż przegródka z przychodzącą pocztą elektroniczną jest prawie pusta.
Wyszła starymi schodami na parter, odbiła kartę wyjścia i minęła z rzadka napływających pracowników rozpoczynających pracę na wczesnoporannej zmianie.
Wyjechała swoim nowiutkim samochodem z parkingu i za bramą skręciła na wschód w Aleję Jerzego Waszyngtona.
Nawierzchnia szosy gdzieś tam pokryta była lodem po wczorajszej zawierusze i ekipy drogowe pracowały, by usunąć go przedporannym nasileniem ruchu.
Zazwyczaj lubiła jechać przez puste o świcie ulice Waszyngtonu, mijać wspaniałe pomniki upamiętniające historię narodu.
W szkole w St. Paul siedziała cichutko w pierwszej ławce słuchając nauczyciela, który opowiadał im o Waszyngtonie, Jeffersonie, Lincolnie i Roosevelcie.
Uwielbienie dla tych bohaterkich postaci skłoniło ją do wstąpienia do służby państwowej.
Po ukończeniu wydziału nauk politycznych na uniwersytecie w Minnesocie złożyła podania o przyjęcie do FBI i CIA.
Obydwie instytucje wezwały ją na rozmowę kwalifikacyjną, ale gdy ujrzała Connora Fitzgeralda, odwołała wizytę w FBI.
Oto był mężczyzna, który wrócił z daremnej wojny z medalem, o jakim nigdy nie wspominali który nadal służył swojemu krajowi bez fanfar i uznania.
Jeżeli czasem dzieliła się tymi myślami z Connorem, śmiał się tylko i mówił, że jest sentymentalna.
Ale Tom Lawrence miał rację, kiedy nazwał Connora jednym z bezimiennych bohaterów Ameryki.
Joan poradzi Maggie, żeby natychmiast skontaktowała się z Białym Domem, gdyż to właśnie Lawrence poprosił Connora, żeby podjął się tej misji.
Joan próbowała uporządkować myśli, gdy wielka, zielona piaskarka wyprzedziła ją z prawej strony i zaczęła zbaczać na jej pas, nim jeszcze się przed nią wysforowała.
Joan mignęła światłami, ale ciężarówka wbrew jej oczekiwaniom nie ustąpiła.
Joan spojrzała we wsteczne lusterko i zjechała na środkowy pas.
Ciężarówka natychmiast podążyła za nią, zmuszając ją do gwałtownego skrętu na lewy pas.
Joan musiała błyskawicznie zdecydować, czy nacisnąć hamulec, czy przyspieszyć i próbować wyprzedzić bezmyślnego kierowcę.
Znowu zerknęła we wsteczne lusterko, lecz teraz z przerażeniem ujrzała wielkiego, czarnego mercedesa, szybko zbliżającego się z tyłu.
Przycisnęła stopą pedał gazu, akurat gdy autostrada nachylała się stromo na skrócie w lewo przy Spout Run.
Mały pasat natychmiast zareagował, ale piaskarka również przyspieszyła i Joan nie mogła nabrać dostatecznej szybkości, aby się od niej oderwać.
Joan nie miała innego wyboru, jak tylko zjechać jeszcze bardziej w lewo, niemal na pas zieleni.
Spojrzała we wsteczne lusterko i zobaczyła, że mercedes podążyła za nią i jest teraz blisko jej tylnego zderzaka.
Poczuła, jak jej wali serce.
Czy kierowcy ciężarówki i samochodu są w zмовie?

Próbowała zwolnić, ale mercedes jeszcze bardziej się zbliżył do pasata.

Joan przycisnęła znowu pedał gazu i pasat skoczył do przodu.

Pot lał się jej z czoła i oślepił, gdy zrównała się

z kabiną piaskarki, ale mimo że wcisnęła pedał do samej podłogi, nie mogła wyprzedzić ciężarówki.

Podniosła oczy na kabinę, usiłując zwrócić uwagę kierowcy, ale on nie zareagował na jej znaki i cal za cal, nieubłagane, zjeżdżał w lewo, zmuszając ją, aby zwolniła i ustawiła się za nim.

Zerknęła we wsteczne lustro: mercedes niemal siedział na zderzaku.

Spojrzała do przodu i zobaczyła, jak podnosi się kłapa piaskarki na drogę sypie się piasek.

Joan instynktownie wcisnęła hamulec, ale mały samochód przestał jej słuchać, wpadł wpoślizg, przeciął zlodowaciały pas zieleni, a następnie stoczył się po trawiastym brzegu do rzeki.

Wpadł do wody niczym rozpędzony płaski kamień, chwilę unosił się na powierzchni i znikł. Pozostały tylko ślady kół na brzegu trochę baniek powietrza.

Ciężarówka z piaskiem wróciła na środkowy pas i kontynuowała jazdę w kierunku Waszyngtonu.

Po chwili mercedes dał sygnał światłami, wyprzedził ją i odjechał.

Dwa samochody zmierzające w kierunku lotniska Dullesa zatrzymały się na pasie zieleni.

Jeden z kierowców wyskoczył z auta i zsunął się nad rzekę, żeby sprawdzić, czy można pomóc, ale nim znalazł się nad wodą, po samochodzie nie było śladu.

Widać było tylko ślady kół na pokrytym śniegiem brzegu i bańki powietrza na wodzie.

Drugi kierowca zapisał numer rejestracyjny piaskarki i przekazał go pierwszemu policjantowi, który zjawił się na miejscu wypadku.

Ten wystukał numer w komputerze na desce rozdzielczej.

Po paru sekundach zapytał marszcząc brwi:

- Czy jest pan pewien, że zapisał pan właściwy numer?

Wydział dróg w Waszyngtonie nie ma w swoim rejestrze takiego pojazdu.

Kiedy Connora ciśnięto z powrotem do samochodu, okazało się, że Bolczenkow czeka na niego.

Podczas jazdy powrotnej do więzienia Connor nie mógł się powstrzymać przed zadaniem mu pytania.

- Ciekaw jestem, dlaczego czekają do piątku, żeby mnie powiesić?

- Szczęśliwy przypadek - odrzekł szef milicji.

- Zdaje się, że nasz ukochany prezydent chce być świadkiem egzekucji.

- Głęboko się zaciągnął papierosem.

- A dopiero w piątek rano będzie miał wolne piętnaście minut.

Connor uśmiechnął się krzywo.

- Panie Fitzgerald, cieszę się, że pan wreszcie przemówił - ciągnął szef milicji.

- Bo myślę, że czas panu powiedzieć, iż jest szansa ratunku.

XXI

Mark Twain kiedyś powiedział o przyjacielu: "Gdyby nie przyszedł na czas, byłoby wiadomo, że umarł".

Kiedy minęła czwarta, Maggie zaczęła co parę minut spoglądać na zegarek.

O wpół do piątej pomyślała, że może, kiedy dzwoniła Joan, była tak zaspana, że źle ją zrozumiała.

O piątej uznała, że należy zatelefonować do Joan do domu.

Brak odpowiedzi, tylko powtarzający się sygnał.

Wykręciła numer telefonu w samochodzie Joan.
Tym razem usłyszała odpowiedź: "Numer chwilowo nieczynny.
Proszę spróbować później".

Maggie zaczęła krążyć dokoła kuchennego stołu, w przekonaniu, że Joan musiała się czegoś dowiedzieć o Connorze.

Na pewno było to coś ważnego, bo jeśli nie, to dlaczego ją obudziła o drugiej w nocy?

Czy odezwał się do niej?

Czy wiedziała, gdzie jest?

Czy mogłaby jej powiedzieć, kiedy wróci do domu?

O szóstej Maggie doszła do wniosku, że trzeba działać natychmiast.

Włączyła telewizor, żeby sprawdzić, która jest dokładnie godzina.

Na ekranie pojawiła się twarz Charliego Gibsona.

- Wciążu następnej godziny będziemy mówić o ozdobach choinkowych, przy których wykonaniu mogą pomóc nawet maluchy.

Ale najpierw Kevin Newman przedstawi wiadomości poranne.

Maggie znów ruszyła w wędrowkę dokoła stołu, a tymczasem Ann Compton snuła przewidywania, że teraz, gdy Żeriński został przywódcą Rosji, prezydencki projekt ustawy o ograniczeniu zbrojeń jądrowych, biologicznych, chemicznych i konwencjonalnych prawie na pewno zostanie odrzucony większością głosów w Senacie.

Maggie zastanawiała się, czy powinna złamać zasadę życia i zatelefonować do Joan do Langley, kiedy pod wizerunkiem Kena Newmana ukazał się napis: "Katastrofa w alei Waszyngtona- piaskarkapotrafiła volkswagena -kierowca samochodu prawdopodobnie utonął. Szczegóły o 6.30 w programie Świadek naoczny relacjonuje".

Słowa przebiegły przez ekran i znikły.

Maggie usiłowała uporać się z miską płatków kukurydzianych, śledząc w dalszym ciągu wiadomości.

Na ekranie pokazał się Andy Lloyd i oświadczył, że tuż przed Bożym Narodzeniem do Waszyngtonu przyjedzie z oficjalną wizytą prezydent Żeriński.

- Prezydent ucieszył się z tej wiadomości - oznajmił reporter-i wyraził nadzieję, że pomoże to przekonać przywódców Senatu, iż nowy prezydent rosyjski chce pozostawać w przyjaznych stosunkach z Ameryką.

Jednak przywódca większości senackiej powiedział, że poczeka, aż Żeriński wygłosi przemówienie.

Słyszając lekki stukną wycieraczce, Maggie wyszła nakorytarz, zebrała z podłogi siedem kopert i przejrzała je wracając do kuchni.

Cztery były do Connora; Maggie nigdy nie otwierała listów męża podczas jego nieobecności. Jedna zawierała rachunek z Pepco, inna miała stempel Chicago, a litera "e" w słowie "Maggie" była ukośnie nachylona, mogła więc to być tylko, jak co roku, kartka świąteczna od Declana O'Caseya.

Ostatnia była zaadresowana charakterystycznym pismem córki.

Maggie odłożyła wszystkie inne na bok i otworzyła ją.

Droga Mamo,

Piszę tylko parę słów, by potwierdzić, że Stuart będzie w Los Angeles w piątek.

Zamierzamy pojechać samochodem na kilka dni do San Francisco, a następnie przylecimy piętnastego do Waszyngtonu.

Maggie uśmiechnęła się.

Obydwoje cieszymy się, że spędzimy Boże Narodzenie z Tobą i z Tatą.

Nie telefonował do mnie, więc przypuszczam, że jeszcze nie wrócił.

Maggie zmarszczyła brwi.

Dostałam list od Joan, która chyba nie jest zadowolona z nowej pracy.

Podejrzewam, że tak jak my wszyscy tęskni do Taty.

Pisze, że kupiła ponętnego, nowego volkswagena.

Maggie przeczytała to zdanie drugą raz, nim zaczęły jej się trząść ręce.

176

- O Boże!

Nie!

- wykrzyknęła.

- Popatrzyła na zegarek: dwadzieścia po szóstej.

W telewizji Liza McRee pokazywała papierowy łańcuch z ostrokrzewu z jagodami.

- Świąteczne ozdoby, przy których wykonaniu mogą wam pomóc dzieci - oznajmiła wesoło.

- A teraz zajmijmy się choinką.

Maggie przeskoczyła kanał 5.

Inna spikerka rozwdziła się na temat tego, czy planowana wizyta Żerińskiego wpłynie na decyzję przywódców Senatu, jak głosować w sprawie ustawy o ograniczeniu uzbrojeń.

- Skończ już, skończ - błagała Maggie.

- A teraz - oznajmiła w końcu spikerka - kolejne informacje wypadku w alei Waszyngtona.

Oddajemy głos Liz Fullerton, naszej reporterce znajdującej się na miejscu katastrofy.

- Dziękuję, Julie.

Stoję na pasie zieleni oddzielającym jezdnię alei Jerzego Waszyngtona, gdzie doszło do tragicznego wypadku około trzeciej piętnaście.

Przeprowadziłam rozmowę ze świadkiem, który opowiedział nam, co widział.

Kamera pokazała mężczyznę, który najwyraźniej nie spodziewał się, że wystąpi tego ranka w telewizji.

- Jechałem w stronę Waszyngtonu - powiedział reporterce - kiedy ta ciężarówka z piaskiem zrzuciła ładunek na szosę, przez co samochód jadący z tyłu musiał nagle skręcić i wpadł w poślizg.

Samochód przeleciał przez szosę, zsunął się po brzegu i runął do Potomaku.

- Kamera pokazała szeroką panoramę rzeki, grupę policyjnych nurków i powrócił do reporterki.

- Nikt nie jest pewny, co się naprawdę wydarzyło - ciągnęła Liz Fullerton.

- Możliwe nawet, że kierowca piaskarki, siedzący wysoko w kabinie, pojechał dalej nieświadomy, że wydarzył się wypadek.

- Nie!

Nie!

- zawołała Maggie.

- To nie może być ona!

- Zamną widzieć państwo policyjnych nurków, którzy odnaleźli już samochód, niewątpliwie volkswagen pasat.

Mają nadzieję, że uda im się go wydobyć na powierzchnię w ciągu godziny.

Kierowca został jeszcze zidentyfikowany.

- Nie, nie, nie - powtarzała Maggie.

- Boże, błagam, niech to nie będzie Joan!

- Policja prosi, żeby kierowca czarnego mercedesa, który mógł być świadkiem wypadku, zgłosił się i pomógł w śledztwie.

Mam nadzieję, że o siódmej prześlemy państwu więcej informacji, więc do tej pory.

177

12. Jedenaste przykazanie.

Maggie popędziła na korytarz, schwyciła płaszcz i wybiegła z domu.

Wskoczyła do samochodu i odetchnęła z ulgą, gdy silnik starejtoyoty prawie natychmiast zapalił.

Wolno wprowadziła samochódw Avon Place, przyspieszyła na Dwudziestej Dziewiątej Ulicy i podażyła na wschód Ulicą M w stronę alei.

Gdyby spojrzła wewsteczne lusterko, zobaczyłaby małego niebieskiego forda, który zręcznie zawrócił,po czym podążył zanią.

Pasażer siedzący z przodu wykręcał numer, który nie figurowałw książce telefonicznej.

- PanieJackson, jak miło,że znowu pan przyszedłmnie odwiedzić.

Wyszukana kurtuazjaMikołajaRomanowa bawiła Jacksona,zwłaszcza że stwarzała pozór, iż jego gość ma jakiś wybór.

Pierwsze spotkanie odbyło się na prośbę Jacksona i niewątpliwie zostało uznane za "stratę czasu", skoro Siergiejobie nogi miałać.

Każde kolejne spotkanie następowało powezwaniu odRomanowa, który wprowadzał Jacksona w najnowsze plany.

Car zagłębił się w fotelu z wysokim oparciem i Jackson zauważył,że na stoliku obok stoi, jak zwykle, szklaneczka z bezbarwnym płynem.

Zapamiętał reakcję staregoczłowieka, kiedy jedyny raz wyrwał się z pytaniem, więc czekał,kiedy się odezwie.

- Ucieszy się pan, panie Jackson, wiadomością, że ucieczka pańskiego przyjaciela- z wyjątkiemjednego problemu, który czeka narozwiązanie - została już zaaranżowana.

Pan Fitzgerald musi tylkogodzić się na nasze warunki.

Jeżeli uzna, że to niemożliwe, nie będę mógł zapobiec powieszeniu gojutro o ósmejrano - mówił beznamiętnie Romanow.

- Pozwoli pan, że przedstawię,co zaplanowaliśmy, jeśli on się zdecyduje.

Jestem pewien,że pańskie uwagi jako by-'

łego wicedyrektora CIA będą przydatne.

Starszy pan nacisnął guzik w oparciu fotela i drzwi w głębi salonunatychmiast się otworzyły.

Do pokoju wszedł AleksiejRomanow.

- Myślę, że zna pan mego syna - rzekł car.

Jackson rzucił okiem na człowieka, który zawsze towarzyszyłmuw podróżach do pałacu, ale rzadko się odzywał.

Skinąłgłową.

Młody Romanow odsunął przepiękny czternastowieczny gobelinprzedstawiający "Bitwę o Flandrię", za którym ukryty był wielki odbiornik telewizyjny.

Gładki, srebrny ekran trochę raził w tak wspaniałym wnętrzu, lecz nie bardziej,pomyślał Jackson, niż właścicielpałacu i jego akolici.

178

Najpierwna ekranie ukazał sięwidok więzienia Kriestyz zewnątrz.

Aleksiej Romanow wskazałwejście.

- Żeriński ma przybyć do więzieniaza dziesięć ósma.

Będziem trzecim z siedmiu samochodów i wjedzie boczną bramą usytuowaną tutaj.

- Romanow przesunął palcem po ekranie.

-Powita goWładimir Bolczenkow, który będzie mutowarzyszył na główny dziedziniec, gdzie zostanie wykonana egzekucja.

Za osiem ósma.

Młody Romanow w dalszym ciągu, minutapo minucie, prezentował Jacksonowi plan, szczegółowo objaśniając, jak odbędzie sięucieczka Connora.

Jackson zauważył, że Romanow nie przejmował się jednym pozostałym problemem, najwyraźniej przekonany, że ojciec znajdzie rozwiązanie przed jutrzejszym rankiem. Skończywszy, Aleksiej wyłączył telewizor, przesunął gobelin na miejsce, lekko uklonił się ojcu i bez słów wyszedł z pokoju.

Kiedy zamknęły się drzwi, stary człowiek zwrócił się do Jacksona z pytaniem:

- Czy ma pan jakieś uwagi?

- Jedną, może dwie - rzekł Jackson.

- Przede wszystkim chcę powiedzieć, że podziwiam ten plan i jestem przekonany, że ma wszelkie szanse powodzenia.

Oczywiście, że pomyślał pan o każdej ewentualności, jaka może wyniknąć - to znaczy zakładając, że Connor zgodzi się na pańskie warunki.

A w tym względzie, muszę powtórzyć, absolutnie nie jestem upoważniony, aby występować w jego imieniu.

Romanow skinął głową.

- Ale pozostaje panu jeszcze pewien problem.

- A pan ma jakieś rozwiązanie?

- zagadnął stary człowiek.

- Tak - odparł Jackson.

- Mam.

Bolcenkow prawie przez godzinę objaśniał plan Romanowa, a potem zostawił Connora samego, żeby się zastanowił nad odpowiedzią.

Nie trzeba było przypominać, że czas do namysłu jest ściśle określony: Żeriński miał przybyć do Kriestów za czterdzieści pięć minut.

Connor leżał na pryczy.

Warunki przedstawiono mu bez ogródek.

Ale nawet gdyby na nie przystał i ucieczka by się powiodła, wcale nie był pewien, czy udałoby mu się wywiązać z umowy.

Jeżeli nie - zabiją go.

Po prostu - tyle, że Bolcenkow przestrzegł, iż nie będzie to szybka i lekka śmierć szubienicy.

Wyraźnie też zaznaczył - na wypadek, gdyby Connor miał wątpliwości - że zawsze i

umowy zawarte z rosyjską mafią i nie honorowane, automatycznie odpowiada najbliższa rodzina winowajcy.

Connor wciąż miał przed oczyma cyniczny wyraz twarzy szefa Petersburskiej milicji, gdy ten wyjął z kieszonki i podał mu dwie fotografie.

- Dwie piękne kobiety - powiedział.

- Musi pan być z nich dumny.

Byłyby tragiczne, gdyby musiały zapłacić życiem za coś, o czym nie mają pojęcia.

Po piętnastu minutach otwarto drzwi celi i do środka znowu wkroczył Bolczenkow.

Nie zapalony papieros tkwił mu w kąciu ust.

Teraz nie usiadł.

Connor wpatrywał się w sufit, jakby był sam.

- Widzę - rzekł szef policji zapalając papierosa - że wciąż pan się waha.

Wcale mnie to nie dziwi, choć tak krótko się znamy.

Ale może kiedy pan usłyszy najnowszą wiadomość, zdecyduje się pan.

Connor nadal patrzył w sufit.

- Wygląda nato, że pańska była sekretarka Joan Bennett zginęła w wypadku samochodowym.

Jechała z Langley do pańskiej żony.

Connor opuścił nogi na ziemię, usiadł i wbił wzrok w Bolczenkova.

- Jeśli Joan nie żyje, to skąd może pan wiedzieć, że jechała do mojej żony?

- Nie tylko CIA podsłuchuje rozmowy telefoniczne pańskiej żony - odparł szef milicji.

Zaciągnął się po raz ostatni papierosem, wypuścił niedopałek z ust i zdusił go na podłodze.

- Podejrzewamy, że pańska sekretarka jakimś sposobem odkryła, kogo naprawdę aresztowaliśmy na Placu Wolności.

A jeżeli pana żona jest tak harda i pełna determinacji, na jaką wygląda, to możemy założyć, że też wkrótce na to wpadnie.

A wtedy, obawiam się, spotka ją ten sam los, co pańska sekretarka.

- Jeżeli zgodzę się na warunki Romanowa, chciałbym włączyć do kontraktu własną klauzulę.

Bolczenkow wysłuchał go z zainteresowaniem.

- Czy pan Gutenberg?

- Przy telefonie.

- Mówi Maggie Fitzgerald.

Jestem żoną Connora Fitzgeralda, który, jak sądzę, jest teraz za granicą z misją, którą pan mu powierzył.

- Nie przypominam sobie tego nazwiska - rzekł Gutenberg.

180

- Zaledwie dwa tygodnie temu był pan na wydawanym przez niego pożegnaniu przyjeździe u nas w domu w Georgetown.

- Chyba pomyliła mnie pani z kim innym - odpowiedział spokojnie Gutenberg.

- Nie, z nikim pana nie pomyliłam.

To pantelefonowałam do mojego domu do swego biura dwadzieścia siedem po ósmej drugiego listopada.

- Nic podobnego, nie telefonowałam.

I zapewniam panią, że pani mąż nigdy umnie nie pracował.

- Więc niech mi pan powie, czy Joan Bennett pracowała kiedyś w Agencji?

Czy ją także wymazał pan z pamięci?

- Co pani sugeruje?

- Aha, wreszcie mi się udało zwrócić pańską uwagę.

Pozwoli pan, że wspomogę pańską słabą pamięć.

Joan Bennett pracowała jako sekretarka mego męża przez blisko dwadzieścia lat i chyba byłoby panu trudno zaprzeczyć, że wiedział pan o tym, iż w drodze Langley na spotkanie ze mną spotkała ją śmierć.

- Ze smutkiem przeczytałem o tragicznym wypadku pani Bennett, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

- Dziennikarze łamią sobie głowę nad wyjaśnieniem, co naprawdę wydarzyło się wczoraj nad ranem w Alei Jerzego Waszyngtona, ale może byłoby o krok bliżej prawdy, gdyby im powiedziano, że Joan Bennett pracowała z człowiekiem, który znikł z powierzchni ziemi w trakcie wykonywania specjalnego zadania, które pan muzlecił.

Zawsze dotychczas przekonywałam się, że dziennikarze uważają, iż wszelkie teksty zdobywcy Medal of Honor cieszą się zainteresowaniem czytelników.

- Proszę pani, trudno, żebyśmy pamiętali każdego z siedemnastu tysięcy pracowników CIA, a z pewnością nie mogę sobie przypomnieć, żebyśmy kiedyś spotkali panią Bennett, nie mówiąc o panim mężu.

- Widzę, że muszę jeszcze trochę odświeżyć pańską pamięć.

Otoż tak się złożyło, że przyjęcie, na którym pana nie było, z którego pani telefonowała i podczas którego pana nie sfotografowano, zostało, na szczęście albo na nieszczęście, w zależności od pańskiego punktu widzenia, nagrane na taśmę wideo przez moją córkę.

Chciałabym zrobić jej niespodziankę i ofiarować ją muna Boże Narodzenie.

Przed chwilą ponownie ją obejrzałam, panie Gutenberg, i choć występuje pan tylko w niewielkiej roli, zapewniam pana, że pańskie sam nasam z Joan Bennett jest doskonale widoczne.

Rozmowa również zo 181.

stała nagrana i odnoszę wrażenie, że stacje telewizyjne chętnie pokażą pana występ w wiadomościach wieczornych.

Tym razem Gutenberg przez pewien czas milczał.

- Może byłoby dobrze - powiedział w końcu - gdybyśmy się spotkali.

- Nie widzę takiej konieczności, proszę pana.

Dobrze wiem, czego od pana potrzebuję.

- Mianowicie?

- Chcę wiedzieć, gdzie jest w tej chwili mój mąż i kiedy go znów zobaczę.

W zamian za te dwie informacje oddam panu kasety.

- Potrzebuję trochę czasu.

- Ależ tak - rzekła Maggie.

- Powiedzmy, czterdzieści osiem godzin?

I, panie Gutenberg, proszę daremnie go nie tracić przewracając mój dom do góry nogami w poszukiwaniu kasety, gdyż jej pannie znajdzie.

Została ukryta w takim miejscu, o którym nawet tak przebiegły człowiek jak pan nigdy by nie pomyślał.

- Ale.

- zaczął Gutenberg.

- Powinam też dodać, iż na wypadek, gdyby zdecydował się pan mnie pozbyć podobnie jak Joan Bennett, poleciłam moim prawnikom, że gdybym umarła w podejrzanych okolicznościach, mają natychmiast przekazać kopie taśmy do wykorzystania wszystkim trzem głównym sieciom telewizyjnym, stacji Fox i CNN.

Gdybym za prostu znikła bez śladu, wówczas kaseca zostanie przekazana siedem dni później.

Zegnam, panie Gutenberg.

Maggie odłożyła słuchawkę i opadła na łóżko, oblana potem.

Gutenberg wpadł przez drzwi łączące biuro jego i dyrektorki.

Helen Dexter podniosła wzrok znad biurka, nie kryjąc zdziwienia, że zastępca wtargnął bez pukania do jej gabinetu.

- Mamy problem - powiedział tylko.

XXII

Skazaniec nie zjadł śniadania.

Kucharki próbowały oczyścić z wszy chleb, przeznaczony na ostatni posiłek dla więźnia, ale im się nie udało.

Rzucił jedno spojrzenie na blaszany talerz i wsunął go pod pryczę.

Parę minut później do celi wszedł prawosławny duchowny.

Wyjaśnił, że wprawdzie jest innego wyznania niż więzień, ale chętnie udzieli mu ostatnich sakramentów.

Komunia święta, którą przyjął skazaniec, była jego jedynym posiłkiem tego dnia.

Odprawiwszy krótką ceremonię, pop ukląkł wraz z nim nachłódnej posadźce.

Odmówiwszy modlitwę pobłogosławił

go i zostawił samemu sobie.

Leżał na pryczy z oczami wbitymi w sufit, ani przez chwilę nie żałując swej decyzji.

Kiedy wyłożył swoje racje, Bolczenkow przyjął je bez komentarza, a wychodząc z celi nawet lekko skłonił głowę.

Tobylż jego strony znak największego uznania dla odwagi moralnej uwięzionego mężczyzny.

Więzień już kiedyś stał w obliczu śmierci.

Za drugim razem nie było to tak straszne.

Wtedy myślał o żonie i dziecku, których miał nigdy nie zobaczyć.

Teraz mógł myśleć tylko o rodzicach, którzy pomarli jedno po drugim, w odstępie kilkuniedni. Cieszył się, że żadne z nich nie odeszło z tego świata ze świadomością, co go czeka.

Dla niego powrót z Wietnamu był bohaterskim wyczynem z zachwytem przyjęł jego zapowiedź, że zamierza nadal służyć krajowi.

Mógłby nawet zostać dyrektorem, gdyby nie to, że prezydent w opalach postanowił mianować kobietę, łudząc się, że to pomoże jego słabnącej popularności. Nie pomogło.

Chociaż to Gutenberg wbił mu nóż w plecy, nie ulegało wątpliwości, kto wręczył mu broń; ta kobieta dobrze by się czuła w roli lady Makbet.

Idzie na śmierć wiedząc, że niewielu rodaków dowie się o jego ofierze.

Ale w jego oczach podnosiło to tylko jej wartość.

Nie będzie ceremonii pożegnalnej.
Trumny spowitej flagą amerykańską.
Nie będzie przygrobieprzyjaciół ani krewnych słuchającychksiędza, wysławiającego jego poświęcenie i służbę publiczną, którą stanowiła sedno jego życia.
Anioddziału piechoty morskiej, dumnie wznoszącego w górę karabiny.
Ani dwudziestu jedensalw honorowych.
Ani ceremonialnie złożonej flagi, wręczonej w imieniu prezydenta najbliższemu krewnemu.
Nie. Pisane mu było zostaćjeszczejednym bezimiennym bohaterem Toma Lawrence'a.

^

Zarzuca mu pętlę naszyję i powieszą go w tym kraju, niełaskawym, inielubianym.
Ogolona głowa, numer naprzegubie, bezimienny grób.

Czemu podjął tę decyzję, która tak poruszyła zazwyczaj obojętnego szefa policji?
Nie miał czasu, żeby mu wytłumaczyć, co stało się w Wietnamie, ale to tam kości zostały rzucone.

Możepowinien był stanąć przed plutonem egzekucyjnym lata temu, winnym dalekim kraju?

Ale przeżył.

Teraz nikt go nie ocali w ostatniej chwili.

I było za późno na zmianę decyzji.

Rosyjski prezydent obudził się rano w paskudnym nastroju.

Pierwszą osobą, na której wyładował swoją złość, był kucharz.

Żeriński jednym ruchem zmiotł śniadanie na podłogę.

::

- To tak się mnie przyjmuje w Leningradzie?

- wrzasnął.

;

Wypadł jak burza z pokoju.

W gabinecie zdenerwowany urzędnik położył nabiurku dokumenty do podpisu, uprawniające milicję do aresztowania obywateli bez konieczności oskarżenia ich o przestępstwo.

Ale to nie poprawiło Żerińskiemu humoru.

Wiedział, że jest to jedynie wybieg, żeby wyłapać złodziejaszków, handlarzy narkotyków, drobnych przestępców.

On chciał, żeby dostarczonamuna tacy głowę cara.

Jeżeli ministrowi spraw wewnętrznych nadal nic niewymyśli, będzie musiał go zmienić.

Zanim nadszedł szef gabinetu prezydenta, Żeriński zdążył wykreślić zwykłą koleijną setkę osób, których jedyną zbrodnią było popieranie Czernomowa podczas kampanii wyborczej.

W Moskwie krążyły już pogłoski, że były premier zamierza wyemigrować.

W dniu, kiedy opuści kraj, Żeriński podpisze tysiąc takich wyroków i uwięzi wszystkich, którzy kiedykolwiek pełnili jakąś funkcję w administracji Czernomowa.

Rzucił pióro na biurko.

Wszystko to załatwił w niecały tydzień.

Myśl o spustoszeniu, którego dokona przez miesiąc, przez rok, wprawiła go w trochę lepszy nastrój.

184

- Panie prezydencie, limuzyna czeka - powiedział zdętbiałemu urzędnikowi, którego otarły Żeriński nie widział.

Uśmiechnął się na myśl o tym, co niewątpliwie będzie atrakcją dnia.

Wyglądał niecierpliwie tego ranka w Kriestach, tak jak inni czekają na przedstawienie w Teatrze Opery i Baletu imienia Kirowa.

Wyszedł z gabinetu i kroczył długim marmurowym korytarzem świeżo zarekwirowanego budynku biurowego w stronę otwartych drzwi; przed nim z wawo podążała jego świta.

Zatrzymał się na moment u szczytu schodów i objął spojrzeniem błyszczącą kawalkadę samochodów.

Kazał urzędnikom partyjnym dopilnować, aby zawsze miał o jedną limuzynę więcej niż poprzedni prezydenci.

Usiadł tyłu w trzecim samochodzie i spojrzął na zegarek: zasiedemnaście ósma. Policja opróżniła drogę godzinę wcześniej, aby kawalkada nie napotkała po drodze żadnego pojazdu.

Wstrzymanie ruchu uświadomi mieszkańcom, że w mieście jest prezydent, wyjaśnił Żeriński szefowi gabinetu.

Według oceny milicji drogowej jazda, która normalnie zajęłaby dwadzieścia minut, potrwa niecałe siedem.

Gdy mknęli nie zważając

E" na światła, a potem śmignęli przez most, Żeriński nawet nie spojrzął w stronę Ermitażu.

Kiedy znaleźli się na drugim brzegu Newy, kierowca czołowego samochodu przyspieszył do stu kilometrów na godzinę, żeby prezydent na pewno zdążył wypełnić swój pierwszy tego dnia oficjalny obowiązek.

Więzień usłyszał strażników maszerujących ku jego celi kamiennym korytarzem; stukot ich butów nasilał się z każdym krokiem.

Ciekaw był, ilu ich jest.

Przystanąli przed jego celą.

Klucz obrócił się w zamku i otworzyły się drzwi.

Kiedy człowiekowi pozostała kilka chwil życia, dostrzega każdy szczegół.

Bolczenkow wszedł pierwszy.

Więzień zdumiał się, że tak prędko się uwinął.

Zapalił papierosa, zaciągnął się raz i podał go skazańcowi.

Ten pokręcił głową.

Bolczenkow wzruszył ramionami, stopą dusił papierosa na kamiennej posadzce i wyszedł, żeby przywitać

prezydenta.

Teraz wszedł ksiądz; dzierżył wielką otwartą Biblię i śpiewał cicho modlitwę, której słowa nic więźniowi nie mówiły.

Potem zjawił się tych trzech, których od razu rozpoznał.

Tym razem nie było brzytwy ani igły, tylko kajdanki.

Wbili w niego spojrzenia, niemal

185.

go zmuszając, żeby walczył, ale on ku ich rozczarowaniu spokojnie podał ręce do tyłu i czekał.

Zatrzasnęli mu naprzegubach kajdanki wypchnęli go z celi na korytarz.

Na końcu długiego, szarego tunelu dojrzał iskierkę słonecznego światła.

Prezydent wysiadł z limuzyny i został powitany przez szefa petersburskiej milicji. Żerińskiego rozbawiło, że przyznał Bolczenkowowi Order Lenina w tym samym dniu, w którym podpisał rozkaz aresztowania jego brata.

Bolczenkow zaprowadził Żerińskiego na dziedziniec, gdzie miała się odbyć egzekucja. Nikt nie zaproponował, żeby prezydent zdjął kapelusz i płaszcz podbity futrem, gdyż panował przenikliwy chłód.

Kiedy przemierzali dziedziniec, niewielki tłumek pod murem zaczął wiwatować na cześć prezydenta.

Szef milicji zauważył, że Żeriński się skrzywił.

Prezydent oczekiwał, że o wiele więcej ludzi chce być świadkami egzekucji człowieka, którego nasłano, żeby go zabił.

Przeczuwając kłopoty Bolczenkow nachylił się i szepnął prezydentowi do ucha:

- Polecono mi dopuścić tylko członków partii.

Żeriński kiwnął głową.

Bolczenkow nie tłumaczył, jak trudno było ściągnąć tego ranka do Kriestów nawet tych nielicznych.

Zbyt wielu słyszało opowieści, że jak raz człowiek tu się dostanie, nigdy stąd nie wyjdzie.

Bolczenkow stanął przy zbyt kownym osiemnastowiecznym fotelu, który Katarzyna Wielka nabyła ze spuścizny brytyjskiego premiera Roberta Walpole'a w 1779 roku, a który zabrano z Ermitażu poprzedniego dnia.

Prezydent rozsiadł się wygodnie wprost świeżo wzniesionej szubienicy.

Już po kilku sekundach Żeriński zaczął się niecierpliwie wiercić, czekając na pojawienie się więźnia.

Spojrzeniem pobiegł kugromadce pod murem i zatrzymał je na chłopcu, który płakał.

Ten widoknie sprawił mu przyjemności.

W tej chwili więzień wyłonił się z ciemnego korytarza na przenikliwe światło poranka. Nagaczaszka oblepiona zaschniętą krwią cienkie szare więzienne ubranie sprawiały, że wyglądał dziwnie anonimowo.

Wydawał się niezwykle spokojny jak nakogoś, kto zakilka chwila umrzeć.

Skazaniec podniósł oczy ku porannemu słońcu i zadrżał, gdy oficer straży podszedł do niego, schwytał jego lewą rękę i sprawdził numer: 12995.

Następnie oficer obrócił się do prezydenta i odczytał sądową decyzję o wykonaniu wyroku.

Podczas gdy oficer dopełniał formalności, więzień rozglądał się po dziedzińcu.

Zobaczył dygoczącą gromadkę ludzi, porażoną strachem, że w każdej chwili może podzielić jego los.

Jego wzrok zatrzymał się na chłopcu, który ciągle płakał.

Gdyby pozwolono mu napisać testament, zostawiłby wszystko temu dziecku.

Przelotnie spojrzawszy na szubienicę, a potem na Żerińskiego.

Ich oczy się spotkały.

I choć więzień był przerażony, wytrzymał spojrzenie tamtego.

Twardo postanowił, że nie da mu tej satysfakcji i nie okaże, jak bardzo się boi.

Gdyby prezydent nie patrzył mu w oczy, lecz spojrzawszy na ziemię, pod jego nogi, sam by się przekonał.

Spełniwszy obowiązek, oficer zwinął dokument i odmaszerował.

Był to znak dla dwóchbirów, którzy wystąpili do przodu, schwycili więźnia pod pachy i poprowadzili go w stronę rusztowania.

Przeszedł spokojnie obok prezydenta i dalej, ku szubienicy.

Postawił stopę na pierwszym drewnianym stopniu i popatrzył w górę na wieżę zegarem. Za trzy minuty ósma.

Niewielu ludzi, pomyślał, wie, jak długo jeszcze będą żyć.

Silą woli niemal przymuszał zegar do bicia.

Czekał dwadzieścia osiem lat, żeby spłacić dług.

Teraz, w ostatnich sekundach, wszystko do niego wróciło.

Był gorący, parny ranek w NańDinh.

Ktoś musiał zostać ukarany dla przykładu i wybór padł na niego, jako na wyższego oficera. Jego zastępca wystąpił do przodu i zaoferował się na jego miejsce.

A on, jako tchórz, nie zaprotestował.

Oficer wietnamski zaśmiał się i przyjął propozycję, ale potem postanowił, że obaj staną na jutro przed plutonem egzekucyjnym.

W środku nocy ten sam porucznik stanął przy jego łóżku i powiedział, że muszą uciekać.

To ich jedyna szansa.

Obóz nie był dobrze strzeżony, gdyż na północ setkami mil ciągnęła się dżungla zajęta przez siły Wietkongu, a na południe rozpościła się dwadzieścia pięć mil nieprzebytych bagien. Kilku jeńców próbowało szczęścia na tej drodze, ale ono nie dopisało żadnemu.

Porucznik powiedział, że raczej umrze w bagnie, niż wybierze pewną śmierć z rąk plutonu egzekucyjnego.

Wymknął się w ciemnościach obozu, kapitan niechętnie do niego dołączył.

Gdy kilka godzin później weszło słońce, obóz nadal był widoczny.

Pogrążeni w cuchnącym, nawiedzonym przez plagę komarów bagnie, słyszeli śmiech wartowni 187.

ków strzelających do nich na chybił-trafił.

Nurkowali pod powierzchnię bagna, ale po kilku sekundach musieli wypływać i przedzierać się dalej.

W końcu, po najdłuższym dniu w jego życiu, zapadła ciemność.

Błagał porucznika, żeby szedł dalej sam, a ten odmówił.

Pod koniec pierwszego dnia żałował, że nie stanął przed plutonem egzekucyjnym zamiast ginąć w tym zakazanym bagnie, w zakazanym kraju.

Ale młody oficer parło przodu.

Przez jedenaście dni i dwanaście nocy nic nie jedli, pili tylko wodę, zlewani strugami ulewnej deszczu.

Dwunastego dnia rano stanęli na suchym łądzie, a on, półżywy z choroby i wyczerpania, stracił przytomność.

Potem się dowiedział, że przez następne cztery dni młody porucznik niosł go przez dżunglę ku wolności.

Następne, co pamiętał, to przebudzenie w szpitalu wojskowym.

- Jak długo tu jestem?

- spytał pielęgniarkę, która go doglądała.

- Sześć dni - odparła.

- Ma pan szczęście, że pan przeżył.

- A co z moim przyjacielem?

- Oddwóchni już chodzi.

Odwiedził go panadziś rano.

Znowu zasnął, a gdy się zbudził, poprosił pielęgniarkę o pióro i papier.

Resztę dnia spędził siedząc w szpitalnym łóżku, pisząc i przepisując wnioski o odznaczenie.

Wreszcie sporządził czysto i poprosił, by go wysłano do dowództwa oficerów.

Sześć miesięcy później stał na trawniku przed Białym Domem między Maggie i jej ojcem i słuchał, jak odczytują jego tekst.

Porucznik Connor Fitzgerald wystąpił do przodu i prezydent przypiął mu Medal of Honor.

Wstępując na stopnie rusztowania myślał o jedynym człowieku, który będzie go opłakiwał, gdy odkryje prawdę.

Ostrzegł, żeby mu nie mówili, bo jeżeli się dowie, zerwie umowę, odda się w ręce milicji i wróci do więzienia.

- Musicie zrozumieć - tłumaczył - że macie do czynienia z człowiekiem honoru.

Więc dopilnujcie, żeby, nim zegar wybije ośmą, nie dowiedział się, że go wprowadzono w błąd.

Pierwsze uderzenie zegara sprawiło go w dreszcz i wrócił myślą do teraźniejszości.

Z drugim uderzeniem mały chłopiec, który płakał, podbiegł do rusztowania i upadł na kolana.

Z trzecim szef milicji wstrzymał ręką młodego kaprała, który zrobił krok do przodu, żeby odciągnąć dziecko.

188

Z czwartym więzień uśmiechnął się do Siergieja, jakby ten był jego jedynym synem.

Z piątym dwóch zbirów pchnęło go do przodu, także stanął tuż pod zwisającą liną.

Z szóstym kat założył mu pętla szyję.

Z siódmym skazaniec spojrzął prosto w twarz prezydentowi Rosji.

Z ósmym kat uruchomił dźwignię i opuścił zapadnię.

Kiedy ciało Christophera Andrew Jacksona zakołysało się w górę, Żeriński zaczął klaskać.

Kilka osób zawtórowało mu bez przekonania.

Po minucie dwóch zbirów zniosło zwłoki z rusztowania.
Siergiej wyrwał się do przodu, żeby pomóc im ułożyć przyjaciela w trumnicy surowego drewna, ustawionej obok szubienicy.

Szef milicji odprowadził prezydentado limuzyny i kawalkada samochodów ruszyła pospiesznie sprzed bramy więzienia, nim przybitowięko trumny.
Czterej więźniowie dźwignęli trumnę i ponieśli ją na ramionach na miejsce pochówku.
Siergiej dreptał przy nich, gdy wyszli z dziedzińca iskierowal się w stronę płachetki ziemi na tyłach więzienia.

Nawet martwym nie pozwalano stać uciec.

Gdyby Siergiej obejrzał się za siebie, zobaczyłby ludzi pracujących w popłochu przez więzienne wrota, nim zostaną zawarte i nim zasuną się olbrzymie, drewniane rygle.

Niosący trumnę zatrzymali się obok nieoznaczonej mogiły, świeżo wykopanej przez innych więźniów.

Bez ceremonialnie upuścił brzemie prosto w ziemię, a potem, bez modlitwy czy choćby chwili milczenia, zaczęli nabierać łopatami grudy świeżo wykopanej ziemi i sypać ją na trumnę.

Chłopiec nie poruszył się, póki nie skończyli.

Kilka minut później strażnicy zapędzili więźniów z powrotem do cel.

Siergiej ukląkł, zastanawiając się, jak długo pozwolą mu zostać przy grobie.

Po chwili poczuł, jak ktoś kładzie rękę na ramieniu.

Podniósł wzrok i zobaczył stojącego nad nim szefa milicji.

Porządny gość, tak kiedyś powiedział onim Jacksonowi.

- Dobrze go znałeś?

- zagadnął szef milicji.

- Tak, proszę pana.

Byłem jego współnikiem.

Szef milicji skinął głową.

- Znam człowieka, za którego oddał życie - powiedział.

- Chciałbym mieć takiego przyjaciela.

XXIII

- Pani Fitzgerald wcale nie jest taka sprytna, jak jej się wydaje - powiedział Gutenberg.

-Amatorzy rzadko bywają sprytni - zauważyła Helen Dexter.

-Czy to znaczy, że ma pan w ręku ten film?

- Nie, ale chyba domyślamsię, gdzie jest - rzekł Gutenberg.

Chwilę milczał.

- Tylko nie wiem dokładnie, gdzie.

- Niech się pan tak nie wymądrza - powiedziała Dexter - i przejdź do rzeczy.

Nie musi mi pan udowadniać, jaki z pana szchwanylis.

Gutenberg wiedział, że większego komplementu z ust dyrektorkinie może się spodziewać.

- Pani Fitzgerald niezdaje sobie sprawy, że w jej domu i biurze od miesiąca działa podsłuch i że jest śledzona od chwili, kiedy jej mąż odleciał ze Stanów trzy tygodnie temu.

-Więc co pan odkrył?

- Niewiele, jeżeli oddzielnie traktować pojedyncze informacje.

Ale kiedy je zebrać razem, zaczyna się z nich wyłaniać pewien obraz.

- Posunął teczkę i magnetofon przez blat biurka, lecz przedmioty te nie wzbudziły zainteresowania Helen Dexter.

-Lepiej niech mi pan sam objaśni - powiedziała z lekką irytacją.

- Podczas lunchów Cafe Milano pani Fitzgerald rozmawiała z Joan Bennett na tematy obojętne.

Dopiero tuż przed wyjściem zadała jej jednopytanie.

- Mianowicie?

-Może zechce pani sama posłuchać?

- Wicedyrektor wcisnął klawisz magnetofonu i usadowił się wygodnie.

- Dla mnie też.

Czarną, bez cukru.

- Słysząc było oddalające się kroki.

-Joan, nigdy przedtem cięnie prosiłam, żebyś popełniła niedyskrecję, ale jest coś, co muszę wiedzieć.

190

- Chciałabym pomóc, ale jak już powiedziałam, jeżeli chodzi o Connora, to prawdopodobnie wiem równie mało jak ty.

-Więc potrzebne mi jest nazwisko kogoś, kto coś wie.

- Proponuję - odezwała się Joan po długim milczeniu - żebyś przejrzał listę gości obecnych na przyjęciu, które wydaliście z okazji pożegnania Connora z Firmą.

-Chris Jackson?

- Niestety, już nie pracuje w Firmie.

Znowu nastąpiło długie milczenie.

- Tengładki, mały człowieczek, który wyszedł bez pożegnania?

Ten, który powiedział, że jest likwidatorem szkód?

Gutenberg wyłączył magnetofon.

- Po cóż pan tam chodził?

- warknęła Dexter.

- Bo poleciła mi pani sprawdzić, czy Fitzgerald znalazł pracę w Waszyngtonie.

Proszę nie zapominać, że jego córka dała nam wskazówkę, dzięki której trafiliśmy do Thompsona i przekonaliśmy go, że nie powinien go zatrudnić.

Jestem pewien, że pani przypomina sobie tamtą sytuację.

Dexter skrzywiła się.

- Co się wydarzyło potem?

- Kiedy pani Fitzgerald wróciła wieczorem do domu - ona nigdy nie telefonuje w sprawach prywatnych z biura - zatelefonowała w kilka miejsc.

Wykręciła też numer telefonu komórkowego Chrisa Jacksona.

- Dlaczego, skoro wiedziała, że odszedł z Firmy?

- Oni znają się od dawna.

Jackson i Fitzgerald służyli razem w Wietnamie.

To Jackson złożył wniosek, by Fitzgeraldowi przyznać Medal of Honor i to on zwerbował go do CIA.

- Czy Jackson mówił jej o panu?

- spytała Dexter z niedowierzaniem.

- Nie, nie miał szans - odparł Gutenberg.

- Zablokowaliśmy mu telefon komórkowy, kiedy się zorientowaliśmy, że jest w Rosji.

- Uśmiechnął się.

- Jednakże nadal możemy ustalić, kto do niego dzwonił i do kogo on próbował się dozwonić.

- Czy to znaczy, że odkrył pan, komu składa raporty?

- Jackson wykręcił tylko jeden numer, od kiedy wylądował w Rosji, i podejrzewam, że zaryzykował, bo znalazł się w podbramkowej sytuacji.

- Do kogo telefonował?

- spytała niecierpliwie Dexter.

191.

- Pod utajniony numer w Białym Domu.
- Niewątpliwie do naszego przyjaciela Lloyda - rzuciła Dexter, nie mrugnawszy okiem.
- Niewątpliwie - zgodził się Gutenberg.
- Czy pani Fitzgerald wie, że Jackson komunikuje się bezpośrednio z Białym Domem?
- Nie sądzę - rzekł Gutenberg.
- Bowtedy próbowałyby skontaktować się z nim już wcześniej.
Dexter skinęła głową.
- Zatem musimy dopilnować, żeby nigdy się nie dowiedziała.
- Rozumiem.
- Gutenberg nie okazał cienia emocji.
- Ale nic niemożę zrobić, póki nie będę miał rękę tego rodzinnego filmu.
- A jak przedstawia się ta sprawa?
- spytała Dexter.
- Nie posunęlibyśmy się do przodu, gdyby nie pewna wskazówka w podsłuchanej rozmowie telefonicznej.
Kiedy Joan Bennett zadzwoniła do pani Fitzgerald z Langley o drugiej w nocy, aby jej powiedzieć, że będzie u niej za godzinę, jeden z moich ludzi sprawdził, jakie informacje przywołała na komputerze w podręcznej bibliotece.
Prędko się okazało, że musiała się natknąć na coś, co wzbudziło jej podejrzenia, iż to jej dawny szef siedzi w więzieniu w Sankt Petersburgu.
Ale, jak pani wie, nie spotkała się z panią Fitzgerald.
- Niewiele brakowało.
- Zgoda.
Ale kiedy się nie zjawiała, pani Fitzgerald pojechała w aleję Jerzego Waszyngtona i czekała, póki policja niewydobyła z rzeki samochodu.
- Prawdopodobnie zobaczyła relację z wypadku w telewizji albo słyszała w radio - zauważyła Dexter.
- Tak przypuszczamy.
To była główna wiadomość w lokalnym dzienniku tego ranka.
Kiedy pani Fitzgerald się upewniła, że to Bennett była w tym samochodzie, natychmiast zatelefonowała do córki do Stanfordu.
Ma trochę zaspany głos, bo w Kalifornii była dopiero piąta rano.
- Znowu się pochylił i włączył klawisz odtwarzania.
- Witaj, Taro.
Tu mama.
- Cześć, mamo.
Która to godzina?
- Przepraszam, kochanie, że dzwonię tak wcześnie, ale mam bardzo smutną wiadomość.
- Ale nie chodzi o tatę?
- Nie.
Joan Bennett zginęła w katastrofie samochodowej.
192
- Joan nie żyje?
Nie mogę w to uwierzyć.
Powiedz, że to nieprawda.
- Niestety, nie.
I mam okropne wrażenie, że w jakiś sposób wiąże się to z tym, że Connor nie wraca do domu.
- Daj spokój, mamo.

Czy przypadkiem nie wpadasz w obsesję?

Taty nie ma zaledwie od trzech tygodni.

- Może masz rację, ale jednak postanowiłam przenieść ten film wideo, który nakręciłaś na przyjęciu, w bezpieczniejsze miejsce.

- Dlaczego?

- Bo to jest jedyny dowód, jaki mam, że twój ojciec spotkał się kiedykolwiek z człowiekiem o nazwisku Nick Gutenberg czy choćby, że dla niego pracował.

Wicedyrektor nacisnął klawisz "stop".

- Rozmowa toczy się jeszcze przez pewien czas, ale niewiele już nam wyjawia.

Kiedy pani Fitzgerald kilka minut później wyszła z domu z kasetą wideo, agent, który wysłuchał rozmowy zrozumiał, jaka jest ważna, pojechał za nią na uniwersytet.

Nie poszła jak zwykle prosto do swego biura, ale wstąpiła do biblioteki i tam udała się do działu komputerowego na pierwszym piętrze.

Przez dwadzieścia minut czegoś szukała w jednym z komputerów, poczym wyszła stamtąd z kilkunastostronicowym wydrukiem.

Następnie zjechała windą do działu informacji audiowizualnych na parterze.

Agent nie chciał ryzykować jazdy z nią w windzie, więc gdy się zorientował, gdzie się zatrzymała, podszedł do komputera, przy którym pracowała, i próbował przywołać ostatni plik, który został otwarty.

- Oczywiście wszystko skasowała - rzuciła Dexter.

- Oczywiście - przyznał Gutenberg.

- A co z wydrukiem?

- Też ani śladu, co to było.

- Trudno, żeby była żoną Connora Fitzgeralda przez dwadzieścia osiem lat i nie podchwyciła czegoś z naszych metod.

- Agent wyszedł z biblioteki i czekał w samochodzie.

Po kilkunastu minutach pani Fitzgerald wyszła z budynku.

Nie miała już kasety, ale niosła.

- Musiała ją zostawić w dziale audiowizualnym.

- Też tak myślę - rzekł Gutenberg.

- Ile kaset może być w bibliotece uniwersyteckiej?

- Ponad dwadzieścia pięć tysięcy.

193

13. Jedenaste przykazanie.

- Przejrzenie wszystkich zabrałoby za dużo czasu - stwierdziła Dexter.

- Tak, gdyby pani Fitzgerald nie popełniła pierwszego błędu.

Tym razem Dexternie przerwała Gutenbergowi.

- Kiedy wychodziła z biblioteki, nie miała kasety wideo, ale niosła wydruk.

Nasz agent podążył za nią do biura, gdzie, miło mitopowiedzieć, zasady pani Fitzgerald wzięły górę nad rozsądkiem.

Dexter uniosła brwi.

- Przed powrotem do biura wstąpiła do utylizatorni śmieci.

Niena darmo jest wiceprezeską PAUG.

- Co to takiego?

- Patrol Antyśmieciowy Uniwersytetu Georgetown.

Wrzuciła wydruk do pojemnika z papierem.

- Wspaniale.

I co tam znaleźliście?

- Pełną listę aktualnie wypożyczonych filmów wideo, które najprawdopodobniej zostaną zwrócone dopiero z początkiem następnego semestru.

- Doszłam więc do wniosku, że może bezpiecznie zostawić swój film w pustym pudełku, gdzie nikt się na niego nie natknie przez kilkadziesiąt dni.

- Słusznie - przytaknął Gutenberg.

- Ile kaset wideo było na tej liście?

- Czteryście siedemdziesiąt dwie.

- Przypuszczam, że zażądał pan wydania wszystkich co do jednej.

- Myślałem, żeby to zrobić, ale gdyby jakiś wścibski student albo członek personelu dowiedział się o obecności CIA na terenie uniwersytetu, rozpętałoby się piekło.

- To przewidując o pańskiej stronie - pochwaliła go Dexter.

- Więc jak zamierza pan znaleźć ten film?

- Odkomenderowałem dwunastu starannie dobranych agentów, wszystkich świeżo po studiach, żeby sprawdzili każdy z tytułów z listy, aż natrafią na film domowej roboty w pudełku, które powinny być puste.

Problem w tym, że chociaż są ubrani jak studenci, zadanie może pozostawać w bibliotece dłużej niż dwadzieścia minut ani przychodzić tam częściej niż dwa razy dziennie, żeby nie rzucić się oczy, zwłaszcza że o tej porze roku jest tam prawie pusto. Tak więc jest to pracochłonne zajęcie.

- Jak pan myśli, ile czasu potrwa, nim znajdą film?

194

- Jeżeli dopiszesz szczęście, mogą się na niego natknąć od razu, ale moim zdaniem zajmie to dzień lub dwa, najwyżej trzy.

- Proszę nie zapominać, że musię pan skontaktować panią Fitzgerald przed upływem czterdziestu ośmiu godzin.

- Pamiętam.

Ale jeśli wcześniej znajdziemy taśmę, nie będzie to potrzebne.

- O ile pani Fitzgerald nie nagrała też rozmowy telefonicznej z panem.

- Nagrała - powiedział z uśmiechem Gutenberg - ale w kilka sekund po odłożeniu przez nią słuchawki rozmowa została zmaszana.

Szkoda, że nie widziała pani, jaki zadowolony był profesor Ziegler ze swojej najnowszej zabawki.

- Znakomicie - orzekła Dexter.

- Niech pandomnie zadzwoni, jak tylko film wpadnie panu w ręce.

Wtedy nic nas nie powstrzyma, żeby usunąć jedyną osobę, która mogłaby.

- Na jej biurku zadzwonił czerwony telefon.

Schwyciła słuchawkę nie kończąc zdania.

- Dyrektorka - powiedziała, włączając stoper.

- Kiedy to się stało.

Czy jest pan absolutnie pewien.

A Jackson?

Gdzie on jest?

-Usłyszawszy odpowiedź,natychmiast odłożyła słuchawkę.

Gutenberg zauważył, że stoper wskazał czterdzieści trzy sekundy.

- Mam nadzieję, że pan znajdzie tę taśmę wideo w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin - rzuciła dyrektorka, spoglądając na swego zastępcę nad blatem biurka.

-Dlaczego?

- spytał Gutenberg z niepokojem.

- Bo Mitchell powiada, że Fitzgerald został powieszony dziś rano o ósmej czasu petersburskiego i że Jackson właśnie odleciał z Frankfurtu do Waszyngtonu samolotem United Airways.

Księga trzecia Wynajęty zabójca.

XXIV

O siódmej rano trzech zbirów weszło do celi i zaprowadziło go dobiura Bolczenkowa. Kiedy wyszli, Bolczenkow zamknął drzwina kluczem bez słowa podszedł do szafy w rogu. Wewnątrz był mundur milicyjny, który gestem nakazał włożyć Connorowi. W ciągu tygodnia Connor tak schudł, że mundur na nim wisiał, więc z wdzięcznością przyjął szelki.

Jednak w wielkiej czapce i długim płaszczu wyglądał jak jeden z tysiąca milicjantów patrolujących tego ranka ulicę Sankt Petersburga.

Zostawił więc nieubrany nadole szafy, ciekaw, jak szef policji się go pozbędzie.

Nadal bez słowa Bolczenkow wyprowadził go z biura do małego przedpokoju i tam zamknął.

Długo trwała cisza, wreszcie Connor usłyszał otwieranie drzwi, potem czyjeś kroki i znów otwieranie drzwi, może drzwi szafy w biurze szefa milicji.

Stał bez ruchu, usiłując wydedukować, co się dzieje.

Pierwsze drzwi otworzyły się znowu i dwóch, może trzech ludzi wpadło z hałasem do biura.

Kilka sekund później wyszli, wywlekając stamtąd coś albo kogoś i zatraskując za sobą drzwi.

Po chwili klucz przekręcił się w zamku i Bolczenkow gestem ręki pokazał Connorowi, że może wyjść.

Przeszli przez biuro z powrotem na korytarz.

Gdyby szef milicji skręcił w lewo, oznaczałoby to powrót do celi, ale on skierował się w prawo.

Nogi uginały się pod Connorem, ale podążał za Bolczenkowem najszybciej jak mógł.

Pierwsze, co zobaczył, gdy znaleźli się nad dziedzińcem, to szubienicę i kogoś ustawiającego parę kroków przed nią wspinały, złocony fotel, wyściełany czerwonym pluszem.

Nie musiał zgadywać, kto na nim zasiądzie.

Przemierzając z Bolczenkowem dziedzińce, zauważył grupę milicjantów w długich niebieskich płaszczach, takich jak ten, który miał na sobie, wywlekających przechodniów z ulicy, zapewne to, by byli świadkami egzekucji.

Szef milicji kroczył szybko w stronę samochodu, stojącego w głębi dziedzińca. Connor chciał otworzyć drzwiczki od strony pasażera, ale Bolcenkow potrząsnął głową i wskazał mu miejsce kierowcy.

Connor usiadł za kierownicą.

- Proszę podjechać pod bramę i stanąć - polecił szef milicji, zajmując miejsce obok.

Connor wolno, na pierwszym biegu przejechał przez dziedzińce i zatrzymał samochód przed dwoma wartownikami, którzy stali na posterunku przy zamkniętej bramie.

Jeden z nich zaskłamał szefowi milicji i natychmiast skontrolował samochód od spodu, drugi zaś zszarpł przez szybę do tyłu i sprawdził bagażnik.

Bolcenkow przechylił się i obciągnął lewy rękaw Connora, zasłaniając mu przegub. Zakończywszy przeszukiwanie wartownicy, wrócił na miejsce i ponownie zaskłamał Bolcenkowi.

Żaden z nich nie zwrócił najmniejszej uwagi na kierowcę.

Odsunięto olbrzymi drewniany rygiel i otwarto potężne wierzaje więzienia.

- Ruszaj!

- rzucił przyciszonym głosem szef milicji w chwili, gdy mały chłopiec wbiegał na teren więzienia z taką miną, jakby dobrze wiedział, dokąd zmierza.

- W którą stronę?

- wyszeptał Connor.

- W prawo.

Connor ostro skręcił i pojechał wzdłuż Newy do śródmieścia.

Nie było widać żadnego innego samochodu.

- Niech pan pojedzie następnym mostem - polecił Bolcenkow - a potem skręci w pierwszą w lewo.

Gdy mijali więzienie drugiej strony rzeki, Connor pobiegł wzrokiem ku jego wysokim murom.

Policja nadal usiłowała zwiabić ludzi, chcąc zwiabić nieliczną gromadkę, która zebrała się, żeby patrzeć, jak go wieszają.

Jak Bolcenkow sobie poradzi?

Connor przejechał jeszcze kilkaset metrów, aż Bolcenkow kazał mu się zatrzymać. Zwolnił i zahamował za dużym, białym BMW, którego tylne drzwiczki były otwarte.

- Tu się rozejrzyj, panie Fitzgerald - powiedział Bolcenkow.

- Miejmy nadzieję, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

Connor skinął głową.

Wysiadł z samochodu, gdy Bolcenkow dodał:

- Szczęściar z pana, że ma pan tak niezwykłego przyjaciela.

Upłynęło trochę czasu, zanim Connor zrozumiał w pełni sens tych słów.

200

- Panie Jackson, zechce pan się udać do wyjścia numer jedenaście.

Pasażerowie będą wzywani na pokład samolotu za dwadzieścia minut.

- Dziękuję - powiedział Connor, biorąc kartę pokładową i kierując się w stronę "Odlotów"; miał nadzieję, że jego paszport nie będzie sprawdzany zbyt dokładnie.

Wprowadzając miejsce fotografii Jacksona przyklejono jego zdjęcie, lecz Chris był trzy lata od niego starszy, dużo niższy i łysy.

Gdyby kazano mu zdjęć kapelusza, musiałby wyjaśnić, dlaczego ma głowę poznaną bliźniakami jak znamiona Gorbaczowa.

W Kalifornii po prostu uznano by, że jest członkiem jakiejś sekty.

Podał paszport prawą ręką - gdyby to zrobił lewą, uniesiony rękaw odsłoniłby numer, który miał wytatuowany na przegubie.

Kiedy wróci do Ameryki, kupi sobie szerszypasek do zegarka.

Urzędnik pobieżnie obejrzał paszport i przepuścił go.

Nowo nabyta walizka zawierająca tylkoubranie i przybory toaletowe bezprzeszkód przeszła kontrolę bezpieczeństwa.

Schwycił ją, poszedł dalej i usiadł w najodleglejszym kącie poczekalni, odwrócony tyłem do wyjścia numer jedenaście.

W ciągu dwudziestu czterech godzin odopuszczenia Kriestów Connor ani na chwilę się nie odprężył.

-Wzywamy pasażerów odlatujących do Frankfurtu liniami AirFinn, lot numer osiemset dwadzieścia jeden - odezwał się głos w interkomie.

Connor się nie poruszył.

Gdyby powiedzieli mu prawdę, nigdy by nie pozwolił, żeby Chris zajął jego miejsce.

Sięgnął myślą wstecz do chwili, kiedy się rozstał z Bolczenkowem.

Wysiadł z samochodu milicyjnego i przeszedł przedkoczającego BMW.

Szef milicji wyruszył z powrotem do więzienia, nim jeszcze Connor zajął miejsce na tylnym siedzeniu obok bladego, szczupłego młodzieńca w czarnym kaszmirowym płaszczu.

Ani on, ani dwaj podobnie ubrani mężczyźni siedzący przodkiem przodunie przemówili nie zareagowali na jego obecność.

BMW skierowało się na pustą drogę i przedkocpuściło miasto.

Na głównej szosie kierowca przyspieszył, nie licząc się z ograniczeniami szybkości.

Kiedy na zegarku desce rozdzielczej mignęła osma zerozero, tablica drogowa pokazała Connorowi, że do granicy fińskiej jest sto pięćdziesiąt kilometrów.

Odległość podawana na tablicach malała do stu, do pięćdziesięciu, do trzydziestu kilometrów i Connor zaczął się zastanawiać, jak

201.

jego towarzysze wytłumaczają obecność rosyjskiego milicjanta straży granicznej.

Alenić nie trzeba było tłumaczyć.

Kiedy BMW znalazło się w odległości około trzystu metrów od pasa ziemi niczyjej, dzielącego dwa kraje, kierowca czterokrotnie mignął światłami.

Szlaban graniczny natychmiast uniósł się górze i nawet nie zwolniwszy wjechali do Finlandii.

Connorowi zaświtało w głowie, że wpływy rosyjskiej mafii sięgają naprawdę daleko.

Nikt w samochodzie nie powiedział ani słowa od początku podróży i tylko znaki drogowe były dla Connor'a jedyną wskazówką.

Już myślał, że zmierzają do Helsinek, kiedy w odległości kilkunastu kilometrów od przedmieść zjechali z autostrady.

Kierowca zwolnił, omijając wyboje i manewrując na karkołomnych zakrętach, gdy coraz bardziej zagłębiali się w wiejskie okolice.

Connor wpatrywał się w pustkowie, okryte grubą warstwą śniegu.

- Po raz drugi wzywamy pasażerów odlatujących do Frankfurtu liniami Finn Air, lot numer osiemset dwadzieścia jeden, na pokład samolotu.

Po czterdziestu minutach zjazd z autostrady samochód skręcił w podwórze wiejskiego domu, który wyglądał na opuszczony.

Jeszcze niezahamowali, kiedy otwarto drzwi.

Wysoki młodzieniec wyskoczył z auta i zaprowadził Connora do domu.

Nie pozdrowił zgiętej ukłonie kobiety, którą minęli.

Connor podążył za nim schodami na górę.

Rosjanin otworzył drzwi i Connor wszedł do pokoju.

Drzwi zanim zatrzasnęły się i kolejny raz usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

Przemierzył pokój i wyrzął przez jedyne okno.

Jeden z goryli stał na podwórku i patrzył wprost na niego.

Odszedł od okna i dostrzegł ubranie oraz czapkę z czarnego króliczego futra leżące na małym, chyba niewygodnym łóżku.

Zdjął wszystko, co miał na sobie, i rzucił na krzesło obok łóżka.

W kącie pokoju znajdowała się plastikowa zasłona, a za nią zardzewiały prysznic.

Pod strużką letniej wody, z pomocą kawałka ordynarnego mydła Connor przez kilka minut usiłował zmyć z siebie więzienny fetor.

Wytarł się dwiema ściereczkami do naczyń.

Spojrząwszy w lustro uznał, że upłynęło trochę czasu, nim blizny na głowie i na twarzy odrosną mu włosy.

Ale numer wytatuowany na przegubie zostanie mudo końca życia.

Włożył ubranie przygotowane na łóżku.

Spodnie były o kilkadziesiąt centymetrów za krótkie, ale koszula i marynarka pasowały, chociaż w więzieniu schudł kilka kilogramów.

202

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi i klucz obrócił się w zamku.

W drzwiach stanęła kobieta, którą spotkali w sieni, z tacą w ręku.

Postawiła ją na stoliku i wymknęła się, nim Connor zdążył jej podziękować.

Spojrzała na miskę gorącego rosółu i trzy kromki chleba, i aż się oblizała.

Usiadł i rzucił się na jedzenie, ale nasycił się paroma łyżkami zupy i jedną kromką.

Nagle zmogła go senność i zwałił się na łóżko.

- Po raz trzeci wzywamy pasażerów odlatujących do Frankfurtu liniami Finn Air, lot numer osiemset dwadzieścia jeden.

Wszystkich pasażerów, którzy jeszcze nie znajdują się w samolocie, prosimy o zgłoszenie się do wyjścia.

- Connor wciąż nie ruszał się z miejsca.

Musiał zasnąć, gdyż następne, co pamiętał, to twarz bladego młodzieńca, który stał w nogach łóżka i patrzył na niego.

- Za dwadzieścia minut wyruszamy na lotnisko- oznajmił i rzucił na łóżko pękatą brązową kopertę.

Connor usiadł i otworzył ją.

W środku był lotniczy bilet pierwszej klasy do Waszyngtonu, tysiąc dolarów amerykańskich i amerykański paszport.

Otworzył paszport i zobaczył nazwisko Christopher Andrew Jackson nad swoją fotografią.

Spojrzał na młodego Rosjanina.

- Co to znaczy?

- zapytał.

- To znaczy, że pan żyje - rzekł Aleksiej Romanow.

- Po raz ostatni wzywamy pasażerów do latujących do Frankfurtu liniami Finn Air, lot numer osiemset dwadzieścia jeden.

Prosimy tych, którzy jeszcze nie znajdują się w samolocie, o natychmiastowe zajęcie miejsc.

Connor poszerował do funkcjonariusza przy wyjściu, podał mu kartę pokładową i skierował się do samolotu.

Steward sprawdził numer fotela i wskazał mu przed samolotem.

Connor nie musiał długo szukać swego miejsca przy oknie w piątym rzędzie, gdyż młody Rosjanin siedział już na skraju, przypięty pasami.

Najwidoczniej miał za zadanie nie tylko odebrać przesyłkę, ale także dostarczyć nam miejsce i dopilnować wypełnienia kontraktu.

Gdy Connor przekroczył nogi swego strażnika, stewardesa go zagadnęła:

- Czy zabrać pańską czapkę?

- Nie, dziękuję pani.

203.

Rozsiadł się w wygodnym fotelu, ale napięcie opuściło go dopiero po starcie samolotu. Wtedy po raz pierwszy do niego dotarło, że naprawdę uciekł.

Ale do czego?

Zerknął w lewo: teraz ktoś będzie przy nim w dzień i w nocy, dopóki nie dopełni umowy.

Podczas lotu do Niemiec Romanow ani razu nie otworzył ust, co najwyżej po to, aby skubnąć parę kęsów posiłku, który przed nim postawiono.

Connor zmiotł wszystko z talerza i spędzał czas czytając folder FinnAir.

Zanim wylądowali we Frankfurcie, wiedział wszystko o saunach, oszczepnikach i o zależności Finów od gospodarki rosyjskiej.

Kiedy szli przez halę tranzytową, Connor natychmiast spostrzegł agenta CIA.

Szybko odłączył się od Romanowa, by ku jego wyraźnej uldze powrócić po dwudziestu minutach.

Connorowi byłoby łatwo zgubić swego opiekunę na własnym terytorium, ale wiedział, że gdyby próbował uciec, spełniono by groźbę, tak sugestywnie odmalowaną przez Bolczenkova.

Wzdrygnął się i myślał, że któryś z tych zbiorów mógłby tknąć Maggie albo Tare.

Boeing 777 linii United Airways wystartował zgodnie z rozkładem.

Connor pochłonął niemal w całości pierwsze i drugie danie lunchu.

Gdy stewardesa zabrała tacę, nacisnął guzik w oparciu fotela, opuścił je i zaczął myśleć o Maggie.

Jakże jej zazdrościł, że zawsze mogła.

Kilkachwil później zasnął w samolocie pierwszy raz od dwudziestu lat.

Gdy się obudził, serwowano przekąskę.

Chyba był jedyną osobą w samolocie, która pożerała wszystko, co przed nią postawiono, łącznie z dwoma pojemnikami marmolady.

Podczas ostatniej godziny lotu do Waszyngtonu wrócił myślami do Chrisa Jacksona i jego ofiary.

Nigdy nie będzie mógł mu się odwdziżyć, ale postanowił, że jego poświęcenie będzie daremne.

Pomyślał o Dexter i Gutenburgu, którzy pewno teraz myślą, że onnie żyje.

Najpierw posłali go do Rosji, żeby ratować własną skórę.

Potem zamordowali Joan, bo mogła przekazać informacje Maggie.

Ile czasu upłynie, nim dojdą do wniosku, że Maggie też stanowi zagrożenie i że należy się jej pozbyć?

- Mówi kapitan.

Będziemy lądować na Międzynarodowym Lotnisku imienia Dullesa.

Proszę, aby załoga przygotowała pasażerów do lądowania.

W imieniu naszych linii lotniczych witam państwa w Stanach Zjednoczonych.

Connor sprawdził paszport.

Christopher Andrew Jackson wrócił do ziemi ojczystej.

XXV

Maggie przyjechała na lotnisko Dullesa godzinę wcześniej - ten jej zwyczaj doprowadzał Connora do szału.

Spojrzała na tablicę przylotów z zadowoleniem stwierdziła, że samolot z San Francisco wylądował o czasie.

Ze stojaka gazetami wzięła "Washington Post", powędrowała do najbliższej kafejki, usadowiła się na wysokim stolku przy barze i zamówiła czarną kawę i rogalik.

Nie zwróciła uwagi na dwóch mężczyzn przy stoliku w przeciwległym kącie; jeden z nich też trzymał w ręku "Washington Post" i zdawał się czytać.

Ale choćby niewiedomo jak się rozglądała, nie dostrzegłaby trzeciego mężczyzny, który bardziej interesował się nią niż tablicą przylotów, na którą patrzył.

Zauważył już dwóch mężczyzn w kącie.

Maggie czytała gazetę od deski do deski, co kilka minut spoglądając na zegarek.

Zanim zamówiła drugą kawę, zdążyła przejrzeć dodatek o Rosji, opublikowany w przewidywaniu wizyty prezydenta Żerińskiego w Waszyngtonie.

Nie podobały jej się wypowiedzi przewodcy komunistycznego, które brzmiały jak nie z tej epoki.

Wychyliła trzecią filiżankę kawy dwadzieścia minut przed przylotem samolotu, zsunęła się ze stołka i skierowała się do najbliższych kabin telefonicznych.

Dwaj mężczyźni poszli za nią, a trzeci przemknął się z kąta w kąt.

Wykręciła numer, zastanawiając się, czy kogoś zastanie.

- Dzień dobry, Jackie - powiedziała, kiedy odezwała się jej zastępczyni.

- Dzwonię tylko, żeby się dowiedzieć, czy wszystko w porządku.

- Maggie - odrzekła Jackie, starając się nie okazać irytacji - jest siódma rano i leżę jeszcze w łóżku.

Dzwoniłaś wczoraj, pamiętasz?

Na uniwersytecie saferie, nikt niewróci przed czternastym stycznia, a potrzebnych lat pracy jako twoja zastępczyni dam sobie radę w czasie twojej nieobecności.

- Przepraszam, Jackie - powiedziała Maggie.

- Nie chciałam cię obudzić.

Zapomniałam, że jest tak wcześnie.

Obiecuję, że nie będę ci więcej zawracać głowy.

- Mam nadzieję, że Connor prędko wróci i że przez kilka następnych tygodni będziesz zajęta Tarą i Stuartem.

Wesołych świąt Bożego Narodzenia i nie chcę cię słyszeć przed końcem stycznia - powiedziała Jackie z naciskiem.

Maggie odwiesiła słuchawkę ze świadomością, że chciała tylko zabić czas i że nie powinna narzyknąć na Jackie.

Zbeształa samą siebie i postanowiła, że zatelefonuje do niej dopiero po Nowym Roku.

Wolno skierowała się do hali przylotów i dołączyła do rosnącej gromady ludzi, patrzących przez okna na płytę lotniska, gdzie startowały i lądowały poranne samoloty.

Trzech mężczyzn, którzy nie sprawdzali znaków każdego przybywającego samolotu, nadal obserwowało Maggie, tymczasem ona czekała, aż na tablicy ukaże się komunikat, że samolot z San Francisco linii United, lot 50, już wylądował.

Uśmiechnęła się, kiedy wyświetlono napis.

Jeden z trzech mężczyzn wcisnął jedenaście cyfr na swym telefonie komórkowym i przekazał informację do Langley.

Maggie uśmiechnęła się znowu, kiedy mężczyzna w czapce drużyny Poszukiwaczy z San Francisco wyłonił się z wyjścia - pierwszy pasażer nocnego samolotu.

Musiała czekać jeszcze dziesięć minut, zanim Tara i Stuart ukazali się w drzwiach.

Nigdy jeszcze nie widziała córki tak promiennej.

Stuart dostrzegł Maggie i obdarzył ją szerokim uśmiechem, do którego tak przywykła na wakacjach w Australii.

Maggie wyściskała ich po kolei.

- To cudownie widzieć was oboje - powiedziała.

Wzięła jedną z toreb Tary i poprowadziła ich przejściem podziemnym do głównego dworca lotniczego.

Jeden z mężczyzn, który ją obserwował, już czekał na miejscu dla pasażera w ciężarówce toyoty z ładunkiem jedenastu nowych samochodów na parking dla krótkich postojów.

Dwaj pozostali biegli przez parking.

Maggie, Tara i Stuart wyszli na zimne, poranne powietrze i skierowali się do samochodu Maggie.

- Mamo, czy już nie czas, żebyś sobie sprawiła coś szykowniejszego od tego grata?

- spytała Tara, udając niesmak.

- Byłam w średniej szkole, kiedy go kupiłaś, i już wtedy był używany.

- Toyota jest najbezpieczniejszym samochodem nadrodze - powiedziała wyniośle Maggie - jak regularnie potwierdza "Consumer Reports".

- Żaden trzynastoletni samochód nie jest bezpieczny nadrodze - odparła Tara.

- W każdym razie - rzekła Maggie, ignorując docinki córki - twój ojciec uważa, że powinniśmy go zatrzymać do czasu, kiedy zacznie nową pracę i dostanie samochód służbowy.

Na wzmiankę o Connorze przez chwilę zapanowało milczenie.

- Nie mogę się doczekać, kiedy spotkam się z pani mężem - rzekł Stuart siadając z tyłu.

Maggie nie powiedziała, że ona też.

Spytała tylko:

- Więc to twoja pierwsza wizyta w Ameryce?

- Zgadza się - odparł Stuart.

Maggiewłączyła starter.

- I już teraz nie jestem pewien, czy będę chciał kiedykolwiek wrócić do Australii.

- Mamy tu dość przepłacanych prawników, żeby jeszcze dobierać jednego z antypodów

- rzuciła Tara, gdy czekali w kolejce, żeby zapłacić za parking.

Maggie uśmiechnęła się do niej, szczęśliwszajpierwszy raz od tygodni.

- Kiedy musisz być z powrotem w Sydney, Stuarcie?

- Jeżeli uważasz, mam, że on już nadużył twojej gościnności, możemy zmienić plany i wrócić następnym samolotem - powiedziała Tara.

- Nie, nie o to mi chodziło, chciałam tylko.

- Wiem - ty lubisz wszystko planować z góry - zaśmiała się Tara.

- Wiesz, Stuarcie, mama najchętniej zapisywałaby studentów do Georgetown w chwilich poczęcia.

- Czemu o tym nie pomyślałam?

- podchwyciła Maggie.

- Powinienem być w pracy dopiero piątego stycznia - wtrącił Stuart.

- Mam nadzieję, że niesie mnie pani tak długo.

- Nie będzie miała wyboru - powiedziała Tara, ściskając mu rękę.

Maggie podała banknot dziesięciodolarowy kasjerowi i wyjechała z parkingu, a potem skierowała się na szosę.

Spojrzała wstecz na lusterko, ale nie zauważyła niepozornego niebieskiego forda, który jechał za nią w odległości około stu metrów, mniej więcej z tą samą szybkością.

Mężczyzna siedzący na miejscu pasażera meldował wierzchnikowi w Langley, że obiekt opuścił "Pobocze" o siódmej

czterdzieści trzy i podąży do Waszyngtonu z dwoma pakunkami, które odebrał.

- Stuarcie, jak ci się podobało w San Francisco?

- Cieszyłem się każdą chwilą - odparł.

- Zamierzamy tam spędzić jeszcze parę dni przed moim powrotem do Australii.

Gdy Maggie ponownie zerknęła we wsteczne lusterko, ujrzała tytu samochód patrolowy stanu Wirginia, migający światłami.

- Myślicie, że jedzie za mną?

Na pewno nie przekroczyłam dozwolonej prędkości - powiedziała Maggie, spoglądając na szybkościomierz.

- Mamo, ten samochód to praktycznie rupieć i powinien pójść na złom parę lat temu.

To może być wszystko, począwszy od światła stopu po starte opony.

Prostu zatrzymaj się.

- Tara wyrzła przez tylną szybę.

- A jak policjant będzie do ciebie mówił, pamiętaj, żebyś ołśniła go tym swoim irlandzkim uśmiechem.

Maggie zahamowała, a tymczasem niebieski ford pojechał dalej środkiem pasem.

- Niech to szlag trafi - zaklął kierowca, śmigając obok.

Maggie opuściła szybę, gdy dwóch policjantów wysiadło z patrolowego samochodu i podeszło do nich.

Pierwszy z nich uśmiechnął

się i grzecznie zapytał:

- Czy mógłbym obejrzeć pani prawo jazdy?

- Proszę bardzo - powiedziała Maggie i odwzajemniła uśmiech.

Otworzyła torebkę i zaczęła ją przetrząsać, tymczasem drugi policjant pokazał gestem Stuartowi, żeby też opuścił szybę.

Stuart pomyślał, że to dziwne żądanie, gdyż w żaden sposób nie mógł popełnić wykroczenia drogowego, ale ponieważ był w swoim kraju, uznał, że lepiej będzie posłuchać.

Opuścił szybę akurat w chwili, gdy Maggie znalazła prawo jazdy.

Kiedy się obróciła, żeby je podać, drugi policjant wyciągnął broń i trzykrotnie strzelił do środka samochodu.

Obaj szybko wrócili do wozu patrolowego.

Podczas gdy pierwszy włączył wóz do porannego ruchu, drugi zatelefonował do mężczyzny, który siedział w ciężarówce namiejscu dla pasażera, i powiedział mu, że zepsuł się samochód i potrzebuje natychmiastowej pomocy.

Ledwo wóz patrolowy odjechał, ciężarówka z jedenastoma nowiutkimi toyotami zatrzymała się przed unieruchomionym pojazdem.

Mężczyzna w czapce ze znakiem firmowym Toyoty i w niebieskim

skim kombinezonie wyskoczył z kabiny i popędził do auta.

Otworzył drzwi od strony kierowcy, delikatnie przeniósł Maggie na siedzenie pasażera i pociągnął dźwignię otwierającą bagażnik, potem przechylił się przez oparcie z kieszeni marynarki bezwładnego Stuarta wyjął jego portfel i paszport, na to miejsce wkładając inny paszport i cienką książeczkę w miękkiej oprawie.

Kierowca ciężarówki otworzył bagażnik toyoty i sprawdził odspodu.

Szybko wyłączył nadajnik i zatrzasnął klapy.

Jego towarzysz siedział teraz za kierownicą toyoty.

Włączył starter, wrzucił pierwszy bieg i powoli wjechał do góry po pochylni transportera, poczym ustawił wóz na jedynym wolnym miejscu.

Wyłączył silnik, zaciągnął ręczny hamulec, przypiął koła samochodu do uniesionej pochylni i wrócił do kabiny szofera.

Cała operacja zajęła niespełnatrzy minuty.

Ciężarówka ruszyła w stronę Waszyngtonu, ale wkrótce zjechała z jadem przeznaczonym dla ładunków lotniczych i zawróciła na lotnisko.

Agenci CIA w niebieskim fordzie opuścili autostradę następnym jadem, wrócili po własnych śladach i włączyli się w strumień pojazdów podążających do Waszyngtonu.

- Musiała popełnić jakieś drobne wykroczenie drogowe - zameldował kierowca zwierzchnikowi w Langley.

- To nietrudne przy takim starym samochodzie.

Agentsiedzący obok kierowcy z zaskoczeniem stwierdził, że toyota zniknęła z jego monitora.

- Prawdopodobnie wracają do Georgetown - powiedział.

- Damy znać, jak odzyskamy kontakt.

Gdy dwaj agenci popędzili do Waszyngtonu, ciężarówka wioząca dwa naczepy marki Toyota skręciła w lewo z drogi dojazdowej do lotniska Dulles przyznaku "Tylko ładunki".

Pokilkuset metrów skręciła w prawo, wjechała przez wysoką bramę z metalowej siatki, którą otworzyli dwaj mężczyźni w lotniczych kombinezonach, i potoczyła się starym pasem startowym w stronę osobnego hangaru.

U wejścia stał człowiek, żeby wskazać ciężarówce drogę, jakby to był samolot, który przed chwilą wylądował.

Kierowca zahamował obok nie oznakowanej furgonetki.

Siedmiu mężczyzn w białych kombinezonach wyłoniło się z tyłu.

Jeden z nich odpiął łańcuchy, mocujące stary samochód do ciężarówki.

Drugi siadł za kierownicą, zwolnił ręczny hamulec i pozwolił toyocie sto209

14. Jedenaste przykazanie.

czyć się wolno po pochylni na ziemię.

W chwili, gdy się zatrzymała, otworzono drzwiczki i delikatnie wydobyto ciała.

Mężczyzna w czapce Toyoty wyskoczył z kabiny ciężarówki i usiadł za kierownicą starego samochodu: wrzucił pierwszy bieg, zatoczył krąg i wystrzelił z hangaru, jakby jeździł tym autem całe życie.

Gdy wyjeżdżał przez otwartą bramę, ciała pieczołowicie ułożono z tyłu furgonetki, gdzie czekały przygotowane trzy trumny.

Jeden z mężczyzn w kombinezonach polecił:

- Załóżcie wieki dopiero w pobliżu samolotu.

- Tak jest, doktorze - padła odpowiedź.

- A kiedy zamkną ładownię, wyjmijcie ciała i przypnijcie pasami do foteli.

Inny mężczyzna potaknął; ciężarówka wycofała się z hangaru, potoczyła się z powrotem starym pasem startowym i wyjechała z bramy.

Znalazłszy się na autostradzie, kierowca skręcił w lewo i pojechał do Leesburga, gdzie miał dostarczyć jedenaście nowych samochodów marki Toyota miejscowemu sprzedawcy.

Zapłata za sześć godzin dodatkowej pracy wystarczy mu na kupno jednego z nich.

Brama z metalowej siatki została zamknięta i zaryglowana, tymczasem zaś furgonetka wyjechała z hangaru i wolno skierowała się na obszar przeładunku towarów.

Kierowca minął szeregi samolotów towarowych, zatrzymując się za Boeingiem 747 z napisem: "Air Transport International".

Otworzył ładownię, przyjeździe na pochylnię stanęli dwaj celnicy.

Rozpoczęli odprawę akurat w chwili, gdy dwaj agenci CIA dotarli na Avon Place numer 1648.

Objechawszy ostrożnie kwadrat ulic, agenci zameldowali w Langley, że nie ma ładunku w samochodzie, ani trzech pakunków.

Stara Toyota opuściła drogę numer 66 i wjechała na autostradę do Waszyngtonu.

Kierowca wcisnął mocno pedał gazu i popędził do miasta.

W słuchawkach słyszał, jak dwóm agentom w Fordzie polecono udać się do biura pani Fitzgerald i sprawdzić, czy jej samochód stoi na zwykłym miejscu na tyłach budynku.

Stwierdziwszy, że dokumenty koronera są w porządku, celnicy zażądali, by uniesiono wieki trumien.

Dokładnie zbadali wszystkie trzy ciała przez ubrania, zajrzeli do ust, nosa i uszu, po czym podpisali dokumenty.

Zatrzaśnięto wieki trumien i mężczyźni w białych ubraniach kolejno przenieśli trumny po pochylni i ustawili je jedna obok drugiej w ładowni.

210

Pochylnię samolotu wciągano do środka, kiedy stara Toyota mijając kościół pod wezwaniem Jezusa Chrystusa.

Przyspieszyła jadąc w górę i przecinając jeszcze trzy przecznice, po czym skręciła w lewo w Dent Place.

Zanim lekarz zbadał puls trojga pacjentów, kierowca Toyoty zdążył już ukradkiem obieć dom z boku i wejść do środka kuchennymi drzwiami.

Wbiegł na piętro do dużej sypialni i otworzył trzecią szufladę komody obok łóżka.

Przerzucił koszulę, wydobył brązową kopertę z napisem "Nie otwierać przed 17 grudnia" i schował ją do kieszeni na piersi.

Z szafy zdjął dwie walizki i szybko wypełnił ubraniami.

Następnie wyjął z kieszeni paczuszkę owiniętą w celofan i wsunął ją do kosmetyczki, którą umieścił w jednej z walizek.

Przed wyjściem zapalił światło w łazience, potem światło u podnóża schodów i na koniec, za pomocą pilota, włączył telewizor w kuchni, nastawiając głośność na maksimum.

Zostawił walizki obok kuchennych drzwi, wrócił do toyoty, podniósł klapę bagażnika i włączył nadajnik.

Agenci CIA zaczęli powoli drugi raz okrążać parking uniwersytecki, kiedy na monitorze ponownie pojawił się impuls.

Kierowca szybko zawrócił i pojechał z powrotem pod dom Fitzgeraldów.

Mężczyzna w czapce ze znakiem Toyoty wrócił na tył domu, schwycił walizki i wymknął się przez tylną furtkę.

Zauważył taksówkę zaparkowaną przed Tudor Place i wskoczył do niej, kiedy agenci jechali przez Avon Place.

Młody człowiek odetchnął z ulgą i zadzwonił do Langley z wiadomością, że toyota stoi zaparkowana tam gdzie zwykle i że widać słychać telewizor w kuchni.

Nie, nie umiemy tłumaczyć, dlaczego nadajnik zamilkł na blisko godzinę.

Taksówkarz nawet nie odwrócił głowy, kiedy na tylne siedzenie wskoczył mężczyzna z dwiema walizkami.

Ale przecież dobrze wiedział, dokąd zawieźć pana Fitzgeralda.

XXVI

- Mówi mi pan, że wszyscy troje rozplynie się w powietrzu?
- zapytała Dexter.
- Na to wygląda - odparł Gutenberg.
- Ta operacja była także błędna, że gdybym nie wiedział, iż Connor Fitzgerald nie żyje, przypisałbym ją jemu.
- Skoro wiemy, że toniemożliwe, kto to mógł być?
- Przypuszczam, że Jackson.
- Cóż, jeżeli on jest w kraju, pani Fitzgerald się dowie, że jej mąż nie żyje.
Możemy się więc spodziewać, że film z przyjęcia u Fitzgeraldów zostanie dziś, jutro pokazany w wieczornym dzienniku.
- Nic z tego - Gutenberg uśmiechnął się zadowoleniem i podał szefowej zapieczętowany pakiet.
- Jeden z agentów w końcu znalazł śmę wczoraj wieczorem, kilka minut przed zamknięciem biblioteki.
- To już coś - powiedziała Dexter otwierając paczkę.
- Ale co powstrzyma Jacksona przed poinformowaniem Lloyda, kogo pochowano w Kriestach?
- Nawet jeżeli to zrobi - Gutenberg wzruszył ramionami - co Lawrence'owi przyjdzie z tej informacji?
Przecież nie zadzwoni do swojego kumpla Żerińskiego naparę dni przed jego wizytą dobrej woli w Waszyngtonie, by mu obwieścić, że facet, którego powiesili za przygotowywanie zamachu na niego, nie był południowoafrykańskim terrorystą wynajętym przez rosyjską mafię, tylko agentem CIA działającym na rozkaz Białego Domu.
- Może i nie - rzekła Dexter.
- Aledopóki Jackson i żona oraz córka Fitzgeralda są poza naszym zasięgiem, nadal mamy problem.
Proponuję więc, żeby pan zmobilizował kilkunastu naszych najlepszych agentów, aby ich wytropili, i to jak najszybciej - nieważne, jakim odcinku pracują i komu podlegają.
Jak Lawrence się dowie,
212
co naprawdę się stało w Sankt Petersburgu, będzie miał aż za wiele pretekstów, żeby zażądać czyjejś rezygnacji.
Gutenberg był niezwykle milczący.
- A ponieważ na każdym związanym ze sprawą dokumencie widnieje pański podpis - ciągnęła Dexter - nie będę miała, niestety, innego wyboru, jak pana poświecić.
Na czole Gutenberga pojawiły się małe kropelki potu.
Stuartowi się wydawało, że budzi się ze złego snu.
Próbował sobie umysłować, co się stało.
Na lotnisko wyszła po nich matka Tary, która potem wiozła ich do Waszyngtonu.
Ale policjantka drogą zatrzymała samochód.
Kazano mu opuścić szybę.
A potem?
Rozejrzył się wokół.
Był w samolocie, ale dokąd on leci?
Głowa Tary spoczywała na jego ramieniu, po drugiej stronie siedziała jej matka, też pogrążona w głębokim śnie.
Wszystkie inne miejsca były puste.

Zaczął znów porządkować wszystkie fakty, jak zawsze, gdy przygotowywał się do sprawy w sądzie.

Tara i on wylądowali na lotnisku Dullesa.

Maggie czekała na nich przy wyjściu.

Ze skupienia wyrwał goszykownie ubrany mężczyzna w średnim wieku, który zjawiał się obok i pochylił się, żeby zbadać mu puls.

- Dokąd lecimy?

- zapytał cicho Stuart, ale lekarz nie odpowiedział.

Równie pobieżnie sprawdził puls Tary i Maggie i znikł w przedniej części samolotu.

Stuart odpiął pas, ale nie miał siły wstać.

Tara się poruszyła.

Maggie nadal twardo spała.

Sprawdził kieszenie.

Zabrano mu portfel i paszport.

Rozpaczliwie próbował się doszukać w tym wszystkim jakiegoś sensu.

Czemu ktoś miałby się posunąć tak daleko dla kilkusetek dolarów, paru kart kredytowych i australijskiego paszportu?

Co dziwniejsze, najego miejsce włożono mu do kieszeni cienki tomik wierszy Yeatsa.

Nigdy nie czytał Yeatsa, póki nie spotkał Tary, ale kiedy wyjechał do Stanfordu, polubił jego poezję.

Otworzył książeczkę na pierwszym wierszu: "Rozmowa pomiędzy mną a moją duszą".

Słowa "A chciałbym żyć znów, i znów do końca" były podkreślone.

Przerzucił kartki i zauważył, że inne linijki też ktoś podkreślił.

' William Butler Yeats: "Rozmowa pomiędzy mną a moją duszą", tłum.

Jarostaw Marek Rymkiewicz (przyp.

tłum.

).

213.

Kiedy zastanawiał się, co to znaczy, wyrósł przy nim potężnie zbudowany mężczyzna i utkwiał w nim groźny wzrok.

Bez słowa wyrwał mu książeczkę i poszedł naprzód samolotu.

Taradotknęła jego ręki.

Obrócił się szybko i szepnął jej do ucha:

- Nic nie mów.

Popatrzyła na matkę, która nadal spała, pozornie pogodzona ze światem.

Postawiwszy walizki w ładowni i upewniwszy się, że trójka pasażerów jest zdrowa i cała, Connor opuścił samolot i zajął miejsce natylnym siedzeniu BMW, które czekało z zapalonym silnikiem.

- Wypełniamy w dalszym ciągu warunki umowy - rzekł Aleksiej Romanow, który siedział obok.

Connor kiwnął głową.

BMW minęło bramę z metalowej siatki i wyruszyło w kierunku waszyngtońskiego lotniska krajowego.

Po doświadczeniach we Frankfurcie, gdzie niewiele brakowało, żeby miejscowy agent CIA go zauważył, ponieważ Romanow i jego dwaj kompani zrobili wszystko, poza publicznym obwieszczeniem swym przybyciem, żeby zwrócić na siebie uwagę, Connor uświadomił sobie, że jeśli ma przeprowadzić plan uratowania Maggie i Tary, będzie musiał dopilnować operacji sam.

Romanow w końcu się zgodził, gdy Connor przypomniał mu punkt umowy, zaakceptowany przez jego ojca.

Teraz Connor mógł tylko liczyć na to, że Stuart okaże się tak bystry, jak wtedy, kiedy go egzaminował na plaży w Australii.

Modlił się, by młody prawnik zauważył słowa, które podkreślił w książeczce, którą wsunął mu do kieszeni.

BMW zajęło przed halą odlotów waszyngtońskiego lotniska krajowego na górnym poziomie.

Connor wysiadł, tuż za nim Romanow.

Dwaj pozostali mężczyźni dołączyli do nich i podążyli za Connorem, który spokojnie wszedł do środka i skierował się do stanowiska kontroli biletów.

Zależało mu, żeby wszyscy trzej się rozluźnili, nim wykona następny krok.

Gdy Connor podał bilet, człowiek obsługujący stanowisko American Airlines powiedział:

- Przykro mi, panie Radford, ale lot trzysta osiemdziesiąt trzy do Dallas ma kilka minut spóźnienia, mamy jednak nadzieję, że nadrobimy je na trasie.

Proszę się zgłosić do wyjścia numer trzydzieści dwa.

Connor ruszył swobodnym krokiem w kierunku poczekalni, ale zatrzymał się przy automatach telefonicznych.

Wybrał kabinę 214

dwa zajęte.

Romanow i dwaj goryle krążyli w pewnym odległości z niezadowolonymi minami.

Connor niewinnie się do nich nie odwrócił, następnie wsunął międzynarodową kartę telefoniczną Stuarta w otwór automatu i nakręcił numer.

Telefon dzwonił przez jakiś czas, nim podniesiono słuchawkę.

- Tak?

- Tu Connor.

- Myślałem - powiedział Cari po długim milczeniu - że tylko Jezus wstał z martwych.

- Przebywałem trochę w czyscu, zanim mi się to udało - odparł

Connor.

- Cóż, ważne, że żyjesz, przyjacielu.

Co mógłbym dla Ciebie
zrobić?

- Przede wszystkim, nie będzie Drugiego Przyjścia, jeżeli chodzi
o Firmę.

- Zrozumiałem - rzekł Carl.

Connor odpowiadał na ostatnie pytanie Carla, kiedy usłyszał ostatni komunikat
wzywający pasażerów na pokład samolotu do Dallas.

Odwiesił słuchawkę, znów uśmiechnął się do Romanowi i szybko poszedł do wyjścia numer
trzydzieści dwa.

Gdy Maggie w końcu otworzyła oczy, Stuart pochylił się do niej przestrzegł, żeby nie
nie mówiła, dopóki się całkiem nie przebudzi.

Niedługo zjawiała się stewardesa i poprosiła, żeby opuścili stoliki.

Podawała im zestaw niejadalnych potraw, zupełnie jakby podróżowali
normalną pierwszą klasą.

Medytując nad rybą, którą należało zostawić w morzu, Stuart
szepnął do Maggie i Tary:

- Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego tu jesteśmy ani dokąd lecimy, ale
przypuszczam, że jakoś wiąże się to z Connorem.

Maggie skinęła głową i po cichu zrelacjonowała im wszystko, co
odkryła od śmierci Joan.

- Ale nie sądzę, by to CIA nas porwała - stwierdziła - bo zapowiedziałam
Gutenbergowi, że gdybym przez siedem dni nie dawała znaku życia, taśma wideo zostanie
udostępniona mediom.

- O ile już jej nie znaleźli - zauważył Stuart.

- To niemożliwe - powiedziała Maggie z przekonaniem.

- Więc kim oni do diabła są?

- mruknęła Tara.

Nikt jej nie odpowiedział, gdyż stewardesa wróciła po tace.

215.

- Czy mamy jeszcze coś, na czym można by się oprzeć?
- spytała Maggie po odejściu stewardesy.
 - Tylko tyle, że ktoś włożył mi do kieszeni poezje Yeatsa - rzekł Stuart.
 - Tara zauważyła, że Maggie drgnęła.
 - Co się stało?
- spytała, patrząc z niepokojem na matkę, którejoczy napełniły się łzami.
 - Nie rozumiesz, cotoznaczy?
 - Nie - zdziwiła się Tara.
 - Zetwój ojcieczyje.

Stuarcie, pokaż mi ten tomik - rzekła Maggie.

- Mógł tam zostawić jakąś wiadomość.

- Niestety, nie mogę.

Ledwo go otworzyłem, kiedy z przodu samolotu podszedł jakiś drab i wyrwał mi go z rąk - powiedział Stuart.

- Ale zdążyłem zauważyć, że kilka słów było podkreślonych.

-Jakie to byłysłowa?

- zapytała nagłaco Maggie.

- Nie bardzo je rozumiałem.

-To nieważne.

Czy jakieś pamiętasz?

Stuart zamknął oczy i usiłował się skupić.

- "Chciałbym żyć" - powiedział nagle.

Maggie uśmiechnęła się.

- "A chciałbym żyć znów, i znów do końca".

Samolot American Airlines wylądował w Dallas o czasie i gdy Connori

Romanow wyszli z dworca lotniczego, czekało na nich innebiałe BMW.

Czyżby mafia wykupiła całą serię tych aut?

Nowa parazbirów, którzy mieli dotrzymywać im towarzystwa wyglądałajakz pierwszegorzutu - nawet ich marynarki wybrzuszały się na kaburach pistoletów zawieszonych pod pachami.

Mógł mieć tylko nadzieję, że filia w Kapsztadzie powstała całkiem niedawno, chociaż trudno mu było sobie wyobrazić, aby Carl Koeter, superagent CIA z ponad dwudziestoletnią praktyką w Afryce Południowej, nie wyprowadził w pole jakiegoś nowicjusza.

Jazda do centrum Dallas zajęła niewiele ponad dwadzieściami minut.

Connor siedział milcząca tylnym siedzeniu samochodu, świadom, że może stanąć twarzą twarzą z kimś innym, kto pracował dla CIA przez blisko trzydzieścilać.

Wiedział, że podejmuje największe ryzyko, odkąd wrócił do Ameryki.

Ale jeżeli miał zrealizować najtrudniejszą klauzulę swej umowy z Rosjanami, musiał mieć tenszczególny karabin, żeby dokonać zabójstwa jednego z najlepiej strzeżonych ludzi na świecie.

216

Jazda znów upłynęła w kompletnym milczeniu; wreszcie zatrzymali się przed magazynem Hardinga "Łowy na grubego zwierza".

Connor prędko wszedł do sklepu, a krok w krok za nim Romanow i dwaj nowigoryle.

Podszedł do lady, tamci natomiast udawali wielkie zainteresowanie stojakiem z pistoletami automatycznymi w głębi sklepu.

Connor rozejrzył się wokoło.

Musiał przeprowadzić inspekcję szybko, dyskretnie, ale wnikliwie.

W kilka sekund upewnił się, że w sklepie nie ma żadnych kamer obserwacyjnych.

- Dzień dobry panu - powitał go młody subiekt w długim brązowym fartuchu.

- Czym mogę służyć?

- Wybieram się na polowanie i chciałbym kupić karabin.

- Czy chodzi panu o jakiś szczególny model?

- Tak, Remington 700.

- Z tym nie będzie problemu, proszę pana.

- Zależałoby mi na paru modyfikacjach.

Ekspedient zawahał się.

- Przepraszam pana na chwilę - powiedział i znikł za zasłoną na zapleczu.

Po chwili zza zasłony wychynął starszy mężczyzna, także w brązowym fartuchu.

Connor zirytował się; liczył, że kupi broń nie spotykając Jima Hardinga.

- Dzień dobry - przywitał go tamten i bacznie mu się przyjrzał.

- Jak rozumiem, interesuje pana Remington 700.

- I dodał po pauzie: - Z modyfikacjami.

- Tak.

Polecił mu pana przyjaciela.

- Musi być zawodowcem - rzekł Harding.

Jak tylko Connor usłyszał słowo "zawodowiec", od razu wiedział, że wystawiają go na próbę.

Gdyby Harding nie był Stradivariusem wśród rusznikarzy, Connor wyszedłby natychmiast ze sklepu.

- O jakie modyfikacje panu chodzi?

- spytał Harding nie spuszczając wzroku z klienta.

Connor opisał szczegółowo karabin, który zostawił w Bogocie, śledząc reakcję rozmówcy.

Twarz Hardinga nie zdradzała żadnych uczuć.

- Może mam coś, co pana zainteresuje - oznajmił, po czym odwrócił się i zniknął za zasłoną.

Connorznowu pomyślał, żeby wyjść, ale w ciągu paru sekund Harding wrócił, niosąc znajomą skórzaną walizkę, i położył ją na ladzie.

217.

- Ten model trafił do nas niedawno, po śmierci właściciela - wyjaśnił.
Nacisnął zameczki, otworzył wieko i obrócił walizkę, aby Connor mógł obejrzeć karabin.

- Każda część jest wykonana ręcznie i wspaniale, żeby po tej stronie Missisipi znalazł pan piękniejszy okaz.

- Harding czule dotknął karabinu.

- Łoże jest z włókna szklanego z względu na mniejszy ciężar i lepsze wyważenie.
Lufa została sprowadzona z Niemiec - niestety, szkopy nadal wytwarzają najlepsze.
Luneta celownicza to 10 Power Leupold z podziałką w tysięcznych, także nawet nie musi pan wprowadzać poprawki na wiatr.

Z tego karabinu z odległości czterystukroków ustrzelił pan mysz, nie mówiąc misiu.
Jeżeli woli pan ująć to technicznie, oznacza to półminutowy ką przystu jardach.

Popatrzył w górę, by zobaczyć, czy klient rozumie, o czym mówi, ale Connor zachował nieruchomą twarz.

- Remington 700 z takimi modyfikacjami to coś wyłącznie dla koneserów - zakończył Harding.

Connor nie wyjął żadnego z pięciu naboju z obawy, żeby Harding nie pojął, jakim jest koneserem.

- Ile kosztuje?

- zapytał, pierwszy raz uświadamiając sobie, że zupełnie nie zna ceny Remingtona 700 ręcznej roboty.

- Dwadzieścia jeden tysięcy dolarów - rzekł Harding.

- Mam też model standardowy, gdyby pan.

- Nie - powiedział Connor.

- Biorę ten.

- Jak pan będzie płacił?

- Gotówką.

- Więc poproszę o jakiś dowód tożsamości - rzekł Harding.

- Obawiam się, że mamy jeszcze więcej biurokracji od czasu wprowadzenia na miejsce Ustawy Brady'ego przepisów o obowiązku udokumentowania tożsamości i rejestracji przy zakupie.

Connor wyjął prawo jazdy wydane w Wirginii, które poprzedniego dnia kupił za sto dolarów od złodzieja w Waszyngtonie.

Harding obejrzał dokument i kiwnął głową.

- Zechce pan jeszcze, panie Radford, wypełnić te trzy formularze.

Connor wypisał nazwisko, adres i numer ubezpieczenia zastępcy kierownika sklepu z butami w Richmond.

Kiedy Harding wprowadzał dane do komputera, Connor usiłował przybrać znudzony wygląd, ale w duchu się modlił, żeby Radford nie zgłosił utraty prawa jazdy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

218

Nagle Harding podniósł wzrok znad monitora.

- Czy to podwójne imię?

- zapytał.

- Nie - odparł Connor, nie mrugnawszy okiem.

- Gregory to moje pierwsze imię.
Moja matka miała bzika na punkcie Gregory Pecka.

- Moja też - uśmiechnął się Harding.

Po chwili dodał: - Wszystkowi porządku, panie Radford.

Connor odwrócił się i dał znak Romanowowi, ten zaś podszedł z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl grubyzwitek banknotów.
Długo, ostentacyjniwyławiał banknoty studolarowe, potemodliczył dwieściesziesię sztuk i podał Hardingowi.
Connormiałnadzieję, że to będzie wyglądało na zwykły zakup, tymczasem Rosjanin odegrał całe przedstawienie.
Jego kompani mogliby stanąć naulicy i sprzedawać bilety.
Harding wypisał kwit i podałConnorowi,który wyszedł już bezsłowa.
Jeden z opryszków porwał karabin i wybiegłze sklepu nachodnik, jakby przed chwilą obrabowałbank.
Connor usiadł z tyłuBMW i pomyślał, że chybaniemożliwe, by ściągnąć na siebie jeszczewięcej uwagi.
Samochód z piskiem oponodjechał od krawężnikai wpadł w strumień rozpędzonych pojazdów, co wywołało kakofonięklaksonów.
Tak, pomyślał Connor, widać jednakmożliwe.
Powstrzymał się od komentarzy, kiedy kierowca przez całą drogę nalotnisko przekraczał dozwoloną prędkość.
Nawet Romanow miałtrochę niespokojnąminę.
Connor doszedł do wniosku, że rosyjskamafia wStanach jest w porównaniu z krewniakami z Włoch zgrająamatorów.
Ale wkrótce imdorównają, awtedy niech Bóg ma w opiece FBI.
Piętnaście minut później BMW zajechałoprzed dworzec lotniczy.
Connor wysiadł iskierował się do obrotowychdrzwi, tymczasemRomanow wydał obu mężczyznomw samochodzie polecenia, wyjąłznovu studolarowe banknoty iwręczył im.
Dołączywszy do Connora przy stanowisku odpraw, szepnął z przekonaniem:
- Broń będzie wWaszyngtonie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.
-Głowybym za to nie dał - powiedział Connor, kiedy szli do poczekalni.
- Pani zna całego Yeatsa na pamięć?
- spytał Stuart z niedowierzaniem.

- Tak, prawie - przyznała Maggie.
- Ale ja czytałem przed zaśnięciem kilka wierszy.
 - Stuart, kochanie, dużo jeszcze musisz się nauczyć o Irlandczykach - powiedziała Tara.
- No, spróbuj sobie jeszcze coś przypomnieć.
 - Stuart pomyślał przez chwilę.
 - "Doliny"!
- obwieścił triumfalnie.
 - "Przez góry i doliny"?
- spytała Maggie.
 - Właśnie.
 - Więc nie lecimy do Holandii - orzekła Tara.
 - Przestań sobie wyobrażać - rzekł Stuart.
 - To przypomnij sobie więcej - poprosiła Tara.
- Stuart znów się skoncentrował.
 - "Przyjaciele" - powiedział wreszcie.
 - "Starych przyjaciół nowym zwykliśmy przedstawiać" - wyrecytowała Maggie.
 - Czyli że spotkamy nowego przyjaciela w nowym kraju - orzekła Tara.
 - Ale kogo?

I gdzie?

- spytała Maggie.

A samolot leciał w głąb nocy.

'William Butler Yeats: "Pamięci majora Roberta Gregory", tłum.

Piotr Siemion (przyp.

tłum.

).

XXVI

Przeczytawszy pilną wiadomość, Gutenberg natychmiast wykręcił numer telefonu w Dallas.

Gdy odezwał się Harding, zastępca dyrektora CIA powiedział tylko:

- Proszę go opisać.

- Sto osiemdziesiąt cztery, może sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Na głowie miał czapkę, więc nie widziałem koloru włosów.

- Wiek?

- Pięćdziesiąt lat.

Może rok lub dwa więcej lub mniej.

- Oczy?

- Niebieskie.

- Ubranie?

- Sportowa marynarka, spodnie khaki, niebieska koszula, mokasyny.

Szykownie, ale swobodnie.

Myślałem, że to jeden z naszych, dopóki nie zauważyłem, że jest w towarzystwie dwóch dobrze znanych miejscowych opryszków, których usiłowałem ignorować.

Był też nim wysoki młody człowiek, który ani razu nie otworzył ust, i to on zapłacił za bron- gotówką.

- A ten pierwszy wyraźnie powiedział, że zależy mu na tych konkretnych modyfikacjach?

- Tak.

Jest pewien, że dobrze wiedział, czego szuka.

- W porządku.

Proszę zatrzymać pieniądze.

Może uda się nam zidentyfikować odciski palców zostawione na jakimś banknocie.

- Nieznajdziecie na nich jego odcisków palców - rzekł Harding.

- Płacił ten młody, a jeden z oprychów wyniósł broń ze sklepu.

- Widać facet nie chciał ryzykować przechodzenia z bronią przez kontrolę na lotnisku - powiedział Gutenberg.

- Te dwa typy to po prostu kurierzy.

Jakie nazwisko wpisał w formularzu?

- Gregory Peck Radford.

221.

- Dowód tożsamości?

-Prawo jazdy z Wirginii.

Adresi dataurodzenia zgadza się z numerem ubezpieczenia.

- Wyślędo pana agenta.

Będzie za niecałą godzinę.

Przekaze mipocztaelektroniczną dane, które pan ma o tych opryszkach.

Pozatym będzie mi potrzebny portret pamięciowygłównego podejrzanego.

- To niebędzie konieczne - rzekł Harding.

-Jakto?

- Bo cała transakcja została nagrana na wideo.

- Gutenberg niemógłwidzieć uśmiechusatisfakcji na twarzy Hardinga, gdy ten dodał: - Nawet pan nie zauważyłby kamery.

Stuart dalejwyteżał pamięć.

- "Odkryć" - nagle powiedział.

-"Odkryję, gdzie się podziewa" - rzekła Maggie zuśmiechem.

;i:

- Spotkamy nowego przyjaciela w nowym kraju i on nas odszui-i;

ka - zawyrokowała Tara.

-Czy jeszcze coś sobie przypominasz, Stuarcie?

- "Wszystko upada.

".

- "..

wszystkiemufundament kładą" - wyszeptała Maggie, gdy stanął przy nich mężczyzna, który przedtem wyrwał Stuartowi książkę z rąk.

- A teraz słuchajcie, i to uważnie - powiedział, patrząc na nich z góry.

- Jeżeli chcecie przeżyć - a nie dałbym za to złamanego centa - musicie ściśle wykonywać moje polecenia.

Rozumiecie?

- Stuart spojrział mężczyźnie w oczy i niewątpił, że traktuje ich troje jako jeszcze jedną robotę do wykonania.

Skinął głową.

- Dobrze - ciągnął mężczyzna.

- Kiedy samolot wyląduje, skierujecie się prosto do części bagażowej, zabierzecie swoje walizki i przejdziecie przez cło nie zwracając na siebie uwagi.

Nie będziecie, powtarzam: nie będziecie korzystać z toalety.

Po odprawie celnej w hali przylotów odbierze was dwóch mężczyzn, którzy pojedą z wami do domu, gdzie będziecie przebywać w najbliższej przyszłości.

Jazobaczą się z wami wieczorem.

Czy to jasne?

- Tak - powiedział Stuart w imieniu całej trójki.

- Jeżeli ktoś z was będzie tak głupi, żeby uciekać albo wzywać pomocy, pani

Fitzgerald zostanie natychmiast zabita.

A jeżeli z jakichś powodów będzie to niemożliwe, będę musiał wybrać jedno

222

z was - popatrzył na Tarę i Stuarta.

- Natomiast warunki zgodził się pan Fitzgerald.

- Nie wierzę - zaczęła Maggie.

- Connor nigdy by.

- Myślę, proszępani, że byłoby mądrzej pozwolić panu Farnhamowi mówić w imieniu was wszystkich - powiedziała mężczyzna.

Maggie już chciała go poprawić, ale Tara szybko kopnęła ją w nogę.

- Będziecie tego potrzebować - mężczyzna podał Stuartowi trzypaszporty.

Ten przejrzał je i wręczył jeden Maggie, drugi Tarze.

Tymczasem mężczyzna wrócił do kabiny pilota.

Stuart spojrzął na trzypaszport, który miał na okładce, jak tamte dwa, wizerunek amerykańskiego orła.

Otworzywszy go, ujrzał pod swoją fotografią nazwisko "Daniel Farnham".

Zawód: profesor prawa na uniwersytecie.

Adres: Marina Boulevard nr 75, San Francisco, Kalifornia.

Podał go Tarze, która miała zdezorientowaną minę.

- Lubię mieć do czynienia z profesjonalistami - rzekł Stuart.

- I zaczynam rozumieć, że twój ojciec jest jednym z najlepszych.

- Czy na pewno nic więcej nie pamiętasz?

- spytała Maggie.

- Nie - pokręcił głową Stuart.

- Zaraz!

"Anarchia".

- Teraz wiem - powiedziała Maggie z uśmiechem - dokąd lecimy.

Długo się jedzie z Dallas do Waszyngtonu.

Ci dwaj, którzy zostawili Connora i Romanowa na lotnisku, od początku zamierzali zatrzymać się gdzieś po drodze na nocleg i z rana wyruszyć dalej.

Podziwiałej wieczór, przejechawszy ponad sześćset kilometrów, zatrzymali się w motelu na skraju Memphis.

Dwaj starsi oficerowie CIA, którzy obserwowali, jak parkują samochód, zameldowali Gutenbergowi czterdzieści pięć minut później:

- Zatrzymali się w Marriotcie w Memphis, w pokojach sto siedem i sto osiem.

Zamówili kelnera na dziewiątą trzydzieścitrzy, a teraz oglądają serial "Nash Bridges" w pokoju sto siedem.

- Gdzie karabin?

- Przypięty kajdankami do ręki faceta z pokoju sto osiem.

- Więc będzie wam potrzebna pomoc kelnera i klucz.

Tuż podziwiałej w pokoju sto siedem zjawił się kelner i nakrył do stołu.

Otworzył butelkę czerwonego wina, napełnił dwa kieliszki i podał kolację.

Oznajmił gościom, że wróci za około czterdzieści minut, żeby sprzątnąć ze stołu.

Jeden z nich poprosił, żeby pokroił mu

223.

befszyk na małe kawałeczki, gdyż może posługiwać się tylko jedną ręką.

Kelner chętnie to uczynił.

Na odchodnym życzył smacznego.

Stamtąd poszedł prosto na parkingi złożył sprawozdanie starszemu oficerowi, który mu podziękował, a potem o coś go poprosił.

Kelner skinął głową i agent wręczył mu pięćdziesiąt dolarów.

- Najwyraźniej nie chce się z nim rozstawać nawet przy jedzeniu- zauważył drugi agent, gdy kelner znalazł się poza zasięgiem głosu.

Kelner wrócił na parking kilka minut po północy, aby powiedzieć, że obaj mężczyźni położyli się spać w swoich pokojach.

Dał agentom klucz, w zamian zaś dostał następne pięćdziesiąt dolarów.

Odszedł z przekonaniem, że dobrze się spał.

Nie wiedział tylko, że mężczyźni z pokoju sto siedem mają kluczyki od kajdanków, dla pewności, że niknie ukradnie walizki współnikowi, gdy będzie spał.

Kiedy następnego dnia rano gość w pokoju sto siedem się obudził, stwierdził, że jest niezwykle zaspany.

Spojrzał na zegarek i zdziwił się, że tak późno.

Wciągnął dzinsy i wpadł do sąsiedniego pokoju przez wspólne drzwi, by obudzić kolegę.

Nagle stanął, upadł na kolana i wymiotował.

Na dywanie w kałuży krwi leżała odcięta dłoń.

Gdy wysiadł z samolotu w Kapsztadzie, Stuart miał świadomość, że każdy ich ruch jest obserwowany przez dwóch mężczyzn.

Przy odprawie paszportowej urzędnik podstemplował im paszporty, poczym udali się po bagaże.

Po kilku minutach pojawił się na obrotowej taśmie.

Maggie zdziwiła się na widok swych dwu starych walizek.

Stuart zaczął się przyzwyczajać do sposobu działania Connora Fitzgeralda.

Stuart ustawił cały bagaż na wózkach skierowali się we troje dowieźć oznaczonego kolorem zielonym - dla tych, którzy nie mają nic do oclenia.

Dwaj mężczyźni deptali im po piętach.

Kiedy Stuart znalazł się z wózkami przy stanowisku odprawy celnej, wyrósł przed nim celnik, wskazał czerwoną walizkę i zapytał, czy właściciel mógłby postawić ją na ladzie. Stuart pomógł Maggie podnieść ją, tymczasem mężczyźni idący za nimi z ociąganiem poszli dalej.

Znalazłszy się za przesuwającymi drzwiami, stanęli w pobliżu.

Z każdym otwarciem drzwi zaglądali do środka.

Po chwili dołączyli do nich dwóch innych.

- Czy mogłaby pani otworzyć walizkę?

- poprosił celnik.

Maggie nacisnęła zameczki i uśmiechnęła się na widok bałaganu, jaki ukazał się jej oczom.

Tylko jeden człowiek na świecie mógł pa224

kować tę walizkę.

Celnik przez kilka chwil przewracał jej ubrania, wreszcie wydobyl kosmetyczkę.

Odsunął suwak i wyjął celofanową paczuszkę, zawierającą biały proszek.

- Ale tonie jest.

- zaczęła Maggie.

Tym razem Stuart ją powstrzymał.

- Obawiam się, proszę pani, że musimy przeprowadzić rewizję osobistą - oświadczył celnik.

- Może w tej sytuacji córka chciałaby pani towarzyszyć.

Stuart postanowiło, skąd celnik wie, że Tara jest córką Maggie.

Jego jakoś nie brała jej syna.

- Proszę wszystkich państwa za mną - powiedział celnik.

- Proszę zabrać walizkę i resztę bagażu.

- Podniósł klapę ładziei poprowadził ich do małego, obskurnego pokoju ze stołami dwoma krzesłami.

- Zaraz przyjdzie do państwa kolega - oznajmił.

Zamknął drzwi i usłyszeli, jak klucz obraca się w zamku.

- Co się dzieje?

- zapytała Maggie.

- W kosmetyczce nie było.

- Myślę, że za chwilę wszystkiemu wyjaśni - rzekł Stuart.

Z drugiej strony pokoju otworzyły się drzwi i do środka wkroczył sprężyste wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna, kompletnie łysy, chociaż nie mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt lat.

Miał na sobie niebieskie dżinsy i czerwony sweter i absolutnie nie wyglądał na celnika.

Podszedł wprost do Maggie i pocałował ją w rękę.

- Nazywam się Carl Koeter - powiedział z wyraźnym południowoafrykańskim akcentem.

- To dla mnie wielki zaszczyt, pani Fitzgerald.

Od lat chciałem poznać kobietę, która miała dość odwagi, żeby poślubić Connora Fitzgeralda.

Zatelefonował do mnie wczoraj popołudniu i prosił, by powiedzieć pani, że jest cały i zdrowy.

Maggie chciała coś wtrącić, ale potok słów nie ustawał.

- Oczywiście, wiem dużo więcej o pani, niż pani o mnie, ale niestety przy tej okazji nie będziemy mieli czasu, żeby to naprawić.

- Uśmiechnął się do Stuarta i do Tary i lekko się skłonił.

- Zechcą państwo pójść za mną.

Odwrócił się i pchnął wózek przez drzwi.

- "Starych przyjaciół nowym zwykliśmy przedstawiać" - szepnęła Maggie.

Stuart się uśmiechnął.

Południowoafrykańczyk poprowadził ich w dół stromą pochylnią, a potem ciemnym, pustym przejściem.

Maggie prędko go dogoniła i zaczęła wypytywać o rozmowę telefoniczną z Connorem.

Poopuszczeniu tunelu weszli do góry inną pochylnią i znaleźli się z dru225

115. Jedenaste przykazanie.

giej strony lotniska.

Koeter przeprowadził ich szybko przez kontrolę bezpieczeństwa, gdzie sprawdzono ich nader pobieżnie.

Po dalszej wędrówce dotarli wreszcie do pustej poczekalni w hali odlotów, gdzie Koeter podał strażnikowi przy wyjściu trzy bilety lotnicze i otrzymał trzy karty pokładowe na samolot linii Quantas do Sydney, który tajemniczym zrządzeniem losu opóźnił swój start o piętnaście minut.

- Jak mamy panu dziękować?

- spytała Maggie.

Koeter znów podniósł jej rękę do ust.

- Proszę pani - powiedział - na całym świecie znajdzie pan ludzi, którzy nigdy nie będą w stanie odwdziżyć się Connorowi Fitzgeraldowi.

Oboje siedzieli wpatrzni w telewizor.

Żadne nie odezwało się słowem, póki dwudziestominutowe nagranie nie dobiegło końca.

- Czy to możliwe?

- cicho spytała dyrektorka CIA.

- Tak - jeżeli w jakiś sposób zamienił się z nim w Kriestach - odparł Gutenberg.

Dexter chwilę milczała.

- Chyba że - powiedziała w końcu - poświęcił własne życie.

Gutenberg skinął głową.

- A kim jest człowiek, który płacił za broń?

- Aleksiej Romanow, syn cara i człowiek numer dwa w rosyjskiej mafii.

Jeden z naszych agentów wypatrzył go na lotnisku we Frankfurcie i podejrzewamy, że teraz on i Fitzgerald pracują razem.

- Czyli że to mafia wyciągnęła go z Kriestów - orzekła Dexter.

- Ale skoro potrzebuje remingtona 700, kto jest celem?

- Prezydent - rzekł Gutenberg.

- Możliwe.

Ale który?

- spytała Dexter.

XXVIII

Kiedy samolot rosyjskich sił powietrznych IL-62, lądował w bazie lotniczej Andrews tuż poza Waszyngtonem, prezydent Stanów Zjednoczonych i sekretarz stanu stali wśród siedemdziesięciu dwu osobistości wyciągniętych w szereg na płycie lotniska.

Rozwinięto już czerwony dywan, czekało podium z kilkunastoma mikrofonami i namiejsce, gdzie miał się zatrzymać samolot, podholowano szerokie schody.

Otworzyły się drzwi samolotu i Tom Lawrence osłonił oczy przed ostrym blaskiem porannego słońca.

W drzwiach stała wysoka, smukła stewardesa.

Po chwili pojawił się przy niej niski, przysadzisty mężczyzna.

Wprawdzie Lawrence wiedział, że Żerińska ma tylko metr sześćdziesiąt dwa wzrostu, ale kontrast z wysoką stewardesą okrutnie wydatniał jego nędzną posturę.

Lawrence wątpił, czy z takim wzrostem Żerińskim ogłoby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Gdy Rosjanin zstępował ze schodów, poszły w ruch aparaty tłumnie zgromadzonych fotoreporterów.

Zza ich kordonu ekipy telewizyjne wszystkich sieci wycelowały kamery w człowieka, który przez najbliższe cztery dni będzie w światowych mediach tematem numer jeden.

Amerykański szefprotokołu wystąpił do przodu, by przedstawić sobie obu prezydentów, i Lawrence serdecznie uściskał gościa.

- Panie prezydencie, witam pana w Stanach Zjednoczonych.

-Dziękuję ci.

Tom - tymi słowy Żeriński z miejsca zbił prezydenta z pantofelku.

Lawrence odwrócił się, by przedstawić sekretarza stanu.

- Miło cię poznać, Larry- rzekł Żeriński.

Zachowywał się rozbrajająco uprzejmie i przyjacielsko wobec przedstawianych mu kolejnoosobistości: sekretarza obrony, sekre227.

tarza handlu, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Kiedy.

dotarł do końca szeregu, Lawrence dotknął jego łokcia i poprowadził go ku podium.

Gdy przemierzali płytę lotniska, amerykański prezydent pochylił się do Żerińskiego i powiedział:

- Panie prezydencie, teraz powiem kilka słów na powitanie, a potem może zechce pan odpowiedzieć.

- Wiktorze - podsunął Żeriński.

Lawrence wstał na podium, wyjął pojedynczą kartkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i położył ją na pulpicie.

- Panie prezydencie - zaczął, po czym odwrócił się do Żerińskiego, uśmiechnął się i powiedział: - Wiktorze.

Przedewszystkim pragnę cię serdecznie powitać w Ameryce. Dzień dzisiejszy wyznacza początek nowej epoki w specjalnych stosunkach między naszymi dwoma krajami.

Twoja wizyta w Stanach Zjednoczonych wieści. Connor siedział przed trzema telewizorami, obserwując transmisję ceremonii w wydaniu trzech głównych sieci.

Tego wieczoru będzie bez końca odgrywał taśmy.

Na lotnisku było więcej sił bezpieczeństwa, niż przewidywał. Wyglądało na to, że Secret Service postawił dla każdego prezydenta w stan gotowości cały oddział ochrony dygnitarzy.

Ale nigdzie nie było widać Gutenberga ani żadnego agenta CIA.

Connor podejrzewał, że Secret Service nie wie, iż potencjalny zabójca krąży w pobliżu. Connor wcale nie zdziwiło, że karabin, który kupił w Dallas, nie dotarł na miejsce przeznaczenia.

Dwaj mafiosi zrobili wszystko, żeby się przyciągnąć do siebie uwagę CIA, nie zadzwonili tylko na bezpłatny numer Agencji.

Gdyby Connor był na miejscu Gutenberga, nie ruszałby ich, licząc, że doprowadzą na ślad osoby, która zamierzała użyć karabinu.

Gutenberg widać uważał, że usunięcie broni było ważniejsze. Może miał rację.

Connor nie mógł ryzykować takiej wpadki jak w Dallas. Musiał opracować inny plan.

Po incydencie w motelu w Memphis Aleksiej Romanow nie chcąc, by go obwiniano, gdyby znów coś poszło źle, dał Connorowi całkowitą swobodę w przygotowaniach.

Ci, którzy go pilnowali, trzymali się na dystans pełen szacunku, choć nigdy nie tracili go z oczu - gdyby nie to, byłby tego ranka w bazie Andrews.

Wprawdzie mógłby się ich pozbyć, gdyby tylko chciał, ale uświadomił sobie, jak reagują na porażkę, gdy szef mafii w Dallas odciął opryszkowi drugą dłoń, żeby drugi raz nie mógł popełnić takiego samego błędu.

228

Prezydent zakończył przemówienie powitalne i został nagrodzony oklaskami, które nikły w wielkiej, otwartej przestrzeni.

Usunął się na bok, żeby zrobić miejsce Żerińskiemu, ale gdy rosyjski prezydent stanął przed rzędem mikrofonów, okazało się, że go po prostu nie widać.

Connor wiedział, że w ciągu najbliższych czterech dni prasa będzie nieustannie wypominać mierzącemu metr osiemdziesiąt pięć centymetrów prezydentowi amerykańskiemu to spotkanie i że Żeriński uzna, iż zrobiono to celowo, by go przyćmić.

Ciekawbył, kto z personelu przygotowującego wizytę prezydenta wyleci z pracy tego dnia.

Zastrzelić człowieka o wzroście metr osiemdziesiąt pięć byłoby wiele łatwiej niż kogoś, kto miał tylko metr sześćdziesiąt dwa, pomyślał Connor.

Przyjrzał się agentom z oddziału ochrony dygnitarzy, których przydzielono do pilnowania Żerińskiego podczas jego wizyty.

Rozpoznał czterech - wszyscy byli mistrzami w swojej specjalności.

Każdy potrafiłby położyć człowieka jednym strzałem z odległości trzystu kroków i unieszkodliwić napastnika jednym ciosem.

Connor wiedział, że ich oczy, skryte za ciemnymi okularami, biegają nieprzerwanie na wszystkie strony.

Wprawdzie stojący na płycie lotniska nie widzieli Żerińskiego, ale wyraźnie słyszeli jego słowa.

Connor zaskoczeniem stwierdził, że Rosjanin porzucił zaczepny, napastliwy styl prezentowany w Moskwie i Sankt Petersburgu i przybrał o wiele bardziej pojednawczy ton. Podziękował "Tomowi" za serdeczne przywitanie i powiedział, że jest przekonany, iż wizyta okaże się owocna dla obu państw.

Connor był pewien, że Lawrence nie da sobie zamydlić oczu tą serdecznością i nie pokaze. Bez wątpienia nie było czasu ani miejsca, aby rosyjski prezydent odkrył Amerykanom swój prawdziwy program.

Podczas gdy Żeriński nadal odczytywał swój tekst, Connor rzucił okiem na czterodniowy scenariusz wizyty, przygotowany w Białym Domu i tak poręcznie zestawiony minuta po minucie w "Washington Post".

Wiedział po latach doświadczenia, że nawet przy najlepszych przygotowaniach rzadko udaje się dokładnie realizować takie programy.

Musiał założyć, że w jakimś momencie wizyty zdarzy się coś nieprzewidzianego i musiał także mieć pewność, że nie wypadnie wtedy, kiedy on będzie mierzył do celu.

Obaj prezydenci polecą z bazy lotniczej śmigłowcem do Białego Domu, gdzie od razu przystąpią do rozmów w cztery oczy, które będą 229.

da kontynuować podczas lunchu.

Po lunchu Żeriński zostanie odwieziony do ambasady rosyjskiej na odpoczynek, po czym wróci wieczorem do Białego Domu na uroczysty obiad wydany na jego cześć.

Następnego dnia rano pojedzie do Nowego Jorku, gdzie wygłosi przemówienie w ONZ i spotka się na lunchu z sekretarzem generalnym, a po południu odwiedzi Metropolitan Museum. Connor głośno się roześmiał, kiedy rano przeczytał w dziale "Styl" "Washington Post", że Tom Lawrence dowiedział się o miłości do sztuki swego gościa podczas niedawnej kampanii prezydenckiej, kiedy to Żeriński znalazł czas w swym napiętym programie nie tylko na spektakl baletu Teatru Bolszoi, ale także na wizytę w Muzeum imienia Puszkina i w Ermitażu.

Gdy rosyjski prezydent wróci do Waszyngtonu w czwartek wieczorem, ledwo zdąży wpaść do ambasady i przebrać się w smoking, żeby zdążyć na przedstawienie "Jeziora łabędziego" w wykonaniu Waszyngtońskiego Baletu w Centrum Kennedy'ego. "Post" nie tak;

townie przypomniał czytelnikom, że ponad połowę corps de ballet stanowią rosyjscy imigranci.

W piątek rano odbędą się dłuższe rozmowy w Białym Domu, następnie zaś lunch w Departamencie Stanu.

Po południu Żeriński wygłosi mowę na wspólnej sesji obu Izb Kongresu, i będzie to szczytowy punkt jego wizyty.

Lawrence liczył na to, że ustawodawcy przekonają się, iż przywódca rosyjski jest człowiekiem pokoju, i poproszą o projekt ustawy o ograniczeniu zbrojeń.

Dziennik "New York Times" we wstępniaku ostrzegł, że Żeriński może skorzystać z tej okazji, by przedstawić strategię obronną Rosji na najbliższe dziesięciolecie.

Dyplomatyczny sprawozdawca gazety skontaktował się z biurem prasowym ambasady rosyjskiej, ale usłyszał tylko, że tekst przemówienia nie zostanie wcześniej udostępniony.

Wieczorem Żeriński będzie gościem honorowym na obiedzie wydanym przez Amerykańsko-Rosyjską Radę Biznesu.

Tekst przemówienia, które tam będzie wygłoszone, szeroko rozpowszechniono, nie dbając o jakiegokolwiek zakazy.

Connor czytał je i wiedział, że żaden szanujący się dziennikarz nie przedrukuje z niego ani jednego słowa.

W sobotę Żeriński i Tom Lawrence pojedą na Stadion Cooke'a w Maryland, by obejrzeć mecz futbolowy między Czerwonoskórymi z Waszyngtonu i Pakowaczami z Green Bay, drużyną, którą

Lawrence, kiedyś długoletni senator z Wisconsin, kibicował przez całe życie.

Wieczorem Żeriński wyda obiad w ambasadzie rosyjskiej w podziękowanie za gościnność wszystkim, którzy go podejmowali podczas jego wizyty.

Następnego dnia rano odleci z powrotem do Moskwy - ale tylko wtedy, jeśli Connor nie zdoła wypełnić kontraktu.

Connor miał dziewięć miejsc do wyboru, ale siedem z nich odrzucił, zanim wylądował samolot Żerińskiego.

Z dwupozostałych najbardziej obiecująco wyglądał bankiet sobotni, szczególnie kiedy Romanow mu powiedział, że mafia ma wyłączność na obsługę gastronomiczną wszelkich uroczystości w ambasadzie rosyjskiej.

Słabiutkie oklaski zwróciły z powrotem uwagę Connora na ceremonię powitalną. Część osób stojących na płycie lotniska niezdawała sobie sprawy, że Żeriński skończył przemawiać, póki nie zszedł z podium, i przyjęcie, z jakim się spotkał, nie było tak entuzjastyczne, jak spodziewał się Lawrence.

Dwaj przywódcy przeszli do czekającego śmigłowca. Normalnie żaden rosyjski prezydent nie leciałby amerykańskim wojskowym statkiem powietrznym, lecz Żeriński pominął wszelkie obiekcje, mówiąc swym doradcom, że pragnie latać szyki Lawrence'owi przy każdej sposobności.

Weszli do środka i pomachali zgromadzonym.

Po chwili "Marinę One" wzbił się w górę, trwał chwilę zawieszony nad ziemią i odleciał. Kobiety, które nie uczestniczyły jeszcze w podobnej ceremonii, niewiedziały, czy łapać zakapelusze, czy przytrzymywać poły płaszczy.

Za siedem minut "Marinę One" wylądował na południowym trawniku Białego Domu, gdzie będzie czekał Andy Lloyd i wyższy personel Białego Domu.

Connor wyłączył trzy telewizory, przewinał taśmy i zamyslił się.

Zdecydował już, że nie pojedzie do Nowego Jorku.

Siedziba Narodów Zjednoczonych i Metropolitan Museum nie dawały żadnej możliwości ucieczki.

Wiedział też, że ludzie z Secret Service są szkoleni, by zwracać uwagę na osoby pojawiające się częściej niż raz na imprezach z okazji takich wizyt, niewyłączając dziennikarzy i ekip telewizyjnych.

Poza tym co najmniej trzy tysiące najlepszych nowojorskich gliniarzy będzie strzegło Żerińskiego w każdej sekundzie jego wizyty.

Postanowił, że wykorzysta czas nieobecności Żerińskiego w Waszyngtonie na sprawdzenie dwóch najbardziej obiecujących miejsc

ostatecznej rozprawy.

Mafia postarała się już, żeby tego popołudniem odwiedzić ambasadę rosyjską z zespołem kucharzy, którzy zostaną szczegółowo zapoznani z przebiegiem sobotniego bankietu.

Ambasador zapowiedział, że chce, aby była to uroczystość, której żaden z prezydentów nigdy nie zapomni.

Connor spojrzął na zegarek, włożył płaszcz i szedł na dół.

BMW czekało na niego.

Usiadł z tyłu.

- Stadion Cooke'a - rzucił.

Nikt w samochodzie odezwał się słowem, gdy kierowca wjechał na środkowy pas. Kiedy po drugiej stronie drogi przejechała lora z nowymi samochodami, Connor pomyślał o Maggie i uśmiechnął się.

Rozmawiał dziś rano z Carlem Koderem, który go zapewnił, że trójka kangurów masie dobrze.

- Przy okazji, mafiamyśli, że zostały odesłane prosto do Ameryki - dodał Koeter.

- Jak ci się udał ten numer?

- spytał Connor.

- Jeden z nich strażników próbował przekupić celnika.

Ten wziął pieniądze i powiedział, że przyłapano je znarkotykami "odesłano do portu zaokrętowania".

- Myślisz, że dali się na to nabrać?

- O, tak - rzekł Koeter.

- Musieli zapłacić kupę forsy za tę informację.

Connor wybuchnął śmiechem.

- Carl, na zawsze zostanę twoim dłużnikiem.

Musisz mi powiedzieć, w jaki sposób mógłbym ci się odwdziaczyć.

- To nie będzie konieczne, przyjacielu - odparł Koeter.

- Po prostu chętnie spotkam się znowu z twoją żoną w miłszych okolicznościach.

Żaden z cerberów pilnujących Connora niewspomni o zniknięciu Maggie, więc nie wiedział, czy mafiosi nie chcą się przyznać, że ona, Tara i Stuart im się wymknęli, czy też liczą, że ich złapią, nim on pozna prawdę.

Może się bali, że nie wypełni zadania, jeżeli się dowie, że żona i córka są już w ich rękach.

Ale Connor nigdy nie wątpił, że gdyby nie dotrzymał umowy, Aleksiej Romanow w końcu dopadłby Maggie i ją zabił, a jeżeli nie ją, to Tarę.

Bolcenko przedziwił go, że dopóki kontrakt nie zostanie wypełniony tak czy owak, Romanow nie będzie mógł wrócić do ojczyzny.

Kiedy kierowca skręcił na obwodnicę, Connor pomyślał o Joan, której jedyną winą było, że pracowała jako jego sekretarka.

Zacisnął

232

pięści i pożałował, że kontrakt z mafią nie dotyczył Dexter i jej zastępcy.

Tego zadania podjąłby się z rozkoszą.

BMW minęło granice miasta i Connor rozparł się wygodnie, myśląc o tym, jakie go czekają przygotowania.

Musi kilka razy okrążyć stadion i sprawdzić każde wyjście, zanim zdecyduje się, czy wogóle tam wejść.

"Marinę One" łagodnie wylądował na południowym trawniku.

Dwaj prezydenci wysiedli ze śmigłowca i zostali gorąco powitani przez sześciu członków personelu Białego Domu.

Przedstawiając Żerińskiemu szefa personelu, Lawrence zauważył, że Andy jest wyraźnie zatroskany.

Obaj przywódcy wyjątkowo długo pozowali fotografom, a potem przeszli do Pokoju Ovalnego wraz z doradcami, by potwierdzić, jakie tematy będą poruszane podczas następnych spotkań.

Żeriński nie wysunął żadnych zastrzeżeń wobec harmonogramu przygotowanego przez Lloyda i zdawał się ze spokojem podchodzić do zagadnień, które miały być omawiane.

Gdy przzerwali, by udać się na lunch, Lawrence miał uczucie, że wstępne rozmowy się powiodły.

Przenieśli się do Sali Gabinetowej i Lawrence opowiedział, jak prezydent Kennedy przy obiedzie z ósmioma ministrami zauważył, że jest to największe zgromadzenie intelektu od czasu, gdy Jefferson jadał w tym miejscu sam.

Larry Harrington posłusznie się roześmiał, choć wiele razy słyszał tę opowieść ust prezydenta.

Andy Lloyd nawet nie skrzywił ust w uśmiechu.

Po lunchu Lawrence odprowadził Żerińskiego do zjazdu, który czekał przy wejściu dla dyplomatów.

Kiedy znikła w dali ostatnia limuzyna prezydenckiej kawalkady - Żeriński zażądał jednego samochodu więcej, niż mieli poprzedni rosyjscy prezydenci - Lawrence pospieszył do Pokoju Ovalnego.

Andy Lloyd z pojęną miną stał przy biurku.

- Wydaje mi się, że poszło bardzo dobrze - powiedział prezydent.

-Możliwe- rzekł Lloyd.

- Chociaż nie ufałbym temu człowiekowi, on nawet sam przed sobą nie jest szczery.

Jak na mój gust, był zbyt spolegliwy.

Mam nadzieję, że szykuje jakiś podstęp.

- Czy dlatego byłeś taki milczący przy lunchu?

-Nie, mamy o wiele poważniejszy problem- rzekł Lloyd.

- Czy widział pan, panie prezydencie, najnowszy raport Dexter?

Wczoraj po południu zostawiłem go panu na biurku.

233.

- Nie, nie widziałem.

Wczoraj na prawie cały dzień zaszyliśm się w Departamencie Stanu z Larrym Harringtonem.

- Otworzył teczkę z gołdem CIA i zaczął czytać.

Trzykrotnie zaklął, jeszcze zanim dotarł do drugiej strony.

Gdy skończył czytać, był blady jak papier.

Podniósł głowę i popatrzył na swego najstarszego przyjaciela.

- Przypuszczałem, że Jackson pracuje dla nas - powiedział.

- Tak jest, panie prezydencie.

- Więc dlaczego Dexter twierdzi, że to on był sprawcą zabójstw w Kolumbii i że potem pojechał do Sankt Petersburga, aby zabić Żerińskiego?

- Gdyż w ten sposób sama oczyszcza się z wszelkich podejrzeń, a nam każe się tłumaczyć, dlaczego zatrudniliśmy Jacksona.

Napewno mają pełną szafę dowodów, że to Jackson jest winien śmierci Guzmana i jeszcze Bóg wie czego.

Proszę tylko spojrzeć na zdjęcia Jacksona w barze w Bogocie, wręczającego pieniądze szefowi policji.

Tyle, że tu nie widać, że ta scena miała miejsce prawie dwa tygodnie przed zabójstwem.

Nie wolno zapominać, że CIA nie masobie równych, jeżeli chodzi o ratowanie własnych tyłków.

- Tonie o ich tyłki się martwię - rzekł prezydent.

- Ale co myślisz o twierdzeniu Dexter, że Jackson jest z powrotem w Amerycei że działa ręka w rękę z rosyjską mafią?

- A czy to nie wygodne?

- rzucił Lloyd.

- Jeżeli stanie się coś z tego podczas wizyty Żerińskiego, będzie miała na kogo to zwalić.

- Więc jak wytłumaczysz fakt, że kilkadni temu w Dallas Jackson został zarejestrowany przez kamerę obserwacyjną podczas kupowania karabinu o dużej sile rażenia, prawie identycznego jak ten, z którego zabito Guzmana?

- To proste - rzekł Lloyd.

- Jeżeli uświadomić sobie, że to nie był Jackson, wszystko się zgadza.

- To kto to mógł być, do cholery?

- Connor Fitzgerald - cicho powiedział Lloyd.

- Ale przecież mówiłeś, że Fitzgeralda aresztowali w Sankt Petersburgu i powiesili.

Zastanawialiśmy się nawet, jak go wyciągnąć.

- Wiem, panie prezydencie, ale to nie było możliwe po wyborze Żerińskiego.

Chyba że.

- Chyba że?

- Jackson się z nim zamienił.

- Na Boga, dlaczego miałby to uczynić?

234

- Pamiętajmy, że Fitzgerald uratował życie Jacksonowi w Wietnamie, na dowód czego ma Medal of Honor.

Kiedy Fitzgerald wrócił z wojny, Jackson zwerbował go do CIA.

Służył tam przez następne dwadzieścia osiem lat i zyskał sobie opinię najbardziej szanowanego agenta.

Wtem, z dnia na dzień, znika bez śladu, jego nazwiskanie ma nawet na liście pracowników Agencji.

Joan Bennett, która była jego sekretarką przez dziesięć lat, nagle ginie w tajemniczej katastrofie samochodowej, w drodze do żony Fitzgeralda.

Potem jego żona i córka także znikają z powierzchni ziemi.

Tymczasem człowiek, któremu powierzamy zadanie odkrycia tego, co się stało, zostaje oskarżony o popełnienie zabójstwa i o zdradę najbliższego przyjaciela.

Ale gdyby przeszukano liczne raporty Dexter, nie znajdzie się ani słowa o Connorze Fitzgeraldzie.

- Skąd wiesz to wszystko, Andy?

- spytał Lawrence.

- Jackson telefonował do mnie z Petersburga po aresztowaniu Fitzgeralda.

- Masz nagranie tej rozmowy?

- Tak, mam.

- Niech to diabli - zaklął znów Lawrence.

- Przy Dexter Edgar Hoover wygląda jak harcerka.

- Jeśli przyjmiemy, że Jacksona powieszono w Rosji, musimy założyć, że to Fitzgerald polecił do Dallas kupić karabin, żeby wykonać obecne zadanie.

- Czy tym razem ja mam być obiektem?

- cicho spytał Lawrence.

- Nie sądzę, panie prezydencie.

Co do jednej rzeczy zgadzam się Dexter - że jestnim Żeriński.

- O Boże!

- jęknął Lawrence opadając na krzesło.

- Ale dlaczego człowiek honoru z tak wspaniałą przeszłością i reputacją miałby być wplątany w coś takiego?

Coś tu się nie zgadza.

- Zgadza się, jeżeli człowiek ten wierzy, że rozkaz zabicia Żerińskiego pochodzi od pana, panie prezydencie.

Żeriński był spóźniony, kiedy odlatywał samolotem z Nowego Jorku z powrotem do Waszyngtonu, ale miał doskonały humor.

Przemówienie w ONZ zostało dobrze przyjęte, a rozmowy przy lunchu z sekretarzem generalnym określono w komunikacie wydanym przez sekretariat jako "wszechstronne i owocne".

Podczas popołudniowej wizyty w Metropolitan Museum Żerińskiemu dość, że potrafił wymienić nazwisko rosyjskiego artysty, który 235.

rego prace wystawiono w jednej z górnych sal, ale po wyjściu z muzeum zmienił program i, ku konsternacji swych opiekunów z SecretService, przespacerował się po Piątej Alei, witając się z przechodniami, którzy wybrali się na świąteczne zakupy.

Po wylądowaniu w Waszyngtonie Żeriński miał godzinne spóźnienie i musiał przebrać się w smoking w limuzynie, aby nie wstrzymać spektaklu "Jezióra łabędziego" w Centrum Kennedy'ego dłużej niż piętnaście minut.

Po końcowym ukłonie tancerzy Żeriński powrócił do ambasady rosyjskiej, aby spędzić tam drugą noc.

Kiedy Żeriński spał, Connor nie zmrużył oka.

Rzadko kiedy przedawkując udawało mu się zasnąć na dłużej niż kilka minut.

Zakładając głos, oglądając w wieczornym dzienniku sprawozdanie ze spaceru na Piątej Alei.

Uświadomił sobie znów, że zawsze trzeba być przygotowanym na niespodzianki: z pokoju hotelowego na Piątej Alei Żeriński byłby łatwym celem, a w tak olbrzymim, nie do opanowania tłumie można by się błyskawicznie zgubić.

Przestał myśleć o Nowym Jorku.

Nadal pozostawały do wyboru tylko dwa liczące się miejsca.

Jeżeli chodzi o pierwsze, trudność polegała na tym, że nie miałby tam karabinu, z którym czuł się najlepiej, choć przy takich tłumach cieczka byłaby łatwiejsza.

Jeżeli chodzi o drugie, to gdyby Romanow zdołał dostarczyć Remingtona 700 z modyfikacjami ranow dniu bankietu i zapewnić mu cieczkę, wybór byłby oczywisty.

A może zbyt oczywisty?

Zaczął spisywać argumenty przemawiające za i przeciw każdemu z tych miejsc.

O drugiej w nocy, wyczerpany, uświadomił sobie, że będzie musiał jeszcze raz odwiedzić obydwu, nim ostatecznie zadecyduje.

Ale nawet wtedy nie powie Romanowowi, które wybrał.

XXIX

"Pug" Washer - nikt nie znał jego prawdziwego imienia - należał do tych, którzy są ekspertami w jednej dziedzinie.

W jego przypadku była to waszyngtońska drużyna Czerwonoskórych.

Pug pracował dla nich od dziecka, przez pięćdziesiąt lat.

Zaczął jako piętnastolatek, kiedy jeszcze grali na Stadionie Griffitha.

Najpierw podawał wodę zawodnikom, potem był masażystą zespołu, stając się zaufanym przyjacielem i powiernikiem pokoleń graczy.

Pug spędził rok przed przejściem na emeryturę w 1997 roku u boku przedsiębiorcy budowlanego, który budował nowy stadion Jacka Kenta Cooke'a.

Miał proste zadanie: dopilnować, by kibice i zawodnicy mieli do dyspozycji wszystkie urządzenia, jak przystało najświetniejszej drużynie w kraju.

Podczas ceremonii otwarcia główny architekt powiedział zaproszonym gościom, że ma dług wdzięczności wobec Puga za jego pomoc przy budowie stadionu.

John Kent Cooke, prezes klubu Czerwonoskórych, w przemówieniu końcowym obwieścił, że Pug został wybrany do Galerii Sławnych, co było wyróżnieniem normalnie zarezerwowanym tylko dla najznakomitszych graczy.

Pug powiedział dziennikarzom, że nie mogło go spotkać nic lepszego.

Chociaż był już na emeryturze, nigdy nie opuścił meczu swojej drużyny - czy gratau siebie, czy w innym mieście.

Connorowi wystarczyły dwa telefony, aby odszukać Puga w jego mieszkanku w Arlington w stanie Wirginia.

Gdy wytłumaczył staruszkowi, że polecono mu napisać artykuł dla "Sports Illustrated" o nowym stadionie i o tym, jakie ma znaczenie dla kibiców zespołu, został zalany potokiem słów.

- Może znalazłby pan parę godzin, aby pokazać mi "Wielkiego Jasia" - zasugerował Connor.

Potok słów nagle wysechł. Pug milczał, póki Connor nie zaproponował mu zapłaty w wysokości stu

237.

dolarów.

Wcześniej się dowiedział, że zwyczajowa stawka Puga za oprowadzanie wynosi pięćdziesiąt.

Umówili się następnego dnia o jedenastej rano.

Kiedy Connor stanął się na miejscu minutę przed jedenastą, Pug wprowadził go na stadion z taką miną, jakby był właścicielem klubu.

W ciągu następnych trzech godzin odmalował gościowi całą historię drużyny i odpowiedział na wszystkie jego pytania - począwszy od tego, dlaczego stadionu nie ukończono na czas przed ceremonią otwarcia, aż po ostatnie - jak kierownictwo zatrudnia dorywczych pracowników w dniu meczu.

Connor dowiedział się, że "Jumbo-Trony" firmy Sony umieszczone poza polami bramkowymi należą do największych ekranów wideo na świecie i że pierwszy rząd miejsc został wzniesiony na wysokość pięćdziesiąt metrów powyżej poziomu boiska, żeby kamery telewizyjne i potężni zawodnicy krążący nieprzerwanie pomiędzy liniami bocznymi nie zasłaniały kibicom widoku.

Connor był kibicem Czerwonoskórych od prawie trzydziestu lat i wiedział, że od 1966 roku bilety na sezon rozgrywek są wyprzedane i że obecnie lista oczekujących liczy pięćdziesiąt tysięcy chętnych.

Wiedział, gdyż był jednym z nich.

Wiedział także, iż "Washington Post" sprzedaje dodatkowo dwadzieścia pięć tysięcy egzemplarzy gazety, ilekroć Czerwonoskórzy wygrywają mecz.

Jednak nie miał pojęcia, że ogrzewane parą rury biegnące pod boiskiem mają długość pięćdziesięciu sześciu kilometrów i że miejscowa orkiestra gra jutro hymn Rosji i Stanów Zjednoczonych przed rozpoczęciem meczu.

Większość informacji podawanych przez Puga nie miała dla Connora żadnego praktycznego znaczenia, niemniej co parę minut staruszek obdarzał go jakąś cenną wskazówką.

Podczas przechadzki po stadionie Connor widział, jak ostre środki bezpieczeństwa przed jutrzejszym meczem wprowadzają personel poprzedzający prezydenta.

Zainstalowano już czujniki magnetyczne, obok których będą musieli przejść wszyscy udający się na mecz;

czujniki wykryją przedmioty, które mogłyby posłużyć jako broń.

Im bardziej się zbliżali do łóżka właściciela - skądobaj prezydenci będą obserwować mecz - tym kontrolę stawały się ostrzejsze.

Pug wpadł w złość, kiedy go zatrzymał agent Secret Service, stojący przed wejściem do łóżka dyrekcji stadionu.

Wyjaśnił naciskiem, że należy do Galerii Sławnych zespołu Czerwonoskórych i że będzie wśród gości, witających nazajutrz prezydentów, lecz agent mimo to nie pozwolił mu wejść do środka bez przepustki.

238

Connor próbował wytłumaczyć rozsierdzonemu staruszkowi, że tonie jest takie ważne.

Kiedy odchodzili, Pug mruczał pod nosem:

- Czy ja wyglądam na kogoś, kto chciałby zamordować prezydenta?

Przy pożegnaniu o drugiej Connor wręczył swemu przewodnikowi sto dwadzieścia dolarów.

Stary człowiek powiedział mu w ciągu trzech godzin więcej, niż cały oddział Secret Service wyjawiałby przez całe życie.

Dałby mu dwieście, ale to mogłoby wzbudzić jego podejrzenia.

Connor spojrzawszy nazegarek stwierdził, że jest kilka minut spóźniony na spotkanie z Aleksiejem Romanowem w ambasadzie rosyjskiej.

W samochodzie włączył C-SPAN, stację radiową, której rzadko słuchał.

Komentator opisywał atmosferę w Izbie Reprezentantów przed przybyciem rosyjskiego prezydenta.

Nikt nie miał pojęcia, z czym wystąpi Żeriński, gdyż dziennikarze nie otrzymali wcześniej tekstu przemówienia, zalecano im natomiast, żeby relacjonować na podstawie tego, co usłyszą.

Na pięć minut przed wyznaczoną godziną wkroczył Żeriński w towarzystwie swojej świty.

- Wszyscy obecni - obwieścił komentator - wstają z miejsc i witają ową gością z

Rosji.

Prezydent Żeriński uśmiecha się i macha ręką, idąc środkiem wypełnionej do ostatka sali w stronę pulpitu ściskając wyciągające się ku niemu dłonie.

Ale przyjęcie jest raczej ciepłe niż ekstatyczne.

Stanąwszy na podium Żeriński starannie rozłożył kartki na pulpicie i włożył okulary. Obserwatorzy Kremla od razu wiedzieli, że przemówienie zostanie wygłoszone słowo w słowo według przygotowanego tekstu i że nie będzie żadnych improwizowanych uwag, z których zasłynął Żeriński podczas kampanii prezydenckiej.

Kongresmani, sędziowie Sądu Najwyższego i korpus dyplomatyczny zajęli miejsca, nieświadomi bomby, która miała za chwilę wybuchnąć.

- Panie Przewodniczący, panie wiceprezydencie i panie najwyższy sędzio - zaczął Żeriński.

- Pozwólcie, że na początek podziękuję

wam i waszym rodakom za miłe przyjęcie i niezwykłą gościnność, z jaką się spotkałem podczas mojej pierwszej wizyty w Stanach Zjednoczonych.

Zapewniam was, że z radością będę do was niejedno

krotnie powracał.

- W tym miejscu Titow napisał na marginesie:

"Przerwa" - słusznie, gdyż właśnie wybuchły oklaski.

Żeriński wygłosił następnie kilka pochwalnych zdań na temat historycznych osiągnięć Ameryki, przypominając słuchaczom, że trzyrazy w ostatnim stuleciu obydwie narody razem walczyły przeciw wspólnemu wrogowi.

Potem przeszedł do "znakomitych stosunków łączących teraz nasze kraje".

Tom Lawrence, który wraz z Andym Lloydem w Pokoju Owalnym oglądał występ

Żerińskiego nadawany przez stację C-SPAN, trochę się rozluźnił.

Po dalszych kilku minutach nawet lekko się uśmiechnął.

Ale uśmiech zamarł mu na ustach, gdy usłyszał następne trzy zdania.

- Jestem ostatnim człowiekiem na świecie, który życzyłby sobie, aby nasze wielkie narody uwikłały się w następną bezcelową wojnę.

- Żeriński zawiesił głos.

- Zwłaszcza gdybyśmy nie byli po tej samej stronie.

- Podniósł głowę i posłał zgromadzonym promienny uśmiech, chociaż nikt z obecnych nie uznał tej uwagi za zabawną.

- Aby nigdy w przyszłości nie dopuścić do takiego nieszczęścia, Rosjanie musi pozostać równie potężna na polu bitwy jak Stany Zjednoczone, jeżeli jej głos ma się tak samoliczyć przy stole obrad.

W Pokoju Owalnym Lawrence widział pokazywane przez kamery telewizyjne sposobnie twarze przedstawicieli obu Izby zdał sobie sprawę, że Żeriński w kilkadziesiąt sekund zniszczył szansę uchwalenia ustawy o ograniczeniu zbrojeń.

Końcówką przemówienia Żerińskiego przyjęto w milczeniu.

Gdy zszedł z podium, nie było już wyciągniętych rąk, a oklaski mizerne.

Connor wyłączył radio, kiedy białe BMW sunęło przez Wisconsin Avenue.

Zatrzymali się przed bramą ambasady rosyjskiej i jeden z fagasów Romanowa przepuścił ich przez posterunek kontrolny.

Drugi raz w ciągu ostatnich trzech dni Connora zaprowadzono do wyłożonej białym marmurem części recepcyjnej.

Od razu się zorientował, co miał namyśli Romanow, kiedy powiedział, że wewnętrzny system bezpieczeństwa w ambasadzie jest słaby.

- W końcu, kto by chciał zamordować ukochanego prezydenta Rosji w jego własnej ambasadzie?

- rzucił uśmiechem.

- Wygląda na to, że pan rządzi tym budynkiem - zauważył Connor.

- Pan też by mógł - odparł Romanow - gdyby wpłacał pan na

240

szwajcarskie konto ambasadora odpowiednie kwoty, żeby już nigdy nie musiał wracać do ojczyzny.

Szli długim, wyłożonym marmurem korytarzem.

Romanow zachowywał się w ambasadzie jak we własnym domu, do tego stopnia, że otworzył zamknięte na klucz drzwi gabinetu ambasadora.

Kiedy weszli do urządzonego z przepychem pokoju, Connor z zdumieniem zobaczył na biurku ambasadora zmodyfikowanego Remingtona 700.

Podniósł go i dokładnie obejrzał.

Gdyby sądził, że ma chociaż szanse dowiedzieć się prawdy, spytałby Romanowa, w jaki sposób go zdobył.

Connor przełamał broń.

W komorze znajdował się pojedynczynabój.

Uniósł brwi i spojrzał na Romanowa.

- Uznałem, że z tej odległości wystarczy tylko jeden pocisk - powiedział Rosjanin.

Zaprowadził Connora w głąb pokoju i odsunął zasłonę, ukazując osobistą windę ambasadora.

Weszli do środka, zasunęli drzwi i wolno pojechali na drugie piętro, na galerię nad salą balową.

Connor obejrzał dokładnie galerię, potem wcisnął się za wielkiosąg Lenina.

Spojrzał poprzez jego uniesione ramię i sprawdził, czy nic nie zasłania miejsca, z którego Żeriński ma wygłosić mowę pożegnalną, upewniając się, czy będzie dobrze widział, sam będąc w ukryciu.

Kiedy szli z Romanowem z powrotem do windy, myślał, jak i to wszystko wydaje się łatwe.

- Musi pan przyjść kilkadziesiąt godzin wcześniej i pracować razem z personelem kuchennym przed rozpoczęciem bankietu - rzekł Romanow.

- Dlaczego?

- Lepiej, żeby nikt nie nabrał podejrzeń, kiedy panznicznie tuż przed przemówieniem Żerińskiego.

- Romanow spojrzawszy na zegarek.

- Czas wracać do pańskiego hotelu.

Żeriński ma tu być lada chwila.

Connor skinął głową.

Skierowali się do tylnych drzwi.

Sadowiawszy się w BMW, Connor rzucił:

- Kiedy zdecyduję się na wybór miejsca, dam panu znać.

Romanow był zaskoczony, ale nic nie powiedział.

Connor wyjechał przez bramę ambasady na kilka minut przed powrotem Żerińskiego z Kapitolu.

Włączył radio w chwili, gdy

nadawano wiadomości wieczorne.

- Senatorzy i kongresmani wyrywają sobie z rąk mikrofony, aby zapewnić wyborców, że wysłuchawszy przemówienia prezydenta Że241

16. Jedenaste przykazanie.

fińskiego nie będą głosować za ustawą o ograniczeniu broni nuklearnych, biologicznych, chemicznych i konwencjonalnych.

W Pokoju Ovalnym Tom Lawrence przysłuchiwał się reporterowi CNN, który mówił z galerii prasowej Senatu:

- Biały Dom nie wydał jeszcze żadnego oświadczenia, a prezydent.

Tom Lawrence wyłączył telewizor.

- Inie kręćcie się tutaj, bo się nie doczekacie - rzucił ze złością do pustego ekranu.

- Andy - zwrócił się do Lloyda.

- Nie wiem, czy dołam wytrwać cztery godziny koło tego faceta jutro po południu, a co dopiero wieczorem odpowiedzieć na jego mowę pożegnalną.

Lloydsię nie odezwał.

- Nie mogę się doczekać, kiedy usiądę koło mego drogiego przyjaciela Toma i będę się przyglądać, jak się wije na oczach milionowej publiczności - powiedział Zeriński wkraczając do ambasady rosyjskiej.

Dymitrij Titow nie odezwał się.

- Chyba będę kibicował Czerwonoskórom.

To będzie jeszcze jeden punkt na moją korzyść, jak pupilki Lawrence'a przegrają.

- Zeriński uśmiechnął się drwiąco.

- Dobry wstęp do upokorzenia, które zaplanowałem muna wieczór.

Niech pan pamięta, by przygotować bardzo pochlebne przemówienie, żeby z perspektywy czasu wydał się mi najbardziej tragiczne.

- Znow się uśmiechnął.

- Poleciłem, żeby podano wołowinę na zimno.

I nawet pana zadziwi, co przyszykowałem na deser.

Wieczorem Connor przez kilka godzin deliberował, czy zaryzykować i złamać zasadę całego życia.

Zatelefonował do Romanowa tuż po północy.

Rosjanin był zachwycony, że obaj doszli do takiego samego wniosku.

- Kierowca zabierze pana o wpół do czwartej, tak żeby na czwartą był pan w ambasadzie - obiecał Connorowi.

Fitzgerald odłożył słuchawkę.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, o czwartej prezydent będzie martwy.

- Obudźcie go.

- Ale jest czwarta rano - rzekł pierwszy sekretarz.

- Jeśli wam życiemile, obudźciego.

242

Pierwszy sekretarz narzucił szlafrok, wypadł z sypialni i pobiegł korytarzem.

Zapukał do drzwi.

Nie było odpowiedzi, więc zastukał jeszcze raz.

Po paru chwilach pod drzwiami pojawił się odblask światła.

- Wejść - odezwała się zaspany głos.

Pierwszy sekretarz przekręcił gałkę i wszedł do sypialni ambasadora.

- Proszę mi wybaczyć, ekscelencjo, ale z Sankt Petersburga dzwoni jakiś Iwanicki.

Nalega, by obudzić prezydenta.

Mówi, że ma dla niego pilną wiadomość.

- Odbiorę telefon w moim gabinecie - rzekł Pietrowski.

Odrzucił koldrę, ignorując jęki żony, zbiegł na dół i polecił portierowi, by przełączył rozmowę do gabinetu.

Telefon zadzwonił parokrotnie, zanim trochę zdyszany ambasador podniósł słuchawkę.

- Pietrowski przytelefonie.
- Dzień dobry, ekscelencjo - rzekł Iwanicki.
- Prosiłem opołączenie zprezydentem, nie z panem.
- O czwartej rano?

Czy to nie może zaczekać?

- Panieambasadorze, nie płacę panu, żeby mipan mówił, którągodzina.

Chcę teraz usłyszeć prezydenta.

Czy jasno się wyraziłem?

Ambasador odłożył słuchawkę na biurko i wolno poszedłschodami na pierwsze piętro, bijąc się z myślami, kogo bardziej się bać.

Wahał sięchwile pod drzwiami apartamentu prezydenta, ale widokpierwszego sekretarza, który krążył u szczytuschodów, nakłonił godo działania.

Zastukał lekkow drzwi, lecznie było odpowiedzi.

Zapukał głośniej i na próbę uchyliłdrzwi.

W świetle padającymz podestuambasador i pierwszy sekretarzzobaczyli, jakZeriński poruszył się na łóżku.

Nie widzieli natomiast, że sięgnął pod poduszkę po pistolet.

- Panie prezydencie - wyszeptał Pietrowski, kiedy Zeriński zapalił lampę przy łóżku.

-Lepiej, żeby to było coś ważnego - rzekł Zeriński-jeśli nie chcecie spędzić reszty dni jako kontrolerzy jakości lodówek na Syberii.

- Jest do pana telefon zSankt Petersburga - prawie szeptemoznajmił ambasador.

- Od StiepanaIwanickiego.

Mówi, że to pilne.

- Won z mojego pokoju - powiedział Zerińskii podniósł słuchawkę telefonu przy łóżku.

Obaj mężczyźniwycofali się na korytarz, ambasador cicho zamknąłdrzwi.

243.

- Stiepan - powiedział Żeriński.

- Dlaczego dzwoniisz o tej porze?

Czy Borodin poważył się na zamach stanu podczas mojej nieobecności?

- Nie, panieprezydencie.

Car umarł.

- Iwanicki mówił bez śladuemocji.

- Kiedy?

Gdzie?

Jak?

- Mniej więcej godzinę temu, w swoim pałacu.

Ten bezbarwny płyn w końcu zrobił swoje - Iwanicki zrobił przerwę.

- Lokaj był prawie odroku na moich usługach.

Prezydent chwilę milczał.

- Lepiej być niemoże - powiedział wreszcie.

- Też bym tak uważał, panie prezydencie, gdyby nie to, że jegosyn jest w

Waszyngtonie.

Niewiele tu mogę zdziałać do jego powrotu.

- Ten problem może się samrozwiązać dziś wieczorem - rzekł Żeriński.

- Czy dali sięabrać?

- Tak - odparł Żeriński.

- Dowieczora pozbędę się ich obu.

- Ich obu?

- Tak - powiedział prezydent.

- Nauczyłem się tutaj stosownego określenia - "ubić dwa ptaki jednym strzałem".

W końcu ile razyczłowiek ma szansę widzieć, jak ktoś dwa razy umiera?

- Żałuję, że tego nie zobaczę.

- Sprawi mi to jeszcze większą przyjemność niż oglądanie jak jego przyjaciel zadyndał na linie.

Zważywszy wszystko.

Iwan, to bardzo udana podróż, zwłaszcza jeżeli.

- Wszystkiego dopilnowałem, panie prezydencie - rzekł Iwanicki.

- Wczoraj załatwiłem, aby dochoźd kontraktów Jelcyna i Czernopowa na dostawę ropy i uranu został przerzucony na pański rachunek w Zurychu.

To znaczy, o ile Aleksiejnie odwoła moich poleceń, kiedy wróci.

^ nie wróci, to nie będzie mógł, prawda?

- Żeriński odłożył^asił światłoi po chwili zasnął.

' leżał na łóżku hotelowym, kompletnie ubra'cieczki, gdy zadzwonił telefonistka, bystał, odgiął róg zasłony i sprawdził, czy MW, zaparkowane po drugiej stronie uliM od północy.

O tej porze ludzie czuwający/iedział, że się zmieniają o ósmej, więc posta244

nowit wyjść dziesięć minut wcześniej.

Przez następne pół godziny wykonywał lekkie, rozluźniające ćwiczenia, potem zrzucił ubranie.

Stał przez pewien czas pod kłującym strumieniem zimnej wody, wreszcie zakręcił kurek i schwyił ręcznik.

Potem włożył niebieską koszulę, dzinsy, gruby sweter, niebieski krawat, czarne skarpetki i czarne sportowe buty.

Zszedł do restauracji hotelowej, nalał sobie szklanke soku grejpfrutowego, a do miski wsypał płatków kukurydzianych i wlał mleka.

Zawsze jadł to samo w dniu operacji.

Lubił postępować zgodnie z wyrobionymi nawykami.
Pomagało mu to wierzyć, że wszystko pójdzie gładko.
Jedząc, przejrzał siedem stron notatek, które sporządził po spotkaniu z Pugiem, i jeszcze raz szczegółowo przestudiował sporządzony przez architekta plan stadionu.
Zmierzył wspornik klinijką i ocenił, że dokłapy wyjścia bezpieczeństwa jest trzynaście metrów.
Nie wolno mu tylko patrzeć w dół.
Poczuł, jak ogarnia go spokój niby dobrze przygotowanej lekkoatletki, kiedy go wezwą na linię startu.

Sprawdził, która godzina, i wrócił do swojego pokoju.
Powinno znaleźć się na skrzyżowaniu Dwudziestej Pierwszej Ulicy i DuPont Circle w momencie wzmożonego ruchu.
Odczekał jeszcze kilka minut, potem włożył trzy banknoty stu dolarowe, dwudziestopięciocentówkę i trzydziestominutową kasetę do tylnej kieszeni dżinsów.
Następnie opuścił na dobre anonimowy hotel.
Rachunek był już uregulowany.

xxx

Zeriński siedział sam w jadalni ambasady i czytał "WashingtonPost" przy śniadaniu, które podawał mu lokaj.

Uśmiechnął się, gdy zobaczył wielki tytuł: POWRÓT ZIMNEJ WOJNY?

Popijając kawę, chwilę rozmyślał nad tym, jaki będzie jutro główny tytuł w gazecie.

UDAREMNIONA PRÓBA ZABÓJSTWA ROSYJSKIEGO PREZYDENTA

Były agent CIA zastrzelony na terenie ambasady.

Znów się uśmiechnął i zagłębił we wstępniaku, który potwierdzał, że wszyscy członkowie komentatorzy uznali projekt ustawy Lawrence'a o ograniczeniu zbrojeń za "martwy w zarodku".

Jeszcze jedno pożyteczne wyrażenie, które sobie przyswoił podczas tej podróży.

Kilka minut po siódmej zadzwonił srebrnym dzwonkiem i polecił lokajowi przyprowadzić ambasadora i pierwszego sekretarza.

Lokaj wybiegł z pokoju.

Zeriński wiedział, że tamci w napięciu stoją zadrzwiami.

Ambasadori i pierwszy sekretarz uważali, że powinni odczekać chwilę, nim dołączą do prezydenta.

Wciąż nie byli pewni, czy się niegniewa, że obudzili go o czwartej rano, ale uznali, że skoro żaden z nich jeszcze nie został wyrzucony z pracy, ich decyzja była słuszna.

- Dzień dobry, panie prezydencie - powiedział Pietrowski wchodząc do jadalni.

Zeriński skinął głową, zwinął gazetę i odłożył ją na stół.

- Czy Romanow już jest?

- zapytał.

- Tak, panie prezydencie - odparł pierwszy sekretarz.

- Jest w kuchni od szóstej rano i osobiście kontroluje żywność, którą dostarczono na dzisiejszy bankiet.

- To dobrze.

Panie ambasadorze, niech pan mówi, żeby przyszedł do nas do pańskiego gabinetu.

Zaraz tam będę.

246

- Tak jest, panie prezydencie - rzekł Pietrowski, wycofując się tyłem z pokoju.

Zeriński otarł usta serwetką.

Postanowił, że każe tym trzem kilkunastu minut poczekać.

Niech jeszcze bardziej skruszeją.

Wziął do ręki "Washington Post" i uśmiechnął się czytając poraz drugi konkluzję artykułu wstępnego: "Zeriński jest raczej następcą Stalina i Breżniewa niż Gorbaczowa i Jelcyna".

Nie miał nic przeciwko tej opinii; w istocie miał nadzieję, że jeszcze przed końcem dnia umocni ten swój wizerunek.

Wstał i wyszedł z pokoju.

Gdy kroczył korytarzem w stronę gabinetu ambasadora, młody człowiek nadchodzący z przeciwnej strony zatrzymał się, pospieszył do drzwi i otworzył je prezydentowi.

Stojący zegar uderzył raz, gdy Zeriński wchodził do pokoju.

Instynktownie spojrzała zegarek.

Była zakwadrans ósma.

Za dziesięć ósma Connor zjawił się w drzwiach hotelu i przeciąwszy ulicę wolno podszedł do pierwszego BMW.

Usiadł obok kierowcy, który lekko się zdziwił, widząc go tak wcześnie - powiedziano mu, że Fitzgerald spodziewają się w ambasadzie dopiero o czwartej popołudniu.

- Muszę kupić w śródmieściu parę rzeczy - oznajmił Connor.

Mężczyzna siedzący z tyłu skinał głową, więc kierowca wrzucił pierwszy bieg i włączył samochód w strumień pojazdów na Wisconsin Avenue.

Drugi samochód jechał tuż za nimi, gdy skręcili w lewo w Ulicę P, zatłoczonej z powodu prac budowlanych, które były plagą Georgetown.

Connor zauważył, że z każdym dniem jego cerberzy stawali się mniej czujni.

Mniej więcej o tej samej porze co rano wyskakiwał BMW na roku Dwudziestej Pierwszej Ulicy i DuPont Circle, kupował "Washington Post" u sprzedawcy gazet i wracał do samochodu.

Wczoraj mężczyzna siedzący z tyłu nawet się nie pofatygował, żeby pójść z nim.

Przejechali Dwudziestą Trzecią Ulicę i Connor w oddali zobaczył DuPont Circle.

Samochody teraz stykały się zderzakami i prawie się nie posuwały.

Po drugiej stronie ulicy strumień pojazdów w kierunku zachodnim płynął bez przeszkód.

Musi dokładnie obliczyć, kiedy wykonać swój ruch.

Connor wiedział, że światła na Ulicy P przed DuPont Circle zmieniają się co trzydzieści sekund, że w tym czasie przejeżdża przez 247.

ciężnie dwanaście samochodów.

W ciągu tygodnia liczył ich najwięcej szesnaście.

Kiedy światła zmieniły się na czerwone, Connor obliczył, że przed nimi stoi siedemnaście samochodów.

Ani drgnął.

Zapaliły się zielone i kierowca włączył pierwszy bieg, ale było tak tłoczno, że upłynęło trochę czasu, nim zdołał posunąć się do przodu.

Przejechało tylko osiem aut.

„

Miał trzydzieści sekund.

;;;,

Obrócił się i uśmiechnął do swego strażnika z tyłu, wskazując sprzedawcę gazet.

Mężczyzna skinął głową.

Connor wysiadł i wolno ruszył w stronę starego człowieka w odblaskowej pomarańczowej kamizelce.

Ani razu nie spojrzawszy na siebie nie miał pojęcia, czy idzie za nim ktoś z drugiego samochodu.

Skupił uwagę na ruchu płynącym w przeciwnym kierunku po drugiej stronie ulicy, usiłując ocenić, jak długa będzie kolejka wozów, kiedy światła znów się zmienią na czerwone.

Gdy doszedł do gazeciarza, trzymał już w ręku dwudziestopięciocentówkę.

Wręczył ją staruszkowi i zamiast otrzymał "Washington Post".

Odwrócił się i zrobił parę kroków ku pierwszemu BMW, gdy zapaliły się czerwone światła i ruch zamarł, q

Connor dostrzegł samochód, którego potrzebował.

Nagle zmienił kierunek i puścił się biegiem, skacząc między stojącymi pojazdami, aż znalazł się na drugiej stronie jezdni dopadł taksówkę, którą od światła dzieliło sześć samochodów.

Dwaj mężczyźni z drugiego BMW wyskoczyli z samochodu i pobiegli za nim akurat w chwili, gdy światła przy DuPont Circle zmieniły się na zielone.

Connor otworzył drzwi i opadł na siedzenie z tyłu.

- Naprzód!

- krzyknął.

- Dam sto dolarów, jak pan forsuje te światła!

Taksówkarz nacisnął klakson całą dłońią i trąbił, póki nie przejechał czerwonych światła.

Dwa białe BMW zawróciły w miejscu z piskiem opon, ale światła już się zmieniły i droga blokowały im trzy nieruchome pojazdy.

Jak dotąd, wszystko szło zgodnie z planem.

Taksówka skręciła w lewo w Dwudziątą Trzecią Ulicę i Connor kazał kierowcy stanąć.

Kiedy samochód się zatrzymał, podał kierowcy banknot studolarowy i powiedział:

- Proszę jechać prosto na lotnisko Dulles.

Jeśli pan zauważy zasobę białe BMW, niech pan nie pozwoli się prześcignąć.

Na lotnisku

248

proszę się zatrzymać na trzydzieści sekund przed halą odlotów, a potem wrócić powoli do miasta.

- Wszystko, co tylko chcesz, bracie - rzekł taksówkarz, chowając do kieszeni studolarowy banknot.

Connor wysliznął się z samochodu, przebiegł przez jezdnię i zatrzymał inną taksówkę, podążając w przeciwnym kierunku.

Zamykał drzwi, kiedy obok przemknęły dwa BMW w pogoni z pierwszą taksówką.

- Dokąd chciałby pan pojechać w ten piękny ranek?

- Na Stadion Cooke'a.

- Chyba ma pan bilet, bo jak nie, to trzeba będzie zaraz wracać.

Trzej mężczyźni stali, gdy Zeriński wszedł do pokoju.

Nakazał imusiść takim gestem, jakby to był wielki tłum, i sam usadowił się nakrześleza biurkiem ambasadora.

Zaskoczył go widok karabinu namiejsu bibularza, ale go zignorował i zwrócił się do Aleksieja Romanowa, który wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Aleksiej, mam dla ciebie smutną wiadomość - powiedział.

Natwarzy Romanowa odmalował się strach, a potem, gdy Zeriński przez dłuższą chwilę milczał, napięcie.

- Dzisiaj o świcie otrzymałem wiadomość od twego kuzyna Stiepana.

Twój ojciec miał w nocy atak serca i umarł w drodze do szpitala.

Romanow zwiesił głowę.

Ambasador i pierwszy sekretarz spojrzeli na prezydenta, by sprawdzić, jak powinni zareagować.

Zeriński wstał, powoli podszedł do Romanowa i gestem pocieszenia położył mu rękę na ramieniu.

Ambasador i pierwszy sekretarz zrobili smutne miny.

- Będę go opłakiwał - rzekł Zeriński.

- Był wspaniałym człowiekiem.

- Obydwa dyplomaci potaknęli, a Romanow pochylił głowę podziękując za uprzejme słowa prezydenta.

- Teraz jego obowiązki przechodzą na ciebie, Aleksiej, najbardziej godnego następcę.

Ambasador i pierwszy sekretarz nadal potakująco kiwali głowami.

- Niedługo - ciągnął Zeriński - będziesz miał okazję tak zademonstrować swoją władzę, że nikt w Rosji nie będzie miał wątpliwości, kto jest nowym carem.

Romanow podniósł głowę i uśmiechnął się, zapominając o żałobie.

249.

- To znaczy - dodał Żeriński - o ile dziś wieczorem wszystko się uda.

- Na pewno - powiedział Romanow z przekonaniem.

- Rozmawiałem tuż popołudniu z Fitzgeraldem.

Zaakceptował mój plan.

Stawi się w ambasadzie o czwartej po południu, kiedy pan będzie nameczu z Lawrence'em.

- Dlaczego tak wcześnie?

- zdziwił się Żeriński.

- Wszyscy powinni myśleć, że jest jednym z ekipy gastronomicznej, tak że kiedy sześć godzin później wymknie się z kuchni, nikt nato nie zwróci uwagi.

Przez cały czas będzie w kuchni pod moim okiem i wyjdzie dopiero parę minut przed rozpoczęciem pańskiej mowy pożegnalnej.

- Doskonale - powiedział Żeriński.

- I co potem?

- Razem z nim przyjdę do tego pokoju, skąd weźmie karabin.

Następnie pojedzie windą do galerii nad salą balową.

Żeriński kiwnął głową.

- Zajmie stanowisko za wielkim posagiem Lenina i będzie tamtkwił, póki pannie dojdzie do tego fragmentu przemówienia, gdzie pan dziękuje Amerykanom za ich gościnność i gorące przyjęcie, jakie panu wszyscy zgotowali, et cetera, et cetera, szczególnie prezydent Lawrence.

W tym momencie zaplanowałem dłuższą owację.

Musi pan wtedy stać absolutnie nieruchomo.

- Dlaczego?

- spytał Żeriński.

- Bo Fitzgerald nie pociągnie za spust, jeżeli się będzie spodziewał, że pan się gwałtownie poruszy.

- Rozumiem.

- Kiedy odda strzał, wejdzie na parapet przy cedrze w ogrodziona tyłach ambasady.

Wczoraj po południu kazał nam kilka razy powtarzać całą operację, ale dziś wieczorem odkryje pewną różnicę.

- Mianowicie?

- zagadnął Żeriński.

- Pod drzewem będzie czekało sześciu moich goryli - rzekł Romanow.

- Zastrzela go, zanim jego stopa dotknie ziemi.

- Ale twój plan ma jedną drobną wadę.

Romanow zrobił zdziwioną minę.

- Jakim cudem mam przeżyć strzał oddany przez tak świetnego strzelca z tak małej odległości?

Romanow wstał z krzesła i wziął do ręki karabin.

Wyjął kawałek metalu i wręczył go prezydentowi.

- Co to jest?

- spytał Żeriński.

- Iglica - odparł Romanow.

XXXI

Dwa białe BMW pędziły na zachód drogą numer 66, ścigając pustą taksówkę, która na całej trasie na lotnisko Dullesa przekraczała dozwoloną szybkość.

Druga taksówka bez pośpiechu sunęła w stronę Stadionu Cooke'a w Maryland.

Connor przetrwał swoją decyzję o wyborze stadionu, zjęgowszyszkimi niebezpieczeństwami, zamiast ambasady.

Zbyt łatwo wpuszczano go do tego budynku i z niego wypuszczano; nikt nie mógł być aż tak bez troski, jeżeli chodziło o zachowanie środków bezpieczeństwa, zwłaszcza podczas wizyty prezydenta.

Gdy Connor wysiadł przed stadionem, dokładnie wiedział, dokąd iść.

Powędrował szeroką, żwirowaną dróżką do północnego wejścia; stały tam dwie długie kolejki ludzi, którzy kręcili się tu przed każdym meczem w nadziei, że zostaną zatrudnieni w tym dniu.

Jedni po prostu potrzebowali pieniędzy, inni zaś, wyjaśnił Pug, byli tak zagorzałymi kibicami Czerwonoskórych, że poszliby na wszystko, łącznie z łapówką, byle tylko dostać się do środka.

- Łapówką?

- spytał z niewinną miną Connor.

- O, tak.

Ktoś musi zanosić posiłki do apartamentów dyrekcji - rzekł Pug przymrużając oko.

- A potem mieć najlepszy widok na

mecz.

- To fascynujący materiał do mojego artykułu - zapewnił go

Connor.

W pierwszej kolejce czekali ci, którzy chcieli pracować na zewnątrz stadionu, przy organizacji parkingu na dwadzieścia trzytysięce samochodów i autobusów, przy sprzedaży programów, poduszki pamiątek dla siedemdziesięciu ośmiu tysięcy widzów.

W drugiej ustawili się ci, którzy liczyli na pracę na stadionie.

Connor dołączył do tej kolejki, w większości składającej się z młodych bezrobotnych oraz tych, których Pug nazwał młodymi emerytami - nałło251.

gowcami, którzy zwyczajnie lubili regularne wypadki z domu.

Pugnawet opisał, jak ci ludzie się ubierają, żeby nikt ich nie wziął za bezrobotnych.

W tym szczególnym dniu kandydatom przyglądała się grupa agentów Secret Service.

Connor czytał "Washington Post" posuwając się z kolejką wolno do przodu.

Prawie całą pierwszą stronę poświęcono mowie Żerińskiego na wspólnej sesji Kongresu.

Reakcje kongresmanów były generalnie wrogie.

Gdy przewrócił stronice przeczytał artykuł wstępny, uznał, że Żerińskiemu może on sprawić przyjemność.

Przerzucił się do działu miejskiego i krzywo się uśmiechnął, kiedy przeczytał o przedwczesnej śmierci wybitnego naukowca ze swego rodzinnego miasta.

- Hej - usłyszał czyjś głos.

Connor obejrzał się i zobaczył szykownego młodzika, który ustawił się za nim w kolejce.

- Hej - odpowiedział i czym prędzej wrócił do swojej gazety.

Nie chciał się wdawać w niepotrzebną rozmowę z kimś, kto potem mógłby być zwany jako świadek.

- Jestem Brad - oznajmił chłopak i wyciągnął dłoń do ręki.

Connor uściśniętą, ale nic nie powiedział.

- Mam nadzieję, że dostanę pracę w jednej z wież oświetleniowych - rzekł chłopak.

- A pan?

- Czemu akurat tam?

- zagadnął Connor, pomijając pytanie.

- Bo tam będzie stanowisko dowódcy ochrony prezydenta, a ja chcę się przekonać, jak wygląda jego praca.

- Dlaczego?

- spytał Connor, związując gazetę.

Tej rozmowy z pewnością nie mógł uciąć.

- Myślę o wstąpieniu do Secret Service, kiedy skończę studia.

Już się zapisałem na kurs podyplomowy, ale chcę przyjrzeć się ich pracy z bliska, zanim postanowię, czy pójść do Secret Service, czy zostać prawnikiem.

Jedyną pracą, której nikt nie chce, to zanoszenie posiłków chłopakom z Secret Service na wieżach oświetleniowych za polami bramkowymi.

Ludzi odstrasza to trochę.

Sto siedemdziesiąt dwa stopnie, pomyślał Connor, który zrezygnował z wież oświetleniowych na samym początku, nie zważając na wspinaczkę, lecz z braku możliwości ucieczki.

Brad zaczął mu opowiadać historię swego życia i zanim Connor przesunął się do przodu kolejki, wiedział już, do jakiej szkoły chłopak chodził, że to

raz jest na ostatnim roku kryminologii w Georgetown - co skierowało jego myśli do Maggie - i dlaczego ciągle może się zdecydować, czy wybrać zawód agenta, czy prawnika.

- Następny - powiedział głos.

Connor odwrócił się do mężczyzny, który siedział za stołem na krzyżakach.

- Co panu zostało?

- spytał Connor.

- Niewiele - odparł mężczyzna, spoglądając na listę oznaczoną aptaszkami.

- Może coś z robót kuchennych?

- spytał Connor.

Tak jak Brad dobrze wiedział, gdzie chce być.

- Zostało tylko mycie naczyń albo roznoszenie posiłków pracownikom na stadionie.

- To mi odpowiada.
- Nazwisko?
- Dave Krinkle - rzekł Connor.
- Dowód tożsamości?
- Connor podał prawo jazdy.

Mężczyzna wypisał przepustkę, a fotograf, który wystąpił do przodu, zrobił Connorowi polaroidem zdjęcie, które po kilku sekundach zostało prasowane do przepustki.

- Gotowe, Dave - rzekł mężczyzna i podał kartonik Connorowi.

-Ta przepustka pozwoli ci się poruszać po stadionie poza strefą specjalnie chronioną, do której należą apartamenty dyrekcji, łóżka klubowe i część zarezerwowana dla ważnych osobistości. Ale tam niemusisz chodzić.

- Connor skinął głową i przypiął przepustkę do swetra.
- Zgłoś się do pokoju czterdzieści siedem, tuż pod blokiem H.
- Connor skierował się w lewo.

Wiedział dokładnie, gdzie jest pokój czterdzieści siedem.

- Następny.

Przejście przez trzy punkty kontrolne, z czujnikiem magnetycznym włącznie, trwało o wiele dłużej niż poprzedniego dnia, gdyż teraz obsadzone one były przez personel Secret Service, a nie przez wynajętych ochroniarzy.

Gdy Connor znalazł się na stadionie, spokojnym krokiem powędrował wewnętrznym przejściem, koło muzeum i pod czerwonym transparentem z napisem "ZWYCIĘŻYMY!", aż dotarł do schodów oznaczonych tabliczką: "Pokój 47.

Obsługa gastronomiczna" i strzałką skierowaną w dół.

W małym pomieszczeniu u podnóża schodów kręciło się kilkunastu mężczyzn.

Po ich minach było widać, że nie są tu pierwszy raz.

Rozpoznał kilku, którzy stali przed nim w kolejce.

Żaden niewyglądał na takiego, co nie potrzebuje pieniędzy.

Usiadł w kącie i wyciągnął gazetę; ponownie przeczytał prognozy dotyczące meczu. Tony Kornheiser uważał, że byłby to cud, gdyby Czerwoni przegrali z Pakowcami - najwspanialszą drużyną kraju.

W istocie przewidywał dwudziestopunktową przewagę.

Connor liczył na całkiem inny wynik.

- Uwaga - usłyszał głos.

Podniósł głowę i zobaczył potężnego mężczyznę w stroju kucharza, który stał z przodu.

Miał około pięćdziesiątki, olbrzymi podwójny podbródek i ważył chyba ze stowadzieścia kilo.

- Jestem szefem ekipy gastronomicznej - oznajmił - i jak widzicie, żywa reklamą tego interesu.

- Paru weteranów uprzejmie się roześmiało.

- Mam dla was dwie propozycje.

Albo możecie myć naczynia, albo roznosić posiłki pracownikom stadionu i chłopakom, którzy pilnują bezpieczeństwa.

Kto do mycia naczyń?

- Większość mężczyzn!

w pokoju podniosło ręce.

Mycie naczyń, objaśniał Pug, zawsze cieszyło się popularnością, ponieważ pomywacze nie tylko inkasowało dziesięć dolarów za godzinę, ale dla niektórych resztki z łóż dyrektora były najlepszym posiłkiem w ciągu całego tygodnia.

- Dobra - powiedział kucharz, wybierając pięciu mężczyzn i zapisując ich nazwiska.

Skompletował listę.

- Teraz kelnerowanie.

Można albo obsługiwać kierownictwo, albo personelowi pilnującemu bezpieczeństwa.

Kierownictwo?

- spytał, spoglądając na notatnika.

Prawie wszyscy pozostali podnieśli ręce.

Znowu szef zapisał pięć nazwisk.

Skończywszy, stuknął w notes i oznajmił: - Niech wszyscy, którzy są na liście, teraz zgłoszą się do pracy.

- Weterani wstali z miejsc, zszuraniem przeszli obok niego i zniknęli w drzwiach, które, jak wiedział Connor, wiodły do kuchni.

W pomieszczeniu zostały tylko on i Brad.

- Mam jeszcze dwie prace przy chłopakach z bezpieczeństwa - rzekł szef ekipy gastronomicznej.

- Jedną fantastyczną, drugą lewą.

Który z was będzie miał więcej szczęścia?

- Spojrzał z nadzieją na Connora, który skinął głową i wsadził rękę do tylnej kieszeni spodni.

Szef podszedł do niego, nawet nie spojrzawszy na Brada.

- Czuję, że wolałbyś komfort superkuchni - powiedział.

- Jakby pan zgadł - rzekł Connor i wręczył mu banknot studencki.

- Właśnie tak myślałem - uśmiechnął się szef ekipy gastronomicznej.

254

Connor nie odzywał się, kiedy tłuszczyk chował pieniądze do kieszeni, jak przepowiedział Pug.

Ten człowiek był co do centa wart swej zapłaty.

- Przede wszystkim niepowinienem w ogóle go zapraszać - mruknął Tom Lawrence wsiadając do śmigłowca "Marinę One", który zabierał go z Białego Domu na stadion Czerwonoskórych.

- Mam przeczucie, że nasze kłopoty jeszcze się nie skończyły - rzekł Andy Lloyd, zapinając pas.

- Dlaczego?

Co jeszcze możesz stać złego?

- zapytał Lawrence, gdy łopatki śmigłowca zaczęły się powoli obracać.

- Przed powrotem Żerińskiego do Rosji mamy jeszcze dwie publiczne imprezy i założyłbym się, że podczas jednej z nich Fitzgerald będzie na nas czekał.

- Tego wieczoru nie powinno być żadnych problemów - rzekł Lawrence.

- Ambasador Pietrowski wiele razy powtarzał funkcjonariuszom Secret Service, że jego ludzie zdołają ochronić własnego prezydenta.

Zresztą, kto by chciał ryzykować przy tak silnych środkach bezpieczeństwa?

- Normalne zasady nie mają zastosowania w przypadku Fitzgeralda - zauważył Lloyd.

Prezydent spojrział w dół na ambasadę rosyjską.

- Byłoby trudno dostać się do tego budynku - powiedział.

- A co dopiero z niego wyjść.

- Fitzgerald nie miałby takiego problemu dziś po południu, nastadionie z prawie osiemdziesięcioma tysiącami widzów - odparł Lloyd.

- To jedynemiejscę, gdzie łatwo się wśliznąć i wymknąć.

- Andy, nie zapominaj, że będzie tylko trzynastominutowe okienko, kiedy mógłbyś się coś stać.

Ale przecież każdy, kto wejdzie na stadion, zostanie skontrolowany przez czujniki magnetyczne i niewnieś nawet szczyraka, nie mówiąc o karabinie.

- Myśli pan, panie prezydencie, że Fitzgerald o tym nie wie?

- spytał Lloyd, gdy śmigłowiec skręcił na wschód.

- Jeszcze nie jest za późno, by odwołać ten punkt programu.

- Nie - stanowczo sprzeciwił się Lawrence.

- Skoro Clinton mógł stanąć na środku stadionu olimpijskiego w Atlancie podczas ceremonii otwarcia Igrzysk, to ja mogę zrobić to samo w Waszyngtonie przed meczem futbolowym.

Andy, do cholery, żyjemy w demokracji, i nie pozwolę, żeby nasze życie podlegało takim dyktando.

tom. I nie zapominaj, że ja też tam będę, ryzykując tak samo jak Żeriński.

- Zgadzam się - rzekł Lloyd.

- Ale jeżeli Żeriński zginie, nikt nie będzie pana wychwalał za to, że pan przy nim stał, a już najmniej Helen Dexter.

Ona pierwsza wytknie.

- Jak myślisz, Andy, kto dziś wygra?

- zagadnął prezydent.

Lloyd uśmiechnął się.

Jego szef często stosował taki wybieg, jeśli nie chciał rozmawiać na niemiły temat.

- Nie mam pojęcia - odparł.

- Ale póki dziś zobaczyłem, jak wielu moich pracowników tłoczy się do jadących przodem samochodów, nie zdawałem sobie sprawy, że wśród personelu Białego Domu jest tylu kibiców Czerwonoskórych.

- Niektórzy z nich są zapewne kibicami Pakowaczy - zauważył Lawrence.

Otworzył teczkę, którą miał na kolanach, i zaczął odczytywać krótkie charakterystyki gości, których spotka na stadionie.

[

- No dobra - powiedział szef ekipy gastronomicznej.

- Słuchaj pan.

- Connor zrobił taką minę, jakby cały zamienił się w słuch.

]

- Agenci Secret Service dostają przekąskę o dziesiątej i lunch - ycolę, kanapki i na co jeszcze mają ochotę - na początku meczu.

Najpierw bierzesz paniały fartuch i czapkę z godłem Czerwonoskórych, bo inaczej nie wpuszczą pana z powrotem.

Potem jedziesz pan windą na siódme piętro i czekasz pan, aż włożę jedzenie do windy kuchennej.

Trzeba przycisnąć guzikz lewej strony - ciągnął, jakby miał do czynienia z dziesięciolatkiem - topodjedzie w minutę.

Connor mógłby mu powiedzieć, że winda kuchenna jedzie z suterenu na siódme piętro dokładnie czterdzieści siedem sekund.

Jednak ponieważ korzystały z niej jeszcze dwa piętra - drugie (miejsca klubowe) i piąte (apartamenty dyrekcji) - może trzeba będzie poczekać, aż w pierw zostaną załatwione zamówienia stamtąd, a wtedy zajmie to trzy minuty.

- Jak podjedzie pańska taca, zanieśes ją pan agentowi, który ma stanowisko na platformie na tyłach superekranu we wschodnim krańcu stadionu.

Zobaczy pan drzwi z napisem "Tylko dla personelu" na końcu korytarza po lewej stronie.

- Trzydzieści siedem kroków, przypomniał sobie Connor.

- Oto klucz.

Otworzysz je pani pójdiesz pan krytą kładką, która doprowadzi pana na tył superekranu.

- Sześćdziesiąt cztery metry, pomyślał Connor.

W czasach, kiedy grał w futbol, przebiegał taką odległość w siedem sekund.

256

Podczas gdy szef ekipy gastronomicznej objaśniał to, co Connor już znał, ten przyglądał się windzie kuchennej.

Miała wymiary sześćdziesiąt pięć centymetrów na osiemdziesiąt, a w środku wyraźny napis: "Maksymalne obciążenie 70 kg".

Connor ważył 95 kilogramów i miał nadzieję, że projektant zostawił trochę zapasu.

Były jeszcze dwa inne problemy: nie mógł windy wypróbować, a poza tym nie był w stanie zapobiec zatrzymaniu windy na piątym lub drugim piętrze, kiedy będzie zjeżdżał w dół.

- Zapukasz pan do drzwi - ciągnął szef ekipy gastronomicznej - i wtedy agent odsunie zasuwę i wpuści pana do środka.

Jak mu pomasz tacę, możesz pan pójść na tył stadionu i obejrzeć pierwszą kwartę.

W przerwie zgłosisz się panu do tacy i wstawisz ją pan do windy.

Naciśniesz pan zielony guzik, wtedy jedzie do suterenu.

Potem możesz pan oglądać mecz do końca.

Czy to zrozumiałe, Dave?

Connorakusiło, żeby odpowiedzieć: nie, szefie.

Czy zechciałby pan powtórzyć jeszcze raz, ale wolniej?

- Tak, szefie.

- Jakieś pytania?

- Nie, szefie.

- Dobra.

Jak oficer będzie pana dobrze traktował, to na koniec wysłę mu befsztyk.

Po wszystkim zgłóś się pan do mnie po zapłatę.

Pięćdziesiąt dolarów.

- Mrugnął.

Pug wyjaśnił, że poważni kibice nie zgłaszają się po zapłatę, jeżeli chcą być ponownie zatrudnieni.

- Niech pan pamięta - przestrzegł.

- Jak szefowie "zapłata", ma pan mrugnąć.

Connor nie miał zamiaru brać pięćdziesięciu dolarów, ani kiedykolwiek tu wracać.

Mrugnął.

XXXII

- Dlaczego Lawrence leci na mecz śmigłowcem, a ja się muszę tłucsamochodem?
 - zapytał Żeriński, gdy kawalka składająca się z dziewięciu aut wyjechała przez bramę ambasady.
 - On tam musi być przed panem - rzekł Titow.
 - Chce przywitać się z wszystkimi gośćmi, żeby w chwili, gdy pan przyjedzie, sprawić wrażenie, jakby znał ich całe życie.
 - Ale za metody rządzenia krajem!
 - zauważył Żeriński.
 - Co nieznaczy, że to popołudnie jest ważne.
 - Milczał chwilę.
 - Wie pan, widziałem nawet karabin, z którego Fitzgerald chce mnie zabić.
 - Titow wyglądał na zaskoczonego.
 - To ten sam model, który CIA podrzuciła mu w Sankt Petersburgu.
 - Ale doskonale.
 - Włożył rękę do kieszeni marynarki.
 - Jak pan myśli, co to jest?
 - zapytał, pokazując coś, co wyglądało jak żęty gwóźdź.
 - Nie mam pojęcia - Titow potrzęsął głową.
 - Iglica remingtona 700 - odparł Żeriński.
 - Toteż można mu nawet pozwolić pociągnąć za spust, nim ochroniarze podziurawią go kulami jak sito.
 - Zbliżył ją do oczu.
 - Chyba każę ją oprawić i postawię na moim biurku na Kremlu.
 - Wrzucił iglicę z powrotem do kieszeni.
 - Czy tekst mowy, którą mam wygłosić wieczorem, został przekazany prasie?
 - Tak, panie prezydencie - odparł Titow.
 - Składa się głównie z zwyczajowych frazesów.
 - Można być pewnym, że nie przedrukują jej ani słowa.
 - A moja spontaniczna reakcja po zabiciu Fitzgeralda?
 - Też tu jest, panie prezydencie.
 - Doskonale.
 - Chciałbym trochę posmakować - rzekł Żeriński, rozsiadając się wygodnie.
 - Titow wyjął z walizeczki, którą miał przy sobie, tekturową teczkę i zaczął czytać ręcznie pisany tekst.
- 258
- "W dniu, kiedy mnie wybrano, prezydent Lawrence zatelefonował do mnie na Kreml i osobiście zaprosił mnie do swego kraju.
 - Przyjąłem jego propozycję w dobrej wierze.
 - I co się dzieje?
 - Moją wyciągniętą rękę napotyka niena gałązkę oliwną, ale na wycelowany we mnie karabin.
 - Gdzie?
 - W mojej własnej ambasadzie.
 - Następnie dowiaduję się, że zaspust pociągnął agent CIA.
 - Gdyby nie to, zesprzyłoby mi szczęście.
 - "
 - Był agent.
 - przerwał Żeriński.

- Uważam, że będzie roztropniej - powiedział Titow podnosząc wzrok znad notatek - jeżeli od czasu do czasu pan się pomyli, a nawet będzie się pan powtarzał. Dzięki temu nie będzie mógł sugerować, że z góry pan wiedział, co się stanie. W Ameryce ludzie lubią wierzyć w spiski.

- Będzie mi przyjemnie, jeżeli pogłębię ich paranoiczną podejrzliwość - rzekł Żeriński.
- Chcę, żeby Amerykanie długo po usunięciu Lawrence'a pisali o tym, jak doprowadziłem do kompletnego upadku stosunków między obydwoma krajami. Administracja Lawrence'a będzie tylko drobnym epizodem w historii odrodzenia imperium rosyjskiego pod moją prezydenturą.
- Uśmiechnął się promiennie do Titowa.
- A kiedy to osiągnę, nie będzie więcej mowy o wyborach. Ponieważ będę sprawował władzę aż do śmierci.

Connor spojrzął na zegarek.

Za cztery dziesiąta.

Przycisnął guzik windy kuchennej i usłyszał szum silnika, gdy kabina powoli ruszyła na siódme piętro.

Stadion miał zostać otwarty dla publiczności dopiero za trzydzieści cztery minuty, ale, jak Connor wiedział, minie sporo czasu, zanim tłum przecisnie się przez wszystkie punkty kontrolne i miejsca, gdzie zainstalowano trzydzieści czujników magnetycznych. Jednak on się musiał trzymać o wiele bardziej ścisłego harmonogramu niż ktokolwiek inny na stadionie.

Czterdzieści siedem sekund później zabrał tacy nacisnął guzik, dając znać personelowi w podziemiach, że do niego dotarła.

Poszedł szybko pasażem nasiódmym piętrem, minął kiosk i stanął przed drzwiami z napisem "Tylko dla personelu".

Trzymając tacę w lewej ręce, prawą otworzył drzwi kluczem i wśliznął się do środka.

Następnie zapalił światło i powędrował kładką na tył superkranu.

Znów spojrzął na zegarek - osiemdziesiąt trzy sekundy.

Za długo, ale ponieważ przy ostatnim biegu nie będzie miał tacy, powinien przeprowadzić całą operację, od dachu

do podziemia, w niecałe dwie minuty.

Jeżeli wszystko pójdzie według planu, znajdzie się poza stadionem i w drodze na lotnisko, zanim ustawią blokady na drogach.

Connor umieścił tacę na jednej ręce, a drugą zapukał do drzwi.

Po kilku sekundach otworzył mu wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, którego sylwetka odcinała się na tle prostokąta światła.

- Przyniosłem panu przekąskę - powiedział Connor z przyjaznym uśmiechem.

- Kławo!

- ucieszył się snajper.

- Włóż pan do środka.

- Wziął tacy kanapkę z wołowiną.

Connor poszedł za nim cienką platformą z ocynkowanej stali na tyłach olbrzymiego ekranu wideo, składającego się z 786 zespołów minikineskopów.

Agent Secret Service usiadł i wbił zęby w kanapkę.

Connor starał się, żeby nie zauważył, jak uważnie przygląda się jego karabinowi.

Superekran miał wysokość trzech pięter, jedno powyżej i jedno poniżej platformy.

Connor postawił tacę koło oficera, który siedział na schodach, prowadzących w dół.

Interesowała go puszka dietetycznej coly, a nie rozglądający się wokół Connor.

- Przy okazji - powiedział między jednym łykami a drugim.

- Jestem Arnie Cooper.

- Dave Krinkle - przedstawił się Connor.

- No to ile zabuliłeś, chłopie, za przyjemność spędzenia ze mną tego popołudnia?

- spytał Arnie, szczerząc zęby.

"Marinę One" usiadł na ładowisku dla śmigłowców na północny wschód od stadionu.

Limuzyna podjechała z cichym szumem silnika, zanim schodki dotknęły ziemi.

Po chwili ze śmigłowca wyłonili się Lawrence z Lloydem i prezydent odwrócił się, żeby pomachać dużej grupie sympatyków, po czym wszedł do czekającego auta.

Prawie pół kilometra do stadionu przebyli w niecałą minutę, nie zatrzymywani przez żadne kontrole.

John Kent Cook, prezes klubu Czerwonoskórych, czekał u wejścia do stadionu.

- To wielki zaszczyt, panie prezydencie - powiedział do Lawrence'a, gdy ten wysiadł z samochodu.

- Miło cię widzieć, John - odparł prezydent, ściskając rękę szczupłemu, siwowłosemu mężczyźnie.

Cooke zaprowadził gości do prywatnej windy.

- John, czy naprawdę wierzysz, że Czerwonoskórzy wygrają?

- zagadnął Lawrence.

260

- Panie prezydencie, to podchwytliwe pytanie, którego można się było spodziewać po polityku - odparł Cooke, gdy wchodzili do windy.

- Wszyscy wiedzą, że jest pan kibicem numer jeden drużyny Pakowaczy.

Ale muszę panu odpowiedzieć - tak.

Czerwonoskórzy będą bronić starego Dystryktu Kolumbii.

I wygrają.

- "Washington Post" się z tobą niezgadza - rzekł prezydent, gdy drzwi windy rozsunęły się na piętrze dla prasy.

- Jestem pewien, panie prezydencie, że jest pan ostatnią osobą, która by wierzyła we wszystko, co pisze "Post" - odparł Cooke.

Obydwaj wybuchnęli śmiechem.

Cooke wprowadził prezydenta do swojej jłazy, duęego, wygodnego pokoju położonego nad linią środkową, z doskonałym widokiem na całe boisko.

- Panie prezydencie, chciałbym panu przedstawić kilka osób, które uczyniły z Czerwonoskórych najwspanialszą drużynę futbolową w Ameryce.

Zaczęła od mojej żony Rity.

- Miło cię poznać, Rito - prezydent uściśnął kobiecie rękę.

- Gratuluję sukcesu na balu w Operze Narodowej.

Podobno zebrano rekordową kwotę pod twoim przewodnictwem.

Pani Cooke rozpromieniła się z dumy.

Lawrence umiał przytoczyć stosowną anegdotę lub fakt związany z każdą osobą, którą spotkał, łącznie z małym, starym człowieczkiem w blezerze Czerwonoskórych, który w żadnym razie nie mógłbyć dawnym zawodnikiem.

- To jest Pug Washer - rzekł John Cooke, kładąc rękę na ramieniu staruszka.

Pug.

- ...

jest jedynym człowiekiem w historii, który dostał się do Galerii Sławnych drużyny Czerwonoskórych, nie rozgrywając żadnego meczu - dokończył prezydent.

Pug uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Mówią też, że wie więcej o historii drużyny niż ktokolwiek inny.

Pug przysiągł w duchu, że nigdy więcej nie będzie głosował na republikanów.

- Więc powiedz mi, Pug, ile punktów - w rozgrywkach Pakowaczek kontra

Czerwonoskórzy - przez cały sezon zdobyli ci pierwsi, gdy ich trenerem był Vince Lombardi, w porównaniu z drugimi pod opieką tego samego trenera?

- Pakowacze czterysta pięćdziesiąt dziewięć, Czerwonoskórzy czterysta trzydzieści pięć

- odparł Pug z żalonym uśmiechem.

261.

- Tak myślałem - on nie powinien nigdy odejść od Pakowaczy -prezydent poklepał Puga po ramieniu.

-Czy pan wie, panieprezydencie -odezwał się Cooke - że nigdy nie udałomi się zadać pytania na temat Czerwonoskórych, na którePug nie znałby odpowiedzi?

- Czy ktoś kiedyś cię zagiął, Pug?

- spytał prezydent, znowuzwracając siędo chodzącejencyklopedii.

- Bez przerwy próbują, panie prezydencie - odparł Pug.

- Tylkowczoraj jeden facet.

Pug nie zdążył skończyć zdania, kiedy AndyLloyd dotknął łokcia Lawrence'a.

- Przepraszam, że przerywam, alewłaśnie dostałemwiadomość, że prezydent Żeriński zapiąć minut zajędzie przed stadion.

Pan prezydent razem z panem Cooke powinien teraz udać się do północno-wschodniego wejścia, żeby go przywitać.

- Tak, naturalnie - rzekł Lawrence.

Odwrócił się do Puga.

-Skończymy naszą rozmowę, jak wrócę.

Pug skinął głową.

Prezydentze swą swiłą opuściłpokój i poszedłpowitać Zerińskiego.

- Trochę tu ciasno - zawołał Connor, przekrzykując hałas wielkiegowentylatora pod sufitem.

-Pewnie - zgodził się Amie, pociągnąwszy ostatni łyk coca coli.

- Ale to taka robota.

-Spodziewa się pan dziś jakichś kłopotów?

- E, nie, niekoniecznie.

Jasne, będziemy w stanie pełnego pogotowia, kiedy prezydenci wyjdą na boisko, ale to potrwa tylkoz osiem minut.

Chociaż, gdyby tozależało od kapitana Braithwaite'a, to żadnemu z nich nie pozwoliłby wychylić nosa z łoży.

Connor kiwnął głową i zadał jeszcze kilka obojętnych pytań, wsłuchując się uważnie w brooklyńskiakcent Arnie'ego i wyłapujączwroty, których ten często używał.

Gdy Arnie pochłaniał czekoladowe ciastko, Connor spojrział przezlukę międzyobracającymi się tablicami reklamowymi.

Większośćagentów Secret Servicena stadionie też miała przerwę na przekąskę.

Skupił uwagę na wieży oświetleniowej poza zachodnim polem bramkowym.

Był tam Brad, który pilnie przysłuchiwałsię funkcjonariuszowi, pokazującemu łożę właściciela stadionu.

Właśnietakichludzi potrzeba w Secret Service, pomyślał Connor.

Odwrócił się do Arnie'ego.

262

- Przyjdęznovu na początku meczu.

Z talerzem kanapek, kawałkiem ciastai coca colą.

Pasuje?

- Jeszcze jak.

Ale z ciastem lepiej ostrożnie.

Nieprzejmuję się,jakżona gdera, że przytyłem, ale ostatnio zaczął mi docinać dowódca ochronyprezydenta.

Zabrzmiała syrena, dając znak personelowi stadionu, że minęłopół do jedenastej i bramy zostają otwarte.

Kibice zaczęli napływać na trybuny, przeważnie kierując się wprost na miejsca, które zajmowały.

Connor zabrał pustą puszkę coca coli oraz plastikowe pudełko i postawił je na tacy.

- Przyjdę z lunchem, jak zacznie się mecz -oznajmił.

-Dobra - rzucił Arnie, który patrzył przez lornetkę na tłum poniżej.

- Aleniek pannie puka, póki prezydenci nie wrócą do łóż.

Nikommu pozamną niewolno tu być, kiedy oni wyjdą naboisko.

- W porządku, rozumiem - powiedział Connor, rzucając ostatnie spojrzenie na karabin agenta.

Kiedy odwrócił się dowyjścia, dobiegł go głos z radiotelefonu.

- Herkules trzy.

Arnie odpiął radiotelefon od pasa, nacisnął guzik i powiedział:

- Tu Herkules trzy.

Co jest?

Connor marudził przy drzwiach.

- Wszystko gra, kapitanie Braithwaite.

Właśnie miałem rzucić okiem na zachodnią trybunę.

- Dobrze.

Zamelduj, jeżeli zauważysz coś podejrzanego.

- Tak jest- rzekł Arnie i z powrotem przypiął radiotelefon do pasa.

Connor cicho zamknął za sobą drzwi i postawił pustą puszkę po coca coli nastopniu.

Sprawił, która godzina, potem szybkim krokiem przemierzył kładkę i otworzył drzwi na końcu.

W pasażu roilo się od kibiców podążających na swoje miejsca.

Dotarli do szybu windy, znów spojrzal na zegarek.

Pięćdziesiąt cztery sekundy.

Podczas finałowego biegu nie może przekroczyć trzydziestu czterech.

Nacisnął guzik.

Poczerdziestu siedmiu sekundach zjawila się winda kuchenna.

Widać nie wzywał jej nikt z drugiego ani piątego piętra.

Connor wstawił tacę do środka i ponownie nacisnął guzik.

Winda natychmiast ruszyła

w dół.

Nikt nawet nie spojrzal na Connora, który w białym fartuch kucharskim i klubowej czapeczce kroczył niedbale koło kiosku

263.

w stronę drzwi z napisem "Tylko dla personelu".

Wśliznął się do środka, zamknęła sobą drzwi na klucz i bezszelestnie stąpając wąską kładką wrócił na tył superekranu.

W odległości kilku metrów od wejścia zatrzymał się i spojrzał na potężny stalowy wspornik, podtrzymujący masywny ekran wideo.

Connor złapał się poręczy, potem upadł na kolana.

Wychylił się do przodu, schwycił wspornik obydwoma rękami i przerzucił ciało przez poręcz.

Wpatrywał się cały czas w ekran, który według planu architekta znajdował się w odległości trzynastu metrów.

Odnosił się wrażenie, że to kilometr.

Widział stąd mały uchwyt, ale wciąż nie miał pewności, czy drzwi zapasowe, wyraźnie zaznaczone na planie, rzeczywiście istnieją.

Zaczął się powoli czołgać po wsporniku, ani razu nie spoglądając pięćdziesięciometrową przepaść pod sobą.

Miał uczucie, jakby to były dwa kilometry.

Kiedy wreszcie doczotgał się do końca, opuścił nogi i mocno chwycił się rękami, jakby był na grzbiecie konia.

Na superekranie, który przed chwilą pokazywał powtórkę przyłożenia podczas ostatniego meczu Czerwonoskórych, teraz szła reklama sklepu sportowego Modeli.

Connor zaczerpnął tchu, chwycił rączkę i pociągnął.

Kłapa odsunęła się, odsłaniając obiecany kwadratowy otwór o boku pięćdziesięciu czterech centymetrów.

Connor wolno opuścił się do środka i zasunął kłapę.

Czuł napierającą ze wszystkich stron stal i żałował, że nie zabrał ze sobą grubych rękawic.

Miał wrażenie, jakby tkwił w środku lodówki.

Jednak z każdą minutą nabierał pewności, że gdyby trzeba było się uciec do zapasowego planu, nikt nigdy by nie odkrył, gdzie jest.

Trwał zawieszony wewnątrz pustej stalowej belki pięćdziesiąt metrów nad ziemią przez ponad półtorej godziny, z najwyższym trudem obracając rękę, by sprawdzić, która godzina.

Ale przecież w Wietnamie spędził kiedyś dziesięć dni, stojąc wyprostowany w bambusowej klatce, w wodzie aż po brodę.

Czegoś takiego, jak podejrzewał, Arnie nigdy nie doświadczył.

XXXIII

Żeriński uściśnął serdecznie dłonie wszystkim, których mu przedstawiono, i nawet zaśmiewał się z żartów Johna Kenta Cooke'a.

Pamiętał nazwiska wszystkich gości na każde zadane pytanie odpowiadał uśmiechem.

Amerykanie z wątoofensywą wdzięku, powiedział mu Titow.

Tym większą zgrozę wzbudzi to, co zaplanował dla nich wieczorem.

Już słyszał, jak goście mówią dziennikarzom:

- Zachowywał się bez troski i z nadzwyczajną swobodą, zwłaszcza w stosunku do prezydenta, o którym ciągle mówił "mój drogi, bliski przyjaciel Tom".

Goście przypomną sobie, że Lawrence nie był tak serdeczny, lecz traktował przybyśza z Rosjidością oziębłą.

Po skończonych prezentacjach John Kent Cooke uderzył łyżką w stół.

-Żałuję, że muszę przerwać tak miłą uroczystość - zaczął - ale czas ucieka, a jest to prawdopodobnie jedyna okazja w moim życiu, kiedy będę pouczał naraz dwóch prezydentów.

- Tu i tam rozległ się śmiech.

Cooke nałożył okulary i zaczął czytać z kartki, podanej przez asystenta prasowego.

- O jedenastej dwadzieścia udam się wraz z oboma prezydentami do południowego wejścia stadionu, a o jedenastej trzydzieści sześć poprowadzę ich na boisko.

- Podniósł głowę.

- Załatwiłem, że owacja będzie głośniejsza - powiedział z uśmiechem.

Rita roześmiała się trochę za głośno.

- Gdy znajdziemy się na środku boiska, przedstawię prezydentom kapitanów obu drużyn, a ci z kolei przedstawią swoich zastępców i trenerów.

Potem zaprezentuję prezydentom organizatorów meczu.

O jedenastej czterdzieści wszyscy zwrócą się w stronę zachodniej trybuny, gdzie orkiestra Czerwonoskórych odegra rosyjski hymn narodowy, a po krótkiej przerwie "Gwiazdzisty sztandar".

265.

Punktualnie o jedenastej czterdzieści osiem nasz czcigodny gość prezydent Żeriński rzuci srebrnego dolara.

Potem razem z obydwoma żentelmenami powrócę tutaj, gdzie - jak mam nadzieję - wszyscy z przyjemnością będą patrzeć, jak Czerwonoskórzy biją Pakowaczy.

Prezydenci roześmiali się.

Cooke podniósł oczy znad kartki, szczęśliwy, że połowa ciężkich obowiązków zanim.

- Czy są jakieś pytania?

- zapytał.

- Tak, John, ja mam pytanie - odezwał się Żeriński.

- Niewytłumaczyłeś, po co mam rzucić monetę.

- Żeby kapitan, który zgadnie, czy orzeł, czy reszka, mógł zdecydować, kto rozpoczyna grę.

- Co zaśmieszny pomysł - skwitował Żeriński.

Upływały minuty i Connor coraz częściej spoglądał na zegarek.

Nie chciał tu tkwić dłużej niż było konieczne, ale potrzebował czasu, żeby się oswoić z karabinem, którego nie używał od lat.

Znowu sprawdził, która godzina.

Dziesięć po jedenastej.

Odczeka jeszcze siedem minut.

Choćby się niecierpliwił, nigdy nie wyrzuci się za wcześnie - to tylko zwiększa ryzyko.

Dwanaście po jedenastej.

Pomyślało Chrisie Jacksonie i o tym, jak się poświęcił, żeby mu dać tę jedyną szansę.

Czternaście po jedenastej.

Pomyślał o Joan i okrutnej, niepotrzebnej śmierci, którą zarządził Gutenberg, tylko dlatego, że byłajego sekretarką.

Piętnaście po jedenastej.

Pomyślał o Maggie i Tarze.

Jeżeli mu się powiedzie, to może będą mogły żyć spokojnie.

Tak czy owak, wątpił, czy jeszcze je zobaczy.

Siedemnaście po jedenastej.

Odsunął klapę i powoli wypełził nazewnątrz.

Zebrał siły, przerzucił nogi przez wspornik i mocno ścisnął go udami.

Jak przedtem, nie patrzył w dół, pokonując trzynaście metrów do kładki.

Dotarłszy do celu, schwycił występ poprzeczki i podciągnął się w górę.

Przez kilkasekund wspierał się o poręcz, by ochłonać, poczym wykonał serię ćwiczeń rozluźniających.

Dwadzieścia siedem po jedenastej.

Głęboko odetchnął, po raz ostatni powtarzając w myślach swój plan, a potem szybko skierował się do stanowiska agenta, przystając tylko, by podnieść pustą puszkę coca coli, którą zostawił na stopniu.

266

Głośno zastukał do drzwi.

Nie czekając na odpowiedź, otworzył je, wszedł do środka i przekrzykując szum wentylatora zawołał:

- Tylko ja!

Arnie wyrzwał z górnego pomostu, palcami prawej ręki dotykając spustu armalite'a.

- Spływaj!

- rzucił.

-Mówiłem, żeby nie wchodzić, póki prezydenci nie zejną z boiska.
Niewiele brakowało, żebym strzelił.

- Przepraszam - rzekł Connor - ale tu jest tak gorąco, że postanowiłem przynieść panu jeszcze jedną coca colę.

Podał w wyciągniętej ręce pustą puszkę, Arnie pochylił się i wyciągnął po nią wolną rękę.

Gdy dotknął palcami brzegu puszkę, Connor ją puścił, schwycił go za przegub i z całą siłą szarpnął do dołu.

Arnie wrzasnął spadając z hukiem i uderzył głową w platformę.

Karabin potoczył się po metalowej podłodze.

Connor okręcił się i skoczył na swego przeciwnika, nim tamten zdążył wstać.

Gdy podniósł głowę, Connor trafił go w prosty w podbródek, co na moment go oszołomiło, i schwycił kajdanki, które tamten miał u pasa.

Kątem oka dostrzegł kolano, celujące w jego krocze, ale zrobił unik i cios przeszedł bokiem.

Kiedy Arnie usiłował stanąć na nogi, Connor wymierzył mu kolejny cios, tym razem w nos.

Usłyszał trzask i po twarzy Arnie'ego popłynęła krew, nogi się pod nim ugięły i upadł.

Connor znów na niego skoczył, a kiedy Arnie próbował wstać, z taką siłą uderzył go w prawe ramię, że ten padł na platformę i znieruchomiał.

Connor zrzucił długi biały fartuch, koszulę, krawat, spodnie, skarpetki i czapkę.

Cisnął wszystko w kąt, potem odpiął kajdanki Arnie'ego i szybko zdjął z niego mundur.

Włożył go, ale okazało się, że spodnie są kilka centymetrów za krótkie, a buty dwa numery za małe.

Musiał podciągnąć skarpetki i zostać w swoich pantoflach treningowych.

Niesądził, aby w zamęcie, jaki miał spowodować, ktoś sobie przypomniał, że widział agenta Secret Service w nieregulaminowych butach.

Connor wyciągnął krawat z kieszonki i mocno związał kostki Arnie'ego.

Podźwignął nieprzytomnego mężczyznę i oparł go o ścianę, przerzucił jego ręce wokół stalowej belki, która biegła przez szerokość superekranu, i zatrzasnął na przegubach kajdanki.

Na koniec wyjął chusteczkę z kieszeni, zrolował ją i wepchnął Arnie'emu do ust.

Biedny drań przez kilka dni będzie obolały.

A to, że straci parę zbędnych kilogramów, które wytykał mudowódca, raczej nie ulży mu w cierpieniach.

- Nie bierz tego do siebie - powiedział Connor.
Położył czapkęciemne okulary Arnie'ego koło drzwi i schwycił jego broń - tak jakmyślał, karabinek automatyczny M-16.
Nie była to jego ulubionabroń, ale mógłz jejpomocąwykonać zadanie.
Prędko wszedł poschodach na podestdrugiego piętra, gdzie siedział Arnie, ująłjegalornetkę i przez lukę między tablicą ogłoszeniową i ekranem wideoprzyjrzał się tłumowi.
Za dwadzieściaosiem dwunasta.
Od wejścia Connorado wnętrzaobudowy superekranu minęły trzy minuty i trzydzieści osiem sekund.
Nawalkę przewidział w swoim planie cztery minuty.
Zacząłgłęboko, równo oddychać.
Nagle z tyłu usłyszał:
- Hercules trzy.
Wpierwszejchwili nie wiedział, skąddochodzi głos, ale zaraz sobie przypomniał o małym radiotelefonie u pasa Amie'ego.
Odpiął go.
- Herkules trzy.
Co jest?
- Arnie, myślałem, żeś się gdzieś zawieruszył - powiedział dowódca.
- Wszystko w porządku?
Nopewnie.
Musiałem sięodlać i pomyślałem, że lepiej nie robić tego nad tłumem.
- Słusznie - rzekłBraithwaite wybuchając śmiechem.
- Obserwujswój odcinek.
Niedługo Czerwone Światło i Wodospad wyjdą na boisko.
- Tak jest - powiedział Connor akcentem, zajaki matka by goprześwieciła.
Połączenie zostało przerwane.
Za dwadzieścia sześć dwunasta.
Rozejrzał siępo stadionie.
Tylkokilka czerwonych i żółtych miejsc nie było zajętych.
Starał sięnie patrzećw dół na skąpo odziane Czerwone Skórki, wymachujące wysoko nogami.
Tłum ryknął nawidok drużyn,które wyłoniły się z tuneli na południowym krańcu stadionu.
Zawodnicy pobiegłitruchtem na środek boiska i tłum zaczął skandować:"Niech żyją Czerwonoskórzy".
Connor podniósł do oczu lornetkę i skierowałjąną wieżę oświetleniową, wznoszącą się wysoko ponad stadionem.
Prawie wszyscyagenci obserwowali badawczo tłum,sprawdzając, czy gdzieś nie czaisięniebezpieczeństwo.
Żaden z nich nie interesował sięjedynymmiejscem, skąd miałnadciągnąć.
Connor dostrzegłmłodego Brada,który sprawdzał, rząd za rzędem, północną trybunę.
Chłopak miałminę, jakbybył w siódmym niebie.

268

Connor obrócił się spojrzął przez lornetkę na linięśrodkową boiska.

Obydwaj kapitanowie stali teraz naprzeciwko siebie.

Za dwadzieścia cztery dwunasta.

Tłum znów ryknął, gdypojawił się JohnKent Cooke, z dumą wiodący obydwu prezydentów w towarzystwiekilkunastu ochroniarzy, niemal takich dryblasów jak zawodnicy.

Connorowi wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że zarówno Żeriński, jak i Lawrence mają na sobie kamizelki kuloodporne.

Z chęcią wymierzyłby karabin w Żerińskiego i natychmiast ustawił kropki podziałki celownika tak, by znalazły się na jego głowie, ale nie mógł ryzykować, że zostanie dostrzeżony przez któregoś zestrzelców wyborowych na wieżach oświetleniowych.

Wszyscy mieli karabiny przyłożone do ramienia.

Wiedział, że wyszkolono ich tak, że potrafiliby wycelować i wystrzelić w ciągu niespełna trzech sekund.

Kiedy prezydentom przedstawiano graczy, Connor obserwował flagę Czerwonoskórych, łopocącą na wietrze nad zachodnim krańcem stadionu.

Otworzył zamek i stwierdził, że, jak się tego spodziewał, broń ma pełny magazynek, jest odbezpieczona i niezareperowana.

Wprowadził pierwszy nabój do komory i zaryglował zamek.

Tędyż wiek podziałała na niego jak huk pistoletu startowego i nagle poczuł, że serce bije mu prawie dwa razy szybciej.

Za dziewiętnaście dwunasta.

Prezydenci rozmawiali teraz z organizatorami meczu.

Connor widział przez lornetkę, jak John Kent Cooke nerwowo spogląda na zegarek.

Pochylił się i coś szepnął doucha Lawrence'owi.

Amerykański prezydent kiwnął głową, dotknął łokciem Żerińskiego i zaprowadził go na wolną przestrzeń między drużynami.

Na trawie widać było dwa małe białe kółka: w jednym narysowano niedźwiedzia, w drugim orła, aby przywódcy wiedzieli, gdzie stanąć.

- Panie i panowie - zahuczał głośnik.

- Zostanie odegrany hymn narodowy Republiki Rosyjskiej.

Proszę wstać.

Rozległ się stukot krzesel, gdy tłum wstawał miejsc.

Wielu zdejmowało czapki klubowe Czerwonoskórych, zwracając się w stronę orkiestry i chóru na zachodnim krańcu boiska.

Dyrygent wznosił pałeczkę, trzymał ją chwilę nieruchomo i nagle opuścił z rozmachem.

Tłum niespokojnie słuchał melodii, którą znali tylko nieliczni.

Connor już wiele razy przeżył się, gdy grano hymn narodowy Rosji, lecz stwierdził, że mało orkiestr poza krajem gra we właściwym tempie, bądź wie, ile zwrotek trzeba wykonać.

Postanowił więc spróbować jedynejszansy, kiedy zagrają "Gwiazdzisty sztandar".

269.

Gdy orkiestra skończyła grać hymn rosyjski, zawodnicy zaczęli się przeciągać i truchtać w miejscu, żeby uspokoić nerwy.

Connor czekał na ponowny ruch pałeczki kapelmistrza jak na sygnał, by skierować celownik na Zerińskiego.

Spojrzał na maszt flagowy pod drugą stroną stadionu: chorągiew Czerwonoskórych zwisała luźno, co dowodziło, że prawie nie ma wiatru.

Kapelmistrz drugi raz podniósł pałeczkę w górę.

Connor umieścił karabin w luce pomiędzy trójkątną tablicą ogłoszeniową i ekranem wideo, opierając go na drewnianej ramie.

Przesunął lunetę celownika po boisku, po czym skierował ją na tył głowy Zerińskiego, ustawiając kropki podziałki do chwili, aż zajęła środek pola widzenia lunety.

Zabrzmiał pierwszy takt hymnu amerykańskiego i obydwaj prezydenci wyraźnie znieruchomili.

Connor zrobił wydech.

Trzy.

dwa..

jeden.

Delikatnie nacisnął spust w chwili, gdy Tom Lawrence położył prawą rękę na sercu.

Zaintrygowany nagłym ruchem Zerińskiego spojrzał w lewo i pocisk przeleciał nieczyniąc mu krzywdy koło prawego ucha.

Siedemdziesiąt osiem tysięcy fałszujących głosów sprawiło, że nikt nie usłyszał miękkiego pacnięcia niewielkiego kawałka metalu, który wpadł w trawę poza środkową linią boiska.

Brad, leżąc na brzuchu na platformie wieży oświetleniowej wysoko nad łóżami dyrekcji, bacznie wpatrywał się w tłum przez lornetkę.

Jego wzrok zatrzymał się na "Jumbo-Tronie".

Superekran wypełniała nadnaturalnej wielkości sylwetka prezydenta Lawrence'a z ręką na sercu, z werwą śpiewającego hymn narodowy.

Lornetka ześliznęła się Bradowi.

Nagle poderwał ją do oczu.

Wydawało mu się, że coś widzi w luce pomiędzy trójkątną tablicą ogłoszeniową i ekranem wideo. Sprawdził jeszcze raz.

to była lufa karabinu, wycelowana w środek boiska, stercząca przez lukę, w której wcześniej widział Arnie'ego spoglądającego przez lornetkę.

Naregulował ostrość i spojrzał w twarz, którą już dziś widział.

Nie wahał się ani chwili.

- Osłaniaj ewakuuj!

Strzelec!

Brad mówił tak nagle i z taką powagą, że Braithwaite i dwaj przeciwnajperzy automatycznie skierowali lornetki na "Jumbo-Tron".

W ciągu kilkusekund nastawili ostrości i zobaczyli Connora przymierzającego się do drugiego strzału.

"Spokojnie - mówił sobie Connor.

- Nie spiesz się.

Masz mnóstwo czasu".

- Głowa Zerińskiego wypełniła pole widzenia lunety

270

celownika.

Connor nastawił kropki podziałki i wypuścił powietrze z płuc.

Trzy.

dwa.

Pocisk wystrzelony przez Braithwaite'a uderzył go w lewe ramię, odrzucając do tyłu. Drugi pocisk wpadł w świsem przez lukę, w której przed chwilą tkwiła jego głowa.

Hymn narodowy dobiegł końca.

Dwadzieścia osiem lat wykszolenia przygotowało Connora naten moment.

Każde włókno jego ciała krzyczało, żeby uciekał.

Natychmiast przystąpił do realizacji planu A, próbując lekceważyć dręczący ból w ramieniu. Dotarł do drzwi, zgasił światło i wydostał się na kładkę.

Próbował przebiec do następnych drzwi, prowadzących do pasażu, ale stwierdził, że musi zmobilizować całą energię, aby w ogóle się poruszać.

Czterdzieści sekund później, w chwili gdy prezydentów prowadzono z boiska, dotarł do drzwi.

Usłyszał wrzask tłumy, kiedy Czerwonoskórzy szykowali się do kopnięcia piłki inauguracyjnego meczu.

Connor otworzył drzwi, chwilejnie podszedł do windy kuchennej i parokrotnie dźgnął palcem guzik.

Usłyszał buczenie małego silnika i winda zaczęła pisać się powoli na siódme piętro.

Rzucił spojrzenia w lewo i prawo, badając, czy nie nadciąga niebezpieczeństwo.

Ból w ramieniu nasilił się, ale wiedział, że nic na to nie może poradzić.

Wszelkie organy ścigania sprawdziłyby najpierw miejscowe szpitale.

Wetknął głowę do szybu i zobaczył zbliżający się wierzch windy.

Jeszcze piętnaście sekund.

Nagle winda stanęła.

Ktoś do niej coś wkłada albo wyjmuję na piętrze zarezerwowanym dla dyrekcji.

Connor instynktownie podjął decyzję, by wprowadzić w życie plan rezerwowany, do czego nigdy dotąd nie musiał się uciekać.

Wiedział, że tu niemoże stać - gdyby czekał kilkasekund dłużej, ktoś go zauważy.

Ruszył z powrotem najszybciej jak mógł do drzwi prowadzących na tył superkranu.

Winda kuchenna ruszyła znowu.

Taca z kanapkami, kawałek tortu czekoladowego i coca cola, na którą czekał Arnie, zjawiała się po kilku sekundach.

Connor znów prześliznął się przez drzwi z napisem "Tylko dla personelu", nie zamykając ich na klucz.

Musiał zmobilizować całą siłę woli, by pokonać odległość sześćdziesięciu metrów, ale wiedział, że łąda chwila przez te drzwi wpadnie oddział specjalny do ochrony prezydenta.

Dwadzieścia cztery sekundy później Connor dotarł do masywnego wspornika, na którym wspierał się kran wideo.

Uchwycił poręcz

271.

prawą ręką i opuścił się na występ poniżej w chwili, kiedy drzwi korytarza otworzyły się na oścież.

Wśliznął się pod kładkę i usłyszał biegnące w jego stronę dwie pary nóg; kroki zadudniły mu nad głową i zatrzymały się przed wejściem na tyły konstrukcji superekranu.

Przez szparę widział, jak oficer z pistoletem w ręku pchnął drzwi.

Nie wchodząc do środka, po omacku szukał kontaktu.

Connor odczekał, aż zapali się światło i dwaj oficerowie zniknęli z drzwiami, i dopiero wtedy zaczął się czołgać po trzynastometrowym wsporniku trzeci raz tego dnia.

Ale teraz mógł się trzymać tylko prawą ręką, co znacznie zwalniało tempo.

Musiał też uważać, żeby krew kapiąca z lewego ramienia spadała w otchłań pod nim, niezostawiając widocznych śladów na wsporniku.

Oczom pierwszego agenta Secret Service, gdy wszedł do środka, najpierw ukazał się Arnie przypięty kajdankami do stalowej belki.

Zbliżył się powoli do niego, rozglądając się na wszystkie strony.

Jego partner osłaniał go, kiedy zdejmował Arnie'emu kajdanki, delikatnie opuszczał go na podłogę, wyjmował mu z ust chusteczkę i badał puls.

Nie ulegał wątpliwości, że Arnie żyje.

Arnie podniósł oczy na sufit, ale nic nie mówił.

Pierwszy agent natychmiast zaczął wchodzić po stopniach na drugi poziom, jego towarzysz zaś go osłaniał.

Pierwszy ostrożnie sunął po występie za olbrzymim ekranem.

Przez stadion przetoczył się ogłuszający ryk tłumu, witający przyłożenie zaliczone przez Czerwonych, ale agent nie zwracał na to uwagi.

Gdy doszedł do końca, odwrócił się i skinął głową.

Drugi zaczął się wspinać na najwyższy poziom, gdzie przeprowadził podobne rozpoznanie.

Obydwaj oficerowie wrócili na niższy poziom, dwukrotnie sprawdzając każdą możliwą kryjówkę, kiedy przemówił radiotelefon pierwszego:

- Hercules siedem.

- Hercules siedem, słucham.

- Znaleźliście kogoś?

- spytał Braithwaite.

- Nie ma tu nikogo oprócz Arnie'ego, który w bieliźnie był przypięty kajdankami do stalowej belki.

Jedne i drugie drzwi były otwarte, i przez całą drogę aż dopasażu widać ślady krwi, tak że na pewnego pana trafił.

Musi tu gdzieś być.

Ma na sobie mundur Arnie'ego, więc łatwo wpadnie w oczy.

- Nie liczcie na to - rzekł Braithwaite.

- Jeżeli to ten, którego mam na myśli, to może być tuż pod waszym nosem;

XXXIV

W Pokoju Ovalnym trzej mężczyźni słuchali nagrania z taśmą magnetofonowej.

Dwaj byli w strojach wieczorowych, trzeci w mundurze.

- Jaki znalazłeś?

- spytał Lawrence.

- W kupce odzieży, którą Fitzgerald zostawił na pomoście za superekranem - odparł dowódca ochrony prezydenta, Braithwaite.

- W tylnej kieszeni dżinsów.

- Ile osób słuchało taśmy?

- spytał Lloyd, starając się ukryć niepokój.

- Nikt poza nami trzema w tym pokoju, panie prezydencie - rzekł Braithwaite.
- Gdy tylko ją włączyłem, natychmiast tu się zgłosiłem.

Nie poinformowałem nawet mojego szefa.

- Jestem ci za to wdzięczny, Bili - powiedział prezydent.

- Ale co z tymi, którzy byli świadkami incydentu na stadionie?

- Oprócz mnie tylko pięciu ludzi wiedziało, że coś się dzieje, i może pan być pewien ich dyskrecji.

Czterech należy do mojego personelu od dziesięciu lub więcej lat i do spółki znają tyle sekretów, że mogliby pograć czterech ostatnich prezydentów, nie mówiąc o połowie Kongresu.

- Czy ktoś widział Fitzgeralda?

- spytał Lloyd.

- Nie, proszę pana.

Dwaj agenci, którzy przeszukiwali miejsca tuż po incydencie, nie natknęli się na żaden ślad z wyjątkiem kupki dzieży, mnóstwa krwi i jednego z moich ludzi, przykutego kajdankami do belki.

Po przesłuchaniu taśmy rozkazałem, żeby nie sporządzano ani pisemnego, ani ustnego raportu o incydencie.

- A co z człowiekiem, który wisiał na belce?

- spytał prezydent.

- Po prostu się pośliznął i spadł ze stopnia.

Wystąpił go namiesiąc naczorobowe.

- Wspomniał pan piątą osobę - rzekł Lloyd.

273

18. Jedenaste przykazanie.

- Tak, proszę pana.

Student, który był z nami na wieży oświetleniowej.

- Skąd może być pan pewien, że nie będzie mówił?

- Jego podanie o przyjęcie do Secret Service leży w tej chwili na moim biurku - odparł kapitan.

- Myślę, że ma nadzieję, że zostanie przydzielony do mnie, jak tylko skończysz szkolenie.

Prezydent się uśmiechnął.

- A pocisk?

- spytał.

- Przekopałem kawał boiska, żeby go wydobyć po meczu - rzekł Braithwaite podając prezydentowi spłaszczony kawałek metalu.

Lawrence wstał zza biurka, odwrócił się i wyrzcił przez okno wykuszu.

Nad Kapitelem zapadał zmierzch.

Objął wzrokiem trawnik, myśląc o tym, co ma powiedzieć.

- Ważne, Bili, żebyś wiedział jedno - przemówił w końcu.

- Tengłos na taśmierzeczywiście brzmi jak mój, ale ja nigdy nikomu nie podsuwałem myśli, żeby zabić Żerińskiego czy kogoś innego.

- Panie prezydencie, nie mam co do tego wątpliwości, w przeciwnym wypadku nie byłoby mnie tutaj.

Ale muszę być z panem równie szczery.

Gdyby ktoś z Secret Service zdawał sobie sprawę, że to Fitzgerald jest tam w środku, prawdopodobnie pomógłby mu uciec.

- Jakichkolwiek może budzić taką lojalność?

- spytał Lawrence.

- W pańskim świecie chyba Abraham Lincoln - rzekł Braithwaite.

- W naszym Connor Fitzgerald.

- Chciałbym go spotkać.

- To będzie trudne, panie prezydencie.

Nawet jeżeli jeszcze żyje, to jakby zapadł się pod ziemię.

Nie chciałbym, aby moja kariera zależała od tego, czy go aresztują.

- Panie prezydencie - przerwał Lloyd.

- Jest pan już spóźniony siedem minut na obiad w ambasadzie rosyjskiej.

Lawrence uśmiechnął się i uściśnął rękę Braithwaite'owi.

- Jeszcze jeden szlachetny człowiek, o którym nie mogę powiedzieć Amerykanom - rzekł z kwaśnym uśmiechem.

- Przypuszczam, Bili, że dziś wieczorem też będziesz na służbie.

- Tak, panie prezydencie.

Zostałem odkomenderowany do ubezpieczania całej wizyty prezydenta Żerińskiego.

- Więc może zobaczę cię później.

Bili.

Gdybyś miał jakąś wiadomość o Fitzgeraldzie, chciałbym ją natychmiast usłyszeć.

- Oczywiście, panie prezydencie - rzekł Braithwaite, odwracając się, by odejść.

274

Lawrence i Lloyd powędrowali w milczeniu do południowego końca, gdzie stało w szeregudziwięćlimuzyn z zapalonymi silnikami.

Prezydent wsiadł do szóstego samochodu i zwrócił się do szefa personelu:

- Jak myślisz, Andy, gdzie on jest?

- Nie mam pojęcia.

Alegdybym wiedział, prawdopodobnie zaciągnąłbym się do oddziału Braithwaite' ai pomógłbym mu uciec.

- Dlaczego nie możemy mieć kogoś takiego na stanowisku dyrektora CIA?

- Moglibyśmy mieć, gdyby żył Jackson.

Lawrence odwrócił się i spojrział w okno.

Coś mu nie dawało spokoju od chwili, kiedy opuścił stadion, ale gdy eskorta motocykli jeździła w bramę ambasady rosyjskiej, wciąż nie mógł sobie uprzytomnić, co to było.

- Dlaczego on jest taki zły?

- spytał Lawrence na widok Żerińskiego, który chodził tam iz powrotem przed ambasadą.

- Panie prezydencie, jest pan spóźniony siedemnaście minut - powiedział Lloyd spojrzawszy na zegarek.

- Wielkie rzeczy.

Szczerze mówiąc, ten przeklęty facet ma szczęście, że żyje.

- Myślę, że nie może pan wykorzystać tego jako usprawiedliwienia.

Kawalkada zahamowała przed rosyjskim prezydentem.

Lawrence wysiadł z samochodu i powiedział:

- Witaj, Wiktorze.

Przepraszam, że parę minut się spóźniliśmy.

Żeriński nie próbował ukryć niezadowolenia.

Po chłodnym przywitaniu, milcząc, wprowadził honorowego gościa do ambasady, a potem schodami do pełnego ludzi Zielonego Pokoju.

Potem podbył pretekstem odszedł, porzucając prezydenta Stanów Zjednoczonych na pastwę ambasadora Egiptu.

Lawrence omiatał wzrokiem pokój, tymczasem ambasador usiłował zainteresować go wystawą egipskich wytworów kultury materialnej, którą niedawno otwarto w Smithonian Institution.

- Tak, spróbuję znaleźć okienko w moim programie, aby ją zobaczyć - powiedział automatycznie prezydent.

- Wszyscy, którzy naniej byli, mówią, że jest wspaniała.

- Ambasadora się ropromienił, Lawrence zaś dostrzegł człowieka, którego szukał.

Zamienił jeszcze kilka słów z trzema ambasadorami, dwiema żonami

ambasadora w korespondentem politycznym "Prawdy", zanim dotarł wreszcie do Harry'ego Nourse'a bez wzbudzania podejrzeń.

- Dobry wieczór, panie prezydencie - przywitał go prokurator generalny.
- Musipan być zadowolony z wynikudzisiejszegomeczu.
- Jasne, Harry- powiedział prezydent.
- Ciągłe powtarzam, żePakowacze wszędzie i zawsze potrafią pokonać Czerwonoskórych.
-Zniżył głos: - Chciałbym, żebyś przyszedłdo mojego biura o północy.
Potrzebuję porady prawnej.

- Oczywiście, panie prezydencie -odparł cichoprokurator generalny.
-Rito - powiedział prezydent, zwracając się na prawo.
- Byłobardzo miłospędzić razem popołudnie.
Pani Cooke odpowiedziała prezydentowi uśmiechem.

W tym momencie w głębi zabrzmiał gong i lokaj ogłosił, że podano do stołu.
Gwar rozmów przycichł i goście skierowalisię dosali balowej.

Lawrence'a posadzono między panią Pietrowską, żonąambasadora, i Jurijem Olgiwiczem, nowo mianowanym szefem rosyjskiegoprzedstawicielstwa handlowego.
Prezydentwkrótce odkrył, że Olgiwicz nie znasłowa po angielsku- następna subtelna aluzja ze stronyŻerińskiego o jego stosunku do zwiększenia wymiany handlowejmiędzy obu krajami.

- Musi pan być zadowolonyz wyniku dzisiejszego meczu - powiedziała żona rosyjskiego ambasadora, gdy przed prezydentemstawiano miskę barszczu.
-Oczywiście, Olgo - rzekł Lawrence.

- Ale wątpię, czy większośćpubliczności była w tej sprawie po mojej stronie.
Pani Pietrowską się zaśmiała.

- Czy orientowałaś się w przebiegu meczu?
- spytał prezydent,ujmując łyżkę.
- Niezupełnie - odparła.

- Ale na szczęście siedziałam koło PugaWashera, który chętnieodpowiadał na moje nawet najprostsze pytania.

Prezydentupuścił łyżkę, nie nabrawszy zupy.
Popatrzył na drugąstronę sali na Lloyda i oparłpodbródek na pięści.
Był to znak,którego używał, kiedy chciał pilnie rozmawiać zszefem personelu Białego Domu.

Lloyd wybąkał kilka słów usprawiedliwienia do swej sąsiadkiz prawej, zwinął serwetkę położył na stole, po czym podszedł doprezydenta.

- Chcę się natychmiast widzieć z Braithwaite'em - szepnął Lawrence.
- Chyba wiem, jak znaleźć Fitzgeralda.

276

Lloyd bez słowa wymknął się z sali.
Tymczasem kelner sprzątnąłmiskę z barszczem stojącą przed prezydentem.

Lawrence usiłowałsię skupić na tym, co mówi jego sąsiadka,alemyślał tylko oFitzgeraldzie.

Chyba coś o tym, jak będzie tęsknić doStanów Zjednoczonych, gdy jej mąż przestanie być ambasadorem.

- A kiedy tobędzie?
- zagadnął, bynajmniej nie ciekaw odpowiedzi.
- Mniej więcej za półtora roku - odparła.

Przed prezydentem postawiono talerz z wołowiną na zimno.

Nadalrozmawiał, podczasgdy jeden kelner podał mu jarzyny, aza chwilę drugi przyniósł ziemniaki.

Wziął do ręki nóż i widelec w chwili, gdy Lloyd wrócił dosali.
Za momentznalazł sięprzy prezydencie.

- Braithwaite czeka w "Bryce".

- Mam nadzieję, że nic się nie stało - powiedziała pani Pietrowską, gdy Lawrence zaczął składać serwetkę.

- Nic takiego, Olgo - zapewnił ją Lawrence.

- Nie mogą znaleźć mojego przemówienia.

Ale ja wiem, gdzie je wetknąłem.

- Wstał, a gdy wychodził, Lloyd szedł za nim krok w krok.

Lawrence opuścił salę balową, zszedł na dół drewnianymi schodami do drzwi wejściowych, zbiegł po stopniach i usiadł w trzecim samochodzie.

Lloyd i szofer stanęli przy limuzynie, którą otoczyło kilkunastu agentów Secret Service, bacznie rozglądających się na wszystkie strony.

- Bili, jest człowiek, który będzie wiedział, gdzie ukrywa się Fitzgerald, jeżeli znajduje się jeszcze na stadionie.

Odszukaj Puga Washera, to znajdziesz Fitzgeralda.

Kilka chwil później prezydent otworzył drzwiczki samochodu.

- W porządku, Andy - powiedział.

- Wracajmy, zanim oni odkryją, co szukamy.

- A co szukamy?

- spytał Lloyd, doganiając prezydenta na schodach.

- Później ci powiem - rzucił prezydent, wkraczając do sali balowej.

- Ale panie prezydencie - rzekł Lloyd.

- Będzie pan jeszcze potrzebował.

- Nie teraz - powiedział Lawrence, siadając koło żony ambasadora z przepaszającym uśmiechem.

- Znalazł pan?

- zapytała.

277.

- Co takiego?

- Pańskie przemówienie - powiedziała pani Pietrowska.

Lloyd w tym momencie położył na stole między nimi tekturową teczkę.

- Oczywiście - przytaknął Lawrence i klepnął teczkę.

- Przy okazji, Olgo, co słyszała u córki?

Ma na imię Natasza, prawda?

Czy nadal studiuje malarstwo Fra Angelico we Florencji?

- Ujął nóż i widelec.

Prezydent spojrzął w stronę Żerińskiego, tymczasem wyrosli przynim kelnerzy i sprzątnęli talerze.

Odłożył nóż i widelec, zadowolając się kromką czerstwego chleba zbryłką masła i dowiadując się, jak się wiedzie Nataszy Pietrowskiej na pierwszym roku studiów we Florencji.

Zauważył, że rosyjski prezydent staje się coraz bardziej niespokojny, wręcz zdenerwowany, wmiarę, jak zbliża się pora jego przemówienia.

Z miejsczałożył, że Żeriński szykuje kolejną bombę.

Tamyś odebrała mu apetyt na malinowy suflet.

Gdy Żeriński w końcu przemówił do gości, nawet najgorliwsi wielbiciel musieliby uznać jego wystąpienie za co najwyżej przeciętne.

Ci, którzy byli najbliżej, dziwili się, dlaczego zwraca się tak często do masywnej figury Lenina, stojącej na galerii nad salą balową.

Lawrence pomyślał, że to chyba nowynabytek, gdyż mógłby przysiąc, że jej tu nie było podczas pożegnalnego obiadu Borysa.

Czekał, kiedy Żeriński powtórzy swoje przesłanie do Kongresu, a tego nie nastąpiło.

Ku zadowoleniu Lawrence'a ściśle się trzymał jakiegoś tekstu, nadesłanego po południu do Białego Domu.

Lawrence rzucił okiem na swoje przemówienie, które powinien był przejrzeć razem z Andy w samochodzie.

Szef personelu Białego Domu nakreślił kilka sugestii na marginesach, ale na siedmiu stronach nie było ani jednego dowcipnego zdania, ani jednego fragmentu godnego zapamiętania.

Ale Andy też miał ciężki dzień.

- Nazakończenie chciałbym podziękować Amerykanom za ich gościnność i serdeczne przyjęcie, z jakimi spotykałem się wszędzie podczas mojej wizyty w waszym wielkim kraju, a zwłaszcza ze strony prezydenta Toma Lawrence'a.

Oklaski, które powitały to zdanie, były tak gromkie i długotrwałe, że Lawrence podniósł wzrok znad notatek.

Żeriński stał nieruchomo i wpatrywał się w figurę Lenina.

Dopiero gdy ustały brawa, usiadł.

Wcale nie wyglądała zadowolona, co zdziwiło Lawrence'a, bo w jego opinii mowa została przyjęta o wiele gorzej, niż nato zasługiwała.

278

Lawrence wstał, by odpowiedzieć.

Jego przemówienie przyjęto z grzecznym zainteresowaniem, ale bez entuzjazmu.

- Miejmy nadzieję, Wiktorze - powiedział na zakończenie - że to pierwsza z wielu twoich wizyt w Stanach Zjednoczonych.

W imieniu wszystkich gości życzę ci bezpiecznego powrotu do domu w dniu jutrzejszym.

Lawrence uświadomił sobie, że dwa kłamstwa w jednym zdaniu to za dużo, nawet jak na polityka, i żałował, że nie przeczytał wcześniej tego zdania.

Usiadł nagrodzony pełnym szacunku oklaskami, bladymi w porównaniu z owacją, jaką dostał Żeriński za równie marne wystąpienie.

Gdy podano kawę, Żeriński podniósł się z miejsca i podszedł do dwuskrzydłowych drzwi po drugiej stronie sali.

Niebawem zaczął życzyć gościom dobrej nocy donośnym głosem, wyraźnie dając do zrozumienia, że chce, by wszyscy jak najszybciej sobie poszli.

Kiedy kilka zegarów w ambasadzie wybiło dziesiątą, Lawrence wstał i powoli ruszył w stronę gospodarza.

Ale, niczym Cezara na Kapitolu, nieustannie go zatrzymywali różni obywatele, pragnąc dotknąć skraju szat imperatora.

Gdy wreszcie doznał do drzwi, Żeriński lekko mu się skłonił, po czym razem z nim zszedł po schodach na pierwsze piętro.

Żeriński nic nie mówił, więc Lawrence miał okazję przyrzeć się stojącej na pierwszym podestu figurze Chrystusa Ukrzyżowanego dłuta Nieznanego.

Dziwił się, że Jezus przetrwał, skoro wrócił Lenin.

U dołkamiennych stopni odwrócił się, by pomachać gospodarzowi, ale Żeriński znikł już w ambasadzie.

Gdyby zadał sobie trud i odprowadził Lawrence'a zadrzewi, ujrzałby czekającego na niego w samochodzie dowódcę ochrony prezydenta.

Braithwaiten nie mówił, póki nie zamknęto drzwiczek limuzyny.

- Miał pan rację, panie prezydencie.

Pierwszą osobą, którą ujrzał Żeriński, gdy wracał odprowadzając Lawrence'a, był ambasador.

Jego ekscelencja uśmiechnęła się wyczekująco.

- Czy Romanow jest w budynku?

- ryknął Żeriński, niezdolny dłużej tłumić gniewu.

- Tak, panie prezydencie - rzekł ambasador biegnąc za swoim przywódcą.

- On jest.

- Natychmiast go wezwać!

- Gdzie pana znajdę?

279.

- Tam, gdzie był pański gabinet.

Ambasador pomknął w przeciwną stronę.

Żeriński pomaszerował długim, marmurowym korytarzem i prawie nie zwalniając pchnął drzwi gabinetu ambasadora, jakby to był worek treningowy.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, był leżący nabiurku karabin.

Usiadł na wielkim, obciągniętym skórą krześle, zwykle zajmowanym przez ambasadora.

Niecierpliwie czekając, wziął doreki karabin i zaczął mu się przyglądać.

Zajrzał do lufy i zobaczył, że pojedynczy nabój jest na miejscu.

Przyłożył broń do ramienia czując, jak idealnie jest wyważona, zrozumiał, dlaczego Fitzgerald gotów był lecieć przez pół Ameryki po bliźniaczy egzemplarz.

W tym momencie zauważył, że iglica została umieszczona z powrotem.

Żeriński usłyszał dwóch mężczyzn biegnących korytarzem.

Nim dotarli do gabinetu, położyli sobie karabin na kolanach.

Wpadli do środka.

Żeriński bezceremonialnie wskazał im dwamiejscu po drugiej stronie biurka.

- Gdzie się podział Fitzgerald?

- spytał Romanow, zanim ten usiadł.

- Zapewniał mnie pan w tym pokoju, że stawi się tutaj o czwartej po południu.

Chełpił się pan, że wszystko się uda, że zgodził się na pański plan.

To panawłasne słowa!

- Panie prezydencie, tak uzgodniliśmy, kiedy rozmawiałem z nim zaraz po północy.

- Więc co się wydarzyło między północą i czwartą po południu?

- Kiedy moi ludzie jechali z nim do miasta dziś rano, kierowca musiał się zatrzymać przed światłami.

W pewnej chwili Fitzgerald wyskoczył z samochodu, przebiegł na drugą stronę jezdni i wsiadł do przejeżdżającej taksówki.

Ścigaliśmy ją przez całą drogę na lotnisko, a gdy wreszcie dogoniliśmy przed dworcem lotniczym, okazało się, że Fitzgeralda w niej nie ma.

- Prawda jest taka, że pozwoliliście mu zwać - rzekł Żeriński.

- Czy nie tak?

Romanow zwiesił głowę i milczał.

Prezydent zniżył głos do szepta.

- O ile mi wiadomo - powiedział, zatraskując zamek - kodeks mafii przewiduje karę dla tych, którzy nie wywiązali się z kontraktu.

Romanow ze zgrozą wpatrywał się w Żerińskiego, który wymierzył karabin w jego pierś.

280

- Tak czynie?

- cicho spytał Żeriński.

Romanow kiwnął głową.

Żeriński uśmiechnął się do człowieka, który zgodził się z wyrokiem własnego sądu i delikatnie nacisnął spust.

Pocisk z okrągłą częścią uderzył Romanowa w pierś około dwai pół centymetra poniżej serca.

Siła uderzenia rzuciła jego gibkie ciało o ścianę, gdzie tkwiło przez parę sekund, poczymżeśliźnęło się na dywan.

Strzępy mięśni odłamki kości rozprysły się na wszystkie strony.

Ściany, dywan, frak ambasadora, białoplisowana koszula - zostały obryzgane krwią.

Żeriński obrócił się powoli ku swojemu byłemu posłowi w Waszyngtonie.

- Nie, nie!
- krzyknął Pietrowski i upadł na kolana.
-Ja rezygnuję!
Rezygnuję!
 Żeriński ponownie nacisnął spust.
Kiedy usłyszał trzask, przypomniał sobie, że w komorze był tylko jeden nabój.
Wstał krzesła
 z rozczarowaną miną.
 -Musi pan oddać ten frak do pralni - powiedział, jakby ambasador poplamiał sobie
rękaw jajkiem.
Odłożył karabin naburko.
-Przyjmuję pańską rezygnację.
Ale zanim pan złoży urząd, proszę dopilnować, żeby ciało Romanowa jakoś połatano i
wysłano do Sankt Petersburga.
- Ruszył do drzwi.
-Niech pan się pośpieszy - chcę tam być, kiedy będzie chowany razem z ojcem.
 Pietrowski, wciąż na kolanach, nie odpowiedział.
Było mu niedobrze i bał się otworzyć usta.
 Przy drzwiach Żeriński odwrócił się do skulonego dyplomaty.
 - Zważywszy na okoliczności, byłoby rozsądnie wysłać ciało
 poczta dyplomatyczną.

xxxv

Gdy Żeriński wchodził po schodkach do Iljuszyna, padał gęsty śnieg, tworząc dookoła gęsty, biały dywan.

Tom Lawrence stał na płycie lotniska wzdłużej, czarnej pelerynie.

Adiutant trzymał nad jego głową wielki parasol.

Żeriński zniknął w drzwiach nawet się nie odwracając, aby uczynić tradycyjny pożegnalny gest na użytek fotoreporterów.

Widać niedocierało do niego, że to czas życzliwości dla wszystkich ludzi.

Departament Stanu wydał już komunikat.

Mówił ogólnikowo o sukcesie czterodniowej wizyty nowego rosyjskiego prezydenta, o ważnych krokach podjętych przez obydwa kraje i nadziei na dalszą współpracę w przyszłości. "Pożyteczna i konstruktywna" - natakierne określenie zdecydował się Larry Harrington przed poranną konferencją prasową, a potem dorzucił jeszcze "krok do przodu".

Dziennikarze, którzy właśnie obejrzeliby odjazd Żerińskiego, przetłumaczą słowa Harringtona na: "nieużyteczna i niekonstruktywna i bez wątpienia krok wstecz".

Tuż po zatrzaśnięciu szarych drzwi Iljuszyn wyrwał do przodu, jakby, niczym jego pan, nie mógł się doczekać, kiedy ruszy w drogę.

Lawrence pierwszy odwrócił się tyłem do samolotu, który ciężko się potoczyła pas startowy.

Szybko podszedł do czekającego śmigłowca, gdzie zastał Andy'ego Lloyda ze słuchawką telefonu przy uchu.

Gdy łopatki wirnika zaczęły się obracać, Lloyd prędko zakończył rozmowę, a kiedy "Marinę One" uniósł się w górę, Lloyd przechylił się i poinformował prezydenta o wyniku nagłej operacji, którą przeprowadzono tego dnia o świcie w szpitalu Waltera Reeda.

Lawrence skinął głową, gdy Lloyd przedstawił mu w zarysie postępowanie, zalecane przez agenta Braithwaite'a.

- Zatelefonuję osobiście do pani Fitzgerald - powiedział.

Resztę krótkiej podróży prezydent i Lloyd poświęcili na przygotowanie do spotkania, które ich czekało.

Prezydencki śmigłowiec

282

wylądował na południowym trawniku i żaden z nich nie odezwał się słowem w drodze do Białego Domu.

Sekretarka Lawrence'a niespokojnie czekała u drzwi Pokoju Owального.

- Dzień dobry, Ruth - powiedział prezydent trzeci raz w tym dniu.

Oboje byli na nogach większą część nocy.

O północy zjawił się bez zapowiedzi prokurator generalny i oznajmił Ruth Preston, że został wezwany na spotkanie z prezydentem.

Tego nie było w kalendarzu.

O drugiej w nocy prezydent, Lloyd i prokurator generalny pojechali do szpitala Waltera Reeda - ale znów w kalendarzu prezydenckim nie było wzmianki o wizycie ani nazwiska pacjenta, którego mieli odwiedzić.

Wrócili po godzinie i siedzieli jeszcze półtorej godziny w Pokoju Owalnym.

Prezydent wydał polecenie, aby im nie przeszkadzać.

Kiedy Ruth przysłała dziś rano dziesięć po ósmej do Białego Domu, prezydent był już w drodze do bazy lotniczej Andrews, by dopełnić oficjalnych obowiązków związanych z zakończeniem wizyty Żerińskiego.

"

Ruth wątpiła, czy jej szef w ogóle kładł się spać tej nocy, choć miał na sobie inny garnitur, koszulę i krawat niż wtedy, kiedy ostatnio go widziała.

- Ruth, co mamy teraz?

- zapytał, choć dobrze wiedział.

- Interesanci wyznaczeni na dziesiątą czekają od czterdziestu minut.

- Naprawdę?

Więc przyślij ich tutaj.

Prezydent wkroczył do Pokoju Owального, otworzył szufladę biurka i wyjął dwa arkusze papieru i kasetę magnetofonową.

Położył kartki na bibularzu przed sobą i wsunął kasetę do magnetofonu na biurku.

Do pokoju wkroczył Andy Lloyd z dwiema teczkami podpachą.

Zajął swoje zwykłe miejsce obok prezydenta.

- Czy masz oświadczenie?

- spytał Lawrence.

- Tak, panie prezydencie - odparł Lloyd.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Ruth otworzyła je i zaanonsowała:

- Dyrektorka CIA i jej zastępca.

- Dzień dobry, panie prezydencie - powiedziała żywo Helen Dexter wchodząc do Pokoju Owального wraz z zastępcą, który postępowal o krok za nią.

Ona też miała pod pachą teczkę.

Lawrence odpowiedział na powitanie.

- Ucieszy pana wiadomość - mówiła dalej Dexter, zajmując jedno z dwu krzeseł naprzeciwko prezydenta - że udało mi się uporać z problemem, który, jak się baliśmy, mógł wystąpić podczas wizyty

283.

rosyjskiego prezydenta.

W istocie mamy wszelkie powody, by sądzić, iż rzeczona osoba nie stanowi już zagrożenia dla tego kraju.

- Czy możliwe, że jest to ta sama osoba, z którą uciałem sobiepogawędkę kilka tygodni temu?

- spytał Lawrence i rozparł się wygodnie.

- Chyba pana nie rozumiem, panie prezydencie - rzekła Dexter.

-Więc pozwolę sobie panią oświecić - oznajmił Lawrence.

Pochylił się do przodu i wcisnął guzik magnetofonu na biurku.

- Pomyślałem, że powinienem do pana zatelefonować i powiedzieć, że uważam tę misję za bardzo ważną.

Gdyż nie wątpię, że jest pan właściwym człowiekiem, żeby ją spełnić.

I mam nadzieję, że zgodzi się pan jej podjąć.

- Panie prezydencie, cenię sobie pańskie zaufanie, i jestem wdzięczny, że znalazł pan czas, żeby do mnie osobiście zatelefono'wać.

Lawrence zatrzymał magnetofon.

- Niewątpliwie potrafi pani w prosty sposób wytłumaczyć, jaki dla czego doszło do tej rozmowy - powiedział.

-Nie jestem pewna, panie prezydencie, czy pana rozumiem.

Agencja nie jest wtajemniczona w pańskie osobiste rozmowy telefoniczne.

- To może, ale nie musi być prawda - rzekł prezydent.

- Ale ta rozmowa nie wyszła z tego gabinetu.

- Oskarża pan Agencję o.

-O nic nie oskarżam Agencji.

Oskarżenie jest wymierzone w panią osobiście.

- Panie prezydencie, jeżeli to ma być żart.

-Czy wyglądam na osobę, która żartuje?

- spytał prezydent i znów włączył magnetofon.

- Uważałem, że to najmniejsze, co mogę zrobić w tej sytuacji.

-Dziękuję, panie prezydencie.

Wprawdzie pan Gutenberg zapewnił mnie o pańskim zaangażowaniu i sama pani dyrektor, jak pan wie, dzwoniła dziś po południu, aby to potwierdzić, jednak nadal nie czułem się zdolny podjąć się tego zadania, póki nie byłem pewien, że to pański rozkaz.

Prezydent znów się pochylił i zatrzymał magnetofon.

- Jest tego więcej, jeżeli chce pani posłuchać.

-Mogę pana zapewnić - powiedziała Dexter - że operacja, o której wspomina

Fitzgerald, była tylko rutynowym zadaniem.

284

- Mam uwierzyć, że CIA obecnie uważa zabójstwo rosyjskiego prezydenta za rutynowe zadanie?

- powiedział z niedowierzaniem

Lawrence.

- Nigdy nie chcieliśmy zabić Żerińskiego - ostro zaprotestowała

Dexter.

- Tylko powiesić za tonie winnego człowieka - odparował prezydent.

Po długim milczeniu dodał: - i w ten sposób usunąć wszelkie dowody, że to panikazała zabić Ricarda Guzmana w Kolumbii.

- Panie prezydencie, mogę pana zapewnić, że CIA nie miała nic wspólnego z.

- Connor Fitzgerald powiedział nam coś przeciwnego dziś wcześniej rano - oświadczył Lawrence.

Dexter milczała.

- Może chce pani przeczytać zaprzysiężone oświadczenie, które podpisał w obecności prokuratora generalnego.

Andy Lloyd otworzył jedną z tych teczek i podał Dexter i Gutenbergowi oświadczenie podpisane przez Connora Fitzgeralda i potwierdzone przez prokuratora generalnego.

Kiedy oboje zaczęli czytać oświadczenie, prezydent zauważył, że Gutenberg lekko się spocił.

- Za radą prokuratora generalnego upoważniłem Secret Service, żeby aresztowano was oboje pod zarzutem zdrady stanu.

Jeżeli zostacie uznani za winnych, kara może być tylko jedna.

Dexter nie odzywała się.

Jej zastępca wyraźnie się trząsał.

Lawrence zwrócił się do niego.

- Oczywiście, Nick, jest możliwe, że nie zdawałeś sobie sprawy, iż dyrektorka nie dysponowała wystarczającymi uprawnieniami, aby wydać taki rozkaz.

- Jak najbardziej, panie prezydencie - wybuchnął Gutenberg.

- W rzeczywistości wprowadziła mnie w błąd, że polecenie zabicia Guzmana wyszło bezpośrednio z Białego Domu.

- Tak myślałem, Nick - rzekł prezydent.

- Prokurator generalny sugerował, że gdybyś podpisał ten dokument - podsunął mu kartkę papieru - to kara śmierci mogłaby być zamieniona na dożywocie.

- Cokolwiek to jest, niech pan tego nie podpisuje!

- rozkazała

Dexter.

Gutenberg zignorowała ją.

Wyjął z kieszeni pióro i podpisał się

między dwoma zaznaczonymi ołówkami krzyżykami pod jednozdaniową rezygnacją z stanowiska wicedyrektora CIA, z ważnością oddziwiałej rano tego dnia.

285.

Dexter obrzuciła go spojrzeniem pełnym nieskrywanej pogardy.

- Gdyby pan odmówił, oni nie ośmieliliby się posunąć dalej.

Mężczyźni są tacy tchórzliwi.

- Obróciła się do prezydenta, który podsunął jej kartkę z jej własną rezygnacją ze stanowiska dyrektorki CIA, również z ważnością od dziewiątej rano tego dnia.

Podniosła wzrok na Lawrence'a i wzywając go rzuciła:

- Niczego nie podpiszę, panie prezydencie.

Powinno pan już do tej pory zrozumieć, że mnie nie tak łatwo nastraszyć.

- Cóż, Helen, jeżeli nie zdobędzie się pani na takie samo honorowe rozwiązanie jak Nick, to powyjściu z tego pokoju natknie się paniza drzwiami na dwóch agentów Secret Service, którzy panią aresztują.

- Nie zastraszysz mnie, Lawrence - rzuciła Dexter, wstając z krzesła.

- Panie Gutenberg - powiedział Lloyd, gdy Dexter ruszyła do drzwi, pozostawiając na biurku nie podpisany arkusz papieru - Uważam, że dożywocie, bez nadziei na warunkowe zwolnienie, jest za wysoką karą, zważywszy na okoliczności.

Szczególnie, że został pan oszukany i nie wiedział, co się dzieje.

Gutenberg kiwnął głową.

Dexter była przy drzwiach.

- Moim zdaniem, kara sześciu, najwyżej siedmiu lat więzienia, byłaby właściwsza w pana przypadku.

A przy niewielkiej pomocy Białego Domu skończyłoby się na trzech doczterech.

Dexter znieruchomiała.

- Ale to by oczywiście oznaczało, że zgadza się pan na.

- Na wszystko się zgadzam.

Na wszystko - wyrzucił z siebie Gutenberg.

- ...

na występowanie w charakterze świadka oskarżenia.

Gutenberg znów kiwnął głową i Lloyd wyjął dwustronicowe oświadczenie z drugiej teczki, którą trzymał na kolanach.

Były wicedyrektor rzucił tylko na niego okiem, po czym wziął do ręki pióro i złożył podpis u dołu drugiej strony.

Dexter schwyciła gałkę drzwi, zawahała się, a potem wolno wróciła do biurka.

Rzuciła swemu byłemu zastępcy ostatnie spojrzenie pełne obrzydzenia, po czym schwyciła pióro i abazgrała swój podpis między dwoma zaznaczonymi ołówkiem krzyżykami.

- Jest pan głupcem, Gutenberg - powiedziała.

- On nigdy by niezaryzykował powołania Fitzgeralda na świadka.

Każdy nie w ciemność bity adwokat podważyłby jego zeznania.

A bez Fitzgeralda nie

286

byłoby procesu.

Jestem pewna, że prokurator generalny już to im wytłumaczył.

- Odwróciła się, aby wyjść.

- Helen ma rację - rzekł Lawrence, zbierając z biurka trzy dokumenty i podając je Lloydowi.

- Jeżeli ta sprawa stanęłaby na wokandy, Fitzgerald nigdy nie mógłby wystąpić w sądzie.

Dexter stanęła jak wryta; atrament na jej rezygnacji jeszcze nie wyschł.

- Z żalem muszę was poinformować - rzekł prezydent, że Connor Fitzgerald umarł za dwanaście siódma dziś rano.

Księga czwarta

Żywy imartwy

19. Jedenaste przykazanie.

XXXVI

Kondukt żałobny wolno szedł wzgórzem.

Cmentarz Narodowy w Arlington był pełen ludzi, choć chowano człowieka, który nigdy nie szukał publicznego uznania.

Po jednej stronie grobu stał prezydent Stanów Zjednoczonych z szefem personelu Białego Domu i prokuratorem generalnym u boku.

Naprzeciw zaś kobieta, która od czterdziestu minut nie podniosła głowy.

Z prawej miała córkę Tarę, z lewej przyszłego zięcia, Stuarta McKenzie.

Cała trójka przyleciała z Sydney w dwa dni po telefonie od prezydenta.

Wielki tłum zgromadzony wokół grobu był dla Maggie Fitzgerald dowodem, jak wielu przyjaciół i sympatyków miał Connor.

Poprzedniego dnia na spotkaniu w Białym Domu Tom Lawrence powiedział wdowie, że ostatnie słowa, które wyrzekł Connor, mówiły o jego miłości do żony i córki.

Prezydent powiedział też, że chociaż widział jej męża raz, zapamięta go dokońca życia.

"Tak wyraził się człowiek, który spotyka się z setką ludzi dziennie" - zapisała Tara wieczorem w swoim dzienniku.

Kilkakroć przed prezydentem stał nowo mianowany dyrektor CIA i grupa mężczyzn i kobiet, którzy nie zamierzali tego dnia stawić się do pracy.

Przybyli tu z czterech krańców świata.

Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, bez jednego włosa na głowie, stojący trochę z boku, rozpaczliwie szlochał.

Nikt by nie uwierzył, że najbezwzględniejsi gangsterzy w Afryce Południowej byłiby szczęśliwi wiedząc, że Carl Koeter wyjechał z kraju choćby na kilka dni.

Również agenci FBI i Secret Service zjawili się tłumnie.

Kapitan Braithwaite stał naczelnym strzelców wyborowych, a każdy z nich byłby zadowolony, gdyby u kresu kariery zasłużył na opinię następcy Connora Fitzgeralda.

Wyżej na stoku, zapelniając cmentarz jak sięgnąć okiem, stalikrewni z Chicago, profesorowie z Georgetown, partnerzy brydżowi, irlandzcy tancerze, poeci i ludzie z różnych środowisk. Chyliligłowy, czcząc pamięć człowieka, którego kochali iszanowali.

Kondukt zatrzymał się na Sheridan Drive, w odległości kilku metrów od grobu. Osmioosobowa gwardia honorowa dźwignęła trumnę z lawety, wsparła na ramionach i rozpoczęła powolny marsz kierunku grobu.

Trumnę spowijała amerykańska Haga, na niej spoczywały baretki odznaczeń wojennych.

W środku leżał Medal of Honor.

Niosący trumnę doszli na miejsce, postawili ją delikatnie na ziemi i dołączyli do pozostałych żałobników.

Ojciec Graham, od ponad trzydziestu lat ksiądz rodziny Fitzgeraldów, podniósł rękę.

- Przyjaciele - zaczął.

- Księża często bywają wzywani, aby chwalić zmarłych parafian, których ledwo znali i których dorobek nie zawsze jest oczywisty.

Ale to nie dotyczy Connora Fitzgeralda.

Jako student będzie pamiętany jako jeden z najlepszych futbolistów, jakiego kiedykolwiek wydał Uniwersytet Notre Dame.

Jako żołnierza nigdy nie potrafiłbym określić go lepiej niż kapitan Christopher Jackson, dowódca jego plutonu, który pisał: "Oficer nieustraszony w obliczu niebezpieczeństwa, który zawsze przedkładał życie podwładnych nad swoje".

Jako pracownik oddał prawie trzydzieści lat życia w służbie dla kraju; rozejrzyjcie się dookoła, aby się przekonać, jak wielkim poważaniem darzyli go jego koledzy.

Ale przede wszystkim będziemy go pamiętać jako męża Maggie i ojca Tary.

Nasze serca jednoczą się z nimi obiema.

- Ojciec Graham zniżył głos.

- Miałem szczęście zaliczać się do jego przyjaciół.

Nie mogłem się doczekać, kiedy usiadziemy razem do brydża podczas świąt Bożego Narodzenia.

Mówiąc prawdę, liczyłem na to, że odegram te dziesięć dolarów, które straciłem przegrywając roboprzed jego ostatnim wyjazdem.

Dobry Boże, chętnie bym oddał wszystko, co posiadam, żeby jeszcze raz z nim przegrać.

Sportowiec, żołnierz, profesjonalista, kochanek, ojciec, przyjaciele w moich oczach - chociaż nigdy nie miałbym odwagi powiedzieć tak w jego obecności, bo by mnie wyśmiał - bohater.

Connorze, niedaleko stąd leży inny amerykański bohater.

- Stary ksiądz podniósł głowę.

- Gdybym był Johnem Fitzgeraldem Kennedym, byłbym dumny, że spoczywam natym samym cmentarzu co Connor Fitzgerald.

292

Mężczyźni, którzy nieśli trumnę, wystąpili do przodu i opuścili ją do grobu.

Ojciec Graham uczynił znak krzyża, ukląkł, pochylił się, wziął garść ziemi i rzucił na trumnę.

- Prochem byłeś, w proch się obrócisz - zaintonował, a trębacz z oddziału piechoty morskiej odegrał capstrzyk.

Gwardia honorowa złożyła zdejną z trumny flagę w idealny trójkąt i oddała ją w ręce najmłodszego kadeta, osiemnastoletniego chłopaka, który jak Connor urodził się w Chicago.

Normalnie wręczyłby ją wdowie szelami:

"Pani, w imieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych".

Ale nie dziś.

Dzisiaj pomaszerował w inną stronę.

Drużyna piechoty morskiej wzniosła karabiny i oddała dwadzieścia jeden salw honorowych, gdy młody kadet stanął na baczność przed prezydentem Stanów Zjednoczonych i przekazał mu flagę.

Tom Lawrence przyjął ją, powoli okrążył grób i stanął przed wdową. Maggie uniosła głowę i usiłowała się uśmiechnąć do prezydenta, gdy jej podawał narodowy sztandar.

- W imieniu wdzięcznego kraju wręczam pani flagę Republiki.

Otoczają panią przyjaciele, którzy dobrze znali pani męża.

Żaluję, że nie spotkał mnie ten zaszczyt.

- Prezydent skłonił głowę i powrócił na swe miejsce.

Kiedy orkiestra piechoty morskiej zagrała hymn narodowy, położył rękę na sercu.

Nikt się nie poruszył, dopóki Maggie, prowadzona przez Tarę Stuarda, nie podeszła do bramy cmentarza.

Stała tam blisko godzinę, ściskając dłonie wszystkim, którzy uczestniczyli w ceremonii.

Dwaj mężczyźni, którzy podczas pogrzebu tkwili na szczycie wzgórza, poprzedniego dnia przylecieli z Rosji.

Nieprzybyli tu, żeby opłakiwać zmarłego.

Wrócą do Sankt Petersburga wieczornym samolotem i zameldują, że ich usługi nie są już potrzebne.

XXXVII

Samolot prezydenta Stanów Zjednoczonych "Air Force One" po wylądowaniu na moskiewskim lotnisku został otoczony przez czołgi.

Prezydent Zeriński wyraźnie nie zamierzał dać Tomowi Lawrenceowi sposobności sfotografowania się na użytek publiki w Ameryce.

Nie było też zwyczajowych przemówień w stylu "witamy w Rosji", wygłaszanych na podium na lotnisku.

Oczom Lawrence'a, który z posępną miną zszedł po schodkach samolotu, ukazał się widok marszałka Borodina stojącego w wieżycy czołgu.

Kiedy o baj prezydenci spotkali się w końcu dziś przed południem na Kremlu, Zeriński na początek zażądał, aby natychmiast zmniejszyć siły NATO, patrolujące zachodnie granice Rosji.

Zważywszy na sromotną porażkę projektu ustawy o ograniczeniu zbrojeń jądrowych, biologicznych, chemicznych i konwencjonalnych w Senacie oraz dobrowolny powrót Ukrainy do Związku Sowieckiego, prezydent Lawrence wie, że nie może nic a nic ustąpić, jeżeli chodzi o rolę NATO w Europie, zwłaszcza że Helen Dexter, świeżo wybrana do Senatu, ciągle nazywano "czerwoną kukłą".

Po rezygnacji senatora Dexter z stanowiska szefowej CIA w ubiegłym roku po to, by "bardziej otwarcie przeciwstawiać się biednej polityce zagranicznej prezydenta", na Kapitolu słyszy się już, glosy, że może ona zostać pierwszą kobietą-prezydentem.

Podczas dzisiejszych wstępnych rozmów na Kremlu prezydent Zeriński nie ukrywałby najmniej, że.

Stuart podniósł wzrok z nad pierwszej strony "Sydney Morning Herald" i spojrzał na Maggie, która weszła do kuchni w dżinsach i swetrze.

Mieszkali w jednym domu pół roku, a jeszcze nigdy nie widział, żeby choć jeden włos nie leżał jej tak, jak trzeba.

294

- Dzień dobry, Stuarcie - powiedziała.

- Czy jest coś ciekawego w gazecie?

- Zeriński demonstruje siłę przy każdej okazji - odparł Stuart - a wasz prezydent robi dobrą minę do złej gry.

W każdym razie tak uważa korespondent "Heralda" w Rosji.

- Zeriński rzuciłby na Biały Dom bombę nuklearną, gdyby tylko uszła sucha - rzekła Maggie.

- Czy nie masz dla mnie lepszej wiadomości w sobotni rano?

- Premier ogłosił datę drugiego referendum na temat tego, czy Australia ma stać republiką.

- Ależ jesteście ślamazarni - rzekła Maggie, wsypując do miski płatki kukurydziane.

- Myśmy się pozbyli Brytyjczyków ponad dwadzieścia lat temu.

- Jest pewien, że nam nie zabierze to więcej czasu - zaśmiał się Stuart.

Do kuchni wkroczyła jego żona w szlafroku.

- Dzień dobry - powiedziała sennym głosem.

Maggie sunęła się ze stołką i pocałowała ją w policzek.

- Usiądź tutaj zjedz płatki kukurydziane, a ja ci zrobię tymczasem omlet.

Nie wolno ci.

- Mamo, ja nie umieram na suchoty, tylko jestem w ciąży - powiedziała Tara.

- Wystarczą mi płatki kukurydziane.

- Wiem, tylko że.

-...że ty nigdy nie przestajesz się zamartwiać - wpadłajej w słowo Tara i objęła matkę.
- Zdradzę ci sekret.

Nie ma żadnego medycznego dowodu, że poronieniasą dziedziczne; tylko zdręczajęsię matki.

Co dziś ważnego w gazecie?

- spojrzła na Stuarta.

- Moja sprawa karna zajmuje czołowe miejsce - na szesnastejstronie - powiedział, pokazując trzy krótkie ustępy, upchniętw lewym dolnym rogu.

Tara dwa razyprzeczytała relację i dopiero potemzauważyła:

- Ale oni nawet nie wymienili twojego nazwiska.

-Nie.

W tej chwili bardziej interesuje ichmój klient - przyznałStuart.

-Ale to się zmieni, jak go wyciągnę.

- Mam nadzieję, że gonie wyciągniesz - powiedziałaMaggie,rozbijającdrugie jajko.

- Twój klientto nędznakreatura i do końcażycia nie powinien wyrzeć z więzienia.

- Za kradzież siedemdziesięciu trzech dolarów?

- spytał z niedowierzaniem Stuart.

- Bezbronnej starej kobiecie.

295.

- Ale to było pierwszy raz.

- Chyba chcesz powiedzieć, że został złapany pierwszy raz.

- Wiesz, Maggie, byłabyś świetnym prokuratorem - rzekł Stuart.

- Nie powinnaś brać tego półrocznego urlopu, tylko zapisać się naprawo.

Podaję, że dożywocie za zwęczenie siedemdziesięciu trzech dolarów nie znalazłoby wielu zwolenników.

- To by się jeszcze okazało, młody człowieku - odcięła się Maggie.

Coś z łoskotem spadło na wycieraczkę.

- Idę po pocztę - oznajmił wstając Stuart.

- On ma rację - odezwała się Tara, gdy matka postawiła przednią talerz z omletem.

- Nie powinnaś stracić czasu jako niepłatna gosposia.

Jesteś na to o wiele za dobra.

- Dziękuję, kochanie - rzekła Maggie.

Wróciła do kuchni i rozbiła jeszcze jedno jajko.

- Ale tak mi tu dobrze z wami.

Mam nadzieję, że nie nadużywam waszej gościnności.

- Ależ skąd - odparła Tara.

- Ale już minęło ponad pół roku od.

- Wiem, kochanie, jednak potrzebuję jeszcze trochę czasu, nim będę mogła się zdobyć na powrót do Waszyngtonu.

Do rozpoczęcia jesienno-zimowego semestru wydobreję.

- Ale ty nawet nie przyjmujesz zaproszeń na to, co lubisz.

- Na przykład?

- Wszedł w tygodniu pan Moore zaprosił cię do opery na "Fidelia", a ty mu powiedziałaś, że tego wieczoru masz inne plany.

- Mówiąc szczerze nawet nie pamiętam, co robiłam - powiedziała Maggie.

- Ja pamiętam.

Siedziałas w swoim pokojui czytałaś "Ulissesa".

- Taro.

Ronnie Moore to uroczy mężczyzna i na pewno jest świetnym fachowcem w tym swoim banku.

Ale poco ma spędzać wieczór ze mną wysłuchiwać, jak bardzo mi brak twego ojca?

Ja też nie mam ochoty się z nim spotykać i słuchać, jak uwielbiał swoją zmarłą żonę; jak jej było na imię?

- Elizabeth - rzekł Stuart, który wszedł poranną pocztą.

- Ronnie to sympatyczny gość.

- I ty też?

- spytała Maggie.

- Przestańcie się martwić o moje życie towarzyskie.

- Postawiła przed Stuartem talerz z jeszcze większym omletem.

- Powinieneś się z tobą, Maggie - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Byłbyś o wiele lepszym kandydatem niż większość mężczyzn, 296

z którymi staracie się mnie swatać - rzekła Maggie, poklepując zięcia po głowie.

Stuart roześmiał się i zaczął sortować listy, z których większość była do niego.

Dwa podała Tarze, trzy Maggie, swoją kupkę odłożyła bok i zajął się sportowym działem "Herakla".

Maggie nalala sobie drugą filiżankę kawy dopiero potem zajęła się korespondencją.

Jak zwykle, najpierw obejrzała znaczki, nim podjęła decyzję, którą kopertę najpierw otworzyć.

Na dwóch widniał taki sam znaczek z wizerunkiem Jerzego Waszyngtona.

Natrzecim był kolorowy obrazek zimorodka.

Najpierw otworzyła list australijski.

Przeczytała go i podała Tarze, która z każdym zdaniem bardziej się rozpromieniała.

- Bardzo pochlebny - rzekła Tara, podając list Stuartowi.

- Owszem, bardzo - powiedział Stuart, szybko przebiegłszy go wzrokiem.

- Jak odpowiesz?

- Odpiszę z wyjaśnieniem, że nie szukam pracy.

- Ale w pierwszym się dowiedzieć, któremu z was mam za to podziękować.

- Pomachała listem.

- Jestem niewinna - rzekła Tara.

- Mea culpa - przyznał Stuart.

Wcześniej się nauczył, że nie ma conabierać Maggie.

Zawsze się połapie.

- Zobaczyłem ogłoszenie w "Heraldzie" i pomyślałem, że masz idealne kwalifikacje na to stanowisko.

Może nawet za wysokie.

- Podobno dyrektor Biura Przyjęć odchodzi na emeryturę pod koniec roku akademickiego - powiedziała Tara - więc będą szukać kogoś na jego miejsce.

Kto przyjmie tę pracę.

- Posłuchajcie mnie oboje - rzekła Maggie sprzątając talerze.

- Jestem na półrocznym urlopie i pierwszego sierpnia zamierzam wrócić do Waszyngtonu i kontynuować moją pracę dyrektorki Biura Przyjęć w Georgetown.

Uniwersytet w Sydney musi sobie znaleźć kogoś innego.

- Usiadła i otworzyła następną kopertę.

Ani Tara, ani Stuart nie odzywali się słowem, kiedy Maggie wyjęła czek na 277 tysięcy dolarów amerykańskich podpisany przez sekretarza skarbu.

"Pełne odszkodowanie" - wyjaśniał załączony list - za śmierć męża, oficera CIA, poległego w czasie wykonywania obowiązków służbowych.

Czyż oni kiedyś zrozumieją, co znaczą słowa

"pełne odszkodowanie"?

Szybko otworzyła trzeci list.

Zostawiła go na koniec, rozpoznawszy staroświecki krój czcionki.

Dobrze wiedziała, kto go przysłał.

297.

Tara trąciła łokciem Stuarta.

- Doroczny list miłosny od doktora O'Caseya, jeśli się nie mylę - powiedziała scenicznym szeptem.

- Muszę przyznać, że mi zaimponował.

Jak ciętu znalazł?

- Mnie teżzaimponował- rzekła Maggie z uśmiechem.

- Przynim przynajmniej nie muszę udawać.

-Rozdarłakopertę.

- Proszę, żebyście za godzinę obydwie były przed domem, gotowe do odjazdu - powiedział Stuart, spojrzawszy na zegarek.

Maggiępopatrzyła znad okularów, które wkładała do czytania i uśmiechnęła się.

- Zamówiłem stół na lunch w knajpce na plaży.

- Och, jesteś niezrównany -powiedziała Tara z westchnieniemuwielbienia.

Stuart właśnie chciał jej przyłożyć gazetą głowę, gdyrozległ się okrzyk.

- Rany boskie!

Zdumieni popatrzyli naMaggię.

W jej ustach zabrzmiało to niemal jak bluźnierstwo.

- Co się stało, mamó?

- spytała Tara.

-Czy nadal ci się oświadcza, czy też w końcu ożenił się z kiminnym?

- Anijedno,anidrugie.

Zaproponowano mu pracę dziekana wydziału matematycznegonauniwersytecie w Nowej Południowej Walii i przybywa,żeby się spotkać z rektorem przed podjęciem ostatecznej decyzji.

- Lepiej być nie mogło - rzekła Tara.

- W końcu jest przystojny i zawsze cię wielbił.

Ijak nam ciągle przypominasz, tata z trudemz nim wygrał.

Czego więcej mogłabyś żądać?

- Obawiam się, że to niezupełnie prawda - powiedziała Maggiępo długim milczeniu.

-Co chcesz przez to powiedzieć?

- Cóż, rzeczywiściebył przystojny i wspaniale tańczył, ale byłteżtrochę nudziarzem.

-Ale zawsze mi mówiłaś.

- Wiem, co ci mówiłam - ucięła Maggie.

- Nie patrz tak na mnie,młodadamo.

Jestem pewna, że od czasu do czasu też się droczysz zeStuartem wspominając tego młodego kelnera z Dublina, który.

- Mamó!

W każdym razie on jest teraz.

- Kim?

- spytałStuart.

- ...

wykładowcą w Trinity College w Dublinie- dokończyła Tara.

- Poza tym szczęśliwie się ożenił i ma troje dzieci.

Czego nie można powiedziećo większości twoichdawnych sympatii.

298

- To prawda - przyznał Stuart.

- Więc powiedz mi - zwrócił siędo Maggie - kiedy doktor O'Casey przybywa do Australii?

Maggię wyjęła znowu list i przeczytała: "Wylatujęz Chicagoczternastego, na miejscu będę piętnastego".

- Ależto dzisiaj - rzekł Stuart.
Maggie kiwnęła głową i czytała dalej: "Zatrzymam się na noc w Sydney, a następnego dnia spotkam się z rektorem i zaraz potem wrócę do Chicago".
- Zanim wrócimy z weekendu - powiedziała Maggie podnosząc głowę - on będzie w drodze powrotnej do kraju.
- Jaka szkoda - odezwała się Tara.
- Potych wszystkich latach chętnie bym zobaczyła wiernego doktora Declana O'Caseya.
- Jeszcze masz szansę - rzekł Stuart, spojrzawszy na zegarek.
- O której godzinie ląduje samolot?
- Dwadzieścia po jedenastej - powiedziała Maggie.
- Obawiam się, że nie zdążymy.
A ponieważ nie podał, gdzie się zatrzyma, nie miał sposobu, żeby się z nim skontaktować przed jego odlotem do kraju.
- Nie bądź taką pesymistką - rzekł Stuart.
- Jeżeli wyjedziemy z dziesięć minut, dotrzemy na czas na lotnisko.
Będzieś mogła zaprosić go na lunch.
Tara spojrzała na matkę, która wyraźnie nie zapaliła się do tego pomysłu.
- Nawet gdybyśmy zdążyli, on by prawdopodobnie odmówił - powiedziała.
- Będzie zmęczony po długim locie i musi się przygotować na jutrzejsze spotkanie.
- Ale przynajmniej się postarasz - rzekła Tara.
Maggie złożyła list, zdjęła fartuszek i powiedziała:
- Masz rację, Taro.
Po tych wszystkich latach przynajmniej tyle mogę zrobić.
- Uśmiechnęła się do córki, prędko wyszła z kuchni i zniknęła na piętrze.
W swoim pokoju utworzyła szafę i wyjęła ulubioną sukienkę.
Nie chciała, żeby Declan pomyślał o niej jako o kobiecie w średnim wieku - choć to było niemałe, gdyż nią była.
On też miał swoje lata.
Przejrzała się w lustrze.
Znośnie, uznała, jak na pięćdziesiąt jeden lat.
Nie przytyła, ale przez ostatnie pół roku na czole pojawiły się dwie nowe zmarszczki.
Maggie zeszła na dół, gdzie ujrzała Stuarta, który chodził tam z powrotem.
Wiedziała, że samochód jest już załadowany i prawdopodobnie silnik na chodzie.

- Schodź, Taro!

- zawołał w górę trzeci raz.

Tara zjawiła się po kilkunastu minutach i jego irytacja wyparowała w chwili, gdy się uśmiechnęła.

- Nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć - powiedziała Tara, siadając tyłu.

- Nawet jego imię brzmi romantycznie.

- Mnie też tak wtedy brzmiało - przyznała Maggie.

- Co znaczący imię?

- zacytował z uśmiechem Stuart, manewrując samochodem na podjeździe i wyjeżdżając na drogę.

- Mnóstwo, kiedy ktoś się urodził jako Margaret Deirdre Burke - odparła Maggie.

Stuart wybuchnął śmiechem.

- Kiedy byłam w szkole, napisałam kiedyś do siebie list zaadresowany "Doktorostwo Declanostwo O'Caseyowie".

Ale przez to Declan nie stał się ani trochę bardziej interesujący.

- Nerwowo dotknęła włosów.

- A czy nie jest możliwe - spytała Tara - że po tylu latach doktor O'Casey zmienił się w zabawnego, krzepkiego i światowego mężczyznę?

- Wątpię - odparła Maggie.

- Raczej jest pompatyczny, pomarszczony i nadal jest prawiczką.

- Skąd możesz wiedzieć, że jest prawiczką?

- zdziwił się Stuart.

- Bo wszystkim o tym rozповідаł - rzekła Maggie.

- A ideałem romantycznego weekendu była dla niego konferencja matematyczna, na której wygłasza rozprawę z dziedziny trygonometrii.

Tara wybuchnęła śmiechem.

- Jednak trzeba przyznać, że twój ojciec nie był od niego o wiele bardziej doświadczony.

Spędziłam razem z pierwszym noc na ławce w parku i jedyne, co straciłam, to ranne pantofle.

Stuart tak się śmiał, że o mało niezawadził o krawężnik.

- Kiedyś odkryłam, jak Connor stracił niewinność - ciągnęła Maggie.

- Z dziewczyną, którą nazywano - wyszeptano niby w sekrecie - Napalona Nancy.

- Oni nie mógł tego powiedzieć - z niedowierzaniem zauważył Stuart.

- Pewno, żenie.

Nigdy bym tego nie odkryła, ale jednego wieczoru spóźniłam się z treningu.

Postanowiłam, że zostawię mu wiadomość w szafce w szatni i w wewnętrznej stronie drzwi zobaczyłam wyskrobane imię Nancy.

Ale nie mogłam się skarżyć.

Kiedy sprawdziłam szafki kolegów z jego drużyny, okazało się, że Connor miał najmniej punktów.

Tara kuliła się ze śmiechu i prosiła matkę, żeby już przestała.

- Kiedy twój ojciec wreszcie.

300

Zanim dotarli na lotnisko, Maggie opowiedziała wszystkie historyjki o rywalizacji między Declanem i Connorem, i na myśl o zbliżającym się spotkaniu z dawnym partnerem do tańca po tylu latach zrobiło się jej nieswojo.

Stuart zahamował przy krawężniku, wyskoczył z samochodu i utworzył przed nią drzwiczki.

- Lepiej się pośpiesz - powiedział, spojrzawszy na zegarek.

-Mamo, czy chcesz, żebyz tobą poszła?
- spytała Tara.
- Nie, dziękuję, córeczko - odparła Maggie i szybko, żeby niezmienić zdania, skierowała się ku rozsuwanym drzwiom.
Spojrzała na tablicę przylotów.
Samolot linii United z Chicagowylądował zgodnie z rozkładem, dwadzieścia po jedenastej.
Teraz dochodziła za dwadzieścia dwunasta.
Nigdy po nikogoniewyszłatak późno na lotnisko.
Im bliżej była wyjścia dla przylatujących, tym bardziej zwalniała, w nadziei, że się miną z Declanem.
Postanowiła, że pokręci się tu przez piętnaście minut, a potem wróci do samochodu.
Przyglądała się przybyłym pasażerom, wychodzącym przez bramkę.
Młodzi, promienni, pełni entuzjazmu, z deskami surfingowymi pod pachą;
w średnim wieku, zaafierowani i zatroskani, kurczowo trzymający dzieci; starzy, powolni i zamyśleni, zamykający pochód.
Zastanowiła się, czy w ogóle pozna Declana.
A może już koło niej przeszedł?
Przecież ostatnio widzieli się przed trzydziestu laty a on się nie spodziewał, że ktoś przyjdzie go przywitać.
Znowu popatrzyła na zegarek - dobiegało piętnaście minut.
Po-myślała o talerzu gnocchii kieliszku chardonnay przy lunchu w Cronulli, a potem drzemce w popołudniowym słońcu, podczas gdy Stuart i Tara będą się ślizgać na deskach surfingowych.
Nagle zobaczyłajednorękiego mężczyznę, który wyłonił się z przejścia.
Nogi się pod nią ugięły.
Wlepił wzrok w człowieka, którego ani na moment nie przestała kochać, i pomyślała, że upadnie.
W oczach wezbrały jej łzy.
Nie żądała wyjaśnienia.
Na to będzie czas później, dużo później.
Pobiegła do niego, nie widząc nikogo dookoła.
Kiedy ją ujrzał, uśmiechnął się tym znajomym uśmiechem, który dowodził, że wie, iż go przyłapano.
- Mój Boże, Connor!
- zawołała, zarzucając mu ręce na szyję.
- Powiedz mi, że to prawda.
Dobry Boże, powiedz, że to prawda!
Connor przytulił ją mocnym prawym ramieniem; lewy, pusty rękaw luźno zwisał.
301.

- To prawda, moja ukochana Maggie - powiedział z wyraźnym irlandzkim akcentem.
- Niestety, choć prezydenci mogą prawie wszystko, ale jak kogoś uśmiercać, nie ma innej rady, trzeba zniknąć na jakiś czas i wcielić się w kogo innego.
- Wypuścił z objęć kobietę, którą pragnął tulić każdej godziny przez ostatnie pół roku, i spojrzała na nią.
- Mój wybór padł na doktora Declana O'Caseya, uczonego, który zastanawia się nad przyjęciem posady w Australii, bo pamiętam, jak kiedyś mi mówiłaś, że chciałaś zostać panią Declanową O'Casey.
Przypuszczam, że Australijczycy nie będą się zbytnio interesować moim geniuszem matematycznym.

Maggie spojrzała na niego do góry.

Łzy ciekły jej strugą po policzkach, nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

- Ale ten list, kochanie - powiedziała.

- Skrzywione "e".

Jak ty.

- Tak.

Pomyślałem, że sprawię przyjemność tym drobiazgiem - rzekł Connor.

- Kiedy zobaczyłem w "Washington Post" twoje zdjęcie, jak stoisz nad grobem naprzeciw prezydenta, a potem przeczytałem te hołdy dla twego nieżyjącego męża, pomyślałem: Declan, mój chłopcze, to twoja ostatnia szansa poślubienia tej młodziutkiej Margaret Burkę ze Wschodniej Strony.

- Uśmiechnął się.

- Więc jak, Maggie?

Wyjdiesz za mnie?

- Connorze Fitzgerald, będziesz musiał się długo tłumaczyć - powiedziała Maggie.

- Rzeczywiście, pani O'Casey.

Do końca życia.

Spis treści

Księga pierwsza W drużynie .

Księga druga Samotny gracz

Księga trzecia Wynajęty zabójca

Księga czwarta Żywy i martwy .

Jeffrey Archer

Jedenaste przykazanie

Tytuł oryginału THE ELEVENTH COMMANDMENT

Copyright © by Jeffrey Archer 1998 Published by arrangement with HarperCollins Publishers Ltd.

Ilustracja na okładce Michael Bennett/Y.

C.G./ Agencja Free

Redaktor prowadzący serię Ewa Rojewska-Olejarczuk

Redakcja językowa Ewa Rojewska-Olejarczuk

Redakcja techniczna Barbara Wójcik

Korekta Bogusława Jędrasik

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 83-718(M45-8

Biblioteczka Konesera

Wydawca

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul.

Garżowa 7

Druk i oprawa

Opolskie Zakłady Graficzne SA

45-085 Opole, ul.

Niedziałkowskiego 8-12

Podziękowania

Pragnę wyrazić wdzięczność tym wszystkim, którzy mi pomogli w zbieraniu materiałów do tej książki.

Niechaj przyjmą moje podziękowania:

Szanowny William Webster, były dyrektor CIA i FBI

Szanowny Richard Thornburgh, były prokurator generalny Stanów Zjednoczonych

Szanowny Samuel Berger, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych

Patrick Sullivan, Secret Service Stanów Zjednoczonych, Oddział Operacyjny w Waszyngtonie

Agent specjalny J.

Patrick Durkin, Służby tajne dyplomacji Stanów Zjednoczonych

Melanne Verveer, Szefowa personelu Hillary Rodham Clinton

John Kent Cooke Jr, właściciel klubu Czerwonoskórych w Waszyngtonie

Robert Petersen, inspektor galerii prasowej Senatu Stanów Zjednoczonych

Jerry Gallegos, inspektor galerii prasowej Izby Reprezentantów

King Davis, szef policji Sierra Madre, Kalifornia

Michaił Piotrowski, dyrektor muzeów Ermitaż i Pałac Zimowy, Sankt Petersburg

Dr Galina Andriejewa, kustosz działu malarstwa XVIII i XIX wieku.

Państwowa Galeria Trietiakowska, Moskwa

Aleksander Nowosielow, asystent ambasadora Federacji Rosyjskiej, Waszyngton DC

Andriej Titow

Trzej członkowie mafii sanki petersburskiej,

którzy prosili o niepodawanie nazwisk

Malcolm Van de Riet i Timothy Rohrbaug, Nicole Radner, Robert VanHoek, Phil

Hochberg, David Gries, Judy Lowe i Philip Verveer, Nancy Henrietta, Lewis K.

Loss, Darrell Green, John Komlos, Natasza Maximowa, John Wood i Chris Ellis.

Szczególne podziękowania należą się Janet Brown z Komisji do spraw Prezydenckich Debat Przedwyborczych i Michaelowi Brewerowi z Firmy Konsultacyjnej Brewera.

Księga pierwsza
W drużynie.

Otwierając drzwi włączył alarm.

Błąd typowy dla amatora, co dziwne, gdyż Connor Fitzgerald miał w swoim środowisku opinię profesjonalisty nad profesjonalistami.

Fitzgerald przewidywał, że upłynie kilka minut, nim miejscowa policja zareaguje na włamanie w dzielnicy San Victorina.

Brakowało jeszcze paru godzin do rozpoczęcia dorocznego meczu piłki nożnej z Brazylią, ale połowa telewizorów w Kolumbii była już włączona.

Gdyby Fitzgerald włamał się do lombardu w trakcie gry, policja prawdopodobnie nie kiwnęłaby palcem aż do końcowego gwizdka sędziego.

Wiadomo było, że miejscowi przestępcy traktują mecz jak dziewięćdziesięciominutowy czas łaski.

Ale on miał na te dziewięćdziesiąt minut plany, które postawią policję na nogi na wiele dni. Upłyną tygodnie, może miesiące, zanim ktoś odkryje prawdziwy sens włamania w to sobotnie popołudnie.

Alarm wciąż dzwięczał, gdy Fitzgerald zamknął drzwi i pospiesznie przemierzał niewielki magazyn, kierując się do frontowej części sklepu.

Nie zważał na rzędy zegarków na malutkich podstawkach, szmaragdy w celofanowych torebkach i złote przedmioty wszelkich kształtów i rozmiarów, wyłożone za gęstą siatką. Wszystko pieczołowicie oznaczone karteczkami z nazwiskiem i datą czekało na powrót zubożałych właścicieli, którzy w ciągu sześciu miesięcy mogli odzyskać rodzinne skarby. Jednak wracali nieliczni.

Fitzgerald odsunął na bok zasłonę z paciorków oddzielającą zaplecze od sklepu i zatrzymał się przy ladzie.

Utkwił wzrok w podniszczonej skórzanej walizce, umieszczonej na stojaku na środku wystawy.

Na wieku widniały zblakłe złote inicjały "D. V.R."

Stał nieruchomo, dopóki się nie upewnił, że nikt z zewnątrz nie patrzy.

Kiedy Fitzgerald kilka godzin wcześniej przyniósł do lombardu ręcznie wykonane cacko, oznajmił właścicielowi, że może je od razu

wystawić na sprzedaż, gdyż nie zamierza wrócić do Bogoty.

Nie był więc zdziwiony widząc je w oknie wystawowym.

Drugiego takiego okazu nie było wmieście.

Chciał przeskoczyć ladę, gdy dostrzegł młodego człowieka przechodzącego obok wystawy.

Zamarł, lecz uwagę tamtego pochłaniał o małe radio, które przyciskał do lewego ucha.

Fitzgerald interesował go tyle, co manekin.

Kiedy znikł z oczu, Fitzgerald przesadził ladę i podszedł do wystawy.

Spojrzał w prawo i w lewo, sprawdzając, czy niema przypadkowych widzów, ale ulica była pusta.

Jednym ruchem zdjął skórzaną walizkę ze stojaka i z powrotem przeskoczył przez ladę.

Odwrócił się i jeszcze raz spojrzał w okno, by się upewnić, czy nie obserwuje go jakieś wścibskie oko.

Szybko skierował się do magazynu.

Zaciągnął zasłonę i podszedł do zamkniętych drzwi.

Spojrzał na zegarek.

Alarm wył od dziewięćdziesięciu ośmiu sekund.

Wyszedł na uliczkę i nastawił uszu.

Gdyby usłyszał jęk policyjnej syreny, zwróciłby się na lewo i znikł w labiryncie ulic na tyłach lombardu.

Ale poza dźwiękiem alarmu nic nie było słyhać.

Skręcił w prawo i niedbałym krokiem podążył w kierunku Carrera Septima.

Stanąwszy na chodniku, Connor Fitzgerald spojrzał w lewo, potem w prawo i, nie oglądając się za siebie, przeciął jezdnię klucząc między nielicznymi pojazdami.

Dał nura w głąb zatłoczonej restauracji, gdzie grupa hałaśliwych kibiców siedziała wokół telewizora o wielkim ekranie.

Nikt na niego nie spojrzał.

Wszyscy mieli wzrok wbity w telewizor, pokazujący w kółko powtórki trzech bramek, zdobytych dla Kolumbii w zeszłym roku.

Fitzgerald zajął stolik w kącie.

Wprawdzie nie widział stąd wyraźnie ekranu telewizyjnego, ale za to miał doskonały widok na przeciwną stronę ulicy.

Ponad lombardem w popołudniowym wietrze kołysała się podniszczona tablica z napisem: "J. Escobar.

Monte de Piedad, establecido 1946".

Minęło kilka minut, nim wóz policyjny zatrzymał się ze zgrzytem hamulców przed lombardem.

Na widok dwóch policjantów w mundurach, wchodzących do budynku, Fitzgerald wstał i niedbałym krokiem wyszedł tylnymi drzwiami na inną ulicę, drzemiącą w ciszy sobotniego popołudnia.

Zatrzymał pierwszą wolną taksówkę i z wyraźnym południowoafrykańskim akcentem powiedział: "El Belvedere przy Plaza de Bolivar, porfayor".

Szofer lekko skinął głową, jakby komunikując, że nie chce się wdawać w dłuższą rozmowę.

Gdy tylko pasażer opadł na tylne siedzenie zdezelowanej żółtej taksówki, włączył radio.

Fitzgerald spojrzał znów na zegarek.

Siedemnaście po pierwszej.

Kilka minut opóźnienia.

Przemówienie pewno już się zaczęło, ale ponieważ takie mowy trwają zwykle ponad czterdzieści minut, miał dość czasu, by zrealizować rzeczywisty cel swej bytności w Bogocie. Przesunął się trochę w prawo, żeby szofer mógł go wyraźnie widzieć we wstecznym lusterku.

Ważne było, żeby z chwilą, gdy policja zacznie śledztwo, wszyscy, którzy go widzieli w tym dniu, opisali go podobnie: mężczyzna, biały, w wieku około pięćdziesięciu lat, nieco powyżej metra osiemdziesiąt wzrostu, wagi dziewięćdziesięciu kilogramów, nie ogolony, o ciemnych, rozwichrzonych włosach, ubrany jak cudzoziemiec, mówiący z silnym obcym, ale nie amerykańskim akcentem.

Liczył na to, że chociaż jeden ze świadków rozpozna nosową wymowę południowoafrykańską.

Fitzgerald miał talent imitatorski.

W szkole średniej wciąż podpadał za przedrzeźnianie nauczycieli.

Radio wyrzucało z siebie opinie kolejnych ekspertów na temat prawdopodobnego rezultatu rokrocznie rozgrywanego meczu międzypaństwowego.

Fitzgerald nie wsłuchiwał się w język, którego nie miał zamiaru opanować, choć ostatnio wzbogacił swój ograniczony słownik o takie wyrażenia, jak/a/? a, fuera i gol.

Kiedy siedemnaście minut później fiat zajechał przed El Belvedere, Fitzgerald wręczył kierowcy banknot o nominale dziesięciu tysięcy pesos i wymknął się z samochodu, nim tamten zdążył podziękować za tak hojny napiwek.

Co prawda taksówkarze w Bogocie nie nadużywają słów muchas gracias.

Fitzgerald wbiegł po schodach hotelowych mijając portiera w liberii, przez obrotowe drzwi dostał się do foyer i ruszył wprost do rzędu wind naprzeciw recepcji.

Już po kilku chwilach jedna z czterech wind zjechała w dół.

Gdy drzwi się rozsunęły, wszedł do środka i nacisnął guzik z napisem "8", a zaraz potem następnym, blokującym wstęp innym.

Wysiadł na ósmym piętrze i korytarzem wyłożonym cienkim dywanem powędrował do pokoju numer 807.

Wcisnął w szczelinę plastikową kartę i gdy zapaliło się zielone światelko, przekręcił gałkę. Otworzył drzwi i na zewnątrz zawiesił tabliczkę z napisem Favor de no Mole star, po czym zamknął je i zarygłował.

Znów spojrzął na zegarek: za dwadzieścia cztery druga.

Policja musiała już opuścić lombard, uznawszy, że alarm był fałszywy.

Za

telefonują do Escobara na wieś i poinformują go, że wszystko wydaje się w porządku, oraz poproszą, by wróciwszy w poniedziałek do miasta dał im znać, czy czegoś nie brakuje.

Ale na długo przedtem Fitzgerald położy podniszczoną walizkę z powrotem na wystawie.

W poniedziałek rano Escobar zgłosi tylko kradzież kilku małych pakiecików

nieszlifowanych szmaragdów, świeżych przy wyjściu przez policjantów.

Ile czasu upłynie, zanim odkryje brak jeszcze tej jednej rzeczy?

Dzień?

Tydzień?

Miesiąc?

Fitzgerald już postanowił że zostawi jakąś drobną wskazówkę, żeby go szybciej naprowadzić na trop.

Zdjął marynarkę, powiesił ją na najbliższym krześle i wziął pilota ze stolika przy łóżku.

Włączył telewizor i usiadł na sofie.

Na ekranie ukazała się twarz Ricarda Guzmana.

Fitzgerald wiedział, że w kwietniu Guzman ma skończyć pięćdziesiąt lat, lecz gdyby był wysoki, bez odrobiny nadwagi, o bujnej czarnej czuprynie człowiekoznajmił wielbiącemu go tłumowi, że nieprzekroczył czterdziestki, uwierzono by mu bez wahania. Zresztą Kolumbijczycy nie oczekują od swych polityków prawdy na jakikolwiek temat, niewyłączając ich wieku.

Ricardo Guzman, faworyt zbliżających się wyborach prezydenckich, był szefem kartelu Cali, który kontrolował w osiemdziesięciu procentach nowojorski rynek kokainy i zarabiał ponad miliard dolarów rocznie.

Nikt nie wiedział, ile zgonów na Manhattanie było bezpośrednim skutkiem działalności tej grupy.

Fitzgerald nie natknął się na tę informację żadnym z trzechdzienników kolumbijskich, pewno dlatego, że większość dostaw papieru gazetowego Kolumbii znajdowała się w ręku Guzmana.

- Gdy zostanę waszym prezydentem, pierwszym moim krokiem będzie znacjonalizowanie wszystkich firm, w których Amerykaniamają większość udziałów.

Niewielki tłum otaczający schody budynku Kongresu na Plaźade Bolivar wydał okrzyk aprobaty.

Doradcy Ricarda Guzmana wielokrotnie mówili, że przemawianie w dniu meczu będzie strata czasu, ale on sobie wykalkulował, iż miliony widzów, przeskakujących z kanału na kanał w poszukiwaniu meczu, natkną się na niego choćby na moment.

Ci sami ludzie zdziwią się po godzinie, widząc go wkraczającego na przepełniony stadion.

Pitka nożna nudziła Guzmana, ale wiedział, że jego wejście na parę chwil przed ukazaniem się zespołu kolumbijskiego na boisku odwróci uwagę tłumu od

14

Antonia Herrery, wiceprezydenta i jego głównego rywala w wyborach.

Herrera będzie siedział w łóżku dla ważnych osobistości, lecz Guzman znajdzie się wśród tłumu za jedną z bramek.

Chciał się zaprezentować jako człowiek ludu.

Fitzgerald ocenił, że do końca przemówienia zostało około sześciu minut.

Słyszał już Guzmana wiele razy: w zatłoczonych salach, wna pół pustych barach, na rogach ulic, nawet na dworcu autobusowym, gdzie kandydat przemawiał do miejscowych obywateli z tylnego pomostu autobusu.

Zdjął walizkę z łóżka i położył sobie na kolanach.

- ...

Antonio Herrera nie jest kandydatem liberałów - syczał Guzman - lecz Amerykanów.
To kukła brzuchomówcy, której każdesłowo dobiera człowiek w Pokoju Ovalnym.

Tłum znów wznosił okrzyk aprobaty.

Pięć minut, uznał Fitzgerald.

Otworzył walizkę i spojrzał na remingtona 700, z którym rozstał się tylko na kilkadziesiąt godzin.

- Jak Amerykanie śmia sądzić, że zawsze postąpimy tak, jak im wygodnie?

- warknął Guzman.

- I to tylko ze względu na boską siłę dolara.

Dodiabła z dolarem!

Tłum wydał grzmiący okrzyk, gdy kandydat na prezydenta wyjął z portfela banknot dolarowy i podarł wizerunek Jerzego Waszyngtona na drobne kawałeczki.

- Mogę was zapewnić o jednym - ciągnął Guzman, rzucając natłum skrawki zielonego papieru niczym konfetti.

- Bóg nie jest Amerykaninem.

- bezgłośnie powiedział Fitzgerald.

- Bóg nie jest Amerykaninem!

- krzyknął Guzman.

Fitzgerald ostrożnie wyjął ze skórzanej walizki łożo McMillana z włókna szklanego.

- Za dwa tygodnie cały świat usłyszy, co myślał obywatel Kolumbii!

- krzyknął Guzman.

- Cztery minuty - mruknął Fitzgerald spoglądając na ekranie przedrzeźniając uśmiech kandydata na prezydenta.

Z przegródki w walizce wydobyl lufę wykonaną ze stali nierdzewnej Harta i przykręcił ją silnie do łoża.

Pasowała jak rękawiczka.

- Na konferencjach międzynarodowych Kolumbia znów zasiądzie za stołem obrad, zamiast nazajutrz dowiadywać się o ich przebiegu z gazet.

W ciągu roku zmuszę Amerykanów, żeby traktowali nas jak równych sobie, a nie jak kraj Trzeciego Świata.

15.

Tłum ryczał w uniesieniu, Fitzgerald zaś wydobyl z walizki lunetę celowniczą 10 Power Leupold i wsunął ją w dwa rowki na górnej części lufy.

- Zasto dniu rzyście takie zmiany w naszym kraju, jakie Herrerze nie wydawałyby się możliwe za sto lat.

Bo gdy zostanę waszym prezydentem.

Fitzgerald wolno przyłożył karabin do ramienia.

Miał wrażenie, że obcuje ze starym przyjacielem.

Nic dziwnego: każda część została ręcznie wykonana według jego dokładnego opisu.

Skierował lunetę celownika ekran telewizora i ustawiał podziałkę do chwili, gdy kropki oznaczające tysięczne znalazły się dwai pół centymetra powyżej serca kandydata.

- ...

zwalczę inflację.

Trzy minuty.

- ...

bezrobocie.

Fitzgerald wypuścił powietrze.

- ...

ipółożę kres między.

Fitzgerald odliczył: trzy.

dwa..

jeden, po czym łagodnie nacisnął język spustowy.

Ledwie usłyszał jego szczęk wśród wrzawy.

Opuścił karabin, wstał z łóżka i odłożył na bok pustą walizkę.

Upłynie jeszcze półtorej minuty, zanim Guzman przystąpi do obrzędowego wyklinania prezydenta Lawrence'a.

Z kieszonki w pokrywie walizki wyjął nabój z pociskiem z wgłębieniem wierzchołkowym.

Przełamał broń i wsunął nabój do komory.

Zatrzasnął lufę zdecydowanym ruchem w górę.

- To ostatnia szansa dla obywateli Kolumbii, by odwrócić katastrofalne klęski przeszłości!

- głośniejszym słowem wołał Guzman.

- Nie wolno nam więc.

- Jedna minuta - mruknął Fitzgerald.

Mógłby powtórzyć każde słowo z końcowych sześćdziesięciu sekund mowy Guzman.

Odwrócił wzrok od telewizora i wolno podszedł ku drzwiom balkonowym.

- ...

zmarnować tę wspaniałą okazję.

Fitzgerald odsunął koronkową firankę zasłaniającą widok na zewnętrzny świat i poszybował wzrokiem przez Plaza de Bolívar do jego północnego krańca, gdzie kandydat na prezydenta stał na szczycie schodów budynku Kongresu, ponad tłumem.

Teraz miał nastąpić coup de grace.

Fitzgerald cierpliwie czekał.

Nigdy nie bądź na widoku dłużej niż to konieczne.

16

- Viva la Colombia!

- krzyknął Guzman.

- Viva la Colombia!

- odkrzyknęli ludzie w uniesieniu, choć wielu z nich było tylko płatnymi klakierami strategicznie rozmieszczonymi wśród tłumu.

- Kocham mój kraj - obwieścił kandydat na prezydenta.

Trzydzieści sekund do końca przemówienia.

Fitzgerald otworzył drzwi balkonowe.

Zgiełk tłumu, powtarzającego każde słowo Guzmána, z pełną siłą dźwięku wdarł się do środka.

- I powiem otwarcie - kandydat na prezydenta ściszył głos niemal do szeptu.

- Tylko z tego jedyne powoduję wam służyć jako prezydent.

Poraz drugi Fitzgerald wolno przyłożył kolbę Remingtona 700 do ramienia.

Wszystkie oczy wlepione były w kandydata, który grzmiał:

- Dios guarde ala Colombia!

Wrzawa dosięgła zenitu, gdy wyrzucił ręce wysoko w górę w podzięcie zwolennikom, którzy odpowiedzieli okrzykiem:

- Dios guarde a la Colombia!

Guzmán przez kilka sekund trzymał ręce triumfalnie wzniesione w górę, jak zwykle pod koniec każdego przemówienia.

I, jak zwykle, przez kilka chwil stał nieruchomo.

Fitzgerald ustawił kropki podziałki dwa i pół centymetra nad sercem kandydata na prezydenta i zrobił wydech, zaciskając palce lewej dłoni na łożu.

- Trzy.

dwa..

jeden - powiedział słumionym głosem łagodnie nacisnął spust.

Guzmán wciąż się uśmiechał, gdy pocisk z zaokrągloną częścią denną uderzył go w pierś.

Sekundę później osunął się na ziemię jak bezwładna kukła.

Ułamki kości, strzępy tkanek i mięśni rozprysnęły się na wszystkie strony.

Krew obryzgała najbliższych stojących.

Fitzgerald dojrzał jeszcze wyciągnięte ręce kandydata na prezydenta, jakby w geście poddania się nieznanemu wrogowi.

Fitzgerald opuścił broń, przełamał ją iszybko zamknął i zaryglował drzwi balkonowe. Wykonał zadanie.

Teraz musi tylko dopilnować, by nie złamać jedenastego przykazania.

^ict^il

2. Jedenaste przykazanie.

II

- Czy mam złożyć kondolencje żonie i rodzinie?

- spytał Tom Lawrence.

- Nie, panie prezydencie - odparł sekretarz stanu.

- Uważam, że powinien panto zostawić zastępcy sekretarza do spraw stosunków między amerykańskimi.

Teraz jest pewne, że Antonio Herrera zostanie wybrany na prezydenta Kolumbii, więc to z nim będzie pan miało czynienia.

- Czy będziesz mnie reprezentował na pogrzebie?

Czy powinienem wysłać wiceprezydenta?

- Nie radzę wysłać żadnego z nas - powiedział sekretarz stanu.

- Nasz ambasador w Bogocie będzie pana reprezentował wystarczająco.

Pogrzeb odbędzie się w ten weekend, trudno więc się spodziewać, abyśmy byli do dyspozycji z dnia na dzień.

Prezydent kiwnął głową.

Przywykłdo tego, że Larry Harrington ma rzeczowe podejście do wszystkiego, ze śmiercią włącznie.

Ciekawiło go, jak zachowałby się Larry, gdyby to on sam został zabity.

- Panie prezydencie, chyba powinienem pana bliżej poinformować o naszej obecnej polityce w Kolumbii.

Dziennikarze mogą panapytać, czy niemaczaliśmy palców.

Prezydent chciał coś wtrącić, kiedy zapukano do drzwi i do pokoju wszedł Andy Lloyd.

Na pewno jest jedenasta, pomyślał Lawrence.

Odkąd uczynił Lloyda szefem personelu Białego Domu, nie potrzebował zegarka.

- Później, Larry - rzekł prezydent.

- Mam wystąpić na konferencji prasowej w sprawie projektu ustawy o ograniczeniu zbrojeń nuklearnych, biologicznych, chemicznych i konwencjonalnych i nie wyobrażam sobie, aby wielu dziennikarzy interesowała śmierć kandydata na prezydenta w kraju, którego, powiedzmy to sobie wprost, większość Amerykanów nie umiałaby nawet wskazać na mapie.

18

Harrington nie odezwał się.

Nie poczuwał się do obowiązku przypominania prezydentowi, że większość Amerykanów nie umiałaby też wskazać na mapie Wietnamu.

Harrington wiedział, że kiedy Andy Lloyd wchodzi do pokoju, tylko wypowiedzenie wojny światowej dałoby mu pierwszeństwo.

Skinął Lloydowi lekko głową i opuścił Pokój Ovalny.

- Dlaczego ja w ogóle mianowałem tego faceta?

- zapytał Lawrence patrząc na zamknięte drzwi.

- Larry pozyskał dla nas Teksas, panie prezydencie, wtedy gdy badania opinii publicznej wskazywały, że większość południowców uważa pana za fajtlapę z Północy, który chętnie odda stanowisko przewodniczącego Kolegium Połączonych Sztabów homoseksualiście.

- Pewno bym to zrobił - powiedział Lawrence - gdybym uznał, że nadaje się na stanowisko.

Jednym z powodów, który skłonił Toma Lawrence'a do zaproponowania staremu przyjacielowi ze studiów posady szefa personelu w Białym Domu był fakt, że potrzydziestu latach znajomości nie mieli przed sobą żadnych sekretów.

Andy mówił o sprawach tak, jak je widział, bez cienia złośliwości czy podstępów.

Ta sympatyczna cecha udaremniała mu wszelką karierę, nie stanowił więc żadnego zagrożenia.

Prezydent otworzył niebieską teczkę z napisem "bieżące", którą Andy zostawił mu z samego rana.

Podejrzewał, że szef personelu śleczkał nad nią przez całą noc.

Zaczął zapoznawać się po kolei z pytaniami, które zdaniem Andy'ego, padną najprawdopodobniej na południowej konferencji prasowej:

"Ile pieniędzy podatników spodziewa się pan zaoszczędzić dzięki tej ustawie?"

".

"Jak wielu Amerykanów straci w rezultacie pracę?"

".

- Przypuszczam, że jak zwykle pierwsze pytanie zada Barbara Evans.

- Lawrence podniósł wzrok.

- Czego może dotyczyć?

- Nie mam pojęcia, panie prezydencie - odparł Lloyd.

- Ale ponieważ nalega na wprowadzenie tej ustawy od dnia, kiedy zwyciężył pan Gore'a w New Hampshire, nie będzie jej wypadało narzekać, gdy akurat się pan do tego zabiera.

- Słusznie.

Ale to jej nieprzeszkodzi wystrzelić z czymś kłopotliwym.

Andy kiwnął potakująco głową.

19.

- Kogo mam się najbardziej strzec?

-Reszty tych drani - zaśmiał się Lloyd.

- Ale kiedy już się panz nimi upora, niech się pan zwróci do Phila Ansanha.

- Dlaczego do niego?

-Popierał ustawę na każdym etapie, poza tym będziedziś wieczorem pańskim gościem na kolacji.

Prezydentuśmiechną się i kiwnął głową, przesuując palcem poliście przewidywanych pytań.

Zatrzymał się przy pytaniu numer siedem.

"Czy nie jest to jeszcze jeden przykład na to, że Amerykapobłądziła?

".

- Czasami myślę - prezydent spojrzął naLloyda - że nadal żyjemy na Dzikim Zachodzie, sądząc po reakcjach pewnych kongresmanów na projekt tej ustawy.

-Zgadzam się, panie prezydencie.

Ale jakpan wie, czterdzieściprocentAmerykanów nadal uważa, że naszym największym zagrożeniem są Rosjanie, a blisko trzydzieści procent się spodziewa, że zaich życia będziemy się bić z Rosją.

Lawrence zaklął i przeciągnął palcami przez gęste, przedwcześnieposiwiałe włosy.

Dalej czytał pytania, wreszcie zatrzymał się przydziewiętnastym.

- Jak długo jeszcze będą mi wypominać, że spaliłem kartę powołania?

-Dopóki będzie pan naczelnym dowódcą sił zbrojnych, jaksądę.

Prezydent mruknął coś pod nosem i przeszedł do następnego pytania.

Podniósł głowę.

- Chyba Wiktor Żeriński nie ma żadnych szans wyboru na następnego prezydenta

Rosji?

-Chyba nie - rzekł Andy- ale według najnowszych badań opinii publicznej przesunął się w górę na trzecie miejsce i choć jest jeszczedaleko zapremierem Czernopowem i generałem Borodinem, to jegospzeciwoobec zorganizowanej przestępczości podkopuje ich przewagę.

Zwłaszczażew opinii większości Rosjan Czernopow jestfinansowany przezrosyjską mafię.

A co z generałem?

- Jego pozycja słabnie, gdyż większośćarmii rosyjskiej od miesięcy nie dostajeżołdu.

Prasapodaje, że żołnierze na ulicach sprzedająmunduryturystom.

20

- Dzięki Bogu, wybory dopieroza dwa lata.

Gdyby ten faszystaŻeriński miał cień szansy wyboru na prezydenta,projekt ustawyo ograniczeniuuzbrojeń przypadłbyna samym wstępie w obu Izbach.

Lloyd pokiwał głową.

Lawrence przewrócił stronę.

Wodził palcem po kolejnych pytaniach, aż dotarł dodwudziestego dziewiątego.

- Ilu kongresmanów ma w swoich okręgach zakłady zbrojeniowei bazy militarne?

- zapytał, spoglądajęcna Lloyda.

- Siedemdziesięciu dwóch senatorów i dwustu jedenastu członków Izby

Reprezentantów - odparł Lloyd, nie zaglądajęc do swejteczki.

- Będzie pan musiał, panie prezydencie, przekonać conajmniej sześćdziesiąt procent ich wszystkich, byzapewnić sobiewiększość w obu Izbach.

Ito przyzałożeniu, że możemy liczyć na głos senatora Bedella.

- Frank Bedell domagałsię wprowadzenia ustawy o radykalnymograniczeniu zbrojeń, kiedy byłem w szkole średniej w Wisconsin -zauważyłprezydent.

- Musinas poprzeć, nie ma wyboru.

- On może nadal być zwolennikiem ustawy, ale sądzi, że jest pan zbyt ostrożny, panie prezydencie.

Właśnie zażądał, żeby zredukować wydatki na obronę o ponad pięćdziesiąt procent.

- Jak niby mam tego dokonać?

- Wycofać się z NATO i pozwolić, aby Europejczycy sami troszczyli się o swoją obronę.

- Ależ to jest absolutnie nierealistyczne - rzekł Lawrence.

- Nawet Amerykanie na rzecz Akcji Demokratycznej byliby przeciw.

- Panowie, panie prezydencie, jawiem i podejrzewam, że znasz senatorów też wie.

Co mu nie przeszkadza występować w każdej stacji telewizyjnej od Bostonu po Los Angeles i dowodzić, że pięćdziesięcioprocentowa redukcja wydatków na obronę z dnia na dzień rozwiązałaby problem opieki zdrowotnej i emerytur w Ameryce.

- Chciałbym, żeby Bedell tak samotroszczył się o obronność Amerykanów, jak troszczy się o ich opiekę zdrowotną - skomentował Lawrence.

- Jak mam odpowiedzieć?

- Obsypać go pochwałami za niestrudzone i godne starania w obronie interesów ludzi starych.

Ale potem pokreślić, że dopóki pan będzie naczelnym dowódcą, nie dopuści pan do osłabienia obronności Ameryki.

Zawsze na pierwszym miejscu będzie pan stawiał pozycję Ameryki jako najpotężniejszego kraju świata, et cetera, et cetera.

W ten sposób powinniśmy zachować głos Bedella i może nawet przekonać kilku jastrzębi.

21.

Prezydent zerknął na zegarek, po czym zaczął czytać trzecią stronę.
Przy trzydziestym pierwszym pytaniu głębokwestchnął.

"Jak może pan mieć nadzieję, że ta ustawa zostanie uchwalona, skoro demokraci nie mają większości w żadnej z Izb?

".

- Nowięc, Andy, jak na to odpowiedzieć?

- Po prostu, iż zainteresowani Amerykanie w całym kraju wyraźnie mówią wybranym przez siebie reprezentantom, że ustawa jest sporo opóźniona i że zwykły zdrowy rozsądek nakazuje ją uchwalić.

- Tak samo argumentowałem ostatnim razem, Andy.

Pamiętasz, w związku z ustawą o zwalczaniu narkotyków?

- Owszem, panie prezydencie, pamiętam.

I Amerykanie gremialnie pana poparli.

Lawrence znowu głęboko westchnął.

- Gdyby tak rządzić krajem - powiedział - w którym nie odbywają się co dwa lata wybory i którego nie nęka korpus prasowy, przekonany, że może lepiej kierować sprawami kraju niż demokratycznie wybrany rząd.

- Nawet Rosjanie muszą się pogodzić z dyktatem prasy - rzekł Lloyd.

- Kto by uwierzył, że tego dożyjemy?

- spytał Lawrence, przebiegając wzrokiem ostatnie pytanie.

- Mam wrażenie, że gdyby Czernopow obiecał Rosjanom, że zamierza być pierwszym prezydentem, który więcej wyda na opiekę zdrowotną niż na obronę, zwyciężyłby bez trudu.

- Można i racja - przyznał Lloyd.

- Ale gdyby wybrano Żerińskiego, z pewnością zaczęłby od wskrzeszenia rosyjskiego arsenału jądowego, a nie od budowy nowych szpitali.

- To nie ulega kwestii - rzekł prezydent.

- Ale skoro ten maniak nie ma szans.

Andy Lloyd milczał.

III

Fitzgerald wiedział, że następne dwadzieścia minut zdecyduje o jego losie.

Szybko przemierzył pokój i spojrzał na ekran telewizora.

Ludzie uciekali z placu nawszystki strony.

Hałaśliwe uniesienie zamieniło się w ślepa panikę.

Dwóch doradców Ricarda Guzmana pochylało się nad jego zwłokami.

Fitzgerald odszukał łuskę i włożył ją na miejsce do skórzanej walizki.

Czy właściciel lombardu pozna, że jeden z naboju został wystrzelony?

Z drugiej strony placu narastał charakterystyczny jęk syreny policyjnej, zagłuszając wrzask tłumu.

Tym razem reakcja była znacznie szybsza.

Fitzgerald odjął celownik optyczny i wstawił go do dobranej kształtem przegródki.

Odkręcił lufę, wsunął ją na miejsce, a na końcu schował łożo.

Spojrzał ostatni raz na ekran telewizora i zobaczył, jak miejscowa policja zalewa plac niczym mrówki.

Schwycił skózaną walizkę, wsunął do kieszeni zapalki z popielniczki na telewizorze i ruszył do drzwi.

Omiótł wzrokiem pusty korytarz i szybkim krokiem skierował się do windy towarowej. Kilkakrotnie nacisnął mały biały guzik w ścianie.

Wychodząc do lombardu otworzył okno wiodące do wyjścia pożarowego, ale wiedział, że gdyby musiał się uciec do rezerwowego planu, prawdopodobnie u dołu rozchwianych metalowych stopniczek byłby oddział policji.

Nie byłoby, jak w filmach z Rambo, śmigłowca z wirującym śmigłem, czekającego, by wśród świstu cudem mijających go kul uwięzić go ku chwale.

To był świat rzeczywisty.

Kiedy rozsunęły się ciężkie drzwi windy, Fitzgerald stanął twarzą w twarz z młodym kelnerem w czerwonej marynarce, z przeładowa- 23.

ną tacą w rękach.

Widać przypadł mu w udziale zły los i nie dostał wolnego popołudnia, by obejrzeć mecz.

Kelnernie zdołał ukryć zaskoczenia na widok gościa przedwindą towarową.

- No, señor, perdone, no puede entrar- usiłował tłumaczyć gościowi, który pospiesznie go minął.

Ale gość nacisnął guzik napisem Piana Baja i drzwi się zamknęły, nim młody człowiek zdążył wyjaśnić, że ta winda zjeżdża do kuchni.

Dotarłszy na parter, Fitzgerald zwinnie przemknął między stołami z nierdzewnej stali, zastawionymi rzędami przystawek, czekających na zamówienie, i butelkami szampana, które będą otwarte, jeżeli wygra Kolumbia.

Znalazł się po drugiej stronie, pchnął wahadłowe drzwi i znikł, zanim ktokolwiek z personelu w białych fartuchach zdołał zaprotestować.

Pobiegł mrocznym korytarzem - poprzedniego wieczoru wykręcił większość żarówek - dociężkich drzwi, prowadzących do podziemnego parkingu hotelowego.

Wyjął z kieszeni marynarki wielki klucz, zamknął zasobą drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Skierował się wprost do małego czarnego volkswagena, zaparkowanego w najciemniejszym kącie.

Z kieszeni spodni wyjął drugi, mniejszy kluczyk, otworzył drzwiczki, usiadła kierownicą, umieścił skórzaną walizkę pod siedzeniem pasażera i włączył starter.

Silnik natychmiast ożył, chociaż nie pracował przez ostatnie trzy dni.

Naciskając pedał gazu Fitzgerald przez kilkasekund pottrzymał silnik na szybkich obrotach, po czym wrzucił pierwszy bieg.

Bez pośpiechu manewrował między rzędami samochodów.

Pokonując stromy podjazd, wyjechał na ulicę.

Zatrzymał się na górze.

Policjanci wlamywali się do zaparkowanego auta i nawet nie spojrzeli w jego stronę.

Skręcił w lewo i powoli oddalił się od Plaža de Bolívar.

Wtem usłyszał z tyłu jęśliwy dźwięk.

Spojrzał we wsteczne lusterko i zobaczył za sobą dwa pędzące motocykle policyjne o błyskających światłach.

Fitzgerald zjechał na bok i przepuścił eskortę i ambulans wiozący zwłoki Guzmána.

Skręcił w lewo w boczną ulicę i długą, okrężną trasą, często wracając po własnych śladach, pojechał do lombardu.

Dwadzieścia cztery minuty później dotarł na małą uliczkę i zaparkował za ciężarówką.

Wydobył podniszczoną skórzaną walizkę spod fotela pasażera i zostawił samochód nie zamknięty.

Planował, że za niecałe dwie minuty usiądzie z powrotem za kierownicą.

24

Prędko rozejrzał się w lewo i w prawo.

Na ulicy nie było żywego ducha.

I znowu, kiedy wchodził do budynku, włączył się alarm.

Ale teraz Fitzgerald nie lękał się szybkiego przyjazdu jakiegoś przypadkowego patrolu - wiedział, że policja ma pełne ręce roboty; albo uwijają się na stadionie, gdzie zapół godzinie zaczyna się mecz, albo aresztują każdego w promieniu kilometra od Plaža de Bolívar.

Fitzgerald zamknął za sobą tylne drzwi lombardu.

Szybko przeciął zaplecze i, odsunawszy zasłonę z paciorków, zatrzymał się przed ladą.

Sprawdził, czy nie ma nikogo na ulicy, i z powrotem postawił skórzaną walizkę na wystawie.

Ile minie czasu, zanim Escobar, który przyjdzie do sklepu w poniedziałek rano, odkryje, że jeden z pocisków magnum z zaokrągloną częścią denną został wystrzelony z tylko łuska?

I czy będzie musiał zgłosić o swym odkryciu policji?

Fitzgerald w niespełna półtorej minuty siedział już w yolkswagenie.

Słyszał wycie alarmu jeszcze kiedy wyjeżdżał na główną ulicę kierowaną znakami na Aeropuerto El Dorado.

Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Przecież lada chwila miał się zacząć mecz.

Zresztą, czyż mógł być jakiś związek między alarmem dzwiczącym w lombardzie w dzielnicy San Victorina a zabójstwem kandydata na prezydenta Plaza de Bolivar?

Na autostradzie Fitzgerald trzymał się środkowego pasa i ani razu nie przekroczył dozwolonej prędkości.

Przemknęło koło niego kilka samochodów policyjnych w drodze do miasta.

Nawet gdyby go zatrzymano, by skontrolować dokumenty, stwierdzono by, że wszystko jest w porządku.

Wypchana walizka na tylnym siedzeniu zawierała nic niezwykłego jak na handlowca, który odwiedził Kolumbię, żeby sprzedać urządzenia do kopalń.

Fitzgerald zjechał z autostrady odnogą prowadzącą na lotnisko.

Po kilkuset metrach skręcił nagle w prawo i wjechał na parking hotelu San Sebastian.

Otworzył schowek pod deską rozdzielczą i wyjął stamtąd paszport z mnóstwem pieczęci.

Zapałkami, które zabral z hotelu El Belvedere, podpalił Dirka van Rensberga.

Kiedy ogień sparzył mu palce, otworzył drzwiczki samochodu, rzucił szczątki paszportu na ziemię i zdeptał płomień, mimo że ogień w Afryce Południowej wciąż było widoczne.

Odłożył zapalniczkę na siedzenie pasażera, schwycił walizkę i zatrzasnął drzwiczki samochodu, zostawiając kluczyki w stacyjce.

Ruszył do drzwi hotelu i szczątki paszportu

oraz wielki, ciężki klucz wrzucił do pojemnika na śmieci u stópschodów.

Przecisnął się przez obrotowe drzwi za grupą japońskich biznesmenów i nie odstępując ich wsiadł do otwartej dla nich windy.

Był jedynym pasażerem, który wysiadł na trzecim piętrze.

Udał się wprost do pokoju 347, wyjął następną plastikową kartę, która otworzyła inny pokój, zarezerwowany na imię i nazwisko.

Rzucił walizkę na łóżko i spojrzał na zegarek.

Godzina i siedemnaście minut do odlotu.

Zdjął marynarkę i rzucił ją na jedynym krzesło, potem otworzył walizkę, wyjął neseser z przyborami do mycia i poszedł do łazienki.

Chwilę odczekał, aż woda będzie wystarczająco ciepła, i napełnił wannę.

Obciął w tym czasie paznokcie i wyszorował ręce tak starannie, jak chirurg przed operacją.

Usunięcie wszelkich śladów hodowanej przez tydzień brody zajęło mu dwadzieścia minut, a włosy stały się na powrót rude i falujące po długotrwałym myciu i splukiwaniu ciepłą wodą.

Wytarł się cienkim hotelowym ręcznikiem, wrócił do sypialni wciągnął świeże krótkie kalesonki.

Podszedł do komody w głębi pokoju, wyciągnął trzecią szufladę i wymacał pakiet przyklejony do szuflady powyżej.

Chociaż nie zajmował pokoju od kilku dni, był pewien, że nikt nie odkrył jego schowka.

Rozdarł brązową kopertę i pospiesznie sprawdził jej zawartość.

Jeszcze jeden paszport na jeszcze imię i nazwisko.

Pięćset dolarów w używanych banknotach i bilet pierwszej klasy do Kapsztadu.

Uciekający zabójcy nie podróżują pierwszą klasą.

Pięć minut później opuścił pokój numer 347, zostawiając części garderoby rozrzuconą na podłodze, a na klamce wywieszkę z napisem Favor de no Molestar.

Zjechał windą dla gości na parter, przekonany, że nikt nie zwróci uwagi na pięćdziesięcioletniego mężczyznę w niebieskiej bawełnianej koszuli, krawacie w paski, sportowej marynarce i szarych flanelowych spodniach.

Wysiadł z windy i przemierzył hali, nie podchodząc do recepcji.

Kiedy tu przybył osiem dni wcześniej, zapłacił gotówką za góry.

Barek pozostawił nietknięty, ani razu nie wzywał obsługi hotelowej, nie zamawiał rozmowy zamiejscowej ani nie wypożyczał filmu - nie musiał zatem nic dopłacać.

Czekał tylko kilka minut, nim autobus zjechał przed hotel.

Spojrzał na zegarek.

Czterdzieści trzy minuty do odlotu.

Wcale się

26

nie martwił, że się spóźni na samolot Aeroperu do Limy, lot numer 63.

Tego dnia nic nie mogło się odbyć o czasie.

Kiedy autobus zostawił go na lotnisku, niespiesznie podążył do stanowiska odprawy pasażerów, gdzie bez zdziwienia usłyszał, że lot do Limy jest opóźniony o ponad godzinę.

W hali odlotów, pełnej gorączkowo biegających ludzi, kilku policjantów przyglądało się każdemu pasażerowi i choć parokrotnie zatrzymywano i wypytywano, adwa razy rewidowano mu walizkę, w końcu został przepuszczony do wyjścia numer czterdzieści siedem.

Zwolnił kroku, gdy zobaczył, jak strażnicy wloką dwóch podróżników z plecakami.

Przez głowę przemknęła mu myśl, ilu Bogu duchawnych, nie ogolonych białych mężczyzn spędzi nocna przesłuchania z jego powodu.

Ustawivszy się w kolejce do kontroli paszportowej, Fitzgeraldpowtarzał szeptem swe nowe nazwisko, trzecie w tym dniu.

Urzędnik w niebieskim mundurze, który siedział w małym boksie, otworzył nowozelandzki paszport i uważnie obejrzał fotografię; podobieństwo dostojącego przed nim, elegancko ubranego mężczyzny było niezaprzeczalne.

Zwrócił paszport i Alistair Douglas, inżynierbudownictwa lądowego z Christchurch, przeszedł dopoczekalni.

Poprzedłużając się opóźnieniu w końcu ogłoszono lot.

Stewardesa zaprowadziła pana Douglasa na jego miejsce w pierwszej klasie.

- Czy mogę panu podać kieliszek szampana?

Fitzgerald potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję.

Wystarczy szklanka niegazowanej wody - powiedział, wypróbując nowozelandzki akcent.

Zapiął pas, oparł się wygodnie i udawał, że czyta biuletyn lotu;

tymczasem samolot, podskakując na wybojach, zaczął się wolno toczyć po pasie startowym.

Czekali w długiej kolejce, więc na długo zanim samolot przyspieszył, aby się wzbić w powietrze, Fitzgerald dążył wybrać potrawy, które będzie jadł, i film, który obejrzy.

Gdy wreszcie koła oderwały się od ziemi, pierwszy raz tego dnia mógł się odprężyć.

Kiedy samolot osiągnął wysokość lotu, Fitzgerald dołożył biuletyn, przykniął oczy i zaczął myśleć o tym, co należy zrobić po wylądowaniu w Kapsztadzie.

- Mówi kapitan - odezwał się głos, który brzmiał, jakby miał coś ważnego do zakomunikowania.

- Mam wiadomość, która, jak wiem, bardzo zmartwi niektórych pasażerów.

- Fitzgeralda aż po 27.

derwato.

Jedyną ewentualnością, jakiej nie brał pod uwagę, był nieplanowy powrót do Bogoty.

- Z przykrością muszę państwa poinformować, że dziś Kolumbia przeżyła narodową tragedię.

Fitzgerald lekko ścisnął poręcz fotela i zmusił się, żeby równo oddychać.

- Przyjaciele - po małej chwili oznajmił ponuro kapitan - Kolumbię spotkało nieszczęście.

- Zawiesił głos.

- Nasza reprezentacja przegrała z Brazylią dwa do jednego.

W samolocie rozległ się powszechny jęk, jakby roztrzaskanie się na najbliższym szczycie było czymś mniej strasznym.

Przez wargi Fitzgeralda przewinęła się lekka uśmiech.

Obok wyrosła stewardesa.

- Czy teraz mogę panu podać coś do picia?

- Dziękuję - odparł Fitzgerald.

- Chyba jednak poproszę o kieliszek szampana.

IV

Dziennikarze wstali, gdy Tom Lawrence wszedł do zatłoczonego pokoju.

- Prezydent Stanów Zjednoczonych - obwieścił sekretarz prasowy na wypadek, gdyby był tam przybysz z kosmosu.

Lawrence wstąpił po jednym stopniu na podium i położył niebieską teczkę Andy'ego Lloyda na pulpicie.

Znajomym gestem dał znak zgromadzonym dziennikarzom, żeby usiedli.

- Miło mi z komunikować - zaczął prezydent ze swobodą - że przekazuję do Kongresu projekt ustawy, którą obiecałem Amerykanom podczas kampanii wyborczej.

Notowali tylko nieliczni starszych korespondentów z Białego Domu, siedzących na wprost prezydenta, gdyż większość wiedziała, że jeśli trafi się jakaś gratka warta druku, to raczej podczas sesji pytań i odpowiedzi, a nie w trakcie wygłaszania gotowego oświadczenia. Zresztą wstępne uwagi prezydenta znajdują się w zestawie materiałów prasowych, które otrzymają na zakończenie.

Stare wygidziennikarskie tylko wtedy korzystały z gotowego tekstu, gdy trzeba byłoby coś zapisać w pustych szpalty.

Nie bacząc na to prezydent przypomniał, że w po uchwaleniu ustawy o ograniczeniu zbrojeń będzie mógł przeznaczyć większą część dochodu narodowego na długofalowy program opieki zdrowotnej, dzięki czemu starsi Amerykanie będą się mogli spodziewać wyższego poziomu życia w okresie emerytalnym.

- To ustawa, którą z radością powitają wszyscy dobrzy, wykazujący troskę o obywateli i czują się dumni, że jestem prezydentem, który przeprowadzi ją przez Kongres - Lawrence podniósł wzroki uśmiechnąwszy się, zadowolony, że przynajmniej wstępne oświadczenie wypadło dobrze.

Gdy otwierał niebieską teczkę i przebiegał wzrokiem listę trzydziestu jeden pytań, z wszystkich stron wołano: "Panie prezyden29.

cię!".

Spojrzał w górę i uśmiechnął się do znajomej twarzy w pierwszym rzędzie.

- Proszę, Barbaro- zwrócił się do długoletniej reporterki UPI, która, jako dziekan korpusu prasowego, miała prawo do pierwszego pytania.

Barbara Evans wolno podniosła się z miejsca.

- Dziękuję, panie prezydencie.

- Oczekała chwilę i spytała: -Czy może pan potwierdzić, że CIA nie miała nic wspólnego z zabójstwem kolumbijskiego kandydata na prezydenta, Ricarda Guzmana, w sobotę w Bogocie?

Wsławi rozległ się szmer zainteresowania.

Lawrence spojrzał na listę zbędnych trzydziestu jeden pytań i odpowiedzi pożałował, że tak niefrasobliwie zbył Larry'ego Harringtona, który chciałgo dokładniej zapoznać z tym tematem.

- Jestem rad, że oto zapytałaś, Barbaro - odparłnie zbity z tropu.

- Chcę bowiem, abyś wiedziała, że póki jestem prezydentem, nawet sugerowanie czegoś podobnego nie wchodzi w grę.

Ta administracja nigdy i w żadnych okolicznościach nie będzie się wtrącać w demokratyczne procesy suwerennego kraju.

W istocie dziś ranopoleciałem sekretarzowi stanu zatelefonować do wdowy po Guzmanie i przekazać moje kondolencje.

-Lawrence był zadowolony, że Barbara Evans wymieniła nazwisko zabitego, gdyż nie byłbyw stanie go sobie przypomnieć.

- Może również zainteresuje cię, Barbaro, że poprosiłem wiceprezydenta, by reprezentował mnie na pogrzebie, który, o ile wiem, odbędzie w Bogocie w najbliższy weekend.

Pete Dowd, agent Secret Service dowodzący oddziałem ochrony prezydenta, natychmiast wyszedł, aby uprzedzić wiceprezydenta, zanim dopadnie go prasa.

Barbara Evans nie wyglądała na przekonaną, ale nim zdążyła zadać następne pytanie, prezydent zwrócił się domężczyzny z tylnego rzędu, który, jak miał nadzieję, nie interesuje się wyborami prezydenckimi w Kolumbii.

Ale wołałby już to, gdy usłyszał jego pytanie:

- Jakie szanse w Kongresie miałby pański projekt ustawy o ograniczeniu zbrojeń, gdyby Żeriński został nowym prezydentem Rosji?

Przez czterdzieści minut Lawrence odpowiadał na pytania dotyczące ustawy o ograniczeniu zbrojeń, ale dziennikarze żądali również informacji o obecnej roli CIA w Ameryce Południowej i o tym, jakby sobie radził z Wiktorem Żerińskim, gdyby został on prezydentem Rosji.

Kiedy się wydało, że Lawrence niewiele więcej niż dziennikarze

30

na żaden z tych tematów, pismacy poszli za tropem i zaczęli go wypytywać właśnie o te kwestie, pomijając wszystko inne, z ustawą o ograniczeniu zbrojeń włącznie.

Gdy w końcu Phil Ansanch z życzliwością zapytał o ustawę, Lawrence udzielił długiej, pełnej dygresji odpowiedzi, po czym nagle zakończył konferencję.

- Dziękuję, panie panowie - powiedział, uśmiechając się do napastliwej sfery dziennikarzy.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Odwrócił się, przyspieszył i poszedł do Pokoju Ovalnego.

- Chcę natychmiast mówić z Harringtonem - mruknął do Lloyd'a, gdy ten go dogonił - a ty zadzwoń do Langley.

Dyrektorka CIA ma się stawić u mnie najpóźniej za godzinę.

- Panie prezydencie, może byłoby lepiej.

- zaczął szef personelu.

- Najpóźniej za godzinę, Andy - powtórzył prezydent, nawet na niego nie patrząc.

- Jeżeli się dowiem, że CIA miała cokolwiek wspólnego z zabójstwem w Kolumbii, urwę łeb tej Dexter.

- Poproszę sekretarza stanu, panie prezydencie, żeby natychmiast zgłosił się do pana - rzekł Lloyd.

Wszedł do biura obok, podniósł słuchawkę najbliższego telefonu i zadzwonił do Larry'ego Harringtona w Departamencie Stanu.

Nawet przez telefon Teksaszczyknie umiał ukryć satysfakcji, że się tak szybko okazało, iż miał rację.

Lloyd odłożył słuchawkę, wrócił do swojego gabinetu, zamknął drzwi i przez chwilę milcząco siedział przy biurku.

Gdy sformułował, co ma powiedzieć, wykręcił numer, pod którym zgłaszała się tylko jedna osoba.

- Dyrektorka - tak zawsze przedstawiała się Helen Dexter.

Connor Fitzgerald podał paszport australijskiemu urzędnikowi.

Byłoby ironią losu, gdyby dokument został zakwestionowany, gdyż pierwszy raz od trzech tygodni opiewał na prawdziwe nazwisko.

Funkcjonariusz w mundurze wystukał dane na klawiaturze, spojrzawszy na ekran komputera, potem nacisnął jeszcze kilka klawiszy.

Nie pojawiło się nic niepożądanego, wbił więc wzrok w wizę turystyczną do paszportu.

- Życzę panu, panie Fitzgerald, miłego pobytu w Australii - powiedział.

Connor podziękował i przeszedł do halibagażowej, usiadł naprzeciw nieruchomej taśmy bagażowej i czekał na swoją walizkę.

Ni31.

gdy nie przechodził pierwszy przez kontrolę celną, nawet kiedy nie miał nic do zadeklarowania.

Gdy poprzedniego dnia wylądował w Kapsztadzie, czekał na niego stary przyjaciel i kolega Carl Koeter.

Przez dwie godziny Connor składał mi dokładne sprawozdanie z wykonanego zadania, po czym przy lunchu rozmawiali o rozwodzie Carla oraz o Maggie i Tarze.

Napoczęli drugą butelkę wina Rustenberg Cabemet Sauvignon rocznik 1982 i niewiele brakowało, by Connor spóźnił się na samolot do Sydney.

W sklepie wolnoctwowym pośpiesznie wybrał dla żony i córki prezenty, na których widniały wyraźne napisy "Madę in South Africa".

Wspomnienie nie miało nawet śladu, że przybył do Kapsztadu przez Bogotę, Limę i Buenos Aires.

Czekając, aż ruszy taśma z bagażami, dumał o tym, jak wyglądało jego życie w ciągu ostatnich dwudziestu ośmiu lat.

Connor Fitzgerald przyszedł na świat w rodzinie oddanej sprawie prawa i porządku.

Dziadek ze strony ojca, Oscar, nazwany tak na pamiątkę jeszcze jednego irlandzkiego poety, wyemigrował do Ameryki z Kilkenny na przełomie wieku.

W kilka godzin po wylądowaniu na Ellis Island podążył wprost do Chicago, gdzie wzorem swego kuzyna wstąpił do policji.

Podczas prohibicji Oscar Fitzgerald należał do nielicznych policjantów, którzy nie brali łapówek od gangów.

W rezultacie nie awansował powyżej rangi sierżanta.

Ale spłodził pięciu bogobojnych synów i dał za wygraną dopiero wtedy, gdy ksiądz mu oznajmił, że Wszechmocny nie pobłogosławi jego i Mary córkę.

Żona z wdzięcznością przyjęła mądrosłowa ojca O'Reilly - i tak trudno było wyżywić z pensji sierżanta pięciu krzepkich chłopaków.

A zważcie, że jak Oscar dał jej kiedyś centa więcej niż zwykle ze swej tygodniówki.

Mary żądała, by dokładnie wytłumaczył, skąd go ma.

Ukończywszy szkołę średnią, trzech chłopaków wstąpiło do chicagowskiej policji, gdzie szybko otrzymali awans, na jaki zasługiwali ojciec.

Czwarty złożył śluby kapłańskie ku radości Mary, a najmłodszy, ojciec Connora, studiował prawo karne na Uniwersytecie DePaula na podstawie regulacji o statusie żołnierzy.

Po dyplomie wstąpił do FBI.

W 1949 roku poślubił Katherine O'Keefe, dziewczynę, która mieszkała dwa domy dalej.

Mieli tylko jedno dziecko, syna, któremu dali na chrzcie imię Connor.

Connor urodził się ósmego lutego 1951 roku i jeszcze nie zaczął chodzić do szkoły, a już się zapowiadał na utalentowanego futbolistę.

32

Ojciec nie posiadał się ze szczęścia, kiedy chłopiec został kapitanem drużyny szkolnej w liceum Mount Carmel, ale matka pilnowała, żeby zawsze odrobił lekcje, nawet jeśli musiał ślezczyć do późna w noc.

Wciąż mu przypominała, że nie będzie grał w futbol przez całe życie.

Mając ojca, który wstawał, ilekroć do pokoju wchodziła kobieta, i matkę, która była prawie święta, Connor, mimo swej tężyzny fizycznej, był nieśmiały wobec kobiet.

Niektóre koleżanki z liceum wyraźnie okazywały mu zainteresowanie, ale dopiero w ostatniej klasie, kiedy poznał Nancy, stracił cnotę.

Pewnego jesienno-popołudnia, po kolejnym zwycięskim meczu rozegranym przez jego drużynę, Nancy zaprowadziła go za trybuny i uwiodła.

Pierwszy raz widziałbywówczas nagą kobietę, gdyby Nancy wszystko z siebie zdjęła.

Mniej więcej po miesiącu Nancyzapytała go, czy chciałby spróbować dwiema dziewczynami naraz.

- Jeszcze nie miałem dwudziwczyn, to co tu mówić o dwunaraz- odparł.

Nancy wzruszyła ramionami i odeszła.

Kiedy Connor zdobył stypendium UniwersytetuNotre Dame, niekorzystał z propozycji, jakie otrzymywali wszyscyhłopcy z drużynyfutbolowej.

Koledzy z dumą wydrapywali imiona dziewcząt, które imuległy, na wewnętrznej stronie drzwi szafek wszatni.

Brett Coleman,najlepszy kopacz w drużynie, miał pod koniec semestru w swojej szafcesiedemnaście imion.

Poinformował on Connora, że liczy się tylkoseksz penetracją, bo na seks oralny na drzwiczkach nie ma dość miejsca.

Pod koniec pierwszego roku na drzwiczkach Connora nadal wyryte było tylko imięNancy.

Któregoś wieczoru po treninguConnorobejrzał inne szafkii odkrył, żeimię Nancy, czasem wraz z imieniemdrugiej dziewczyny, powtarza się niemal we wszystkich.

Koledzy niedarowaliby mu tak marnego wyniku, gdyby nie był najlepszym pierwszorocznymrozgrywającym, jakiego uczelnia miała od dziesięciu lat.

Wszystkosię zmieniło na samypoczątkudrugiegoroku studiów.

Kiedy Connor przyszedł na cotygodniowe zajęcia w irlandzkimklubie tanecznym, ona wkładała pantofelki.

Nie widziałjej twarzy,ale to nie byłotakie ważne, bo nie mógł oderwać oczu od jej długich,smukłych nóg.

Jako as futbolu przywykł,że dziewczyny gapią się naniego, a teraz ta jedna, na której chciałby zrobić wrażenie, nie wiedziałanawet o jego istnieniu.

Gorzej,że jej partnerem na parkieciebył Declan O'Casey, niezrównany tancerz.

Oboje trzymali się idealnie prosto, a ich stopy ledwo dotykały podłogi.

3. Jedenaste przykazanie

33.

Taniec się skończył, a Connor ciągle nie wiedział, jak jej na imię. W dodatku wyszła razem z Declanem, zanim zdążył coś wykombinować, żeby ich zapoznano. Zrozpaczony poszedł z nimi do żeńskiego akademika, zachowując odległość pięćdziesięciu kroków i cały czas starając się być niewidocznym, jak uczył go ojciec. Krzywił się patrząc, jak się trzymają za ręce i beztrąsko gawędzą. Kiedy dotarli do domu studenckiego, ona cmoknęła Declana w policzek i weszła do środka. Dlaczego, pomyślał z żalem, nie zajmowałem się więcej tańcem niż futbolem?

Gdy Declan ruszył do żeńskiego akademika, Connor zaczął się przechadzać niedbałym krokiem pod oknami sypialni dziewcząt, zastanawiając się, czy można by coś zrobić. W końcu ujrzał ją przelotnie, jak w szlafroku zaciągała zasłonę. Pokręcił się jeszcze trochę, wreszcie niechętnie wrócił do swego pokoju. Usiadł na łóżku i napisał do matki, że zobaczył dziewczynę, którą zamierza poślubić, chociaż jeszcze z nią nie rozmawiał, a nawet nie zna jej imienia. Zaklejając kopertę próbował sam siebie przekonać, że Declan O'Casey jest dla niego tylko partnerem do tańca.

W następnych dniach starał się jak najwięcej o niej dowiedzieć, ale ustalił tylko, że nazywa się Maggie Burkę, zdobyła stypendium do St. Mary College i jest na pierwszym roku historii sztuki. Przeklął się zato, że w życiu nie przestąpił progów galerii sztuki, a jedyny kontakt z malarstwem miał wtedy, gdy ojciec kazał mu wykończyć płotokoła ogródka na tyłach ich domu przy South Lowe Street. Declan, jak się okazało, chodził z Maggie odczasu, kiedy była w ostatniej klasie, inie tylko był najlepszym tancerzem w klubie, ale miał opinię najzdolniejszego matematyka na uniwersytecie. Inne uczelnie zapraszały go już na studia podyplomowe, chociaż jeszcze nie było wiadomo, z jakim wynikiem zda końcowe egzaminy. Connor mógł się tylko pocieszać, że Declanowi zaproponują wkrótce pracę stanowisko jak najdalej od South Bend.

W następny czwartek Connor przyszedł pierwszy do klubu tańca i kiedy z szatni wyłoniła się Maggie w kremowej bawełnianej bluzce i krótkiej czarnej spódnicy, nie wiedział, czy patrzeć w zielone oczy dziewczyny, czy na długie nogi. Znowu przez cały wieczór towarzyszył jej Declan, Connor zaś siedział w milczeniu na ławce, udając, że nie zwraca na nią uwagi. Po ostatnim tańcu wymknęli się oboje. Connor podążył za nimi w stronę żeńskiego akademika, ale zauważył, że dziś Maggie nie trzyma Declana za rękę.

34

Po długiej rozmowie i pocałunkach w policzek Declan poszedł w swoją stronę. Connor usiadł na ławce naprzeciw jej okna i spojrzał na balkon. Chciał poczekać, aż będzie zaciągała zasłonę, ale zasnął, zanim się pokazała w oknie.

Obudził się z głębokiego snu, w którym widział Maggie, jak stoi przed nim w piżamie i szlafroku.

Ocknął się nagle, spojrzał na nią osłupiały, poderwał się i wyciągnął rękę.

- Cześć!

Nazywam się Connor Fitzgerald.

- Wiem - odparła, ściskając mu dłoń.

- A ja Maggie Burkę.

- Wiem - powiedział.

- Możesz się trochę posunąć?

- spytała.

Odtej chwili Connor nigdy niepopatrzył na inną kobietę.

W niedzielę Maggie pierwszy raz w życiu poszła na mecz futbolowy i przyglądała się błyskotliwym zagranikom Connora, dla którego tylko ona istniała na całym stadionie.

W następnym czwartku tańczyli razem cały wieczór, a Declan siedział niepokieszony w kącie.

Wydawał się jeszcze bardziej opuszczony, gdy obydwoje wyszli, trzymając się za ręce.

Kiedy stanęli przed akademikiem, Connor pocałował ją.

Potem przykleknął i oświadczył się.

Maggie wybuchnęła śmiechem, poczerwieniała i uciekła.

W drodze powrotnej Connor też się roześmiał, kiedy zobaczył Declana chowającego się za drzewem.

Odtej pory Connor i Maggie spędzali razem każdą wolną chwilę.

On jączył, co to jest przyłożenie, pole bramkowe i podanie w poprzek boiska, ona zaś mówiła mu, kim są Bellini, Bemini i Luini.

Wieczorem w każdy czwartek przez trzy lata przyklekał na jedno kolano i prosił ją o rękę.

Kiedy koledzy združyny pytali, czemu nie wyskrobie jej imię na drzwiach szafki,

odpowiadał po prostu: bo się z nią ożenię.

Kiedy Connor kończył ostatni rok studiów, Maggie ostatecznie zgodziła się za niego wyjść - ale dopiero, gdy zaliczy egzaminy.

- Musiałem ci się oświadczyć czterdzieści jeden razy, żebyś wreszcie przejrzała na oczy - powiedział triumfująco.

- Och, nie bądź głupi, Connorze Fitzgerald - odparła.

- Od kiedy usiadłam koło ciebie na tej ławce, wiedziałam, że spędzę z tobą całe życie.

Pobrali się w dwa tygodnie po tym, jak Maggie otrzymała dyplom z najwyższym wyróżnieniem.

Tara urodziła się dziesięć miesięcy później.

v

- Mam uwierzyć, że CIA nawet nie wiedziała o przygotowywanym zabójstwie?

- Tak było - powiedziała spokojnie dyrektorka CIA.

- Jak tylko się dowiedzieliśmy, a powiadomiono nas po kilku sekundach, dałam znać doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, który, jak rozumiem, przekazał panu tę informację bezpośrednio do Camp David.

Prezydent zaczął krążyć po Pokoju Ovalnym.

- A kiedy zatelefonowałdo mnie pan Lloyd i powiedział, że pan żąda więcej szczegółów, poprosiłam mego zastępcę Nicka Gutenburga, aby skontaktował się z naszymi ludźmi w Bogocie i dokładnie zbadał, co się stało w sobotę po południu.

Gutenberg wczoraj sporządził ten raport.

- Stuknęła w teczkę, którą miała na kolanach.

Prezydent wiedział, że spacer nie tylko daje mu więcej czasu do namysłu, ale zwykle wprawia jego gości w niepokój.

Większość osób przekraczających próg Pokoju Ovalnego była zresztą zdenerwowana.

Sekretarka powiedziała mu kiedyś, że czworo z pięciu gości tuż przed spotkaniem z nim odwiedza toaletę.

Ale wątpli, czy siedząca przed nim kobieta w ogóle wie, gdzie jest najbliższa toaleta.

Gdyby w Ogrodzie Różanym wybuchła bomba, Helen Dexter przypuszczalnie uniosłaby tylko starannie wydepilowane brwi.

Jak na razie przetrzymała trzech prezydentów imówiło się, że wszyscy w jakimś momencie żądali jej rezygnacji.

Przystanął pod portretem Abrahama Lincolna, który wisiał nad kominkiem.

Spojrzał w dół na kark Helen Dexter.

Ona nadal patrzyła prosto przed siebie.

Miała na sobie szykowny, dobrze skrojony ciemny kostium iskromną kremową bluzkę.

Rzadko nosiła biżuterię, nawet podczas uroczystości państwowych.

W przededniu wyborów w 1976 roku

36

prezydent Ford, pragnąc ułagodzić feministyczne lobby, mianował trzydziestodwuletnią wówczas Dexter wicedyrektorką, w charakterze chwilowej zapchajdziury.

Ale ona przetrwała Forda.

Po łańcuszku często się zmieniających dyrektorów, którzy albo rezygnowali, albo odchodzili na emeryturę, osiągnęła upragnione stanowisko.

W małym światku Waszyngtonu krążyło wiele pogłosek o jej krańcowo prawicowych poglądach i metodach, do jakich się uciekała, żeby awansować, ale żaden z senatorów nie śmiał zakwestionować jej nominacji.

Ukończyła z najwyższą notą Bryn Mawr College, a następnie prawo na Uniwersytecie Stanu Pensylwania, po czym podjęła pracę w jednej z najlepszych nowojorskich kancelarii prawniczych.

Po serii awantur z zarządem o to, jak długo kobieta musi czekać, aby zostać współnikiem, i po wytoczeniu sprawy, która została załatwiona ugodą pozasądową, Dexter przyjęła propozycję pracy w CIA.

Zaczęła jako urzędniczka w wydziale operacyjnym, a dochrapała się stanowiska zastępczyni dyrektora Agencji.

W tym czasie przysporzyła sobie więcej wrogów niż przyjaciół, lecz z biegiem lat gdzieś oni podziwiali, dostawali wymówienie albo przechodzili na wcześniejszą emeryturę.

Została dyrektorką tuż po czterdziestce.

"Washington Post" napisała o niej, że zwalczyła wszelkie bariery nadrodze awansu, ale bukmacherzy przyjmowali zakłady o to, ile dni się utrzyma.

Później dni zmienili na tygodnie, następnie miesiące.

Teraz zakłady idą o to, czy kadencja Dexter w CIA potrwa dłużej niż rząd J.

Edgara Hoovera w FBI.

Już w kilka dni po wprowadzeniu się do Białego Domu Tom Lawrence odkrył, jak daleko Dexter gotowa się posunąć, by go zastopować, gdy wkracza na jej teren.

Kiedy domagał się raportów na temat delikatnych, nieraz czekał tygodniami, a gdy wreszcie pojawiały się na jego biurku, okazywało się, że są długie, rozwlekłe, nudne i nieaktualne.

Kiedy wzywał ją do Białego Domu, aby wytłumaczyła nie wyjaśnione kwestie, głuchoniemy byłby bardziej komunikatywny.

Jeżeli naciskał, grała na zwłokę, niewątpliwie zakładając, że ona pozostanie na swym stanowisku jeszcze długo po wyborach, w wyniku których straci swoje.

Ale dopiero kiedy zaproponował swego kandydata do Sądu Najwyższego, zobaczył prawdziwe mordercze oblicze Helen Dexter.

Nieminęło kilka dni, a na jego biurku znalazły się materiały czarno na białym dowodzące, że nominacja ta jest nie do przyjęcia.

Lawrence obstawał jednak przy kandydacie, który był jednym z jego najstarszych przyjaciół. Znalaziono go powieszzonego w jego domu w przeddzień objęcia urzędu.

Lawrence potem się dowiedział, że wszystkim członkom senackiej Komisji Kwalifikacyjnej dostarczono poufne teczki, ale nigdy nie zdołał udowodnić, kto był za to odpowiedzialny.

Andy Lloyd kilkakrotnie go ostrzegał, że gdyby kiedyś chciał sunąć Dexter, musiałby zdobyć dowód zrodzajnych, które przekonałyby ludzi, iż matka Teresa ma tajne konto bankowe w Szwajcarii, regularnie zasilane przez przestępczy syndykat.

Lawrence przyznawał Lloydowi rację.

Teraz jednak czuł, że gdyby zdołał dowiedzieć, iż CIA była zamieszana w zabójstwo Guzmanai nieraczyła go nawet o tym poinformować, Dexter musiałaby w ciągu kilku dni pożegnać się ze swym stanowiskiem.

Podszedł do krzesła i nacisnął guzik na biurku, żeby Andy mógł się przysłuchiwać rozmowie lub odsłuchać ją z taśmą wieczorem.

Lawrence zdawał sobie sprawę, że Dexter przejrzała jego zamiary i podejrzewała, że jej legendarna torebka, z którą nigdy się nie rozstawała, bynajmniej nie zawiera szminki, perfum i puderniczki, kojarzących się z płcią piękną, a każde zamienione przez nich słowo zostało już nagrane.

Niemniej zależało mu na zarejestrowaniu jej wersji wypadków.

- Skoro jest pani tak dobrze poinformowana - powiedział prezydent siadając - to może zechciałaby pani bardziej szczegółowo opisać, co się stało w sobotę w Bogocie?

Helen Dexter, ignorując jego sarkastyczny ton, podniosła teczkę, którą trzymała na kolanach.

Biała okładka, na której widniało godło CIA, opatrzona była napisem: "Wyłącznie do wiadomości prezydenta".

Lawrence chciałby wiedzieć, ile Dexter po drugiej stronie rzeki ma ukrytych teczek z napisem: "Wyłącznie do wiadomości dyrektorki".

- Jak zgodnie twierdzi kilka źródeł, sprawcą był samotny zabójca - przeczytała, otworzywszy teczkę.

- Proszę wymienić jedno z tych źródeł - warknął prezydent.

- Nasz attaché kulturalny w Bogocie - odparła pani dyrektor.

Lawrence uniósł brwi.

Połówę attachés kulturalnych w ambasadach amerykańskich na świecie umieściła tam CIA po to, aby bezpośrednio składali meldunki Helen Dexter w Langley, bez konsultacji z ambasadorem, nie mówiąc o Departamencie Stanu.

Większość

38

z nich byłaby przekonana, że suita "Dziadek do orzechów" to danie ekskluzywnej restauracji.

- Więc kto jego zdaniem wynajął zabójcę?

- zapytał z westchnieniem.

Dexter przewróciła kilka kartek, wyjęła fotografię i posunęła ją po blacie biurka.

Prezydent spojrział na wizerunek dobrze ubranego, zamożnie wyglądającego mężczyzny w średnim wieku.

- Któż to jest?

- Carlos Velez.

Kieruje drugim co do wielkości kartelem narkotykowym w Kolumbii.

Oczywiście Guzman był szefem największego.

- Czy Velez został oskarżony?

- Niestety, zabito go kilka godzin po uzyskaniu przez policję nakazu aresztowania.

- Co za dogodny zbieg okoliczności!
Dexter nie oblała sięrumieńcem.
To niemożliwe w jej przypadku,pomyślał Lawrence.
Żeby się rumienić, trzeba mieć w żyłach krew.
- A jak się nazywa ten samotny zabójca?
Czy też zginął zaraz powydaniu nakazu.
- Nie, panie prezydencie, jest zdrow i cały - równie sarkastycznymtonem powiedziała dyrektorka CIA.
- Nazywa się Dirk vanRensberg.
- Co o nim wiadomo?
- spytał prezydent.
- To Południowoafrykańczyk.
Do niedawna mieszkał w Durbanie.
- Do niedawna?
-Tak.
Tuż po zabiciu Guzmanazapadł się pod ziemię.
- Tochyba nie było specjalnie trudne, skoro nigdy przedtem niewychyłał na jej powierzchni - zauważył prezydent.
Czekał na reakcjęDexter, ale ona zachowała obojętność.
- Czy Kolumbijczycy zgadzają się z pani wersją wydarzeń, czyteż nasz attachekulturalny jestpani jedynym źródłem informacji?
-spytał po chwili.
- Nie, panie prezydencie.
Większość danych otrzymaliśmy odszefa policjiw Bogocie.
Aresztował już jednego z pomocnikówRensberga, który był zatrudnionyjako kelner w hotelu El Belvedere,skąd oddano strzał.
Policja zatrzymała go nakorytarzu kilka chwilpotem,jak pomógł zabójcy uciec windą towarową.
- A czy coś wiadomoo dalszych poczynaniach van Rensberga?

- Wydaje się, że wsiadł do samolotu do Limy jako Alistair Douglas, a potem, posługując się tym samym paszportem, odleciał do Buenos Aires.

Później zgubiliśmy ślad.

- Wątpię, abyście go kiedyś odnaleźli.

- Och, nie byłabym taką pesymistką, panie prezydencie - rzekła Dexter, nie zważając na ton Lawrence'a.

- Wynajęci zabójcy bywają samotnikami, którzy często znikają na parę miesięcy powykonaniu zadania.

Kiedy poczują, że się rozluźniła, pojawiają się znów.

- Zapewniam panią, że dopilnuję, by w tym przypadku sieć pozostała zaciśnięta.

Możliwe, że następnym razem, kiedy się spotkamy, przedstawię pani własny raport.

- Chętnie go przeczytam - rzekła Dexter tonem krnąbrnego ucznia, umyślnie drażniącego się z nauczycielem.

Prezydent nacisnął guzik pod blatem biurka.

Po chwili ktoś zapukał i dopokoju wszedł Andy Lloyd.

- Panie prezydencie, zakilka minutna pan spotkanie z senatorem Bedellem - oznajmił nie zważając na obecność Dexter.

- Zatem pożegnaj pana, panie prezydencie - powiedziała Dexter podnosząc się z krzesła.

Położyła teczkę na biurku, zabrała torebkę i wyszła z pokoju.

Prezydent nie odzywał się, póki za dyrektorką CIA niezamkniętych drzwi.

Potem zwrócił się do Lloyd'a.

- Nie wierzę wani jedno jej słowo - mruknął odkładając teczkę na tacę z korespondencją wychodzącą.

Lloyd zanotował sobie w pamięci, aby ją stamtąd zabrać, jak tylko prezydent wyjdzie z gabinetu.

- Możemy co najwyżej mieć nadzieję, że napędziliśmy jej strachu i że nie zaryzykuje drugiej takiej operacji, dopóki będę w Białym Domu.

- Pamiętając, jak potraktowała pana, kiedy był pan senatorem, wcale nie byłbym tego pewny.

- Skoro nie możemy wynająć zabójcy, żeby się jej pozbyć, co byś mi radził?

- Moim zdaniem są tylko dwie możliwości: albo ją pan zwolnii ściągnie sobie na głowę przesłuchania w Senacie, albo pogodzi się pan z porażką, zaakceptuje jej wersję wydarzeń w Bogocie i powetuje to sobie następnym razem.

- Jest jeszcze trzecia - cicho powiedział prezydent.

Lloyd słuchał uważnie, ani razu nie przerywając swemu zwierzchnikowi.

Okazało się, że prezydent poważnie się zastanawia, w jaki sposób usunąć Helen Dexterze stanowiska szefa CIA.

40

Connor otrząsnął się z zadumy i spojrzał na tablicę informującą o nadejściu bagażu. Karuzela zaczynała wyrzucać bagaże z jego lotu; pasażerowie odbierali pierwsze walizki.

Ciągle myślał ze smutkiem, że nie był przy narodzinach córki.

Chociaż wątpił w sens polityki Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, podzielał patriotyzm swej rodziny.

Zaciągnął się na ochotnika do wojska i czekając, aż Maggie zrobi dyplom, ukończył szkołę oficerską.

Zdążyli tylko wziąć ślub i spędzić ze sobą cztery dni, po czym podporucznik Fitzgerald w lipcu 1972 roku wyruszył do Wietnamu.

Te dwa lata w Wietnamie pamiętał jak przez mgłę.

Awans do stopnia porucznika, pojmanie przez Wietkong, ucieczka i uratowanie życia innemu żołnierzowi - wydawało się to tak odległe, jakby nigdy się nie zdarzyło. Pięć miesięcy po powrocie do kraju prezydent udekorował go najwyższym amerykańskim odznaczeniem wojskowym, Medal of Honor, ale po dwóch latach spędzonych w Wietnamie Fitzgeraldowi wystarczyło do szczęścia, że żyje i jest znowu z kobietą, którą kocha. A gdy ujrzał Tarę, zakochał się drugi raz.

Kilka dni po powrocie do Stanów Connor zaczął się rozglądać za pracą. Rozmawiał już w sprawie zatrudnienia w chicagowskim biurze terenowym CIA, kiedy pojawił się znienacka kapitan Jackson, dowódca plutonu, w którym służył, i zaproponował mu, aby wstąpił do jednostki specjalnej z bazą w Waszyngtonie. Został ostrzeżony, że jeśli przyłączy się do elitarnej drużyny Jacksona, z nikim, nawet z własną żoną, nie będzie mógł mówić o niektórych aspektach swej pracy. Gdy się dowiedział, czego się od niego oczekuje, oznajmił Jacksonowi, że musi mieć trochę czasu do namysłu.

Omówił sprawę z ojcem Grahamem, księdzem rodziny, który po prostu mu poradził:

"Nigdy nie rób nic, co kłóciłoby się z twoim poczuciem honoru, nawet jeśli miałoby to być dla dobrotę kraju".

Kiedy Maggie zaproponowano pracę w Biurze Przyjęć Uniwersytetu Georgetown, Connor pojął, jak bardzo Jacksonowi zależy, aby go zwerbować. Następnego dnia napisał do swego dawnego dowódcy i powiadomił go, że z radością podejmie pracę w "Ubezpieczeniach Maryland" na stażu menadżerskim.

Tak się zaczęła gra pozorów.

Connor, Maggie i Tara przeprowadzili się do Georgetown kilkadziesiąt godzin później. Znaleźli mały dom przy Avon Place.

Na zadatek wystarczyły pieniądze, które Maggie uszłała na rachunku bankowym Connora z jego ożdu, nie wierząc, że mąż zginął.

Jedyną, co mąciło radość tych pierwszych dni w Waszyngtonie, to dwa poronienia Maggie i przestroga ginekologa, że powinni poprzestać na jednym dziecku.

Dopiero po trzecim poronieniu Maggie wzięła sobie do serca radę doktora,

Mimo że obecnie byli już małżeństwem od trzydziestu lat, Maggie wciąż podniecała Connora - wystarczyło, że się uśmiechnęła i przeciągnęła ręką po grzbiecie.

Wiedział, że gdy poodprawieł celnej znajdzie się w hali przylotów i ją zobaczy, to będzie tak, jakby pierwszy raz.

Uśmiechnął się na myśl, że przybyła na lotnisko co najmniej godzinę przed planowanym przylotem samolotu.

Podjechała jej owalniczka.

Schwycił ją i skierował się do wyjścia.

Wybrał zielone prześcieradło, dla tych, którzy nie mają nic do oclenia; nawet gdyby sprawdzono mu bagaż, celnika nie zainteresowałaby drewniana gazeta z wyraźnym nadrukiem pod spodem: "Madę in South Africa".

Znalazł się w hali przylotów, natychmiast wyłowił wzrokiem żonę i córkę, stojące w tłumie.

Przyspieszył kroku i uśmiechnął się do kobiety, którą wielbił.

Dlaczego w ogóle chciała na niego spojrzeć, jak to się stało, że zgodziła się zostać jego żoną?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, biorąc ją w ramiona.

- Jak się masz, kochanie?

- zapytał.

- Zawsze odżywam, kiedy wracasz cało po wykonaniu zadania - szepnęła.

Próbował zignorować słówko "cało" wypuszczając ją z objęć i zwracając się do drugiej kobiety swego życia.

Trochę wyższawersja oryginału, z takimi samymi długimi rudymi włosami i świetlistymi, zielonymi oczami, lecz o spokojniejszym temperamencie.

Jedynym dzieckiem Connora z takim rozmachem pocałowało go w policzek, że poczuł się o dziesięć lat młodszy.

Chrzcząc Tarę, ojciec Graham prosił Wszechmocnego, żeby dał dziecku urodę Maggie i rozum.

Maggie.

Gdy Tara podrosła, jej stopnie w liceum i spojrzenia młodych mężczyzn dowiodły, że ojciec Graham jest nie tylko księdzem, ale i prorokiem.

Connor prędko przestał dawać odpór strumieniowi wielbicieli, pukających do drzwi ich domków w Georgetown czy trudzić się odbieraniem telefonów: nieodmiennie było kolejny jakający się młodzian, który chciał się umówić z jego córką.

- Co słychać w Afryce Południowej?

- zagadnęła Maggie, kiedy szli spleceni ramionami.

- Po śmierci Mandeli zrobiło się tam jeszcze niebezpieczniej - rzekł Connor.

Przy lunchu w Kapsztadzie otrzymał od Carla Koete

ra wyczerpujące informacje o problemach Afryki Południowej i swą wiedzę uzupełnił podczas lotu do Sydney, czytając lokalne gazety z całego tygodnia.

- Przestępczość w większości dużych miast przybrała takie rozmiary, że toleruje się przejazd skrzyżowania przy czerwonym świetle po zapadnięciu zmroku.

Mbeki robi co może, ale chyba będziemy zalecić, żeby firma ograniczyła inwestycje w tej części świata - przynajmniej dopóki nie opanują wojny domowej.

Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;

Czysta anarchia szaleje nad światem'.

- wyrecytowała z uśmiechem Maggie.

-Yeats chyba nigdy nie by} w Afryce Południowej -rzekłConnor.
Ileż razy chciał wyznać Maggie całą prawdę i wytłumaczyć, dlaczego musiał tyle latzyć w kłamstwie!
Ale to nie było takie proste.
Ona była jego panią, lecz oni -jegopanami i Connor zawszeprzestrzegał zasady absolutnego milczenia.
Przez te lata próbował sobiewmówić, że wjej interesie jest nie znać prawdy.
Ale gdy wrywałsię jej takie słowa, jak "zadanie" czy "wrócićcało", uświadamiał sobie, że wiedziała o wiele więcej, niż gotowa była przyznać.
Czyżbymówił przez sen?
Ale już wkrótce nie będzie musiał jej okłamywać.
Maggie jeszcze otym nie wiedziała,ale misja w Bogocie była jegoostatnią.
Podczas wakacji napomknę o awansie,który będzie oznaczałmniej wyjazdów.
- A jak tam układy?
- zagadnęła Maggie.
- Układy?
A, tak, wszystko się udało zgodnie z planem - rzekłConnor.
Tyle mógł jej powiedzieć.
Zaczął myśleć o czekającychgo dwóchtygodniach w słońcu.
Przechodząc obok stojaka z gazetami zwrócił uwagę na niewielki tytuł na prawej szpalcie "Sydney Morning Herald":
"Amerykański wiceprezydentjedzie napogrzeb do Kolumbii".
Maggie uwolniła się z objęć męża, gdy z hali przylotów wyszli naupalne powietrze i skierowali się na parking.
- Gdzie byłeś, kiedy w Kapsztadzie wybuchła bomba?
- spytałaTara.
Koeter nic nie wspomniał o bombie w Kapsztadzie.
Czy kiedyśjeszcze możnabędzie się odprężyć?
' William Butler Yeats: "Drugie Przyjście", thim.
Stanisław Barańczak(przyp.
tłum.
)..

VI

Poleciał kierowcy, żeby go zawiózł do Galerii Narodowej.

Samochód ruszył spod wejścia dla personelu Białego Domu.

Wartownik mundurowego oddziału Secret Service otworzył wzmocnioną metalową bramę i uniósł rękę w powitalnym geście.

Szoferskręcił w ulicę State Place, potem pojechał między Terenem Południowym i Elipsą i koło budynku Departamentu Handlu.

Cztery minuty później samochód zatrzymał się przed wschodnim wejściem do Galerii.

Pasażer szybko przeciął brukowany podjazd i wbiegł po kamiennych schodach.

Na górze obejrzał się, spoglądając z zachwytem na wielką rzeźbę Henry Moore'a, królującą po drugiej stronie placu, i sprawdzając, czy ktoś go nie śledzi.

Nie miał pewności, ale przecież nie był zawodowcem.

W budynku zwrócił się lewo i wspianymi marmurowymi schodami udał się do sal wystawowych na drugim piętrze, gdzie młodość spędzała długie godziny.

W ogromnych salach pełno było dzieci szkolnych, gdyż pora była ranna, a dzień powszedni.

Wszedł do galerii 71 i nawidok znajomych dzieł Homera, Bellowa i Hoppera poczuł się swojsko; podobnego uczucia nigdy nie doznawał w Białym Domu.

Przeszedł do galerii 66, żeby jeszcze raz podziwiać Pomnik ku czci Shawa i

pięćdziesiątego czwartego Pułku Massachusetts Augusta Saint-Gaudensa.

Kiedy pierwszy raz zobaczył kolosalny, naturalnej wielkości fryz, stał przed nim urzeczony przez całą godzinę.

Dzisiaj zatrzymał się tylko na moment.

Ponieważ co chwilę przystawał, dopiero po kwadransie dotarł do rotundy środkowej części budynku.

Szybko minął posąg Merkurego, zbiegł po schodach, zawrócił przez księgarnię, znów zbiegł po schodach, przemierzył podziemny korytarz i nareszcie dotarł do Wschodniego Skrzydła.

Udał się piętro wyżej, przeszedł pod wielką ruchomą konstrukcją Caldera podwieszoną pod sufitem, następnie

44

przez obrotowe drzwi wy dostał się na brukowany podjazd.

Teraz był pewien, że nikt za nim nie idzie.

Wskoczył do pierwszej z czekających taksówek.

Wyjrzał przez okno i po przeciwnej stronie placu zobaczył swój samochód i kierowcę.

- Do restauracji A.

V. na New York Avenue.

Taksówka skręciła w lewo w Pennsylvania Avenue, a potem skierowała się na północ Szóstą Ulicą.

Usiłował jakoś logicznie uporządkować myśli, wdzięczny taksówkarzowi, że nie prezentuje mu wychoptini o rządzie, a zwłaszcza o prezydencie.

Skręcili w lewo na New York Avenue i taksówka zaraz zwolniła.

Podał taksówkarzowi banknot dziesięciodolarowy, zanim samochód stanął, po czym wysiadł i zatrzasnął drzwiczki nie czekając na resztę.

Przeszedł pod czerwono-biało-zieloną markizą, która nie pozostawiała wątpliwości co do pochodzenia właściciela, i pchnął drzwi.

Jego wzrok dopiero po chwili przystosował się do światła, a raczej mroku.

Z ulgą stwierdził, że sala jest pusta i tylko w głębi przy małym stoliku siedzi samotna postać z na pół opróżnioną szklanką soku pomidorowego w ręku.

Świeżo odprasowany garniturnie zdradzał, że mężczyzna jest bezrobotny.

Wprawdzie nadal sylwetką miał atletyczną, lecz przedwczesna łysina sprawiała, że wyglądał starszej, niż podano w jego dossier.

Ich spojrzenia się spotkały i mężczyzna skinął głową.

Przybysz podszedł do niego i usiadł naprzeciwko.

Nazywam się Andy.

- zaczął.

- Wiem, kim pan jest, panie Lloyd, natomiast jest dla mnie zagadką, dlaczego szef prezydenckiego personelu chce się ze mną zobaczyć - rzekł Chris Jackson.

- Jaka jest pańska specjalność?

- zapytał Stuart McKenzie.

Maggie zerknęła na męża, pewna, że takie wścibstwo nie będzie mu w smak.

Connor pomyślał, że Tara nie przestrzegła najnowszego adoratora, żeby nie poruszał tematu pracy ojca.

Do tej chwili rozkoszował się lunchem.

Rybę złowiono chyba zaledwie kilka godzin wcześniej, nim zasiedli przy narożnym stoliku w restauracji na plaży w Cronulli.

Owoce nie miały smaku konserwantów ani nie trąciły puszką, a piwo, cóż, chciałby móc jępić w Waszyngtonie.

Pociągnął kawy, rozparł się wygodnie i obserwował surfujących z odległości niespełna stu metrów - żałował,

45.

że nie odkrył tego sportu dwadzieścia lat wcześniej.

Stuart był zdziwiony formą ojca Tary, gdy ten pierwszy raz próbował się ślizgać nadesce surfingowej.

Connoroznajmił mu, że ćwiczy dwa, trzy razy tygodniowo, choć byłby bliższy prawdy, gdyby powiedział, że dwa, trzy razy dziennie.

Choć Connor nieuznałbynikogo za odpowiednią partię dla swej córki, musiał przyznać, że przez kilka ostatnich dni polubił towarzystwo młodego prawnika.

- Pracuję w ubezpieczeniach - odparł, świadom, że córka powiedziała już tyle Stuartowi.

- Tak, Tara mówiła, że jest pan na kierowniczym stanowisku, ale nie wdawała się w szczegóły.

Connor się uśmiechnął.

- To dlatego, że zajmuję się porwaniami i wymuszaniem okupówi sprawy moich klientów traktuję z taką samą dyskrecją, jaka obowiązuje w pańskim zawodzie.

- Ciekaw był, czy to powstrzyma młodego Australijczyka od drażenia tego tematu.

Nie powstrzymało.

- Tomusi być o wiele ciekawsze niż większość pospolitych spraw, w których ludzie szukają mojej rady - rzekł Stuart, próbując pociągnąć Connora za język.

- Dziewięćdziesiąt procent tego, co robię, to nuda i sztampa - odparł Connor.

- Podejrzewam, że mam więcej roboty papierkowej niż pan.

- Ale ja nie podróżuję do Afryki Południowej.

Tara zerknęła z niepokojem na ojca; wiedziała, że nie będzie rad, iż dowiedziawsię o tym ktoś prawie obcy.

Ale Connor nie okazał cienia irytacji.

- Tak, muszę przyznać, że moja praca ma pewne zalety.

- Czy byłoby naruszeniem tajemnicy klienta, gdyby opowiedział mi pan o typowym przypadku?

Maggie chciała wtrącić kwestię, do której nieraz uciekała się już nieraz, gdy Connor ją uprzedził.

- Wśród klientów mojej firmy są korporacje rozległych interesach za granicą.

- Dlaczego ci klienci nie korzystają z usług towarzystw ubezpieczeniowych w danym kraju?

Przecieżu siebie namiejscu muszą mieć lepsze rozeznanie.

- Con - wtrąciła się Maggie.

- Chyba cię za mocno chwyciło.

Może byśmy lepiej wrócili do hotelu, zanim się spieczesz na raka.

46

Connora rozśmieszyła nieprzekonująca interwencja żony, zwłaszcza że od godziny miał na głowie kapelusz, który kazała mu włożyć.

- To nigdy nie jest takie proste - odpowiedział młodemu prawnikowi.

- Weźmy dla przykładu taką firmę jak Coca Cola - której resztą nie reprezentujemy.

Mają nacałym świecie biura, zatrudniają dziesiątki osób.

W każdym kraju mają przedstawicieli dyrekcji, w większości z rodzinami.

Maggie nie mogła uwierzyć, że Connor tak dalece dał się wciągnąć w rozmowę. Prędko zbliżała się ona do punktu, w którym wszelkie dalsze indagacje napotykały mur milczenia.

- Ale my w Sydney mamy odpowiednio wykwalifikowanych ludzi do prowadzenia takich spraw - zauważył Stuart, dolewając Connorowi kawy.

- W końcu porwania dla okupu nie są rzeczą nieznaną także w Australii.

- Dziękuję - rzekł Connor.

Pociągnął kawy, zastanawiając się nad tym stwierdzeniem.

Stuart nie pozwalał się zbić z tropu - niczym wytrawny oskarżyciel cierpliwie czekał, aż świadek w pewnym momencie niebaczniesię odsłoni.

- Prawdę mówiąc, wzywa się mnie tylko wtedy, gdy są komplikacje.

- Komplikacje?

- Powiedzmy, że na przykład, jakaś firma prowadzi działalność na dużą skalę w kraju, gdzie przestępczość jest powszechna, a porwania dla okupu częste.

Zostaje uprowadzony prezes tej firmy - lub raczej jego żona, gdyż nie jest aż tak dobrze pilnowana.

- I wtedy pan wkracza?

- Niekoniecznie.

W końcu miejscowa policja może znać się na rzeczy i potrafi się uporać z takimi problemami, poza tym niewiele jest firm, które by lubiły ingerencję z zewnątrz, szczególnie ze Stanów Zjednoczonych.

Często tylko przylatuję do stolicy i prowadzę dochodzenie na własną rękę.

Jeśli byłem wcześniej w tej części świata i nawiązałem stosunki z miejscową policją, to zawiadamiam o swej obecności, ale czekam, żeby poprosili mnie o pomoc.

- A jeżeli nie poproszą?

- spytała Tara.

Stuart zdziwił się, że dziewczyna nigdy przedtem nie spytała o ojca.

- Wtedy muszę prowadzić sprawę sam, co jest o wiele bardziej ryzykowne.

- Ale skoro policja nie robi postępów, to dlaczego nie miałyby

47.

zwrócić się do pana o pomoc?

Przecież musizdawać sobie sprawę pańskich szczególnych umiejętności?

- spytał Stuart.

- Ponieważ wiadomo, że sama bywa zamieszana w niektórych szczeblach.

- Nie rozumiem - powiedziała Tara.

- Może się zdarzyć, że miejscowi policjanci biorą część okupu - podsunął Stuart - więc nie chcą, żeby ktoś z zewnątrz się wtrącał.

Zresztą mogą uważać, że firmę zagraniczną stać natakować wydatek.

Connor kiwnął głową.

Teraz pojmował, dlaczego Stuart dostał pracę w jednej z najznakomitszych kancelarii prawniczych w Sydney, specjalizujących się w prawie karnym.

- I co pan robi, kiedy pan uzna, że miejscowi policjanci biorą swoją dolę?

- spytał Stuart.

Tara zaczęła żałować, że nie ostrzegła Stuarta, by nie posuwał się za daleko, chociaż szybko doszła do wniosku, że pojęcie to jest obce Australijczykom.

- Wtedy trzeba pomyśleć o wejściu w układy z porwaczami, bo jeśli klient zostanie zabity, to z pewnością śledztwo nie będzie wnikliwe i mało prawdopodobne, aby schwytano porwaczy.

- A jeśli zdecyduje się pan na negocjacje, odczego pan zacznie?

- Hm, założmy, że porwacz żąda miliona dolarów - oni zawsze żądają okrągłych sum, zwykle w dolarach amerykańskich.

Moim głównym celem, jak każdego zawodowego negocjatora, jest zawarcie jak najkorzystniejszego układu.

Najważniejsze zaś jest, by pracownikowi firmy włos nie spadł z głowy.

Ale jeżeli uznam, że mego klienta można uwolnić bez narażania firmy na jakiegokolwiek wydatek, nigdy nie przystępuję do negocjacji.

Im więcej płacisz, tym bardziej prawdopodobne, że przestępca po kilku miesiącach znówu kogoś porwie, czasem tę samą osobę.

- Kiedy dochodzi pan do etapu negocjacji?

- Osiągam go w połowie przypadków.

Okazuje się wtedy, czym mam do czynienia z zawodowcami.

Im dłużej przeciąga się układy, tym pewniejsze, że amatorzy zaczną się denerwować, iż zostaną złapani.

A często po kilku dniach nabierają sympatii do osoby, którą porwali, co im utrudnia realizację pierwotnego planu.

Na przykład podczas oblężenia ambasady peruwiańskiej skończyło się na turniej szachowym i terroryści wygrali.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem i Maggie trochę się odprężyła.

48

^

- Kto wysyła uszy pocztą?

Zawodowcy czy amatorzy?

- spytał krzywiąc się Stuart.

- Na szczęście tonie ja reprezentowałem firmę, która prowadziła układy z porwaczami wnuka Getty'ego.

A nawet kiedy mam do czynienia z profesjonalistą, to ja dysponuję atutami.

- Connor nie zauważył, że żona i córka nie tknęły kawy.

- Proszę mówić dalej - rzekł Stuart.

-Większość porwań to przedsięwzięcia dokonywane po raz pierwszy i chociaż prawie zawsze sprawcami są zawodowi przestępcy, mają niewielkie lub żadne doświadczenia w prowadzeniu układow w takiej sytuacji.

Zawodowcy są prawie zawsze zbyt pewni siebie.

Wydaje im się, że ze wszystkim sobie poradzą.

Jak adwokat, który sobie wyobraża, że może prowadzić restaurację, gdyż trzy razy dziennie jada posiłki.

- Więc na co się godzą, gdy rozumieją, że nie dostaną mitycznego miliona?

- spytał z uśmiechem Stuart.

- Mogę tylko mówić na podstawie własnego doświadczenia - rzekł Connor, - Na ogół kończy się na tym, że wręczam ćwierć żądanej sumy - w używanych, łatwych do zidentyfikowania banknotach.

Kilka razy musiałem wypłacić aż połowę.

Tylko raz zgodziłem się przekazać całą kwotę.

Ale na moją obronę, panie mecenasiu, dodam, że w tym szczególnym przypadku nawet premierna tej wyspie brała swoją dółkę.

- Ilu porwaczom uchodzi ten proceder na sucho?

- Z przypadków, którymi zajmowałem się w ciągu ostatnich siedemnastu lat, tylko trzem, co wynosi około ośmiu procent.

- Niezły wynik.

A ilu klientów pan stracił?

Wkraczali teraz na teren, na który nawet Maggie nigdy nie śmiała się zapuścić.

Zaczęła się nerwowo kręcić na krześle.

- Jeżeli stracisz klienta, firma udzieli ci bezwzględnej pomocy - rzekł Connor.

Chwilę milczał.

- Ale nie pozwoli nikomu potknąć się drugi raz.

Maggie wstała, zwróciła się do Connora i powiedziała:

- Idę popływać.

Czy ktoś pójdzie ze mną?

- Janie, ale mam ochotę najeszczę jedną rundę na desce - oznajmiła Tara, wspomagając matkę, która chciała położyć kres indagacjom.

- Ile razy przewróciłaś się dziś rano?

- spytał Connor, potwierdzając, że on też ma dość.

4. Jedenaste przykazanie

49.

- Dziesięć albo więcej - odparła Tara.
- Ten upadek był najgorszy - z dumą pokazała wielki siniec na prawym udzie.
- Dlaczego pozwalasz jej tak szarżować, Stuarcie?
- spytała Maggie, siadając z powrotem, żeby obejrzyć siniec.
- Żeby mieć szansę ją ratować i udawać bohatera.
- Uważaj, bo za kilka dni ona się podszkoli i ciebie będzie ratować - powiedział ze śmiechem Connor.
- Też się tego spodziewam - odparł Stuart.
- Ale wtedy zamierzam zapoznać ją ze skokami z liną.
Maggie zbladła jak papier i rzuciła szybkie spojrzenie Connorowi.
- Niech się pani nie martwi - pospiesznie dodał Stuart.
- Do tej pory wszyscy państwo będziecie już w Ameryce.
- Żadne z nich wolało o tym nie myśleć.
Tara chwyciła Stuarta za rękę.
- Chodźmy, Supermanie.
Poszukajmy następnej fali, żebyś mógł mnie ratować.
Stuart poderwał się.
- Gdyby kiedyś się okazało - zwrócił się do Connora - że porwaną pańską córkę, uprzedzam, że nie zgodzę się na żadne układy i nie zażadam okupu - ani w dolarach amerykańskich, ani w żadnej innej walucie.
Tara oblała się rumieńcem.
Pociągnęła Stuarta i pobiegli piaząku olbrzymim falom.
- I chyba pierwszy raz nie będę próbował negocjować - zauważył Connor i przeciągnął się.
- Tomiły chłopiec - powiedziała Maggie, biorąc go za rękę.
- Szkoda tylko, że nie Irlandczyk.
- Byłoby gorzej - powiedział Connor, wstając z krzesła - gdyby był Anglikiem.
Maggie uśmiechała się, gdy szli ku rozbijającym się obrzeżom falom.
- Wiesz - powiedziała - ona wróciła dopiero o piątej rano.
- Nie mów mi, że czuwasz przez całą noc, kiedy twoja córka idzie na randkę - zaśmiała się Connor.
- Connorze Fitzgerald, mów ciszej i nie zapomnij, że to nasze jedyne dziecko.
- Maggie, ona nie jest już dzieckiem.
To dorosła kobieta.
I za niecały rok będzie miała tytuł doktora.
- A ty, oczywiście, o nią się nie troszczysz.
- Przecież wiesz, że tak - powiedział Connor, biorąc ją w ramiona.
- Ale skoro sypia ze Stuartem, to jej sprawa.
Mogłaby trafić gorzej.
- Ja nie spałam z tobą przed ślubem i nawet, kiedy mi powiedzieli, że zaginałeś w Wietnamie, nie spojrzałam na innego mężczyznę.
I to nie z powodu braku chętnych.
- Wiem, kochanie - rzekł Connor.
- Ale wtedy już wiedziałaś, że jestem nie zastąpiony.
Wypuścił żonę z objęć i pobiegł ku falom, trzymając się od niej na bezpieczną odległość.
Kiedy go w końcu dogoniła, nie mogła złapać tchu.
- Declan O'Casey oświadczył mi się dużo wcześniej, niż.

-Wiem, kochanie - odparł patrząc w jej zielone oczy i odgarniając jej z czoła kosmyk włosów.

- I nie ma dnia,żebym nie dziękował Bogu za to, że na mnie czekałaś.

To jedyne,co mnie trzymało przy życiu,kiedy byłem w niewoli w Wietnamie.

To i myśl, że zobaczę Tarę.

Słowa Connora napelniły Maggie smutkiem, przypominając jej o przeżytych poronieniach i o tym, że nie mogła mieć więcej dzieci.

Wychowała sięw licznej rodzinie i marzyła o całym stadku.

Nigdyniezgodziła się z opinią swej matki, że to wola boska.

Kiedy Connor był w Wietnamie, spędziła z Tarąwiele szczęśliwychchwil.

Ale gdy wrócił,mała despotkaz dnia nadzień przelała na niegoswe uczucia i chociaż Maggie łączyły z córką serdecznewięzi, wiedziała, że nigdy nie będą one tak bliskie, jak międzyTarą i Connorem.

Kiedy Connor podjął staż menadżerski w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Maryland, zaskoczył Maggie.

Zawsze myślała, że wzoremojca wstąpi doinstytucji zajmującej się ochroną porządku prawnego.

Ale potem Connorjej wyjawiał, gdzie w rzeczywistości będzie pracował.

Bez wdawania się wszczegółypoinformował ją o tym, kto jestjego chlebodawcą i coto znaczy być agentem najwyższego stopniautajnienia.

Przez lata lojalnie strzegła jego sekretu,choiażczasemkrępowało ją, że nie może porozmawiać przyjaciółmi i znajomymio tym, czym zajmuje się mąż.

Jednak uznała, że to drobna niedogodność w porównaniu z losem wielu żon, które musiały wysłuchiwać niekończących się tyrad mężów o ich pracy.

Tylko uboczne zajęcia woleli utrzymać w tajemnicy.

Pragnęła, aby pewnego dnia jej córka spotkała kogoś, ktobędzieczekałcałą noc naparkowejławce tylko po to, żeby zobaczyć, jakzaciągazaślonę.

VII

Jackson zapalił papierosa i uważnie wysłuchał każdego słowa człowieka z Białego Domu.

Nie przerwał mu ani razu.

Lloyd wreszcie skończył, pociągnął łyk stojącej przednim wodomineralnej czekalną pierwsze pytanie byłego zastępcy dyrektora CIA.

- Czy może mi pan powiedzieć - spytał Jackson, zdusiwszy papierosa - dlaczego uznał pan, że nadaje się do tego zadania?

Lloyd nie był zaskoczony.

Z góry postanowił, że jeśli Jacksono to go spyta, powie mu prawdę.

- Wiemy, że ustąpił pan ze swego stanowiska w CIA z powodu

różnicy zdań - zaakcentował słowa - z Helen Dexter, mimo że pańska przeszłość w Agencji była wzorowa i że uważano pana za jejoczywistego następcę.

Ale odczas rezygnacji, z powodów, które w tym świetle zdają się dziwaczne, nie może pan, o ile wiem, znaleźć pracy godnej pańskich kwalifikacji.

Podajemy, że to sprawa Dexter.

- Wystarczy jeden telefon - rzekł Jackson - naturalnie nieoficjalny - żeby człowiek stracił prawie pewną pracę.

Zawsze wystrzegam się mówienia źle o żyjących, ale dla Helen Dexter chętnie zrobię wyjątek.

- Zapalił następnego papierosa.

- Widzi pan, Dexter uważa, że Tom Lawrence wcale nie zajmuje najważniejszego stanowiska w Ameryce.

To on jest prawdziwym obrońcą wiary, ostoją narodu, a obieralni politycy są według niej tylko przejściową niedogodnością, która wcześniej czy później zostanie usunięta przez wyborców.

- Prezydentowi nieraz dawano to do zrozumienia - rzekł zewzburzeniem Lloyd.

- Proszę pana, prezydenci przychodzą i odchodzą.

Idę o zakład, że pański szef, tak jak my wszyscy, jest tylko człowiekiem, może więc pan być pewien, że Dexter ma całą tekę z listą powodów, dla

czego on nie nadaje się na drugą kadencję.

A skoro o tym mówimy, to ma drugą, prawie tak samo grubą, dotyczącą pana.

- Zatem my będziemy musieli gromadzić materiały do naszejteczki.

Nikt lepiej nie nadaje się do tego zadania niż pan.

- Od czego miałbym zacząć?

- Od zbadania, kto jest odpowiedzialny za zabójstwo Ricarda Guzmana w Bogocie w zeszłym miesiącu - odparł Lloyd.

- Mam powody, by przypuszczać, że CIA była zaangażowana bezpośrednio lub pośrednio.

- Bez wiedzy prezydenta?

- spytał Jackson z niedowierzaniem.

Lloyd potaknął, wyjął z teczek plik dokumentów i podsunął Jacksonowi.

- Niech się panie spieszy - powiedział - bo będzie pan musiał to wszystko zapamiętać.

Jackson zagłębił się w materiałach i zaczął dzielić się spostrzeżeniami, nim doczytał do końca pierwszej strony.

- Jeśli przyjąć, że to był samotny zabójca, zdobycie wiarygodnych informacji będzie właściwie niemożliwe.

Tacy ludzie nie zostawiają adresu kontaktowego.

- Jackson na chwilę zamilkł.
- Z drugiej strony, jeśli sprawcą jest CIA, Dexter ma nad nami przewagę dziesięciu dni. Prawdopodobnie zatarła już wszelkie ślady, które mogłyby naprowadzić natropcę - chyba że.
 - Chyba że.
- podjął Lloyd.
 - Nie jestem jedynym człowiekiem, z którym ta kobieta ma napiętko. Możliwe, że na posterunku w Bogocie jest ktoś, kto.
- - przerwał.
- Ile mam czasu?
 - Nowoobрани prezydent Kolumbii przybędzie z oficjalną wizytą do Waszyngtonu za trzy tygodnie. Dobrze byłoby, gdybyśmy coś mieli do tej pory.
 - Przypominają mi się dawne czasy - rzekł Jackson gasząc papierosa.
 - Ale teraz mam tę przyjemność, że Dexter stoi po przeciwnej stronie.
 - Zapalił następnego papierosa.
 - Dla kogo będę pracował?
 - Oficjalnie jako wolny strzelec, ale nieoficjalnie - dla mnie.
- Otrzyma pan pensję takiej samej wysokości, jak pod koniec pracy w Agencji, co miesiąc pieniądze będą wpływały na pański rachunek bankowy, ale z oczywistych powodów pańskie nazwisko nie będzie figurowało w żadnych księgach.
- Będę się z panem kontaktował, kiedy tylko.
 - Nie, panie Lloyd - przerwał Jackson.
- To ja będę się z panem

kontaktował, kiedy będę miał do przekazania coś ważnego.
Dwustronne kontakty podwajają niebezpieczeństwo, że ktoś się na nas natknie.
Potrzebujemy tylko niemożliwego do zlokalizowania numeru telefonu.

Lloyd napisał siedem cyfr na serwetce.

- To jest numer aparatu na moim biurku, bezpośredni, omijający nawet moją sekretarkę.

Po północy automat przełącza na aparat przy moim łóżku.

Może pan do mnie dzwonić w dzień i w nocy.

I proszę się nie przejmować różnicą czasu, kiedy będzie pan za granicą, nie przeszkadza mi, kiedy ktoś mnie budzi.

- To dobrze - rzekł Jackson.

- Bo Helen Dexternie śpi chyba nigdy - Czy omówiliśmy wszystko?

- spytał z uśmiechem Lloyd.

- Niezupełnie - odparł Jackson.

- Kiedy pan będzie wychodził, proszę skrócić w prawo i potem znowu w prawo.

Proszę się nie oglądać i nie zatrzymywać taksówki, póki nie minie pan co najmniej czterech przecznic.

Od tej chwili ma pan myśleć jak Dexter, a niech pan pamięta, że onatkw w tym od trzydziestu lat.

Znam tylko jednego człowieka, który jest od niego lepszy.

- Mam nadzieję, że to pan.

- Niestety, nie.

- Proszę mi nie mówić, że on pracuje dla Dexter.

- Chociaż jest moim najbliższym przyjacielem, gdyby Dexter kazała mu mnie zabić, żadne towarzystwo ubezpieczeniowe w mieście nie zaryzykowałoby wydania mi polisy na życie.

Miejmy nadzieję, że nie straciłem całkiem formy przez ostatnie osiem miesięcy, jeśli mam sobie poradzić z nim i z nią.

Wstali z miejsc.

- Żegnam, panie Lloyd - powiedział Jackson, gdy uścisnęli sobie ręce.

- Szkoda, że to nasze pierwsze i ostatnie spotkanie.

- Ale ja myślałem, że postanowiliśmy.

- rzekł Lloyd, spoglądając z niepokojem na swą zdobycz.

- Współpracować, ale nie widywać się.

Widzi pan, dwóch spotkań Dexternie uznałoby za przypadek.

- Będę czekał na wiadomość od pana.

- Lloyd kiwnął głową.

- I niech pan nie odwiedza znowu Galerii Narodowej, chyba że wyłącznie po to, aby podziwiać obrazy.

- Dlaczego?

- spytał Lloyd, marszcząc brwi.

- Bo ten zaspany strażnik w galerii 71 został tam zainstalowany

54

w dniu, kiedy otrzymał pannominację.

To wszystko jest w pańskich aktach.

Chodzi pan tam trzy razy w tygodniu.

Czy Hopper jest nadal pańskim ulubionym artystą?

Lloydowi zaschło w ustach.

- Czyli że Dexter już wie o naszym spotkaniu?

-Nie - powiedział Jackson.

- Tym razem udało się panu.
Strażnik akurat miał wolne.

Wprawdzie Connor często widywał swoją córkę we łzach, gdy była młodsza - kiedy skaleczyła się nogę, poczuła się upokorzona albo po prostu nie postawiła na swoim, ale to było całkiem coś innego.

Podczas gdy Tara kurczowo tuliła się do Stuarta, Connor udawał, że przygląda się bestsellerom na stojaku z gazetami i rozmyślał o wakacjach, najprzyjemniejszych, jakie pamiętał.

Przybrał trochę na wadze i prawie opanował surfing, doświadczając przy tym wiele wlotów i upadków.

Podczas tych dwóch tygodni najpierw polubił Stuarta, potem zaczął darzyć go szacunkiem. A Maggie przestała przypominać mu każdego ranka, że Tara wieczorem nie wróciła do swego pokoju.

Uznał to za przejaw niechętnego aprobaty.

Connor wziął ze stojaka "Sydney Morning Herald".

Przerzucał gazetę, czytając tylko nagłówki, aż natrafił na dział zatytułowane:
"Wiadomości ze świata".

Zerknął ku Maggie, płaczącą za pamiętki, których nigdy niewystawią na pokaz ani nawet nie dadzą nikomu w prezencie - niewątpliwie trafią w końcu na bożonarodzeniową wyprzedaż ojca Grahama.

Connor pochylił głowę nad gazetą.

"Miażdżące zwycięstwo Herrery w Kolumbii" - głosił tytuł biegnący przez trzyspalty u dołu strony.

Przeczytało przytłaczającym zwycięstwem Herrery nad kandydatem Partii Narodowej, wysuniętym w ostatniej chwili na miejsce Ricarda Guzmana.

Herrera, jak podawał artykuł, planuje wkrótce odwiedzić Stany Zjednoczone, aby przedyskutować z prezydentem Lawrence'em problemy, stojące obecnie przed Kolumbią. Wśród najważniejszych tematów.

- Jak uważasz, czy to nadawałoby się dla Joan?

Connor spojrział na żonę, trzymającą w ręku rysunek portu Sydney autorstwa Kena Done'a.

- Na mój gust trochę zanowoczesny.

- To będziemy musieli jej coś kupić w samolocie.

- Po raz ostatni wzywa się pasażerów udających się do Los Angeles.

geles liniami United Airways, lot osiemset szesnaście - zabrzmiałgłos, który odbił się echem w hali dworca lotniczego.

- Wszyscy ci,którzyjeszcze nie znajdują się na pokładzie samolotu, proszenisą o natychmiastowe zgłoszeniesię do wyjścia numer dwadzieściasiedem.

Connor i Maggie ruszyli w stronę wielkiej tablicy odlotów, usiłująctrzymać siękilka kroków przed córką i Stuartem, którzy jakbyprzyrośli do siebie.

Po odprawie paszportowejConnor został z tyłu,a Maggie pospieszyła do wyjścia, aby powiedzieć, że za moment nadejdzie dwoje ostatnich pasażerów.

Kiedy Tara wreszcie się zjawiła, Connor położyłjej delikatnie rękęna ramieniu i powiedział:

- Wiem, że to cię nie pocieszy, ale twoja matka i ja uważamy, że on jest.

- zawahał się.

- Wiem - wyjąkała wśród łkań.

- Jaktylko wrócęna uczelnię,spytam, czy pozwolą mi dokończyćdysertację na uniwersytecie w Sydney.

Connor zauważył, żeżona rozmawia ze stewardesą u wejścia do samolotu.

- Czy ona tak się boi latać?

- szepnęła stewardesa, widząc zapłakaną młodąkobietę.

- Nie.

Tylko musiała zostawićcoś, czego nie przepuszczono jejna cle.

Maggięprzespała prawie całyczternastogodzinny lot z Sydneydo Los Angeles.

Tara nieraz się dziwiła, jak matka to potrafi.

Ona conajwyżej mogła sięzdrzemnąć,choćby połknęła nie wiadomoile pastylek nasennych. Mocno trzymała ojca za rękę.

On się do niej uśmiechał, ale nic nie mówił.

Tara też się uśmiechała.

Odkąd pamiętała, był dla niej najważniejszy w świecie.

Nigdy nie martwiło jej, że nie spotka mężczyzny,który mógłby zająć jego miejsce, raczej, że jeśli to się stanie, on niezdolętego zaakceptować.

A teraz,kiedy to się zdarzyło, z ulgą odkryła, że może się na nim oprzeć.

To matka stanowiła problem.

Tara wiedziała, że gdyby wszystkimiało się potoczyćpo myślmatki, nadal byłaby dziewczicą i prawdopodobniemieszkałabyjeszczew domu.

Dopiero w jedenastej klasie przestała wierzyć, że jak pocałowało się chłopca, zachodziło się w ciążę.

Koleżanki z klasy dała jej mocno wysłużony egzemplarz "Radości seksu".

Co noc, z kocem na 56

ciągnięty mna głowę, Tara połykała kolejnestrone, przyświecając sobie latarką.

Jednak dopiero po ukończeniu szkoły w Stone Ridge straciła dziewictwo,i w dodatku, jeżeli wszystkie koleżanki mówiły prawdę,jako ostatnia z klasy.

Tara wybrała sięrazem z rodzicami w od dawna obiecywaną podróż do kraju przodków.

Pokochała Irlandię i jej mieszkańcówzaraz gdytylko wylądowała w Dublinie.

Pierwszego wieczoru, przy kolacji w hotelu, powiedziała ojcu, że nie może zrozumieć, dlaczego tak wielu Irlandczyków wyemigrowało, zamiast zadowolić się życiem w swoim kraju.

Młody kelner, który ich obsługiwał,popatrzył na nią i wyrecytował:

Irlandia zawsze była smutna.

To prawda iście była smutna.

Radość tu kiedyś była górą

Gdy każdy dzierżył miecz i pióro.
- Walter Savage Landor -powiedziała Maggie.
- Ale czy znapan następną strofę?
Kelnersklonił się zaczął:
A gdy Tara wzniosła się tak wysoko.
Tara oblała się rumieńcem.
Connor wybuchnął śmiechem.
Natwarzy kelnera odmalowało się zdziwienie.
- Tak mamna imię - wyjaśniła Tara.
Kelner ponownie się skłonił i sprzątnął ze stołu.
Kiedy ojciec dziewczyny regulował rachunek, a matka odbierała płaszcz, zapytał Tarę, czy chciałaby pójść z nim na drinka do Gallaghera, kiedy skończy pracę.
Tara chętnie się zgodziła.
Przez następne dwie godziny oglądała w swoim pokoju stary film, a tuż po północy wymknęła się na dół.
Pub, o którym mówił Liam, znajdował się w pobliżu, i gdy Tara weszła do środka, zobaczyła, że chłopak czeka przy barze.
Liam nie zwlekając wtajemniczyła w uroki guinnessa.
Nie zdziwiła się, kiedy wyznał, że przyjął pracę kelnera na wakacje, a jesienią zaczyna ostatni rok studiów w Trinity College, gdzie specjalizuje się w irlandzkiej poezji.
Natomiast jego zdumiało, że Tara potrafi recytować wiele fragmentów Yeatsa, Joyce'a, Wilde'a i Synge'a.
Dwie godziny później odprowadził ją do pokoju, delikatnie pocałował w usta i zapytał:
- Jak długo będziesz w Dublinie?
57.

- Jeszcze dwa dni - odparła.

-Więc nie traćmy ani jednej chwili.

Kiedy po trzech nocach, podczas których prawie nie zmrzyła oka, Tara odjeżdżała do Kilkenny, miejsca urodzenia Oscara, czuła, że mogłaby coś dopisać do "Radości seksu".

Connor wsunął Liamowi, który zniósł ich bagaże do wynajętego samochodu, sowsity napiwek i wyszeptał podziękowanie, na co Tara zaczerwieniła się jak piwonie.

W drugim roku studiów na Uniwersytecie Stanforda Tara przeżyła romans ze studentem medycyny.

Ale dopiero, kiedy się jej oświadczył, uświadomiła sobie, że nie chce z nim spędzić życia.

Niemusiła czekać roku, aby dojść do zupełnie innego wniosku wobec Stuarta.

Poznali się, gdy na siebie wpadli.

Z jej winy - przecięła mądrego, gdy spadał z szczytu olbrzymiej fali.

Obydwoje wyrzuciło w powietrze.

Kiedy pomógł się jej pozbiierać, spodziewała się, że ją zwymyśla, na co święcie zasłużyła.

Ale on się uśmiechnął i powiedział:

- Na przyszłość staraj się unikać pasa szybkiego ruchu.

Tara powtórzyła tego popołudnia ten sam manewr, ale tym razem zrobiła to umyślnie i on o tym wiedział.

- Albo zacznę ci dawać lekcje - powiedział ze śmiechem - albo pójdziemy na kawę.

Jeśli nie - następnym razem możemy się spotkać w szpitalu.

Więc co wolisz?

- Najpierw chodźmy na kawę.

Tara miała ochotę iść ze Stuartem do łóżka jeszcze tej nocy, a gdy dziesięć dni później odjeżdżała, żałowała, że kazała mu czekać trzy dni.

Do końca tygodnia.

- Mówi kapitan.

Zaczynamy schodzić do lądowań w Los Angeles.

Maggie nagle się przebudziła, przetarła oczy i uśmiechnęła się do córki.

- Czy zasnąłam?

- zapytała.

- Ale dopiero kiedy samolot wzniósł się w powietrze - odparła Tara.

Odebrali bagaże.

Tara pożegnała się z rodzicami i odeszła, aby odlecieć do San Francisco.

Gdy zniknęła w tłumie przylatujących i odlatujących pasażerów, Connor szepnął do Maggie:

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby zawróciła i wsiadła do pierwszego samolotu do

Sydney.

58

Maggie skinęła głową.

Udali się w kierunku krajowego portu lotniczego i wsiadła do pokładu nocnego samolotu.

Maggie zdążyła zasnąć, zanim skończył się film instruktażowy o środkach bezpieczeństwa w czasie lotu.

Kiedy przemierzali wszerz Stany Zjednoczone, Connor próbował przestać myśleć o Tarze i Stuarcie i skupić się na tym, co ma do zrobienia w Waszyngtonie.

W ciągu trzech miesięcy miał odejść z czynnej służby i wciąż nie wiedział, do jakiego wydziału zostanie przeniesiony.

Ogarniał go strach na myśl, że zaproponują mu pracę w centrali oddziału ran do piątej po południu, polegającą na przekazywaniu młodym agentom doświadczeń w terenie.

Upowiedział już Joan, że złoży rezygnację, jeżeli nie znajdzie się nic ciekawszego.

Nie był stworzony na belfra.

W ciągu ubiegłego roku napomykano o paru ważnych stanowiskach, które zamierzano mu zaproponować, ale to było, zanim jeszcze zrezygnował bez wyjaśnienia.

Mimo dwudziestu siedmiu lat służby i kilku pochwał Connor zdawał sobie sprawę, że teraz, gdy Jacksona nie ma w Firmie, jego przyszłość wcale nie przedstawiał tak różowo, jak sobie wyobrażał.

VIII

- Czy jesteś pewien, że Jacksonowi można zaufać?

- Nie, panie prezydencie.

Ale jednego jestem pewien: Jackson nieznosi - powtarzam, nie znosi - Helen Dexter, tak samo jak pan.

- Topierwszorządna rekomendacja - powiedział prezydent.

- Czym jeszcze kierowałeś się przy jego wyborze?

Bo jeżeli nienawiść do Dexteru znać za główne kryterium, to znaleźlibyśmy sporo kandydatów na tę posadę.

- On ma też inne zalety.

Jako oficer walczył w Wietnamie, był szefem kontrwywiadu, cieszył się doskonałą opinią jako wicedyrektor CIA.

- To dlaczego nagle zrezygnował, skoro miał przed sobą tak obiecującą karierę?

- Pewno Dexter znała, że zbyt obiecującą i że Jackson może być poważnym konkurentem do jej stanowiska.

- Gdyby potrafił dowieść, że ona wydała rozkaz zabicia Ricarda Guzmana, mógłby jeszcze nim zostać.

Andy, wygląda na to, że wybrałeś najlepszego człowieka do tego zadania.

- Jackson mi mówił, że jest jeden lepszy.

- To go też zwerbujemy - powiedział prezydent.

- Wpadłem na taki sam pomysł.

Ale okazało się, że on już pracuje dla Dexter.

- Hm, przynajmniej nie będzie wiedział, że Jackson pracuje dla nas.

Co jeszcze Jackson miał do powiedzenia?

Lloyd otworzył teczkę i zrelacjonował prezydentowi rozmowę z byłym wicedyrektorem CIA.

- Więc mówisz, że mam siedzieć beczynn timer i kręcić młynka palcami, czekając aż Jackson coś wymyśli?

- Takie postawił warunki.

Ale mam wrażenie, że Jackson nie jest człowiekiem, który by siedział beczynn timer i kręcił młynka.

60

- Lepiejnie, bo każdy dzień spędzony przez Dexter w Langley to dla mnie o jedendzień za dużo.

Miejmy nadzieję, że Jackson przygotuje pętlę na jej szyję.

Publiczną egzekucję przeprowadzimy w Ogrodzie Różanym.

- Skorzystamy podwójnie - przytaknął szef personelu Białego Domu.

- Pozyskamy głosy kilku republikanów narzeczą ustawy o bezpiecznych ulicach i zmniejszeniu przestępczości.

Prezydent się uśmiechnął.

- Kto następny?

- zapytał.

- Senator Bedell czeka już od kilku minut - odparł Lloyd, spojrzawszy na zegarek.

- Czego on teraz chce?

- Przedyskutować najnowsze propozycje poprawek do ustawy o ograniczeniu uzbrojeń.

Prezydent zmarszczył brwi.

- Czy zauważyłeś - zapytał - ile punktów zdobył Żeriński w najnowszych sondażach?

Ledwo Maggie przestąpiła próg małego domku w Georgetown, wykręciła numer kierunkowy 650.

Connor zaczął rozpakowywać walizki, przysłuchując się konwersacji Maggie z córką.

- Dzwonię, żeby ci dać znać, że szczęśliwie dotarliśmy do domu - zaczęła.

Connor uśmiechnął się pod nosem.

Tara była za bystra, żeby się (na to nabrać, ale wiedział, że podejmie grę.

- Dziękuję za telefon, mamo.

Cieszę się, że cię słyszę.

- U ciebie wszystko w porządku?

- spytała Maggie.

- Tak, mamo - odparła Tara i przez kilka minut usiłowała okrężną drogą zapewnić matkę, że nie popełni żadnego głupstwa.

Gdy doszła do wniosku, że ją przekonała, spytała, czy ojciec jest w pobliżu.

- Jest koło mnie.

- Maggie podała aparat Connorowi na drugą stronę łóżka.

- Tatusiu, mógłbyś coś dla mnie zrobić?

- Oczywiście.

- Wy tłumacz mamie, że nie zrobię nic bezsensownego.

Stuart dzwonił już dwa razy, a ponieważ zamierza - zawałała się - przyjechać do Stanów na Boże Narodzenie, jestem pewna, że wytrwam do tej pory.

Przy okazji, tatusiu, chyba lepiej, żeby ci powiedziałam, że wiem, jaki bym chciała prezent na Gwiazdkę.

- Co takiego, kochanie?

61.

- Żebyś zapłacił za moje rozmowy telefoniczne w ciągu przyszłych ośmiu miesięcy. Czuję, że to będzie więcej kosztować niż tani samochód, który mi obiecałeś, jeżeli zrobisz doktorat.

Connor się zaśmiał.

- Więc lepiej załatw sobie awans, o którym wspominałeś w Australii.

Pa, tatusiu.

- Pa, kochanie.

Connor odłożył słuchawkę i uśmiechnął się uspokajająco do Maggie.

Właśnie chciał jej powiedzieć, że się nie zamartwia, kiedy zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę, myśląc, że to znowu Tara.

Ale to nie była ona.

- Przepraszam, że dzwonię, gdy tylko wróciłeś do domu - odezwała się Joan - ale właśnie telefonowała szefowa w pilnej sprawie.

Jak szybko mógłbyś tu być?

- Za dwadzieścia minut - odparł Connor, spojrzawszy na zegarek, i położył słuchawkę.

- Kto to był?

- spytała Maggie, która krzętała się przy walizkach.

- Joan.

Chce, żeby podpisał kilka kontraktów.

To nie potrwadługo.

- Oj! - jęknęła Maggie.

- Zapomniałam jej kupić prezent w samolocie.

- Znajdę coś po drodze do biura.

Connor szybko wyszedł z pokoju, zbiegł po schodach i wypadł domu, zanim Maggie zdążyła go o coś zapytać.

Wsiadł do starej rodzinnej toyoty, ale silnik nieod razu zaskoczył.

Wreszcie zapalili Connor skierował "stary czołg", jak Tara nazywała toyotę, na Dwudziestą Dziewiątą Ulicę.

Piętnaście minut później skręcił w lewo Ulicę M, potem jeszcze raz w lewo i wreszcie zjechał na nieoznakowany podziemny parking.

Gdy wchodził do budynku, wartownik na jego widok dotknął daszka czapki.

- Witam pana.

Nie spodziewałem się pana tutaj przed poniedziałkiem.

- Jateż - Connor odwzajemnił żartobliwy salut i skierował się ku windom.

Pojechał na siódme piętro.

Na korytarzu powitał go uśmiechem recepcjonistki, siedzącej za biurkiem pod wydrukowanym wielkimi literami napisem: "Towarzystwo Ubezpieczeniowe Maryland".

Książka adresowa na parterze oznajmiała, że szacowna firma zajmuje siódme, ósme, dziewiąte i dziesiąte piętro.

62

- Jak miło pana widzieć, panie Fitzgerald - powiedziała recepcjonistka.

- Mapa gościa.

Connor się uśmiechnął, kiwnął głową i poszedł dalej korytarzem.

Za rogiem ujrzał Joan stojącą przy drzwiach jego biura.

Sądząc z wyrazu twarzy, musiała tam czekać już od pewnego czasu.

Nagle przypomniał sobie słowa Maggie, kiedy wychodził z domu - chociaż Joan wcale nie wyglądała na osobę pochłoniętą myślami o prezencie.

- Szefowa jest od kilku minut - szepnęła Joan, otwierając mu drzwi.

Connor wkroczył do pokoju.

Z drugiej strony jego biurka siedziała osoba, która chyba nigdy nie wyjeżdżała na wakacje.

- Przepraszam, że musiała pani na mnie czekać.

Ja właśnie.

- Mamy problem - rzuciła Helen Dexter i podsunęła muteczkę.

- Daj mi tylko jedną dobrą wskazówkę, a ja już sobie poradzę - powiedział Jackson.

- Chris, gdybym tylko mógł - odparł główny komendant policji w Bogocie.

- Ale kilku twoich dawnych kolegów dało mi do zrozumienia, że jesteś teraz persona non grata.

- Zawsze myślałem, że jesteś facetem, który nie bawi się w takie subtelności - rzekł

Jackson, dolewając komendantowi whisky.

- Chris, zrozum, kiedy reprezentowałeś swój rząd, to było legalne.

- Z łapówkami włącznie, jeśli dobrze pamiętam.

- Ależ naturalnie - nonszalancko rzucił policjant.

- Pierwszy byś przyznał, że trzeba mieć parę groszy na pokrycie kosztów.

- Upił łyżkę kryształowej szklaneczki.

- Jak dobrze wiesz, Chris, inflacja w Kolumbii jest wciąż bardzo wysoka.

Pensji nie starczy nawet na codzienne wydatki.

- Czy chcesz powiedzieć, że zestawka jest taka jak była, nawet dla kogoś, kto jest persona non grata?

Komendant policji wysączył ostatnią kropelkę whisky i otarł wąsy.

- Chris - powiedział - prezydenci przychodzą i odchodzą w twoim i moim kraju - ale starzy przyjaciele pozostają.

Jackson skrzywił usta w uśmiechu i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę, którą podał komendantowi pod stołem.

Policjant zajrzał do środka, odpiął kieszeń bluzy i schował pieniądze.

- Widzę, że nowi szefowie nie pozwalają ci na taki gest jak przedtem, jeśli chodzi o koszty.

- Jedna dobra wskazówka, to wszystko, o co proszę - powtórzył Jackson.

63.

Komendant uniósł w górę pustą szklaneczkę i czekał, aż kelner napelni ją po brzegi. Pociągnął długą łyk.

- Zawsze uważam, że jaksię szuka okazji, trzeba zacząć od lombardu.

Najpierw zaszedłbym do dzielnicy San Victorina.

- Uśmiechnął się, wychylił whisky i wstał od stolika.

- A przy twoich obecnych kłopotach, przyjacielu, poprzestałbym na obejrzeniu wystawy. Przeczytawszy poufne materiały Connor oddał teczkę szefowej.

- Za ile lat kończy pan służbę?

- zaskoczyła go pytaniem.

- Odchodzę z czynnej służby pierwszego stycznia przyszłego roku, ale oczywiście mam nadzieję, że zostanę w Firmie.

- Teraz może nie być tak łatwo znaleźć zastosowanie dla pańskich szczególnych talentów - powiedziała sucho Dexter.

- Ale jest wolne stanowisko, na które mogłabym pana polecić.

- Zawiesił głowę.

- Dyrektora naszego biura w Cleveland.

- Cleveland?

- Tak.

- Spodziewałem się - rzekł Connor - że po dwudziestu ośmiu latach służby w Firmie znajdzie pani dla mnie coś odpowiedniego w Waszyngtonie.

Jestem pewien, że pani wie, iż moja żona jest dyrektorką Biura Przyjęć w Georgetown.

Raczej niemożliwe, żeby znalazła równorzędną posadę w

Ohio.

Nastąpiło długie milczenie.

- Chętnie poszłabym panu na rękę - powiedziała Dexter tym samym chłodnym tonem - ale w tej chwili nie ma w Langley nic odpowiedniego dla pana.

Gdyby zdecydował się pan na tę posadę w Cleveland, za dwa lata można by pana przenieść powrotem.

Connor spojrzał przez stół na kobietę, której służył przez ostatnie dwadzieścia sześć lat, świadom, że skierowała teraz przeciw niemu tę samą broń, co wcześniej wobec wielu jego kolegów.

Ale przecież zawsze spełniał jej rozkazy codo joty.

Spojrzał na teczkę.

Czy prezydent zażądał czyjejś głowy po tym, jak wypytywano go tak dociekliwie o działalność CIA w Kolumbii?

Czy Cleveland ma być nagrodą za jego dwudziestoosmioletnią służbę?

- Czy jest jakaś inna możliwość?

- zapytał.

- Zawsze może pan przejść na wcześniejszą emeryturę - odparła Dexter bez wahania.

Mówiła takim tonem, jakby chodziło o sześćdziesięcioletniego portiera w jej domu.

64

Connor siedział w milczeniu, wprostnie wierząc własnym uszom.

Całe swoje życie oddał Firmie i, jak wielu innych jej pracowników, nieraz otarł się o śmierć.

- Proszę dać mi znać, kiedy się pan zdecyduje.

- Helen Dexter wstała i wyszła z pokoju.

Connor siedział dłuższy czas przy biurku, próbując ogarnąć pełne znaczenie słów dyrektorki.

Przypomniał sobie, że Chris Jackson opowiadał mu o prawie identycznej rozmowie, która miała miejsce osiem miesięcy wcześniej.

Jemu proponowała posadę w Milwaukee.

- Mnie nie mogłoby to spotkać - powiedział mu wtedy.

- Ja gram w drużynie i nikt niemógłby podejrzewać, że chcę zająć jej miejsce.

Ale Connor popełnił jeszcze cięższy grzech.

Wykonując polecenie Dexter, mimowolnie stał się sprawcą jej prawdopodobnego upadku.

Gdyby znikł i nie sprawiał kłopotu swą obecnością, mogłaby wyjść z opresji obronną ręką.

Ilu porządnych ludzi, pomyślał, poświęcił w ciągu lat w imię własnych interesów?

Zadumę Connora przerwała Joan, wchodząc do pokoju.

Nietrzeba jej było mówić, że spotkanie się nie udało.

- Czy mogę coś zrobić?

- spytała cicho.

- Nie, Joan.

Dziękuję.

- Po krótkim milczeniu dodał: - Wiesz, że niedługo odchodzę z czynnej służby.

- Pierwszego stycznia - powiedziała.

- Ale zważywszy na twoje zasługi.

Firma z pewnością ofiaruje ci wielkie biurko, przyzwoite godziny pracy dla odmiany i dorzuci jeszcze długonogą sekretarkę.

- Chybanie - rzekł Connor.

- Jedyne, co mi zaproponowała dyrektorka, to posada kierownika biura w Cleveland i ani słowem nie wspomniała o długonogiej sekretarce.

- Cleveland?

- powtórzyła z niedowierzaniem Joan.

Connor potaknął.

- Dziwka!

Connor zaskoczony spojrzął na swoją długoletnią sekretarkę.

Przez dziewiętnaście lat ani razu nie słyszał, żeby w podobny sposób kimś się wyraziła, a co dopiero o szefowej.

- Co powiesz Maggie?

- spytała Joan, patrząc mu w oczy.

- Nie wiem.

Ale skoro ją okłamuję od dwudziestu ośmiu lat, to chyba i teraz coś wymyślę.

Gdy Chris Jackson otworzył frontowe drzwi, rozdzwonił się dzwonek, alarmując właściciela, że ktoś wszedł do sklepu.

5. Jedenaste przykazanie

65.

W Bogocie jest ponad sto lombardów, a większość znajduje się w San Victorina.

Jackson nie nachodził się tak od czasu, gdy był początkującym agentem.

Zaczynał już myśleć, że jego stary przyjaciel, komendant policji, skierował go na fałszywy trop.

Ale nie ustawał w poszukiwaniach, gdyż wiedział, że ten policjant zawsze dba o to, by znowu dostać kopertę pełną banknotów.

Escobar spojrzął znad wieczornej gazety.

Stary człowiek uważał, że zawsze pozna, zanim klient stanie przed ladą, czy chce coś kupić, czy sprzedać.

Po spojrzeniu, kroju ubrania, nawet pochodzie.

Rzucił okiem na tego dzentelmana i już wiedział, że dobrze postąpiłnie zamykając sklepu wcześniej.

- Dobry wieczór panu - rzekł Escobar, podnosząc się ze stołka.

Zawsze dodawał tego "pana", gdy sądził, że klient zamierza coś kupić.

- Czym mogę panu służyć?

- Ten karabin na wystawie.

- Ach, tak.

Widzę, że zna się pan na rzeczy.

To rzecz dla kolekcjonera.

- Escobar podniósł klapę w ladzie i podszedł do wystawy.

Zdjął walizkę i położył na ladzie, żeby klient mógł z bliska obejrzeć jej zawartość.

Jacksonowi wystarczył rzutek na wykonany ręcznie karabin, aby domyślić się jego pochodzenia.

Nie zdziwił się widząc, że jeden z naboju został użyty.

- Ile kosztuje?

- Dziesięć tysięcy dolarów - odparł Escobar, rozpoznawszy amerykański akcent.

- Nie mogę nic opuścić.

Tyle osób o niego pytało.

Po trzydniowej wędrówce w skwarzei duchocie Jackson nie był w nastroju do targów.

Ale nie miał przy sobie tyle gotówki, a nie mógł wypisać czeku ani użyć karty kredytowej.

- Czy mogę zostawić zadatek - spytał - i zabrać karabin rano?

- Oczywiście, proszę pana - rzekł Escobar.

- Jednak zaten szczególnie chciałbym otrzymać dziesięć procent ceny.

Jackson kiwnął głową i wyjął portfel.

Wydobył wszystkie używane banknoty i podał je właścicielowi lombardu.

Escobar wolno odliczył dziesięć banknotów studolarowych, poczym umieścił je w kasie i wypisał kwit.

Jackson spojrzął na otwartą walizkę, uśmiechnął się, wyjął łuskę i wsadził do kieszeni.

Stary człowiek zdumiał się - nie tym, co zrobił Jackson, ale byłby przysięgł, że kiedy kupował karabin, było tam dwanaście naboju.

66

,

-- Jutro bym się spakowała i przyfrunęła do ciebie - powiedziała - gdyby nie rodzice.

- Na pewno by zrozumieli - rzekł Stuart.

- Być może - odparła Tara.

- Ale ja bym się czuła winna zewzględu na ojca, który przez całe lata się poświęcał, żebyśmy mogły zrobić doktorat.

Nie mówię o matce.

Onaby chyba dostała ataku serca.

- Ale mówiłaś, że się dowiesz, czy promotorka pozwoliłaby ci skończyć pracę doktorską w Sydney.

- Ona nie stwarza przeszkód - odparła Tara.

- To dziekan się niezgadza.

- Dziekan?

- Tak.

Kiedy wczoraj z tym wystąpiła, oznajmił, że to wykluczone.

- Nastąpiło długie milczenie, wreszcie Tara spytała: - Jesteś tam, Stuart?

- No pewnie - odrzekł i westchnął niczym szekspirowski kochanek.

- Jeszcze tylko osiem miesięcy - przypomniała mu Tara.

- Mogłabym ci nawet powiedzieć, ile dni.

Inie zapominaj, że przyjeżdżasz na Boże Narodzenie.

- Niemogę się doczekać - rzekł Stuart.

- Nie chciałbym tylko narzucać się twoim rodzicom.

Przecież oni zobaczą cię po dłuższej przerwie.

- Nie bądź niemądry.

Ucieszyli się, kiedy im powiedziała, że spędzisz z nami święta.

Mama za tobą przepada, jak sam dobrze wiesz, i jesteś pierwszym mężczyzną, o którym ojciec dobrze się wyraża.

- On jest niezwykły.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przypuszczam, że dobrze wiesz, co.

- Lepiej kończmy, bo inaczej tatuś będzie musiał prosić o podwyżkę, żeby zapłacić za moje telefony.

Przy okazji, teraz twoja kolej.

Stuart udał, że nie zauważył, jak nagle Tara zmieniła temat.

- Zawsze wydajemy się dziwne - ciągnęła - że ty jeszcze pracujesz, kiedy ja mocno śpię.

- Jest sposób, żeby to zmienić - zauważył Stuart.

Kiedy otworzył drzwi, zabrzmiał alarm.

Podróżny zegar na zapleczu wydzwonił drugą, gdy odsuwał zasłonę z pacjorkowi wchodził do sklepu.

Spojrzała na wystawę.

Karabinu już nie było na stojaku.

Znalazł go po kilku minutach, ukryty pod ladą.

Obejrzał każdą część i stwierdził brak jednego naboju.

Wsadził walizkę pod pachę i wyszedł równie szybko jak wszedł.

Nie żeby się

67.

bat, że zostanie schwytany; komendant policji zapewnił go, że włamanie nie zostanie zgłoszone przed upływem pół godziny.

Nim zamknął drzwi, spojrzął na zegar.

Wskazywał dwanaście po drugiej.

Trudno winić komendant policji za to, że jego stary przyjaciel nie miał przy sobie tyle gotówki, żeby kupić karabin.

Poza tym komendant bardzo lubił, gdy mu dwa razy płacono za tę samą informację.

Zwłaszcza dolarami.

Naląła mu drugą filiżankę kawy.

- Maggie, myślę, żeby odejść z towarzystwa i rozjechać się pracą, która nie wymagałaby takich częstych wyjazdów.

- Spojrzał na żonę, siedzącą po drugiej stronie stołu kuchennego, i czekał na jej reakcję.

Maggie odstawiła dzbanek z kawą na płytkę i upiła łyk ze swego kubka.

- Dlaczego teraz?

- spytała po prostu.

- Prezeska mi powiedziała, że zostanę odsunięty od spraw porwań i okupów i zastąpiony przez kogoś młodszego.

Taki jest tryb postępowania firmy wobec osób w moim wieku.

- Alew firmie jest chyba mnóstwo innych stanowisk dla kogoś twoim doświadczeniem.

- Prezeska wystąpiła z propozycją - rzekł Connor - że bym pokierował naszym oddziałem w Cleveland.

- W Cleveland?

- powiedziała Maggie z niedowierzaniem.

Chwilę milczała, po czym zapytała cicho: - Dlaczego jej tak nagle zaczęło zależeć, żebyś znikł jej z oczu?

- Och, nie jest tak źle.

Jeżeli odrzucę tę propozycję, to i tak zachowam prawo do pełnej emerytury - odparł Connor, nie odpowiadając na pytanie żony.

- Zresztą Joan mówi, że w Waszyngtonie jest kilka wielkich towarzystw ubezpieczeniowych, które chętnie zatrudnią kogoś z moim doświadczeniem.

- Ale nie to, w którym obecnie pracujesz - stwierdziła Maggie, patrząc na męża.

Connor spojrzął jej w oczy, ale nie przychodziło mu do głowy nic przekonującego.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

- Czy nie sądzisz, że czas, byś mi powiedział całą prawdę?

- spytała Maggie.

- Czy też mam dalej, jako ta uległa żona, wierzyć we wszystko, co mówisz?

Connor opuścił głowę i milczał.

- Nigdy nie ukrywałeś, że to twoje towarzystwo ubezpieczeniowe jest tylko pokrywką dla CIA.

Ja też nigdy cię nie wypytywałam.

Ale

68

ostatnio nawet te twoje podróże, choć tak dobrze maskowane, zostawiły ślad.

- Chyba cię nie rozumiem - próbował się bronić.

- Gdy odbierałam twój garnitur z pralni, powiedzieli mi, że to naleźli w kieszeni.

- Maggie położyła na stole małe krążki.

- Podobnie ma żadnej wartości poza Kolumbią.

Connor wbił wzrok w dziesięciopiętętową monetę, wystarczającą miejscową rozmowę telefoniczną Bogocie.

- Wiele żonpomyślaoby tylko o jednym,ConnorzeFitzgerald -ciągnęła Maggie.
- Ale znam cię od ponad trzydziestu lat i dobrzewiem, że nie byłbyś zdolny do takiego oszustwa.

- Maggie, przysięgam.

-Wiem, Connorze.

Zawsze rozumiałam, że musiałeś miećjakiśważny powód, skoro nie byłeś ze mną całkiem szczery przez tewszystkie lata.

- Pochyliła się nad stołem, ujęła rękę męża i powiedziała: - Ale jeśli terazwyrzucają cię nazłom bez żadnego powodu,to czy nie uważasz, że mam prawo usłyszeć, czym się naprawdę zajmowałeś przez ostatnie dwadzieścia osiem lat?

Jackson polecił taksówkarzowi zatrzymaćsię przed lombardem i czekać.
Powiedział mu,że wpadnie tamtylko na paręminut i potem chce jechać nalotnisko.

Gdy wszedł do lombardu, Escobar wybiegł drobnymkroczkiemz zaplecza.
Widać było, że jest wzburzony.

Kiedypoznalklienta,skłonił głowę, bez słowa nacisnął przycisk kasy i wysunął szufladkę.
Powoli wyjął dziesięć banknotów studolarowych i podał je przez ladę.

- Muszępana przeprosić- powiedział, spoglądając w góręna wysokiego Amerykanina- ale niestety karabin został wnocy skradziony.

Jackson niezareagował.

- Co dziwne - ciągnął Escobar - złodziej nie wziął żadnych pieniędzy.

Jackson nadal milczał.

Po wyjściu klienta Escobar niemógł opędzić się myśli, że wcale nie był zdziwiony.

W drodze nalotniskoJackson wsadził rękę do kieszeni marynarki i wyjął łuskę.
Nie mógł udowodnić, kto pociągnąłza spust, ale nie miał terazcienia wątpliwości co do tego,кто wydał rozkaz zabiciaRicarda Guzmana.

IX

Śmigłowiec miękko wylądował obok podłużnej Zwierciadlanej Sadzawki pomiędzy obeliskiem Waszyngtona i pomnikiem Lincolna.

Gdy łopatki wirnika zwolniły obroty, ze środka na trawnik wysunięto schodki.

Drzwiczki "Nocnego Ptaka" otworzyły się pojawił się prezydent Herrera w galowym mundurze, który nadawał mu wygląd drugorzędnej postaci z lichego filmu.

Stanął nabacznosc i odsalutował żołnierzom z powitalnego oddziału piechoty morskiej, po czym przemierzył krótki dystans do opancerzonego cadillaca.

Kiedy kawalkada samochodów sunęła Siedemnastą Ulicą, na wszystkich masztach powiewały flagi kolumbijska, amerykańska i Dystryktu Kolumbii.

Tom Lawrence, Larry Harrington i Andy Lloyd czekali przed Białym Domem od strony południowego portyku.

Im lepiej skrojony strój, im bardziej kolorowa szarfa, im więcej medali, tym mniej znaczący kraj, pomyślał Lawrence, wychodząc naprzeciw gościowi.

- Antonio, drogi, stary przyjacielu - powiedział, gdy Herrera go uściskał, chociaż spotkali się wcześniej tylko raz.

Kiedy Herrera wypuścił gospodarza zobjęć, Lawrence odwrócił się, żeby przedstawić mu Harringtona i Lloyd'a.

Błysnęły flesze, zaterkotały kamery wideo i orszak prezydencki skierował się do Białego Domu.

W długim korytarzu, pod portretem ukazującym całą postać Jerzego Waszyngtona zrobiono jeszcze kilka dodatkowych zdjęć zastygłych w ich ściskających sobie dłonie przywódców.

Po obowiązkowej trzyminutowej sesji fotograficznej prezydent wprowadził gościa do Pokoju Owalnego.

Podano kolumbijską kawę wykonano jeszcze kilka zdjęć.

Nie poruszano żadnych ważnych tematów; dopiero kiedy zostali sami, sekretarz stanu naprowadził rozmowę na obecne stosunki między obu krajami.

Lawrence był wdzięczny Larry'emu za informacje, których udzielił mu.

Mógł

70

teraz ze znajomością rzeczy mówić o umowach o ekstradycję, o tegorocznych zbiorach kawy, problemie narkotyków, a nawet o nowej linii metra budowanej w Bogocie przez przedsiębiorstwo amerykańskie w ramach programu pomocy zagranicznej.

Kiedy sekretarz stanu poszerzył dyskusję o takie tematy, jak spłata sprolongowanych pożyczek dolarowych i dysproporcja między eksportem i importem obu krajów, Lawrence wybiegł myślami do sprawom, z którymi będzie musiał się uporać tego dnia.

Projekt ustawy o ograniczeniu zbrojeń ugrzązł w komisji i Andy już go ostrzegł, że głosów bynajmniej nie przybywa.

Prawdopodobnie będzie musiał się spotkać osobiście z kilkoma kongresmanami, aby go przepchnąć.

Zdawał sobie sprawę, że obrzędowe wizyty w Białym Domu służyły tylko jednemu: podnoszą poczucie wartości własnej kongresmanów.

Mogli potem oznajmić wyborcom w swoich kręgach - jeżeli byli demokratami - w jak bliskich stosunkach są z prezydentem albo - jeżeli byli republikanami - jak bardzo prezydent potrzebuje ich poparcia, by przeforsować jakiegokolwiek ustawy.

Lawrence zdawał sobie sprawę, że w obliczu wypadających w środku kadencji wyborów do Kongresu, które miały się odbyć zaniecały rok, w najbliższych tygodniach czeka go sporo nie planowanych

spotkań.

Nagle przywołały go do rzeczywistości słowa Herrery:

- ...

iza to, panie prezydencie, muszę osobiście panu podziękować.

Szerokiśmiech wykwit!

na twarzy kolumbijskiego przywódcy, gdy trójka najpotężniejszych ludzi w Ameryce

spojrzała na niego

w osłupieniu.

-Antonio, czy mógłbyś to jeszcze raz powtórzyć?

- poprosił prezydent, niepewny, czy się nie przesłyszał.

- Tom, skoro znajdujemy się w zaciszu Pokoju Owalnego, chciałbym ci wyrazić wdzięczność za osobistą interwencję podczas mojej kampanii wyborczej.

Panie Fitzgerald, jak długo pan pracuje w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Maryland?

- spytał prezes radynadzorczej.

To był pierwsze pytanie podczas rozmowy trwającej ponad godzinę.

- W maju będzie dwadzieścia osiem lat, prosił pana - odparł Connor, patrząc prosto na pana Thomsona, który siedział naprzeciwko, pośrodku wielkiego stołu.

71.

- Pańskie osiągnięcia zawodowe są imponujące, pańska opinia bezzarzutem - odezwała się kobieta siedząca po prawicy prezesa.

- Muszę zapytać, dlaczego chce pan zrezygnować ze swej obecnej pracy.

I, co chyba ważniejsze, dlaczego pańska firma zgadza się, żeby pan odszedł?

Poprzedniego wieczoru przy kolacji Connor naradzał się z Maggie, jak odpowiedzieć na to pytanie.

- Po prostu powiedz prawdę - podsunęła mu.

- Inne baw się w żadne wykrety.

Nigdy w tym nie byłeś dobry.

- Connornie spodziewała się innej rady.

- Jedyny awans, na jaki mógłbym szybko liczyć, wiązałby się z przenosinami do Cleveland - odparł - a nie chciałbym prosić żony, żeby porzuciła pracę na Uniwersytecie Georgetown.

Byłoby jej trudno znaleźć równorzędną posadę w Ohio.

Trzecia osoba zasiadająca w komisji kwalifikacyjnej skinęła głową.

Maggie przedziła go, że jeden z członków komisji ma syna na ostatnim roku Uniwersytetu Georgetown.

- Chyba nie ma potrzeby zatrzymywać pana dłużej - oznajmił prezes.

- Chciałbym panu podziękować, że poświęcił się pan dzisiaj.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł Connor i wstał, żeby odejść.

Ku jego zdziwieniu prezes podniósł się zza stołu i ipodszedł do niego.

- Czy zechciałby pan razem z żoną zejść z nami na kolację któregoś dnia wieczorem w przyszłym tygodniu?

- zapytał, odprowadzając Connora do drzwi.

- Będzie nam bardzo miło, proszę pana - odparł Connor.

- Ben - odpowiedział prezes.

- Nikt w Washington Providentnie zwraca się do mnie per pan, a już na pewno nie personel kierowniczy.

- Uśmiechnął się i mocno uściskał Connora w dowidłość.

- Polecę sekretarce, żeby zadzwoniła jutro do ciebie do biura i ustaliła datę.

I bardzo chętnie poznam twoją żonę - Maggie, czy tak?

- Tak, proszę pana - odparł Connor.

Zamilkł na chwilę.

- Ja też chętnie poznam panią Thompson, Ben.

Szef personelu Białego Domu podniósł słuchawkę czerwonego telefonu, ale nie od razu poznał głos.

- Mam informacje, które mogą się panu przydać.

Przepraszam, że trwało to tak długo.

72

Lloyd prędko schwycił świeży żółty bloczek i zdjął zakrętkę z flamastra.

Nie musiał naciskać guzika - wszystkie rozmowy prowadzone przez ten telefon były automatycznie nagrywane.

- Dopiero co wróciłem po dziesięciodniowym pobycie w Bogocie.

Ktoś tam pilnował, żeby nie tylko zatraskiwano przede mną drzwi, ale żeby je zamykano na klucz i zasuwę.

- Czyli że Dexter musiała się dowiedzieć, o co panu chodzi - rzekł Lloyd.

- Przypuszczam, że w kilka minut po mojej rozmowie z komendantem miejscowej policji.

- Czy to znaczy, że ona wie, dla kogo pan pracuje?

-Nie,zabezpieczyłem się pod tym względem idlatego tak późno się odzywam.
I zapewniam pana, że po tym, jak wyprowadziłem w pole jednego z jej młodszych agentów,nigdy nie będzie w stanie wydedukować, z kim się komunikuję.
Nasz attache kulturalny w Bogocie pracuje teraz każdego znanego barona narkotykowego, każdego niższego urzędnika w wydziale narkotykowym i połowę miejscowej policji.

Jego raport zapełni tyle stron, że przez miesiąc nie będą w stanie go przeczytać, a co dopiero wykryć, co ja tam takiego robiłem.

- Czy ma pan coś, żeby przyszpilić Dexter?

- Nic takiego, by jak zwykle nie mogła się wykręcić sianem.

Ale wszystko wskazuje na to, że zabójstwo jest robotą CIA.

- Niewiele brakuje, a moglibyśmy sami tego dowieść - rzekł Lloyd.

- Problem polega na tym, że chociaż nasz informator jest osobą w pełni wiarygodną, niemógłby wystąpić jako świadek, bo odniósł bezpośrednią korzyść z zabójstwa.

Czy miałby pan coś, co można by przedstawić sądowi?

- Tylko zeznania komendanta policji w Bogocie, który z pewnością nie jest osobą wiarygodną.

Gdyby stanął przed sądem, do końca byłoby wiadomo, za kim się opowie.

- To skąd pan wie, że CIA była zamieszana?

- Widziałem karabin, z którego, o czym jestem przekonany, zastrzelono Guzmána.

Mam nawet łuskę pocisku, który go trafił.

Pozatym jestem absolutnie pewien, że znam człowieka, który wykonał tę broń.

Jest najlepszy w branży i pracuje dla wąskiego grona bardzo szczególnych klientów.

- Może spróbuję zgadnąć?

- rzucił Lloyd.

- Wszycyszą z CIA.

- Prócz jednego, którego Dexter kilka dni temu przeniósł na emeryturę.

73.

- To natychmiast go skaptujmy i wciągnijmy na naszą listę płac.

-Panie Lloyd - odezwał się Jackson po długim milczeniu - może tak się postępuje w Białym Domu, ale ten człowiek za żadne pieniądze nie zdradziłby swego byłego pracodawcy. Gróźbę też by się nieprzeląkł, choćby mu pan przystawił pistolet do głowy.

- Skąd może państwo być taki pewien?

-Służył przede mną w Wietnamie i nawet w Wietkong nic z niego niewydobył.

Jeżeli chce pan wiedzieć, zawdzięczam mu życie.

Tak czy owak, Dexter zdąży go przekonać, że wydawane przez nią rozkazy pochodzą prosto z Białego Domu.

- Mymoglibyśmy powiedzieć mu co innego - rzekł Lloyd.

-To by tylko naraziło jego życie na niebezpieczeństwo.

Nie, muszę dowieść zaangażowania Dexter, nie wtajemniczając go.

A tonie będzie łatwe.

- Więc jak państwo to zrobić?

-Pójdę na przyjęcie, które wydaje z okazji odejścia na emeryturę.

- Mówi pan serio?

-Tak, bo będzie tam pewna kobieta, która kocha go jeszcze bardziej niż swój kraj.

I może zechce mówić.

Będę w kontakcie.

Telefon umilkł.

Pierwszą osobą, którą zobaczył Nick Gutenberg, wicedyrektor CIA, przestępując próg salonu Fitzgeralda, był jego poprzednik Chris Jackson, pogrążony w rozmowie z Joan Bennett. Czy opowiada jej, na czyje zlecenie był w Bogocie?

Gutenberg chętnie by posłuchał, o czym mówią, ale najpierw musiał się przywitać z gospodarzami.

- Odpracuję jeszcze dziewięć miesięcy w firmie - mówiła Joan.

-Do tego czasu nabędę prawo do pełnej emerytury.

Potem chciałabym dołączyć do Connora w jego nowej pracy.

- Przed chwilą o niej usłyszałem.

Wydajesz się idealna.

Z tego, co mówiła Maggie, wynika, że nie będzie musiał tyle podróżować.

- Zgadzasz się.

Ale to jeszcze nie jest oficjalne.

Wiesz, że Connor nie lubi, kiedy się coś przesądza góry.

Ale ponieważ prezes Washington Provident zaprosił go razem z Maggie jutro na kolację, możemy chyba uznać, że pracę ma załatwioną.

Oczywiście, o ile pan Thompson nie szuka tylko czwartego do brydza.

- Miło, Nick, że przyszedłeś - powiedział ciepło Connor, podając wicedyrektorowi szklankę perriera.

Pamiętał, że Gutenberg nie bierze do ust alkoholu.

74

- Za nic w świecie nie opuściłbym takiej okazji - rzekł Gutenberg.

-Maggie - Connor zwrócił się do żony.

- Pozwól, to jest Nick Gutenberg, mój kolega.

Pracuje w.

- W dziale likwidacji szkód - wtrącił szybko Gutenberg.

- Nam wszystkim w Ubezpieczeniach Maryland będzie brakowało pani męża - dodał.

- Myślę, że teraz, kiedy Connor podejmie pracę w tej samej branży, wasze drogi znowu się zjedną - rzekła Maggie.

-To jeszcze jest pewne - powiedział Connor.

- Ale jak zostanie potwierdzone, to ty, Nick, pierwszy będziesz o tym wiedział.

Wzrok Gutenburga powędrował w stronę Jacksona i gdy ten zostawił Joan Bennett, Gutenburg szybko przeciął pokój i do niej podszedł.

- Joan, ucieszyłem się, kiedy usłyszałem, że zostajesz u nas - zaczął.

- Myślałem, że odchodzisz z Connorem do nowego miejsca.

- Nie, nie opuszczam firmy- odparła Joan, niepewna, ile wie wicedyrektor.

- Sądziłem, że skoro zostaje w branży.

Aha, chcesz mnie pociągnąć za język, pomyślała.

- Nie wiedziałam- powiedziała.

- Z kim rozmawia Chris Jackson?

- spytał Gutenburg.

Joan spojrzała na drugą stronę pokoju.

Najchętniej by udała, że nie ma pojęcia, ale wiedziała, że to by jej nie uszło na sucho.

- Z ojcem Grahamem, zaprzyjaźnionym z rodziną Fitzgeraldów proboszczem z parafii w Chicago, i z Tarą, córką Connora.

- Co ona robi?

- Piszę pracę doktorską na Uniwersytecie Stanforda.

Gutenburg zdał sobie sprawę, że traci czas, usiłując wydobyć jakieś informacje od sekretarki Connora.

W końcu pracowała z Fitzgeraldem prawie dwadzieścia lat i nie ulegało wątpliwości, że byłaby wobec niego lojalna - chociaż w jej teczce nie było niczego, co by sugerowało, że ich stosunki wykraczały poza służbowe.

Zresztą wyglądało na to, że Joan Bennett jest jedyną czterdziestopięcioletnią dziewczyną, jaka się uchowała w Waszyngtonie.

Gdy córka Connora podeszła do stolika z trunkami, by napełnić swój kieliszek, Gutenburg bez słowa zostawił Joan.

- Jestem Nick Gutenburg - oznajmił, wyciągając rękę.

- Kolega
pani ojca.

- Tara - przedstawiła się.
- Pan pracuje w biurze w śródmieściu?
 - Nie, na przedmieściu- odparł Gutenberg.
- A paninadał studiujena Zachodnim Wybrzeżu i pisze pracę dyplomową?
 - Zgadza się -przyznała Tara, cokolwiek zdziwiona.
- A panw jakim dziale pracuje?
 - Jestem likwidatorem szkód.

To nudne w porównaniu ze specjalizacjąpani ojca, ale ktośmusi siedzieć na miejscu i zajmować się papierkową robotą - zaśmiał się lekko.

- Przy okazji, z radością usłyszałem o nowej pracy pani tatusia.
 - Tak, mama sięcieszy, że renomowane towarzystwo ubezpieczeniowe tak prędko go porwało.

Chociaż tojeszcze nieoficjalna wiadomość.

- Czy będzie miał siedzibę w Waszyngtonie?
 - zagadnął Gutenberg, sącząc perriera.
 - Tak, budynek towarzystwa jest o kilka ulic od jego dawnegobiura.
- Tara zamilkła, usłyszawszy ostry dźwięk.

Odwróciła się ujrzała, że to Chris Jacksonuderza wstół, uciszając gości.

- Przepraszam -wyszeptała.
- Wzywają mnie obowiązki związane zprzyjęciem.
- Szybko odeszła, a Gutenberg odwrócił się, by posłuchać swojego poprzednika wLangley.
 - Panie i panowie- zaczął Chris.

Odczekał, aż wszyscy umilkną,po czym ciągnął dalej.

- Proponuję toast zapomyślność moichnajstarszych przyjaciół, Connora i Maggie.

Przez te lata Connor nierazwpędzał mnie w kłopoty.

Gościewybuchnęli śmiechem.

- Święta prawda!
 - zawołał jeden.
 - Dobrze to znam - dodał drugi.
 - Ale kiedy człowiek wpadnie w kłopoty, nikt tak jak on nie potrafi z nich wyciągnąć.
- Rozległy się oklaski.
- Pierwszy raz spotkaliśmy się.

Gutenberg usłyszał brzęczenie pagera iprędko zdjął go z paska.

Odczytał hasło wzywające, żeby się natychmiast zgłosił.

Skasował jej wymknął siędo hallu.

Podniósłsłuchawkę najbliższego telefonu,jakbybył u siebie w domu,i nakręcił numer, nie wymieniony w żadnej książcetelefonicznej.

Zanim zadzwięczałsygnał, odezwał sięgłos:

- Tak?
 - Odebrałem wiadomość, ale dzwonię z niepewnego telefonu.
- Nie musiał się przedstawiać.

76

- To,co mam do powiedzenia, za kilkagodzin będzie znał całyświat.

-Prezydent.

- ...

Rosji umarł naatak serca siedemnaście minut temu - oznajmiła Helen Dexter.

- Niech się pan natychmiast zgłosi umnie wbiurze i odwoła wszystkie zajęciaw ciągunajbliższych czterdziestuśmiu godzin.

Przerwano połączenie.

Żadna rozmowa z biurem Dexter na linii nie chronionej nie mogła trwać dłużej niż czterdzieści pięć sekund.

Dexter miała nabiurku stoper.

Gutenberg położył słuchawkę i wyśliznął się przez frontowe drzwi, nie zadając sobie trudu, by się pożegnać z panią domu.

Był już w drodze do Langley, kiedy Chris uniósł kieliszek i powiedział:

- Za Connora i Maggie i za ich przyszłość!

Wszyscy zgromadzeni goście wzniesli w górę kieliszki.

- Za Connora i Maggie!

- odpowiedzieli chórem.

x

- Powiem pani, od kogo mam te informacje - rzekł Tom Lawrence.

-Od samego prezydenta Kolumbii.

Osobiście mi podziękował za interwencję najego rzecz w wyborach.

- To żaden dowód - zauważyła Helen Dexter bez cienia emocji.

-Helen, pani niewierzy moim słowom?

- prezydentnie krył gniewu.

- Skądże, pani prezydencie - spokojnie powiedziała Dexter.

-Ale jeżeli zarzuca pan Agencji przeprowadzenie tajnej operacji bezpieczeństwa wiedzy, to mam nadzieję, że nie opiera pan tego oskarżenia wyłącznie na słowach jakiegoś południowoamerykańskiego polityka.

Prezydent pochylił się do przodu.

- Proponuję, żeby wysłuchała pani uważnie rozmowy, która niedawno odbyła się w tym gabinecie - powiedział.

- Ponieważ te słowa brzmią prawdziwie - apodejrzewam, że w ostatnich latach rzadko stykała się pani z prawdą.

Dyrektorka CIA nadal nie zdradzała zakłopotania, choć Nick Gutenberg, który siedział po jej prawicy, niespokojnie poruszył się na krześle.

Prezydent zaś nacisnął klawisz magnetofonu, stojącego w rogu prezydenckiego biurka.

- Czy mógłby pan podać więcej szczegółów?

- Oczywiście, choć jestem pewien, że nie powiem nic, czego by pan już nie wiedział.

Mój jedyny prawdziwy rywal, Ricardo Guzman, został w porę skreślony z list na dwa tygodnie przed wyborami.

- Chyba pan nie sugeruje.

- to był głos Lawrence'a.

- Cóż, jeżeli to nie byli pańscy ludzie, to z pewnością nie byli moi Herrera nawet nie czekali, aż prezydent dokończy zdanie.

Zapadło tak długie milczenie, że Gutenberg już myślał, iż rozmowa się skończyła, ale ponieważ Lawrence i Lloyd trwali nieruchomo, wywnioskował, że będzie dalszy ciąg.

78

- Czy ma pan jakiś dowód, żeby łączyć to zabójstwo z CIA?

- zapytał w końcu Lawrence.

- Kula, która go zabiła, naprowadziła na trop karabinu, który zabójca sprzedał w lombardzie przed ucieczką z kraju.

Karabin został potem zabrany z lombardu przez jednego z pańskich agentów i przesłany do Stanów Zjednoczonych pocztą dyplomatyczną.

- Skąd to pan wie?

- Widać mój komendant policji jest ze mną o wiele bardziej ze mną szczery niż CIA z panem.

Andy Lloyd wyłączył magnetofon.

Helen Dexter podniosła głowę i napotkała świdrujące spojrzenie prezydenta.

- No więc?

- rzucił Lawrence.

- Jakże teraz usłyszę proste wytłumaczenie?

- Ta rozmowa absolutnie nie dowodzi związku CIA z zabójstwem Guzmána - powiedziała spokojnie Dexter.

- Według mnie sugeruję tylko, że Herrera próbuje kryć człowieka, który wykonał jego rozkaz.

- Przypuszczam, że ma pani namyśli "samotnego zabójcę", który, jak na zawołanie, przepadł gdzieś w Afryce Południowej - rzekł sarkazmem prezydent.

- Jak tylko wychynie na powierzchnię, panie prezydencie, dopadniemy go i wtedy dostarczę panu dowodu, którego pan żąda.

- Niewinny człowiek, zastrzelony w zaułku Johannesburga, nie będzie dla mnie wystarczającym dowodem.

- Ani dla mnie - rzuciła Dexter.

- Gdy postawie przed panem człowieka, który zabił, nie będzie wątpliwości, na czyje zlecenie to zrobił.

- W jej głosie zabrzmiała uraza.

- Jeżeli się to pani nie uda - powiedział prezydent - nie zdziwię się, gdy ta taśma - postukał w magnetofon - znajdzie się rękach pewnego reportera z "Washington Post", który, jak powszechnie wiadomo, nie kocha CIA.

Niech on zdecyduje, czy Herrera osłania siebie, czy mówi prawdę.

Tak czy owak, będzie pani musiała odpowiedzieć na mnóstwo kłopotliwych pytań.

- Jeżeli tak się stanie, znajdzie się kilka i dla pana, panie prezydencie - odparła Dexter, niemrużając oka.

Lawrence z gniewem wstał z krzesła i spiorunował ją wzrokiem.

- Proszę przyjąć dowiadomości, że stanowczo żądam dowodu istnienia tego Południowoafrykańczyka, który się gdzieś zawieruszył.

Jeżeli nie będę go miał w ciągu dwudziestu dni, oczekuję rezygnacji was obojga na moim biurku.

A teraz proszę odejść.

Dyrektorka i jej zastępca wstali i bez słowa opuścili pokój.

Nic nie mówili, dopóki nie znaleźli się w samochodzie.

Kiedy wyjechał z terenu Białego Domu, Dexter nacisnęła guzik w oparciu fotela, podnosząc przydymioną szybę, aby kierowca - starszy rangą agent - nie słyszał rozmowy.

- Czy dowiedział się pan, które towarzystwo ma zatrudnić Fitzgeralda?

- Tak - odparł Gutenberg.

- Więc musi pan zatelefonować do prezesa.

- Nazywam się Nick Gutenberg.

Jestem wicedyrektorem CIA.

Czy chciałby pan oddzwonić?

Oto numer naszej centrali - siedem zer trzy, cztery osiem dwa, jeden jeden zero zero.

Jeżeli pan poda telefonistce moje nazwisko, połączy pana z moim biurem.

- Odłożył słuchawkę.

W ciągu lat Gutenberg się przekonał, że na takie telefony nieodmiennie mu odpowiadano, a w dodatku ten mały fortel zawsze dawał mu przewagę.

Siedział przy biurku i czekał.

Minęły dwie minuty, ale się nie niepokoił.

Wiedział, że ten człowiek chce sprawdzić numer.

Kiedy się przekonał, że to centrala CIA, nabierze jeszcze większego respektu.

Kiedy wreszcie telefon zadzwonił po prawie trzech minutach, Gutenberg nie od razu podniósł słuchawkę.

- Dzień dobry panu, panie Thompson - powiedział, nie czekając, aż rozmówca się przedstawi.

- Jestem wdzięczny, że pan tak szybko się odezwał.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Gutenberg - odparł prezes Washington Provident.

- Obawiam się, że sprawa, o której chcę z panem mówić, jest delikatna.

Nie telefonowałbym do pana, gdyby nie było to w pańskim interesie.

- Doceniam to - rzekł Thompson.

- O co chodzi?

- Ostatnio odbywał pan rozmowy z kandydatami na posadę dyrektora działu porwań i okupów w pańskim towarzystwie.

Stanowisko wymagające nieskazitelnej prawości.

- Oczywiście - zgodził się Thompson.

- Ale myślę, że znalazłem idealnego człowieka na to stanowisko.

- Nie mam pojęcia, kogo pan wybrał, ale chcę pana zawiadomić, że obecnie prowadzimy śledztwo w sprawie jednego z kandydatów

80

i gdyby znalazło ono epilog w sądzie, mogłoby to niekorzystnie odbić się na pańskiej firmie.

Jednakże, panie Thompson, jeśli jest pan pewien, że znalazł pan odpowiedniego człowieka, to CIA nie będzie rzucać mu kłód pod nogi.

- Chwileczkę, proszę pana.

Jeżeli wie pan o czymś, o czym powinienem być poinformowany, chętnie posłucham.

- Czy mogę zapytać - powiedział Gutenberg po chwili milczenia - o nazwisko kandydata, któremu chce pan powierzyć tę posadę?

Naturalnie, w ścisłej tajemnicy.

- Oczywiście, gdyż nie mam cienia wątpliwości co do jego reputacji, przeszłości i uczciwości.

Zamierzamy podpisać umowę z Connorem Fitzgeraldem.

- Zapadło długie milczenie.

Wreszcie Thompson zapytał: - Panie Gutenberg, czy jeszcze pan tam jest?

- Tak, panie Thompson.

Czy znalazłby pan czas, żeby mnie odwiedzić w Langley?

Myślę, że powinienem pana dokładniej poinformować o prowadzonym obecnie przez nas śledztwie w sprawie oszustwa.

Mógłby pan również przejrzeć poufne dokumenty, które znalazły się w naszych rękach.

Tym razem zamilkł Thompson.

- Bardzo mi przykro, że to słyszę - powiedział wreszcie cicho.

- Sądzę, że moja wizyta nie będzie konieczna.

A wydawał się takim przyzwoitym człowiekiem.

- Mnie jest również przykro, że musiałem w tej sprawie do pana zadzwonić.

Ale mógłby pan mieć do mnie większy żal, gdybym tego nie zrobił, a sprawa trafiłaby na pierwszą stronę "Washington Post".

- Trudno mi się z tym zgodzić - rzekł Thompson.

- Chciałbym dodać - powiedział wicedyrektor CIA - choć tonie ma związku z prowadzonym przez nas śledztwem, że mam polisę pańskiego towarzystwa oddnia, kiedy zacząłem pracować w CIA.

- Miło mi to słyszeć, panie Gutenberg.

Chciałbym powiedzieć, że podziwiam pana i pańskich kolegów za waszą skrupulatność.

- Mam nadzieję, że do czegoś się przydałem.

Do widzenia panu, panie Thompson.

Gutenberg odłożył słuchawkę i natychmiast nacisnął jedną z najbliższych stojącym aparacie telefonicznym.

- Tak?

- spytał głośno.

- Myślę, że Washington Provident nie przyjmie Fitzgeralda do pracy.

81

6. Jedenaste przykazanie.

- To dobrze.

Poczekajmy trzy dni, a potem pan zaproponuje mi inną.

- Po co czekać trzy dni?

-Widocznie nieczytał pan, co napisał Freud o największej podatności.

Z przykrością pana informujemy.

Connor po raz trzeci odczytywał list, gdy zadzwonił telefon na jego biurku.

Dosłownie osłupiał.

Co się stało?

Kolacja w domu Thompsonów bardzo się udała.

Kiedy wraz z Maggie wychodził przed północą, Ben zaproponował partię golfa w Burning Tree następnego weekend, a Elizabeth Thompson zaprosiła Maggie na kawę w czasie, kiedy panowie będą się uganiali za białymi piłeczkami.

Nazajutrz zatelefonował jego prawnik i oznajmił, że umowa, którą Washington Provident przysłał mu do akceptacji, wymaga tylko kilku drobnych poprawek.

Connor podniósł słuchawkę.

- Tak, Joan.

-Wicedyrektor chce z tobą mówić.

- Połącz go - powiedział ze znużeniem.

-Connor?

- odezwał się głos człowieka, któremu nigdy nie ufał.

- Wydarzyło się coś ważnego i dyrektorka poleciła mi, żebym cię natychmiast poinformował.

-Oczywiście- rzekł Connor, do którego niedocierały słowa Gutenberga.

- A więc o trzeciej, tam gdzie zawsze?

-Oczywiście - powtórzył Connor.

Ciągle trzymał słuchawkę telefonu, chociaż rozmówca dawno się wyłączył.

Czwarty raz przeczytał list i postanowił, że nic nie powie Maggie, dopóki nie dostanie propozycji innej pracy.

Connor pierwszy przybył na Plac Lafayette'a.

Usiadł na ławce naprzeciw Białego Domu.

Kilka minut później na drugim końcu ławki usiadł Gutenberg.

Connor uważał, że bynajmniej nie spojrzeć w jego stronę.

- Sam prezydent prosi, żebyś się podjął tego zadania - wyszeptał Gutenberg, wlepiając wzrok w Biały Dom.

- Zażądał naszego najlepszego człowieka.

- Ale ja odchodzę z Firmy za dziesięć dni - rzekł Connor.

82

- Tak, dyrektorka mu o tym powiedziała.

Ale prezydent nalegał, żebyśmy cię koniecznie przekonali, abyś został do czasu spełnienia tej misji.

Connor milczał.

- Connor, wynik wyborów w Rosji zaważy na losie całego wolnego świata.

Jeżeli ten szaleniec Żeriński zostanie wybrany, może to oznaczać natychmiastowy powrót zimnej wojny.

Prezydent będzie musiał zapomnieć o ustawie o ograniczeniu zbrojeń, a Kongres zażąda zwiększenia budżetu obronnego, co nas wszystkich zrujnuje.

- Ale w sondażach opinii publicznej Żeriński jest daleko z tyłu - rzekł Connor.

- Przecież prognozy mówią, że zdecydowanie wygra Czernopow.

- To tak wygląda teraz - stwierdził Gutenberg.

- Ale do wyborów jeszcze trzy tygodnie i prezydent - zaakcentował to słowo, wciąż wpatrując się w Białą Dom - uważa, że przy tak niestabilnym elektoracie wszystko może się zdarzyć. Byłoby wiele spokojniejszy, wiedząc, że jesteś tam, na wypadek, gdyby twoje szczególne umiejętności okazały się potrzebne.

Connor nie zareagował.

- Jeżeli się martwisz o swoją nową pracę - ciągnął Gutenberg - to chętnie pogadam z prezesem towarzystwa, gdzie będziesz zatrudniony, i wyjaśnię mu, że to tylko krótkoterminowe zadanie.

- To nie będzie konieczne - rzekł Connor.

- Ale potrzebuję trochę czasu do namysłu.

- Oczywiście - powiedział Gutenberg.

- Kiedy się zdecydujesz, zadzwoń do dyrektorki i daj jej znać, co postanowiłeś.

- Gutenberg wstał i oddalił się w stronę Placu Farraguta.

Trzy minuty później Connor wyruszył w przeciwnym kierunku.

Andy Lloyd podniósł słuchawkę czerwonego telefonu.

Tym razem natychmiast poznał głos.

- Jestem prawie pewien, kto przeprowadził misję w Bogocie - rzekł Jackson.

- Z ramienia CIA?

- spytał Lloyd.

- Tak.

- Czy mapan dość dowodów, żeby przekonać kongresową Komisję Doboru Kadr Wywiadu?

- Nie.

Większość tego, co zgromadziłem, odrzucono by jako do 83.

wody pośrednie.

Ale jest w tym za dużo zbiegów okoliczności, jak namój gust.

- Na przykład?

- Agent, który moim zdaniem pociągnął za spust, został zwolniony ze służby wkrótce po tym, jak prezydent wezwał Dexter i zażądał wyjaśnień, kto jest odpowiedzialny za zabójstwo Guzman.

- Nie do przyjęcia jako dowód.

- Możliwe.

Ale tenże agent miał objąć w Washington Provident posadę dyrektoradziału porwań i okupów, gdy nagle, bez żadnego wyjaśnienia, firma się wycofała.

- To drugi zbieg okoliczności.

- Jest i trzeci.

Gutenberg spotkał się z owym agentem trzy dni później na ławce w parku na Placu Lafayette'a.

- W jakim celu?

- Żeby dać mu szansę pozostania na liście ptac CIA.

- Za jaką pracę?

- Jednorazowe zadanie.

- Na czym ono polega?

- Nie mam pojęcia.

Ale proszę się nie zdziwić, jeżeli odciągnie go daleko od Waszyngtonu.

- Czy mógłby pan jakimś sposobem dowiedzieć się, dokąd?

- Nie w tej chwili.

Nawet jego żona nie wie.

- Dobrze.

Więc popatrzmy na całą sprawę z ich punktu widzenia - rzekł Lloyd.

- Jak pan myśli, co teraz zrobi Dexter, żeby ratować własny tyłek?

- Zanim panu odpowiem, chciałbym wiedzieć, jak wyglądało jej ostatnie spotkanie z prezydentem - rzekł Jackson.

- Dał jej i Gutenbergowi dwadzieścia osiem dni na udowodnienie, że Agencja nie miała nic wspólnego z zabójstwem Guzman i dostarczenie niepodważalnego dowodu na to, kto go zabił.

Wyraźnie im też zapowiedział, że jeśli tego nie zrobią, zażąda ich rezygnacji i przekaże wszystkie dowody "Washington Post".

- To znaczy - powiedział Jackson po dłuższej chwili milczenia - że ten agent ma przed sobą niecały miesiąc życia.

- On nigdy by nie zlikwidował jednego ze swoich ludzi - rzekł Lloyd z niedowierzaniem.

- Panie Lloyd, wydział CIA, w którym pracuje ten agent, oficjalnie nie istnieje.

- Jak to?

84

- On jest agentem najwyższego stopnia utajnienia, nie związanym z żadną instytucją rządową.

Dzięki temu CIA może zaprzeczyć, że wiedziała o jego działaniach, gdyby stało się coś złego.

- Hm, stało się coś bardzo złego - rzekł Lloyd.

Po chwili dodał: - To pański dobry przyjaciel, prawda?

- Tak - cicho powiedział Jackson.

- Więc lepiej niech się pan postara, żeby żył.

- Dzień dobry, pani dyrektor.

Mówi Connor Fitzgerald.

- Dzień dobry, Connorze, miło pana słyszeć.
- Głos Dexter brzmiał cieplej niż podczas ostatniego spotkania.
 - Gutenberg prosił, żebym dopanizadzwonił, gdy podejmę decyzję w sprawie, o której rozmawiałem z nim w poniedziałek.
 - Tak - Dexter powróciła do swego normalnego, ostrego tonu.
 - Chcę się podjąć tego zadania.
 - Cieszę się.
 - Pod jednym warunkiem.
 - To znaczy?
 - Że otrzymam dowód, iż operację zatwierdził prezydent.

Zapadło długie milczenie.

- Poinformuję prezydenta o pańskim żądaniu - powiedziała Dexter.
- Więc jak to działa?
- spytała Dexter.

Nie pamiętała, kiedy ostatni był w laboratoriach w Langley.

- To jest naprawdę proste - rzekł profesor Ziegler, dyrektor służb technicznych CIA.
- Odwrócił się do stanowiska komputerówi nacisnął kilka klawiszy.

Na ekranie pojawiła się twarz Toma Lawrence'a.

- Dexter i Gutenberg przysłuchiwali się przez chwilę prezydentowi.
- Co w tym szczególnego?
- zapytała wreszcie Dexter.
- Wszyscy słyszeliśmy przemówienia prezydenta.
- Być może, ale tego nie słyszeliście - rzekł Ziegler.
- Co pan ma na myśli?

- spytał Gutenberg.

Natwarzy profesora wykwitł niemal dziecięcy uśmiech satysfakcji.

- Zmagazynowałem w moim komputerze kryptonim "Tommy" - ponad tysiąc przemówień, wywiadów telewizyjnych, radiowych i rozmów telefonicznych prezydenta z ostatnich dwóch lat.

Każde

słowo czy zdanie, wypowiedziane przez niego w tym czasie, jest przechowywane w pamięci komputera.

Oznacza to, że mogę sprawić, by wygłosił mowę na każdy temat, jaki państwo wybiorą. Mogę nawet zdecydować, jakie ma zająć stanowisko w dowolnej kwestii.

Dexter zaczęła rozważać możliwości.

- Gdyby zapytać o coś "Tommy'ego", czy umiałby udzielić przekonującej odpowiedzi?
- spytała.

- Sam z siebie - nie.

Ale gdyby podała pani w przybliżeniu pytania, na które miałby odpowiedzieć, to chyba mógłbym okpić nawet matkę Lawrence'a.

- Czyli, że musimy tylko przewidzieć, co powie druga osoba - rzekł Gutenberg.

- Co nie musi być takie trudne, jak się wydaje - stwierdził Ziegler.

- Przecież jeżeli telefonuje prezydent, nikt go nie będzie pytał o pozycję dolara ani o to, co jadł na śniadanie.

W większości wypadków wiadomo, w jakiej sprawie dzwoni.

Nie wiem, do czego nam jest potrzebny "Tommy", ale gdybyście mi przygotowali pierwsze i ostatnie zdanie oraz, powiedzmy, pięćdziesiąt pytań lub twierdzeń, na które najprawdopodobniej będzie musiał zareagować, mogę prawie zagwarantować, że przeprowadzi przekonującą rozmowę.

- Jestem pewien, że możemy to zrobić - odezwał się Gutenberg.

Dyrektorka przytaknęła, a potem spytała Zieglera:

- W jakim celu wymyślono to urządzenie?

- Skonstruowano je na wypadek, gdyby prezydent umarł, kiedy Ameryka byłaby w stanie wojny, a nam by zależało, żeby wróg myślał, że żyje.

Ale "Tommy" ma wiele innych zastosowań.

Na przykład.

- Jestem o tym przekonana - przerwała mu Dexter.

Ziegler zrobił zczarowaną minę.

Zrozumiał, że szefowa nie ma ochoty dłużej go słuchać.

- Jak długooby trwało opracowanie określonego programu?

- spytał Gutenberg.

- A ile czasu zajmiewam przygotowanie tego, co ma powiedzieć prezydent?

- odpowiedział pytaniem na pytanie Ziegler.

Na jego twarz powrócił dziecięcy uśmiech.

Naciskała brzęczyk, póki Connor nie podniósł słuchawki telefonu.

- O co chodzi, Joan?

Nie jestem głuchy.

86

- Mam na linii Ruth Preston, osobistą sekretarkę prezydenta.

Zaraz potem Connor usłyszał kobiecy głos:

- Czy to Connor Fitzgerald?

- Tak, słucham.

- Connor czuł, jak poci mu się dłoń trzymając słuchawkę.

To się nigdy nie zdarzało, kiedy czekał, żeby nacisnąć spust.

- Prezydent chce z panem mówić.

Usłyszał trzask.

- Dzień dobry - powiedział znajomy głos.

- Dzień dobry, panie prezydencie.

- Myślę, że wie pan, dlaczego telefonuję.

- Tak, wiem.

Profesor Ziegler wcisnął klawisz włączający "wstępną kwestię".

Dyrektorka i jej zastępcawstrzymali oddech.

- Pomyślałem, że powinienem do pana zatelefonować i powiedzieć, że uważam tę misję za bardzo ważną.

- Pauza.

- Gdyż niewątpię, że jest pan właściwym człowiekiem, żeby ją spełnić.

- Pauza.

- Mam nadzieję, że zgodzisz się pan jej podjąć.

Ziegler nacisnął klawisz "czekać".

- Panieprezydencie, cenię sobie pańskie zaufanie - rzekł Connor

- i jestem wdzięczny, że znalazł pan czas, żeby osobiście do mnie zatelefonować.

- Numer jedenaście - mruknął Ziegler, który znalazł na pamięć

wszystkie odpowiedzi.

- Uważałem, że to najmniejsze, co mogę zrobić w tej sytuacji.

-

Pauza.

- Dziękuję, panie prezydencie.

Wprawdzie pan Gutenberg zapewnił mnie o pańskim zaangażowaniu isama pani dyrektor, jak pan wie, dzwoniła dziś popołudniu, aby to potwierdzić, jednak nadal nie czułem się zdolny podjąć się tego zadania, póki nie byłem pewien, że to pański rozkaz.

- Numer siedem.

- Dobrze rozumiem pański niepokój.

- Pauza.

- Numer dziewiętnaście.

- Kiedy będzie po wszystkim, chciałbym, żeby pan razem z żoną odwiedził mnie w Białym Domu - jeżeli pani dyrektor nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Pauza.

- Numer trzy - rzekł Ziegler.

Rozległ się głośny śmiech.

Connor odsunął lekko słuchawkę od ucha.

87.

- Będziemy zaszczytzeni, panie prezydencie - powiedział, kiedyśmiech umilkł.
- Końcowa kwestia - rzekł Ziegler.
- Doskonale.

Będę czekał na pana po pańskim powrocie.

- Pauza.

- Często myślę, jakiego smutne, że Ameryka nie zawsze docenia swoich bezimiennych bohaterów.

- Pauza.

- Miło było z panem rozmawiać.

Do widzenia.

- Do widzenia, panie prezydencie.

Connor wciąż trzymał w ręku słuchawkę, kiedy Joan weszła dopokoju.

- I tak rozwiął się jeszcze jeden mit - powiedziała.

Connor spojrziała na nią i pytająco uniósł brwi.

- Że prezydent każdemu mówi po imieniu.

XI

Gutenberg wręczył mu dużą brązową kopertę, zawierającą cztery paszporty, trzy bilety lotnicze i banknoty w różnych walutach.

- Czy nie muszę tego pokwitować?

- spytał Connor.

- Nie.

To wszystko wypadło dość nagle, więc formalności mogą poczekać do twojego powrotu.

Kiedy będziesz w Moskwie, idź do sztabu wyborczego Żerińskiego i okaż swoją legitymację niezależnego reportera z Afryki Południowej.

Dadzą ci materiały prasowe szczegółowym programem jego kampanii wyborczej.

- Czy mam jakiś kontakt w Moskwie?

- Tak.

Ashley Mitchell.

- Gutenberg zawahał się.

- To jego pierwsze poważne zadanie i otrzymał tylko niezbędne informacje.

Został poinstruowany, żeby nawiązać z tobą kontakt tylko wtedy, gdy zapali się zielone światło, i wówczas ma dostarczyć ci broń.

- Marka i model?

- Jak zwykle, wykonana na zamówienie Remington 700 - rzekł Gutenberg.

- Ale jeżeli Czernopow utrzyma swoją przewagę, to twoje usługi nie będą potrzebne i w takim przypadku wrócisz do Waszyngtonu na jutro po wyborach.

Obawiam się, że ta misja może się okazać niewypałem.

- Miej nadzieję - rzucił Connor i bez podania ręki opuścił pokój wicedyrektora CIA.

- Postawiono mnie w tak przymusowej sytuacji, że nie mogłem powiedzieć nie - rzekł

Connor, wkładając do walizki jeszcze jedną niebieską koszulę.

- Mogłeś - upierała się Maggie.

- Rozpoczęcie nowej pracy od pierwszego byłoby przekonującą wymówką.

- Zamilkła na chwilę.

- Jak zareagował Ben Thompson?

- Był bardzo wyrozumiały - odparł Connor.

- Nie ma nic przez 89.

ciwko temu, żebym zaczął miesiąc później.

Grudzień zawsze jest spokojnym miesiącem.

- Connor przycisnął ubrania, zastanawiając się, czy upchnie jeszcze neseser z przyborami toaletowymi.

Żałował, że nie pozwolił Maggie, aby go spakowała, ale nie chciał, żeby natknęła się na kilka drobiazgów, które by go zdradziły.

Usiadł na walizce, Maggie zatrzasnęła zamek i oboje ze śmiechem opadli na łóżko.

Wziął ją w ramiona i trzymał trochę zadługo.

- Connor, czy wszystko w porządku?

- cicho spytała.

- Jak najbardziej, kochanie - odparł, wypuszczając ją z objęć.

- Schwycił walizkę i zniósł ją na dół.

- Przykro mi, że nie będę tutaj w Dzień Dziękczynienia.

Nie zapomnij Tarze powiedzieć, że chcę zobaczyć w Boże Narodzenie, dobrze?

- powiedział do Maggie, która wyszła z nim przed dom.

Zatrzymał się przy samochodzie, którego nigdy jeszcze nie widziała.

- I Stuarda też - przypomniała.

- Tak, oczywiście - rzekł, umieszczając walizkę w bagażniku.

- Cieszę się, że go zobaczę.

- Znowu wziętą w ramiona.

Teraz pilnował się, żeby uścisk nie trwał za długo.

- O Boże, co damy Tarze na Gwiazdkę?

- nagle powiedziała Maggie.

- W ogóle o tym nie pomyślałam.

- Gdybyś zobaczyła jej ostatni rachunek telefoniczny, nie musiałabyś o tym myśleć - rzekł Connor, siadając zakierownicą.

- Nie pamiętam tego samochodu - zauważyła Maggie.

- To jeden z wozów służbowych - wyjaśnił i przekreślił kluczyk w stacyjce.

- Do zobaczenia, kochanie.

Uruchomił samochód i wyjechał na ulicę.

Nienawidził pożegnań z Maggie i zawsze starał się je maksymalnie skrócić.

Zerknął wewsteczne lusterko.

Stała na skraju podjazdu i machała do niego, kiedy skręcał w Cambridge Place i kierował się na lotnisko.

Znalazłszy się na końcu drogi dojazdowej na lotnisko Dullesa, nie musiał szukać znaku wskazującego parking dla samochodów zatrzymujących się na długi postój.

Zjechał w dół, oderwał bilet z automatu i zaparkował w odległym kącie.

Zamknął samochód i podążył do wejścia na lotnisko, następnie wjechał windą na półpiętro, gdzie znajdowało się stanowisko United Airlines.

- Dziękuję, panie Perry - powiedziała umundurowana kontrolerka sprawdzając bilet.

- Pasażerowie oczekujący na lot numer dziewięćset osiemnaście zostaną wkrótce poproszeni na pokład samolotu.

Proszę się udać do wyjścia C siedem.

90

Przeszedłszy przez punkt kontroli bezpieczeństwa, Connor pojechał autobusem do terminalu środkowego.

W poczekalni usiadł w najdalszym kącie, a gdy pasażerów poproszono na pokład samolotu, zajął jak zwykle miejsce z tyłu koło okna.

Dwadzieścia minut później wysłuchał kapitana, który wyjaśniał, że wprawdzie nie wystartują o czasie, ale jakimś cudownym sposobem wylądują zgodnie z rozkładem.

Tymczasem na dworcu lotniczym młody człowiek w granatowym ubraniu wystukał numer na telefonie komórkowym.

- Tak?

- spytał głośno.

- Dzwoni agent Sullivan ze "Stajni".

Ptaszek odleciał.

- Dobrze.

Zgłoś się znowu, jak wykonasz resztę zadania.

- W słuchawce zapadł cisza.

Młody człowiek wyłączył telefon i zjechał windą na parter.

Podszedł do samochodu stojącego w głębi parkingu, otworzył drzwi kluczykiem, wjechał na górę, uiszczył opłatę i skierował się na wschód.

Trzydzieści minut później zdał kluczyki w parku samochodowym i podpisał dzienny wykaz wyjazdów; wynikało z niego, że to on używał auta tego dnia.

- Czy jest pan absolutnie pewny, że nie będzie śladu, iż on kiedykolwiek istniał?

- spytała dyrektorka.

- Żadnego śladu - odparł Gutenberg.

- Proszę zapominać, że nigdy nie figurował w rejestrach Firmy.

- A co z jego żoną?

- Czemu miałaby coś podejrzewać?

Jego pensja wpłynęła na ich wspólne konto.

Nie będzie się nad tym zastanawiać.

Z tego co jej wiadomo, zrezygnował ze swojej dotychczasowej posady i pierwszego stycznia zaczął pracować w Washington Provident.

- Jest jeszcze jego była sekretarka.

- Przeniosłem ją do Langley, żeby mieć ją na oku.

- Jaki wydział?

- Bliski Wschód.

- Dlaczego tam?

- Żeby był w biurze w godzinach pracy tego wydziału, od szóstej po południu do trzeciej rano.

I w ciągu najbliższych ośmiu miesięcy zapędzę ją do takiej roboty, że będzie zbyt zmęczona, żeby myśleć o czymkolwiek poza przejściem na emeryturę.

- Dobrze.

Gdzie jest w tej chwili Fitzgerald?

91.

- W połowie drogi nad Atlantykiem - odparł Gutenberg, spojrzawszy na zegarek. Zacztery godziny wylądował na londyńskim Heathrow.

- A samochód?

- Został z powrotem odstawiony do parku samochodowego.

Będzie przemaslowany i otrzymane tablice rejestracyjne.

- Co z biurem Fitzgeralda przy Ulicy M?

- Do rana zostanie opróżnione, a piętro w poniedziałek oddane w ręce agentów handlu nieruchomościami.

- Zdaje się, że pomyślał pan o wszystkim, oprócz tego, co się stanie, kiedy pan wróci do Waszyngtonu - powiedziała Dexter.

- On nie wróci do Waszyngtonu - odparł Gutenberg.

Connor dołączył do długiej kolejki oczekujących na kontrolę paszportową.

Kiedy w końcu dotarł do stanowiska odpraw, urzędnik obejrzał jego paszport i powiedział:

- Życzę panu, panie Perry, miłych dwóch tygodni w Anglii.

Wrubryczce "Jak długo zamierza pan przebywać w Wielkiej Brytanii?"

" pan Perry napisał: czternaście dni.

Ale nazajutrz na lotnisku miał się pojawić pan Lilystrand.

Obserwowało go dwóch mężczyzn, kiedy opuszczał Trzeci Terminal i wsiadał do autobusu jadącego na dworzec Victoria.

Czterdzieści dwie minuty później ci sami mężczyźni przyglądali się, gdy ustawił się kolej do taksówek.

Oddzielnie podążyli za czarną taksówką do Kensington Park Hotel, gdzie jeden z nich już zostawił pakiet w recepcji.

- Czy jest coś dla mnie?

- spytał Connor, podpisując kartę meldunkową.

- Tak, panie Lilystrand - odparł kierownik recepcji.

- Jakiś mężczyzna zostawił to dla pana dziś rano.

- Podał Connorowi olbrzymią brązową kopertę.

- Ma pan pokój numer dwieście jednaście.

Portier zaniesie pański bagaż.

- Dziękuję, poradzę sobie sam - powiedział.

Connor rozdarł kopertę, ledwie przestąpił próg swego pokoju.

Wewnątrz był bilet do Genewy na nazwisko Theodore'a Lilystranda i sto franków szwajcarskich.

Zdjął marynarkę i położył się na łóżku, ale mimo zmęczenia, nie mógł zasnąć.

Włączył telewizor i przeskakiwał z kanału na kanał - Tara nazywała to surfingiem telewizyjnym - ale to nie pomogło.

92

Nigdy nie lubił oczekiwania przed akcją.

Tylko wtedy ogarniały go wątpliwości.

Mówił sobie, że to jego ostatnia misja.

Zaczął myśleć o Bożym Narodzeniu z Maggie i Tarą - i, tak, ze Stuartem.

Niewolno mu było nosić fotografię najbliższych i zawsze musiał wyobrażać sobie ich twarze.

Najprzykrejsze było to, że nie mógł po prostu podnieść słuchawki i porozmawiać z córką i żoną, ilekroć znajdowała się za granicą.

Connor nie ruszał się z łóżka, póki nie zapadł zmrok.

Wtedy wyłonił się cel, w której miał spędzić jedną noc, i wyruszył, by znaleźć coś do zjedzenia.

U gazetciarzania rogu kupił "Evening Standard" i zaszedł do pustawej włoskiej knajpki, na High Street Kensington.

Kelner zaprowadził go do ustronnego stolika w kącie.

Światło było tak słabe, że z trudem dało się czytać gazetę.

Connor zamówił dietetyczną colę i dotego dużo lodu.

Brytyjczycy nigdy nie rozumieli, co toznaczy "dużo lodu", więc się nie zdziwił, kiedy po kilku minutach kelner przyniósł wysoką szklanke, w której swobodnie pływały trzy malutkie kostki lodu i kawałek cytryny.

Zamówił cannelloni z sałatką.

Śmieszne, ale ilekroć był za granicą, wybierał ulubione potrawy Maggie.

Cokolwiek, żeby tylko przypominało.

"Przed rozpoczęciem nowej pracy musisz zrobić jedno: znaleźć dobrego krawca - powiedziała mu Tara, gdy ostatnio rozmawiali.

-Pójdę z tobą i pomogę ci wybrać koszulę i krawat".

"Nowa praca".

Znowu pomyślał o liście.

"Z przykrością pana informujemy.

". Tyle razy nad tym się zastanawiał i nie mógł odgadnąć, dlaczego Thompson zmienił zdanie. Coś tu się nie zgadzało.

Zaczął czytać tytułową stronę gazety: dziewięciu kandydatów ubiegało się o wybór na urząd pierwszego burmistrza Londynu.

Todzie, pomyślał Connor: czyż oni nie mieli zawsze burmistrza?

A Dick Whittington?

Spojrzał na fotografie rywali i ich nazwiska, ale nic mu nie mówiły.

Za kilkadziesiąt dni jeden z nich będzie rządził stolicą Anglii.

Zapłacił gotówką i zostawił napiwek, który nie da kelnerowi powodu, żeby go zapamiętał.

Po powrocie do hotelu włączył telewizor i przez parę minut oglądał komedię, która go wcale nie bawiła.

Potem próbował obejrzeć dwa filmy, wreszcie zasnął niespokojnym snem.

Pocieszał się myślą, że jest w lepszej sytuacji niż ci dwaj, stojący na dworze na chodniku, którzy wcale nie zmrużą oka.

Zauważył ich zaraz po wylądowaniu na Heathrow.

Spojrzał na zegarek.

Kilka minut po północy - kilka minut pośrodku w Waszyngtonie.

Był ciekaw, jak Maggie spędzi ten wieczór.

- Jak tam Stuart?

- spytała Maggie.

- Ciągłe przy mnie trwa - odparła Tara.

- Za piętnaście dni będzie w Los Angeles.

Nie mogę się doczekać.

- Czy oboje przylecicie wprost tutaj?

- Nie, mam - powiedziała Tara, starając się nie okazać irytacji.

- Jak ci już kilka razy mówiłam, chcemy wypożyczyć samochód i objechać Zachodnie

Wybrzeże.

Stuart nigdy nie był w Ameryce i chciałby zobaczyć Los Angeles i San Francisco.

Pamiętasz?

- Jedź ostrożnie, dobrze?

- Mam, jeżdżę samochodem od dziewięciu lat i nawet jeszcze zapłaciłam mandat.

Proszę, przestań się zamartwiać i powiedz, jak spędzisz ten wieczór?

- Idę posłuchać Placida Domingo w "Cyganerii".

Postanowiłam poczekać, aż ojca nie będzie w mieście, bo on by zasnął jeszcze przed końcem pierwszego aktu.

- Wybierasz się sama?

- Tak.

- Więc bądź ostrożna i nie siadaj w pierwszych sześciu rzędach.

- Dlaczego?

- spytała Maggie niewinnym tonem.

- Bo jakiś bogaty, przystojny mężczyzna mógłby wyskoczyć z łóżka i cię zgwałcić.

- Uważam się za stosownie upomnianą - zaśmiała się Maggie.

- Dlaczego nie poprosisz Joan, żeby z tobą poszła?

Potem mogłybyście przegadać o tacie całą noc.

- Dzwoniłam do niej do biura, ale chyba linia jest uszkodzona.

Zatelefonuję później do domu.

- Pa, mam, porozmawiamy jutro.

- Tara wiedziała, że teraz, kiedy Connor jest poza domem, matka będzie telefonowała codziennie.

Ilekcio Connor wyjeżdżał za granicę albo wybierał się do klubu brydzowego, by partnerować ojcu Grahamowi, Maggie nadrobiła zaległości w takich sferach działań na uniwersytecie, jak Patrol Antyśmieciowy Uniwersytetu Georgetown, którego to Patrolu był członkiem-zatoczył, Stowarzyszenie Żyjących Poetek i klub tańca irlandzkiego, gdzie udzielała lekcji.

Widok młodych tancerzy wyprostowanych plecach i stopach lekko muskających podłogę

94

przywodził jej myśl Declana O'Caseya.

Był teraz cenionym profesorem, miał katedrę na Uniwersytecie Chicagowskim.

Nie ożenił się i każde Boże Narodzenie przysyłał jej życzenia świąteczne oraz nie podpisaną kartkę na dzień świętego Walentego.

Staroświecka maszyna dopisania z krzywą czcionką "e" nieodmiennie zdradzała tożsamość adresata.

Znowu podniosła słuchawkę i wykręciła domowy numer Joan, ale niknie odpowiadał. Przygotowała sobie lekką sałatkę, a potem pojechała do Centrum Kennedy'ego.

Pojedynczy bilet zawsze można było zdobyć, nawet jeżeli występował sławny tenor.

Maggie zauroczył pierwszy akt "Cyganerii" i żałowała, że nie ma się kim podzielić wrażeniami.

Gdy opadła kurtyna, wraz z tłumem widzów podążyła do foyer.

Kiedy zbliżała się do zatłoczonego bufetu, wydało się jej, że widzi Elizabeth Thompson.

Przypomniała sobie, że Elizabeth zaprosiła ją na kawę, ale nie ponowiła zaproszenia.

Zdziwiło ją to, bo wydawało się wtedy tak szczere.

Kiedy Ben Thompson się odwrócił i ich spojrzenia się spotkały, Maggie podeszła do nich z uśmiechem.

- Miło cię widzieć, Ben - powiedziała.

- I panią też, pani Fitzgerald - odparł, ale nietym ciepłym tonem, jaki pamiętała z kolacji przed dwoma tygodniami.

Idłaczego nie zwrócił się do niej po imieniu?

Nie zrażona brnęła dalej.

- Domingo jest olśniewający, prawda?

- Tak, i mieliśmy szczęście, że udało się ściągnąć Leonarda Slatkina z St.

Louis - rzekł Ben Thompson.

Maggie zdziwiło, że nie proponuje jej nic do picia, a kiedy zamówiła sok pomarańczowy, jeszcze bardziej ją zastanowiło, że nawet nie próbuje za niego zapłacić.

- Connor nie może się doczekać, kiedy rozpocznie pracę w Washington Provident - powiedziała, pociągawszy łyksoku.

Elizabeth Thompson wydawała się zdziwiona, ale nie zareagowała.

- Jest ci szczególnie wdzięczny, Ben, za to, że zgodziłeś się przesunąć o miesiąc termin podjęcia pracy, dzięki czemu możesz finalizować kontrakt w swojej starej firmie.

Elizabeth chciała coś powiedzieć, ale zabrzmiał dzwonek zapowiadający koniec antraktu.

- Lepiej wracajmy na miejsca - zaproponował Ben Thompson, chociaż jego żona nie dopiła jeszcze napoju.

- Miło było panią znowu spotkać, pani Fitzgerald.

- Zdecydowanie ujął żonę pod rękę

95.

i skierowali się na widownię.

- Mam nadzieję, że drugi akt sprawi przyjemność.

Drugi akt nie sprawił Maggii przyjemności.

Nie mogła się skupić, gdyż cały czas dźwięczała jej w głowie rozmowa w foyer, którą w żaden sposób nie zgadzała się z zachowaniem Thompsonów w ich domu zaledwie dwa tygodnie wcześniej.

Gdyby tylko wiedziała, jak skontaktować się z Connorem, złamałaby zasadę życia i zadzwoniłaby do niego.

Zrobiła więc to, co mogła najlepszego w tej sytuacji.

Wróciwszy do domu zadzwoniła znowu do Joan Bennett.

Telefon dzwonił i dzwonił bez końca.

Następnego dnia Connor wstał wcześniej.

Uregulował rachunek gotówką, złapał taksówkę i był w drodze do Heathrow, zanim dyżurny portier się zorientował, że opuścił hotel.

Za dwadzieścia ósmo wsiadł do samolotu Swissair, lot 839, udającego się do Genewy.

Podróż trwała niespełna dwie godziny i gdy koła samolotu dotknęły ziemi, przestawił zegarek na wół do jedenastej.

Podczas przerwy w podróży skorzystał z oferty Swissair i wziął prysznic.

Wszedł do "luksusowej" kabiny - jak ją określał biuletyn pokładowy - jako Theodore Lilystrand, bankier ze Sztokholmu specjalizujący się w lokatach kapitałowych, a po czterdziestu minutach wyłonił się z niej jako Pięć de Villiers, reporter z gazety "Johannesburg Mercury".

I chociaż miał jeszcze całą godzinę wolnego czasu, nie bobrował w żadnym z wolnocłowych sklepów, kupił tylko rogalik i kawę w jednej z najdroższych restauracji świata.

W końcu powędrował do wyjścia numer 23.

Na samolot Aeroftotudo Sankt Petersburg czekało niewiele osób.

Gdy po kilku minutach wezwanopasażerów, Connor usiadł z tyłu samolotu.

Zastanowił się, co trzeba będzie zrobić następnego dnia rano, kiedy pociąg wjedzie na Dworzec Petersburski w Moskwie.

Wrócił jeszcze raz do instrukcji wicedyrektora CIA, dziwiąc się, dlaczego Gutenberg powtarzał: "Niedaj się złapać".

Ale jeżeli wpadniesz, stanowczo zaprzeczaj, że masz coś wspólnego z CIA.

Niemartw się - Firma zawsze o ciebie zadba".

Tylko całkiem zielonym nowicjuszom trzeba było przypominać jedenaste przykazanie.

- Samolot do Sankt Petersburga przed chwilą wystartował z naszego przesyłką na pokładzie.

96

- To dobrze - powiedział Gutenberg.

- Jeszcze coś?

- Nie - odparł młody agent CIA.

Zawahał się.

- Tylko że.

- Tylko co?

Wykrztusił to.

- Inny pasażer, który wsiadał do tego samolotu wydał mi się znajomy.

- Kto to był?

- rzucił Gutenberg.

- Nie pamiętam, jak się nazywa, nie jestem nawet pewien, czy go widziałem.

Nie mogłem oderwać wzroku od Fitzgeralda na dłużej niż kilka sekund.

- Dzwon do mnie natychmiast, jak sobie przypomnisz, kto to taki.

- Dobrze, proszę pana.

- Młodyczłowiek wyłączył telefon i skierował się do wyjścia numer 9.

Za kilka godzin zasiądzieza swoim biurkiem w Bernie, wcielając się w rolę attache kulturalnego ambasady amerykańskiej.

- Dzień dobry.

Mówi Helen Dexter.

- Dzień dobry - odpowiedział chłodno szef personelu Białego Domu.

- Zdaje się, że prezydent chciał natychmiast wiedzieć, kiedy mężczyzna, którego polecił nam wytropić w Afryce Południowej, znów ruszy do akcji.

- Nie bardzo rozumiem - rzekł Lloyd.

- Szef naszej placówki w Johannesburgu przed chwilą mnie poinformował, że zabójca Guzmana dwa dni temu odleciał samolotem Południowoafrykańskich Linii Lotniczych do Londynu.

Miał paszport na nazwisko Martina Perry'ego.

Spędził tylko jedną noc w Londynie.

Następnego dnia rano poleciał samolotem Swissair do Genewy, korzystając ze szwedzkiego paszportu na nazwisko Theodore^ Lilystranda.

Lloyd tym razem jej nie przerwał.

W końcu mógł prezydentowi odegrać wszystko z taśmy, gdyby ten chciał słyszeć słowo w słowo, co mówiła Dexter.

- W Genewie wsiadł do samolotu Aeroflotu do Sankt Petersburga, legitymując się paszportem Pięta de Villiersa.

Z Sankt Petersburga pojechał nocnym pociągiem do Moskwy.

- Do Moskwy?

Dlaczego do Moskwy?

- spytał Lloyd.

- O ile dobrze pamiętam - odrzekła Dexter - w Rosji będą wybory.

97

7. Jedenaste przykazanie.

Kiedy samolot wylądował w Sankt Petersburgu, zegarek Connor pokazywał piątą pięćdziesiąt.

Connor ziewnął, przeciągnął się i dopiero gdy samolot się zatrzymał, przestawił wskazówki na czas miejscowy.

Wyjrzał przez okienko na lotnisko pograżone w półmroku, gdyż brakowało połowy żarówek. Prószylśnie, ale roztapiał się powietrze.

Stu znużonych pasażerów musiało czekać dwadzieścia minut na autobus, który przewiózł ich do budynku dworca lotniczego.

Podniektórymi względami nic się nie zmieniło, czy rządziło KGB, czy rosyjska mafia.

Connor wyszedł na samym końcu z samolotu i potem z autobusu.

Mężczyzna, który podróżował pierwszą klasą tym samym samolotem, wysunął się spiesznie do przodu, żeby przejść jako pierwszy przez odprawę paszportową i celną. Był zadowolony, że Connor trzyma się podręcznikowych instrukcji.

Wysiadłszy z autobusu, mężczyzna nie oglądał się za siebie.

Wiedział, że Connor zachowa czujność.

Pół godziny później Connor wyszedł z lotniska na wyboistą drogię, zatrzymał pierwszą taksówkę i kazał jechać na Dworzec Procki.

i

Podróżny z pierwszej klasy podążył za Connorem do hali kasowej, która bardziej przypominała operę niż dworzec kolejowy.

Patrzył uważnie, żeby się dowiedzieć, do jakiego tamten wsiałdzie pociągu.

Ale w głębi krył się jeszcze inny osobnik i ten znał nawet numer przedziału sypialnego, w którym miał jechać Fitzgerald.

Amerykański attache kulturalny w Sankt Petersburgu zrezygnował tego wieczoru z przedstawienia Baletu Kirowa, toteż mógł poinformować Gutenburga, kiedy Fitzgerald wsiałd do nocnego pociągu do Moskwy.

Nie musiałmu towarzyszyć, gdyż jego kolega w stolicy, Ashley Mitchell, będzie czekał na czwartym peronie następnego ranka i potwierdzi, czy Fitzgerald dotarł na miejsce.

Wyraźnie dano mudo zrozumienia, że to jest operacja Mitchella.

- Sleeping pierwszej klasy do Moskwy - powiedział Connor po angielsku do kasjera.

Kasjer podał mu bilet przez drewniany kontuar i z rozczarowaniem przyjął banknot o nominale dziesięciu tysięcy rubli.

Liczył nato, że zarobi drobną kwotę na różnicy w kursie wymiany - drugą tego wieczoru.

Connor sprawdził bilet i skierował się do moskiewskiego ekspresu.

Torował sobie drogę przez zatłoczony peron, mijając kilka sta

rych, zielonych wagonów, które wyglądały, jakby pamiętały rewolucję październikową.

Zatrzymał się przy wagonie K i okazał bilet kobiecie, która stała przy otwartych drzwiach.

Skasowała go i przepuściła Connora.

Wszedł do środka i powędrował korytarzem w poszukiwaniu przedziału numer 8.

Znalazłszy go, zapalił światło i zamknął się od środka, nie po to, by się chronić przed napadem bandytów, co często opisywała amerykańska prasa, lecz dlatego, że

znowu musiał się przeobrazić.

Widział młodzieńca o różowym obliczu, stojącego pod tablicą przylotów na lotnisku w Genewie i zastanawiał się, skąd Agencja ich rekrutuje w obecnych czasach.

Nie zadał sobie nawet trudu, żeby wyłuskać z tłumu agenta w Sankt Petersburgu, gdyż wiedział, że ktoś tam będzie, by sprawdzić, czy przybył, i że ktoś inny będzie czekał na peronie w Moskwie.

Gutenbergszczegółowo opowiedział muo Mitchellu, określając go jako początkującegoagenta, nieświadomegopozycji Fitzgeralda.

Pociąg ruszył ze stacji w Sankt Petersburgu punktualnie minutęprzedpółnocą i łagodny, rytmiczny stukot kół uśpił Connora.

Obudził się nagle i popatrzył na zegarek: czwarta trzydzieści siedem.

Pierwszyraz od trzech nocy spał tak długo.

Nagle przypomniał sobie swój sen.

Siedział na ławce na PlacuLafayette'a na wprost Białego Domu i rozmawiał z kimś, ktoani razu nie spojrzałw jegostronę.

Spotkanie zwicedyrektorem CIA zostałoodtworzoneco do jednegośłowa, ale niemógł sobie przypomnieć, co w tejrozmowie nie dawało mu spokoju.

W chwili,gdy Gutenberg miał wypowiedzieć zdanie, które chciał ponownieusłyszeć, obudził się.

Nie byłbliższy rozwiązania zagadki, kiedyy ósmej trzydzieści rano pociąg wjeżdżał na dworzec Raweltaj.

- Gdzie pan jest?

- zapytał Andy Lloyd.

- W budce telefonicznej w Moskwie -odparł Jackson.

- Dotarłem tu przez Londyn, Genewę i Sankt Petersburg.

Zaraz jak wysiadłz pociągu,wystrychnął wszystkich na dudka.

Zgubił naszego człowieka w Moskwie po dziesięciu minutach.

Gdybymto nie ja uczyłgo kiedyś jakmylić ślady, mnie też by się pozbył,

- I gdzie się zatrzymał?

- spytał Lloyd.

- W hoteliku w północnejczęści miasta.

-Jest tam nadal?

99.

- Nie, wyszedł mniej więcej godzinę temu, ale był tak ucharakteryzowany, że mało brakowało, a bym go nie poznał.

Zdradził gochód.

- Dokąd się udał?

- Poszedł jeszcze inną okreżną drogą dotarł do sztabuwyborczego Wiktora Żerińskiego.

- Dlaczego Żerińskiego?

- Jeszcze nie wiem, ale wyszedł z budynku z materiałami o kampanii wyborczej Żerińskiego.

Potem kupiłplan miasta w stoiskuz gazetami i zjadł lunch w pobliskiej restauracji.

Po południu wynajął mały samochód, potem wrócił do hotelu.

Odtego czasu nieopuszczał budynku.

- O Boże!

- nagle powiedział Lloyd.

- Teraz to będzie Żeriński.

Po drugiej stronie zapadło długie milczenie.

- Nie, to niemożliwe - odezwał się w końcu Jackson.

- Dlaczego?

- Nigdy by się nie podjął tak delikatnego zadania bez rozkazu bezpośrednio z Białego Domu.

Znam go dostatecznie długo, żeby mieć pewność.

- Niech pan nie zapomina, że pański przyjaciel wykonał identyczne zadanie w Kolumbii.

Bez wątpienia Dexter go przekonała, że ta operacja również została zatwierdzona przez prezydenta.

- Może być jeszcze inny scenariusz - powiedział cicho Jackson.

- Mianowicie?

- Że chcą zabić nie Żerińskiego, lecz Connora.

Lloyd zanotował mi w żółtym bloczku.

Księga druga Samotny gracz.

XII

- Amerykanin?

- Tak - odparł Jackson, nie patrząc w dół, skąd dochodził piskliwy głosik.

- Potrzeba ci czegoś?

- Nie, dziękuję - powiedział, nadalnie odrywając oczu od drzwi hotelu.

- Musisz czegoś potrzebować.

Amerykanom zawsze czegoś potrzeba.

- Nic nie chcę.

Idź sobie ^ stanowczo powtórzył Jackson.

- Kawior?

Rosyjskielalki?

Mundur generalski?

Czapka futrzana?

Kobieta?

 Jackson pierwszy raz spojrzał nachłopcę.

Cały tonął w kożuszkę dużym na niego o trzy rozmiary.

Na głowie miał czapkę zkróliczego futra, z każdą minutą coraz bardziej upragnioną przez Jacksona.

Uśmiechając się odsłonił dwie szczyrby.

- Kobieta?

O piątej rano?

- Dobra pora na kobietę.

A może wolisz mężczyzn?

- Ile sobie liczysz za swoje usługi?

- Jakie usługi?

- podejrzliwie spytał chłopiec.

- Posłańca.

- Posłańca?

- No to pomocnika.

- Pomocnika?

- Asystenta.

- A, chodzi ci o współnika, jak w filmach amerykańskich?

- No, dobrze, mądralo, skoro uzgodniłem nazwę twego zajęcia, to teraz ustalmy stawkę.

- Za dzień?

Za tydzień?

Za miesiąc?

- Za godzinę.

103.

- Ile dajesz?

- Małybiznesmen, co?

- Uczymy się od Amerykanów - powiedział chłopiec, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Dolara - rzucił Jackson.

Chłopak wybuchnął śmiechem.

- Może ja jestem mądrała, ale ty jesteś zgrywus.

Dziesięć dolarów.

- To zwykle zdzierstwo.

Chłopiec pierwszy raz miał niepewną minę.

- Dam ci dwa.

- Sześć.

- Cztery.

- Pięć.

- Zgoda - rzekł Jackson.

Chłopiec podniósł wysoko w górę prawą rękę - co też widywał w amerykańskich filmach.

Jackson uderzył dłonią w jego dłoń.

Dobili targu.

Chłopiec natychmiast spojrzał na swój zegarek marki Rolex.

- Jak ci na imię?

- spytał Jackson.

- Siergiej - odparł chłopiec.

- A ty?

- Jackson.

Ile masz lat?

- A ile chcesz, żebym miał?

- Nie pleć bzduri powiedz, ile masz lat.

- Czternaście.

- Dałbym ci najwyżej dziewięć.

- Trzynaście.

- Dziesięć.

- Jedenaście.

- Niech ci będzie jedenaście.

- A ty ile masz lat?

- spytał chłopiec.

- Pięćdziesiąt cztery.

- Niech ci będzie pięćdziesiąt cztery - rzekł Siergiej.

Pierwszy raz od wielu dni Jackson się roześmiał.

- Jak to się stało, że tak dobrze mówisz po angielsku?

- spytał, wciąż nie spuszczając oczu z drzwi hotelu.

- Moja mama żyje z Amerykaninem wiele lat.

On wraca do Stanów, ale nas nie zabiera.

Tym razem Jackson wierzył, że chłopak mówi prawdę.

104

- Jaka to robota, wspólniku?

- zagadnął Siergiej.

- Trzeba mieć na oku kogoś, kto zatrzymał się w tym hotelu.

- Przyjaciel czy wróg?

- Przyjaciel.

- Mafia?
- Nie, on jest po dobrej stronie.
- Nie traktuj mnie jak dziecka - rzekł Siergiejz urazą w głosie.
- Jesteśmy współnikami, pamiętasz?
- W porządku, Siergiej.
- Toprzyjaciel- powiedział Jackson.
- W tym momencieConnor ukazał się w drzwiach.
- Nie ruszaj się.
- Chwycił chłopca mocno za ramię.
- To on?
- spytałSiergiej.
- Tak, to on.
- Ma sympatyczną twarz.

Lepiej, żebym był po jego stronie.

Dzień Wiktora Żerińskiego dopiero się zaczął; zegar wskazywałósmą z minutami. Żeriński przewodniczył posiedzeniu komitetu centralnego partii komunistycznej, a jego szef sztabu wyborczego, Dmitrij Titow, wygłaszał sprawozdanie.

- Do Moskwy przybyło międzynarodowegrono obserwatorów -mówił Titow - żeby kontrolować prawidłowośćprzebiegu wyborów.

Zasadniczo interesują ich wszelkie oznaki świadczące o oszustwachwyborczych, lecz przewodniczący już przyznał, że przytak olbrzymim i tak szeroko rozrzuconym elektoracie nie ma sposobu, aby wykryć każde uchybienie.

Titow na zakończenie powiedział, że obecnie, gdy towarzysz Żeriński wywindował się na drugie miejscew sondażach opinii publicznej, mafia pcha jeszcze więcej pieniędzy w kampanię Czernopowa.

Żeriński gładził gęstego wąsa, spoglądając pokolei na każdegoz mężczyzn siedzących wokół.

- Kiedy zostanęprezydentem - oznajmił, wstając zeswego miejsca u szczytu stołu - wtrącę tychdrani z mafii jednego po drugim dowięzienia.

Wtedy do końca życia będąmogli liczyćtylko kamienie.

-Członkowie komitetucentralnego wielokrotnie słyszeli, jak ich przywódca atakuje mafię, chociaż nigdy nie robił tego publicznie.

Niski, zwalisty mężczyzna uderzył pięścią w stół.

- Rosja musi powrócić do starodawnych wartości, za które szanował nas świat.

- Dwudziestu jeden obecnych potaknęło, chociażw ciągu kilku ostatnich miesięcy wiele razy słyszeli te słowa.

105.

- Przez ostatnie dziesięć lat zajmowaliśmy się tylko importowaniem tego, co najgorsze w Ameryce.

Dalej kiwali głowami i wlepiali wzrok w twarz przywódcy.

Żeriński przesunął ręką po gęstych, czarnych włosach, westchnął i opadł na krzesło.

Spojrzał na szefa swego sztabu wyborczego.

- Co robię dziś rano?

- zapytał.

- Odwiedza pan Muzeum imienia Puszkina - rzekł Titow.

-Oczekujapano dziesiątej.

- Odwołać!

Niepotrzebna strata czasu, ado wyborów tylkoosiem dni.

- Znów uderzył w stół.

-Powiniennem pokazywać się naulicach, żeby ludzie mnie widzieli.

- Ale dyrektor muzeum wystąpił o fundusze rządowena odrestauowanie pracnajwiększych artystów rosyjskich - rzekł Titow.

-Marnowanie pieniędzy- powiedział Żeriński.

- I Czernopowa skrytykowano za obcięcie subsydiów na sztukę -ciągnął Titow.

-Nodobrze.

Poświęcę im piętnaście minut.

- Dwadzieścia tysięcy Rosjan odwiedza co tydzień Muzeumimienia Puszkina - dodał Titow, zaglądając do spisanych na maszynie notatek.

-Niech będziepół godziny.

- Czernopow oskarżył pana w zeszłym tygodniu w telewizji, żejest pan nieukiem.

-Co takiego?

- ryknął Żeriński.

-Studiowałem prawo na Uniwersytecie Moskiewskim, kiedy on był robotnikiem rolnym.

- To prawda, panie przewodniczący - rzekł Titow -ale naszewewnętrzne sondaze potwierdzają, że ludziesą innego zdania i że słowaCzernopowa do nich trafiają.

-Wewnętrzne sondaze?

Jeszcze coś, co zawdzięczamy Amerykanom.

- Dziękini Tom Lawrence objął urząd.

-Jak mnie wybiorą, sam utrzymam się na urzędzie.

Connor pokochał sztukejeszcze wczasachstudenckich, dziękiMaggie, która ciągnęła go po galeriach.

Z początku towarzyszył jejtylko po to, żeby z niądłużej przebywać, ale po parutygodniachpołknął bakcyła.

Ilekróć wyjeżdżali gdzieś razem, chętnie szedł z niądo galerii, jaką wybrała, a gdy przenieśli się do Waszyngtonu, zostali Sympatykami Galerii Coreorana i członkami Kolekcji Phillip106 są. Kiedy Żeriński,oprowadzany przez dyrektora,zwiedzałMuzeum Sztuki imienia Puszkina, Connor musiał się pilnować, żebynie patrzeć na liczne arcydzieła, ale skupić się na obserwacji komunistycznego przywódcy.

W latach osiemdziesiątych, kiedy pierwszy raz wysłano go doRosji, wyżsi politycy najbliżiej stykali się złudem spoglądając nańz trybuny z okazji pochodówpierwszomajowych. Lecz teraz, kiedymasy mogły dokonywać wyboru, trzebabyło wśród nich przebywać, a nawet wysłuchiwać ich opinii.

Galeriabyła zatłoczona jak stadion Cooke'a podczas meczuCzerwonoskórych i tam, gdzie pojawiał się Żeriński, tłum rozstępował się niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem.

Kandydat na prezydenta wolno posuwał się między moskwianami, a ich powitalnie wyciągnięte dłonie bardziej go interesowały niż rzeźby i obrazy.

Żeriński był niższy, niż wydawał się na fotografiach, a dla poprawy samopoczucia otaczał się świtą jeszcze niższych doradców.

Connor przypomniał sobie, co prezydent Truman powiedział kiedyś pewnemu studentowi z Missouri na temat wzrostu: "Jeśli chodzi o całość, mój drogich łopczę, tylko czoło należy brać pod uwagę.

Lepiej mieć jeden cal więcej między nasadą nosa i linią włosów niż między kostką irzepką".

Connor zauważył, że próżność Żerińskiego nie znajduje odbicia w jego stroju.

Miał na sobie źle skrojone ubranie i koszulę wytartą przy kołnierzyku i mankietach.

Connor nie był pewien, czyto mądrzeze strony dyrektora Muzeum, że występuje sztywnym na miarę garniturze, który na pewno nie został skrojony w Moskwie.

Connor wiedział, że Żeriński jest bystrym i wykształconym człowiekiem, jednak prędko wyszło najaw, że rzadko bywa w galeriach sztuki.

Uwijając się wśród tłumu od czasu do czasu wskazywał palcem któreś z płócien i głośno wymieniał nazwisko artysty.

Parokrotnie się pomylił, lecz tłummu przyklasnął.

Zignorował wspaniałego Rubensa, bardziej interesując się stojącą w tłumie matką tulącą dziecko, niż sztuki, z jaką została przedstawiona taka sama scena tuż za nią.

Gdy wziął dziecko na ręce i ustawił się do zdjęcia razem z matką, Titow poradził, aby przesunął się trochę w prawo.

Wtedy zdjęcie obejmie również Najświętszą Pannę i każda gazeta zechce je zamieścić na pierwszej stronie.

Po przejściu kilkunastu sal i upewnieniu się, że wszyscy zwiedzający są świadomi jego obecności, Żeriński sięgnął i obdarzył

uwagą dziennikarzy, deptających mu po piętach.

Na podeście pierwszego piętrazainicjował zaimprovizowaną konferencję prasową.

- No, dalej, pytajcie mnie, o co chcecie - zaczął, spoglądając spode łbana tłumek reporterów.

- Co pan sądzi o najnowszych badaniach opinii publicznej?

- zapytał moskiewski korespondent "Timesa".

- Zmierzają we właściwym kierunku.

- Jest pan teraz na drugim miejscu - zawołał inny dziennikarz - więc Czernopow ma w panu jedyne prawdziwego rywala!

- W dniu wyborów to ja będę miał w nim jedyne prawdziwego rywala - odrzekł Zeriński.

Jego świta posłusznie zarechotała.

- Czy uważa pan, że Rosja powinna stać się na powrót państwem komunistycznym?

- padło nieuchronne pytanie, wypowiedziane z amerykańskim akcentem.

Chytry polityk był zbyt czujny, żeby się natozłapać.

- Jeśli rozumie pan przez to powrót do wyższego zatrudnienia, niższą inflację i lepszy standard życia, to odpowiedź musi brzmieć - tak.

- Mówił zupełnie jak amerykański kandydat republikański podczas prawyborów.

- Ale Czernopow twierdzi, że właśnie do tego zmierza obecna polityka rządu.

- Obecna polityka rządu zmierza do tego, by nasz wajcarskie konto premiera płynęło jak najwięcej dolarów.

Te pieniądze są własnością ludu rosyjskiego i dlatego Czernopow nie nadaje się na naszego następnego prezydenta.

Powiadają, że kiedy "Fortune" opublikuje w najbliższym numerze listę dziesięciu najbogatszych ludzi świata, Czernopow będzie na siódmym miejscu.

Wybierzmy go na prezydenta, to w pięć lat przegoni Billa Gatesa.

Nie, mój przyjacielu - ciągnął Zeriński - przekonasz się, że rosyjski lud głośno się wypowie za powrotem dni, kiedy byliśmy najbardziej szanowanym krajem świata.

- I wzbudzającym największy strach?

- rzucił inny dziennikarz.

- Wolałbym raczej to niż obecną sytuację, kiedy jesteśmy po prostu ignorowani przez resztę świata - rzekł Zeriński.

Teraz dziennikarze notowali każde jego słowo.

- Czemu twój przyjaciel tak się interesuje Wiktorem Zerińskim?

- szepnął Siergiej na drugim końcu sali.

- Zadajesz za dużo pytań - odparł Jackson.

- Zeriński to zły człowiek.

108

- Dlaczego?

- spytał Jackson nie odrywając oczu od Connora.

- Jak go wybiorą wsadzi takich jak ja do więzienia i wszystko będzie jak za "dawnych dobrych dni", a onna Kremlu będzie się obżerał kawiozem i pił wódkę.

Zeriński ruszył do wyjścia, a za nim, próbując dotrzymać mukroku, dyrektor i towarzysząca świta.

Przystanął na najwyższym stopniu, by sfotografowano go na tle olbrzymiego płótna Goi "Zdjęcie z krzyża".

Obraz tak przykuł uwagę Connora, że przesuwając się tłum omal go nie przewrócił.

- Jackson, podoba ci się Goya?

- szepnął Siergiej.

- Nie widziałem wielu jego obrazów -przyznał Amerykanin.
-Aletak.

Jest wspaniały.

- Maja jeszcze kilka w podziemiach- rzekł Siergiej.

- Mógłbymjeden zorganizować.

-zrobił znaczący ruch palcami.

Jackson chętnie przyłożyłby chłopcu, gdyby nie ściągnęło to na nich uwagi.

- Twój człowiekwychodzi - nagle powiedziałSiergiej.

Jacksonpodniósł wzrok i ujrzał, jak Connor znika w bocznych drzwiach galerii.

Connor siedział sam w greckiej restauracji na Prieczistieneci rozmyślał o tym, co widział przed południem.

Chociaż Żerińskiego całczas otaczała banda drabów z oczami biegającymi na wszystkie strony, jednak nie chroniono go tak dobrze, jak większości zachodnich polityków.

Możliwe, że kilku tych osiłków było dzielnych i bystrych, jednak tylko trzech zdawało się miećjakiś doświadczenie w ochronie przywódcy światowejrangi.

Ale oni niemogli być bez przerwy na służbie.

Próbując się uporać z niesmaczną musaką, studiował dalszy programŻerińskiego, aż do dnia wyborów.

Kandydat na prezydentamiął wystąpić publicznie dwadzieścia siedem razy w ciągu najbliższych ośmiu dni.

Zanim kelner przyniósł czarną kawę, Connor zdążył wytypowaćtrzy miejsca, które by wchodziływ grę, gdyby trzeba było wyeliminować z list wyborczych jednego z kandydatów.

Sprawdził godzinę.

Wieczorem Zeriński będzie przemawiał na spotkaniu partyjnym w Moskwie.

Nazajutrz pojedzie pociągiem do Jarosławia, gdzie dokona uroczystego otwarcia fabryki, a potemwróci do stolicy na występ baletu Teatru Bolszoi.

Stąd pojedzie nocnym pociągiem do Sankt Petersburga.

Connor zdecydował już, że

109.

ruszy za Żerińskim do Jarosławia.

Zarezerwował też bilet na balet na pociąg do Sankt Petersburga.

Popijając kawę Connor myślał o Mitchellu, który w Muzeum imienia Puszkina chował się za najbliższym filarem, ilekroć spojrzałw jego stronę, i z trudem hamował śmiech.

Postanowił, że pozwoli Mitchellowi chodzić za sobą w ciągu dnia - może w jakimś momencie okazać się pożyteczny - ale nie dopuści, by się dowiedział, gdzie śpi w nocy.

Wyjrzał przez okno i zobaczył attache kulturalnego; siedział na ławce i czytał "Prawdę".

Connor uśmiechnął się.

Zawodowiec zawsze powinien umieć obserwować tropionązwierzynę będąc widzianym.

Jackson wydobyl portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjąłsturublowy banknot i podałchłopc.

- Przynieś nam coś do jedzenia, ale nie zbliżaj się do tej restauracji - powiedziałwskazując ruchem głowy na drugą stronęulicy.

-Nigdy niebyłem w żadnej restauracji.

Na comasz ochotę?

- Zjem to,co ty.

-Jesteś pojętny, Jackson- rzucił Siergiej i gdzieś pobiegł.

Jacksonomiótł wzrokiem ulicę.

Człowiek siedzący na ławce czytający "Prawdę" nie miał na sobie płaszcza.

Widocznie wyobrażał sobie, że inwigilację prowadzisz tylko w ciepłych, wygodnychpomieszczeniach, ale straciwszy z oczu Fitzgeraldapoprzedniegodnia, najwyraźniej nie chciał ryzykować i ruszać się z miejsca.

Miałpurpurowe uszy,twarz zaczerwienioną od zimna i nikogo, kto bymu przyniósł coś do jedzenia.

Jackson wątpił, czy zobaczą go jutro.

Siergiejwrócił po kilku minutach z dwomapapierowymitorbami.

Jedną podał Jacksonowi.

- Big Mac z frytkami i keczupem - oznajmił.

-Dlaczego mi się wydaje, że jeśli Żeriński zostanie prezydentem,zamknieMcDonalda?

- mruknął Jackson.

Ugryzł kęs hamburgera.

- I pomyślałem, że to ci się przyda - rzekł Siergiej, podając muoficerską czapkę z króliczego futra.

-Czy sto rubli wystarczyło na wszystko?

- spytał Jackson.

- Nie, czapkę gwizdnąłem -powiedział spokojnie Siergiej.

- Pomyślałem, że bardziej jej potrzebujesz niż "tamten".

- Mógłbyś nas obuwpakować do więzienia.

-Wątpię -rzekł Siergiej.

- W Rosji jest dwa miliony wojskowych.

Połowa odmiesiący nie dostaje żołdu, a większość sprzedalaby własną siostrę zasto rubli.

110

Jacksonprzymierzyłczapkę - pasowała idealnie.

Nie odzywali siędo siebie, pochłaniając obiad zewzrokiem wlepionym w restaurację.

- Jackson, widzisz tego faceta, co siedzi na ławce i czyta "Prawdę"?

-Tak - wykrztusił Jackson między jednym idrugim kęsem.

- Był dziś rano wgalerii.

-Ty też jesteś pojętny - rzekł Jackson.

- Nie zapominaj, że mam matkę Rosjankę - rzuciłSiergiej.

-Przy okazji, po czyjej stronie jest ten facet?

- Wiem, kto mu płaci - odparł Jackson - ale nie wiem, po czyjej stronie.

XIII

Connor przyszedł do Muzeum Lenina jako jeden z ostatnich. Zajął miejsce z tyłu sali, w części zarezerwowanej dla prasy i starał się jaknajmniej rzucać w oczy.

Wrócił myślami do poprzedniego wiecu w Rosji, w którym uczestniczył.

Wtedy także przybył, aby posłuchać kandydata komunistów, ale działało się to w czasach, gdy na kartkach wyborczych widniało tylko jedno nazwisko.

Co było zapewne powodem, że w dniu wyborów frekwencja wyniosła tylko siedemnaście procent.

Rozejrzał się po sali.

Chociaż kandydat na prezydenta miał się pojawić dopiero za piętnaście minut, wszystkie miejsca siedzące były już zajęte, a w przejściach panował tłok.

Na podium kręciło się paru ludzi, sprawdzając, czy wszystko jest tak, jak sobie życzy przywódca.

Starszy człowiek ustawiał w głębiokazałe krzesło.

Zgromadzenie partyjne w niczym nie przypominało amerykańskiej konwencji wyborczej.

Ubrania delegatów, jeśli ci ludzie rzeczywiście nimi byli, uderzały szarżyzną.

Wyglądali na niedożywionych i siedzieli w milczeniu oczekując Żerińskiego.

Connor opuścił głowę i zaczął robić notatki; nie miał ochoty wdawać się w rozmowę z dziennikarką po lewej.

Zdażyła już powiedzieć korespondentowi, który sąsiadował z nią z drugiej strony, że reprezentuje "Istanbul News", jedyną anglojęzyczną gazetę w Turcji, i że zdaniem jej naczelnego byłoby nieszczęściem, gdyby Żeriński został prezydentem.

Oznajmiła też, że napisała w ostatniej korespondencji, iż przywódca komunistów ma szansę wygranej.

Gdyby spytała Connora o zdanie, musiałby się z nią zgodzić.

Prawdopodobieństwo, że będzie musiał wypełnić swą misję, zwiększało się z każdą godziną.

Po chwili turecka dziennikarka zaczęła szkicować portret Żerińskiego.

Widać jej gazetanie mogła sobie pozwolić na taki luksus jak własny fotograf i prawdopodobnie korzystała z usług agencji oraz

112

pomysłów reporterki.

Connor musiał przyznać, że rysunek dobrze oddawał podobieństwo.

Znowu rozejrzał się wokół.

Czy byłoby możliwe zabić kogoś w sali tak zatłoczonej jak ta?

Nie, jeżeli chciało się mieć szansę ucieczki.

Można by próbować zaatakować Żerińskiego w jego samochodzie, choć na pewno był dobrze strzeżony.

Żaden zawodowiec nie zaryzykowałby bomby, gdyż często ofiarą takiego zamachu padali niewinni ludzie, natomiast jego obiekt uchodził za życie.

Jeżeli ma mieć szansę ratunku, musi na otwartej przestrzeni użyć karabinu o dużej sile rażenia.

Nick Gutenberg zapewnił go, że odpowiednio dostosowany Remington 700 znajdzie się w ambasadzie amerykańskiej na długo przed jego przyjazdem do Moskwy - jeszcze przed nadaniem pocztą dyplomatycznej.

Jeśli Lawrence wyda rozkaz, wybór czasu i miejsca będzie należał do Connora.

Po drobiazgowym przestudiowaniu trasy Żerińskiego Connor wytypował Siewierodwińsk, gdzie przywódca komunistyczny miał przemawiać na wiecu w stoczni dwa dni przed wyborami.

Connor zaczął się zaznajamiać z różnymi rodzajami dźwigów, jakie pracowały na rosyjskich nabrzeżach, i rozważać możliwość ukrycia się którymś z nich przez dłuższy czas.

Ludzie zaczęli odwracać głowy, więc Connor też się obejrzał.

Dosali weszła grupa mężczyzn wle uszytych ubraniach, wyrzuszonych pod pachami.

Uważnie badali wzrokiem salę, doktórzej zachwilę miał wkroczyć wódz.

Connor widział, że ich metody są prymitywne i nieskuteczne, ale jak wszyscy funkcjonariusze sił bezpieczeństwa prawdopodobnie liczyli na to, że sama ich obecność i liczba podziała odstrasza.

Przyjrzał się twarzom: wszyscy trzej zawodowcy byli na służbie.

Nagle z tyłu sali rozległy się głośnie oklaski, a potem krzyki.

Członkowie partii wstali jak jeden mąż na powitanie swego przywódcy.

Nawet dziennikarze musieli powstać, żeby go dojrzeć.

Żeriński co chwile przystawał i ścisnął wyciągnięte ręce.

Kiedy wreszcie doszedł do podium, wrzawa była ogłuszająca.

Podstarzały przewodniczący, który cierpliwie czekał, poprowadził Żerińskiego na podium i ku wielkiemu krzesłu.

Żeriński usiadł, on zaś wolnym krokiem podążył do mikrofonu.

Publiczność zajęła powrót miejsca i umilkła.

Przewodniczący niezręcznie przedstawił "nowego prezydenta Rosji", a im dłużej mówił, tym bardziej niecierpliwiła się publiczność.

113

8. Jedenaste przykazanie.

Ludzie ze świty Żerińskiego, którzy stali za swym przywódcą, zaczęli się wiercić i złościć. Na koniec mężczyzna w krasomówczym zapaleniu nazwał Żerińskiego "naturalnym sukcesorem Włodzimierza Iljicza Lenina", usunął się na bok, by zrobić miejsce wodzowi. Z miny Żerińskiego można było poznać, że porównanie z Leninem nie było mu w smak.

Nawidok Żerińskiego, który wstał i wystąpił naprzód, tłum znowu ożył. Przywódca wznosił w górę ramiona, a tłum odpowiedział gromkim okrzykiem.

Connor nie spuszczał oczu Żerińskiego.

Uważnie obserwował każdy jego ruch, postawę, pozę.

Jak wszyscy ludzie obdarzeni energią, kandydat na prezydenta ani chwili nie stał spokojnie.

Gdy Żeriński usnął, że owacja trwa dostatecznie długo, machnięciem ręki nakazał ludziom usiąść.

Connor odnotował, że cały rytuał początku do końca trwał nieco ponad trzy minuty.

Żeriński odczekał, aż wszyscy usiądą i zapanuje niczym nie zmacona cisza.

- Towarzysze - zaczął mocnym głosem.

- To dla mnie wielki zaszczyt, że stoję przed wami jako wasz kandydat.

Z każdym dniem coraz bardziej sobie uświadamiam, że Rosjanie chcą zacząć wszystko od nowa.

Chociaż niewielu obywateli życzy sobie powrotu do dawnego totalitarnego reżimu, większość pragnie sprawiedliwszego podziału bogactwa, wytworzonego dzięki ich umiejętnościom i ciężkiej pracy.

Znowu zerwały się oklaski.

/

- Nie zapominajmy - ciągnął Żeriński - że Rosja może znowu stać się najbardziej szanowanym państwem świata.

Jeżeli inne kraje żywią co do tego wątpliwości, z mojej prezydentury niechaj czynią na własne ryzyko.

Dziennikarze zawzięcie notowali, a sala znowu rozbrzmiała okrzykami.

Upłynęło prawie dwadzieścia sekund, nim Żeriński mógł mówić dalej.

- Spójrzcie, towarzysze, na ulice.

Tak, ujrzyście mercedesy, BMW i jaguary, ale kto nimi jeździ?

Garstka uprzywilejowanych.

Ta właśnie garstka się spodziewa, że zostanie wybrany Czernopow i że będzie mogła nadal cieszyć się stylem życia, o jakim nikt na tej sali niemoże nawet marzyć.

Nadszedł czas, przyjaciele, aby to bogactwo - wasze bogactwo - podzielić między wielu, nie między nielicznych.

Tęsknie wyglądam dnia, kiedy Rosja nie będzie się chlubić tym, że

114

posiadawiejącej limuzyn niż zwykłych samochodów, więcej jachtów niż łódek rybackich i więcej kont w bankach szwajcarskich niż szpitali,

Znowu wybuchła długotrwała owacja.

Gdy wrzawa ucichła, Żeriński przemówił ciszej, ale każde jego słowo docierało do najodleglejszego zakątka sali.

- Kiedy zostanę waszym prezydentem, nie będę zakładał kont bankowych w Szwajcarii, ale fabryki w całej Rosji.

Nie będę wypoczywał w luksusowej dacy, ale pracował dzień i noc dla mojego kraju.

Będę wam służył z oddaniem i pensja prezydenta aż nadto mnie zadowoli - nie będę brał łapówek od nieuczciwych biznesmenów, których interesuje tylko rabunek majątku narodowego.

Tym razem dopiero po minucie mógł kontynuować przemówienie.

- Z tyłu - rzekł, wskazując serdelkowatym palcem zgromadzonych dziennikarzy -
siedzą przedstawiciele prasy światowej.

- Przerwał, skrzywił usta i dodał: - Czy mogę powiedzieć, jak mile są widziani?

Tauwaga nie została przyjęta oklaskami.

- Jednak chciałbym im uzmysłwić, że kiedy zostanę prezydentem, będą musieli
stać w Moskwie, nie tylko w okresie przedwyborczym.

Bo wtedy Rosja nie będzie czekać na okruchy z pańskiego stołu pospolitą Klubu
Siedmiu, ale znowu będzie odgrywać główną rolę na arenie świata.

Gdyby wybrany został Czernopow, Amerykanie bardziej by się liczyli ze zdaniem Meksyku
niż Rosji.

W przyszłości prezydent Lawrence będzie musiał słuchać waszego głosu, nie tylko opowiadać
dziennikarzom, jak to on lubił Borysa.

Na sali rozległ się śmiech.

- Może sobie wszystkim mówić po imieniu, ale do mnie będzie
się zwracał "panie prezydencie".

Connor wiedział, że amerykańskie środki przekazu powtórzą tę wagę od wybrzeża do
wybrzeża i że każde słowo tego przemówienia będzie wielokrotnie przeżuwane w Pokoju
Owalnym.

- Przyjaciele, dzieli nas tylko osiem dni od momentu, kiedy naród podejmie decyzję -
rzekł Żeriński.

- Wykorzystajmy ten czas, by zapewnić sobie miażdżące zwycięstwo w dniu wyborów.

Zwycięstwo, które obwieści wszem wobec, że Rosja z powrotem jest potęgą, z którą się trzeba
liczyć na scenie świata.

- Głos Żerińskiego potęgował z każdym słowem.

- Ale nie czyńcie tego dla mnie.

Ani nawet

115.

dla partii komunistycznej.

Zróbcie to dla następnego pokolenia Rosjan, żeby mogli odegrać rolę obywateli największego narodu świata.

Zatem, kiedy oddacie swój głos, zrobicie to wiedząc, że znów uczynicie lud przewodnią siłą narodu.

- Przerwał i obrzucił wzrokiem audytorium.

- Proszę tylko o jedno - o zaszczyt przewodzenia temu ludowi.

- Zniżając głos niemal do szepty, zakończył: - Pragnę być waszym sługą.

Postąpił krok w tył i wyrzucił w górę ramiona.

Publiczność zerwała się z miejsc.

Końcowa część przemówienia trwała czterdzieściosiedem sekund i mówca ani przez chwilę nie stał nieruchomo.

Najpierw przesunął się w prawo, potem w lewo, podnosząc kolejno prawą i lewą rękę, ale nigdy nie wytrwał w jednej pozycji dłużej niż kilka sekund.

Potem nisko się skłonił i, zastygłszy w bezruchu na dwanaście sekund, nagle wyprostował się i zaczął klaskać wraz z publicznością.

Pozostał na środku podium jeszcze przez jedenaście minut, powtarzając raz poraz kilka swych gestów.

Nasycając się owacją i uznawszy, że nic więcej nie wycisnie z publiczności, zstąpił po schodach wraz z swoją świtą.

Kiedy sunął głównym przejściem, wrzawa dosięgła zenitu i wyciągnęło się ku niemu jeszcze więcej rąk.

Żeriński uściśnął tyle, ile mógł, powoli podążając dół schodów.

Connor ani na chwilę nie spuszczał go z oka.

Nawet po wyjściu Żerińskiego tłum wznosił okrzyki.

Ustały dopiero wtedy, gdy ludzie zaczęli opuszczać salę.

Connor spostrzegł kilka charakterystycznych ruchów głowy i rąk, drobne, często powtarzane gesty.

Zorientował się już, że niektóre poruszenia towarzyszą pewnym wyrażeniom, i był pewien, że wkrótce potrafi je przewidzieć.

- Twój przyjaciel wychodzi - odezwał się Siergiej.

- Iść za nim?

- Nie trzeba - powiedział Jackson.

- Wiadomo, gdzie spędzi noc.

A ten biedny drań, który depta mu po piętach, będzie miał ładny taniec przez najbliższą godzinę.

- Co teraz robimy?

- spytał Siergiej.

- Prześpij się trochę.

Czuje, że jutro czeka nas ciężki dzień.

- Jeszcze mi nie zapłaciłeś za dzisiaj - rzekł Siergiej i wyciągnął rękę.

- Dziewięć godzin po sześć dolarów - należy się pięćdziesiąt sześć dolarów.

- Ejże, chyba osiem godzin po pięć dolarów za godzinę - rzekł Jackson.

- No, ale nie zaszkodziło spróbować.

- Podał chłopcu czterdzieści dolarów.

116

- A jutro?

- zapytał mały wspólnik, przeliczywszy ischowa swoje pieniądze do kieszeni.

- O której mam przyjść?

- Spotkajmy się przed jego hotelem o piątej, tylko się nie spóźnij.

Przypuszczam, że pojedziemy za Żerińskim do Jarosławia, potem wrócimy do Moskwy, a później wyprawimy się do Sankt Petersburga.

- Masz szczęście, Jackson.

Urodziłem się w Sankt Petersburgu i znam tam każdy kąt.

Tylko pamiętaj, poza Moskwą biorę podwójną taryfę.

- Wiesz, Siergiej, jak tak dalej pójdzie, to niedługo sam się wyeliminujesz z rynku.

XIV

Maggie wyjechała z parkingu uniwersyteckiego minutę po dwunastej. Skrzyła w lewo Prospect Street, na chwilę zwolniła przy pierwszym znaku stopu, po czym znów przyspieszyła.

Nigdy nieprzeznaczała więcej niż godzinę na lunch i jeśli nie znajdzie miejsca parkingowego blisko restauracji, skróci to czas spotkania.

A dziś zależało jej na każdej chwili.

Coprawda, gdyby zwolniła się na całe popołudnie, nikt z jej personelu nie miałby nic przeciwko temu.

Gdyby teraz, po dwudziestuśmiu latach pracy na uniwersytecie - a sześciu ostatnich w charakterze dziekana wydziału rekrutacji - wystąpiła o zapłatę wstecz z nadgodziny, uniwersytet musiałby ogłosić specjalną zbiórkę.

Przynajmniej dziś los jej sprzyjał.

Jakaś kobieta wycofywała samochód z miejsca tuż obok restauracji, w której była umówiona. Maggie wrzuciła do licznika cztery ćwierćdolarówki, aby opłacić godzinę postoju.

Wchodząc do Cafe Milano podała starszemu kelnerowi swoje nazwisko.

- Tak, proszę bardzo, pani Fitzgerald - powiedział i zaprowadził ją do stolika przy oknie, gdzie już siedziała osoba, która nigdy nigdzie się nie spóźniała.

Maggie pocałowała w policzek kobietę, która dziewiętnaście lat była sekretarką Connora, i usiadła naprzeciw.

Joan prawdopodobnie kochała Connora nad wszystko w świecie, i za tę miłość była nagradzana co najwyżej cmoknięciem w policzek i prezentem na gwiazdkę, kupowanym w końcu przez Maggie.

Chociaż Joan nieprzekroczyła jeszcze pięćdziesiątki, jej praktyczne tweedy, pantoflana płaskim obcasie i krótko przycięte ciemne włosy świadczyły, że dawno temu przestała myśleć o podobaniu się mężczyznom.

- Ja już wybrałam - powiedziała, zamykając kartę dań.

118

- Ja też wiem, co zamówię - rzekła Maggie.

- Co u Tary?

- zagadnęła Joan.

- Jakoś trwa, mówiąc jej własnymi słowami.

Mam tylko nadzieję, że skończy pracę doktorską.

Chociaż Connor nie powiedziałby jej tego słowa, byłby bardzo rozczarowany, gdyby się jej nie udało.

- Connor cięło mówio Stuarcie - zauważyła Joan, gdy stanął przy nich kelner.

- Tak - powiedziała trochę smutno Maggie.

- Chyba muszę pogodzić się z tym, że moje jedyne dziecko będzie mieszkało w odległości trzynastu tysięcy mil odemnie.

- Podniosła oczy na kelnera.

- Proszę cannelloni z sałatką.

- A dla mnie makaroniki - zamówiła Joan.

- Czy podać paniom coś do picia?

- spytał kelner z nadzieją

w głosie.

- Tylko szklankę wody - powiedziała zdecydowanie Maggie.

Joan skinęła twierdząco głową.

- Tak, Connor ze Stuartem przypadli sobie do gustu - rzekła Maggie, kiedy kelner się oddalił.

- Stuart odwiedzi nas w święta Bożego Narodzenia, więc będziesz miała okazję go poznać.

- Bardzo się cieszę - powiedziała Joan.

Maggie wyczuła, że chciała coś dodać, ale po latach znajomości wiedziała, że wypytywanie nie ma sensu.

Joan sama jej powie, kiedy będzie gotowa.

- Próbowałam ostatnio kilkakrotnie się do ciebie dodzwonić.

Miałam nadzieję, że wybierzesz się ze mną do opery albo wpadniesz któregoś wieczoru na kolację, ale nie mogłam cię zastać.

- Po odejściu Connora z firmy zamknięto biuro na Ulicy Mi przeniesiono mnie z powrotem do centrali - oznajmiła Joan.

Maggie podziwiała precyzję, z jaką Joan dobierała słowa.

Ani śladu namownienia, gdzie pracuje, sugestii, dla kogo, wskazówki, jakie są jej nowe obowiązki po rozstaniu z Connorem.

- Nie jest tajemnicą, że on chce, abyś przeszła do Washington Provident.

- Bardzo bym chciała.

Ale nie ma sensu nic robić, póki nie wiadomo, co się dzieje.

- A co się "dzieje", Joan?

- spytała Maggie.

- Connor już przyjął ofertę Bena Thompsona.

Musi wrócić przed świętami, żeby zacząć nową pracę na początku stycznia.

Zapadło długie milczenie.

119.

- A więc - w końcu cicho powiedziała Maggie - on jednak nie dostał tej pracy w Washington Provident.

-Trochę parmezanu,proszę pani?

- spytał kelner, który przyniósł zamówionedania.

- Dziękuję - powiedziała Joan, wpatrując się w swój makaron.

-To dlatego Ben Thompson tak mnie oziębłepotraktowałw zeszły czwartek w operze.

Nawet nie zaproponował, że postawi mi coś do picia.

- Przykro mi - rzekła Joan po odejściu kelnera.

- Myślałam, że wiesz.

- Nie przejmuj się.

Connor by mnie o tym powiadomił zaraz porozmowie w sprawie następnej pracy, a potem by powiedział, że będzie o wiele lepsza od tej w Washington Provident.

- Jak ty go dobrze znasz - zauważyła Joan.

- Czasem się zastanawiam, czy w ogóle go znam - westchnęła Maggie.

- W tej chwili nie mam pojęcia, gdzie jest ani co zamierza.

- Nie wiem więcej niż ty - rzekła Joan.

- Pierwszy raz od dziewiętnastu lat wyjechał nicmi nie mówiąc.

- Tym razem jest inaczej, prawda, Joan?

- spytała Maggie, patrząc jej w twarz.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Powiedział, że jedzie za granicę, ale nie zabrał paszportu.

Przypuszczam, że wciąż jest w Ameryce.

Ale dlaczego.

- Tonia dowodzi, że nie jest zagranicą - orzekła Joan.

-Możliwe - przyznała Maggie.

- Ale pierwszy raz się zdarzyło, że ukrył paszport tam, gdzie wiedział, że go znajdzie.

I zostawił jeszcze to.

- Wyjęła z torebki grubą brązową kopertę i podała ją Joan przez stół.

Tamta przeczytała napis: "Maggie - otwórz tylko w wypadku, gdybym nie wrócił do 17 grudnia".

- Może to kartka bożonarodzeniowa - rzuciła lekko.

- Nie - odparła Maggie prawie ze śmiechem.

- Nie znam mężów, którzy by dawali swoim żonom kartki bożonarodzeniowe, a już napewno nie w brązowych kopertach.

- A gdybyś stworzyła ją teraz?

- poradziła Joan po długim milczeniu.

- Mogłoby się okazać, że niepotrzebnie się martwisz.

- Nie mogę przed siedemnastym grudnia - powiedziała cicho Maggie.

- Gdyby wcześniej wrócił do domu i odkrył, że otworzyłam ją, to.

Ponownie zjawił się kelner i szybko zabrał talerze.

120

- Czy któraś z pań miałaby ochotę na deser?

- zapytał.

- Nie, dziękuję - odparła Joan.

- Proszę tylko kawę.

- Ja też - rzuciła Maggie.

- Czarną, bez cukru.

- Spojrzała na zegarek.

Zostało jej tylko szesnaście minut.

Przygryzła wargę.

- Joan, nigdy dotąd nie prosiłam cię o wyjawienie tajemnic służbowych, ale jest coś, co muszę wiedzieć.

Joan spojrzała w okno i obrzuciła wzrokiem przystojnego młodzieńca, który od czterdziestu minut stał oparty o ścianę po drugiej stronie ulicy.

Pomyślała, że chyba gdzieś go już wcześniej widziała.

Kiedy za siedem pierwsza Maggie wychodziła z restauracji, nie zauważyła, że ten sam młodzieniec wyjął przenośny telefon i wystukał numer, którego nie było w żadnej książce telefonicznej.

- Tak?

- odezwał się Nick Gutenberg.

- Pani Fitzgerald właśnie skończyła lunch z Joan Bennett w Cafe Milano na Prospect Street.

Były razem czterdzieści siedem minut.

Nagrałem każde słowo ich rozmowy.

- To dobrze.

Natychmiast dostarcz mi taśmę.

Gdy Maggie wbiegała po schodach do biura, zegar na dziedzińcu uniwersyteckim wskazywał dokładnie pierwszą.

W Moskwie była dziesiąta.

Connor oglądał finał "Giselle" w wykonaniu baletu Teatru Bolszoi.

Ale, w odróżnieniu od większości widzów, nie kierował lornetki na wirtuozerski popis primabaleriny.

Odczasu do czasu spoglądał w prawo i sprawdzał, czy Zeriński jest jeszcze w łóżu.

Connor wiedział, jaką przyjemność sprawiłoby Maggie obejrzenie tańca willid, trzydziestu sześciu młodziutkich panien młodych w słubnych strojach, kręcących piruety w świetle księżycy.

Pilnował się, żeby nie urzekły go ich "plies" i arabeski, i starał się skupić na tym, co się dzieje w łóżu Zerińskiego.

Maggie często chodziła na spektakle baletowe, kiedy nie było gwiazd, i ubawiłaby się, gdyby wiedziała, że przywódca komunistów rosyjskich w ciągu jednego wieczoru sprawił to, co jej się nie udawało przez trzydzieści lat.

Connor obserwował mężczyznę w łóżu.

Po prawicy Zerińskiego siedział Dmitrij Titow, szef sztabu wyborczego, z lewej zaś stron starszy mężczyzna, który poprzedniego wieczoru witał Zerińskiego.

Z tyłu kryło się trzech ochroniarzy.

Connor przypuszczał, że jeszcze co najmniej kilkunastu znajduje się w korytarzu nazewnątrz.

Do tego ogromnego teatru z pięknymi, spiętrzonymi balkonami, o złożonych, krytych czerwonym aksamitem krzesłach w pierwszych

121.

rzędach parteru, bilety zawsze były wyprzedane kilka tygodni przedprzedstawieniem. Ale teoria Maggie, że zawsze można kupić pojedynczy bilet, nawet w ostatniej chwili, sprawdzała się nawet w Moskwie.

Tuż przed pojawieniem się dyrygenta w kanale dla orkiestry część publiczności zaczęła klaskać.

Connor podniósł wzrok znad programu i ujrzał, że kilka osób pokazuje łożę na drugim balkonie.

Żeriński wybrał idealny moment na wejście.

Stał z przodu łoży i z uśmiechem machał ręką.

Prawie połowa widzów wstała i wznosiła głośne okrzyki, pozostali siedzieli - jedni uprzejmie klaszcząc, inni nie przerywając rozmów, jakby nigdy nic.

Zdawało się to potwierdzać trafność wyników badań opinii publicznej - że Czernopow wyprzedza teraz swego rywalazaledwie o kilka punktów procentowych.

Gdy kurtyna poszła w górę, Connor prędko odkrył, że Żerińskiego balet interesuje równie mało jak malarstwo.

Dla kandydata na prezydenta to był kolejny męczący dzień i Connora nie dziwiło, że od czasu do czasu tłumi ziewanie.

Wcześniej rano wyruszył pociągiem do Jarosławia i od razu, zgodnie z programem, odwiedził fabrykę tekstylną na peryferiach miasta.

Pożegnawszy po godzinie działaczy związkowych, złapał locie kanapkę, zajrzał na targ owocowy, później do szkoły, na posterunek milicji do szpitala, po czym zrobił nieplanowany wypad na rynek miasta i spotkał się z ludźmi.

Na koniec odwieziono go pospiesznie na dworzec, gdzie wskoczył dopociągu, który na niego czekał.

Prawdy, które Żeriński głosił każdemu, kto miał ochotę słuchać, nie różniły się wiele od tych z poprzedniego dnia, poza tym, że "Moskwę" zastąpił "Jarosław".

Goryle otaczający kandydata na prezydenta wyglądali najeszcze większych nowicjuszy niż ochraniarzy gmachu Muzeum Lenina.

Widać miejscowi nie dopuścili Moskwiem na swe terytorium.

Connor zdał sobie sprawę, że zamach na życie Żerińskiego ma o wiele większą szansę powodzenia niż zastolice.

Powinno się go dokonać w mieście dostatecznie dużym, żeby się w nim zgubić, i dość ambitnym, by nie pozwoliło trzem zawodowcom z Moskwy grać pierwszych skrzypiec.

Wyglądało na to, że wizyta Żerińskiego za kilka dni w stoczni w Siewierodwińsku stworzy najlepszą okazję.

Nawet w pociągu do Moskwy Żeriński niepróżnował.

Zwołał do swego wagonu zagranicznych dziennikarzy na kolejną konferencję prasową.

Zanim jednak ktokolwiek zdołał o coś spytać, powiedział:

122

- Czy widzieliście państwo najnowsze sondaże opinii publicznej, według których znacznie wyprzedzam generała Borodina, a od Czernopowa dzielimy tylko jeden punkt?

- Ale pan zawsze nam mówił, żeby lekceważyć badania opinii publicznej - zdobył się na odwagę jeden dziennikarzy.

Żeriński się skrzywił.

Connor trzymał się z tyłu zgłębionej gromady i obserwował człowieka, który mógł zostać prezydentem.

Wiedział, że musiał doskonale poznać grę Żerińskiego, jego ruchy i charakterystyczne pozy, umieć dosłownie powtórzyć jego przemówienie.

Gdy czterygodziny później pociąg stanął na stacji, Connor poczuł, że ktoś go obserwuje.
Ktoś inny niż Mitchell.
Po dwudziestuśmiu latach rzadko się mylił w tych sprawach.
Zastanawiał się, czy Mitchell nieza bardzo rzuca się w oczy i czyoprócz niego nie majeszczekogośbardziej wytrawnego.
A jeżeli tak, too co chodzi?
Wcześniejtego dniaodniósł wrażenie,jakby ktoś lub coś,czegoprzedtem niezauważył, przemknęłomu przez drogę.
Odrzucał urojenia, ale jak każdy profesjonalistanie wierzył w przypadki.
Opuścił dworzec i wrócił tąsamą trasą do hotelu, pewien, że niktza nim nie idzie.
Ale może nie było to konieczne, skoro wiedzą, gdziesię zatrzymał.
Usiłowałodpędzić te myśli, pakując rzeczy.
Dziś wieczór zgubi każdego, kto gośledzi - o ile, oczywiście, nie orientują sięjuż, dokąd zmierza.
W końcu, gdyby wiedzieli, dlaczego jest w Rosji,wystarczyłoby, żeby śledzili program Żerińskiego.
Kilka minut później wymeldował sięz hotelu i uiścił należność gotówką.
Pięć razy zmieniał taksówki, nim z ostatniej wysiadłprzed teatrem.
Oddał worek starej kobiecie, która siedziała za kontuaremw podziemiach, i wypożyczyłornetkę.
Pozostawienie worka upewniało kierownictwo, że lornetka zostanie zwrócona.
Kiedy po spektaklu opadła kurtyna, Żeriński wstał i znówpomachał do publiczności.
Odzew nie był takentuzjastyczny jak przedtem, ale Connor pomyślał,że Żeriński wyszedł z teatru z przekonaniem, iż wizyta się opłaciła.
Na stopniach teatru głośno informowałwychodzącychwidzów,jak bardzo mu się podobał wspaniały taniecJekatieriny Maksimowej.
Czekał na niego i jego świtę sznur samochodów - wsiadł do trzeciego z kolei.
Cała kawalkada wraz z milicyjną eskortą popędziła, abyprzerzucić godo innego pociągu na innej stacji.
Connor zauważył, że liczbę jadących na przedzie motocyklistów zwiększono z dwóch do czterech.

Widocznie inni ludzie też doszli do wniosku, że Żeriński może zostać prezydentem.

Connor przybył na dworzec kilka minut po Żerińskim.

Okazał strażnikowi kartę prasową i kupił bilet na pociąg odchodzący jedenastej pięćdziesiąt dziewięć do Sankt Petersburga.

Znalazł się w przedziale sypialnym, zaryglował drzwi, zapalił lampkę nad łóżkiem i przystąpił do analizy programu Żerińskiego w Sankt Petersburgu.

W wagonie na drugim końcu pociągu kandydat na prezydentarównież przeglądał program wizyty z szefem sztabu wyborczego.

- Znowu zwariowany dzień - utyskiwał, nim jeszcze Titow dołożył wizytę w Ermitażu.

- Po co mam sobie zawracać głowę Ermitażem, skoro jestem w Sankt Petersburgu tylko przez kilka godzin?

- Bo był pan w Muzeum imienia Puszkina, a pominięcie największego muzeum Rosji byłoby obrazą dla mieszkańców Sankt Petersburga.

- Cieszymy się chociaż, że zdążymy wyjechać, zanim kurtyna w Teatrze Kirowa pójdzie w górę.

Żeriński wiedział, że najważniejsze w tym dniu będzie spotkanie z generałem Borodinem i wyższym dowództwem wojskowym w koszarach Kelskow.

Gdyby mu się udało przekonać generała, żeby się wycofał z wyścigu do fotela prezydenckiego i poparł go, wtedy wojsko - prawie dwa i pół miliona ludzi - z pewnością przeszłoby na jego stronę i miałyby zwycięstwo w kieszeni.

Planował, że zaoferuje Borodinowi tekę ministra obrony, ale odkrył, że Czernopow obiecał mu to samo.

Wiedział, że Czernopow spotkał się z generałem poprzedniego poniedziałku i wyjechał z niczym.

Żeriński uznał to za dobry znak.

Zamierzał złożyć Borodinowi ofertę, której ten się nie oprze.

Connor też zdawał sobie sprawę, że jutrzejsze spotkanie z generałem może przesądzić o losie Żerińskiego.

Zgasił światło kilka minut po drugiej w nocy ułożył się do snu.

Mitchell zgasił światło w chwili, gdy pociąg ruszył ze stacji, a lenie spał.

Siergiejnie mógł ukryć podniecenia namysł, że pojedzie petersburskim ekspresem.

Dreptał za Jacksonem do wagonu sypialnego jak zadowolony szczeniak.

Gdy Jackson otworzył drzwi przedziału,

124

chłopiec oznajmił, że jest większy niż jego mieszkanie.

Wskoczył na łóżko, zrzucił buty i nie zdejmując ubrania naciągnął na siebie pościel.

- Oszczędzam sobie mycia i przebierania - wyjaśnił Jacksonowi, wieszającemu marynarkę spodnie na najmarniejszym drucianym wieszaku, jaki widział.

Kiedy Amerykanin słał łóżko, Siergiej potarł łokciem zaparowane okno, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

Nie odzywał się, dopóki pociąg nie zaczął się powoli toczyć.

Jackson wgramolił się na swoje łóżko i zgasił lampkę.

- Ile jest kilometrów do Sankt Petersburga?

- spytał Siergiej.

- Sześćset trzydzieści.

- Jak długo będziemy tam jechali?

- Osiem i pół godziny.

Znowu nas czeka męczący dzień, więc trochę się prześpijmy.

Siergiej zgasił lampkę, ale Jackson nie spał.

Był teraz pewien, jowie, dlaczego jego przyjaciela wystano do Rosji. Najwyraźniej Helen Dexter chciała go się pozbyć, ale Jackson wciąż niewiedział, jak daleko gotowasię posunąć, żeby ratować własną skórę.

Próbował po południu dodzwonić się do Andy'ego Lloyda z swego telefonu komórkowego, ale nie mógł uzyskać połączenia. Nie chciał ryzykować dzwonić z hotelu, postanowił więc, że spróbuje znówu następnego dnia, po wygłoszeniu przez Żerińskiego przemówienia na Placu Wolności, kiedy Waszyngton będzie się budził.

Jackson był pewien, że z chwilą gdy Lloyd się dowie, co wtrawie piszczy, upoważni go do odwołania operacji, zanim będzie za późno.

Zamknąłoczy.

- Jackson, czy jesteś żonaty?

- Nie, rozwiedziony - odparł.

- W Rosji jest teraz co roku więcej rozwodów niż w Stanach.

Wiedziałeś o tym?

- Nie.

Ale przed dwoma dniami przekonałem się, że w twojej głowie aż się roi od takich bezużytecznych wiadomości.

- A dzieci masz?

- Nie - odparł Jackson.

- Straciłem.

- To może byś mnie zaadoptował?

Pojechałbym z tobą do Ameryki.

- Nie sądzę, żeby nawet Ted Turner mógł sobie pozwolić, by akurat ciebie zaadoptować.

Śpij już, Siergiej.

125.

Zapadło długie milczenie.

- Jeszcze jedno pytanie, dobrze?
- Co mam zrobić, żebyś zamilkł?
- Dlaczego ten facet jest dla ciebie taki ważny?

Jackson nie od razu zareagował.

- Dwadzieścia dziewięć lat temu - powiedział w końcu - uratował mi życie w Wietnamie, więc można chyba powiedzieć, że jestemmu coś winien za te lata.

Czy to rozumiałe?

Siergiej odpowiedziałby mu, ale zmorzył go sen.

XV

Władimir Bolczenkow, szef petersburskiej milicji, miał dość sprawna głowiei bez tych czterech tajemniczych telefonów.

Czernopow odwiedził miasto w poniedziałek i żądaniem, aby zapewniono mu kawalkadę samochodową tak dużą, jak uprzednio nieżyjącemu prezydentowi, sparaliżował ruch.

Borodin nie chciał wypuścić swoich ludzi z koszar, dopóki nie dostaną żołdu, i teraz, kiedy wyglądało na to, że wypadł z wyścigu o prezydenturę, znów zaczęły krążyć pogłoski o przewrocie wojskowym.

- Nietrudno przewidzieć, jakie miasto Borodin będzie chciał zająć najpierw - ostrzegł meraszef milicji.

Bolczenkow powołał cały wydział do zwalczania terroryzmu na czas trwania kampanii wyborczej.

Jeżeli zamierzano zabić któregoś kandydatów - to nie w jego mieście.

Tylko w tym tygodniu wydział otrzymał dwadzieścia siedem ostrzeżeń o zamachu na życie Żerińskiego.

Szef milicji lekceważył je jako zwyczajny wygłupzgrai dziwaków i pomyleńców - do chwili, gdy młody porucznik wpadł rano do jego gabinetu.

Był błąd jak ściana i mówił o wiele za szybko.

Szef usiadł i wysłuchał nas, przed chwilą nagranej przez porucznika.

Pierwszy telefon miał miejsce dwadzieścia cztery po dziewiątej, pięćdziesiąt jeden minut po przybyciu Żerińskiego do miasta.

- Dziś popołudniu będzie zamach na życie Żerińskiego - powiedział męski głos o akcencie, którego Bolczenkow nie potrafił określić.

Może to był ktoś ze Środkowej Europy, ale z pewnością nie Rosjanin.

- Wynajęty przez mafię zabójca dokona zamachu, kiedy Żeriński będzie przemawiał na wiecu na Placu Wolności.

Zadzwoń teraz za kilka minut, ale będę mówił tylko z Bolczenkowem.

- Przerwano połączenie.

Rozmowa trwała tak krótko, że sprawdzenie, z jakiego aparatu telefonowano, było niemożliwe.

Bolczenkow od razu poznał, że ma do czynienia z profesjonalistą.

127.

Po jedenastu minutach zatelefonowano ponownie.

Porucznik próbował przeciągać rozmowę, twierdząc, że szukają szefa, ale usłyszał tylko:

- Zadzwoń znowu za kilka minut.

Dopilnujcie, żeby Bolczenkow wtedy był.

To wy tracicie czas, nie ja.

Właśnie wtedy porucznik wpadł do gabinetu szefa.

Bolczenkow tłumaczył jednemu z kompanów Zerińskiego, dlaczego nie może mu przydzielić tylu milicjantów na motocyklach, ilu ich miał Czernopow.

Natychmiast zgasił papierosa i poszedł do swego zespołu antyterrorystycznego.

Po dziewięciu minutach rozległ się dzwonek telefonu.

- Czy jest tam Bolczenkow?

- Przy telefonie.

- Człowiek, którego szukacie, będzie udawał zagranicznego dziennikarza, reprezentującego nie istniejącą gazetę południowoafrykańską.

Przyjechał do Petersburga rano ekspresem z Moskwy.

Działa sam.

Zadzwoń znowu za trzy minuty.

Po trzech minutach zgromadził się cały wydział, żeby posłuchać anonimowego rozmówcy.

- Jestem pewien, że teraz już cały wydział milicji petersburskiej do walki z terroryzmem słucha każdego mojego słowa - zaserwowałem na początek rozmówca.

- Pozwólcie więc, że podam wam pomocną dłoń.

Zabójca jest wysoki, ma niebieskie oczy i rude blond włosy.

Ale prawdopodobnie będzie ucharakteryzowany.

Nie wiem, jak się bierze, ale przecież wy też musicie coś zrobić, żeby zasłużyć na swoje pensje.

- Przerwano połączenie.

Przez następne pół godziny cały zespół odshichiwał w kółko taśmy.

Nagle szef zdusił następnego papierosa.

- Przegrajcie jeszcze raz trzecią taśmę - polecił.

Młody porucznik wcisnął klawisz, ciekaw, co takiego zauważył

zwierzchnik, co umknęło uwagi ich wszystkich.

Przysłuchiwalis się

z napięciem.

- Stop - powiedział szef po kilku sekundach.

- Tak myślałem.

Cofnij taśmę i licz.

- Co mam liczyć?

- chciał spytać porucznik naciskając klawisz.

Tym razem dosłyszał niewyraźny głos zegara podróznego w tle.

Jeszcze raz cofnął taśmę i znowu słuchali.

- Wydzwoń drugą - rzekł porucznik.

- Jeżeli to była druga popołudniu, to nasz informatoremusiał telefonować z

Dalekiego Wschodu.

128

Szef uśmiechnął się.

- Nie sądzę - powiedział.

- Bardziej prawdopodobne, że telefonowano od drugiej w nocy ze Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych.

Maggie siedziała wpatrzona w grubą brązową kopertę leżącą na nocnym stoliku i zastanawiała się, czy znowu z jej powodu spędzi bezsenność.

Nie poruszyła się niemal przez godzinę.

Nagle sięgnęła po telefon stojący przy łóżku i wykręciła numer zaczynający się na 650.

Po dwóch sygnałach podniosła słuchawkę.

- Tara Fitzgerald - odezwał się dziarski głos.

Żadne "halo", ani "dobry wieczór", ani potwierdzenie, że telefonujący dozwonił się pod właściwy numer.

Po prostu zdecydowane oznajmienie nazwiska, tak że nikt nie musiał tracić czasu.

Całkiem jak jej ojciec, pomyślała Maggie.

- Tu mama, złotko.

- Och!

Cześć, mamo.

Czy to znowu samochód, czy też stało się coś poważnego?

- Nie, złotko.

Tylko tęsknię do twego ojca - odparła ze śmiechem.

- Myślałam, że znajdziesz parę chwil, żeby porozmawiać.

- Cóż, ty przynajmniej tęsknisz do jednego mężczyzny.

- Tara specjalnie powiedziała to lekkim tonem.

- A ja do dwóch.

- Tak, ale ty wiesz, gdzie jest Stuart, i możesz do niego zadzwonić, kiedy chcesz.

A ja nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jest twój ojciec.

- To nic nowego, mamo.

Obie wiemy, jakie są zasady, kiedy tata wyjeżdża.

Niewiasty mają siedzieć w domu i potulnie czekać na powrót pana i władcy.

Typowo irlandzkie.

- Tak, wiem.

Ale ten wyjazd szczególnie mnie niepokoi - rzekła Maggie.

- Jest pewna, że niepotrzebnie.

Przecież nie ma go dopiero od tygodnia.

Pamiętasz, mamo, ile już razy objawiał się, kiedy się go najmniej spodziewałaś?

Zawsze sądziłam, że to niegodziwa intryga, żeby się upewnić, czy nie masz kochankę.

Maggie zaśmiała się przymusem.

- Coś jeszcze cię martwi, prawda, mamo?

- cicho powiedziała Tara.

- Co takiego?

- Natknęłam się na zaadresowaną do mnie kopertę, schowaną w szufladzie z jego rzeczami.

9. Jedenaste przykazanie

129.

- Stary romantyk - skwitowała Tara.

- Co miał do powiedzenia?

- Nie mam pojęcia.

Nie otworzyłam jej.

- Dlaczego, na Boga?

- Bo wyraźnie na niej napisał: "Nie otwierać przed siedemnastym grudnia".

- Mamo, jestem pewna, że gdyby ojciec wiedział, że tak cię toniepokoi, to wolałby, abyś ją otworzyła.

- Jego instrukcja jest wyraźna - rzekła Maggie.

- Żałuję tylko, że zauważyłam tę kopertę.

- Kiedy ją znalazłaś?

- W środę.

Była schowana między jego sportowymi rzeczami w szufladzie, którą rzadko otwieram.

- Trzy dni temu - powiedziała Tara.

- Ja nie wytrzymałabym nawet trzech minut.

- Wiem, kochanie - stwierdziła Maggie - ale jednak myślę, że poczekam jeszcze kilkadziesiąt dni.

Włożę ją z powrotem do szuflady na wypadek, gdyby nagle wrócił.

Wtedy nigdy się nie dowie, że się na nią natknęłam.

- Może powinnam przylecieć do Waszyngtonu.

- Dlaczego?

- żeby ci pomóc otworzyć.

- Nie bądź głupia.

Taro.

- Nie głupsza niż ty, która tam siedzisz sama i zamartwiasz się, co może być w środku.

- Chyba masz rację.

- Mamo, skoro jesteś taka niezdeterminowana, po prostu zadzwoń do Joani i spytaj ją o radę.

- Już ją pytałam.

- I co powiedziała?

- żeby otworzyć.

Bobolczek siedział za biurkiem w pokoju operacyjnym i patrzył na doborową dwudziestkę mężczyzn.

Potarł zapalniczką o pudełko i zapalił siódmego tego ranka papierosa.

- Ilu ludzi spodziewamy się o południu na placu?

- zapytał.

- Możemy się tylko domyślać, szefie - odezwał się najstarszy stopniem, umundurowany oficer - ale niewykluczone, że nawet sto tysięcy.

Rozległ się szmer wymienianych szeptem uwag.

130

- Cisza!

- ostro powiedział szef.

- Dlaczego aż tyle, kapitanie?

Czernopow zgromadził siedemdziesiąt tysięcy.

- Żeriński to postać wiele bardziej charyzmatyczna, a teraz, kiedy sondaże pokazują wzrost jego popularności, może się okazać jeszcze bardziej atrakcyjny.

- Ilu ludzi może pan tam wysłać?

- Wszyscy, którymi rozporządzam, będą na placu.

Odwołałem wszystkie przepustki.

Rozdałem też opis tego mężczyzny w nadziei, że uda się go zatrzymać, zanim dotrze naplac. Ale tylko nielicznymają jakiegokolwiek doświadczenie w sprawach tego kalibru.

- Jeżeli rzeczywiście naplac ściągnięto tysięcy ludzi - powiedział Bolczenkow - to dla mnie też będzie to coś nowego.

Czy wszyscy pańscy funkcjonariusze otrzymali opis?

- Tak, ale jest wielu cudzoziemców z niebieskimi oczami i rudoblondwłosami.

I proszę pamiętać, że im nikt nie powiedział, dlaczego chcemy go przesłuchać.

Nie możemy wywoływać paniki.

- Zgoda.

Ale nie chciałbym sponosić goteraz tylko po to, żeby daćmu drugą szansę później.

Czyktoś zebrał jeszcze jakieś informacje?

- Tak, szefie - odpowiedział młodszy mężczyzna, który stał w głębi sali oparty o ścianę. Bolczenkow zgasił papierosa i skinął głową.

- Oficjalnie wyborami zajmujesz trzech południowoafrykańskich dziennikarzy.

Moim zdaniem opis przekazany przez naszego informatora najbardziej pasuje do tego, który nosi nazwisko Piętdę Yilliers.

- Jest coś o nim w komputerze?

- Nie pod tym nazwiskiem - powiedział młody oficer.

- Ale policjaj w Johannesburgu była nadzwyczaj uczynna.

Mają w swoim rejestrze trzech mężczyzn o tym nazwisku, sprawców przestępstw drobnych kradzieży po bigamię, ale żaden z nich nie odpowiada opisowi, zresztą dwóch obecnie jest pod kluczem.

Gdzie znajduje się trzeci - nie wiedzą.

Wspomnieli także o powiązaniu z sprawą kolumbijską.

- To znaczy?

- spytał Bolczenkow zapalając kolejnego papierosa.

- Kilka tygodni temu CIA rozesała poufny okólnik podając szczegóły zabójstwa kandydata na prezydenta w Bogocie.

Chyba trafili na ślad zabójcy w Afryce Południowej, potem go zgubili.

Skontaktowałem się z moim oficerem kontaktowym w CIA, ale jedyne, co mógł mi powiedzieć, to to, że ten człowiek znów jest w akcji i że ostatnio go widziano, kiedy wsiadał do samolotu do Genewy.

131.

- To wszystko, czego potrzebuję - powiedział szef petersburskiej milicji.
- Zapewne nie pojawił się podczas wizyty Żerińskiego w Ermitażu dziś rano?
 - Nie, szefie - odezwał się inny głos.

- Niew korpusie prasowym.

Było tam dwudziestu trzech dziennikarzy tylko dwóch mniej więc odpowiadało opisowi. Jeden z nich to Clifford Symonds, prezenterz CNN, a drugiego znam od lat, gram z nim w szachy.

- Wszyscy w pokoju wybuchnęli śmiechem, który rozładował napięcie.

- Dachy i budynki?

- spytał Bolczenkow.

- Odkomenderowałem dwunastu ludzi do ubezpieczenia dachów wokół placu - powiedział dowódca oddziału strzelców.

- Większość budynków to siedziby instytucji, więc przy każdym wejściu i wyjściu postawię cywilnych funkcjonariuszy.

Gdyby ktoś odpowiadający opisowi próbował wejść na plac lub do któregoś z przyległych domów, z miejsca zostanie aresztowany.

- Uważajcie, żeby nie aresztować jakiegoś zagranicznego dygnitarza i nie wpakować nas w jeszcze gorsze kłopoty.

Są pytania?

- Tak, szefie.

Czy rozważał pan możliwość odwołania wiecu?

- zapytał ktoś z tyłu.

- Owszem, ale ją odrzuciłem.

Gdybym za każdym razem, kiedy dostaję pogrózkę pod adresem jakiejś osobistości, odwoływał zgromadzenie, nasze linie telefoniczne byłyby zablokowane telefonami niedowierzonych radykałów, których jedynym zajęciem jest wywoływanie zamętu.

Zresztą to może być fałszywy alarm.

A nawet jeśli de Villiers krąży w mieście, kiedy zobaczy, że obstawiliśmy teren, może zrezygnować.

Jeszcze jakieś pytania?

Nikt się nie poruszył.

- Jeśli ktoś z was natknie się na cokolwiek, powtarzam - cokolwiek - chcę o tym natychmiast wiedzieć.

Niech Bóg ma w swojej opiece tego, który mi później powie: "Nie wspominałem o tym, szefie, bo nie myślałem wtedy, że to ważne", i

Connor goilił się przy włączonym telewizorze.

Hillary Bowker zaznajamiała widzów z najnowszymi wydarzeniami w Stanach.

Ustawa o ograniczeniu broni przeszła z biedą w Izbie Reprezentantów, większością zaledwie trzech głosów.

Jednak Tom Lawrence nazwał rezultat triumfem zdrowego rozsądku.

Ale eksperci już ostrzegali, że w Senacie może pójść wiele gorzej.

- Nic podobnego - zapewnił prezydent dziennikarzy podczas po 132 ranej konferencji prasowej.

Connor się uśmiechnął.

- Izba Reprezentantów po prostu spełniła wolę narodu i jestem przekonany, że Senat uczyni to samo.

Prezydenta zastąpiła ładna dziewczyna o płomiennie czerwonych włosach.

Na jej widok Connor pomyślał o Maggie.

Kiedyś powiedział, że przyswojej pracy powinien poślubić spikerkę.

- A teraz, żeby się więcej dowiedzieć o zbliżających się wyborach w Rosji, łączymy się z Cliffordem Symondsem, naszym korespondentem w Sankt Petersburgu.

Connor przestał się golić i utkwiał wzrok w ekranie.

- Badania opinii publicznej wskazują, że szansę dwóch czołowych kandydatów, premiera Grigorija Czernopowa i przywódcy komunistów Wiktora Żerińskiego są wyrównane. Kandydat komunistyczny dziś po południu będzie przemawiał na Placu Wolnościawiecu, który według przewidywań policji zgromadzi aż sto tysięcy ludzi. Przed południem Żeriński spotka się prywatnie z generałem Borodinem, który, jak się oczekuje, wkrótce ogłosi, że wycofuje się z wyścigu z powodu słabych wyników w najnowszych sondażach opinii publicznej.

Nie wiadomo, któremu z dwóch głównych kandydatów udzieli poparcia, a od tej decyzji zależy wynik wyborów.

Mówił Clifford Symonds dla CNN, Sankt Petersburg.

Na ekranie ponownie pojawiła się twarz Hillary Bowker.

- A teraz o pogodzie w waszej części świata - powiedział szeroko uśmiechem.

Connor wyłączył telewizor, gdyż nie interesowała go temperatura na Florydzie.

Roztarł jeszcze trochę piany na twarzy i dalej się golił.

Postanowił już, że nie weźmie udziału w porannej konferencji prasowej Żerińskiego, która ograniczy się do mowy pochwalnej sekretarza prasowego na temat tego, czego jego boss dokonał jeszcze przedśniadaniem, ani nie pójdzie do Ermitażu, gdzie głównym jego zajęciem byłoby unikanie Mitchella.

Skoncentruje się natomiast na najważniejszym publicznym występie Żerińskiego tego dnia.

Znalazł już wygodną restaurację po zachodniej stronie placu.

Nie słygnęła co prawda z dobrej kuchni, ale miała tę zaletę, że położona była na drugim piętrze i jej okna wychodziły na Plac Wolności.

Co ważniejsze, miała tylne wejście, więc nie będzie musiał wchodzić na plac wcześniej niż to konieczne.

Wyszedłszy z hotelu, zadzwonił do restauracji z najbliższej budki telefonicznej i zamówił narożny stolik przy oknie na dwunastą.

Po 133.

tem wybrał się na poszukiwanie samochodu do wynajęcia, co byłoby jeszcze trudniejsze w Sankt Petersburgu niż w Moskwie.

Czterdzieści minut później wjechał do centrum i zostawił pojazd na podziemnym parkingu tuż przy Placu Wolności.

Zdecydował, że po rozmowie wróci do Moskwy samochodem.

W ten sposób szybko się przekonał, czy ktoś go śledzi.

Przewędrował kawałek ulicą, wszedł do najbliższego hotelu i wsunął starszemu portierowi banknot dwudziestodolarowy tłumacząc, że potrzebuje pokoju na godzinę, żeby wziąć prysznic i się przebrać.

Gdy zjechał windą na dół kilka minut przed dwunastą, starszy portier go nie poznał.

Connor zostawił sukienki w worek i powiedział, że zabierze go około czwartej.

Chowając worek pod kontuar portiera po raz pierwszy zauważył walizkę.

Ponieważ na obu widniała nalepka z tym samym nazwiskiem, umieścił je razem.

Connor szedł powoli boczną uliczką blisko Placu Wolności.

Minał dwóch milicjantów, którzy indagowali wysokiego, rudobłond cudzoziemca.

Nawet się za nim nie obejrżeli, gdy wśliznął się do bramy i pojechał windą do restauracji na drugie piętro.

Podał szefowi swoje nazwisko i natychmiast został zaprowadzony do stolika w kącie.

Usiadł tak, że był zasłonięty przed większością gości, ale miał widok z góry na plac poniżej.

Myślał o tym, jak długo Lawrence będzie zwlekał z podjęciem decyzji, gdy stanął przy nim kelner i podał mu kartę dań.

Connor spojrzał w okno i ze zdumieniem stwierdził, że plac już zaczyna się zapelniać, chociaż doprzybycia Żerińskiego brakowało jeszcze dwu godzin.

Zauważył w tłumie kilku milicjantów w cywilu.

Dwóch czy trzech młodszych uczepliło się do pomników i omiatało wzrokiem plac.

Ale czego szukali?

Czy szef milicji był przesadnie ostrożny, czy też bał się jakiejś demonstracji podczas przemówienia Żerińskiego?

- Czy mógłbym przyjąć od pana zamówienie?

- spytał szef sali, który znów do niego podszedł.

- Milicja poleciła nam zamknąć restaurację o drugiej.

- Wobec tego poproszę o jednogodzinowy stek - powiedział Connor.

XVI

- Jak myślisz, gdzie on jest?

- spytał Siergiej.

- Gdzieś tutaj, ale na ile go znam, nie sposób będzie go znaleźć w tym tłumie - odparł

Jackson.

- To jakby szukać igły w stogu

siana.

- Czy ktoś kiedy zgubił igłę w stogu siana?

- Przestań mędrkować i rób to, za co ci płacą - rzekł Jackson.

- Dam ci dziesięć dolarów premii, jeżeli go wypatrzysz.

Pamiętaj, jest prawdopodobnie ukształtowany.

Siergiej nagle bardzo się zainteresował rojącem się tłumem.

- Widzisz tego faceta na najwyższym stopniu w północnym narożniku placu?

- zapytał.

- Rozmawia z milicjantem.

- Tak - odparł Jackson.

- To Władimir Bolczenkow, szef milicji.

Porządny gość, chociaż jest drugim najważniejszym człowiekiem w Sankt Petersburgu.

- A kto jest pierwszy?

Mer?

- Nie, jego brat Josif.

Boss petersburskiej mafii.

- Czy nie wynika z tego drobna sprzeczność interesów?

- Nie.

Tu aresztuje się tylko tych, którzy nie są w mafii.

- Skąd masz te wszystkie informacje?

- zagadnął Jackson.

- Od matki.

Spała z nimi obydwoje.

Jackson zaśmiał się.

Obserwował dalej szefa petersburskiej milicji, rozmawiającego z oficerem w mundurze.

Chętnie by posłuchał, o czym mówią.

Gdyby to się działo w Waszyngtonie, CIA potrafiłaby odtworzyć każde ich słowo.

- Widzi pan tych smarkaczy przyklejonych do posągów?

- spytał wyższy oficer, który stał obok Bolczenkowa.

- Co to za jedni?

- Gdyby się pan przypadkiem zastanawiał, dlaczego ich nie

135.

aresztowałem, to informuję, że to moi chłopcy i że stamtąd mają najlepszy widok na tłum. Niech się pan obejrzy, szefie: sprzedawca hotdogów, tych dwóch wózkami kwiatów, czterech gazeciarzy - towszystko moi ludzie.

A przecnie dalej mam dwanaście autobusów pełnych mundurowej milicji, które mogą tu natychmiast podjechać.

Poza tym w ciągu następnej godziny na placu będzie się kręciło stu agentów w cywilu. Wszystkiewyjścia są strzeżone, a każdy, kto ma widok na plac, na karku będzie miał mojego człowieka.

- Jeżeli on jest taki dobry jak myślę - rzekł szef milicji - to znajdzie miejsce, o jakim się panu nie śniło.

Connor zamówił kawę i dalej obserwował plac poniżej.

Chociaż doprzybycia kandydata brakowało jeszcze pół godziny, plac był już pełen ludzi, od czcicieli Żerińskiego po zwyczajnych ciekawskich.

Patrzył z rozrywaniem, jak sprzedawca hot dogów bardzo się stara, żeby się nie wydało, że jest milicjantem.

Biedakowi znów się oberwało - pewno poskapił sosu pomidorowego.

Connor spojrział nad róg strone placu.

Mała trybuna wzniesiona dla prasy była teraz jedynym pustym miejscem.

Zastanawiał się, dlaczego tak wielu tajniaków snuje się wokół, znacznie więcej niż potrzeba, aby nie dopuścić przypadkowych przechodniów na zastrzeżony obszar.

Coś się tu nie zgadzało.

Gorąca kawa, którą przed nim postawiono, przerwała te rozmyślenia.

Popatrzył na zegarek.

Spotkanie Żerińskiego z generałem Borodinem powinno się już skończyć.

Wszystkie stacje telewizyjne podadzą jego rezultat jak pierwszą wiadomość.

Connor był ciekaw, czy odgadnie z zachowania Żerińskiego, czy dobił targu.

Poprosił o rachunek i czekając na kelnera po raz ostatni objął wzrokiem scenę poniżej.

Żaden zawodowiec nigdy by niewziął pod uwagę Placu Wolności jako strefy ataku.

Niezależnie od wszystkich przeszkód, które rozpoznał, rzucała się w oczy skrupulatność szefa milicji.

Mimo to Connor uznał, że przy tak wielkim tłumie będzie miał najlepszą okazję, aby z bliska przyjrzeć się Żerińskiemu, i dlatego postanowił tym razem nie siadać między dziennikarzami.

Zapłacił rachunek gotówką, wolnym krokiem podszedł do dziewczyny siedzącej w małym boksie i podał jej numerki.

Oddała mu płaszcz i kapelusz, on jej wręczył banknot pięćdziesięciuroblowy.

Gdzieś przeczytał, że starzy ludzie zawsze zostawiają małe napiwki.

Dołączył do strumienia pracowników wychodzących z biur najpierwszym piętrze; widać zwolniono ich, by wzięli udział w wiecu.

136

Wszyscy kierownicy w bliskim sąsiedztwie placu pogodzili się prawdopodobnie z faktem, że tego popołudnia nicy pracy.

Dwaj milicjanci w cywilu, stojący o kilka kroków od drzwi, kontrolowali grupę urzędników, jednak na mroźnym powietrzu ludzie tylko minimalnie się odślaniali.

Connora niósł tłum wylewający się nachodnik.

Plac Wolności był już zatłoczony.

Connor przeciskał się między ludźmi, torując sobie drogę ku podium.

Tłum musiał liczyć do czterech tysięcy siedemdziesięciutysięcy ludzi.

Connor wiedział, że szef milicji modli się o burzę z piorunami, ale był to typowy zimowy dzień w Sankt Petersburgu - zimny, rześki i bezchmurny.

Spojrzał w stronę odgraniczonego linami miejsca dla prasy, wokół którego panował spory ruch.

Uśmiechnął się, gdy dostrzegł Mitchella na posterunku, około dziesięciu kroków od miejsca, gdzie normalnie by siedział.

Niedziś, przyjacielu.

Przynajmniej tym razem Mitchell miał ciepły płaszcz i stosowne nakrycie głowy.

Dobry dzień dla kieszonkowców - zauważył Siergiej pilnie przyglądając się tłumowi.

- Nie balibysię przy takim zagęszczeniu milicjantów?

- spytał

Tackson.

- Zawsze można spotkać gliniarza nie w porę - powiedział Siergiej.

- Widziałem już, jak kilku recydywistów nawiewa z portfelami, ale milicjanie zwracają uwagi.

- Mają dość na głowie.

Tu naplacujecie prawie stotysięcy ludzi, a Żeriński nadjedzie lada moment.

Siergiej utkwili wzrok w szefie milicji.

- Gdzie on jest?

- pytał Bolczenkow sierżanta z radiotelefonem.

- Wyszedł ze spotkania z Borodinem przed osiemnastoma minutami i jedzie ulicą

Prejti.

Powinno być za jakieś siedem minut.

- Więc za siedem minut zaczną się kłopoty - rzekł szef i spojrzał na zegarek.

- A może on spróbuje zaatakować Żerińskiego w samochodzie?

- Niemożliwe - powiedział szef milicji.

- Mamy do czynienia z zawodowcem.

Nie strzelałby do ruchomego celu, zwłaszcza w pancernym samochodzie.

Zresztą, nie byłby pewien, którym wozem jedzie Żeriński.

Nie, on jest gdzieś tutaj w tym tłumie.

Czuję to przez skórę.

Trzeba pamiętać, że kiedy ostatnio porwał się na coś podobnego, mierzył do celu znajdującego się na otwartej przestrzeni.

Wte

dy prawie nie sposób trafić kogoś innego, a przy tak wielkim tłumieniu się większą szansę ucieczki.

Connor wciąż posuwał się wolno w stronę podium.

Obrzucił tłum spojrzeniem i wyłowił jeszcze kilku milicjantów w cywilu.

Żeriński nie miałby nic przeciwko ich obecności, gdyż zwiększali jeszcze tłum.

Zależałomu tylko na liczniejszejwidowni, niż miał Czernopow.

Connor sprawdził dachy.

Kilkunastu strzelców wyborowych obserwowało tłum przez lornetki.

Nie rzucaliby się bardziej w oczy, gdyby mieli nasobie żółte kombinezony.

Ponadto plac okalał kordonconajmniej dwustu milicjantów w mundurach.

Najwyraźniejszef milicji wierzył w moc odstraszania.

W oknach budynkówwokół placu pełno byłourzędników, którzy chcieli mieć jak najlepszy widok na to, co się dzieje w dole.

Connor jeszcze raz spojrząłna oddzielone linami miejsce dla prasy, którezaczynało się zapelniać.

Policjanci wszystkich dokładnie legitymowali - nie byłoby wtym nicnadzwyczajnego, gdyby nie to, że niektórych dziennikarzy proszono o zdjęcie nakryć głowy.

Connorprzyglądał się parę chwil.

Wszyscy oni mieli dwie wspólne cechy: byli mężczyznami i byli wysocy.

Uświadomiwszy to sobie, stanąłjakwryty.

Wtem kątem oka zauważyłw tłumie Mitchella w odległośćikilku kroków od siebie.

Zmarszczyłbrwi.

Jakim sposobem młodyagent go rozpoznał?

Znienacka, jak grom z jasnegonieba, za jego plecami zerwał siępotężny ryk, jakby na scenie stanęlagwiazda rocka.

Odwrócił sięujrzał, jak kawalkada samochodów powoli objeżdża plac naokołoi zatrzymuje sięw północno-wschodnim narożniku.

Tłum entuzjastycznie bił brawo, choć ludzie nie mogli widzieć kandydata, gdyżokna wszystkich samochodów były zaciemnione.

Drzwi ziłówtwarto, ale nie sposób się byłozorientować, czy Żeriński jestwśród wysiadających, gdyż otaczali go ciasnym murem krzeczygoryle.

Gdy chwilę później kandydat wstała schody, tłum zacząłwznosić głośne okrzyki, które się nasilały, kiedy zbliżał siędo skrajupodium.

Stanął i pomachałnajpierw w jedną, potem w drugą stronę.

Teraz Connor już mógłby powiedzieć, ile zrobi kroków, nim stanieiznowu pomacha.

Ludzie podskakiwali, żeby coś zobaczyć, leczConnor nie zwracałuwagi na to zamieszanie.

Obserwował milicjantów; większość nie pa138

trzyła na podium.

Wypatrywali czegoś lub kogoś.

Przez głowęprzemknęła mu myśl, lecz natychmiast ją odrzucił.

Nie, to niemożliwe.

Ogarnia go paranoja.

Kiedyśpewien agent weteran powiedział mu, że najgorzej jest podczasostatniego zadania.

Ale w razie wątpliwości zawsze obowiązuje tasama zasada: wydostać się z niebezpiecznego rejonu.

Rozejrzał się wokoło, zastanawiając się, którądywyjść.

Tłum stopniowo cichł, czekając na pierwsze słowa Żerińskiego.

Connor postanowił, że zacznie się posuwać kup północnej stronie placu, gdy nastąpi długotrwała owacja.

Wówczas prawdopodobieństwo, że zostanie dostrzeżony, prześlizgując się między ludźmi, będzie mniejsze.

Niemal odruchowo sprawdził, gdzie jest Mitchell.

Stał nadal w odległości kilku kroków w prawo, nawet trochę bliżej niż wtedy, gdy Connor zobaczył go pierwszy raz.

Żeriński zbliżał się do mikrofonu ze wzniesionymi rękoma, dając w ten sposób tłumowi znak, że przemówi.

- Widzę igłę - rzekł Siergiej.

- Gdzie?

- spytał Jackson.

- Stoi twarzą do Żerińskiego, w odległości około dwudziestu kroków od podium.

Ma włosy innego koloru i porusza się jak stary człowiek.

Należy mi się dziesięć dolarów.

- Jak go wypatrzyłeś z tej odległości?

- spytał Jackson.

- Jest jedynym człowiekiem, który próbuje opuścić plac.

Jackson podał chłopcu dziesięć dolarów w chwili, gdy Żeriński stanął przed mikrofonem.

Niemłody mężczyzna, który witał go w Moskwie, siedział samotnie w głębi podium.

Żerińskinie pozwolił mu powtórzyć drugi raz tego samego błędu.

- Towarzysze!

- zaczął donośnym głosem.

- To dla mnie wielka zaszczyt, że staję przed wami jako wasz kandydat.

Z każdym dniem coraz bardziej sobie uświadamiam.

Badając wzrokiem tłum, Connor znów ujrzał Mitchella.

Zbliżył się do niego jeszcze o krok.

- Chociaż niewielu obywateli chciałoby, żeby wróciły dawne, totalitarne czasy, przeważająca większość.

Tylko zmienił pojedyncze słowo tu i tam - pomyślał Connor.

Spojrzał na prawo.

Co ten Mitchell kombinuje?

- ...

pragnie sprawiedliwszego podziału bogactwa, wytworzonego; dzięki ich umiejętnościom i ciężkiej pracy.

- Gdy tłum zaczął wznosić okrzyki, Connor szybko zrobił kilka kroków w prawo.

Gdy wrzawa ucichła, zastygł bez ruchu.

139.

- Dlaczego ten człowiek z ławki chodzi za twoim przyjacielem?

- Bo to amator - rzekł Jackson.

- Albo zawodowiec, który dobrze wie, co robi - poddał Siergiej.

- Mój Boże, nie mów mi, że wychodzę z obiegu - powiedział Jackson.

- Jak dotąd jeszcze go tylko nie pocałował - zauważył Siergiej.

- Spójrzcie, przyjaciele, na ulice Sankt Petersburga - mówił dalej Zeriński.

- Tak, zobaczycie mercedesy, BMW i jaguary, ale kto nim jeździ?

Tylko garstka uprzywilejowanych.

Kiedy tłum zgotował mówcy owację, Connor postąpił kilka kroków w kierunku północnym.

- Tęsknie wyglądam dnia, kiedy nie będziemy jedynym krajem na świecie, który ma więcej luksusowych limuzyn niż zwykłych samochodów.

Connor zerknął za siebie i stwierdził, że Mitchell zbliżył się do niego dwa, może trzy kroki.

Co on wyprawia?

- ...

Więcej rachunków w bankach szwajcarskich niż w szpitali.

Będzie musiał go zgubić podczas następnej owacji.

Skupił się na

słowach Zerińskiego, by dokładnie przewidzieć, kiedy ma wykonać następny ruch.

- Chyba go mam - powiedział milicjant w cywilu, z lornetką przy oczach.

- Gdzie, gdzie?

- spytał Bolczenkow, chwytając lornetkę.

- Na wprost, pięćdziesiąt metrów dalej, ani drgnie.

Stoi przed kobietą w czerwonej chusteczce.

Nie wygląda jak na fotografii, ale kiedy tylko tłum zaczyna wiwatować, porusza się owiele za szybko jak nikt w tym wieku.

Bolczenkow nastawił lornetkę.

- Mam go - powiedział.

Po kilku sekundach dodał: - Tak, to może być on.

Poleć tym dwóm bardziej w prawo, żeby się podkradli i aresztowali go, a parze dwadzieścia metrów przed nim każ ich ubezpieczać.

Załatwmy to jak najszybciej.

- Młody oficer miał niespokojną minę.

- W razie pomyłki - dodał szef milicji - biorę odpowiedzialność na siebie.

- Nigdy nie zapominajmy - ciągnął Zeriński - że Rosją może znówu być najpotężniejszym państwem świata.

Mitchell znajdował się teraz tylko o krok od Connora, który udawał, że go nie widzi.

Za kilka sekund, gdy Zeriński powie, co zrobi, kiedy zostanie prezydentem, wybuchnie długotrwała owacja.

140

^

Żadnych rachunków bankowych zasilanych łapówkami nieuczciwych biznesmenów - ta fraza zawsze pobudzała tłum do najgłośniejszych wiwatów.

Wtedy się wymknie i dopilnuje, żeby Mitchella przerzucono do pracy urzędniczej w jakiejś zapadłej dziurze nekanej przez moskity.

- ...

będę wam służył z poświęceniem i zadowolę się w pełni pensją prezydenta, zamiast brać łapówki od nieuczciwych biznesmenów, których interesuje tylko grabież majątku narodowego.

Wybuchła wrzawa.

Connor nagle się obrócił i zaczął się przepychać w prawo.

Zrobił za ledwie trzy kroki, kiedy pierwszy milicjant schwycił go za lewe ramię.

Sekundę później drugi natarł na niego z prawej.

Powalili go na ziemię, lecz on wcale nie stawiał oporu.

Pierwsza zasada: jeżeli nie masz nic do ukrycia, nie broń się przed aresztowaniem.

Wykręcono mu ręce do tyłu i założono kajdanki.

Wokół trzech mężczyzn ludzie utworzyli krąg.

Teraz bardziej interesowało ich to uboczne widowisko niż słowa Żerińskiego.

Mitchell stał z tyłu, czekając na nieuchronne: "Kto to jest?"

".

- Zabójca wynajęty przez mafię - wyszeptał do uszu najbliższych stojących.

Wycofując się w stronę miejsca dla prasy, co chwilę mruczał: - Mafijny zabójca.

- Bądźcie pewni, zacni obywatele, że gdy zostanę prezydentem, dopilnuję.

- Jest pan aresztowany - powiedział trzeci mężczyzna, którego Connor nie mógł zobaczyć.

Nos miał przyciśnięty do ziemi.

- Zabrać go - powiedział ten sam władczy głos i Connora powleczono na północny kraniec placu.

Żeriński zauważył zamieszanie w tłumie, ale jako stary zawodowiec je zignorował.

- Gdyby został wybrany Czernopow - ciągnął bez zająknięcia - Amerykanie bardziej by się liczyli ze zdaniem Meksyku niż Rosji.

Jackson nie odrywał oczu od Connora, gdy tymczasem tłum szybko się rozstał, żeby zrobić przejście dla milicji.

- Przyjaciele, zostało tylko sześć dni, nim naród zadecyduje.

Mitchell oddalił się szybko w stronę podium dla prasy.

- Nie róbcie tego dla mnie.

Ani nawet dla partii komunistycznej.

Zróbcie to dla następnego pokolenia Rosjan.

Samochód milicyjny w asyście czterech motocyklów torował sobie drogę wyjeżdżając z placu.

- ...

żeby mogli grać rolę obywateli największego narodu świata.

141.

Proszę tylko o jedno: o zaszczyt przewodzenia temu narodowi.

-Tym razem milczał, dopóki się nie upewnił, że słuchają go wszycyna placu.

Wtedy cicho zakończył: - Towarzysze, pragnę wam służyć.

Cofnął się i nagle dźwięk syren milicyjnych utonął w ryku, który wyrwał się ze stu tysięcy gardel.

Jackson spojrział w stronę miejsca dla prasy.

Spostrzegł, że dziennikarzy o wiele bardziej interesuje oddalający się samochód milicyjny niż często powtarzane słowa Żerińskiego.

- Zabójca wynajęty przez mafię- informowała kolegę tureckadziennikarka.

O tym "fakcie" usłyszała od kogoś w tłumie, kogo potem przytoczy jako "wiarygodne źródło".

Mitchell spoglądał w górę na szereg kamerzystów, którzy filmowali samochód milicyjny z błyskającym niebieskim światłem, póki nie znikł im z oczu.

Utkwił wzrok w człowieku, z którym musiał zamienić kilka słów.

Czekał cierpliwie, a kiedy wreszcie Clifford Symonds spojrział w jego kierunku, dał mu znak, że chce z nim pilnie porozmawiać.

Reporter CNN szybko podszedł do amerykańskiego attache kulturalnego, który stał wśród wiwatującej masy.

Żeriński trwał na środku podium, sycąc się czołobitnością tłumu.

Nie miał zamiaru odchodzić, póki tłum wył na jego cześć.

Symonds uważnie słuchał słów Mitchella.

Miał wejść na wizję za dwadzieścia minut.

Jego śmiech z każdą sekundą stawał się coraz szerszy.

- Jesteś absolutnie pewien?

- zapytał, gdy Mitchell skończył.

- Czy kiedyś cię zawiodłem?

- odpowiedział pytaniem Mitchell, przybierając obrażony ton.

- Nie, nigdy - odparł przepraszająco Symonds.

-Ale musisz trzymać tę informację o milion mil od ambasady.

- Oczywiście.

Ale jakie mam wskazać źródło?

- Bystrą i sumienną milicję.

Temu szef milicji z pewnością niezaprzeczy.

Symonds roześmiał się.

- Lepiej porozumiem się z redaktorem wydania, jeśli to ma pójść na pierwszym miejscu w dzienniku porannym.

-Dobrze.

Tylko pamiętaj - nie wygadaj się, że dowiedziałeś się odemnie.

- Czy kiedyś cię zawiodłem?

- odgryzł się Symonds.

Odwrócił się i popędził w stronę pomostu dla prasy.

142

Mitchell przemknął się przeciwnym kierunkiem.

Był jeszcze jeden chętny, któremu należało podszeptać tę historyjkę i trzeba było to zrobić, zanim Żeriński zejdzie ze sceny.

Kordon goryli zagradzał drogę nadmiernie entuzjastycznym wielbicielom kandydata na prezydenta.

Mitchell dojrzał sekretarza prasowego Żerińskiego w odległości kilku kroków, napawającego się owacją na cześć przywódcy.

Mitchell zwrócił się do jednego ze strażników bezbłędnie po rosyjsku, wskazując mu, z kim chce mówić.

Drab odwrócił się na pięcie i krzyknął na sekretarza prasowego.

Mitchell pomyślał, że jeżeli Żeriński wygra, jego prezydentura nie będzie się odznaczać subtelnością.

Sekretarz prasowy natychmiast dał znak, by przepuścić Amerykanina, więc ten wkroczył na otoczony kordonem obszar i podszedł do swego kolejnego partnera szachowego.

Szybko przekazał mu wiadomość, informując, że de Yilliers był ucharakteryzowany nastarcą i podając, z którego hotelu wyszedł tuż przed wejściem do restauracji.

Ponieważ się do Fitzgeralda i Jacksona dotarło, że mieli do czynienia z prawdziwym zawodowcem.

XVII

Prezydent i szef personelu Białego Domu siedzieli sami w Pokoju Owalnym i oglądali poranny dziennik telewizyjny.

Żaden z nich nie odezwał się słowem, kiedy Clifford Symonds przekazywał swoje sprawozdanie.

- Międzynarodowy terrorysta został aresztowany dziś po południu na Placu Wolności, w trakcie przemówienia przywódcy komunistów Wiktora Żerińskiego. Mężczyznę, którego nazwiska jeszcze nie znamy, zamknięto w osławionym więzieniu Kriesty, w centrum Sankt Petersburga.

Tutejsza milicja nie wyklucza, iż może to być ten sam człowiek, którego ostatnio łączono z zabójstwem Ricarda Guzmana, prezydenckiego kandydata w Kolumbii.

Przypuszcza się, że mężczyzna zatrzymany przez milicję śledził Żerińskiego od kilku dni, gdy ten objeżdżał kraj podczas kampanii wyborczej.

Zaledwie w zeszłym tygodniu "Newsweek" pisał o nim, że jest najdroższym na Zachodzie zabójcą na zlecenie.

Sądzi się, że rosyjska mafia zaoferowała mu milion dolarów za wyeliminowanie Żerińskiego z wyścigu do prezydentury.

W czasie aresztowania trzeba było czterech milicjantów, żeby go obezwładnić.

Następnie puszczono materiał filmowy ze sceną aresztowania i wyprowadzenia jakiegoś mężczyzny, ale najlepsze ujęcie, jakie udało się nakręcić, pokazało tylko tył głowy w futrzanej czapce.

Na ekranie ponownie pojawiła się twarz Symonasa.

- Kandydat komunistyczny kontynuował przemówienie, chociaż aresztowanie miało miejsce kilka kroków od podium.

Później Żeriński pochwalił milicję w Sankt Petersburgu za sumienność i profesjonalizm i oświadczył, że niezależnie od tego, ile razy próbowano by targnąć się na jego życie, nie gonie powstrzyma od zwalczania zorganizowanej przestępczości.

Obecnie Żeriński ma takie same notowania w sondażach opinii publicznej jak premier Czernomysz, ale zdaniem licznych

144

obserwatorów dzisiejszy incydent wpłynął na zwiększenie jego popularności w końcowej fazie kampanii.

Kilka godzin przed wiecem Żeriński spotkał się prywatnie z generałem Borodinem w jego siedzibie w północnej części miasta.

Nikt nie zna rezultatu tych rozmów, ale rzecznicy generała nie zaprzeczają, że wkrótce zakomunikuje, czy zamierza kontynuować swoją kampanię o prezydenturę i, co zapewne ważniejsze, którego z dwóch pozostałych kandydatów poprze, jeżeli się wycofa. Te wybory zaczęły się na dobre.

Mówił Clifford Symonds dla CNN z Placu Wolności w Sankt Petersburgu.

- W poniedziałek Senat będzie nadal debatował nad ustawą o ograniczeniu zbrojeń nuklearnych, biologicznych, chemicznych i konwencjonalnych.

Prezydent nacisnął guzik pilota i ekran zgasł.

- Więc powiadasz, że człowiek, którego aresztowano, nie ma powiązań z rosyjską mafią, ale pracuje na zlecenie Dextera?

- Tak.

Czekam, kiedy zadzwoni Jackson i potwierdzi, że to ten sam człowiek, który zabił Guzmana.

- Co mam powiedzieć dziennikarzom, jeśli mnie oto będą pytać?

- Musi pan blefować, panie prezydencie, bo nikt nie może się dowiedzieć, że człowiek, którego złapali, to jeden z naszych.

- Ale to by raz na zawsze załatwiło Dexter i tego pęta jej zastępcę.

- Ależ skąd.

Gdyby pan utrzymywał, że nic pan o tym nie wiedział, to połowa ludności dyskredytowałaby pana jako naiwniaka, wystrychniętego przez CIA na dudka.

Natomiast gdyby pan przyznał, że pan wiedział, druga połowa zażądałaby, żeby zdjęto pana z urzędu.

Więc radzę, byna razie ograniczył się pan do stwierdzenia, że z zainteresowaniem czeka pan na rezultat wyborów w Rosji.

- I to jakim!

- rzekł Lawrence.

- Ostatnie, czego mi potrzeba, to żeby ten faszystowski kurdupel Żeriński został prezydentem. Wtedy dnia na dzień wrócilibyśmy do programu Gwiezdných Wojen.

- Przypuszczam, że właśnie dlatego ustawa utknęła w Senacie.

Nie chcą podejmować ostatecznej decyzji, póki nie poznają wyniku wyborów.

Lawrence skinął głową.

- Jeżeli do tego przekłętego pudła wsadzili jednego z naszych, musimy coś w tej sprawie zrobić, i to szybko.

Jak Żeriński zostanie prezydentem, tylko Bóg doła pomóc temu biedakowi, boja na pewno nie.

145

10. Jedenaste przykazanie.

Connor milczał.

Siedział wciśnięty między dwóch funkcjonariuszy w tyle milicyjnego auta.

Wiedział, że ci młodzi ludzie nie mają anidpowiedniej rangi, ani władzy, żeby go przesłuchać.

To nastąpi później, a przesłuchujący będzie miał o wiele bogatsze galony namundurze.

Kiedy wjechali przez wielkie, drewniane wrota Kriestów na szary, brukowany dziedziniec, Connor zobaczył komitet powitalny.

Trzech osiłków w więziennych ubiorach wystąpiło do przodu, prawie wyrwało tylne drzwiczki samochodu z zawiasów i wywlokło Connora na zewnątrz.

Młodzi milicjanci, którzy siedzieli po obu jego bokach, mieli przerażone miny.

Trzech drabów szybko powlokło nowego więźnia przez dziedziniec i wepchnęło do długiego, ponurego korytarza.

Tam zaczęło się kopanie i okładanie pięściami.

Connor chciał zaprotestować, ale ich słownictwo ograniczało się do pomruków.

Gdy dotarli do końca korytarza, jeden z nich otworzył ciężkie stalowe drzwi, a dwaj pozostali rzucili Connora do małej celi.

Nie próbował się bronić, gdy najpierw ściągnęli mu buty, potem zegarek, ślubną obrączkę i portfel - z którego nie mogli się niczego dowiedzieć.

Odeszli, zatraskując za sobą drzwi.

Connor powoli się podniósł i z trudem rozprostował kości, bada-fjąc, czy któraś nie jest złamana.

Nie stwierdził trwałych uszkodzeń, ale już wystąpiły sińce.

Rozejrzał się po celi, nie większej od prze-

działu sypialnego, w którym jechał z Moskwy.

Zielone ceglane ściany wyglądały, jakby nie malowano ich farbą od początku wieku.

Connor spędził w Wietnamie osiemnaście miesięcy w wiele ciasniejszej komórce.

Wtedy rozkazy były jasne: kiedy będziesz przesłuchiwany przez wroga, podaj tylko swoje nazwisko, stopień i numer identyfikacyjny.

Ale te zasady nie odnosiły się do ludzi z CIA.

Jedenaste przykazanie: Niedaj się tupać.

Ale jeżeli wpadniesz, stanowczo zaprzeczaj, że masz coś wspólnego z CIA.

Niemartw się - Firma zawsze o ciebie zadba.

Connor miał świadomość, że tym razem mimo zapewnień Gutenberga, musi zapomnieć o "zwykłych kanałach dyplomatycznych".

Kiedy teraz leżał na pryczyw ciasnej celi, wszystko ułożyło się w logiczną całość.

Nie poproszono go, by pokwitował odbiór gotówki ani samochodu.

Przypomniał sobie również zdanie, które przepadło gdzieś w zakamarkach pamięci.

Powtórzył je teraz słowo słowo:

146

Jeżeli się martwisz o swoją nową pracę, to chętnie pogadam z prezesem towarzystwa, gdzie będziesz zatrudniony, i wyjaśnię mu, że to "tylko krótkoterminowe zadanie.

[Skąd Gutenberg wiedział o jego rozmowie w sprawie nowej pracy i o tym, że miał doczynienia bezpośrednio z prezesem towarzystwa?

Wiedział, ponieważ już rozmawiał z Benem Thompsonem.

To dlatego wycofali swoją ofertę.

"Z przykrością pana informujemy.

".

Jeżeli chodzi o Mitchella, to powinien być przejrzyć tę anielską maskę chłopięcia z chóru kościelnego.

Co nadal stanowiło zagadkę, to telefon od prezydenta.

Dlaczego Lawrence ani razu nie wrócił się do niego po imieniu?

I zdania były trochę bez związku, śmiech trochę za głośny.

Nawet teraz trudno mu było uwierzyć, że Helen Dexter mogła się posunąć tak daleko, by ratować własną skórę.

Zapatrzył się w sufit.

Przed wszystkim, jeżeli prezydent nie telefonował, to trzeba się pożegnać z nadzieją wyjścia na wolność.

Dexter z powodzeniem usunęła jedyną osobę, która mogła ją zdemaskować, i Lawrence nic nie mógł na to poradzić.

Bezwarunkowa akceptacja przez Connora kodeksu agenta CIA uczyniła z niego ochoczego pionka w planie przetrwania pani dyrektor.

Żaden ambasador nie będzie składał dyplomatycznych protestów w jego obronie.

Nie będzie paczek żywnościowych.

Sam musiał troszczyć się o siebie, tak jak było w Wietnamie.

A jeden z młodych milicjantów, którzy goaresztowali, uświadomił mu jeszcze inną trudność, z którą będzie musiał się uporać: od osiemdziesięciu czterech lat nikt nie uciekł z tego więzienia.

Drzwi nagle się otworzyły i do celi wkroczył mężczyzna w niebieskim mundurze bogato zdobionym złotymi galonami.

Stał i zapalił papierosa.

Piętnastego w tym dniu.

Jackson pozostał na placu, póki samochód milicyjny nie znikł z oczu.

Był na siebie wściekły.

W końcu odwrócił się i odmaszerował, pozostawiając z tyłu krzyczący tłum.

Szedł tak prędko, że Siergiej musiał za nim biec.

Mały Rosjanin rozumiał, że to nie jest pora stawiania pytań.

Słowo "mafia" było na ustach wszystkich ludzi, których mijali.

Siergiej odczuł ulgę, kiedy Jackson stanął i zatrzymał taksówkę.

Jackson mógł tylko podziwiać, jak sprawnie Mitchell - bez wątplenia kierowany przez Dexter i Gutenburga - przeprowadził całą operację 147.

cję. To była klasyczny numer CIA, ale z tą różnicą, że tym razem zostawili na zatracenie w zagranicznym więzieniu własnego człowieka.

Próbował niemyśleć o tym, co czeka Connora.

Skupił się na sprawozdaniu, które miał przekazać Lloydowi.

Gdyby zdołał się nim skontaktować wczoraj wieczorem, mógłby otrzymać zgodę na wycofanie Connora.

Telefon komórkowy nadal nie działał, musiał więc zaryzykować i skorzystać z telefonu w pokoju hotelowym.

Podwładzemu dziewięciu latami otrzymał szansę wyrównania rachunków.

I nie stanęła wysokość zadania.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem Jacksona.

Zapłacił taksówkarzowi i wpadł do hotelu.

Nie czekając na windę wbiegł po schodach na pierwsze piętro i popędził korytarzem do pokoju 132.

Siergiej dogonił go akurat w chwili, kiedy przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

Chłopak usiadł na podłodze i wysłuchał rozmowy Jacksona z kimś o nazwisku Lloyd.

Kiedy Jackson wreszcie odłożył słuchawkę, był blady i trząsł się z furii.

Siergiej odezwał się pierwszy raz, odkąd opuścili plac.

- Może zadzwonię do jednego z klientów matki - zaproponował.

- Gratuluję - powiedziała Dexter, gdy Gutenberg wkroczył do jej gabinetu.

Wicedyrektor uśmiechnął się, siadając naprzeciw szefowej kładąc na biurku tekturową teczkę.

- Właśnie oglądałam skrót wiadomości ABC i CBS - powiedziała.

- Obie stacje przedstawiają to, co wydarzyło się na Placu Wolności, zgodnie z wersją Symonsona.

Wiadomo już, czy jutro prasa zrobi wokół tego dużo hałasu?

- Tracą już zainteresowanie.

Nie padł żaden strzał ani nawet ciosi okazało się, że podejrzany jest nieuzbrojony.

I nikt nie sugeruje, że facet, którego aresztowano, może być Amerykaninem.

Jutro o tej porze tylko w Rosji ta historia będzie pierwszych stronach gazet.

- Jak reagujemy na pytania dziennikarzy?

- Mówimy, że to jest wewnętrzny problem Rosjan i że w Sankt Petersburgu wynajęcie zabójcy kosztuje taniej niż przyzwoity zegarek.

Ja im radzę, żeby sobie poczytali artykuł w "Newsweeku" z zeszłego miesiąca o rosyjskim ojcu chrzestnym, aby docenić wagę problemu.

Kiedy mnie naciskają, kieruję ich w stronę Kolumbii.

Jeśli naciskają mnie dalej, dorzucam Afrykę Południową.

To im daję potępiający tekst, by zaspokoić apetyt redaktora.

148

- Czy jakaś stacja telewizyjna pokazała film z aresztowania Fitzgeralda?

- Tylko ujęcie jego głowy z tyłu, zresztą był w otoczeniu milii ciantów.

Gdyby mieli coś innego, napewno puszczałoby film bez końca.

- Czy jest możliwość, że wystąpi publicznie i wygłosi kompromiujące oświadczenie, które podchwyci prasa?

- Właściwie żadna.

Gdyby w ogóle urządził proces, prasa zagraniczna z pewnością nie zostanie dopuszczona do sądu.

A jeżeli Żeriński zostanie prezydentem, Fitzgerald nigdy nie wyjdzie z Kriestów.

- Czy przygotował pan raport dla Lawrence'a?

- spytała Dexter.

- Bo jest pewne, że będzie próbował zrobić z igły widły.

Gutenberg pochylił się do przodu i poklepał teczkę, którą położył na biurku dyrektorki.

Otworzyła ją i zaczęła czytać.

Odwracała stronę za stroną, nieokazując żadnych emocji.

Wreszcie skończyła, z lekkim uśmiechem zamknęła teczkę i posunęła ją ku Gutenbergowi.

- Proszę to podpisać i wysłać natychmiast do Białego Domu - powiedziała.

- Bo niezależnie od wątpliwości, jakie nurtują w tej chwili prezydenta, nigdy nie zechce wrócić do tej sprawy, jeżeli wygra Żeriński.

Gutenberg kiwnął głową na znak zgody.

Helen Dexter spojrzała przez biurko na swego zastępcę.

- Szkoda, że musieliśmy poświęcić Fitzgeralda - powiedziała.

- Ale jeżeli to pomoże w wyborze Żerińskiego, osiągniemy podwójny cel.

Projekt ustawy Lawrence'a o ograniczeniu zbrojeń zostanie odrzucony przez Kongres, a Biały Dom będzie się mniej wtrącał w sprawy CIA.

Connor zdjął nogi z pryczy, opuścił boso stopy na podłogę i stanął przed gościem.

Szef milicji głęboko zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym wysoko w powietrze.

- Obrzydliwy nałóg - powiedział doskonałą angielszczyzną.

- Żona ciągle mi powtarza, że bym z tym skończył.

Connor nie zareagował,

- Nazywam się Władimir Bolczenkow.

Jestem szefem milicji w tym mieście i pomyślałem, że moglibyśmy zamienić parę słów przed oficjalnym przesłuchaniem.

149.

- Ja się nazywam Pięt de Villiers.

Jestem obywatelem Afryki Południowej, pracuję w "Johannesburg Journal" i chcę się widzieć moim ambasadorem.

- Tu mam pierwszy problem- rzekł Bolczenkow.

Papieros dyndał mu w kąciku ust.

- Widzi pan, janiewierzę, że pan się nazywa Piętde Villiers, jestem prawie pewien, że nie jest pan obywatelem Afryki Południowej i wiem na sto procent, że nie pracuje pan dla "Johannesburg Journal", ponieważ nie ma takiej gazety.

A żebyśmy nie tracili niepotrzebnie czasu, dodam, iż wiem z najpewniejszego źródła, że nie został pan wynajęty przez mafię.

Przyznaję, że jeszcze nie wiem, kim pan jest, a nawet z jakiego kraju pan pochodzi.

Ale ten, kto pana wysłał, kimkolwiek jest, wrzucił pana, że się tak wyrażę, w wielkie gówno.

I to, jeżeli można tak powiedzieć, z dużym rozmachem.

Connorani mrugnął.

- Ale zapewniam pana, że ze mną im się to nie uda.

Jeśli więc nie jest pan w stanie pomóc mi w śledztwie, nie pozostaje mi nic innego, jak pozwolić, żeby pan tu gnił, podczas gdy ja dalej będę się pławił w chwale, która niezasłużenie na mnie spadła.

Connornie zareagował.

- Widzę, że nie możemy się porozumieć - rzekł Bolczenkow.

Uważam za swój obowiązek zwrócić panu uwagę, że to nie Kolumbia, i że nie będę żonglował swoją lojalnością i obdarzał nią osoby, z którą rozmawiałem jako ostatnią albo od której dostałem więcej dolarów.

- Zamilkła chwila i zaciągnął się papierosem.

- Podejrzewam, że to jedna z wielu naszych wspólnych cech.

- Odwrócił się skierował do drzwi, ale przystanął.

- Proszę to przemyśleć.

Ale gdybym był w pańskiej skórze, długo bym nie czekał.

- Zastukał w drzwi.

- Chciałbym pana zapewnić, kimkolwiek pan jest - dodał, kiedy otwarto drzwi - że nie będzie żadnych śrub dozgniatań kciuków, żadnego naciągania stawów ani innych, bardziej wyrafinowanych tortur, dopóki będę zwierzchnikiem milicji w Sankt Petersburgu.

Nie mam do tortur przekonania, to niew moim stylu.

Ale nie mogę panu obiecać, że będzie równie sympatycznie, kiedy Żerińskiego wybierą prezydentem.

Szef milicji zatrzasnął drzwi celi i Connor usłyszał zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

XVIII

Trzy białe BMW zajęły przed hotel.

Mężczyźni, siedzący obok kierowcy w każdym z samochodów, wyskoczyli na chodnik i sprawdzili ulicę.

Gdy uznali, że wszystko w porządku, otwarto tylne drzwi środkowego samochodu, z którego wysiadł Aleksiej Romanow, wysoki młodzieniec w czarnym kaszmirowym płaciu.

Wszedł szybko do hotelu nie rozglądając się na boki.

Podążali za nim, otaczając go półkolem, trzej goryle.

Z przekazanego telefonicznie opisu Romanow od razu

rozpoznał wysokiego Amerykanina, który stał na środku hallu i wyraźnie na kogoś czekał.

- Pan Jackson?

- spytał Romanow gardłowym głosem.

- Tak - odparł Jackson.

Podałby tamtemu rękę, ale Romanow

' jakby nigdy nie odwrócił się i pomaszerował prosto do wyjścia.

Silniki trzech samochodów były włączone i drzwiczki wciąż otwarte, kiedy Jackson wyszedł na ulicę.

Wskazano mu tylną drzwiczkę środkowego samochodu i posadzono między mężczyznami, który nie chciał wymienić z nim uścisku ręki, a drugim, również milczącym, ale mocniej zbudowanym niż tamten.

Trzy auta skręciły na środkowy pas i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystkie pojazdy zjechały im z drogi.

Tylko światła

, sygnalizacyjne zdawały się nie wiedzieć, kim oni są.

Podczas gdy mała kawalkada sunęła przez miasto, Jacksono! wu przeklinał się w duchu.

Nie byłoby takiej konieczności, gdyby mógł porozumieć się z Lloydem dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

Ale to było przewidywanie po fakcie, pomyślał - dar typowy dla polityków.

- Powinieneś się spotkać z Mikołajem Romanowem - rzekł Siergiej.

Wykręcił numer telefonu matki i gdy wreszcie uzyskał połączenie,

151.

zachowywał się tak, jak jeszcze Jackson nie widział.
Był pełenzacunku, słuchał z uwagą i nie przerwał ani razu.
Po dwudziestu minutach odłożył słuchawkę.

- Myślę, że ona zadzwoni - powiedział.

- Problem w tym, że niemożna się dostać do klanu woryw zakonie' - czyli mafii, jak wy mówicie - jeżeli się nie skończyło czternastu lat.
Odnosiło się to nawet do Aleksego, jedynegosyna cara.

NastępnieSiergiej wyjaśnił, że poprosił o umożliwienieJacksonowi spotkania z carem, przywódcąorganizacji Wory-w-zakonie.

Ichpoczątki sięgają czasów, kiedy w Rosji panował prawdziwy car, przetrwali i stali się budzącą największy strach i respekt organizacjąprzestępczą świata.

- Moja matka jest jedną z nielicznych kobiet, z którą car zechce rozmawiać.

Poprosi go, żeby udzielił ci audiencji - oznajmił Siergiej.

Zadzwonił telefoni chłopak natychmiast podniósł słuchawkę.

Słuchając słów matki zbladł i zadrżał.

Chwilę się wahał, ale w końcu zgodził się na jej propozycję.

Ręka wciąż mu się trzęsła, kiedy odkładał słuchawkę.

- Zgodził się ze mną zobaczyć?

- spytał Jackson.

- Tak - odparł cicho Siergiej.

- Jutro rano przyjedzie po ciebie dwóch mężczyzn, Aleksiej Romanow, syn cara, który po jego śmierci zajmie jego miejsce, i Stiepan Iwanicki, kuzyn Aleksieja, trzeci w hierarchii.

- To w czym problem?

- Ponieważ cię nie znają, postawili jeden warunek.

- Jaki?

- Jeżeli car uzna, że spotkanie z tobą było stratą czasu, ci dwaj wróćą złamią mi nogę, żebyś sobie zapamiętał i drugi raz nie zawracał im głowy.

- Więc lepiej, żeby cię tu nie było, kiedy wrócę.

- Jak mnie tu nie będzie, to przyjdą do mojej matki i jej złamią nogę.

A jak mnie złapią, to złamią mi obie nogi.

To ich niepisany kodeks.

I Wór w zakonie (roś.

)- przestępca przestrzegający niepisanego, ale surowo egzekwowanego kodeksu świata przestępczego {worojskiej zakon); kodeksów, o wielowiekowej tradycji, ustanawia normy zachowań i kary za ich naruszenie (przyp.

red.

).

152

Jackson zastanawiał się, czy nie odwołać spotkania.

Nie chciał, żeby przez niego chłopiec został kaleką.

Ale Siergiej powiedział, że jest za późno.

Przystał już na ich warunki.

Jedno spojrzenie siedzącego po prawej Stiepana Iwanickiego, siostrzeńca cara, przekonało Jacksona, że złamanie komuś nogi zajęłoby mu tylko chwilę i natychmiast by o tym zapomniał.

Gdy trzy BMW wyjechały poza granice miasta, mała kawalkada przyspieszyła do stu kilometrów na godzinę.

Wspinając się krętymi drogami na wzgórze, mijali tylko z rzadka inne pojazdy.

Przejeżdżali obok wieśniaków o pochylonych głowach i twarzach, w których nie było śladu myśli o przeszłości czy o przyszłości.

Jackson zaczął pojmować, dlaczego słowa Zerińskiego mogły podsycać ostatnią iskierkę nadziei, drzemającą w ich sercach.

Nagle pierwszy samochód zjechał w lewo i zatrzymał się przed masywną bramą z kutego żelaza, zwieńczoną herbem, przedstawiającym czarnego orła z rozpostartymi skrzydłami.

Dwóch mężczyzn kałasznikowami wystąpiło do przodu i kierowca pierwszego samochodu opuścił szybę z przydymionego szkła, żeby mogli zajrzeć do środka.

Przypominało to Jacksonowi wjazd do kwatery głównej CIA - z tym, że w Langley wartownicy musieli się zadowolić bronią bocznią, spoczywającą w futerałach.

Po skontrolovaniu wszystkich trzech samochodów jeden z wartowników skinął głową i skrzydła orła się rozwarły.

Kawalkada sunęła teraz bardziej majestatycznie zwirowaną, wijącą się drogą, wiodącą przez gęsty las.

Upłynęło pięć minut, nim Jackson ujrzał z dala dom - choćnie był to dom.

Przed wiekiem był to pałac następcy tronu.

Obecnie zamieszkiwał go potomek pobocznej linii, który także uważał się za pretendentą.

- Nie mów nic, dopóki cię nie odezwie - przestrzegł go Siergiej.

- I traktuj go jak jego cesarskich przodków.

- Jackson wolał nie mówić Siergiejowi, że nie ma pojęcia, jak należy zwracać się do członka rosyjskiego domu panującego.

Samochody zahamowały na chrzęszczącym żwirze przed frontowymi drzwiami.

Wysoki, elegancki mężczyzna w długim czarnym fraku, białej koszuli, z fontażem podszyją, stał w oczekiwaniu u szczytu schodów.

Skłonił się przed Jacksonem, który starał się zachowywać, jakby był przyzwyczajony do takich ceremonii.

W końcu spotkał się kiedyś z Richardem Nixonem.

- Witam pana, panie Jackson, w "Zimowym Pałacu" - powiedział kamerdyner.
Pan Romanow oczekuje pana w Błękitnej Galerii.

Aleksiej Romanow i Stiepan Iwanicki weszli wraz z Jacksonem do środka.
Jacksoni młody Romanow podążyli za kamerdynerem długim, marmurowym korytarzem,
Iwanicki zaś został przy drzwiach.

Jackson chętnie by przystanął, aby podziwiać obrazy rzeźby, które byłyby ozdobą
każdego muzeum na świecie, ale musiał dotrzymać kroku kamerdynerowi.

Ten stanął na końcu korytarza przed białymi drzwiami, sięgającymi niemal sufitu.
Zapukał, otworzył jedno skrzydło i usunął się na bok, robiąc przejście Jacksonowi.

- Pan Jackson - zaanonsował i wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Jackson znalazł się w olbrzymim, bogato umeblowanym pokoju.

Całą podłogę zaścierał olbrzymi dywan, za który nie jeden Turek dałby życie.

Z obitego czerwonym aksamitem, o wysokim oparciu fotela w stylu Ludwika XIV podniósł
się starszy mężczyzna w niebieskim garniturze wprężki.

Miał srebrne włosy, a bladość skóry dowodziła, że od lat choruje.

Jego szczupła sylwetka była lekko zgarbiona.

Postąpił krok do przodu, żeby przywitać się gościem.

- To uprzejmie z pańskiej strony, że fatygował się pan, żeby się ze mną zobaczyć -
powiedział.

- Proszę mi wybaczyć, ale mój angielski trochę zardzewiał.

Musiałem opuścić Oksford w 1939 roku, wkrótce po wybuchu wojny, chociaż byłem dopiero na
drugim roku studiów.

Wie pan, Brytyjczycy nigdy naprawdę nie ufali Rosjanom, chociaż później mieliśmy zostać
sojusznikami.

- Uśmiechnął się miło.

- Myślę, że podobnie się zachowują w stosunku do Amerykanów.

Jackson nie bardzo wiedział, jak zareagować.

- Zechce pan usiąść - stary człowiek wskazał taki sam fotel, na jakim sam siedział.

- Dziękuję - rzekł Jackson.

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział, od kiedy wyszedł z hotelu.

- Otóż, panie Jackson - powiedział Romanow, opuszczając się powoli na fotel - gdy
zadam panu pytanie, proszę odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Jeżeli będzie pan miał jakieś
wątpliwości, proszę się zastanowić, zanim pan odpowie.

Bo jeśli pan mnie okłamie, to - jakby to określić?

- nie tylko nasze spotkanie dobiegnie kresu.

154

Jackson wiedział, że stary człowiek jest prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, która
może wydostać Connora z rąk Kriestów.

Krótko skinął głową na znak, że zrozumiał.

- Dobrze - rzekł Romanow.

- A teraz chciałbym się czegoś więcej dowiedzieć o panu, panie Jackson.

Na pierwszy rzut oka widzę, że pracuje pan w instytucji zajmującej się ochroną porządku
prawnego, a ponieważ jest pan w moim kraju - zaakcentował słowo "moim" - domyślałem się, że
jest to raczej CIA niż FBI.

Mam rację?

- Byłem zatrudniony w CIA przez dwadzieścia osiem lat aż doniedawna, kiedy przyjęto
na moje miejsce kogoś innego - Jackson ostrożnie dobierał słowa.

- Mieć kobietę za szefa to wbrew prawom natury - zauważył Romanow
bez cienia uśmiechu.

- Organizacja, którą kieruję, nigdy nie pozwoliłaby sobie na taki idiotyzm.

Stary człowiek przechylił się w lewo i sięgnął na stolik po małą szklaneczkę bezbarwnego płynu, której Jackson do tej chwili nie spostrzegł.

Pociągnął łyk, odstawił szklaneczkę na stół i dopiero wtedy zadał następne pytanie.

- Czy obecnie pracuje pan na zlecenie innej instytucji pilnującej prawa i porządku?

- Nie - uciął krótko Jackson.

- Więdział pan na własną rękę?

- zasugerował starszy pan.

Jackson nie odpowiedział.

- Ach, tak.

Z pańskiego milczenia wnioskuję, że nie jest pan jedyną osobą, która nie ufa Helen Dexter.

Jackson znowu nie zareagował.

Ale szybko pojmował, dlaczego nie opłaciliby się okłamywać Romanowa.

- Czemu chciał się pan ze mną widzieć, panie Jackson?

Jackson podejrzewał, że stary człowiek dobrze wie, dlaczego, ale podjął grę.

- Przybyłem w sprawie przyjaciela, który przez moją głupotę został aresztowany i zamknięty w więzieniu Kriesty.

- Ta instytucja nie słynie z humanitarnego podejścia, zwłaszcza gdy chodzi o wyrażenie zgody na wniesienie apelacji czy zwolnienie warunkowe.

Jackson skinął potakująco głową.

- Wiem, że to nie pański przyjaciel poinformował prasę, iż moja organizacja zaoferowała mu wysoką zapłatę za wyeliminowanie Zerińskiego z wyścigu do prezydentury.

Gdyby tak było, już by dawno

155.

wisiał w swej celi.

Nie, podejrzewam, że osobą rozpuszczającą tokłamstwo jest jeden z fagasów Helen Dexter. Gdyby przyszedł pando mnietrochę wcześniej, byłbym pana przestrzegł przed Mitchellem.

- Pociągnął znowu łyk ze swojej szklaneczki.

- To jeden z nielicznych pańskich rodaków, którego chciałbym zwerbować do mojej organizacji.

Widzę, że jest pan zaskoczony rozległością mojej wiedzy.

A Jackson myślał, że zachował kamienną twarz.

- Panie Jackson, chyba nie zdziwi pana wiadomość, że mam swoich ludzi dobrze usadowionych na wysokich szczeblach zarówno CIA, jak i FBI?

- Lekki uśmiezek powrócił na jego twarz.

- A gdybym uznał to za pozytywne, miałbym też kogoś w Białym Domu.

Ale ponieważ prezydent Lawrence ujawnia wszystko, o co go zapytać, podczas konferencji prasowych, nie jest to konieczne.

Co nasuwa mi następne pytanie.

Czy pański przyjaciel pracuje dla CIA?

Jackson nie odpowiedział.

- Ach, rozumiem.

Tak właśnie myślałem.

Cóż, sądzę, że może być pewien, iż Helen Dexter nie pospieszy mu na ratunek w tym wypadku.

Jackson nadal nic nie mówił.

- Dobrze - powiedział stary człowiek.

- Zatem teraz dokładnie wiem, czego pan ode mnie oczekuje.

- Zamilkł na chwilę.

- Ale nie bardzo rozumiem, co pan ma do zaoferowania w zamian.

- Nie mam pojęcia, jaka jest obecna stawka - rzekł Jackson.

Starszy pan wybuchnął śmiechem.

- Panie Jackson, chyba ani przez sekundę panie podejrzewał, że ciągnąłem tu pana, żeby rozmawiać o pieniądzach.

Proszę rozejrzeć się wokół, to zobaczy pan, że choćby nie wiem ile miał pan do zaoferowania, i tak będzie to za mało.

"Newsweek" był daleki od prawdy, kiedy snuł domysły o mojej potęgę i bogactwa.

Tylko w zeszłym roku moja organizacja miała sto osiemdziesiąt siedem miliardów dolarów obrotu, więcej niż wyniósł dochód narodowy Belgii czy Szwecji.

Posiadamy obecnie w pełni operacyjne oddziały w stu czterdziestu dwóch krajach.

Co miesiąc, wzorem McDonalda, otwieramy nowy.

Nie, panie Jackson, nie mam tyle życia przed sobą, żeby marnować czas na dyskusję o pieniądzach z człowiekiem bez grosza.

- Dlaczego więc zgodził się pan ze mną spotkać?

- spytał Jackson.

- Proszę nie pytać - uciął ostro Romanow.

- Może pan tylko odpowiadać.

Jestem zaskoczony, że nie przygotowano pana jak należy.

156

Stary człowiek najpierw upił kolejny łyk bezbarwnego płynu, a dopiero potem wyjaśnił, czego oczekuje w zamian za pomoc Connorowi w ucieczce.

Jackson wiedział, że nie jest upoważniony do przyjęcia warunków Romanowa w imieniu Connora, ale ponieważ poleconemu o nic nie pytać, więc milczał.

- Będzie pan potrzebował trochę czasu, żeby przemyśleć moją propozycję ciągnął starszy pan.

- Ale gdyby pański przyjaciel zgodził się na moje warunki, a potem nie dotrzymał umowy, musi zdawać sobie sprawę z konsekwencji.

-Przerwał, by zaczerpnąć tchu.

-Mam nadzieję, że nie jest człowiekiem, który podpisawszy kontrakt zwraca się do sprytnego adwokata, żeby mu znalazł furtkę, dzięki której nie będzie musiał tego kontraktu honorować. Widzi pan, w tym sądzie ja jestem i sędzią, i ławą przysięgłych, a mojego syna Aleksieja mianuję oskarżycielem.

Będzie musiał osobiście dopilnować, by ten szczególny kontrakt wypełniono co do joty.

Wydaliśmy już polecenie, że ma wam obudować do Stanów Zjednoczonych i niewróci, dopóki umowa nie zostanie wypełniona.

Mam nadzieję, że jasno się wyraziłem, panie Jackson.

Trudno sobie wyobrazić większy kontrast niż między biurem Żerińskiego i wiejską rezydencją cara.

Siedziba przywódcy komunistycznego znajdowała się na trzecim piętrze niedźnego budynku na północnych przedmieściach Moskwy - chociaż ci, którzy zostali zaproszeni do jego dachy nad Wołgą, wiedzieli, że luksus nie jest mu obcy.

Ostatni głos oddano poprzedniego wieczoru o dziesiątej.

Teraz Żeriński mógł tylko siedzieć i czekać, aż komisje wyborcze od Bałtyku po Pacyfik obliczą głosy.

Dobrze wiedział, że w niektórych okręgach ludzie głosowali po kilka razy.

W innych urny wyborcze w ogóle nie trafiły do ratusza.

Był przekonany, że teraz, gdy doszedł do porozumienia z Borodinem i generał wycofał swoją kandydaturę, ma realne szanse wygranej.

Ale był też na tyle realistą, by wiedzieć, że skoro mafia popiera Czernopowa, to musi uzyskać sporo ponadpołowę głosów, by ogłoszono go zwycięzcą.

Dlatego też postanowił poszukać sojusznika w obozie cara.

Wynik wyborów będzie nieznanym przez dwa dni, gdyż w większości kraju kartki z głosami nadal liczone ręcznie.

Dobrze pamiętał często przytaczaną uwagę Stalina, że nie jest ważne, jak ludzie głosują, tylko kto liczy głosy.

Współpracownicy Żerińskiego tkwili przy telefonach, usiłując się zorientować, co się dzieje w rozległym państwie, ale gubernatorzy obwodów powtarzali tylko, że wyniki są tak wyrównane, iż trudnorozstrzygnąć.

Wódz komunistów częściej uderzał pięścią w stół tegodnia niż w zeszłym tygodniu i na długo zamykał się w pokoju odbywając poufne rozmowy telefoniczne.

- To dobra wiadomość, Stiepan - mówił.

- Byłeś tylko uporalsię problemem swojego kuzyna.

- Słuchał odpowiedzi Iwanickiego, kiedy zapukano do drzwi.

Odłożył słuchawkę, gdy zobaczył, że szef sztabu wyborczego wchodzi do pokoju.

Nie życzył sobie, żeby Titow dowiedział się, z kim rozmawia.

- Dziennikarze się dopytują, czy pan z nimi porozmawia - powiedział Titow, mając nadzieję, że to zajmie szefa przez kilka minut.

Ostatnio Żeriński zetknął się z sępami, jak nazywał dziennikarzy, poprzedniego dnia rano, kiedy stawili się w komplecie, żeby patrzeć, jak oddaje głos w Koskach, dzielnicy Moskwy, w której się urodził.

Gdyby się ubiegało urząd prezydenta w Stanach Zjednoczonych, nie byłoby inaczej.

Żeriński niechętnie skinął głową i zszedł za Titowem na dół na ulicę.

Poleciał personelowi nigdy nie wpuszczać nikogo z prasy do budynku; bał się, że wyniuchają, jak niesprawną i niedostatecznie obsadzoną ludźmi jest jego organizacja.

To jeszcze jedna rzecz, która się zmieni, gdy położy rękę na finansach państwa.

Nawet szefowi sztabu wyborczego nie powiedział, że jeżeli wygra, to z jego życia Rosjanie nie będą więcej głosowali w żadnych wyborach.

A zagraniczne gazety i magazyny mogą sobie do woli protestować.

Wkrótkim czasie przestaną się ukazywać na wschód od Niemiec.

Gdy Żeriński wyszedł przed dom, ujrzał największą gromadę dziennikarzy od początku kampanii wyborczej.

^

- Czy jest pan pewien zwycięstwa?

- wyrwał się ktoś, nie pozwalając mu nawet na słowa powitania.

"

- Jeżeli zwycięży człowiek, za którym wypowie się większość obywateli, zostanie nowym prezydentem Rosji.

- Ale przewodniczący międzynarodowej komisji obserwatorów powiada, że to były najbardziej demokratyczne wybory w historii Rosji.

Czy nie zgadza się pan z tą opinią?

- Zgodzę się, kiedy ogłoszą Wiktorię.

- Dziennikarze skwitowali tę aluzję do jego imienia uprzejmym śmiechem.

158

- Jeśli pana wybiorą, jak prędko odwiedzi pan prezydenta Lawrence'a w Waszyngtonie?

- Wkrótce po jego wizycie w Moskwie - padła natychmiast odpowiedź.

- Jeśli zostanie pan prezydentem, co się stanie z człowiekiem, aresztowanym na Placu Wolności i oskarżonym o przygotowywanie spisku na pańskie życie?

- O tym zadecyduje sąd.

Ale mogę zapewnić, że zostanie sprawiedliwie osądzony.

Żerińskiego nagle ogarnęła nuda.

Bez słowa odwrócił się napięcie i znikł w drzwiach budynku, nie zważając na pytania, które zanim wykrzykiwano.

- Czy zaproponował pan Borodinowi stanowisko w rządzie?

-Co pan zrobi z Czeczenią?

- Czy najpierw rozprawi się pan z mafią?

Kiedy znużony wchodził po wytartych kamiennych schodach na trzecie piętro, przyrzekł sobie, że, czy wygra, czy przegra, nigdy więcej nie będzie rozmawiał z dziennikarzami. Nie zazdrościł Lawrence'owi rządzenia krajem, w którym dziennikarze chcieli być, traktowani jak równi prezydentowi.

Dobrnawszy do swego biura, opadł na jedyne wygodne krzesło i zasnął pierwszy raz od wielu dni.

Klucz obrócił się w zamku i drzwi celi otworzyły się na oścież.

Do środka wkroczył Bolczenkow, niosąc duży sukieny worek i podniszczoną skórzaną walizeczkę.

- Wróciłem, jak pan widzi - rzekł szef petersburskiej milicji i usiadł naprzeciw Connorowi.

- Z czego może pan wywnioskować, żeżnowu chodzi mi o nieoficjalną pogawędkę. Ale chciałbym, by tym razem była bardziej owocna.

Obrzucił spojrzeniem mężczyznę siedzącego na pryczy.

Wyglądało, że Connor mocno schudł przez ostatnie pięć dni.

- Widzę, że jeszcze pan nie przywykł do naszej nowelle cuisine - stwierdził Bolczenkow zapalając papierosa.

- Muszę przyznać, że nawet petersburskie pospólstwo dopiero po kilku dniach w pełni docenia tujejsze menu.

Ale akceptują je, gdy uświadomią sobie, że zostaną i tu dokońca życia i że nie ma wyboru dla carte.

- Zaciągnął się głęboko papierosem i wypuścił nosem dym.

- Może czytał pan niedawno w gazetach - ciągnął - że jeden z naszych więźniów zjadł swe 159.

go współtowarzysza.

Ale zważywszy na brak żywności i problem przeludnienia uznaliśmy, że nie warto z tego powodu wszczynać rewetu.

Connor się uśmiechnął.

- O, widzę, że jednak nie jest pan z kamienia - rzekł Bolczenkow.

- Otóż muszę panu powiedzieć, że od czasu naszego spotkania zaszły dwa ciekawe wydarzenia, o których, jak sądzę, chciałby się pan dowiedzieć.

Położył worek i walizkę na podłodze.

- Te dwie sztuki bagażu zostały zgłoszone jakonie odebrane przez starszego portiera w hotelu.

Connor uniósł brwi.

- Tak jak myślałem - rzekł szef milicji.

- Prawdę mówiąc, kiedy pokazaliśmy portierowi pańską fotografię, stwierdził, że chociaż pamięta, iż mężczyzna do pana podobny zostawił worek, nie przypomina sobie walizeczki. Jednak podejrzewam, że nie trzeba panu opisywać, co jest w środku.

Szef milicji nacisnął zameczki i uniósł swieter, odsłaniając remingtona 700.

Connor patrzył przed siebie, udając obojętność.

- Chociaż sądzę, że miał pan wcześniej do czynienia z tym rodzajem broni, to jestem przekonany, iż nigdy nie widział pan na oczy tego okazu, mimo inicjałów P. D.V., tak poręcznie wypisanych na walizce.

Nawet kompletny nowicjusz bywy kombinował, że wystawiono pana do odstrzału.

- Bolczenkow głęboko się zaciągnął.

- W CIA chyba myślą, że mamy najgłępszą policję na świecie.

Czy chociaż przez moment mogli przypuścić, że nie wiemy, kim naprawdę jest Mitchell?

Attache kulturalny!

- Parsknął śmiechem.

- On pewniemyśli, że Ermitaż to dom towarowy.

Zanim pan cokolwiek powie, chciałbym panu przekazać jeszcze jedną informację, która może pana zainteresować.

- Znowu wciągnął dym głęboko w płuca.

- Wiktor Żeriński wygrał wybory i w poniedziałek obejmie urząd prezydenta.

Connor blade się uśmiechnął.

- A ponieważ trudno sobie wyobrazić, żeby zaprosił pana na ceremonię inauguracji do pierwszego rzędu - powiedział Bolczenkow - myślę, że najwyższy czas, aby opowiedział pan swoją historię, panie Fitzgerald.

XIX

Prezydent Żeriński wkroczył dumnie do pokoju.

Jego koledzy powstali natychmiast zkrzesel wokół długiego, dębowego stołu i klaskali, póki nie usiadł na swym miejscu pod portretem Stalina, odratowanym z podziemi Muzeum imienia Puszkina, gdzie tkwił od 1956 roku.

Żeriński miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę i czerwony jedwabny krawat. Wyglądem zdecydowanie się różnił od pozostałych mężczyzn siedzących dokoła stołu, nadal odzianych w źle leżące ubrania, które nosili podczas kampanii wyborczej.

Wniosek był oczywisty - wszyscy powinni nazajutrz odwiedzić krawca.

Żeriński napawał się przez dłuższą chwilę oklaskami, po czym uciszył je machnięciem ręki, jakby tonie jego koledzy klaskali, ale u wielbiciącego tłum.

- Wprawdzie oficjalnie zaczynam urzędowanie w najbliższy poniedziałek - zaczął - ale w paru dziedzinach zamierzam wprowadzić natychmiastowe zmiany.

- Prezydent obrzucił spojrzeniem swych popleczników, którzy trwali przynim przez chude lata i teraz mieli zostać nagrodzeni za swoją lojalność.

Wielu z nich pół życia czekało na ten moment.

Zatrzymał wzrok na niskim, przysadzistym mężczyźnie, który patrzył tępo przed siebie. Josif Piesków został wyniesiony z pozycji ochroniarza Żerińskiego na stanowisko członka politbiura w ciągu jednego dnia, kiedy zastrzelił trzech mężczyzn, którzy próbowali zabić jego szefa podczas wizyty w Odessie.

Piesków miał jedną wielką zaletę, jakiej Żeriński życzyłby sobie u każdego ministra: jeżeli rozumiał jego rozkazy, wypełniał je co do joty.

- Josif, stary druho - rzekł Żeriński.

- Zostaniesz ministrem spraw wewnętrznych.

- Siedzący wokół stołu usiłowali nie okazać skoczenia lub rozczarowania; większość z nich wiedziała, że o wie!

Jedenastę przykazanie

161.

le bardziej by się nadawali na to stanowisko niż dawny dokerz Odessy.
Niektórzy podejrzewali, że niepotrafi nawet napisać bezbłędów słowa "wewnętrzny".
Mały, krępy mężczyzna promieniał jak dziecko, któremu niespodziewanie podarowano zabawkę.

- Twoim pierwszym zadaniem będzie rozprawienie się ze zorganizowaną przestępczością.

Najlepiej zacząć od aresztowania Mikołaja Romanowa, tak zwanego cara.

Bo nie będzie miejsca dla carów, prawdziwych, czy nie, póki jestem prezydentem.

Twarze, przed chwilą posępne, nagle się rozjaśniły.

Niewielu miało ochotę stanąć w szranki z Mikołajem Romanowem i żaden nie wierzył, że Piesków sprosta zadaniu.

- O co mam go oskarżyć?

- Prosto dusznie spytał Piesków.

- O co zechcesz, od oszustwa po morderstwo - odparł Zeriński.

- Ważne tylko, żeby do niego przyłgnęło.

Piesków był już lekko przestraszony.

Wolałby, gdyby szef poprostu kazał mu zabić tego człowieka.

Zeriński obiegił wzrokiem stół.

- Lew - zwrócił się do innego z obecnych, ślepo mu oddanego.

- Ty będziesz odpowiadał za drugą część mojego programu zaprowadzenia prawa i porządku.

Lew Szulow miał niepewną minę.

Nie wiedział, czy powinien być wdzięczny za to, czym zostanie obdarzony.

- Zostaniesz ministrem sprawiedliwości.

Szulow się uśmiechnął.

- Powiem wprost: teraz w sądach jest za duży zastój.

Mianuj kilkunastu nowych sędziów.

Dopilnuj, żeby wszyscy byli starymi członkami partii.

Najpierw im wyjaśnij, że mam tylko dwa zalecenia, jeżeli chodzi o prawo i porządek: krótsze procesy i dłuższe wyroki.

A żeby nie było wątpliwości, jaki los czeka tych, którzy wejdą mi w drogę, na samym początku urzędowania chcę ukarać dla przykładu kogoś, kto zbudzi zainteresowanie prasy.

- Czy ma pan namyśli kogoś konkretnego, panie prezydencie?

- Tak - odparł Zeriński bez wahania.

- Zapamiętaj.

Rozległo się ciche pukanie.

Wszyscy się odwrócili, żeby zobaczyć, kto śmienowemu prezydentowi przerywać pierwsze posiedzenie rządowe.

Dopokoju wśliznął się bezszelestnie Dmitrij Titow, który uznał, że Zeriński bardziej by się złościł, gdyby mu nie przeszkodził.

Prezydent bębnił palcami w stół, gdy Titow przemierzał cały pokój, potem zaś pochylił się coś szeptałmu do ucha.

162

Zeriński wybuchnął śmiechem.

Pozostali mieli ochotę mu zawtórować, aleni słysząc żartu, nie mogli.

Podniósł głowę i spojrzał na

towarzyszy.

- Dzwoni prezydent Stanów Zjednoczonych.

Wyglądana to, że chce mi pogratulować.

- Teraz już mogli się śmiać.

- Jako wasz przywódca muszę teraz zdecydować, czy kazać muczekać. przeznastępne trzy lata.

- Wszyscy oprócz Titowa, roześmiali się jeszcze głośniej - czy odebrać telefon.
Nikt nie wyraził opinii.

- Dowiemy się, oco mu chodzi?

- spytał Zeriński.

Wszyscy pokiwali głowami.

Titow podał szefowi słuchawkę telefonu.

- Witam, panie prezydencie - rzekł Zeriński.

- Nie, proszę pana - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Nazywam się Andy Lloyd, jestem szefem personelu Białego Domu.
Czymogę pana połączyć z prezydentem Lawrence'em?

- Nie, nie może pan - odparł ze złością Zeriński.

- Powiedz pan swojemu prezydentowi, że jak zadzwoni następnym razem, niech sam trzyma słuchawkę, bo ja niezadaję się z posłańcami.

- Trzasnął słuchawką i znowu wszyscy się roześmiali.

- No więc, co ja mówiłem?

- Miał nam pan powiedzieć, panie prezydencie - wyrwał się Szulow - kto powinien zostać przykładowo ukarany, żeby zademonstrować nowy kurs resortu sprawiedliwości.

- Ach, tak - na usta Zerińskiego powrócił uśmiech.

W tym momencie zadzwonił telefon.

Zeriński wskazał na Titowa, który podjął słuchawkę.

- Czy mógłbym rozmawiać z prezydentem Zerińskim?

- zapytano.

- Kto dzwoni?

- spytał Titow.

- Tom Lawrence.

- Prezydent Stanów Zjednoczonych - powiedział tylko Titowi podał słuchawkę Zerińskiemu.

- To ty, Wiktorze?

- Prezydent Zeriński przy telefonie.

A kto mówi?

- Tom Lawrence - odparł prezydent, patrząc zaskoczonym na sekretarza stanu i szefa personelu Białego Domu, którzy przysłuchiwali się rozmowie przy swoich aparatach.

- Dzień dobry.

W czym mógłbym być pomocny?

- Dzwonię, żeby dołączyć moje gratulacje do wszystkich innych,

163.

które z pewnością napływają po pańskim imponującym - Lawrence chciał powiedzieć "nieoczekiwanym", ale Departament Stanu odradził - zwycięstwie.

Walka była zacięta.

Ale każdy polityk ma od czasu do czasu taki problem.

- Janie będę miał więcej tego problemu - powiedział Żeriński.

- Lawrence zaśmiał się, przypuszczając, że to żart.

Powstrzymałby się, gdyby widział kamieniarzy mężczyzn, siedzących dokoła stołu na Kremlu.

- Mów dalej - szepnął Lloyd.

- Przede wszystkim, Wiktorze, chciałbym cię bliżej poznać.

- W takim razie zacznijmy od tego, że tyłko moja matka mówi do mnie po imieniu.

Lawrence spojrzął w notatki na swym biurku.

Wyłowił wzrokiem pełne imię Żerińskiego: Wiktor Leonidowicz.

Podkreślił słowo "Leonidowicz", ale Larry Harrington pokręcił przecząco głową.

- Przepraszam - powiedział Lawrence.

- Jak mam się do pana zwracać?

- Tak jakby pan chciał, żeby się do pana zwracał ktoś, kto pana nie zna.

Chociaż do ludzi siedzących wokół stołu w Moskwie docierała tylko część konwersacji, cieszyła ich pierwsza potyczka pomiędzy dwoma przywódcami.

Tych z Pokoju Ovalnego - nie.

- Panie prezydencie, proszę spróbować z innej strony - rzucił sekretarz stanu, zasłaniając dłonią słuchawkę.

Tom Lawrence przebiegł wzrokiem pytania przygotowane przez Andy'ego Lloyda i przeskoczył do następnej stronicy.

- Mam nadzieję, że niedługo nadarzy się okazja, żeby się spotkać.

Właściwie to dziwne - dodał - żeśmy się do tej pory nie zetknęli.

- Wcale nie takie dziwne - rzekł Żeriński.

- Kiedy był pan ostatnio z wizytą w Moskwie, w czerwcu, pańska ambasada nieraz zaprosiła mnie czy kogoś z moich kolegów na kolację wydaną dla pana.

- Wokół stołu rozległy się aprobujące pomruki.

- Cóż, na pewno pan dobrzewie, że podczas podróży zagranicznych człowiek jest zdany na miejscowych urzędników.

- Ciekaw jestem, którego z tych urzędników po tak istotnym potknięciu zechce pan zmienić.

- Żeriński zawiesił głos.

- Zapewne znacznie pan od ambasadora.

Nastąpiło znowu długie milczenie.

Trzech mężczyzn w Pokoju Ovalnym studiował pytania, które przygotowywali z taką pieczołowitością.

Łowitością.

Jak dotychczas, nie przewidzieli ani jednej odpowiedzi

Żerińskiego.

- Mogę pana zapewnić - dodał Żeriński - że ja nie pozwolę żadnemu z moich urzędników, miejscowych czy innych, nie liczyć się z moimi osobistymi życzeniami.

- Szczęściarzem z pana - rzekł Lawrence, nie zwracając sobie głowy jakąś przygotowaną odpowiedzią.

- Szczęście nie jest tym czynnikiem, który biorę pod uwagę - powiedział Żeriński.

- Zwłaszcza kiedy mam do czynienia z przeciwnikami.

Larry Harrington miał wyraźnie dość, ale Andy Lloyd nabazgratpytanie nabloczku i podsunął pod nos prezydentowi.

Lawrence skinał głową.

- Może byśmy spróbowali zaaranżować rychłe spotkanie, żeby trochę lepiej się poznać?

Trio w Białym Domu czekało na odpowiedź, spodziewając się szorstkiego odrzucenia oferty.

- Poważnie się nad tym zastanowię - powiedział Żeriński, co zdziwiło wszystkich z jednej i drugiej strony.

- Proszę powiedzieć panu Lloydowi, żeby skontaktował się z towarzyszem Titowem, który zajmuje się organizowaniem moich spotkań z zagranicznymi przywódcami.

- Na pewno to zrobię - odrzekł z ulgą Lawrence.

- Poproszę Lloyda, żeby zadzwonił do pana Titowa w ciągu najbliższych dwóch dni.

- Lloyd znowu coś napisał i podał kartkę Lawrence'owi.

Jej treść brzmiała: "I oczywiście z przyjemnością odwiedzę Moskwę".

- Do widzenia, panie prezydencie - powiedział Żeriński.

- Do widzenia.

panie prezydencie - odparł Lawrence.

Odłożywszy słuchawkę, Żeriński zastopował nieuchronny wybuch oklasków, szybko zwracając się do szefa gabinetu prezydenta.

- Gdy zadzwoni Lloyd - powiedział - zaproponuje, żebym odwiedził Waszyngton.

Przyjmij zaproszenie.

Titow zrobił zdziwioną minę.

- Zależy mi - powiedział prezydent zwracając się do kolegów - aby Lawrence jak najszybciej zdał sobie sprawę, z jakim człowiekiem ma do czynienia.

Co ważniejsze, pragnę, żeby Amerykanie samisięo tym przekonali.

- Złączył palce obu rąk.

- Na początek zamierzam spowodować, żeby projekt ustawy Lawrence'a o ograniczeniu zbrojeń przepadł w Senacie.

Myślę, że tonajbardziej stosowny prezent na Boże Narodzenie dla

Toma.

Tym razem pozwolił zebrany na krótkotrwałe brawa, po czym ciszył je machnięciem ręki.

- Musimy jednak nachwilę wrócić do problemów wewnętrznych, które są o wiele bardziej naglące.

Uważam, że jest ważne, aby nasi obywatele też sobie uświadomili, jakim jest ich nowy przywódca.

Chcę im dostarczyć przykładu, który pokaże czarną tablicę, jak rozprawiam się z tymi, którzy próbują mi się sprzeciwić.

- Wszyscy czekali, żeby się dowiedzieć, komu Żeriński uczyni ten honor.

Prezydent spojrział na świeżo mianowanego ministra sprawiedliwości.

- Gdzie jest ten wynajęty przez mafię morderca, który próbował mnie zabić?

- zapytał.

- Siedzi w Kriestach - odparł Szulow.

- Myślę, że życzy pan sobie, żeby tam został do końca życia.

- Na pewno nie - oznajmił Żeriński.

- Dożywocie to stanowczo łagodny wyrok dla takiego zbir.

Aż się prosi, żeby mu wytoczyć proces.

Tobędzie naszym pierwszym publicznym przykładem.

- Boję się, że milicja nie znalazła żadnego dowodu, że on.

- To sfabrykujcie dowody - rzucił Żeriński.

- Na jego procesie będzie nikogo oprócz lojalnych członków partii.

- Rozumiem, panie prezydencie - powiedział nowy minister sprawiedliwości.

- Zawahał się.

- Co pan ma na myśli?

- Szybki proces pod przewodnictwem naszego nowego sędziego, z ławą przysięgłych składającą się wyłącznie z funkcjonariuszy partii.

- A wyrok, panie prezydencie?

- Kara śmierci, oczywiście.

Po ogłoszeniu wyroku poinformuje pan prasę, że będę obecny podczas egzekucji.

- Kiedy to będzie?

- spytał minister sprawiedliwości, notując każde słowo Żerińskiego.

Prezydent przerzucił kartki kalendarza w poszukiwaniu piętnastominutowego okienka.

- O ósmej rano w następnym piątek.

A teraz coś znacznie ważniejszego - moje plany co do sił zbrojnych.

- Uśmiechną się do generała Borodina, który siedział po jego prawicy i który jeszcze nie otworzył ust.

- Dla pana, panie wiceprezydencie, największa nagroda.

XX

W obozie Nań Dinh Connor opracował system liczenia dni spędzonych w niewoli.

Co rano o piątej strażnik Wietkongu zjawiał się z miską pływającego w wodzie ryżu - posiłkiem na cały dzień.

Connor ukrywał pojedyncze ziarenko w jednym z siedmiu bambusowych prętów, tworzących materac.

Co tydzień przynosił jedno z siedmiu ziarenek na belkę nad pryczą, a pozostałe sześć zjadał.

Cztery tygodnie brał ziarenko z belki nad pryczą i wkładał między deski podłogowe pod pryczą.

W dniu, kiedy razem z Chrisem Jacksonem uciekli z obozu, Connor wiedział, że był w niewoli rok, pięć miesięcy i dwadzieścia dni.

Ale leżąc na prycy w pozbawionej okna celi więzienia Kriestynawet on nie umiał wymyślić systemu pozwalającego obliczyć, jak długo tu jest.

Szef milicji odwiedził go dwukrotnie i wyszedł z niczym.

Connor powtarzał w kółko nazwisko, narodowość oraz żądał prowadzenia ambasadorai ciekaw był, kiedy Bolczenkow się zirytuje.

Na odpowiedź nieczekał długo.

Parę chwil po drugiej wizycie Bolczenkova do celi wpadło trzech drabów, którzy powitaligo tego popołudnia, gdy przybył do więzienia.

Dwóch wywlokło go z pryczy i rzuciło na krzesło, które dopiero zajmował szef milicji.

Wykręcili mu ręce do tyłu i założyli kajdanki.

Wtedy po raz pierwszy Connor zobaczył brzytwę.

Podczas gdy dwóch mężczyzn go przytrzymywało, trzeci czternastoma pociągnięciami zarzewiałego ostrza ściąłmu z głowy wszystkie włosy, a przy okazji sporo skóry.

Nie tracił czasu na wodę i mydło.

Krew płynęła skulonemu na krzesło Connorowi po twarzy i wsiąkała w koszulę jeszcze długo po ich wyjściu.

Przypomniał sobie, co powiedział Bolczenkow podczas pierwszego spotkania:

167.

- Nie uznaję tortur.

To nie w moim stylu.

W końcu padł w sen, ale nie wiedział, na jak długo.

Następnie, co pamiętał, to to, że podniesiono go z podłogi, rzucono z powrotem na krzesło i znów przytrzymano.

Trzeci drab zamiast brzytwy wyjął długą, grubą igłę i z taką samą delikatnością, jaką się wykazywał jako fryzjer, wytatuował na lewym przegubie więźnia numer 12995.

Widać nazwisko na nic się nie przydawało, kiedy człowiek rezerwował sobie pokój z wyżywieniem w Kriestach.

Wrócili trzeci raz, poderwali go z podłogi wypchnęli z celi nadługi, ciemny korytarz. W takich chwilach żałował, że ma wyobraźnię.

Wolał nie myśleć o tym, co chcą nim zrobić.

We wniosku o przyznanie mu Medal of Honor opisywano, jak nieustraszony był porucznik Fitzgerald prowadząc do walki swych ludzi, jak uratował towarzysza broni i dokonał brawurowej ucieczki z północnowietnamskiego obozu jenieckiego.

Lecz Connor wiedział, że nigdy nie spotkał człowieka, który byłby nieustraszony.

W Nań Dinh wytrzymał rok, pięć miesięcy i dwa dni - ale wtedy miał tylko dwadzieścia dwa lata, a kiedy się ma dwadzieścia dwa lata, człowiek wierzy, że jest nieśmiertelny.

Gdy wypchnęli go z korytarza na dziedziniec zalany porannym słońcem, rzuciła mu się w oczy szubienica wznoszona przez grupę więźniów.

Teraz Connor miał pięćdziesiąt jeden lat.

Nikt mu nie musiał mówić, że nie jest nieśmiertelny.

Kiedy tego poniedziałku Joan Bennett zgłosiła się do pracy w Langley, dokładnie wiedziała, ile dni odsłużyła ze swego ośmiomiesięcznego wyroku, gdyż każdego wieczoru, przed wyjściem do pracy, karmiła kota i wykreślała kolejną datę w kalendarzu na ścianie w kuchni.

Zostawiła samochód na zachodnim parkingu i podążyła wprost do biblioteki. Zarejestrowała się, po czym zeszła metalowymi schodami do biblioteki podręcznej. Przez następne dziewięć godzin, tylko z przerwą na posiłek północy, miała czytać pliki nadesłanych pocztą elektroniczną najnowszych wyciągów z gazet z Bliskiego Wschodu. Jej główne zadanie polegało na wyszukiwaniu wszelkich wzmianek dotyczących Stanów Zjednoczonych i, jeżeli były krytyczne, elektronicznym ich skopiowaniu, zestawieniu i przestaniu pocztą elektroniczną do szefa na trzecim piętrze, który przeanalizuje ich

168

znaczenie rano, o bardziej cywilizowanej godzinie.

Była to nudna, ogłupiająca praca.

Kilka razy myślała, żeby zrezygnować, ale twarzą postanowiła, że nie da Gutenbergowi tej satysfakcji.

Tuż przed północą, przed przerwą na posiłek, Joan rzucił się w oczy tytuł "Istanbul News" - "Zabójca wynajęty przez mafię rosyjską przed sądem".

Dotychczas myślała, że jest tylko mafia włoska, i z zaskoczeniem konstatawała, iż artykuł dotyczy południowoafrykańskiego terrorysty, postawionego przed sądem za próbę zamachu na nowego prezydenta Rosji.

Notatka nie zainteresowała by jej, gdyby nie spostrzegła rysunkowego portretu oskarżonego mężczyzny.

Serce zaczęło jej mocno bić, gdy zagłębiła się w długi artykuł Fatimy Kusmann, korespondentki gazety z Europy Wschodniej, w którym autorka pisała, iż siedziała obok zawodowego zabójcy podczas wiecu, na którym przemawiał Żeriński.

Minęła północ, ale Joan wciąż tkwiła za biurkiem.

Na dziedzińcu więzienny, gdzie stał Connor i patrzył na w połowiegotowe rusztowanie, zajechał samochód milicyjny i jeden z drabów wpełchnął więźnia natylne siedzenie.

Connor ze zdziwieniem zobaczył, że czeka na niego szef milicji.

Bolczek z trudem rozpoznał wymizerowanego mężczyznę z wygoloną głową.

Żaden z nich nic nie mówił, gdy samochód wyjeżdżał przez więzienną bramę na miasto. Kierowca skręcił w prawo i jechał bulwarem Newy z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Minęli trzy mosty, wreszcie skręcili w lewo i przejechali przez czwarty, kierując się do centrum miasta.

Kiedy przecinali rzekę, Connor spojrzał przez boczne okno na blade zielone Ermitaż.

Trudno byłoby o większy kontrast z więzieniem, które właśnie opuścił.

Spojrzał w górę na czyste, błękitne niebo, a potem w dół, na przechodniów przemierzających ulice.

Szybko zdoląmu uświadomić, jak bardzo sobie ceni wolność.

Gdy znaleźli się na południowej stronie rzeki, kierowca skręcił w prawo i po przejechaniu kilkuset metrów zahamował przed Pałacem Sprawiedliwości.

Drzwiczki samochodu utworzył czekający milicjant.

Gdyby Connorowi zaświtała myślucieczki, widok pięćdziesięciu innych milicjantów stojących na trotuarze odwiódłby go od tego zamiaru.

Uformowali długi szereg powitalny, kiedy wstępował po stopniach do wielkiego, kamiennego gmachu.

Zaprowadzono go do dyżurki portiera, gdzie milicjant przygiąłmu lewe ramię do kontuaru, obejrzał przegub i wpisał do rejestrunumer "12995".

Następnie kazano mu iść marmurowym korytarzemku masywnym, dębowym drzewom. Kiedy byłblisko, drzwi nagle sięrozwarły i wkroczył do pełnej ludzi sali sądowej.

Ujrzałmorze twarzy i pojął, że czekano na niego.

Joan wklepała do komputera hasło "zamach na Żerińskiego".

Wszystkie doniesienia prasowe zgadzały się co do jednego: że mężczyznę, którego aresztowano na Placu Wolności byłPięć de Yilliers,południowoafrykański płatny zabójca, wynajęty przez mafię rosyjską, żeby zamordować Żerińskiego.

Karabin znaleziony wjego bagażu był identyczny z tym, z którego przed dwoma miesiącami strzelano doRicarda Guzmana wKolumbii.

Joan wskanowała do komputera portretrysunkowy de Villiersaz tureckiej gazetyi powiększyła go, aż wypełnił cały ekran.

Następnie przybliżyła oczy i powiększyła je do naturalnej wielkości.

Byłaterazpewna, kim jest naprawdę mężczyzna, którego mająpostawićprzed sądemw Sankt Petersburgu.

Spojrzała na zegarek.

Wskazywał kilka minut podrugiej.

Schwyciłaśłuchawkę stojącego oboktelefonu i wykręciła numer, któryznała na pamięć.

Dzwonił przez pewien czas, wreszcie odezwałsięzaspanygłos.

- Kto to?

-Musimy się zobaczyć.

Będę uciebie za trochę więcej niż godzinę - powiedziała tylko Joan i odłożyła słuchawkę.

Parę chwil później kogoś innego zbudził dzwonek telefonu.

Wysłuchałw skupieniu słów rozmówcy, poczym powiedział:

- Musimy przyspieszyćnasz pierwotny plan o kilka dni.

Connor stał za barierką dla oskarżonych i rozglądał się po sali sądowej.

Najpierw przyjrzał sięprzysięgłym.

Dwunastudobrych i sprawiedliwych?

Wątpliwe.

Żaden nawet niespojrzał w jego stronę.

Podejrzewał, że zaprzysiężenieich nie zajęło dużo czasu iże nikt nie poprosi o zastępcę.

Wszyscy w sędziestali na widok mężczyzny w długiej czarnej todze, który wyłonił się z bocznych drzwi.

Zasiadł na wielkim skórzanym krześle na środku podium, podobrazemukazującym całą postaćprezydenta Żerińskiego.

Wstał urzędnik sądowy i po rosyjsku odczy170

tał akt oskarżenia.

Connorz trudem śledził tokpostępowania sądowego i niktgo nie spytał, czy się przyznaje do winy, czy nie.

Urzędnikzajął swe miejsce, a z ławki poniżej sędziego wstał wysoki mężczyznaw średnim wieku, o ponurym wyglądzie, i zwrócił się do przysięgłych.

Trzymając się za kłapy marynarki, oskarżycielprzez całe przedpołudnie opisywałwydarzenia, które doprowadziły do aresztowaniaoskarżonego.

Opowiedział przysięgłym, że widziano, jak de Yilliersukradkiem obserwował Żerińskiego, nim został ujęty naPlacu Wolności.

I jak broń,z której zamierzał zastrzelić ukochanego prezydenta, znaleziono między jegoosobistymi rzeczami w hotelu.

- Oskarżonegozaślepiła próżność - stwierdził oskarżyciel.

- Walizka, w której znajdowała się broń, jest opatrzona jego monogramem.

- Sędzia pozwolił przysięgłym obejrzeć karabin i walizkę.

- Jeszcze bardziej obciążającym dowodem jest skrawek papieru, ukryty wśród przyborów do mycia - ciągnął oskarżyciel - potwierdzający transfer miliona dolarów amerykańskich na rachunek bankowy na hasło cyfrowe w Genewie.

- I znów przysięgli mogli obejrzeć ów dowód.

Oskarżyciel w dalszym ciągu przemówienia wychwalał milicję w Sankt Petersburgu za sumienność i pomysłowość, z jaką zdołała zapobiec zbrodniczemu czynowi, oraz za profesjonalizm, którym się wykazała ujmując przestępcę, który zamierzał go popełnić. Dodał, że naród jest winien wdzięczność Władimirowi Bolczenkowowi, szefowi komendy miasta.

Kilku sędziów przysięgłych skinęło głowami.

Oskarżyciel zakończył swój monolog, informując przysięgłych, że ilekroć oskarżonego pytano, czy został wynajęty przez mafię, aby zabić prezydenta, ten odmawiał odpowiedzi.

- Musicie sami rozstrzygnąć, co oznacza to milczenie - powiedział.

- Moim zdaniem, po zapoznaniu się z postępowaniem dowodowym, można wydać tylko jeden werdykt i orzeczyć tylko jeden wyrok.

- Uśmiechnął się blado do sędziego i usiadł.

Connor rozejrzał się wokół, by zobaczyć, kogo wybrano na jego obrońcę.

Zastanawiał się, jak adwokat poradzi sobie z zadaniem, skoro się nawet niewidzieli.

Sędzia spojrzał na drugi koniec ławki i skinął głową.

Młody człowiek, który wyglądał, jakby dopiero co skończył studia prawnicze, podniósł się ze swego miejsca.

Nie trzymał się za kłapy marynarki, gdy patrzył w górę na sędziego, nie uśmiechał się do niego, ani nawet niewygaszał przemówienia do przysięgłych.

- Mój klient nie przedstawia dowodów przeciw - powiedział tylko i usiadł.

Sędzia skinął głową, następnie zwrócił wzrok na przewodniczącą ławy przysięgłych, mężczyznę o poważnym wyglądzie, który dokładnie wiedział, czego od niego oczekiwano. Wstał na zawołanie.

- Panie przewodniczący, rozważywszy dowody, które tu przedstawiono, jaki jest pański werdykt?

- Winien - wygłosił ten składający się z jednego słowatek, bezzachęty ani konsultacji z pozostałymi członkami ławy przysięgłych.

Sędzia pierwszy raz spojrzał na Connora.

- Skoro przysięgli jednomyślnie wydali werdykt, mnie pozostało tylko ogłosić wyrok. Prawo zaś przewiduje tylko jedną karę za taką brodnię.

- Zawiesił głos, utkwiał w Connorze obojętny wzrok i powiedział: - Skazuję pana na śmierć przez powieszenie.

- Sędzia zwrócił się ku obrońcy.

- Czy chce pan wnieść apelację?

- zadał retoryczne pytanie.

- Nie, Wysoki Sądzie - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Wyrok zostanie wykonany w piątek o ósmej rano.

Connor zdziwił się, że będą czekać do piątku, by go powiesić.

Joan przejrzała przed wyjściem jeszcze kilka artykułów.

Daty opisywanych wydarzeń zgadzały się z datami zagranicznych wojaży Connora.

Najpierw wypad do Kolumbii, potem wizytaw Sankt Petersburgu.

Trochę za wiele, by zacytować ulubione powiedzenie Connora, zbiegów okoliczności.

O trzeciej Joan czuła się kompletnie wyczerpana.

Z niechęcią myślała, że musi zapoznać Maggie z wynikami swoich detektywistycznych poczynąń.

Ale jeżeli to rzeczywiście Connor miał stanąć przed sądem w Sankt Petersburgu, nie było chwili do stracenia, gdyż gazety tureckie były sprzed kilku dni.

Joan wyłączyła komputer i zamknęła biurko.

Miała nadzieję, że szef nie zauważy, iż przegródka z przychodzącą pocztą elektroniczną jest prawie pusta.

Wyszła starymi schodami na parter, odbiła kartę wyjścia i minęła z rzadka napływających pracowników rozpoczynających pracę na wczesnonorannej zmianie.

Wyjechała swoim nowym samochodem z parkingu i za bramą skręciła na wschód w Aleję Jerzego Waszyngtona.

Nawierzchnia szosy gdzieś pokryta była lodem po wczorajszej zawierusze

172

i ekipy drogowe pracowały, by usunąć go przedporannym nasileniem ruchu.

Zazwyczaj lubiła jechać przez pustą ulicę Waszyngtonu, mając wspaniałe pomniki upamiętniające historię narodu.

W szkole w St.

Paul siedziała cichutko w pierwszej ławce słuchając nauczyciela, który opowiadał im o Waszyngtonie, Jeffersonie, Lincolnie i Roosevelcie.

Uwielbienie dla tych bohaterkich postaci skłoniło ją do wstąpienia do służby państwowej.

Po ukończeniu wydziału nauk politycznych na uniwersytecie w Minnesocie złożyła podania o przyjęcie do FBI i CIA.

Obydwie instytucje wezwały ją na rozmowę kwalifikacyjną, ale gdy ujrzała Connora Fitzgeralda, odwołała wizytę w FBI.

Oto był męczyzna, który wrócił z daremnej wojny z medalem, o jakim nigdy nie wspominali który nadal służył swojemu krajowi bez fanfar i uznania.

Jeżeli czasem dzieliła się tymi myślami z Connorem, śmiała się tylko i mówiła, że jest sentymentalna.

Ale Tom Lawrence miał rację, kiedy nazwał Connora jednym z bezimiennych bohaterów Ameryki.

Joan poradzi Maggie, żeby natychmiast skontaktowała się z Białym Domem, gdyż to właśnie Lawrence poprosił Connora, żeby podjął się tej misji.

Joan próbowała uporządkować myśli, gdy wielka, zielona piaskarka wyprzedziła ją z prawej strony i zaczęła zbliżać się do niej, nim jeszcze się przed nią wysforowała.

Joan mignęła światłami, ale ciężarówka wbrew jej oczekiwaniom nie ustąpiła.

Joan spojrzała we wsteczne lustro i zjechała na środkowy pas.

Ciężarówka natychmiast podążyła za nią, zmuszając ją do gwałtownego skrętu na lewy pas.

Joan musiała błyskawicznie zdecydować, czy nacisnąć hamulec, czy przyspieszyć i próbować wyprzedzić bezmyślnego kierowcę.

Znowu zerknęła we wsteczne lustro, lecz teraz z przerażeniem ujrzała wielkiego, czarnego mercedesa, szybko zbliżającego się z tyłu.

Przycisnęła stopopedał gazu, akurat gdy autostrada nachylała się i skręcała w lewo przy Spout Run.

Mały pasat natychmiast zareagował, ale piaskarka również przyspieszyła i Joan nie mogła odebrać dostatecznej szybkości, aby się od niej oderwać.

Joan nie miała innego wyboru, jak tylko zjechać jeszcze bardziej w lewo, niemal na pas zieleni.

Spojrzała we wsteczne lustro i zobaczyła, że mercedes podążył za nią i jest teraz blisko jej tylnego zderzaka.

Poczuła, jak jej wali serce.

Czy kierowcy ciężarówki i samochodu są w zмовie?

Próbowała zwolnić, ale mercedes jeszcze bardziej się zbliżył do pasata.

Joan przycisnęła znowu pedał gazu i pasat skoczył do przodu.

Pot lał się jej z czoła i oślepiał, gdy zrównała się

z kabiną piaskarki, ale mimo że wcisnęła pedał do samej podłogi, nie mogła wyprzedzić ciężarówki.

Podniosła oczy na kabinę, usiłując wrócić uwagę kierowcy, ale on nie zareagował na jej znaki i cał zacalem, nieubłagane, zjeżdżał w lewo, zmuszając ją, aby zwiniała i ustawiła się za nim.

Zerknęła we wsteczne lustro: mercedes niemal siedział na zderzaku.

Spojrzała do przodu i zobaczyła, jak podnosi się kłapa piaskarki na drogę sypie się piasek.

Joan instynktownie wcisnęła hamulec, ale mały samochód przestał je słuchać, wpadł wpoślizg, przeciął lodowaciami pas zieleni, a następnie stoczył się po trawiastym brzegu dorzeki.

Wpadł do wody niczym rozpędzony płaski kamień, chwilę unosił się na powierzchni i znikł. Pozostały tylko ślady kół na brzegu trochę baniek powietrza.

Ciężarówka z piaskiem wróciła na środkowy pas i kontynuowała jazdę kierunku Waszyngtonu.

Po chwili mercedes dał sygnał światłami, wyprzedził ją i odjechał.

Dwa samochody zmierzające w kierunku lotniska Dullesa zatrzymały się na pasie zieleni.

Jeden z kierowców wyskoczył z auta i zsunął się nad rzekę, żeby sprawdzić, czy można pomóc, ale nim znalazł się nad wodą, po samochodzie nie było śladu.

Widać było tylko ślady kół na pokrytym śniegiem brzegu i bańki powietrza na wodzie.

Drugi kierowca zapisał numer rejestracyjny piaskarki i przekazał go pierwszemu policjantowi, który zjawił się na miejscu wypadku.

Ten wystukał numer w komputerze na desce rozdzielczej.

Po paru sekundach zapytał marszcząc brwi:

- Czy jest pan pewien, że zapisał pan właściwy numer?

Wydział dróg w Waszyngtonie nie ma w swoim rejestrze takiego pojazdu.

Kiedy Connora ciśnięto z powrotem do samochodu, okazało się, że Bolcenkow czeka na niego.

Podczas jazdy powrotnej do więzienia Connor nie mógł się powstrzymać przed zadaniem mu pytania.

- Ciekaw jestem, dlaczego czekają do piątku, żeby mnie powiesić?

- Szczęśliwy przypadek - odrzekł szef milicji.

- Zdaje się, że nasz ukończony prezydent chce być świadkiem egzekucji.

- Głęboko się zaciągnął papierosem.

- A dopiero w piątek rano będzie miał wolne piętnaście minut.

Connor uśmiechnął się krzywo.

- Panie Fitzgerald, cieszę się, że pan wreszcie przemówił - ciągnął szef milicji.

- Bo myślę, że czas panu powiedzieć, iż jest szansa ratunku.

XXI

Mark Twain kiedyś powiedział o przyjacielu: "Gdyby nie przyszedł czas, byłoby wiadomo, że umarł".

Kiedy minęła czwarta, Maggie zaczęła co parę minut spoglądać na zegarek.

O wpół do piątej pomyślała, że może, kiedy dzwoniła Joan, była tak zasnana, że źle ją zrozumiała.

O piątej uznała, że należy zatelefonować do Joan do domu.

Brak odpowiedzi, tylko powtarzający się sygnał.

Wykręciła numer telefonu w samochodzie Joan.

Tym razem usłyszała odpowiedź: "Numer chwilowo nieczynny.

Proszę spróbować później".

Maggie zaczęła krążyć dokoła kuchennego stołu, w przekonaniu, że Joan musiała się czegoś dowiedzieć o Connorze.

Na pewno byłoby coś ważnego, bo jeśli nie, to dlaczego ją obudziła od drugiej w nocy?

Czy odezwał się do niej?

Czy wiedziała, gdzie jest?

Czy mogłaby jej powiedzieć, kiedy wróci do domu?

O szóstej Maggie doszła do wniosku, że trzeba działać natychmiast.

Włączyła telewizor, żeby sprawdzić, która jest dokładnie godzina.

Na ekranie pojawił się twarz Charliego Gibsona.

- W ciągu następnej godziny będziemy mówić o ozdobach choinkowych, przy których wykonaniu mogą pomóc nawet maluchy.

Alenajpierw Kevin Newman przedstawi wiadomości poranne.

Maggie znów ruszyła w wędrowkę dokoła stołu, a tymczasem Ann Compton snuła przewidywania, że teraz, gdy Żeriński został przywódcą Rosji, prezydencki projekt ustawy o ograniczeniu zbrojeń jądrowych, biologicznych, chemicznych i konwencjonalnych prawie na pewno zostanie odrzucony większością głosów w Senacie.

Maggie zastanawiała się, czy powinna złamać zasadę życia i zatelefonować do Joan do Langley, kiedy pod wizerunkiem Kena Newmana ukazał się napis: "Katastrofa w alei Waszyngtona - piaskarka potrafiła volkswagena - kierowca samochodu prawdopodobnie
uto175.

nał. Szczegóły o 6.

30 w programie Świadek naoczny relacjonuje".

Słowa przebiegły przez ekran i znikły.

Maggie usiłowała uporać się z miską płatków kukurydzianych, śledząc w dalszym ciągu wiadomości.

Na ekranie pokazał się Andy Lloyd i oświadczył, że tuż przed Bożym Narodzeniem do Waszyngtonu przyjedzie z oficjalną wizytą prezydent Żeriński.

- Prezydent ucieszył się z tej wiadomości - oznajmił reporter - i wyraził nadzieję, że pomoże to przekonać przywódców Senatu, iż nowy prezydent rosyjski chce pozostawać w przyjaznych stosunkach z Ameryką.

Jednak przywódca większości senackiej powiedział, że poczeka, aż Żeriński wygłosi przemówienie.

Słyszając lekki stukną wycieracze, Maggie wyszła na korytarz, zebrała z podłogi siedem kopert i przejrzała je wracając do kuchni.

Cztery były do Connora; Maggie nigdy nie otwierała listów męża podczas jego nieobecności. Jedna zawierała rachunek z Pepco, inna miała stempel Chicago, a litera "e" w słowie "Maggie" była ukośnie nachylona, mogła więc to być tylko, jak co roku, kartka świąteczna od Declana O'Caseya.

Ostatnia była zaadresowana charakterystycznym pismem córki.

Maggie odłożyła wszystkie inne na bok i otworzyła ją.

Droga Mamo,

Piszę tylko parę słów, by potwierdzić, że Stuart będzie w Los Angeles w piątek.

Zamierzamy pojechać samochodem na kilka dni do San Francisco, a następnie przylecimy piętnastego do Waszyngtonu.

Maggie uśmiechnęła się.

Obydwoje cieszymy się, że spędzimy Boże Narodzenie z Tobą i z Tatą.

Nie telefonował do mnie, więc przypuszczam, że jeszcze niewrócił.

Maggie zmarszczyła brwi.

Dostałam list od Joan, która chyba nie jest zadowolona z nowej pracy.

Podejrzewam, że tak jak my wszyscy tęskni do Taty.

Pisze, że kupiła ponętnego, nowego Volkswagena.

Maggie przeczytała to zdanie drugie, nim zaczęły jej się trząść ręce.

176

- O Boże!

Nie!

- wykrzyknęła.

- Popatrzyła na zegarek: dwadzieścia po szóstej.

W telewizji Liza McRee pokazywała papierowy łańcuch z ostrokrzewu z jagodami.

- Świąteczne ozdoby, przy których wykonaniu mogą wam pomóc dzieci - oznajmiła wesoło.

- A teraz zajmijmy się choinką.

Maggie przeskoczyła na Kanał 5.

Inna spikerka rozwodziła się na temat tego, czy planowana wizyta Żerińskiego wpłynie na decyzję przywódców Senatu, jak głosować w sprawie ustawy o ograniczeniu uzbrojeń.

- Skończ już, skończ - błagała Maggie.

- A teraz - oznajmiła w końcu spikerka - kolejne informacje wypadku w alei Waszyngtona.

Oddajemy głos Liz Fullerton, naszej reporterce znajdującej się na miejscu katastrofy.

- Dziękuję, Julie.

Stoję na pasie zieleni oddzielającym jezdnię alei Jerzego Waszyngtona, gdzie doszło do tragicznego wypadku około trzeciej piętnaście.

Przeprowadziłam rozmowę ze świadkiem, który opowiedział nam, co widział.

Kamera pokazała mężczyznę, który najwyraźniej nie spodziewała się, że wystąpi tego ranka w telewizji.

- Jechałem w stronę Waszyngtonu - powiedział reporterce - kiedy ta ciężarówka z piaskiem zrzuciła ładunek na szosę, przez co samochód jadący z tyłu musiał nagle skręcić i wpadł w poślizg.

Samochód przeleciał przez szosę, zsunął się po brzegu i runął do Potomaku.

- Kamera pokazała szeroką panoramę rzeki, grupę policyjnych nurków i powrócił do reporterki.

- Nikt nie jest pewny, co się naprawdę wydarzyło - ciągnęła Liz Fullerton.

- Możliwe nawet, że kierowca piaskarki, siedzący wysoko w kabinie, pojechał dalej nieświadomy, że wydarzył się wypadek.

- Nie!

Nie!

- zawołała Maggie.

- To nie może być ona!

- Zamną widzicie państwo policyjnych nurków, którzy odnaleźli już samochód, niewątpliwie volkswagen pasat.

Mają nadzieję, że uda im się go wydobyć na powierzchnię w ciągu godziny.

Kierowca został jeszcze zidentyfikowany.

- Nie, nie, nie - powtarzała Maggie.

- Boże, błagam, niech to nie będzie Joan!

- Policja prosi, żeby kierowca czarnego mercedesa, który mógłby być świadkiem wypadku, zgłosił się i pomógł w śledztwie.

Mam nadzieję, że o siódmej prześlemy państwu więcej informacji, więc do tej pory.

177

12. Jedenaste przykazanie.

Maggie popędziła na korytarz, schwyciła płaszcz i wybiegła z domu.

Wskoczyła do samochodu i odetchnęła z ulgą, gdy silnik starejtoyoty prawie natychmiast zapalił.

Wolno wprowadziła samochódw Avon Place, przyspieszyła na Dwudziestej Dziewiętej Ulicy i podażyła na wschód Ulicą M w stronę alei.

Gdyby spojrzła wewsteczne lusterko, zobaczyłaby małego niebieskiego forda, który zręcznie zawrócił,po czym podążył zanią.

Pasażer siedzący z przodu wykręcał numer, który nie figurowałw książce telefonicznej.

- PanieJackson, jak miło,że znowu pan przyszedłmnie odwiedzić.

Wyszukana kurtuazjaMikołajaRomanowa bawiła Jacksona,zwłaszcza że stwarzała pozór, iż jego gość ma jakiś wybór.

Pierwsze spotkanie odbyło się na prośbę Jacksona i niewątpliwie zostało uznane za "stratę czasu", skoro Siergiejobie nogi miałać.

Każde kolejne spotkanie następowało powezwaniu odRomanowa, który wprowadzał Jacksona w najnowsze plany.

Car zagłębił się w fotelu z wysokim oparciem i Jackson zauważył,że na stoliku obok stoi, jak zwykle, szklaneczka z bezbarwnym płynem.

Zapamiętał reakcję staregoczłowieka, kiedy jedyny raz wyrwał się z pytaniem, więc czekał,kiedy się odezwie.

- Ucieszy się pan, panie Jackson, wiadomością, że ucieczka pańskiego przyjaciela- z wyjątkiemjednego problemu, który czeka narozwiązanie - została już zaaranżowana.

Pan Fitzgerald musi tylkogodzić się na nasze warunki.

Jeżeli uzna, że to niemożliwe, nie będę mógł zapobiec powieszeniu gojutro o ósmejrano - mówił beznamiętnie Romanow.

- Pozwoli pan, że przedstawię,co zaplanowaliśmy, jeśli on się zdecyduje.

Jestem pewien,że pańskie uwagi jako by-'

łego wicedyrektora CIA będą przydatne.

Starszy pan nacisnął guzik w oparciu fotela i drzwi w głębi salonunatychmiast się otworzyły.

Do pokoju wszedł AleksiejRomanow.

- Myślę, że zna pan mego syna - rzekł car.

Jackson rzucił okiem na człowieka, który zawsze towarzyszyłmuw podróżach do pałacu, ale rzadko się odzywał.

Skinąłgłową.

Młody Romanow odsunął przepiękny czternastowieczny gobelinprzedstawiający "Bitwę o Flandrię", za którym ukryty był wielki odbiornik telewizyjny.

Gładki, srebrny ekran trochę raził w tak wspaniałym wnętrzu, lecz nie bardziej,pomyślał Jackson, niż właścicielpałacu i jego akolici.

178

Najpierwna ekranie ukazał sięwidok więzienia Kriestyz zewnątrz.

Aleksiej Romanow wskazałwejście.

- Żeriński ma przybyć do więzieniaza dziesięć ósma.

Będziem trzecim z siedmiu samochodów i wjedzie boczną bramą usytuowaną tutaj.

- Romanow przesunął palcem po ekranie.

-Powita go Władimir Bolczenkow, który będzie mutowarzyszył na główny dziedziniec, gdzie zostanie wykonana egzekucja.

Za osiem ósma.

Młody Romanow w dalszym ciągu, minutapo minucie, prezentował Jacksonowi plan, szczególnie objaśniając, jak odbędzie sięucieczka Connora.

Jackson zauważył, że Romanow nie przejmował się jednym pozostałym problemem, najwyraźniej przekonany, że ojciec znajdzie rozwiązanie przed jutrzejszym rankiem. Skończywszy, Aleksiej wyłączył telewizor, przesunął gobelin na miejsce, lekko uklonił się ojcu i bez słów wyszedł z pokoju.

Kiedy zamknęły się drzwi, stary człowiek zwrócił się do Jacksona z pytaniem:

- Czy ma pan jakieś uwagi?

- Jedną, może dwie - rzekł Jackson.

- Przede wszystkim chcę powiedzieć, że podziwiam ten plan i jestem przekonany, że ma wszelkie szanse powodzenia.

Oczywiście, że pomyślał pan o każdej ewentualności, jaka może wyniknąć - to znaczy zakładając, że Connor zgodzi się na pańskie warunki.

A w tym względzie, muszę powtórzyć, absolutnie nie jestem upoważniony, aby występować w jego imieniu.

Romanow skinął głową.

- Ale pozostaje panu jeszcze pewien problem.

- A pan ma jakieś rozwiązanie?

- zagadnął stary człowiek.

- Tak - odparł Jackson.

- Mam.

Bolcenkow prawie przez godzinę objaśniał plan Romanowa, a potem zostawił Connora samego, żeby się zastanowił nad odpowiedzią.

Nie trzeba było przypominać, że czas do namysłu jest ściśle określony: Żeriński miał przybyć do Kriestów za czterdzieści pięć minut.

Connor leżał na pryczy.

Warunki przedstawiono mu bez ogródek.

Ale nawet gdyby na nie przystał i ucieczka by się powiodła, wcale nie był pewien, czy udałoby mu się wywiązać z umowy.

Jeżeli nie - zabiją go.

Po prostu - tyle, że Bolcenkow przestrzegł, iż nie będzie to szybka i lekka śmierć szubienicy.

Wyraźnie też zaznaczył - na wypadek, gdyby Connor miał wątpliwości - że zawsze

179.

umowy zawarte z rosyjską mafią i nie honorowane, automatycznie odpowiada najbliższa rodzina winowajcy.

Connor wciąż miał przed oczyma cyniczny wyraz twarzy szefa Petersburskiej milicji, gdy ten wyjął z kieszonki i podał mu dwie fotografie.

- Dwie piękne kobiety - powiedział.

- Musi pan być z nich dumny.

Byłyby tragiczne, gdyby musiały zapłacić życiem za coś, o czym nie mają pojęcia.

Po piętnastu minutach otwarto drzwi celi i do środka znowu wkroczył Bolczenkow.

Nie zapalony papieros tkwił mu w kąciu ust.

Teraz nie usiadł.

Connor wpatrywał się w sufit, jakby był sam.

- Widzę - rzekł szef policji zapalając papierosa - że wciąż pan się waha.

Wcale mnie to nie dziwi, choć tak krótko się znamy.

Ale może kiedy pan usłyszy najnowszą wiadomość, zdecyduje się pan.

Connor nadal patrzył w sufit.

- Wygląda na to, że pańska była sekretarka Joan Bennett zginęła w wypadku samochodowym.

Jechała z Langley do pańskiej żony.

Connor opuścił nogi na ziemię, usiadł i wbił wzrok w Bolczenkova.

- Jeśli Joan nie żyje, to skąd może pan wiedzieć, że jechała do mojej żony?

- Nie tylko CIA podsłuchuje rozmowy telefoniczne pańskiej żony - odparł szef milicji.

Zaciągnął się po raz ostatni papierosem, wypuścił niedopałek z ust i zdusił go na podłodze.

- Podejrzewamy, że pańska sekretarka jakimś sposobem odkryła, kogo naprawdę aresztowaliśmy na Placu Wolności.

A jeżeli pana żona jest tak harda i pełna determinacji, na jaką wygląda, to możemy założyć, że też wkrótce na to wpadnie.

A wtedy, obawiam się, spotka ją ten sam los, co pańska sekretarka.

- Jeżeli zgodzę się na warunki Romanowa, chciałbym włączyć do kontraktu własną klauzulę.

Bolczenkow wysłuchał go z zainteresowaniem.

- Czy pan Gutenberg?

- Przy telefonie.

- Mówi Maggie Fitzgerald.

Jestem żoną Connora Fitzgeralda, który, jak sądzę, jest teraz za granicą z misją, którą pan mu powierzył.

- Nie przypominam sobie tego nazwiska - rzekł Gutenberg.

180

- Zaledwie dwa tygodnie temu był pan na wydawanym przez niego pożegnaniu przyjeździe u nas w domu w Georgetown.

- Chyba pomyliła mnie pani z kim innym - odpowiedział spokojnie Gutenberg.

- Nie, z nikim pana nie pomyliłam.

To pantelefonowałam do mojego domu do swego biura dwadzieścia siedem po ósmej drugiego listopada.

- Nic podobnego, nie telefonowałam.

I zapewniam panią, że pani mąż nigdy umnie nie pracował.

- Więc niech mi pan powie, czy Joan Bennett pracowała kiedyś w Agencji?

Czy ją także wymazał pan z pamięci?

- Co pani sugeruje?

- Aha, wreszcie mi się udało zwrócić pańską uwagę.

Pozwoli pan, że wspomogę pańską słabą pamięć.

Joan Bennett pracowała jako sekretarka mego męża przez blisko dwadzieścia lat i chyba byłoby panu trudno zaprzeczyć, że wiedział pan o tym, iż w drodze Langley na spotkanie ze mną spotkała ją śmierć.

- Ze smutkiem przeczytałem o tragicznym wypadku pani Bennett, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

- Dziennikarze łamią sobie głowę nad wyjaśnieniem, co naprawdę wydarzyło się wczoraj nad ranem w Alei Jerzego Waszyngtona, ale może byłoby o krok bliżej prawdy, gdyby im powiedziano, że Joan Bennett pracowała z człowiekiem, który znikł z powierzchni ziemi w trakcie wykonywania specjalnego zadania, które pan muzlecił.

Zawsze dotychczas przekonywałam się, że dziennikarze uważają, iż wszelkie teksty zdobywcy Medal of Honor cieszą się zainteresowaniem czytelników.

- Proszę pani, trudno, żebyśmy pamiętali każdego z siedemnastu tysięcy pracowników CIA, a z pewnością nie mogę sobie przypomnieć, żebyśmy kiedyś spotkali panią Bennett, niemówiąc o panim mężu.

- Widzę, że muszę jeszcze trochę odświeżyć pańską pamięć.

Otoż tak się złożyło, że przyjęcie, na którym pana nie było, z którego pani telefonował i podczas którego pana nie sfotografowano, zostało, na szczęście albo na nieszczęście, w zależności od pańskiego punktu widzenia, nagrane na taśmę wideo przez moją córkę.

Chciałabym zrobić jacyś niespodziankę i ofiarować ją muna Boże Narodzenie.

Przed chwilą ponownie ją obejrzałam, panie Gutenberg, i choć występuje pan tylko w niewielkiej roli, zapewniam pana, że pańskie sam nasam z Joan Bennett jest doskonale widoczne.

Rozmowa również zo 181.

stała nagrana i odnoszę wrażenie, że stacje telewizyjne chętnie pokażą pana występ w wiadomościach wieczornych.

Tym razem Gutenberg przez pewien czas milczał.

- Może byłoby dobrze - powiedział w końcu - gdybyśmy się spotkali.

- Nie widzę takiej konieczności, proszę pana.

Dobrze wiem, czego od pana potrzebuję.

- Mianowicie?

- Chcę wiedzieć, gdzie jest w tej chwili mój mąż i kiedy go znów zobaczę.

W zamian za te dwie informacje oddam panu kasetę.

- Potrzebuję trochę czasu.

- Ależ tak - rzekła Maggie.

- Powiedzmy, czterdzieści osiem godzin?

I, panie Gutenberg, proszę daremnie go nie tracić przewracając mój dom do góry nogami w poszukiwaniu kasety, gdyż jej pannie znajdzie.

Została ukryta w takim miejscu, o którym nawet tak przebiegły człowiek jak pan nigdy by nie pomyślał.

- Ale.

- zaczął Gutenberg.

- Powinam też dodać, iż na wypadek, gdyby zdecydował się pan mnie pozbyć podobnie jak Joan Bennett, poleciłam moim prawnikom, że gdybym umarła w podejrzanych okolicznościach, mają natychmiast przekazać kopie taśmy do wykorzystania wszystkim trzem głównym sieciom telewizyjnym, stacji Fox i CNN.

Gdybym zaś po prostu znikła bez śladu, wówczas kasetę zostanie przekazana siedem dni później.

Zegnam, panie Gutenberg.

Maggie odłożyła słuchawkę i opadła na łóżko, oblana potem.

Gutenberg wpadł przez drzwi łączące biuro jego i dyrektorki.

Helen Dexter podniosła wzrok znad biurka, nie kryjąc zdziwienia, że zastępca wtargnął bez pukania do jej gabinetu.

- Mamy problem - powiedział tylko.

XXII

Skazaniec nie zjadł śniadania.

Kucharki próbowały oczyścić z wszy chleb, przeznaczony na ostatni posiłek dla więźnia, ale im się nie udało.

Rzucił jedno spojrzenie na blaszany talerz i wsunął go pod pryczę.

Parę minut później do celi wszedł prawosławny duchowny.

Wyjaśnił, że wprawdzie jest innego wyznania niż więzień, ale chętnie udzieli mu ostatnich sakramentów.

Komunia święta, którą przyjął skazaniec, była jego jedynym posiłkiem tego dnia.

Odprawiwszy krótką ceremonię, pop ukląkł wraz z nim nachłódnej posadźce.

Odmówiwszy modlitwę pobłogosławił

go i zostawił samemu sobie.

Leżał na pryczy z oczami wbitymi w sufit, ani przez chwilę nie żałując swej decyzji.

Kiedy wyłożył swoje racje, Bolczenkow przyjął je bez komentarza, a wychodząc z celi nawet lekko skłonił głowę.

Tobyłż jego strony znak największego uznania dla odwagi moralnej uwięzionego mężczyzny.

Więzień już kiedyś stał w obliczu śmierci.

Za drugim razem nie było to tak straszne.

Wtedy myślał o żonie i dziecku, których miał nigdy nie zobaczyć.

Teraz mógł myśleć tylko o rodzicach, którzy pomarli jedno po drugim, w odstępie kilkuniedni. Cieszył się, że żadne z nich nie odeszło z tego świata ze świadomością, co go czeka.

Dla niego powrót z Wietnamu był bohaterskim wyczynem z zachwytem przyjęł jego zapowiedź, że zamierza nadal służyć krajowi.

Mógłby nawet zostać dyrektorem, gdyby nie to, że prezydent w opalach postanowił mianować kobietę, łudząc się, że to pomoże jego słabnącej popularności.

Nie pomogło.

Chociaż to Gutenberg wbił mu nóż w plecy, nie ulegało wątpliwości, kto wręczył mu broń; ta kobieta dobrze by się czuła w roli lady Makbet.

Idzie na śmierć wiedząc, że niewielu rodaków dowie się o jego ofierze.

Ale w jego oczach podnosiło to tylko jej wartość.

183.

Nie będzie ceremonii pożegnalnej.
Trumny spowitej flagą amerykańską.
Nie będzie przygrobie przyjaciół ani krewnych słuchających księdza, wysławiającego jego poświęcenie i służbę publiczną, którą stanowią sedno jego życia.
Ani oddziału piechoty morskiej, dumnie wznoszącego w górę karabiny.
Ani dwudziestu jeden salw honorowych.
Ani ceremonialnie złożonej flagi, wręczonej w imieniu prezydenta najbliższemu krewnemu.
Nie. Pisane mu było zostać jeszcze jednym bezimiennym bohaterem Toma Lawrence'a.

^
Zarzuca mu pętlę naszyję i powieszą go w tym kraju, niełaskawym, nie lubianym.
Ogolona głowa, numer naprzegubie, bezimienny grób.

Czemu podjął tę decyzję, która tak poruszyła zazwyczaj obojętnego szefa policji?
Nie miał czasu, żeby mu wytłumaczyć, co stało się w Wietnamie, ale to tam kości zostały rzucone.

Może powinien był stanąć przed plutonem egzekucyjnym lata temu, winnym dalekim kraju?

Ale przeżył.

Teraz nikt go nie ocali w ostatniej chwili.

I było za późno na zmianę decyzji.

Rosyjski prezydent obudził się rano w paskudnym nastroju.

Pierwszą osobą, na której wyładował swoją złość, był kucharz.

Żeriński jednym ruchem zmiotł śniadanie na podłogę.

::

- To tak się mnie przyjmuje w Leningradzie?

- wrzasnął.

;

Wypadł jak burza z pokoju.

W gabinecie zdenerwowany urzędnik położył nabiurku dokumenty do podpisu, uprawniające milicję do aresztowania obywateli bez konieczności oskarżenia ich o przestępstwo.

Ale to nie poprawiło Żerińskiemu humoru.

Wiedział, że jest to jedynie wybieg, żeby wyłapać złodziejaszków, handlarzy narkotyków, drobnych przestępców.

On chciał, żeby dostarczona mu tacy głowę cara.

Jeżeli ministrowi spraw wewnętrznych nadal nic niewymyśli, będzie musiał go zmienić.

Zanim nadszedł szef gabinetu prezydenta, Żeriński zdążył wykreślić zwykłą koleijną setkę osób, których jedyną zbrodnią było popieranie Czernomowa podczas kampanii wyborczej.

W Moskwie krążyły już pogłoski, że były premier zamierza wyemigrować.

W dniu, kiedy opuści kraj, Żeriński podpisze tysiąc takich wyroków i uwięzi wszystkich, którzy kiedykolwiek pełnili jakąś funkcję w administracji Czernomowa.

Rzucił pióro na biurko.

Wszystko to załatwił w niecały tydzień.

Myśl o spustoszeniu, którego dokona przez miesiąc, przez rok, wprowadziła go w trochę lepszy nastrój.

184

- Panie prezydencie, limuzyna czeka - powiedział zdębtwiałemu zestrachu urzędnik, którego otwarczy Żeriński nie widział.

Uśmiechnął się na myśl o tym, co niewątpliwie będzie atrakcją dnia.

Wyglądał niecierpliwie tego ranka w Kriestach, tak jak inni czekają na przedstawienie w Teatrze Opery i Baletu imienia Kirowa.

Wyszedł z gabinetu i kroczył długim marmurowym korytarzem świeżo zarekwirowanego budynku biurowego w stronę otwartych drzwi; przednim żwawo podążała jego świta.

Zatrzymał się na moment u szczytu schodów i objął spojrzeniem błyszczącą kawalkadę samochodów.

Kazał urzędnikom partyjnym dopilnować, aby zawsze miał o jedną limuzynę więcej niż poprzedni prezydenci.

Usiadł tyłu w trzecim samochodzie i spojrzął na zegarek: zasiedemnaście ósma. Policja opróżniła drogę godzinę wcześniej, aby kawalkada nie napotkała po drodze żadnego pojazdu.

Wstrzymanie ruchu uświadomi mieszkańcom, że w mieście jest prezydent, wyjaśnił Żeriński szefowi gabinetu.

Według oceny milicji drogowej jazda, która normalnie zajęłaby dwadzieścia minut, potrwałaby siedem.

Gdy mknęli nie zważając

E" na światła, a potem śmignęli przez most, Żeriński nawet nie spojrzął w stronę Ermitażu.

Kiedy znaleźli się na drugim brzegu Newy, kierowca czołowego samochodu przyspieszył do stu kilometrów na godzinę, żeby prezydent na pewno zdążył wypełnić swój pierwszy tego dnia oficjalny obowiązek.

Więzień usłyszał strażników maszerujących ku jego celi kamiennym korytarzem; stukot ich butów nasilał się z każdym krokiem.

Ciekaw był, ilu ich jest.

Przystanąli przed jego celą.

Klucz obrócił się w zamku i otworzyły się drzwi.

Kiedy człowiekowi pozostała kilka chwil życia, dostrzega każdy szczegół.

Bolczenkow wszedł pierwszy.

Więzień zdumiał się, że tak prędko się uwinął.

Zapalił papierosa, zaciągnął się raz i podał go skazańcowi.

Ten pokręcił głową.

Bolczenkow wzruszył ramionami, stopą dusił papierosa na kamiennej posadzce i wyszedł, żeby przywitać

prezydenta.

Teraz wszedł ksiądz; dzierżył wielką otwartą Biblię i śpiewał cicho modlitwę, której słowa nic więźniowi niemówiły.

Potem zjawił się tych trzech, których od razu rozpoznał.

Tym razem nie było brzytwy ani igły, tylko kajdanki.

Wbili w niego spojrzenia, niemal

185.

go zmuszając, żeby walczył, ale on ku ich rozczarowaniu spokojnie podał ręce do tyłu i czekał.

Zatrzasnęli mu naprzegubach kajdanki wypchnęli go z celi na korytarz.

Na końcu długiego, szarego tunelu dojrzał iskierkę słonecznego światła.

Prezydent wysiadł z limuzyny i został powitany przez szefa petersburskiej milicji. Żerińskiego rozbawiło, że przyznał Bolczenkowowi Order Lenina w tym samym dniu, w którym podpisał rozkaz aresztowania jego brata.

Bolczenkow zaprowadził Żerińskiego na dziedziniec, gdzie miała się odbyć egzekucja. Nikt nie zaproponował, żeby prezydent zdjął kapelusz i płaszcz podbity futrem, gdyż panował przenikliwy chłód.

Kiedy przemierzali dziedziniec, niewielki tłumek pod murem zaczął wiwatować na cześć prezydenta.

Szef milicji zauważył, że Żeriński się skrzywił.

Prezydent oczekiwał, że o wiele więcej ludzi chce być świadkami egzekucji człowieka, którego nasłano, żeby go zabił.

Przeczuwając kłopoty Bolczenkow nachylił się i szepnął prezydentowi do ucha:

- Polecono mi dopuścić tylko członków partii.

Żeriński kiwnął głową.

Bolczenkow nie tłumaczył, jak trudno było ściągnąć tego ranka do Kriestów nawet tych nielicznych.

Zbyt wielu słyszało opowieści, że jak raz człowiek tu się dostanie, nigdy stąd nie wyjdzie.

Bolczenkow stanął przy zbyt kowalnym osiemnastowiecznym fotelu, który Katarzyna Wielka nabyła ze spuścizny brytyjskiego premiera Roberta Walpole'a w 1779 roku, a który zabrano z Ermitażu poprzedniego dnia.

Prezydent rozsiadł się wygodnie wprost świeżo wzniesionej szubienicy.

Już po kilku sekundach Żeriński zaczął się niecierpliwie wiercić, czekając na pojawienie się więźnia.

Spojrzeniem pobiegł kugromadce pod murem i zatrzymał je na chłopcu, który płakał.

Ten widoknie sprawił mu przyjemności.

W tej chwili więzień wyłonił się z ciemnego korytarza na przenikliwe światło poranka. Nagaczaszka oblepiona zaschniętą krwią cienkie szare więzienne ubranie sprawiały, że wyglądał dziwnie anonimowo.

Wydawał się niezwykle spokojny jak nikoś, kto zakilka chwila umrzeć.

Skazaniec podniósł oczy ku porannemu słońcu i zadrżał, gdy oficer straży podszedł do niego, schwytał jego lewą rękę i sprawdził numer: 12995.

Następnie oficer obrócił się do prezydenta i odczytał sądową decyzję o wykonaniu wyroku.

Podczas gdy oficer dopełniał formalności, więzień rozglądał się po dziedzińcu.

Zobaczył dygoczącą gromadkę ludzi, porażoną strachem, że w każdej chwili może podzielić jego los.

Jego wzrok zatrzymał się na chłopcu, który ciągle płakał.

Gdyby pozwolono mu napisać testament, zostawiłby wszystko temu dziecku.

Przelotnie spojrzawszy na szubienicę, a potem na Żerińskiego.

Ich oczy się spotkały.

I choć więzień był przerażony, wytrzymał spojrzenie tamtego.

Twardo postanowił, że nie da mu tej satysfakcji i nie okaże, jak bardzo się boi.

Gdyby prezydent nie patrzył mu w oczy, lecz spojrzawszy na ziemię, pod jego nogi, sam by się przekonał.

Spełniwszy obowiązek, oficer zwinął dokument i odmaszerował.

Był to znak dla dwóchbirów, którzy wystąpili do przodu, schwycili więźnia pod pachy i poprowadzili go w stronę rusztowania.

Przeszedł spokojnie obok prezydenta i dalej, ku szubienicy.

Postawił stopę na pierwszym drewnianym stopniu i popatrzył w górę na wieżę zegarem. Za trzy minuty ósma.

Niewielu ludzi, pomyślał, wie, jak długo jeszcze będą żyć.

Silą woli niemal przymuszał zegar do bicia.

Czekał dwadzieścia osiem lat, żeby spłacić dług.

Teraz, w ostatnich sekundach, wszystko do niego wróciło.

Był gorący, parny ranek w NańDinh.

Ktoś musiał zostać ukarany dla przykładu i wybór padł na niego, jako na wyższego oficera. Jego zastępca wystąpił do przodu i zaofiarował się na jego miejsce.

A on, jako tchórz, nie zaprotestował.

Oficer wietnamski zaśmiał się i przyjął propozycję, ale potem postanowił, że obaj staną na jutro przed plutonem egzekucyjnym.

W środku nocy ten sam porucznik stanął przy jego łóżku i powiedział, że muszą uciekać.

To ich jedyna szansa.

Obóz nie był dobrze strzeżony, gdyż na północ setkami mil ciągnęła się dżungla zajęta przez siły Wietkongu, a na południe rozpościerało się dwadzieścia pięć mil nieprzebytych bagien. Kilku jeńców próbowało szczęścia na tej drodze, ale ono nie dopisało żadnemu.

Porucznik powiedział, że raczej umrze w bagnie, niż wybierze pewną śmierć z rąk plutonu egzekucyjnego.

Wymknął się w ciemnościach obozu, kapitan niechętnie do niego dołączył.

Gdy kilka godzin później weszło słońce, obóz nadal był widoczny.

Pogrążeni w cuchnącym, nawiedzonym przez plagę komarów bagnie, słyszeli śmiech wartowni 187.

ków strzelających do nich na chybił-trafił.

Nurkowali pod powierzchnię bagna, ale po kilku sekundach musieli wypływać i przedzierać się dalej.

W końcu, po najdłuższym dniu w jego życiu, zapadła ciemność.

Błagał porucznika, żeby szedł dalej sam, a letamten odmówił.

Pod koniec pierwszego dnia żałował, że nie stanął przed plutonem egzekucyjnym zamiast ginąć w tym zakazanym bagnie, w zakazanym kraju.

Ale młody oficer parł do przodu.

Przez jedenaście dni i dwanaście nocy nic nie jedli, pili tylko wodę, zlewani strugami ulewnej deszczu.

Dwunastego dnia rano stanęli na suchym łądzie, a on, półżywy z choroby i wyczerpania, stracił przytomność.

Potem się dowiedział, że przez następne cztery dni młody porucznik niósł go przez dżungłę ku wolności.

Następne, co pamiętał, to przebudzenie w szpitalu wojskowym.

- Jak długo tu jestem?

- spytał pielęgniarkę, która go doglądała.

- Sześć dni - odparła.

- Ma pan szczęście, że pan przeżył.

- A co z moim przyjacielem?

- Oddwóchni już chodzi.

Odwiedził pana dziś rano.

Znowu zasnął, a gdy się zbudził, poprosił pielęgniarkę o pióro i papier.

Resztę dnia spędził siedząc w szpitalnym łóżku, pisząc i przepisując wnioski o odznaczenie.

Wreszcie sporządził czystopis i poprosił, by go wysłano do dowództwa oficerów.

Sześć miesięcy później stał na trawniku przed Białym Domem między Maggie i jej ojcem i słuchał, jak odczytują jego tekst.

Porucznik Connor Fitzgerald wystąpił do przodu i prezydent przypiął mu Medal of Honor.

Wstępując na stopnie rusztowania myślał o jedynym człowieku, który będzie go opłakiwał, gdy odkryje prawdę.

Ostrzegł, żeby mu nie mówili, bo jeżeli się dowie, zerwie umowę, odda się w ręce milicji i wróci do więzienia.

- Musicie zrozumieć - tłumaczył - że macie do czynienia z człowiekiem honoru.

Więc dopilnujcie, żeby, nim zegar wybije ósmą, nie dowiedział się, że go wprowadzono w błąd.

Pierwsze uderzenie zegara sprawiło go w dreszcz i wrócił myślą do teraźniejszości.

Z drugim uderzeniem mały chłopiec, który płakał, podbiegł do rusztowania i upadł na kolana.

Z trzecim szef milicji wstrzymał ręką młodego kaprała, który zrobił krok do przodu, żeby odciągnąć dziecko.

188

Z czwartym więzień uśmiechnął się do Siergieja, jakby ten był jego jedynym synem.

Z piątym dwóch zbirów pchnęło go do przodu, także stanął tuż pod zwisającą liną.

Z szóstym kat założył mu pętla szyję.

Z siódmym skazaniec spojrzął prosto w twarz prezydentowi Rosji.

Z ósmym kat uruchomił dźwignię i opuścił zapadnię.

Kiedy ciało Christophera Andrew Jacksona zakołysało się w górze, Żeriński zaczął klaskać.

Kilka osób zawtórowało mu bez przekonania.

Po minucie dwóch zbirów zniosło zwłoki z rusztowania.
Siergiej wyrwał się do przodu, żeby pomóc im ułożyć przyjaciela w trumnicy surowego drewna, ustawionej obok szubienicy.

Szef milicji odprowadził prezydentado limuzyny i kawalkada samochodów ruszyła pospiesznie sprzed bramy więzienia, nim przybitowięko trumny.
Czterej więźniowie dźwignęli trumnę i ponieśli ją na ramionach na miejsce pochówku.
Siergiej dreptał przy nich, gdy wyszli z dziedzińca iskierowal się w stronę płachetki ziemi na tyłach więzienia.

Nawet martwym nie pozwalano stać uciec.

Gdyby Siergiej obejrzał się za siebie, zobaczyłby ludzi pracujących popłochu przez więzienne wrota, nim zostaną zawarte i nim zasuną się olbrzymie, drewniane rygle.

Niosący trumnę zatrzymali się obok nieoznaczonej mogiły, świeżo wykopanej przez innych więźniów.

Bezceremonialnie upuścili ziemię prosto w zionący dół, a potem, bez modlitwy czy choćby chwili milczenia, zaczęli nabierać łopatami grudy świeżo wykopanej ziemi i sypać ją na trumnę.

Chłopiec nie poruszył się, póki nie skończyli.

Kilka minut później strażnicy zapędzili więźniów z powrotem do cel.

Siergiej ukląkł, zastanawiając się, jak długo pozwoli mu zostać przy grobie.

Po chwili poczuł, jak ktoś kładzie rękę na ramieniu.

Podniósł wzrok i zobaczył stojącego nad nim szefa milicji.

Porządny gość, tak kiedyś powiedział onim Jacksonowi.

- Dobrze go znałeś?

- zagadnął szef milicji.

- Tak, proszę pana.

Byłem jego współnikiem.

Szef milicji skinął głową.

- Znam człowieka, za którego oddał życie - powiedział.

- Chciałbym mieć takiego przyjaciela.

XXIII

- Pani Fitzgerald wcale nie jest taka sprytna, jak jej się wydaje - powiedział Gutenberg.

-Amatorzy rzadko bywają sprytni -zauważyła Helen Dexter.

-Czy to znaczy, że ma pan w ręku ten film?

- Nie, ale chyba domyślamsię, gdzie jest - rzekł Gutenberg.

Chwilę milczał.

- Tylko nie wiem dokładnie, gdzie.

- Niech się pan tak nie wymądrza - powiedziała Dexter - i przejdź do rzeczy.

Nie musi mi pan udowadniać, jaki z pana szchwanylis.

Gutenberg wiedział, że większego komplementu z ust dyrektorkinie może się spodziewać.

- Pani Fitzgerald niezdaje sobie sprawy, że w jej domu i biurze od miesiąca działa podsłuch i że jest śledzona od chwili, kiedy jej mąż odleciał ze Stanów trzy tygodnie temu.

-Więc co pan odkrył?

- Niewiele, jeżeli oddzielnie traktować pojedyncze informacje.

Ale kiedy je zebrać razem, zaczyna się z nich wyłaniać pewien obraz.

- Posunął teczkę i magnetofon przez blat biurka, lecz przedmioty te nie wzbudziły zainteresowania Helen Dexter.

-Lepiej niech mi pan sam objaśni - powiedziała z lekką irytacją.

- Podczas lunchów Cafe Milano pani Fitzgerald rozmawiała z Joan Bennett na tematy obojętne.

Dopiero tuż przed wyjściem zadała jej jednopytanie.

- Mianowicie?

-Może zechce pani sama posłuchać?

- Wicedyrektor wcisnął klawisz magnetofonu i usadowił się wygodnie.

- Dla mnie też.

Czarną, bez cukru.

- Słysząc było oddalające się kroki.

-Joan, nigdy przedtem cięnie prosiłam, żebyś popełniła niedyskrecję, ale jest coś, co muszę wiedzieć.

190

- Chciałabym pomóc, ale jak już powiedziałam, jeżeli chodzi o Connora, to prawdopodobnie wiem równie mało jak ty.

-Więc potrzebne mi jest nazwisko kogoś, kto coś wie.

- Proponuję - odezwała się Joan po długim milczeniu - żebyś przejrzał listę gości obecnych na przyjęciu, które wydaliście z okazji pożegnania Connora z Firmą.

-Chris Jackson?

- Niestety, już nie pracuje w Firmie.

Znowu nastąpiło długie milczenie.

- Tengładki, mały człowieczek, który wyszedł bez pożegnania?

Ten, który powiedział, że jest likwidatorem szkód?

Gutenberg wyłączył magnetofon.

- Po cóż pan tam chodził?

- warknęła Dexter.

- Bo poleciła mi pani sprawdzić, czy Fitzgerald znalazł pracę w Waszyngtonie.

Proszę nie zapominać, że jego córka dała nam wskazówkę, dzięki której trafiliśmy do Thompsona i przekonaliśmy go, że nie powinien go zatrudnić.

Jestem pewien, że pani przypomina sobie tamtą sytuację.

Dexter skrzywiła się.

- Co się wydarzyło potem?

- Kiedy pani Fitzgerald wróciła wieczorem do domu - ona nigdy nie telefonuje w sprawach prywatnych z biura - zatelefonowała w kilka miejsc.

Wykręciła też numer telefonu komórkowego Chrisa Jacksona.

- Dlaczego, skoro wiedziała, że odszedł z Firmy?

- Oni znają się od dawna.

Jackson i Fitzgerald służyli razem w Wietnamie.

To Jackson złożył wniosek, by Fitzgeraldowi przyznać Medal of Honor i to on zwerbował go do CIA.

- Czy Jackson mówił jej o panu?

- spytała Dexter z niedowierzaniem.

- Nie, nie miał szans - odparł Gutenberg.

- Zablokowaliśmy mu telefon komórkowy, kiedy się zorientowaliśmy, że jest w Rosji.

- Uśmiechnął się.

- Jednakże nadal możemy ustalić, kto do niego dzwonił i do kogo on próbował się dozwonić.

- Czy to znaczy, że odkrył pan, komu składa raporty?

- Jackson wykręcił tylko jeden numer, od kiedy wylądował w Rosji, i podejrzewam, że zaryzykował, bo znalazł się w podbramkowej sytuacji.

- Do kogo telefonował?

- spytała niecierpliwie Dexter.

191.

- Pod utajniony numer w Białym Domu.
- Niewątpliwie do naszego przyjaciela Lloyda - rzuciła Dexter, nie mrugnawszy okiem.
- Niewątpliwie - zgodził się Gutenberg.
- Czy pani Fitzgerald wie, że Jackson komunikuje się bezpośrednio z Białym Domem?
- Nie sądzę - rzekł Gutenberg.
- Bowtedy próbowałyby skontaktować się z nim już wcześniej.
Dexter skinęła głową.
- Zatem musimy dopilnować, żeby nigdy się nie dowiedziała.
- Rozumiem.
- Gutenberg nie okazał cienia emocji.
- Ale nic niemożę zrobić, póki nie będę miał rękę tego rodzinnego filmu.
- A jak przedstawia się ta sprawa?
- spytała Dexter.
- Nie posunęlibyśmy się do przodu, gdyby nie pewna wskazówka w podsłuchanej rozmowie telefonicznej.
Kiedy Joan Bennett zadzwoniła do pani Fitzgerald z Langley o drugiej w nocy, aby jej powiedzieć, że będzie u niej za godzinę, jeden z moich ludzi sprawdził, jakie informacje przywołała na komputerze w podręcznej bibliotece.
Prędko się okazało, że musiała się natknąć na coś, co wzbudziło jej podejrzenia, iż to jej dawny szef siedzi w więzieniu w Sankt Petersburgu.
Ale, jak pani wie, nie spotkała się z panią Fitzgerald.
- Niewiele brakowało.
- Zgoda.
Ale kiedy się nie zjawiła, pani Fitzgerald pojechała w aleję Jerzego Waszyngtona i czekała, póki policja niewydobyła z ręki samochodu.
- Prawdopodobnie zobaczyła relację z wypadku w telewizji albo usłyszała w radio - zauważyła Dexter.
- Tak przypuszczamy.
To była główna wiadomość w lokalnym dzienniku tego ranka.
Kiedy pani Fitzgerald się upewniła, że to Bennett była w tym samochodzie, natychmiast zatelefonowała do córki do Stanfordu.
Ma trochę zaspany głos, bo w Kalifornii była dopiero piąta rano.
- Znowu się pochylił i włączył klawisz odtwarzania.
- Witaj, Taro.
Tu mama.
- Cześć, mamo.
Która to godzina?
- Przepraszam, kochanie, że dzwonię tak wcześnie, ale mam bardzo smutną wiadomość.
- Ale nie chodzi o tatę?
- Nie.
Joan Bennett zginęła w katastrofie samochodowej.
192
- Joan nie żyje?
Nie mogę w to uwierzyć.
Powiedz, że to nieprawda.
- Niestety, nie.
I mam okropne wrażenie, że w jakiś sposób wiążę się to z tym, że Connor nie wraca do domu.
- Daj spokój, mamo.

Czy przypadkiem nie wpadasz w obsesję?

Taty nie ma zaledwie od trzech tygodni.

- Może masz rację, ale jednak postanowiłamprzenieśćtenfilm wideo, który nakręciłaśna przyjęciu, w bezpieczniejsze miejsce.

-Dlaczego?

- Bo to jest jedyny dowód, jaki mam, że twój ojciec spotkał się kiedykolwiek z człowiekiem o nazwisku Nick Gutenberg czy choćby, żedla niego pracował.

Wicedyrektornacisnął klawisz "stop".

- Rozmowa toczy się jeszcze przez pewien czas, ale niewielejużnam wyjawia.

Kiedy pani Fitzgerald kilka minut później wyszła z domu z kasetą wideo, agent, który wysłuchał rozmowy zrozumiał, jaka jest ważna, pojechał za nią na uniwersytet.

Nie poszła jak zwykle prostodo swego biura, ale wstąpiłado biblioteki i tamudała się do działu komputerowego na pierwszym piętrze.

Przedwdzieściami minut czegośszukała w jednym z komputerów, poczym wyszła stamtąd z kilkunastostronicowym wydrukiem.

Następnie zjechała windą do działu informacjaudiowizualnych naparterze.

Agent niechciał ryzykować jazdy z nią w windzie, więcgdysięzorientował, gdzie się zatrzymała, podszedł do komputera,przy którym pracowała, ipróbował przywołać ostatni plik, któryzostał otwarty.

- Oczywiście wszystko skasowała - rzuciła Dexter.

-Oczywiście - przyznał Gutenberg.

- A co z wydrukiem?

-Też aniśladu, co to było.

- Trudno, żebybyła żoną Connora Fitzgeralda przez dwadzieścia osiem lat inie podchwyciła czegośnaszychmetod.

-Agent wyszedł z biblioteki i czekał w samochodzie.

Po kilkun minutach pani Fitzgerald wyszła z budynku.

Nie miała już kasety,ale niosła.

- Musiała ją zostawić w dziale audiowizualnym.

-Też tak myślę - rzekł Gutenberg.

- Ile kaset możebyć w bibliotece uniwersyteckiej?

-Ponad dwadzieścia pięć tysięcy.

193

13. Jedenaste przykazanie.

- Przejrzenie wszystkich zabrałoby za dużo czasu - stwierdziła Dexter.

- Tak, gdyby pani Fitzgerald nie popełniła pierwszego błędu.

Tym razem Dexternie przerwała Gutenbergowi.

- Kiedy wychodziła z biblioteki, nie miała kasety wideo, ale niosła wydruk.

Nasz agent podążył za nią do biura, gdzie, miło mitopowiedzieć, zasady pani Fitzgerald wzięły górę nad rozsądkiem.

Dexter uniosła brwi.

- Przed powrotem do biura wstąpiła do utylizatorni śmieci.

Niena darmo jest wiceprezeską PAUG.

- Co to takiego?

- Patrol Antyśmieciowy Uniwersytetu Georgetown.

Wrzuciła wydruk do pojemnika z papierem.

- Wspaniale.

I co tam znaleźliście?

- Pełną listę aktualnie wypożyczonych filmów wideo, które najprawdopodobniej zostaną zwrócone dopiero z początkiem następnego semestru.

- Doszłam więc do wniosku, że może bezpiecznie zostawić swój film w pustym pudełku, gdzie nikt się na niego nie natknie przez kilkadziesiąt dni.

- Słusznie - przytaknął Gutenberg.

- Ile kaset wideo było na tej liście?

- Czteryście siedemdziesiąt dwie.

- Przypuszczam, że zażądał pan wydania wszystkich co do jednej.

- Myślałem, żeby to zrobić, ale gdyby jakiś wścibski student albo członek personelu dowiedział się o obecności CIA na terenie uniwersytetu, rozpętałoby się piekło.

- To przewidując o pańskiej stronie - pochwaliła go Dexter.

- Więc jak zamierza pan znaleźć ten film?

- Odkomenderowałem dwunastu starannie dobranych agentów, wszystkich świeżo po studiach, żeby sprawdzili każdy z tytułów z listy, aż natrafią na film domowej roboty w pudełku, które powinny być puste.

Problem w tym, że chociaż są ubrani jak studenci, zadanie może pozostawać w bibliotece dłużej niż dwadzieścia minut ani przychodzić tam częściej niż dwa razy dziennie, żeby nie rzucić się oczy, zwłaszcza że o tej porze roku jest tam prawie pusto. Tak więc jest to pracochłonne zajęcie.

- Jak pan myśli, ile czasu potrwa, nim znajdą film?

194

- Jeżeli dopiszesz szczęście, mogą się na niego natknąć od razu, ale moim zdaniem zajmie to dzień lub dwa, najwyżej trzy.

- Proszę nie zapominać, że musię pan skontaktować panią Fitzgerald przed upływem czterdziestu ośmiu godzin.

- Pamiętam.

Ale jeśli wcześniej znajdziemy taśmę, nie będzie to potrzebne.

- O ile pani Fitzgerald nie nagrała też rozmowy telefonicznej z panem.

- Nagrała - powiedział z uśmiechem Gutenberg - ale w kilka sekund po odłożeniu przez nią słuchawki rozmowa została zmaszana.

Szkoda, że nie widziała pani, jaki zadowolony był profesor Ziegler ze swojej najnowszej zabawki.

- Znakomicie - orzekła Dexter.

- Niech pandomnie zadzwoni, jak tylko film wpadnie panu w ręce.

Wtedy nic nas nie powstrzyma, żeby usunąć jedyną osobę, która mogłaby.

- Na jej biurku zadzwonił czerwony telefon.

Schwyciła słuchawkę nie kończąc zdania.

- Dyrektorka - powiedziała, włączając stoper.

- Kiedy to się stało.

Czy jest pan absolutnie pewien.

A Jackson?

Gdzie on jest?

-Usłyszawszy odpowiedź,natychmiast odłożyła słuchawkę.

Gutenberg zauważył, że stoper wskazał czterdzieści trzy sekundy.

- Mam nadzieję, że pan znajdzie tę taśmę wideo w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin - rzuciła dyrektorka, spoglądając na swego zastępcę nad blatem biurka.

-Dlaczego?

- spytał Gutenberg z niepokojem.

- Bo Mitchell powiada, że Fitzgerald został powieszony dziś rano o ósmej czasu petersburskiego i że Jackson właśnie odleciał z Frankfurtu do Waszyngtonu samolotem United Airways.

Księga trzecia Wynajęty zabójca.

XXIV

O siódmej rano trzech zbirów weszło do celi i zaprowadziło go dobiura Bolczenkowa. Kiedy wyszli, Bolczenkow zamknął drzwina kluczem bez słowa podszedł do szafy w rogu. Wewnątrz był mundur milicyjny, który gestem nakazał włożyć Connorowi. W ciągu tygodnia Connor tak schudł, że mundur na nim wisiał, więc z wdzięcznością przyjął szelki.

Jednak w wielkiej czapce i długim płaszczu wyglądał jak jeden z tysiąca milicjantów patrolujących tego ranka ulice Sankt Petersburga.

Zostawił więc nieubrany do szafy, ciekaw, jak szef policji się go pozbędzie.

Nadal bez słowa Bolczenkow wyprowadził go z biura do małego przedpokoju i tam zamknął.

Długo trwała cisza, wreszcie Connor usłyszał otwieranie drzwi, potem czyjeś kroki i znów otwieranie drzwi, może drzwi szafy w biurze szefa milicji.

Stał bez ruchu, usiłując wydedukować, co się dzieje.

Pierwsze drzwi otworzyły się znowu i dwóch, może trzech ludzi wpadło z hałasem do biura.

Kilka sekund później wyszli, wywlekając stamtąd coś albo kogoś i zatraskując za sobą drzwi.

Po chwili klucz przekręcił się w zamku i Bolczenkow gestem ręki pokazał Connorowi, że może wyjść.

Przeszli przez biuro z powrotem na korytarz.

Gdyby szef milicji skręcił w lewo, oznaczałoby to powrót do celi, ale on skierował się w prawo.

Nogi uginały się pod Connorem, ale podążał za Bolczenkowem najszybciej jak mógł.

Pierwsze, co zobaczył, gdy znaleźli się nad dziedzińcem, to szubienicę i kogoś ustawiającego parę kroków przed nią wspinały, złocony fotel, wyściełany czerwonym pluszem.

Nie musiał zgadywać, kto na nim zasiądzie.

Przemierzając z Bolczenkowem dziedzińiec, zauważył grupę milicjantów w długich niebieskich płaszczach, takich jak ten, który miał na sobie, wywlekających przechodniów z ulicy, zapewne to, by byli świadkami egzekucji.

Szef milicji kroczył szybko w stronę samochodu, stojącego w głębi dziedzińca. Connor chciał otworzyć drzwiczki od strony pasażera, ale Bolcenkow potrząsnął głową i wskazał mu miejsce kierowcy.

Connor usiadł za kierownicą.

- Proszę podjechać pod bramę i stanąć - polecił szef milicji, zajmując miejsce obok.

Connor wolno, na pierwszym biegu przejechał przez dziedzińce i zatrzymał samochód przed dwoma wartownikami, którzy stali na posterunku przy zamkniętej bramie.

Jeden z nich zaskłamał szefowi milicji i natychmiast skontrolował samochód od spodu, drugi zaś zszarpł przez szybę do tyłu i sprawdził bagażnik.

Bolcenkow przechylił się i obciągnął lewy rękaw Connora, zasłaniając mu przegub. Zakończywszy przeszukiwanie wartownicy, wrócił na miejsce i ponownie zaskłamał Bolcenkowi.

Żaden z nich nie zwrócił najmniejszej uwagi na kierowcę.

Odsunięto olbrzymi drewniany rygiel i otwarto potężne wierzaje więzienia.

- Ruszaj!

- rzucił przyciszonym głosem szef milicji w chwili, gdy mały chłopiec wbiegał na teren więzienia z taką miną, jakby dobrze wiedział, dokąd zmierza.

- W którą stronę?

- wyszeptał Connor.

- W prawo.

Connor ostro skręcił i pojechał wzdłuż Newy do śródmieścia.

Nie było widać żadnego innego samochodu.

- Niech pan pojedzie następnym mostem - polecił Bolcenkow - a potem skręci w pierwszą w lewo.

Gdy mijali więzienie drugiej strony rzeki, Connor pobiegł wzrokiem ku jego wysokim murom.

Policja nadal usiłowała zwiabić ludzi, chcąc zwiabić nieliczną gromadkę, która zebrała się, żeby patrzeć, jak go wieszają.

Jak Bolcenkow sobie poradzi?

Connor przejechał jeszcze kilkaset metrów, aż Bolcenkow kazał mu się zatrzymać. Zwolnił i zahamował za dużym, białym BMW, którego tylne drzwiczki były otwarte.

- Tu się rozejmiesz, panie Fitzgerald - powiedział Bolcenkow.

- Miejmy nadzieję, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

Connor skinął głową.

Wysiadł z samochodu, gdy Bolcenkow dodał:

- Szczęściar z pana, że ma pan tak niezwykłego przyjaciela.

Upłynęło trochę czasu, zanim Connor zrozumiał w pełni sens tych słów.

200

- Panie Jackson, zechce pan się udać do wyjścia numer jedenaście.

Pasażerowie będą wzywani na pokład samolotu za dwadzieścia minut.

- Dziękuję - powiedział Connor, biorąc kartę pokładową i kierując się w stronę "Odlotów"; miał nadzieję, że jego paszport nie będzie sprawdzany zbyt dokładnie.

Wprowadzając miejsce fotografii Jacksona przyklejono jego zdjęcie, lecz Chris był trzy lata od niego starszy, dużo niższy i łysy.

Gdyby kazano mu zdjęć kapelusza, musiałby wyjaśnić, dlaczego ma głowę poznaną bliźniakami jak znamiona Gorbaczowa.

W Kalifornii po prostu uznano by, że jest członkiem jakiejś sekty.

Podał paszport prawą ręką - gdyby to zrobił lewą, uniesiony rękaw odsłoniłby numer, który miał wytatuowany na przegubie.

Kiedy wróci do Ameryki, kupi sobie szerszypasek do zegarka.

Urzędnik pobieżnie obejrzał paszport i przepuścił go.

Nowo nabyta walizka zawierająca tylkoubranie i przybory toaletowe bezprzeszkód przeszła kontrolę bezpieczeństwa.

Schwycił ją, poszedł dalej i usiadł w najodleglejszym kącie poczekalni, odwrócony tyłem do wyjścia numer jedenaście.

W ciągu dwudziestu czterech godzin odopuszczenia Kriestów Connor ani na chwilę się nie odprężył.

-Wzywamy pasażerów odlatających do Frankfurtu liniami AirFinn, lot numer osiemset dwadzieścia jeden - odezwał się głos w interkomie.

Connor się nie poruszył.

Gdyby powiedzieli mu prawdę, nigdy by nie pozwolił, żeby Chris zajął jego miejsce.

Sięgnął myślą wstecz do chwili, kiedy się rozstał z Bolczenkowem.

Wysiadł z samochodu milicyjnego i przeszedł przedkoczającego BMW.

Szef milicji wyruszył z powrotem do więzienia, nim jeszcze Connor zajął miejsce na tylnym siedzeniu obok bladego, szczupłego młodzieńca w czarnym kaszmirowym płaszczu.

Ani on, ani dwaj podobnie ubrani mężczyźni siedzący przodkiem przodunie przemówili nie zareagowali na jego obecność.

BMW skierowało się na pustą drogę i przedkocpuściło miasto.

Na głównej szosie kierowca przyspieszył, nie licząc się z ograniczeniami szybkości.

Kiedy na zegarku desce rozdzielczej mignęła osma zerozero, tablica drogowa pokazała Connorowi, że do granicy fińskiej jest sto pięćdziesiąt kilometrów.

Odległość podawana na tablicach malała do stu, do pięćdziesięciu, do trzydziestu kilometrów i Connor zaczął się zastanawiać, jak

201.

jego towarzysze wytłumaczają obecność rosyjskiego milicjanta straży granicznej.

Alenić nie trzeba było tłumaczyć.

Kiedy BMW znalazło się w odległości około trzystu metrów od pasa ziemi niczyjej, dzielącego dwa kraje, kierowca czterokrotnie mignął światłami.

Szlaban graniczny natychmiast uniósł się górze i nawet nie zwolniwszy wjechali do Finlandii.

Connorowi zaświtało w głowie, że wpływy rosyjskiej mafii sięgają naprawdę daleko.

Nikt w samochodzie nie powiedział ani słowa od początku podróży i tylko znaki drogowe były dla Connor'a jedyną wskazówką.

Już myślał, że zmierzają do Helsinek, kiedy w odległości kilkunastu kilometrów od przedmieść zjechali z autostrady.

Kierowca zwolnił, omijając wyboje i manewrując na karkołomnych zakrętach, gdy coraz bardziej zagłębiali się w wiejskie okolice.

Connor wpatrywał się w pustkowie, pokryte grubą warstwą śniegu.

- Po raz drugi wzywamy pasażerów odlatujących do Frankfurtu liniami Finn Air, lot numer osiemset dwadzieścia jeden, na pokład samolotu.

Po czterdziestu minutach zjazd z autostrady samochód skręcił w podwórze wiejskiego domu, który wyglądał na opuszczony.

Jeszcze niezahamowali, kiedy otwarto drzwi.

Wysoki młodzieniec wyskoczył z auta i zaprowadził Connora do domu.

Nie pozdrowił zgiętej ukłonie kobiety, którą minęli.

Connor podążył za nim schodami na górę.

Rosjanin otworzył drzwi i Connor wszedł do pokoju.

Drzwi zanim zatrzasnęły się i kolejny raz usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

Przemierzył pokój i wyrzucił przez jedyne okno.

Jeden z goryli stał na podwórku i patrzył wprost na niego.

Odszedł od okna i dostrzegł ubranie oraz czapkę z czarnego króliczego futra leżące na małym, chyba niewygodnym łóżku.

Zdjął wszystko, co miał na sobie, i rzucił na krzesło obok łóżka.

W kącie pokoju znajdowała się plastikowa zasłona, a za nią zardzewiały prysznic.

Pod strużką letniej wody, z pomocą kawałka ordynarnego mydła Connor przez kilka minut usiłował zmyć z siebie więzienny fetor.

Wytrzeł się dwiema ściereczkami do naczyń.

Spojrząwszy w lustro uznał, że upłynęło trochę czasu, nim blizny na głowie i na twarzy odrosną mu włosy.

Ale numer wytatuowany na przegubie zostanie mudo końca życia.

Włożył ubranie przygotowane na łóżku.

Spodnie były o kilkadziesiąt centymetrów za krótkie, ale koszula i marynarka pasowały, chociaż w więzieniu schudł kilka kilogramów.

202

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi i klucz obrócił się w zamku.

W drzwiach stanęła kobieta, którą spotkali w sieni, z tacą w ręku.

Postawiła ją na stoliku i wymknęła się, nim Connor zdążył jej podziękować.

Spojrzała na miskę gorącego rosółu i trzy kromki chleba, i aż się oblizała.

Usiadł i rzucił się na jedzenie, ale nasycił się paroma łyżkami zupy i jedną kromką.

Nagle zmogła go senność i zwałił się na łóżko.

- Po raz trzeci wzywamy pasażerów odlatujących do Frankfurtu liniami Finn Air, lot numer osiemset dwadzieścia jeden.

Wszystkich pasażerów, którzy jeszcze nie znajdują się w samolocie, prosimy o zgłoszenie się do wyjścia.

- Connor wciąż nie ruszał się z miejsca.

Musiał zasnąć, gdyż następne, co pamiętał, to twarz bladego młodzieńca, który stał w nogach łóżka i patrzył na niego.

- Za dwadzieścia minut wyruszamy na lotnisko- oznajmił i rzucił na łóżko pękatą brązową kopertę.

Connor usiadł i otworzył ją.

W środku był lotniczy bilet pierwszej klasy do Waszyngtonu, tysiąc dolarów amerykańskich i amerykański paszport.

Otworzył paszport i zobaczył nazwisko Christopher Andrew Jackson nad swoją fotografią.

Spojrzał na młodego Rosjanina.

- Co to znaczy?

- zapytał.

- To znaczy, że pan żyje - rzekł Aleksiej Romanow.

- Po raz ostatni wzywamy pasażerów do latujących do Frankfurtu liniami Finn Air, lot numer osiemset dwadzieścia jeden.

Prosimy tych, którzy jeszcze nie znajdują się w samolocie, o natychmiastowe zajęcie miejsc.

Connor poszerował do funkcjonariusza przy wyjściu, podał mu kartę pokładową i skierował się do samolotu.

Steward sprawdził numer fotela i wskazał mu przed samolotem.

Connor nie musiał długo szukać swego miejsca przy oknie w piątym rzędzie, gdyż młody Rosjanin siedział już na skraju, przypięty pasami.

Najwidoczniej miał za zadanie nie tylko odebrać przesyłkę, ale także dostarczyć nam miejsce i dopilnować wypełnienia kontraktu.

Gdy Connor przekroczył nogi swego strażnika, stewardesa go zagadnęła:

- Czy zabrać pańską czapkę?

- Nie, dziękuję pani.

203.

Rozsiadł się w wygodnym fotelu, ale napięcie opuściło go dopiero po starcie samolotu. Wtedy po raz pierwszy do niego dotarło, że naprawdę uciekł.

Ale do czego?

Zerknął w lewo: teraz ktoś będzie przy nim w dzień i w nocy, dopóki nie dopełni umowy.

Podczas lotu do Niemiec Romanow ani razu nie otworzył ust, co najwyżej po to, aby skubnąć parę kęsów posiłku, który przed nim postawiono.

Connor zmiotł wszystko z talerza i spędzał czas czytając folder FinnAir.

Zanim wylądowali we Frankfurcie, wiedział wszystko o saunach, oszczepnikach i o zależności Finów od gospodarki rosyjskiej.

Kiedy szli przez halę tranzytową, Connor natychmiast spostrzegł agenta CIA.

Szybko odłączył się od Romanowa, by ku jego wyraźnej uldze powrócić po dwudziestu minutach.

Connorowi byłoby łatwiez gubić swego opiekunę na własnym terytorium, ale wiedział, że gdyby próbował uciec, spełniono by groźbę, tak sugestywnie odmalowaną przez Bolczenkova.

Wzdrygnął się i myślał, że któryś z tych zbiorów mógłby tknąć Maggie albo Tarę.

Boeing 777 linii United Airways wystartował zgodnie z rozkładem.

Connor pochłonął niemal w całości pierwsze i drugie danie lunchu.

Gdy stewardesa zabrała tacę, nacisnął guzik w oparciu fotela, opuścił je i zaczął myśleć o Maggie.

Jakże jej zazdrościł, że zawsze mogła.

Kilkachwil później zasnął w samolocie pierwszy raz od dwudziestu lat.

Gdy się obudził, serwowano przekąskę.

Chyba był jedyną osobą w samolocie, która pożerała wszystko, co przed nią postawiono, łącznie z dwoma pojemniczkami marmolady.

Podczas ostatniej godziny lotu do Waszyngtonu wrócił myślami do Chrisa Jacksona i jego ofiary.

Nigdy nie będzie mógł mu się odwdziaczyć, ale postanowił, że jego poświęcenie będzie daremne.

Pomyślał o Dexter i Gutenburgu, którzy pewno teraz myślą, że onnie żyje.

Najpierw posłali go do Rosji, żeby ratować własną skórę.

Potem zamordowali Joan, bo mogła przekazać informacje Maggie.

Ile czasu upłynie, nim dojdą do wniosku, że Maggie też stanowi zagrożenie i że należy się jej pozbyć?

- Mówi kapitan.

Będziemy lądować na Międzynarodowym Lotnisku imienia Dullesa.

Proszę, aby załoga przygotowała pasażerów do lądowania.

W imieniu naszych linii lotniczych witam państwa w Stanach Zjednoczonych.

Connor sprawdził paszport.

Christopher Andrew Jackson wrócił do ziemi ojczystej.

XXV

Maggie przyjechała na lotnisko Dullesa godzinę wcześniej - ten jej wycieczaj doprowadzał Connora do szału.

Spojrzała na tablicę przylotów i z zadowoleniem stwierdziła, że samolot z San Francisco wylądował o czasie.

Ze stojaka gazetami wzięła "Washington Post", powędrowała do najbliższej kafejki, usadowiła się na wysokim stołku przy barze i zamówiła czarną kawę i rogalik.

Nie zwróciła uwagi na dwóch mężczyzn przy stoliku w przeciwległym kącie; jeden z nich też trzymał w ręku "Washington Post" i zdawał się czytać.

Alechoćby niewiadomo jak się rozglądała, nie dostrzegłaby trzeciego mężczyzny, który bardziej interesował się nią niż tablicą przylotów, na którą patrzył. Zauważył już dwóch mężczyzn w kącie.

Maggie czytała gazetę od deski do deski, co kilka minut spoglądając na zegarek. Zanim zamówiła drugą kawę, zdążyła przejrzeć dodatek o Rosji, opublikowany w przewidywaniu wizyty prezydenta Żerińskiego w Waszyngtonie. Nie podobały jej się wypowiedzi przewodcy komunistycznego, które brzmiały jak nie z tej epoki.

Wychyliła trzecią filiżankę kawy dwadzieścia minut przed przylotem samolotu, zsunęła się ze stołka i skierowała się do najbliższych kabin telefonicznych.

Dwaj mężczyźni poszli za nią, a trzeci przemknął się z kąta w kąt.

Wykręciła numer, zastanawiając się, czy kogoś zastanie.

- Dzień dobry, Jackie - powiedziała, kiedy odezwała się jej zastępczyni.

- Dzwonię tylko, żeby się dowiedzieć, czy wszystko w porządku.

- Maggie - odrzekła Jackie, starając się nie okazać irytacji - jest siódma rano i leżę jeszcze w łóżku.

Dzwoniłaś wczoraj, pamiętasz?

Na uniwersytecie saferie, nikt nie wróci przed czternastym stycznia, a przez trzech lat pracy jako twoja zastępczyni dam sobie radę z twoją nieobecnością.

205.

- Przepraszam, Jackie - powiedziała Maggie.

- Nie chciałam cię obudzić.

Zapomniałam, że jest tak wcześnie.

Obiecuję, że nie będę ci więcej zawracać głowy.

- Mam nadzieję, że Connor prędko wróci i że przez kilka następnych tygodni będziesz zajęta Tarą i Stuartem.

Wesołych świąt Bożego Narodzenia i nie chcę cię słyszeć przed końcem stycznia - powiedziała Jackie z naciskiem.

Maggie odwiesiła słuchawkę ze świadomością, że chciała tylko zabić czas i że nie powinna narzyknąć na Jackie.

Zbeształa samą siebie i postanowiła, że zatelefonuje do niej dopiero po Nowym Roku.

Wolno skierowała się do hali przylotów i dołączyła do rosnącej gromady ludzi, patrzących przez okna na płytę lotniska, gdzie startowały i lądowały poranne samoloty.

Trzech mężczyzn, którzy nie sprawdzali znaków każdego przybywającego samolotu, nadal obserwowało Maggie, tymczasem ona czekała, aż na tablicy ukaże się komunikat, że samolot z San Francisco linii United, lot 50, już wylądował.

Uśmiechnęła się, kiedy wyświetlono napis.

Jeden z trzech mężczyzn wcisnął jedenaście cyfr na swym telefonie komórkowym i przekazał informację do Langley.

Maggie uśmiechnęła się znowu, kiedy mężczyzna w czapce drużyny Poszukiwaczy z San Francisco wyłonił się z wyjścia - pierwszy pasażer nocnego samolotu.

Musiała czekać jeszcze dziesięć minut, zanim Tara i Stuart ukazali się w drzwiach.

Nigdy jeszcze nie widziała córki tak promiennej.

Stuart dostrzegł Maggie i obdarzył ją szerokim uśmiechem, do którego tak przywykła na wakacjach w Australii.

Maggie wyściskała ich po kolei.

- To cudownie widzieć was oboje - powiedziała.

Wzięła jedną z toreb Tary i poprowadziła ich przejściem podziemnym do głównego dworca lotniczego.

Jeden z mężczyzn, który ją obserwował, już czekał na miejscu dla pasażera w ciężarówce toyoty z ładunkiem jedenastu nowych samochodów na parking dla krótkich postojów.

Dwaj pozostali biegli przez parking.

Maggie, Tara i Stuart wyszli na zimne, poranne powietrze i skierowali się do samochodu Maggie.

- Mamo, czy już nie czas, żebyś sobie sprawiła coś szykowniejszego od tego grata?

- spytała Tara, udając niesmak.

- Byłam w średniej szkole, kiedy go kupiłaś, i już wtedy był używany.

206

- Toyota jest najbezpieczniejszym samochodem nadrodze - powiedziała wyniośle

Maggie - jak regularnie potwierdza "Consumer Reports".

- Żaden trzynastoletni samochód nie jest bezpieczny nadrodze - odparła Tara.

- W każdym razie - rzekła Maggie, ignorując docinki córki - twój ojciec uważa, że powinniśmy go zatrzymać do czasu, kiedy zacznie nową pracę i dostanie samochód służbowy.

Na wzmiankę o Connorze przez chwilę zapanowało milczenie.

- Nie mogę się doczekać, kiedy spotkam się z pani mężem - rzekł Stuart siadając z tyłu.

Maggie nie powiedziała, że ona też.

Spytała tylko:

- Więc to twoja pierwsza wizyta w Ameryce?

- Zgadza się - odparł Stuart.

Maggiewłączyła starter.

- I już teraz nie jestem pewien, czy będę chciał kiedykolwiek wrócić do Australii.
- Mamy tu dość przepłacanych prawników, żeby jeszcze dobierać jednego z antypodów

- rzuciła Tara, gdy czekali w kolejce, żeby zapłacić za parking.

Maggie uśmiechnęła się do niej, szczęśliwszajpierwszy raz od tygodni.

- Kiedy musisz być z powrotem w Sydney, Stuarcie?

- Jeżeli uważasz, mam, że on już nadużył twojej gościnności, możemy zmienić plany i wrócić następnym samolotem - powiedziała Tara.

- Nie, nie o to mi chodziło, chciałam tylko.

- Wiem - ty lubisz wszystko planować z góry - zaśmiała się Tara.

- Wiesz, Stuarcie, mama najchętniej zapisywałaby studentów do Georgetown w chwilich poczęcia.

- Czemu o tym nie pomyślałam?

- podchwyciła Maggie.

- Powinienem być w pracy dopiero piątego stycznia - wtrącił Stuart.

- Mam nadzieję, że zniesie mnie pani tak długo.

- Nie będzie miała wyboru - powiedziała Tara, ściskając mu rękę.

Maggie podała banknot dziesięciodolarowy kasjerowi i wyjechała z parkingu, a potem skierowała się na szosę.

Spojrzała wstecznelusterko, ale nie zauważyła niepozornego niebieskiego forda, który jechał za nią w odległości około stu metrów, mniej więcej z tą samą szybkością.

Mężczyzna siedzący na miejscu pasażera meldował wierzchnikowi w Langley, że obiekt opuścił "Pobocze" o siódmej

207.

czterdzieści trzy i podąży do Waszyngtonu z dwoma pakunkami, które odebrał.

- Stuarcie, jak ci się podobało w San Francisco?

- Cieszyłem się każdą chwilą - odparł.

- Zamierzamy tam spędzić jeszcze parę dni przed moim powrotem do Australii.

Gdy Maggie ponownie zerknęła we wsteczne lusterko, ujrzała tytu samochód patrolowy stanu Wirginia, migający światłami.

- Myślicie, że jedzie za mną?

Na pewno nie przekroczyłam dozwolonej prędkości - powiedziała Maggie, spoglądając na szybkościomierz.

- Mamo, ten samochód to praktycznie rupieć i powinien pójść na złom parę lat temu.

To może być wszystko, począwszy od światła stopu po stare opony.

Prostu zatrzymaj się.

- Tara wyrzła przez tylną szybę.

- A jak policjant będzie do ciebie mówił, pamiętaj, żeby ołsnąć go tym swoim irlandzkim uśmiechem.

Maggie zahamowała, a tymczasem niebieski ford pojechał dalej środkiem pasem.

- Niech to szlag trafi - zaklął kierowca, śmigając obok.

Maggie opuściła szybę, gdy dwóch policjantów wysiadło z patrolowego samochodu i podeszło do nich.

Pierwszy z nich uśmiechnął

się i grzecznie zapytał:

- Czym mógłbym obejrzyć pani prawo jazdy?

- Proszę bardzo - powiedziała Maggie i odwzajemniła uśmiech.

Otworzyła torebkę i zaczęła ją przetrząsać, tymczasem drugi policjant pokazał gestem Stuartowi, żeby też opuścił szybę.

Stuart pomyślał, że to dziwne żądanie, gdyż w żaden sposób nie mógł popełnić wykroczenia drogowego, ale ponieważ był w swoim kraju, uznał, że lepiej będzie posłuchać.

Opuścił szybę akurat w chwili, gdy Maggie znalazła prawo jazdy.

Kiedy się obróciła, żeby je podać, drugi policjant wyciągnął broń i trzykrotnie strzelił do środka samochodu.

Obaj szybko wrócili do wozu patrolowego.

Podczas gdy pierwszy włączył wóz do porannego ruchu, drugi zatelefonował do mężczyzny, który siedział w ciężarówce namiejscu dla pasażera, i powiedział mu, że zepsuł się samochód i potrzebuje natychmiastowej pomocy.

Ledwo wóz patrolowy odjechał, ciężarówka z jedenastoma nowiutkimi toyotami zatrzymała się przed unieruchomionym pojazdem.

Mężczyzna w czapce ze znakiem firmowym Toyoty i w niebieskim

skim kombinezonie wyskoczył z kabiny i popędził do auta.

Otworzył drzwi od strony kierowcy, delikatnie przeniósł Maggie na siedzenie pasażera i pociągnął dźwignię otwierającą bagażnik, potem przechylił się przez oparcie z kieszeni marynarki bezwładnego Stuarta wyjął jego portfel i paszport, na to miejsce wkładając inny paszport i cienką książeczkę w miękkiej oprawie.

Kierowca ciężarówki otworzył bagażnik toyoty i sprawdził odspodu.

Szybko wyłączył nadajnik i zatrzasnął klapy.

Jego towarzysz siedział teraz za kierownicą toyoty.

Włączył starter, wrzucił pierwszy bieg i powoli wjechał do góry po pochylni transportera, poczym ustawił wóz na jedynym wolnym miejscu.

Wyłączył silnik, zaciągnął ręczny hamulec, przypiął koła samochodu do uniesionej pochylni i wrócił do kabiny szofera.

Cała operacja zajęła niespełnatrzy minuty.

Ciężarówka ruszyła w stronę Waszyngtonu, ale wkrótce zjechała z jadem przeznaczonym dla ładunków lotniczych i zawróciła na lotnisko.

Agenci CIA w niebieskim fordzie opuścili autostradę następnym jadem, wrócili po własnych śladach i włączyli się w strumień pojazdów podążających do Waszyngtonu.

- Musiała popełnić jakieś drobne wykroczenie drogowe - zameldował kierowca zwierzchnikowi w Langley.

- To nietrudne przy takim starym samochodzie.

Agentsiedzący obok kierowcy z zaskoczeniem stwierdził, że toyota zniknęła z jego monitora.

- Prawdopodobnie wracają do Georgetown - powiedział.

- Damy znać, jak odzyskamy kontakt.

Gdy dwaj agenci popędzili do Waszyngtonu, ciężarówka wioząca dwa naczepy marki Toyota skręciła w lewo z drogi dojazdowej do lotniska Dulles przyznaku "Tylko ładunki".

Pokilkuset metrów skręciła w prawo, wjechała przez wysoką bramę z metalowej siatki, którą otworzyli dwaj mężczyźni w lotniczych kombinezonach, i potoczyła się starym pasem startowym w stronę osobnego hangaru.

U wejścia stał człowiek, żeby wskazać ciężarówce drogę, jakby to był samolot, który przed chwilą wylądował.

Kierowca zahamował obok nie oznakowanej furgonetki.

Siedmiu mężczyzn w białych kombinezonach wyłoniło się z tyłu.

Jeden z nich odpiął łańcuchy, mocujące stary samochód do ciężarówki.

Drugi siadł za kierownicą, zwolnił ręczny hamulec i pozwolił toyocie sto209

14. Jedenaste przykazanie.

czyć się wolno po pochylni na ziemię.

W chwili, gdy się zatrzymała, otworzono drzwiczki i delikatnie wydobyto ciała.

Mężczyzna w czapce Toyoty wyskoczył z kabiny ciężarówki i usiadł za kierownicą starego samochodu: wrzucił pierwszy bieg, zatoczył krąg i wystrzelił z hangaru, jakby jeździł tym autem całe życie.

Gdy wyjeżdżał przez otwartą bramę, ciała pieczołowicie ułożono z tyłu furgonetki, gdzie czekały przygotowane trzy trumny.

Jeden z mężczyzn w kombinezonach polecił:

- Załóżcie wieki dopiero w pobliżu samolotu.

- Tak jest, doktorze - padła odpowiedź.

- A kiedy zamkną ładownię, wyjmijcie ciała i przypnijcie pasami do foteli.

Inny mężczyzna potaknął; ciężarówka wycofała się z hangaru, potoczyła się z powrotem starym pasem startowym i wyjechała z bramy.

Znalazłszy się na autostradzie, kierowca skręcił w lewo i pojechał do Leesburga, gdzie miał dostarczyć jedenaście nowych samochodów marki Toyota miejscowemu sprzedawcy.

Zapłata za sześć godzin dodatkowej pracy wystarczy mu na kupno jednego z nich.

Brama z metalowej siatki została zamknięta i zaryglowana, tymczasem zaś furgonetka wyjechała z hangaru i wolno skierowała się na obszar przeładunku towarów.

Kierowca minął szeregi samolotów towarowych, zatrzymując się za Boeingiem 747 z napisem: "Air Transport International".

Otworzył ładownię, przyjeździe na pochylnię stanęli dwaj celnicy.

Rozpoczęli odprawę akurat w chwili, gdy dwaj agenci CIA dotarli na Avon Place numer 1648.

Objechawszy ostrożnie kwadrat ulic, agenci zameldowali w Langley, że nie ma ładunku w samochodzie, ani trzech pakunków.

Stara Toyota opuściła drogę numer 66 i wyjechała na autostradę do Waszyngtonu.

Kierowca wcisnął mocno pedał gazu i popędził do miasta.

W słuchawkach słyszał, jak dwóm agentom w Fordzie polecono udać się do biura pani Fitzgerald i sprawdzić, czy jej samochód stoi na zwykłym miejscu na tyłach budynku.

Stwierdziwszy, że dokumenty koronera są w porządku, celnicy zażądali, by uniesiono wieki trumien.

Dokładnie zbadali wszystkie trzy ciała przez ubrania, zajrzeli do ust, nosa i uszu, po czym podpisali dokumenty.

Zatrzaśnięto wieki trumien i mężczyźni w białych ubraniach kolejno przenieśli trumny po pochylni i ustawili je jedna obok drugiej w ładowni.

210

Pochylnię samolotu wciągano do środka, kiedy stara Toyota mijając kościół pod wezwaniem Jezusa Chrystusa.

Przyspieszyła jadąc w górę i przecinając jeszcze trzy przecznice, po czym skręciła w lewo w Dent Place.

Zanim lekarz zbadał puls trojga pacjentów, kierowca Toyoty zdążył już ukradkiem obieć dom z boku i wejść do środka kuchennymi drzwiami.

Wbiegł na piętro do dużej sypialni i otworzył trzecią szufladę komody obok łóżka.

Przerzucił koszulę, wydobył brązową kopertę z napisem "Nie otwierać przed 17 grudnia" i schował ją do kieszeni na piersi.

Z szafy zdjął dwie walizki i szybko wypełnił ubraniami.

Następnie wyjął z kieszeni paczuszkę owiniętą w celofan i wsunął ją do kosmetyczki, którą umieścił w jednej z walizek.

Przed wyjściem zapalił światło w łazience, potem światło u podnóża schodów i na koniec, za pomocą pilota, włączył telewizor w kuchni, nastawiając głośność na maksimum.

Zostawił walizki obok kuchennych drzwi, wrócił do toyoty, podniósł klapę bagażnika i włączył nadajnik.

Agenci CIA zaczęli powoli drugi raz okrążać parking uniwersytecki, kiedy na monitorze ponownie pojawił się impuls.

Kierowca szybko zawrócił i pojechał z powrotem pod dom Fitzgeraldów.

Mężczyzna w czapce ze znakiem Toyoty wrócił na tył domu, schwycił walizki i wymknął się przez tylną furtkę.

Zauważył taksówkę zaparkowaną przed Tudor Place i wskoczył do niej, kiedy agenci jechali przez Avon Place.

Młody człowiek odetchnął z ulgą i zadzwonił do Langley z wiadomością, że toyota stoi zaparkowana tam gdzie zwykle i że widać słychać telewizor w kuchni.

Nie, nie umiemy tłumaczyć, dlaczego nadajnik zamilkł na blisko godzinę.

Taksówkarz nawet nie odwrócił głowy, kiedy na tylne siedzenie wskoczył mężczyzna z dwiema walizkami.

Ale przecież dobrze wiedział, dokąd zawieźć pana Fitzgeralda.

XXVI

- Mówi mi pan, że wszyscy troje rozplnęli się w powietrzu?
- zapytała Dexter.
- Na to wygląda - odparł Gutenberg.
- Ta operacja była takbezbłędna, że gdybym nie wiedział, iż Connor Fitzgerald nie żyje, przypisałbym ją jemu.
- Skoro wiemy, że toniemożliwe, kto to mógł być?
-Przypuszczam, że Jackson.
- Cóż, jeżeli on jest w kraju, paniFitzgerald się dowie, że jej mążnie żyje.
Możemy się więcspodziewać, że film z przyjęcia u Fitzgeraldówzostanie dziś, jutropokazany w wieczornymdzienniku.
- Nic ztego- Gutenberg uśmiechnął sięz zadowoleniem i podał szefowej zapieczętowany pakiet.
- Jeden z agentów w końcuznalazłtaśmęwczoraj wieczorem, kilka minutprzed zamknięciembiblioteki.
- To jużcoś - powiedziała Dexter otwierając paczkę.
- Ale copowstrzyma Jacksona przed poinformowaniem Lloyda, kogo pochowanow Kriestach?
- Nawet jeżeli to zrobi - Gutenberg wzruszył ramionami - coLawrence'owi przyjdzie z tej informacji?
Przecież nie zadzwoni doswojego kumpla Żerińskiego naparę dni przed jego wizytą dobrejwoli w Waszyngtonie, by mu obwieścić, że facet, którego powiesiliza przygotowywanie zamachu na niego, nie był południowoafrykańskim terrorystą wynajętym przez rosyjską mafię, tylko agentemCIA działającym na rozkaz Białego Domu.
- Może i nie - rzekła Dexter.
- AledopókiJackson iżona orazcórka Fitzgeralda są poza naszymzasięgiem, nadal mamy problem.
Proponuję więc, żeby pan zmobilizował kilkunastu naszych najlepszych agentów, aby ich wytropili, i to jak najszybciej - nieważne, jakim odcinku pracują i komu podlegają.
Jak Lawrence się dowie,
212
co naprawdę się stało w Sankt Petersburgu, będzie miał aż za wielepretekstów, żebyzażądać czyjejśrezygnacji.
Gutenberg był niezwyklemilczący.
- A ponieważ na każdym związanym ze sprawądokumencie widnieje pański podpis - ciągnęła Dexter - nie będę miała, niestety, innego wyboru, jak panapoświęcić.
Na czole Gutenbergapojawiły sięmałe kropelki potu.
Stuartowi się wydawało, że budzi sięze złego snu.
Próbowałsobieuzmysłować, co sięstało.
Na lotnisko wyszła po nich matka Tary,którapotem wiozła ich do Waszyngtonu.
Ale policjadrogowazatrzymała samochód.
Kazano mu opuścić szybę.
A potem?
Rozejrzał się wokół.
Był w samolocie, ale dokąd on leci?
GłowaTary spoczywała na jego ramieniu, po drugiejstroniesiedziała jejmatka, też pogrążona w głębokim śnie.
Wszystkieinne miejsca były puste.

Zaczął znów porządkować wszystkie fakty, jak zawsze, gdy przygotowywał się do sprawy w sądzie.

Tara i on wylądowali na lotnisku Dullesa.

Maggie czekała na nich przy wyjściu.

Ze skupienia wyrwał goszykownie ubrany mężczyzna w średnim wieku, który zjawiał się obok i pochylił się, żeby zbadać mu puls.

- Dokąd lecimy?

- zapytał cicho Stuart, ale lekarz nie odpowiedział.

Równie pobieżnie sprawdził puls Tary i Maggie i znikł w przedniej części samolotu.

Stuart odpiął pas, ale nie miał siły wstać.

Tara się poruszyła.

Maggie nadal twardo spała.

Sprawdził kieszenie.

Zabrano mu portfel i paszport.

Rozpaczliwie próbował się doszukać w tym wszystkim jakiegoś sensu.

Czemu ktoś miałby się posunąć tak daleko dla kilkusetek dolarów, paru kart kredytowych i australijskiego paszportu?

Co dziwniejsze, najego miejsce włożono mu do kieszeni cienki tomik wierszy Yeatsa.

Nigdy nie czytał Yeatsa, póki nie spotkał Tary, ale kiedy wyjechał do Stanfordu, polubił jego poezję.

Otworzył książeczkę na pierwszym wierszu: "Rozmowa pomiędzy mną a moją duszą".

Słowa "A chciałbym żyć znów, i znów do końca" były podkreślone.

Przerzucił kartki i zauważył, że inne linijki też ktoś podkreślił.

' William Butler Yeats: "Rozmowa pomiędzy mną a moją duszą", tłum.

Jarostaw Marek Rymkiewicz (przyp.

tłum.

).

213.

Kiedy zastanawiał się, co to znaczy, wyrósł przy nim potężnie zbudowany mężczyzna i utkwiał w nim groźny wzrok.

Bez słowa wyrwał mu książeczkę i poszedł naprzód samolotu.

Taradotknęła jego ręki.

Obrócił się szybko i szepnął jej do ucha:

- Nic nie mów.

Popatrzyła na matkę, która nadal spała, pozornie pogodzona ze światem.

Postawiwszy walizki w ładowni i upewniwszy się, że trójka pasażerów jest zdrowa i cała, Connor opuścił samolot i zajął miejsce natylnym siedzeniu BMW, które czekało z zapalonym silnikiem.

- Wypełniamy w dalszym ciągu warunki umowy - rzekł Aleksiej Romanow, który siedział obok.

Connor kiwnął głową.

BMW minęło bramę z metalowej siatki i wyruszyło w kierunku waszyngtońskiego lotniska krajowego.

Po doświadczeniach we Frankfurcie, gdzie niewiele brakowało, żeby miejscowy agent CIA go zauważył, ponieważ Romanow i jego dwaj kompani zrobili wszystko, poza publicznym obwieszczeniem swym przybyciem, żeby zwrócić na siebie uwagę, Connor uświadomił sobie, że jeśli ma przeprowadzić plan uratowania Maggie i Tary, będzie musiał dopilnować operacji sam.

Romanow w końcu się zgodził, gdy Connor przypomniał mu punkt umowy, zaakceptowany przez jego ojca.

Teraz Connor mógł tylko liczyć na to, że Stuart okaże się tak bystry, jak wtedy, kiedy go egzaminował na plaży w Australii.

Modlił się, by młody prawnik zauważył słowa, które podkreślił w książeczce, którą sunął mu do kieszeni.

BMW zajęło przed halą odlotów waszyngtońskiego lotniska krajowego na górnym poziomie.

Connor wysiadł, tuż za nim Romanow.

Dwaj pozostali mężczyźni dołączyli do nich i podążyli za Connorem, który spokojnie wszedł do środka i skierował się do stanowiska kontroli biletów.

Zależało mu, żeby wszyscy trzej się rozluźnili, nim wykona następny krok.

Gdy Connor podał bilet, człowiek obsługujący stanowisko American Airlines powiedział:

- Przykro mi, panie Radford, ale lot trzysta osiemdziesiąt trzy do Dallas ma kilka minut spóźnienia, mamy jednak nadzieję, że nadrobimy je na trasie.

Proszę się zgłosić do wyjścia numer trzydzieści dwa.

Connor ruszył swobodnym krokiem w kierunku poczekalni, ale zatrzymał się przy automatach telefonicznych.

Wybrał kabinę 214

dwa zajęte.

Romanow i dwaj goryle krążyli w pewnym odległości z niezadowolonymi minami.

Connor niewinnie się do nich nie odwrócił, następnie wsunął międzynarodową kartę telefoniczną Stuarta w otwór automatu i nakręcił numer.

Telefon dzwonił przez jakiś czas, nim podniesiono słuchawkę.

- Tak?

- Tu Connor.

- Myślałem - powiedział Cari po długim milczeniu - że tylko Jezus wstał z martwych.

- Przebywałem trochę wczuścu, zanim mi się to udało - odparł

Connor.

- Cóż, ważne, że żyjesz, przyjacielu.

Co mógłbym dla Ciebie
zrobić?

- Przede wszystkim, nie będnie Drugiego Przyjścia, jeżeli chodzi
o Firmę.

- Zrozumiałem - rzekł Carl.

Connor odpowiadał na ostatnie pytanie Carla, kiedy usłyszał ostatni komunikat
wzywający pasażerów na pokład samolotu do Dallas.

Odwiesił słuchawkę, znów uśmiechnął się do Romanowi i szybko poszedł do wyjścia numer
trzydzieści dwa.

Gdy Maggie w końcu otworzyła oczy, Stuart pochylił się do niej przestrzegł, żeby nie
nie mówiła, dopóki się całkiem nie przebudzi.

Niedługo zjawiała się stewardesa i poprosiła, żeby opuścili stoliki.

Podawała im zestaw niejadalnych potraw, zupełnie jakby podróżowali
normalną pierwszą klasą.

Medytując nad rybą, którą należało zostawić w morzu, Stuart
szepnął do Maggie i Tary:

- Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego tu jesteśmy ani dokąd lecimy, ale
przypuszczam, że jakoś wiąże się to z Connorem.

Maggie skinęła głową i po cichu zrelacjonowała im wszystko, co
odkryła od śmierci Joan.

- Ale nie sądzę, by to CIA nas porwała - stwierdziła - bo zapowiedziałam
Gutenbergowi, że gdybym przez siedem dni nie dawała znaku życia, taśma wideo zostanie
udostępniona mediom.

- O ile już jej nie znaleźli - zauważył Stuart.

- To niemożliwe - powiedziała Maggie z przekonaniem.

- Więc kim oni do diabła są?

- mruknęła Tara.

Nikt jej nie odpowiedział, gdyż stewardesa wróciła po tace.

215.

- Czy mamy jeszcze coś, na czym można by się oprzeć?
- spytała Maggie po odejściu stewardesy.
 - Tylko tyle, że ktoś włożył mi do kieszeni poezje Yeatsa - rzekł Stuart.
 - Tara zauważyła, że Maggie drgnęła.
 - Co się stało?
- spytała, patrząc z niepokojem na matkę, którejoczy napełniły się łzami.
 - Nie rozumiesz, cotoznaczy?
 - Nie - zdziwiła się Tara.
 - Zetwój ojcieczyje.

Stuarcie, pokaż mi ten tomik - rzekła Maggie.

- Mógł tam zostawić jakąś wiadomość.

- Niestety, nie mogę.

Ledwo go otworzyłem, kiedy z przodu samolotu podszedł jakiś drab i wyrwał mi go z rąk - powiedział Stuart.

- Ale zdążyłem zauważyć, że kilka słów było podkreślonych.

- Jakie to byłysłowa?

- zapytała nagłaco Maggie.

- Nie bardzo je rozumiałem.

- To nieważne.

Czy jakieś pamiętasz?

Stuart zamknął oczy i usiłował się skupić.

- "Chciałbym żyć" - powiedział nagle.

Maggie uśmiechnęła się.

- "A chciałbym żyć znów, i znów do końca".

Samolot American Airlines wylądował w Dallas o czasie i gdy Connori

Romanow wyszli z dworca lotniczego, czekało na nich innebiałe BMW.

Czyżby mafia wykupiła całą serię tych aut?

Nowa parazbirów, którzy mieli dotrzymywać im towarzystwa wyglądałajakz pierwszegorzutu - nawet ich marynarki wybrzuszały się na kaburach pistoletów zawieszonych pod pachami.

Mógł mieć tylko nadzieję, że filia w Kapsztadzie powstała całkiem niedawno, chociaż trudno mu było sobie wyobrazić, aby Carl Koeter, superagent CIA z ponad dwudziestoletnią praktyką w Afryce Południowej, nie wyprowadził w pole jakiegoś nowicjusza.

Jazda do centrum Dallas zajęła niewiele ponad dwadzieściami minut.

Connor siedział milcząca tylnym siedzeniu samochodu, świadom, że może stanąć twarzą twarzą kimś innym, kto pracował dla CIA przez blisko trzydzieścilat.

Wiedział, że podejmuje największe ryzyko, odkąd wrócił do Ameryki.

Ale jeżeli miał zrealizować najtrudniejszą klauzulę swej umowy z Rosjanami, musiał mieć tenszczególny karabin, żeby dokonać zabójstwa jednego z najlepiej strzeżonych ludzina świecie.

216

Jazda znów upłynęła w kompletnym milczeniu; wreszcie zatrzymali się przed magazynem Hardinga "Łowy na grubego zwierza".

Connor prędko wszedł do sklepu, a krok w krok za nim Romanow i dwaj nowigoryle.

Podszedł do lady, tamci natomiast udawali wielkie zainteresowanie stojakiem z pistoletami automatycznymi w głębi sklepu.

Connor rozejrzał się wokoło.

Musiał przeprowadzić inspekcję szybko, dyskretnie, ale wnikliwie.

W kilka sekund upewnił się, że w sklepie nie ma żadnych kamer obserwacyjnych.

- Dzień dobry panu - powitał go młody subiekt w długim brązowym fartuchu.

- Czymmogę służyć?

- Wybieram się na polowanie i chciałbym kupićkarabin.

-Czy chodzi panu o jakiś szczególny model?

- Tak, remington700.

-Z tymnie będzie problemu, proszę pana.

- Zależałoby mi na paru modyfikacjach.

Ekspedient zawahał się.

- Przepraszam pana na chwilę - powiedział i znikł za zasłoną na zapleczu.

Po chwili zzazasłony wychynął starszy mężczyzna, także w brązowym fartuchu.

Connor zirytował się; liczył, że kupi broń nie spotykając Jima Hardinga.

- Dzieńdobry - przywitał go tamten i bacznie musieć przyjrzał.

-Jak rozumiem, interesuje pana remington 700.

-I dodał po pauzie: -Z modyfikacjami.

- Tak.

Polecił mi pana przyjaciel.

- Musi być zawodowcem - rzekł Harding.

Jak tylko Connor usłyszał słowo "zawodowiec", od razu wiedział, że wystawiają go na próbę.

Gdyby Harding nie był Stradivariusem wśród rusznikarzy, Connor wyszedłby natychmiast ze sklepu.

- O jakie modyfikacje panu chodzi?

- spytałHarding nie spuszczając wzroku z klienta.

Connor opisał szczegółowo karabin, który zostawił w Bogocie, śledząc reakcję rozmówcy.

Twarz Hardinga nie zdradzała żadnych uczuć.

- Może mam coś, copana zainteresuje - oznajmił, po czym odwrócił się i zniknął za zasłoną.

Connorznowu pomyślał, żeby wyjść, alew ciągu paru sekundHarding wrócił, niosącznajomą skórzaną walizkę, i położył ją naladzie.

217.

- Ten model trafił do nas niedawno, po śmierci właściciela - wyjaśnił.
Nacisnął zameczki, otworzył wieko i obrócił walizkę, aby Connor mógł obejrzeć karabin.

- Każda część jest wykonana ręcznie i wątpię, żeby po tej stronie Missisipi znalazł pan piękniejszy okaz.

- Harding czule dotknął karabinu.

- Łoże jest z włókna szklanego z względu na mniejszy ciężar i lepsze wyważenie.
Lufa została sprowadzona z Niemiec - niestety, szkopy nadal wytwarzają najlepsze.
Luneta celownicza to 10 Power Leupold z podziałką w tysięcznych, także nawet nie musi pan wprowadzać poprawki na wiatr.

Z tego karabinu z odległości czterystukroków ustrzelił pan mysz, nie mówiąc misiu.
Jeżeli woli pan ująć to technicznie, oznacza to półminutowy ką przystu jardach.

Popatrzył w górę, by zobaczyć, czy klient rozumie, o czym mówi, ale Connor zachował nieruchomą twarz.

- Remington 700 z takimi modyfikacjami to coś wyłącznie dla koneserów - zakończył Harding.

Connor nie wyjął żadnego z pięciu naboju z obawy, żeby Harding nie pojął, jakim jest koneserem.

- Ile kosztuje?

- zapytał, pierwszy raz uświadamiając sobie, że zupełnie nie zna ceny Remingtona 700 ręcznej roboty.

- Dwadzieścia jeden tysięcy dolarów - rzekł Harding.

- Mam też model standardowy, gdyby pan.

- Nie - powiedział Connor.

- Biorę ten.

- Jak pan będzie płacił?

- Gotówką.

- Więc poproszę o jakiś dowód tożsamości - rzekł Harding.

- Obawiam się, że mamy jeszcze więcej biurokracji od czasu wprowadzenia na miejsce Ustawy Brady'ego przepisów o obowiązku udokumentowania tożsamości i rejestracji przy zakupie.

Connor wyjął prawo jazdy wydane w Wirginii, które poprzedniego dnia kupił za sto dolarów od złodzieja w Waszyngtonie.

Harding obejrzał dokument i kiwnął głową.

- Zechce pan jeszcze, panie Radford, wypełnić te trzy formularze.

Connor wypisał nazwisko, adres i numer ubezpieczenia zastępcy kierownika sklepu z butami w Richmond.

Kiedy Harding wprowadzał dane do komputera, Connor usiłował przybrać znudzony wygląd, ale w duchu się modlił, żeby Radford nie zgłosił utraty prawa jazdy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

218

Nagle Harding podniósł wzrok znad monitora.

- Czy to podwójne imię?

- zapytał.

- Nie - odparł Connor, nie mrugnawszy okiem.

- Gregory to moje pierwsze imię.
Moja matka miała bzika na punkcie Gregory Pecka.

- Moja też - uśmiechnął się Harding.

Po chwili dodał: - Wszystkowi porządku, panie Radford.

Connor odwrócił się i dał znak Romanowowi, ten zaś podszedł z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl grubyzwitek banknotów.
Długo, ostentacyjniwyławiał banknoty studolarowe, potemodliczył dwieściedziesiąt sztuk i podał Hardingowi.
Connormiałnadzieję, że to będzie wyglądało na zwykły zakup, tymczasem Rosjanin odegrał całe przedstawienie.
Jego kompani mogliby stanąć naulicy i sprzedawać bilety.
Harding wypisał kwit i podałConnorowi,który wyszedł już bezsłowa.
Jeden z opryszków porwał karabin i wybiegłze sklepu nachodnik, jakby przed chwilą obrabowałbank.
Connor usiadł z tyłuBMW i pomyślał, że chybaniemożliwe, by ściągnąć na siebie jeszczewięcej uwagi.
Samochód z piskiem oponodjechał od krawężnika i wpadł w strumień rozpędzonych pojazdów, co wywołało kakofonięklaksonów.
Tak, pomyślał Connor, widać jednakmożliwe.
Powstrzymał się od komentarzy, kiedy kierowca przez całą drogę nalotnisko przekraczał dozwoloną prędkość.
Nawet Romanow miałtrochę niespokojnąminę.
Connor doszedł do wniosku, że rosyjskamafia wStanach jest w porównaniu z krewniakami z Włoch zgrająamatorów.
Ale wkrótce imdorównają, awtedy niech Bóg ma w opiece FBI.
Piętnaście minut później BMW zajechałoprzed dworzec lotniczy.
Connor wysiadł iskierował się do obrotowychdrzwi, tymczasemRomanow wydał obu mężczyznomw samochodzie polecenia, wyjąłznovu studolarowe banknoty iwręczył im.
Dołączywszy do Connora przy stanowisku odpraw, szepnął z przekonaniem:
- Broń będzie wWaszyngtonie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.
-Głowybym za to nie dał - powiedział Connor, kiedy szli do poczekalni.
- Pani zna całego Yeatsa na pamięć?
- spytał Stuart z niedowierzaniem.
219.

- Tak, prawie - przyznała Maggie.
 - Aleja czyta miemal cowiedzór przed zaśnięciem kilka wierszy.
 - Stuart, kochanie, dużo jeszcze musisz się nauczyć o Irlandczykach - powiedziała Tara.
 - No, spróbuj sobie jeszcze coś przypomnieć.
 - Stuart pomyślał przez chwilę.
 - "Doliny"!
 - obwieścił triumfalnie.
 - "Przez góry i doliny"?
 - spytała Maggie.
 - Właśnie.
 - Więc nie lecimy do Holandii- orzekła Tara.
 - Przestań sobie dorowować - rzekł Stuart.
 - To przypomnij sobie więcej - poprosiła Tara.
- Stuart znów się skoncentrował.
- "Przyjaciele"- powiedział wreszcie.
 - "Starych przyjaciół nowym zwykliśmy przedstawiać" ' - wyrecytowała Maggie.
 - Czyli że spotkamy nowego przyjaciela w nowym kraju - orzekła Tara.
 - Ale kogo?

I gdzie?

-spytała Maggie.

A samolot leciał w głąb nocy.

'William Butler Yeats: "Pamięci majora Roberta Gregory", tłum.

Piotr Siemion (przyp.

tłum.

).

XXVI

Przeczytawszy pilną wiadomość, Gutenberg natychmiast wykręcił numer telefonu w Dallas.

Gdy odezwał się Harding, zastępca dyrektora CIA powiedział tylko:

- Proszę go opisać.

-Sto osiemdziesiąt cztery, może sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Na głowie miał czapkę, więc nie widziałem koloru włosów.

- Wiek?

-Pięćdziesiąt lat.

Może rok lub dwa więcej lub mniej.

- Oczy?

-Niebieskie.

- Ubranie?

-Sportowa marynarka, spodnie khaki, niebieska koszula, mokasyny.

Szykownie, ale swobodnie.

Myślałem, że to jeden z naszych, dopóki nie zauważyłem, że jest w towarzystwie dwóch dobrze znanych miejscowych opryszków, których usiłowałem ignorować.

Był też nim wysoki młody człowiek, który ani razu nie otworzył ust, i to on zapłacił za bron- gotówką.

- A ten pierwszy wyraźnie powiedział, że zależy mu na tych konkretnych modyfikacjach?

-Tak.

Jest pewien, że dobrze wiedział, czego szuka.

- W porządku.

Proszę zatrzymać pieniądze.

Może uda się nam zidentyfikować odciski palców zostawione na jakimś banknocie.

- Nieznajdziecie na nich jego odcisków palców - rzekł Harding.

- Płacił ten młody, a jeden z oprychów wyniósł broń ze sklepu.

- Widać facet nie chciał ryzykować przechodzenia z bronią przez kontrolę na lotnisku - powiedział Gutenberg.

- Te dwa typy to poprostu kurierzy.

Jakie nazwisko wpisał w formularzu?

- Gregory Peck Radford.

221.

- Dowód tożsamości?

-Prawo jazdy z Wirginii.

Adresi dataurodzenia zgadza się z numerem ubezpieczenia.

- Wyślędo pana agenta.

Będzie za niecałą godzinę.

Przekaze mipocztąelektroniczną dane, które pan ma o tych opryszkach.

Pozatym będzie mi potrzebny portret pamięciowygłównego podejrzanego.

- To niebędzie konieczne - rzekł Harding.

-Jakto?

- Bo cała transakcja została nagrana na wideo.

- Gutenberg niemógłwidzieć uśmiechusatisfakcji na twarzy Hardinga, gdy ten dodał: - Nawet pan nie zauważyłby kamery.

Stuart dalejwyteżał pamięć.

- "Odkryć" - nagle powiedział.

- "Odkryję, gdzie się podziewa" - rzekła Maggie zuśmiechem.

;i:

- Spotkamy nowego przyjaciela w nowym kraju i on nas odszui-i;

ka - zawyrokowała Tara.

-Czy jeszcze coś sobie przypominasz, Stuarcie?

- "Wszystko upada.

".

- "..

wszystkiemufundament kładą" - wyszeptała Maggie, gdy stanął przy nich mężczyzna, który przedtem wyrwał Stuartowi książkę z rąk.

- A teraz słuchajcie, i to uważnie - powiedział, patrząc na nich z góry.

- Jeżeli chcecie przeżyć - a nie dałbym za to złamanego centa - musicie ściśle wykonywać moje polecenia.

Rozumiecie?

- Stuart spojrział mężczyźnie w oczy i niewątpił, że traktuje ich troje jako jeszcze jedną robotę do wykonania.

Skinął głową.

- Dobrze - ciągnął mężczyzna.

- Kiedy samolot wyląduje, skierujecie się prosto do części bagażowej, zabierzecie swoje walizki i przejdziecie przez cło nie zwracając na siebie uwagi.

Nie będziecie, powtarzam: nie będziecie korzystać z toalety.

Po odprawie celnej w hali przylotów odbierze was dwóch mężczyzn, którzy pojedą z wami do domu, gdzie będziecie przebywać w najbliższej przyszłości.

Jazobaczę się z wami wieczorem.

Czy to jasne?

- Tak - powiedział Stuart w imieniu całej trójki.

- Jeżeli któreś z was będzie tak głupie, żeby uciekać albo wzywać pomocy, pani

Fitzgerald zostanie natychmiast zabita.

A jeżeli z jakichś powodów będzie to niemożliwe, będę musiał wybrać jedno

222

z was - popatrzył na Tarę i Stuarta.

- Natomiast warunki zgodził się pan Fitzgerald.

- Nie wierzę - zaczęła Maggie.

- Connor nigdy by.

- Myślę, proszępani, że byłoby mądrzej pozwolić panu Farnhamowi mówić w imieniu was wszystkich - powiedziała mężczyzna.

Maggie już chciała go poprawić, ale Tara szybko kopnęła ją w nogę.

- Będziecie tego potrzebować - mężczyzna podał Stuartowi trzypaszporty.

Ten przejrzał je i wręczył jeden Maggie, drugi Tarze.

Tymczasem mężczyzna wrócił do kabiny pilota.

Stuart spojrzął na trzypaszport, który miał na okładce, jak tamte dwa, wizerunek amerykańskiego orła.

Otworzywszy go, ujrzał pod swoją fotografią nazwisko "Daniel Farnham".

Zawód: profesor prawa na uniwersytecie.

Adres: Marina Boulevard nr 75, San Francisco, Kalifornia.

Podał go Tarze, która miała zdeorientowaną minę.

- Lubię mieć do czynienia z profesjonalistami - rzekł Stuart.

- I zaczynam rozumieć, że twój ojciec jest jednym z najlepszych.

- Czy na pewno nic więcej nie pamiętasz?

- spytała Maggie.

- Nie - pokręcił głową Stuart.

- Zaraz!

"Anarchia".

- Teraz wiem - powiedziała Maggie z uśmiechem - dokąd lecimy.

Długo się jedzie z Dallas do Waszyngtonu.

Ci dwaj, którzy zostawili Connora i Romanowa na lotnisku, od początku zamierzali zatrzymać się gdzieś po drodze na nocleg i z rana wyruszyć dalej.

Podziwiałej wieczór, przejechawszy ponad sześćset kilometrów, zatrzymali się w motelu na skraju Memphis.

Dwaj starsi oficerowie CIA, którzy obserwowali, jak parkują samochód, zameldowali Gutenbergowi czterdzieści pięć minut później:

- Zatrzymali się w Marriotcie w Memphis, w pokojach sto siedem i sto osiem.

Zamówili kelnera na dziewiątą trzydzieścitrzy, a teraz oglądają serial "Nash Bridges" w pokoju sto siedem.

- Gdzie karabin?

- Przypięty kajdankami do ręki faceta z pokoju sto osiem.

- Więc będzie wam potrzebna pomoc kelnera i klucz.

Tuż podziwiałej w pokoju sto siedem zjawił się kelner i nakrył do stołu.

Otworzył butelkę czerwonego wina, napełnił dwa kieliszki i podał kolację.

Oznajmił gościom, że wróci za około czterdzieści minut, żeby sprzątnąć ze stołu.

Jeden z nich poprosił, żeby pokroił mu

223.

befszyk na małe kawałeczki, gdyż może posługiwać się tylko jedną ręką.

Kelner chętnie to uczynił.

Na odchodnym życzył smacznego.

Stamtąd poszedł prosto na parkingi złożył sprawozdanie starszemu oficerowi, który mu podziękował, a potem o coś go poprosił.

Kelner skinął głową i agent wręczył mu pięćdziesiąt dolarów.

- Najwyraźniej nie chce się nim rozstawać nawet przy jedzeniu- zauważył drugi agent, gdy kelner znalazł się poza zasięgiem głosu.

Kelner wrócił na parking kilka minut po północy, aby powiedzieć, że obaj mężczyźni położyli się spać w swoich pokojach.

Dał agentom klucz, w zamian zaś dostał następne pięćdziesiąt dolarów.

Odszedł z przekonaniem, że dobrze się spał.

Nie wiedział tylko, że mężczyzna z pokoju sto siedem ma kluczyki od kajdanków, dla pewności, że niknie ukradnie walizki współnikowi, gdy będzie spał.

Kiedy następnego dnia rano gość w pokoju sto siedem się obudził, stwierdził, że jest niezwykle zaspany.

Spojrzał na zegarek i zdziwił się, że tak późno.

Wciągnął dzinsy i wpadł do sąsiedniego pokoju przez wspólne drzwi, by obudzić kolegę.

Nagle stanął, upadł na kolana i wymiotował.

Na dywanie w kałuży krwi leżała odcięta dłoń.

Gdy wysiadł z samolotu w Kapsztadzie, Stuart miał świadomość, że każdy ich ruch jest obserwowany przez dwóch mężczyzn.

Przy odprawie paszportowej urzędnik podstemplował im paszporty, poczym udali się po bagaże.

Po kilku minutach pojawił się na obrotowej taśmie.

Maggie zdziwiła się na widok swych dwu starych walizek.

Stuart zaczynał się przyzwyczajać do sposobu działania Connora Fitzgeralda.

Stuart ustawił cały bagaż na wózkui skierowali się we troje dowyjścia oznaczonego kolorem zielonym - dla tych, którzy niemają nic do oclenia.

Dwaj mężczyźni deptali im po piętach.

Kiedy Stuart znalazł się wózkami przy stanowisku odprawy celnej, wyrósł przed nim celnik, wskazał czerwoną walizkę i zapytał, czy właściciel mógłby postawić ją na ladzie. Stuart pomógł Maggie podnieść ją, tymczasem mężczyźni idący za nimi z ociąganiem poszli dalej.

Znalazłszy się za przesuwными drzwiami, stanęli w pobliżu.

Z każdym otwarciem drzwi zaglądali do środka.

Po chwili dołączyło do nich dwóch innych.

- Czy mogłaby pani otworzyć walizkę?

- poprosił celnik.

Maggie nacisnęła zameczki i uśmiechnęła się na widok bałaganu, jaki ukazał się jej oczom.

Tylko jeden człowiek na świecie mógł pa224

kować tę walizkę.

Celnik przez kilka chwil przewracał jej ubrania, wreszcie wydobyl kosmetyczkę.

Odsunął suwak i wyjął celofanową paczuszkę, zawierającą biały proszek.

- Ale tonie jest.

- zaczęła Maggie.

Tym razem Stuart ją powstrzymał.

- Obawiam się, proszę pani, że musimy przeprowadzić rewizję osobistą - oświadczył celnik.

- Może w tej sytuacji córka chciałaby pani towarzyszyć.

Stuart postanowiło, skąd celnik wie, że Tara jest córką Maggie.

Jego jakoś nie brała jej syna.

- Proszę wszystkich państwa za mną - powiedział celnik.

- Proszę zabrać walizkę i resztę bagażu.

- Podniósł klapę ładziei poprowadził ich do małego, obskurnego pokoju ze stołami dwoma krzesłami.

- Zaraz przyjdzie do państwa kolega - oznajmił.

Zamknął drzwi i usłyszeli, jak klucz obraca się w zamku.

- Co się dzieje?

- zapytała Maggie.

- W kosmetyczce nie było.

- Myślę, że za chwilę wszystko się wyjaśni - rzekł Stuart.

Z drugiej strony pokoju otworzyły się drzwi i do środka wkroczył sprężyste wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna, kompletnie łysy, chociaż nie mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt lat.

Miał na sobie niebieskie dżinsy i czerwony sweter i absolutnie nie wyglądał na celnika.

Podszedł wprost do Maggie i pocałował ją w rękę.

- Nazywam się Carl Koeter - powiedział z wyraźnym południowoafrykańskim akcentem.

- To dla mnie wielki zaszczyt, pani Fitzgerald.

Od lat chciałem poznać kobietę, która miała dość odwagi, żeby poślubić Connora Fitzgeralda.

Zatelefonował do mnie wczoraj popołudniu i prosił, by powiedzieć pani, że jest cały i zdrowy.

Maggie chciała coś wtrącić, ale potok słów nie ustawał.

- Oczywiście, wiem dużo więcej o pani, niż pani o mnie, ale niestety przy tej okazji nie będziemy mieli czasu, żeby to naprawić.

- Uśmiechnął się do Stuarta i do Tary i lekko się skłonił.

- Zechcą państwo pójść za mną.

Odwrócił się i pchnął wózek przez drzwi.

- "Starych przyjaciół nowym zwykliśmy przedstawiać" - szepnęła Maggie.

Stuart się uśmiechnął.

Południowoafrykańczyk poprowadził ich w dół stromą pochylnią, a potem ciemnym, pustym przejściem.

Maggie prędko go dogoniła i zaczęła wypytywać o rozmowę telefoniczną z Connorem.

Poopuszczeniu tunelu weszli do góry inną pochylnią i znaleźli się z dru225

115. Jedenaste przykazanie.

giej strony lotniska.

Koeter przeprowadził ich szybko przez kontrolę bezpieczeństwa, gdzie sprawdzono ich nader pobieżnie.

Po dalszej wędrówce dotarli wreszcie do pustej poczekalni w hali odlotów, gdzie Koeter podał strażnikowi przy wyjściu trzy bilety lotnicze i otrzymał trzy karty pokładowe na samolot linii Quantas do Sydney, który tajemniczym zrządzeniem losu opóźnił swój start o piętnaście minut.

- Jak mamy panu dziękować?

- spytała Maggie.

Koeter znów podniósł jej rękę do ust.

- Proszę pani - powiedział - na całym świecie znajdzie pan ludzi, którzy nigdy nie będą w stanie odwdziżyć się Connorowi Fitzgeraldowi.

Oboje siedzieli wpatrzni w telewizor.

Żadne nie odezwało się słowem, póki dwudziestominutowe nagranie nie dobiegło końca.

- Czy to możliwe?

- cicho spytała dyrektorka CIA.

- Tak - jeżeli w jakiś sposób zamienił się z nim w Kriestach - odparł Gutenberg.

Dexter chwilę milczała.

- Chyba że - powiedziała w końcu - poświęcił własne życie.

Gutenberg skinął głową.

- A kim jest człowiek, który płacił za broń?

- Aleksiej Romanow, syncara i człowiek numer dwa w rosyjskiej mafii.

Jeden z naszych agentów wypatrzył go na lotnisku we Frankfurcie i podejrzewamy, że teraz on i Fitzgerald pracują razem.

- Czyli że to mafia wyciągnęła go z Kriestów - orzekła Dexter.

- Ale skoro potrzebuje remingtona 700, kto jest celem?

- Prezydent - rzekł Gutenberg.

- Możliwe.

Ale który?

- spytała Dexter.

XXVIII

Kiedy samolot rosyjskich sił powietrznych IL-62, lądował w bazie lotniczej Andrews tuż poza Waszyngtonem, prezydent Stanów Zjednoczonych i sekretarz stanu stali wśród siedemdziesięciu dwu osobistości wyciągniętych w szereg na płycie lotniska.

Rozwinięto już czerwony dywan, czekało podium z kilkunastoma mikrofonami i namiejsce, gdzie miał się zatrzymać samolot, podholowano szerokie schody.

Otworzyły się drzwi samolotu i Tom Lawrence osłonił oczy przed ostrym blaskiem porannego słońca.

W drzwiach stanęła wysoka, smukła stewardesa.

Po chwili pojawił się przy niej niski, przysadzisty mężczyzna.

Wprawdzie Lawrence wiedział, że Żerińska ma tylko metr sześćdziesiąt dwa wzrostu, ale kontrast z wysoką stewardesą okrutnie wydatniał jego nędzną posturę.

Lawrence wątpił, czy z takim wzrostem Żerińskim ogłoby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Gdy Rosjanin zstępował ze schodów, poszły w ruch aparaty tłumnie zgromadzonych fotoreporterów.

Zza ich kordonu ekipy telewizyjne wszystkich sieci wycelowały kamery w człowieka, który przez najbliższe cztery dni będzie w światowych mediach tematem numer jeden.

Amerykański szefprotokołu wystąpił do przodu, by przedstawić sobie obu prezydentów, i Lawrence serdecznie uściskał gościa.

- Panie prezydencie, witam pana w Stanach Zjednoczonych.

-Dziękuję ci.

Tom - tymi słowy Żeriński z miejsca zbił prezydenta z pantofelku.

Lawrence odwrócił się, by przedstawić sekretarza stanu.

- Miło cię poznać, Larry- rzekł Żeriński.

Zachowywał się rozbrajająco uprzejmie i przyjacielsko wobec przedstawianych mu kolejnoosobistości: sekretarza obrony, sekre227.

tarza handlu, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Kiedy.

dotarł do końca szeregu, Lawrence dotknął jego łokcia i poprowadził go ku podium.

dził go ku podium.

Gdy przemierzali płytę lotniska, amerykański prezydent pochylił się do Żerińskiego i

powiedział:

- Panie prezydencie, teraz powiem kilka słów na powitanie, a potem może zechce pan odpowiedzieć.

- Wiktorze - podsunął Żeriński.

Lawrence wstał na podium, wyjął pojedynczą kartkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i położył ją na pulpicie.

- Panie prezydencie - zaczął, po czym odwrócił się do Żerińskiego, uśmiechnął się i powiedział: - Wiktorze.

Przedewszystkim pragnę cię serdecznie powitać w Ameryce.

Dzisiaj wyznaczamy początek nowej epoki specjalnych stosunkach między naszymi dwoma krajami.

Twoja wizyta w Stanach Zjednoczonych wieści.

Connor siedział przed trzema telewizorami, obserwując transmisję ceremonii w wydaniu trzech głównych sieci.

Tego wieczoru będzie bez końca odgrywał taśmy.

Na lotnisku było więcej bezpieczeństwa, niż przewidywał.

Wyglądało na to, że Secret Service postawił dla każdego prezydenta w stan gotowości cały oddział ochrony dygnitarzy.

Ale nigdzie nie było widać Gutenberga ani żadnego agenta CIA.

Connor podejrzewał, że Secret Service nie wie, iż potencjalny zabójca krąży w pobliżu.

Connor wcale nie zdziwiło, że karabin, który kupił w Dallas, nie dotarł na miejsce przeznaczenia.

Dwaj mafiosi zrobili wszystko, żeby przyciągnąć do siebie uwagę CIA, nie zadzwonili tylko na bezpłatny numer Agencji.

Gdyby Connor był na miejscu Gutenberga, nie ruszałby ich, licząc, że doprowadzą na ślad osoby, która zamierzała użyć karabinu.

Gutenberg widać uważał, że usunięcie broni było ważniejsze.

Może miał rację.

Connor nie mógł ryzykować takiej wpadki jak w Dallas.

Musiał opracować inny plan.

Po incydencie w motelu w Memphis Aleksiej Romanow nie chcąc, by go obwiniano, gdyby znów coś poszło źle, dał Connorowi całkowitą swobodę w przygotowaniach.

Ci, którzy go pilnowali, trzymali się nadystans pełen szacunku, choć nigdy nie tracili go z oczu - gdyby nie to, byłby tego ranka w bazie Andrews.

Wprawdzie mógłby się ich pozbyć, gdyby tylko chciał, ale uświadomił sobie, jak reagują na porażkę, gdy szef mafii w Dallas odciął opryszkowi drugą dłoń, żeby drugi raz nie mógł popełnić takiego samego błędu.

228

Prezydent zakończył przemówienie powitalne i został nagrodzony oklaskami, które nikły w wielkiej, otwartej przestrzeni.

Usunął się na bok, żeby zrobić miejsce Żerińskiemu, ale gdy rosyjski prezydent stanął przed rzędem mikrofonów, okazało się, że go po prostu nie widać.

Connor wiedział, że w ciągu najbliższych czterech dni prasa będzie nieustannie wypominać mierzącemu metr osiemdziesiąt pięć centymetrów prezydentowi amerykańskiemu to spotkanie i że Żeriński uzna, iż zrobiono to celowo, by go przyćmić.

Ciekaw był, kto z personelu przygotowującego wizytę prezydenta wyleci z pracy tego dnia.

Zastrzelić człowieka o wzroście metr osiemdziesiąt pięć byłoby wiele łatwiej niż kogoś, kto miał tylko metr sześćdziesiąt dwa, pomyślał Connor.

Przyjrzał się agentom z oddziału ochrony dygnitarzy, których przydzielono do pilnowania Żerińskiego podczas jego wizyty.

Rozpoznał czterech - wszyscy byli mistrzami w swojej specjalności.

Każdy potrafiłby położyć człowieka jednym strzałem z odległości trzystu kroków i unieszkodliwić napastnika jednym ciosem.

Connor wiedział, że ich oczy, skryte za ciemnymi okularami, biegają nieprzerwanie na wszystkie strony.

Wprawdzie stojący na płycie lotniska nie widzieli Żerińskiego, ale wyraźnie słyszeli jego słowa.

Connor zaskoczeniem stwierdził, że Rosjanin porzucił zaczepny, napastliwy styl prezentowany w Moskwie i Sankt Petersburgu i przybrał o wiele bardziej pojednawczy ton. Podziękował "Tomowi" za serdeczne przywitanie i powiedział, że jest przekonany, iż wizyta okaże się owocna dla obu państw.

Connor był pewien, że Lawrence nie da sobie zamydlić oczu tą serdecznością i nie pokaze. Bez wątpienia nie było czasu ani miejsca, aby rosyjski prezydent odkrył Amerykanom swój prawdziwy program.

Podczas gdy Żeriński nadal odczytywał swój tekst, Connor rzucił okiem na czterodniowy scenariusz wizyty, przygotowany w Białym Domu i tak poręcznie zestawiony minuta po minucie w "Washington Post".

Wiedział po latach doświadczenia, że nawet przy najlepszych przygotowaniach rzadko udaje się dokładnie realizować takie programy.

Musiał założyć, że w jakimś momencie wizyty zdarzy się coś nieprzewidzianego i musiał także mieć pewność, że nie wypadnie wtedy, kiedy on będzie mierzył do celu.

Obaj prezydenci polecą z bazy lotniczej śmigłowcem do Białego Domu, gdzie od razu przystąpią do rozmów w cztery oczy, które będą 229.

da kontynuować podczas lunchu.

Po lunchu Żeriński zostanie odwieziony do ambasady rosyjskiej na odpoczynek, po czym wróci wieczorem do Białego Domu na uroczysty obiad wydany na jego cześć.

Następnego dnia rano pojedzie do Nowego Jorku, gdzie wygłosi przemówienie w ONZ i spotka się na lunchu z sekretarzem generalnym, a po południu odwiedzi Metropolitan Museum. Connor głośno się roześmiał, kiedy rano przeczytał w dziale "Styl" "Washington Post", że Tom Lawrence dowiedział się o miłości do sztuki swego gościa podczas niedawnej kampanii prezydenckiej, kiedy to Żeriński znalazł czas w swym napiętym programie nie tylko na spektakl baletu Teatru Bolszoi, ale także na wizytę w Muzeum imienia Puszkina i w Ermitażu.

Gdy rosyjski prezydent wróci do Waszyngtonu w czwartek wieczorem, ledwo zdąży wpaść do ambasady i przebrać się w smoking, żeby zdążyć na przedstawienie "Jeziora łabędziego" w wykonaniu Waszyngtońskiego Baletu w Centrum Kennedy'ego. "Post" nie tak;

townie przypomniał czytelnikom, że ponad połowę corps de ballet stanowią rosyjscy imigranci.

W piątek rano odbędą się dłuższe rozmowy w Białym Domu, następnie zaś lunch w Departamencie Stanu.

Po południu Żeriński wygłosi mowę na wspólnej sesji obu Izb Kongresu, i będzie to szczytowy punkt jego wizyty.

Lawrence liczył na to, że ustawodawcy przekonają się, iż przywódca rosyjski jest człowiekiem pokoju, i poproszą o projekt ustawy o ograniczeniu zbrojeń.

Dziennik "New York Times" we wstępniaku ostrzegł, że Żeriński może skorzystać z tej okazji, by przedstawić strategię obronną Rosji na najbliższe dziesięciolecie.

Dyplomatyczny sprawozdawca gazety skontaktował się z biurem prasowym ambasady rosyjskiej, ale usłyszał tylko, że tekst przemówienia nie zostanie wcześniej udostępniony.

Wieczorem Żeriński będzie gościem honorowym na obiedzie wydanym przez Amerykańsko-Rosyjską Radę Biznesu.

Tekst przemówienia, które tam będzie wygłoszone, szeroko rozpowszechniono, nie dbając o jakiegokolwiek zakazy.

Connor czytał je i wiedział, że żaden szanujący się dziennikarz nie przedrukuje z niego ani jednego słowa.

W sobotę Żeriński i Tom Lawrence pojadą na Stadion Cooke'a w Maryland, by obejrzeć mecz futbolowy między Czerwonoskórymi z Waszyngtonu i Pakowaczami z Green Bay, drużyną, którą

Lawrence, kiedyś długoletni sędzia z Wisconsin, kibicował przez całe życie.

Wieczorem Żeriński wyda obiad w ambasadzie rosyjskiej w podziękowanie za gościnność wszystkim, którzy go podejmowali podczas jego wizyty.

Następnego dnia rano odleci z powrotem do Moskwy - ale tylko wtedy, jeśli Connor nie zdoła wypełnić kontraktu.

Connor miał dziewięć miejsc do wyboru, ale siedem z nich odrzucił, zanim wylądował samolot Żerińskiego.

Z dwupozostałych najbardziej obiecująco wyglądał bankiet sobotni, szczególnie kiedy Romanow mu powiedział, że mafia ma wyłączność na obsługę gastronomiczną wszelkich uroczystości w ambasadzie rosyjskiej.

Słabiutkie oklaski zwróciły z powrotem uwagę Connora na ceremonię powitalną. Część osób stojących na płycie lotniska niezdawała sobie sprawy, że Żeriński skończył przemawiać, póki nie zszedł z podium, i przyjęcie, z jakim się spotkał, nie było tak entuzjastyczne, jak spodziewał się Lawrence.

Dwaj przywódcy przeszli do czekającego śmigłowca. Normalnie żaden rosyjski prezydent nie leciałby amerykańskim wojskowym statkiem powietrznym, lecz Żeriński pominął wszelkie obiekcje, mówiąc swym doradcom, że pragnie latać szyki Lawrence'owi przy każdej sposobności.

Weszli do środka i pomachali zgromadzonym.

Po chwili "Marinę One" wzbił się w górę, trwał chwilę zawieszony nad ziemią i odleciał. Kobiety, które nie uczestniczyły jeszcze w podobnej ceremonii, niewiedziały, czy łapać zakapelusze, czy przytrzymywać poły płaszczy.

Za siedem minut "Marinę One" wylądował na południowym trawniku Białego Domu, gdzie będzie czekał Andy Lloyd i wyższy personel Białego Domu.

Connor wyłączył trzy telewizory, przewinał taśmy i zamyslił się.

Zdecydował już, że nie pojedzie do Nowego Jorku.

Siedziba Narodów Zjednoczonych i Metropolitan Museum nie dawały żadnej możliwości ucieczki.

Wiedział też, że ludzie z Secret Service są szkoleni, by zwracać uwagę na osoby pojawiające się częściej niż raz na imprezach z okazji takich wizyt, niewyłączając dziennikarzy i ekip telewizyjnych.

Poza tym co najmniej trzy tysiące najlepszych nowojorskich gliniarzy będzie strzegło Żerińskiego w każdej sekundzie jego wizyty.

Postanowił, że wykorzysta czas nieobecności Żerińskiego w Waszyngtonie na sprawdzenie dwóch najbardziej obiecujących miejsc

ostatecznej rozprawy.

Mafia postarała się już, żeby tego popołudniem odwiedzić ambasadę rosyjską z zespołem kucharzy, którzy zostaną szczegółowo zapoznani z przebiegiem sobotniego bankietu.

Ambasador zapowiedział, że chce, aby była to uroczystość, której żaden z prezydentów nigdy nie zapomni.

Connor spojrzął na zegarek, włożył płaszcz i szedł na dół.

BMW czekało na niego.

Usiadł z tyłu.

- Stadion Cooke'a - rzucił.

Nikt w samochodzie odezwał się słowem, gdy kierowca wjechał na środkowy pas. Kiedy po drugiej stronie drogi przejechała lora z nowymi samochodami, Connor pomyślał o Maggie i uśmiechnął się.

Rozmawiał dziś rano z Carlem Koderem, który go zapewnił, że trójka kangurów masie dobrze.

- Przy okazji, mafiamyśli, że zostały odesłane prosto do Ameryki - dodał Koeter.

- Jak ci się udał ten numer?

- spytał Connor.

- Jeden z nich strażników próbował przekupić celnika.

Ten wziął pieniądze i powiedział, że przyłapano je znarkotykami "odesłano do portu zaokrętowania".

- Myślisz, że dali się na to nabrać?

- O, tak - rzekł Koeter.

- Musieli zapłacić kupę forsy za tę informację.

Connor wybuchnął śmiechem.

- Carl, na zawsze zostanę twoim dłużnikiem.

Musisz mi powiedzieć, w jaki sposób mógłbym ci się odwdziżyć.

- To nie będzie konieczne, przyjacielu - odparł Koeter.

- Po prostu chętnie spotkam się znowu z twoją żoną w miłszych okolicznościach.

Żaden z cerberów pilnujących Connora niewspomni o zniknięciu Maggie, więc nie wiedział, czy mafiosi nie chcą się przyznać, że ona, Tara i Stuart im się wymknęli, czy też liczą, że ich złapią, nim on pozna prawdę.

Może się bali, że nie wypełni zadania, jeżeli się dowie, że żona i córka są już w ich rękach.

Ale Connor nigdy nie wątpił, że gdyby nie dotrzymał umowy, Aleksiej Romanow w końcu dopadłby Maggie i ją zabił, a jeżeli nie ją, to Tarę.

Bolcenko przedziwił go, że dopóki kontrakt nie zostanie wypełniony tak czy owak, Romanow nie będzie mógł wrócić do ojczyzny.

Kiedy kierowca skręcił na obwodnicę, Connor pomyślał o Joan, której jedyną winą było, że pracowała jako jego sekretarka.

Zacisnął

232

pięści i pożałował, że kontrakt z mafią nie dotyczył Dexter i jej zastępcy.

Tego zadania podjąłby się z rozkoszą.

BMW minęło granice miasta i Connor rozparł się wygodnie, myśląc o tym, jakie go czekają przygotowania.

Musi kilka razy okrążyć stadion i sprawdzić każde wyjście, zanim zdecydujesię, czy wogóle tam wejść.

"Marinę One" łagodnie wylądował na południowym trawniku.

Dwaj prezydenci wysiedli ze śmigłowca i zostali gorąco powitani przez sześciuset członków personelu Białego Domu.

Przedstawiając Żerińskiemu szefa personelu, Lawrence zauważył, że Andy jest wyraźnie zatroskany.

Obaj przywódcy wyjątkowo długo pozowali fotografom, a potem przeszli do Pokoju Ovalnego wraz z doradcami, by potwierdzić, jakie tematy będą poruszane podczas następnych spotkań.

Żeriński nie wysunął żadnych zastrzeżeń wobec harmonogramu przygotowanego przez Lloyda i zdawał się ze spokojem podchodzić do zagadnień, które miały być omawiane.

Gdy przzerwali, by udać się na lunch, Lawrence miał uczucie, że wstępne rozmowy się powiodły.

Przenieśli się do Sali Gabinetowej i Lawrence opowiedział, jak prezydent Kennedy przy obiedzie z ósmioma ministrami zauważył, że jest to największe zgromadzenie intelektu od czasu, gdy Jefferson jadał w tym miejscu sam.

Larry Harrington posłusznie się roześmiał, choć wiele razy słyszał tę opowieść ust prezydenta.

Andy Lloyd nawet nie skrzywił ust w uśmiechu.

Po lunchu Lawrence odprowadził Żerińskiego do zła, który czekał przy wejściu dla dyplomatów.

Kiedy znikła w dali ostatnia limuzyna prezydenckiej kawalkady - Żeriński zażądał jednego samochodu więcej, niż mieli poprzedni rosyjscy prezydenci - Lawrence pospieszył do Pokoju Ovalnego.

Andy Lloyd z pojęną miną stał przy biurku.

- Wydaje mi się, że poszło bardzo dobrze - powiedział prezydent.

-Możliwe- rzekł Lloyd.

- Chociaż nie ufałbym temu człowiekowi, on nawet sam przed sobą nie jest szczery.

Jak na mój gust, był zbyt spolegliwy.

Mam nadzieję, że szykuje jakiś podstęp.

- Czy dlatego byłeś taki milczący przy lunchu?

-Nie, mamy o wiele poważniejszy problem- rzekł Lloyd.

- Czy widział pan, panie prezydencie, najnowszy raport Dexter?

Wczoraj po południu zostawiłem go panu na biurku.

233.

- Nie, nie widziałem.

Wczoraj na prawie cały dzień zaszyliśm się w Departamencie Stanu z Larrym Harringtonem.

- Otworzyłteczkę z godłem CIA i zaczął czytać.

Trzykrotnie zaklął, jeszcze zanim dotarł do drugiej strony.

Gdy skończył czytać, był blady jak papier.

Podniósł głowę i popatrzył na swego najstarszego przyjaciela.

- Przypuszczałem, że Jackson pracuje dla nas - powiedział.

- Tak jest, panie prezydencie.

- Więc dlaczego Dexter twierdzi, że to on był sprawcą zabójstw w Kolumbii i że potem pojechał do Sankt Petersburga, aby zabić Żerińskiego?

- Gdyż w ten sposób sama oczyszcza się z wszelkich podejrzeń, a nam każe się tłumaczyć, dlaczego zatrudniliśmy Jacksona.

Napewno mają pełną szafę dowodów, że to Jackson jest winien śmierci Guzmana i jeszcze Bóg wie czego.

Proszę tylko spojrzeć na zdjęcia Jacksona w barze w Bogocie, wręczającego pieniądze szefowi policji.

Tyle, że tu nie widać, że ta scena miała miejsce prawie dwa tygodnie przed zabójstwem.

Nie wolno zapominać, że CIA nie ma sobie równych, jeżeli chodzi o ratowanie własnych tyłków.

- Tonie o ich tyłki się martwię - rzekł prezydent.

- Ale co myślisz o twierdzeniu Dextera, że Jackson jest z powrotem w Ameryce i że działa ręką w rękę z rosyjską mafią?

- A czy to nie wygodne?

- rzucił Lloyd.

- Jeżeli stanie się coś z tego podczas wizyty Żerińskiego, będzie miała na kogo to zwalić.

- Więc jak wytłumaczysz fakt, że kilkadziesiąt dni temu w Dallas Jackson został zarejestrowany przez kamerę obserwacyjną podczas kupowania karabinu o dużej sile rażenia, prawie identycznego jak ten, z którego zabito Guzmana?

- To proste - rzekł Lloyd.

- Jeżeli uświadomić sobie, że to nie był Jackson, wszystko się zgadza.

- To kto to mógł być, do cholery?

- Connor Fitzgerald - cicho powiedział Lloyd.

- Ale przecież mówiłeś, że Fitzgeralda aresztowali w Sankt Petersburgu i powiesili.

Zastanawialiśmy się nawet, jak go wyciągnąć.

- Wiem, panie prezydencie, ale to nie było możliwe po wyborze Żerińskiego.

Chyba że.

- Chyba że?

- Jackson się z nim zamienił.

- Na Boga, dlaczego miałby to uczynić?

234

- Pamiętajmy, że Fitzgerald uratował życie Jacksonowi w Wietnamie, na dowód czego ma Medal of Honor.

Kiedy Fitzgerald wrócił z wojny, Jackson zwerbował go do CIA.

Służył tam przez następne dwadzieścia osiem lat i zyskał sobie opinię najbardziej szanowanego agenta.

Wtem, z dnia na dzień, znika bez śladu, jego nazwisko ma nawet na liście pracowników Agencji.

Joan Bennett, która była jego sekretarką przez dziesięć lat, nagle ginie w tajemniczej katastrofie samochodowej, w drodze do żony Fitzgeralda.

Potem jego żona i córka także znikają z powierzchni ziemi.

Tymczasem człowiek, któremu powierzamy zadanie odkrycia tego, co się stało, zostaje oskarżony o popełnienie zabójstwa i o zdradę najbliższego przyjaciela.

Ale gdyby przeszukano liczne raporty Dexter, nie znajdzie się ani słowa o Connorze Fitzgeraldzie.

- Skąd wiesz to wszystko, Andy?

- spytał Lawrence.

- Jackson telefonował do mnie z Petersburga po aresztowaniu Fitzgeralda.

- Masz nagranie tej rozmowy?

- Tak, mam.

- Niech to diabli - zaklął znów Lawrence.

- Przy Dexter Edgar Hoover wygląda jak harcerka.

- Jeśli przyjmiemy, że Jacksona powieszono w Rosji, musimy założyć, że to Fitzgerald polecił do Dallas kupić karabin, żeby wykonać obecne zadanie.

- Czy tym razem ja mam być obiektem?

- cicho spytał Lawrence.

- Nie sądzę, panie prezydencie.

Co do jednej rzeczy zgadzam się Dexter - że jestnim Żeriński.

- O Boże!

- jęknął Lawrence opadając na krzesło.

- Ale dlaczego człowiek honoru z tak wspaniałą przeszłością i reputacją miałby być wplątany w coś takiego?

Coś tu się nie zgadza.

- Zgadza się, jeżeli człowiek ten wierzy, że rozkaz zabicia Żerińskiego pochodzi od pana, panie prezydencie.

Żeriński był spóźniony, kiedy odlatywał samolotem z Nowego Jorku z powrotem do Waszyngtonu, ale miał doskonały humor.

Przemówienie w ONZ zostało dobrze przyjęte, a rozmowy przy lunchu z sekretarzem generalnym określono w komunikacie wydanym przez sekretariat jako "wszechstronne i owocne".

Podczas popołudniowej wizyty w Metropolitan Museum Żerińskiemu dość, że potrafił wymienić nazwisko rosyjskiego artysty, który 235.

rego prace wystawiono w jednej z górnych sal, ale po wyjściu z muzeum zmienił program i, ku konsternacji swych opiekunów z SecretService, przespacerował się po Piątej Alei, witając się z przechodniami, którzy wybrali się na świąteczne zakupy.

Po wylądowaniu w Waszyngtonie Żeriński miał godzinne spóźnienie i musiał przebrać się w smoking w limuzynie, aby nie wstrzymać spektaklu "Jeziora łabędziego" w Centrum Kennedy'ego dłużej niż piętnaście minut.

Po końcowym ukłonie tancerzy Żeriński powrócił do ambasady rosyjskiej, aby spędzić tam drugą noc.

Kiedy Żeriński spał, Connor nie zmrużył oka.

Rzadko kiedy przedawkując udawało mu się zasnąć na dłużej niż kilka minut.

Zakładając głos, oglądając w wieczornym dzienniku sprawozdanie ze spaceru na Piątej Alei.

Uświadomił sobie znów, że zawsze trzeba być przygotowanym na niespodzianki: z pokoju hotelowego na Piątej Alei Żeriński byłby łatwym celem, a w tak olbrzymim, nie do opanowania tłumie można by się błyskawicznie zgubić.

Przestał myśleć o Nowym Jorku.

Nadal pozostawały do wyboru tylko dwa liczące się miejsca.

Jeżeli chodzi o pierwsze, trudność polegała na tym, że nie miałby tam karabinu, z którym czuł się najlepiej, choć przy takich tłumach cięzka byłaby łatwiejsza.

Jeżeli chodzi o drugie, to gdyby Romanow zdołał dostarczyć remingtona 700 z modyfikacjami ranow dniu bankietu i zapewnić mu cięzka, wybór byłby oczywisty.

A może zbyt oczywisty?

Zaczął spisywać argumenty przemawiające za i przeciw każdemu z tych miejsc.

O drugiej w nocy, wyczerpany, uświadomił sobie, że będzie musiał jeszcze raz odwiedzić obydwie, nim ostatecznie zadecyduje.

Ale nawet wtedy nie powie Romanowowi, które wybrał.

XXIX

"Pug" Washer - nikt nie znał jego prawdziwego imienia - należał do tych, którzy są ekspertami w jednej dziedzinie.

W jego przypadku była to waszyngtońska drużyna Czerwonoskórych.

Pug pracował dla nich od dziecka, przez pięćdziesiąt lat.

Zaczął jako piętnastolatek, kiedy jeszcze grali na Stadionie Griffitha.

Najpierw podawał wodę zawodnikom, potem był masażystą zespołu, stając się zaufanym przyjacielem i powiernikiem pokoleń graczy.

Pug spędził rok przed przejściem na emeryturę w 1997 roku u boku przedsiębiorcy budowlanego, który budował nowy stadion Jacka Kenta Cooke'a.

Miał proste zadanie: dopilnować, by kibice i zawodnicy mieli do dyspozycji wszystkie urządzenia, jak przystało najświetniejszej drużynie w kraju.

Podczas ceremonii otwarcia główny architekt powiedział zaproszonym gościom, że ma dług wdzięczności wobec Puga za jego pomoc przy budowie stadionu.

John Kent Cooke, prezes klubu Czerwonoskórych, w przemówieniu końcowym obwieścił, że Pug został wybrany do Galerii Sławnych, co było wyróżnieniem normalnie zarezerwowanym tylko dla najznakomitszych graczy.

Pug powiedział dziennikarzom, że nie mogło go spotkać nic lepszego.

Chociaż był już na emeryturze, nigdy nie opuścił meczu swojej drużyny - czy gratau siebie, czy w innym mieście.

Connorowi wystarczyły dwa telefony, aby odszukać Puga w jego mieszkanku w Arlington w stanie Wirginia.

Gdy wytłumaczył staruszkowi, że polecono mu napisać artykuł dla "Sports Illustrated" o nowym stadionie i o tym, jakie ma znaczenie dla kibiców zespołu, został zalany potokiem słów.

- Może znalazłby pan parę godzin, aby pokazać mi "Wielkiego Jasia" - zasugerował Connor.

Potok słów nagle wysechł. Pug milczał, póki Connor nie zaproponował mu zapłaty w wysokości stu

237.

dolarów.

Wcześniej się dowiedział, że zwyczajowa stawka Puga za oprowadzanie wynosi pięćdziesiąt.

Umówili się następnego dnia o jedenastej rano.

Kiedy Connor stanął się na miejscu minutę przed jedenastą, Pug wprowadził go na stadion z taką miną, jakby był właścicielem klubu.

W ciągu następnych trzech godzin odmalował gościowi całą historię drużyny i odpowiedział na wszystkie jego pytania - począwszy od tego, dlaczego stadionu nie ukończono na czas przed ceremonią otwarcia, aż po ostatnie - jak kierownictwo zatrudnia dorywczych pracowników w dniu meczu.

Connor dowiedział się, że "Jumbo-Trony" firmy Sony umieszczone poza polami bramkowymi należą do największych ekranów wideo na świecie i że pierwszy rząd miejsc został wzniesiony na wysokość pięćdziesiąt metrów powyżej poziomu boiska, żeby kamery telewizyjne i potężni zawodnicy krążący nieprzerwanie pomiędzy liniami bocznymi nie zasłaniały kibicom widoku.

Connor był kibicem Czerwonoskórych od prawie trzydziestu lat i wiedział, że od 1966 roku bilety na sezon rozgrywek są wyprzedane i że obecni lista oczekujących liczy pięćdziesiąt tysięcy chętnych.

Wiedział, gdyż był jednym z nich.

Wiedział także, iż "Washington Post" sprzedaje dodatkowo dwadzieścia pięć tysięcy egzemplarzy gazety, ilekroć Czerwonoskórzy wygrywają mecz.

Jednak nie miał pojęcia, że ogrzewane parą rury biegnące pod boiskiem mają długość pięćdziesięciu sześciu kilometrów i że miejscowa orkiestra gra jutro hymn Rosji i Stanów Zjednoczonych przed rozpoczęciem meczu.

Większość informacji podawanych przez Puga nie miała dla Connora żadnego praktycznego znaczenia, niemniej co parę minut staruszek obdarzał go jakąś cenną wskazówką.

Podczas przechadzki po stadionie Connor widział, jak ostre środki bezpieczeństwa przed jutrzejszym meczem wprowadzają personel poprzedzający prezydenta.

Zainstalowano już czujniki magnetyczne, obok których będą musieli przejść wszyscy udający się na mecz;

czujniki wykryją przedmioty, które mogłyby posłużyć jako broń.

Im bardziej się zbliżali do łóżka właściciela - skądobaj prezydenci będą obserwować mecz - tym kontrole stawały się ostrzejsze.

Pug wpadł w złość, kiedy go zatrzymał agent Secret Service, stojący przed wejściem do łóżka dyrekcji stadionu.

Wyjaśnił naciskiem, że należy do Galerii Sławnych zespołu Czerwonoskórych i że będzie wśród gości, witających nazajutrz prezydentów, lecz agent mimo to nie pozwolił mu wejść do środka bez przepustki.

238

Connor próbował wytłumaczyć rozsierdzonemu staruszkowi, że tonie jest takie ważne.

Kiedy odchodzili, Pug mruczał pod nosem:

- Czy ja wyglądam na kogoś, kto chciałby zamordować prezydenta?

Przy pożegnaniu o drugiej Connor wręczył swemu przewodnikowi sto dwadzieścia dolarów.

Stary człowiek powiedział mu w ciągu trzech godzin więcej, niż cały oddział Secret Service wyjawiałby przez całe życie.

Dałby mu dwieście, ale to mogłoby wzbudzić jego podejrzenia.

Connor spojrzawszy nazegarek stwierdził, że jest kilka minut spóźniony na spotkanie z Aleksiejem Romanowem w ambasadzie rosyjskiej.

W samochodzie włączył C-SPAN, stację radiową, którą rzadko słuchał.

Komentator opisywał atmosferę w Izbie Reprezentantów przed przybyciem rosyjskiego prezydenta.

Nikt nie miał pojęcia, z czym wystąpi Żeriński, gdyż dziennikarze nie otrzymali wcześniej tekstu przemówienia, zalecano im natomiast, żeby relacjonowali na podstawie tego, co usłyszą.

Na pięć minut przed wyznaczoną godziną wkroczył Żeriński w towarzystwie swojej świty.

- Wszyscy obecni - obwieścił komentator - wstają z miejsc i witają ową gością z

Rosji.

Prezydent Żeriński uśmiecha się i macha ręką, idąc środkiem wypełnionej do ostatka sali w stronę pulpitu ściskając wyciągające się ku niemu dłonie.

Ale przyjęcie jest raczej ciepłe niż ekstatyczne.

Stanąwszy na podium Żeriński starannie rozłożył kartki na pulpicie i włożył okulary. Obserwatorzy Kremla od razu wiedzieli, że przemówienie zostanie wygłoszone słowo w słowo według przygotowanego tekstu i że nie będzie żadnych improwizowanych uwag, z których zasłynął Żeriński podczas kampanii prezydenckiej.

Kongresmani, sędziowie Sądu Najwyższego i korpus dyplomatyczny zajęli miejsca, nieświadomi bomby, która miała za chwilę wybuchnąć.

- Panie Przewodniczący, panie wiceprezydencie i panie najwyższy sędzio - zaczął Żeriński.

- Pozwólcie, że na początek podziękuję

wam i waszym rodakom za miłe przyjęcie i niezwykłą gościnność, z jaką się spotkałem podczas mojej pierwszej wizyty w Stanach Zjednoczonych.

Zapewniam was, że z radością będę do was niejedno

krotnie powracał.

- W tym miejscu Titow napisał na marginesie:

"Przerwa" - słusznie, gdyż właśnie wybuchły oklaski.

Żeriński wygłosił następnie kilka pochwalnych zdań na temat historycznych osiągnięć Ameryki, przypominając słuchaczom, że trzyrazy w ostatnim stuleciu obydwaj narody razem walczyły przeciw wspólnemu wrogowi.

Potem przeszedł do "znakomitych stosunków łączących teraz nasze kraje".

Tom Lawrence, który wraz z Andym Lloydem w Pokoju Owalnym oglądał występ

Żerińskiego nadawany przez stację C-SPAN, trochę się rozluźnił.

Po dalszych kilku minutach nawet lekko się uśmiechnął.

Ale uśmiech zamarał mu na ustach, gdy usłyszał następne trzy zdania.

- Jestem ostatnim człowiekiem na świecie, który życzyłby sobie, aby nasze wielkie narody uwikłały się w następną bezcelową wojnę.

- Żeriński zawiesił głos.

- Zwłaszcza gdybyśmy nie byli po tej samej stronie.

- Podniósł głowę i posłał zgromadzonym promienny uśmiech, chociaż nikt z obecnych nie uznał tej uwagi za zabawną.

- Aby nigdy w przyszłości nie dopuścić do takiego nieszczęścia, Rosjanie musi pozostać równie potężna na polu bitwy jak Stany Zjednoczone, jeżeli jej głos ma się tak samoliczyć przy stole obrad.

W Pokoju Owalnym Lawrence widział pokazywane przez kamery telewizyjne sposobnie twarze przedstawicieli obu Izbi zdał sobie sprawę, że Żeriński w kilkadziesiąt sekund zniszczył szansę uchwalenia ustawy o ograniczeniu zbrojeń.

Końcówką przemówienia Żerińskiego przyjęto w milczeniu.

Gdy zszedł z podium, nie było już wyciągniętych rąk, a oklaski mizerne.

Connor wyłączył radio, kiedy białe BMW sunęło przez Wisconsin Avenue.

Zatrzymali się przed bramą ambasady rosyjskiej i jeden z fagasów Romanowa przepuścił ich przez posterunek kontrolny.

Drugi raz w ciągu ostatnich trzech dni Connora zaprowadzono do wyłożonej białym marmurem części recepcyjnej.

Od razu się zorientował, co miał namyśli Romanow, kiedy powiedział, że wewnętrzny system bezpieczeństwa w ambasadzie jest słaby.

- W końcu, kto by chciał zamordować ukochanego prezydenta Rosji w jego własnej ambasadzie?

- rzucił uśmiechem.

- Wygląda na to, że pan rządzi tym budynkiem - zauważył Connor.

- Pan też by mógł - odparł Romanow - gdyby wpłacał pan na

240

szwajcarskie konto ambasadora odpowiednie kwoty, żeby już nigdy nie musiał wracać do ojczyzny.

Szli długim, wyłożonym marmurem korytarzem.

Romanow zachowywał się w ambasadzie jak we własnym domu, do tego stopnia, że otworzył zamknięte na klucz drzwi gabinetu ambasadora.

Kiedy weszli do urządzonego z przepychem pokoju, Connor z zdumieniem zobaczył na biurku ambasadora zmodyfikowanego Remingtona 700.

Podniósł go i dokładnie obejrzał.

Gdyby sądził, że ma chociaż szanse dowiedzieć się prawdy, spytałby Romanowa, w jaki sposób go zdobył.

Connor przełamał broń.

W komorze znajdował się pojedynczynabój.

Uniósł brwi i spojrzał na Romanowa.

- Uznałem, że z tej odległości wystarczy tylko jeden pocisk - powiedział Rosjanin.

Zaprowadził Connora w głąb pokoju i odsunął zasłonę, ukazując osobistą windę ambasadora.

Weszli do środka, zasunęli drzwi i wolno pojechali na drugie piętro, na galerię nad salą balową.

Connor obejrzał dokładnie galerię, potem wcisnął się za wielkiosąg Lenina.

Spojrzał poprzez jego uniesione ramię i sprawdził, czy nic nie zasłania miejsca, z którego Żeriński ma wygłosić mowę pożegnalną, upewniając się, czy będzie dobrze widział, sam będąc w ukryciu.

Kiedy szli z Romanowem z powrotem do windy, myślał, jak i to wszystko wydaje się łatwe.

- Musi pan przyjść kilkadziesiąt godzin wcześniej i pracować razem z personelem kuchennym przed rozpoczęciem bankietu - rzekł Romanow.

- Dlaczego?

- Lepiej, żeby nikt nie nabrał podejrzeń, kiedy panznicznie tuż przed przemówieniem Żerińskiego.

- Romanow spojrział na zegarek.

- Czas wracać do pańskiego hotelu.

Żeriński ma tu być lada chwila.

Connor skinął głową.

Skierowali się do tylnych drzwi.

Sadowi się w BMW, Connor rzucił:

- Kiedy zdecyduję się na wybór miejsca, dam panu znać.

Romanow był zaskoczony, ale nic nie powiedział.

Connor wyjechał przez bramę ambasady na kilka minut przed powrotem Żerińskiego z Kapitolu.

Włączył radio w chwili, gdy

nadawano wiadomości wieczorne.

- Senatorzy i kongresmani wyrywają sobie z rąk mikrofony, aby zapewnić wyborców, że wysłuchawszy przemówienia prezydenta Że241

16. Jedenaste przykazanie.

fińskiego nie będą głosować za ustawą o ograniczeniu broni nuklearnych, biologicznych, chemicznych i konwencjonalnych.

W Pokoju Ovalnym Tom Lawrence przysłuchiwał się reporterowi CNN, który mówił z galerii prasowej Senatu:

- Biały Dom nie wydał jeszcze żadnego oświadczenia, a prezydent.

Tom Lawrence wyłączył telewizor.

- Inie kręćcie się tutaj, bo się nie doczekacie - rzucił ze złością do pustego ekranu.

- Andy - zwrócił się do Lloyda.

- Nie wiem, czy dołam wytrwać cztery godziny koło tego faceta jutro po południu, a co dopiero wieczorem odpowiedzieć na jego mowę pożegnalną.

Lloydsię nie odezwał.

- Nie mogę się doczekać, kiedy usiądę koło mego drogiego przyjaciela Toma i będę się przyglądać, jak się wije na oczach milionowej publiczności - powiedział Zeriński wkraczając do ambasady rosyjskiej.

Dymitrij Titow nie odezwał się.

- Chyba będę kibicował Czerwonoskórom.

To będzie jeszcze jeden punkt na moją korzyść, jak pupilki Lawrence'a przegrają.

- Zeriński uśmiechnął się drwiąco.

- Dobry wstęp do upokorzenia, które zaplanowałem muna wieczór.

Niech pan pamięta, by przygotować bardzo pochlebne przemówienie, żeby z perspektywy czasu wydał się tym bardziej tragiczne.

- Znow się uśmiechnął.

- Poleciłem, żeby podano wołowinę na zimno.

I nawet pana zadziwi, co przyszykowałem na deser.

Wieczorem Connor przez kilka godzin deliberował, czy zaryzykować i złamać zasadę całego życia.

Zatelefonował do Romanowa tuż po północy.

Rosjanin był zachwycony, że obaj doszli do takiego samego wniosku.

- Kierowca zabierze pana o wpół do czwartej, tak żeby na czwartą był pan w ambasadzie - obiecał Connorowi.

Fitzgerald odłożył słuchawkę.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, o czwartej prezydent będzie martwy.

- Obudźcie go.

- Ale jest czwarta rano - rzekł pierwszy sekretarz.

- Jeśli wam życiemile, obudźciego.

242

Pierwszy sekretarz narzucił szlafrok, wypadł z sypialni i pobiegł korytarzem.

Zapukał do drzwi.

Nie było odpowiedzi, więc zastukał jeszcze raz.

Po paru chwilach pod drzwiami pojawił się odblask światła.

- Wejść - odezwała się zaspany głos.

Pierwszy sekretarz przekręcił gałkę i wszedł do sypialni ambasadora.

- Proszę mi wybaczyć, ekscelencjo, ale z Sankt Petersburga dzwoni jakiś Iwanicki.

Nalega, by obudzić prezydenta.

Mówi, że ma dla niego pilną wiadomość.

- Odbiorę telefon w moim gabinecie - rzekł Pietrowski.

Odrzucił koldrę, ignorując jęki żony, zbiegł na dół i polecił portierowi, by przełączył rozmowę do gabinetu.

Telefon zadzwonił parokrotnie, zanim trochę zdyszany ambasador podniósł słuchawkę.

- Pietrowski przytelefonie.
- Dzień dobry, ekscelencjo - rzekł Iwanicki.
- Prosiłem opołączenie zprezydentem, nie z panem.
- O czwartej rano?

Czy to nie może zaczekać?

- Panieambasadorze, nie płacę panu, żeby mipan mówił, którągodzina.

Chcę teraz usłyszeć prezydenta.

Czy jasno się wyraziłem?

Ambasador odłożył słuchawkę na biurko i wolno poszedłschodami na pierwsze piętro, bijąc się z myślami, kogo bardziej się bać.

Wahał sięchwile pod drzwiami apartamentu prezydenta, ale widokpierwszego sekretarza, który krążył u szczytuschodów, nakłonił godo działania.

Zastukał lekkow drzwi, lecznie było odpowiedzi.

Zapukał głośniej i na próbę uchyliłdrzwi.

W świetle padającymz podestuambasador i pierwszy sekretarzzobaczyli, jakZeriński poruszył się na łóżku.

Nie widzieli natomiast, że sięgnął pod poduszkę po pistolet.

- Panie prezydencie - wyszeptał Pietrowski, kiedy Zeriński zapalił lampę przy łóżku.

-Lepiej, żeby to było coś ważnego - rzekł Zeriński-jeśli nie chcecie spędzić reszty dni jako kontrolerzy jakości lodówek na Syberii.

- Jest do pana telefon zSankt Petersburga - prawie szeptemznajmił ambasador.

- Od StiepanaIwanickiego.

Mówi, że to pilne.

- Won z mojego pokoju - powiedział Zerińskii podniósł słuchawkę telefonu przy łóżku.

Obaj mężczyźniwycofali się na korytarz, ambasador cicho zamknąłdrzwi.

243.

- Stiepan - powiedział Żeriński.
- Dlaczego dzwonił o tej porze?

Czy Borodin poważał się na zamach stanu podczas mojej nieobecności?

- Nie, panie prezydencie.

Car umarł.

- Iwanicki mówił bez śladu emocji.

- Kiedy?

Gdzie?

Jak?

- Mniej więcej godzinę temu, w swoim pałacu.

Ten bezbarwny płyn w końcu zrobił swoje - Iwanicki zrobił przerwę.

- Lokaj był prawie odroku na moich usługach.

Prezydent chwilę milczał.

- Lepiej być niemoże - powiedział wreszcie.

- Też bym tak uważał, panie prezydencie, gdyby nie to, że jegosyn jest w

Waszyngtonie.

Niewiele tu mogę zdziałać do jego powrotu.

- Ten problem może się sam rozwiązać dziś wieczorem - rzekł Żeriński.

- Czy dali się nabrać?

- Tak - odparł Żeriński.

- Dowieczora pozbędę się ich obu.

- Ich obu?

- Tak - powiedział prezydent.

- Nauczyłem się tutaj stosownego określenia - "ubić dwa ptaki jednym strzałem".

W końcu ile razy człowiek ma szansę zobaczyć, jak ktoś dwa razy umiera?

- Żałuję, że tego nie zobaczę.

- Sprawi mi to jeszcze większą przyjemność niż oglądanie, jak jego przyjaciel zadyndał na linie.

Zważywszy wszystko.

Iwan, to bardzo udana podróż, zwłaszcza jeżeli.

- Wszystkiego dopilnowałem, panie prezydencie - rzekł Iwanicki.

- Wczoraj załatwiłem, aby dochoźd kontraktów Jelcyna i Czernopowa na dostawę ropy i uranu został przerzucony na pański rachunek w Zurychu.

To znaczy, o ile Aleksiejnie odwoła moich poleceń, kiedy wróci.

^ nie wróci, to nie będzie mógł, prawda?

- Żeriński odłożył^asił światłoi po chwili zasnął.

' leżał na łóżku hotelowym, kompletnie ubra'cieczki, gdy zadzwonił telefonistka, bystał, odgiął róg zasłony i sprawdził, czy MW, zaparkowane po drugiej stronie uliM od północy.

O tej porze ludzie czuwający/iedział, że się zmieniają o ósmej, więc posta244

nowit wyjść dziesięć minut wcześniej.

Przez następne pół godziny wykonywał lekkie, rozluźniające ćwiczenia, potem zrzucił ubranie.

Stał przez pewien czas pod kłującym strumieniem zimnej wody, wreszcie zakręcił kurek i schwyił ręcznik.

Potem włożył niebieską koszulę, dzinsy, gruby sweter, niebieski krawat, czarne skarpetki i czarne sportowe buty.

Zszedł do restauracji hotelowej, nalał sobie szklanekę soku grejpfrutowego, a do miski wsypał płatków kukurydzianych i wlał mleka.

Zawsze jadł to samo w dniu operacji.

Lubił postępować zgodnie z wyrobionymi nawykami.
Pomagało mu to wierzyć, że wszystko pójdzie gładko.
Jedząc, przejrzał siedem stron notatek, które sporządził po spotkaniu z Pugiem, i jeszcze raz szczegółowo przestudiował sporządzony przez architekta plan stadionu.
Zmierzył wspornik klinijką i ocenił, że dokłapy wyjścia bezpieczeństwa jest trzynaście metrów.
Nie wolno mu tylko patrzeć w dół.
Poczuł, jak ogarnia go spokój niby dobrze przygotowanego lekkoatletę, kiedy go wezwą na linię startu.

Sprawdził, która godzina, i wrócił do swojego pokoju.
Powinno znaleźć się na skrzyżowaniu Dwudziestej Pierwszej Ulicy i DuPont Circle w momencie wzmożonego ruchu.
Odczekał jeszcze kilka minut, potem włożył trzy banknoty stu dolarowe, dwudziestopięciocentówkę i trzydziestominutową kasetę do tylnej kieszeni dżinsów.
Następnie opuścił na dobre anonimowy hotel.
Rachunek był już uregulowany.

xxx

Zeriński siedział sam w jadalni ambasady i czytał "WashingtonPost" przy śniadaniu, które podawał mu lokaj.

Uśmiechnął się, gdy zobaczył wielki tytuł: POWRÓT ZIMNEJ WOJNY?

Popijając kawę, chwilę rozmyślał nad tym, jaki będzie jutro główny tytuł w gazecie.

UDAREMNIONA PRÓBA ZABÓJSTWA ROSYJSKIEGO PREZYDENTA

Były agent CIA zastrzelony na terenie ambasady.

Znów się uśmiechnął i zagłębił we wstępniaku, który potwierdzał, że wszyscy członkowie komentatorzy uznali projekt ustawy Lawrence'a o ograniczeniu zbrojeń za "martwy w zarodku".

Jeszcze jedno pożyteczne wyrażenie, które sobie przyswoił podczas tej podróży.

Kilka minut później zadzwonił srebrnym dzwonkiem i polecił lokajowi przyprowadzić ambasadora i pierwszego sekretarza.

Lokaj wybiegł z pokoju.

Zeriński wiedział, że tamci w napięciu stoją zadrzwiami.

Ambasadori i pierwszy sekretarz uważali, że powinni odczekać chwilę, nim dołączą do prezydenta.

Wciąż nie byli pewni, czy się niegniewa, że obudzili go o czwartej rano, ale uznali, że skoro żaden z nich jeszcze nie został wyrzucony z pracy, ich decyzja była słuszna.

- Dzień dobry, panie prezydencie - powiedział Pietrowski wchodząc do jadalni.

Zeriński skinął głową, zwinął gazetę i odłożył ją na stół.

- Czy Romanow już jest?

- zapytał.

- Tak, panie prezydencie - odparł pierwszy sekretarz.

- Jest w kuchni od szóstej rano i osobiście kontroluje żywność, którą dostarczono na dzisiejszy bankiet.

- To dobrze.

Panie ambasadorze, niech pan mówi, żeby przyszedł do nas do pańskiego gabinetu.

Zaraz tam będę.

246

- Tak jest, panie prezydencie - rzekł Pietrowski, wycofując się tyłem z pokoju.

Zeriński otarł usta serwetką.

Postanowił, że każe tym trzem kilkunastu minut poczekać.

Niech jeszcze bardziej skruszeją.

Wziął do ręki "Washington Post" i uśmiechnął się czytając poraz drugi konkluzję artykułu wstępnego: "Zeriński jest raczej następcą Stalina i Breżniewa niż Gorbaczowa i Jelcyna".

Nie miał nic przeciwko tej opinii; w istocie miał nadzieję, że jeszcze przed końcem dnia umocni ten swój wizerunek.

Wstał i wyszedł z pokoju.

Gdy kroczył korytarzem w stronę gabinetu ambasadora, młody człowiek nadchodzący z przeciwnej strony zatrzymał się, pospieszył do drzwi i otworzył je prezydentowi.

Stojący zegar uderzył raz, gdy Zeriński wchodził do pokoju.

Instynktownie spojrzał na zegarek.

Była zakwadrans ósma.

Za dziesięć ósma Connor zjawił się w drzwiach hotelu i przeciąwszy ulicę wolno podszedł do pierwszego BMW.

Usiadł obok kierowcy, który lekko się zdziwił, widząc go tak wcześnie - powiedziano mu, że Fitzgerald spodziewają się w ambasadzie dopiero czwartej popołudniu.

- Muszę kupić w śródmieściu parę rzeczy - oznajmił Connor.

Mężczyzna siedzący z tyłu skinał głową, więc kierowca wrzucił pierwszy bieg i włączył samochód w strumień pojazdów na Wisconsin Avenue.

Drugi samochód jechał tuż za nimi, gdy skręcili w lewo w Ulicę P, zatłoczonej z powodu prac budowlanych, które były plagą Georgetown.

Connor zauważył, że z każdym dniem jego cerberzy stawali się mniej czujni.

Mniej więcej o tej samej porze co rano wyskakiwał BMW na roku Dwudziestej Pierwszej Ulicy i DuPont Circle, kupował "Washington Post" u sprzedawcy gazet i wracał do samochodu.

Wczoraj mężczyzna siedzący z tyłu nawet się nie pofatygował, żeby pójść z nim.

Przejechali Dwudziestą Trzecią Ulicę i Connor w oddali zobaczył DuPont Circle.

Samochody teraz stykały się zderzakami i prawie się posuwały.

Po drugiej stronie ulicy strumień pojazdów w kierunku zachodnim płynął bez przeszkód.

Musi dokładnie obliczyć, kiedy wykonać swój ruch.

Connor wiedział, że światła na Ulicy P przed DuPont Circle zmieniają się co trzydzieści sekund, że w tym czasie przejeżdża przez 247.

ciężnie dwanaście samochodów.

W ciągu tygodnia policzył ich najwięcej szesnaście.

Kiedy światła zmieniły się na czerwone, Connor obliczył, że przed nimi stoi siedemnaście samochodów.

Ani drgnął.

Zapaliły się zielone i kierowca włączył pierwszy bieg, ale było tak tłoczno, że upłynęło trochę czasu, nim zdołał posunąć się do przodu.

Przejechało tylko osiem aut.

„

Miał trzydzieści sekund.

;;;,

Obrócił się i uśmiechnął do swego strażnika z tyłu, wskazując sprzedawcę gazet.

Mężczyzna skinął głową.

Connor wysiadł i wolno ruszył w stronę starego człowieka w odblaskowej pomarańczowej kamizelce.

Ani razu nie spojrzawszy na siebie nie miał pojęcia, czy idzie za nim ktoś z drugiego samochodu.

Skupił uwagę na ruchu płynącym w przeciwnym kierunku po drugiej stronie ulicy, usiłując ocenić, jak długa będzie kolejka wozów, kiedy światła znów się zmienią na czerwone.

Gdy doszedł do gazeciarki, trzymał już w ręku dwudziestopięciocentówkę.

Wręczył ją starszemu i zamiast otrzymał "Washington Post".

Odwrócił się i zrobił parę kroków ku pierwszemu BMW, gdy zapaliły się czerwone światła i ruch zamarł, q

Connor dostrzegł samochód, którego potrzebował.

Nagle zmienił kierunek i puścił się biegiem, skacząc między stojącymi pojazdami, aż znalazł się na drugiej stronie jezdni dopadł taksówkę, którą od światła dzieliło sześć samochodów.

Dwaj mężczyźni z drugiego BMW wyskoczyli z samochodu i pobiegli za nim akurat w chwili, gdy światła przy DuPont Circle zmieniły się na zielone.

Connor otworzył drzwi i opadł na siedzenie z tyłu.

- Naprzód!

- krzyknął.

- Dam sto dolarów, jak pan sfinansuje te światła!

Taksówkarz nacisnął klakson całą dłońią i trąbił, póki nie przejechał czerwonych światła.

Dwa białe BMW zawróciły w miejscu z piskiem opon, ale światła już się zmieniły i drogi blokowały im trzynaście pojazdów.

Jak dotąd, wszystko szło zgodnie z planem.

Taksówka skręciła w lewo w Dwudziątą Trzecią Ulicę i Connor kazał kierowcy stanąć.

Kiedy samochód się zatrzymał, podał kierowcy banknot studencki i powiedział:

- Proszę jechać prosto na lotnisko Dulles.

Jeśli pan zauważy zasobę białych BMW, niech pan nie pozwoli się prześcignąć.

Na lotnisku

248

proszę się zatrzymać na trzydzieści sekund przed halą odlotów, a potem wrócić powoli do miasta.

- Wszystko, co tylko chcesz, bracie - rzekł taksówkarz, chowając do kieszeni studencki banknot.

Connor wysliznął się z samochodu, przebiegł przez jezdnię i zatrzymał inną taksówkę, podążając w przeciwnym kierunku.

Zamykał drzwi, kiedy obok przemknęły dwa BMW w pogoni z pierwszą taksówką.

- Dokąd chciałby pan pojechać w ten piękny ranek?

- Na Stadion Cooke'a.

- Chyba ma pan bilet, bo jak nie, to trzeba będzie zaraz wracać.

Trzej mężczyźni stali, gdy Zeriński wszedł do pokoju.

Nakazał imusiść takim gestem, jakby to był wielki tłum, i sam usadowił się nakrześleza biurkiem ambasadora.

Zaskoczył go widok karabinu namiejsu bibularza, ale go zignorował i zwrócił się do Aleksieja Romanowa, który wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Aleksiej, mam dla ciebie smutną wiadomość - powiedział.

Natwarzy Romanowa odmalował się strach, a potem, gdy Zeriński przez dłuższą chwilę milczał, napięcie.

- Dzisiaj święcie otrzymałem wiadomość od twego kuzyna Stiepana.

Twój ojciec miał w nocy atak serca i umarł w drodze do szpitala.

Romanow zwiesił głowę.

Ambasador i pierwszy sekretarz spojrzeli na prezydenta, by sprawdzić, jak powinni zareagować.

Zeriński wstał, powoli podszedł do Romanowa i gestem pocieszenia położył mu rękę na ramieniu.

Ambasador i pierwszy sekretarz zrobili smutne miny.

- Będę go opłakiwał - rzekł Zeriński.

- Był wspaniałym człowiekiem.

- Obydwa dyplomaci potaknęli, a Romanow pochylił głowę podziękując za uprzejme słowa prezydenta.

- Teraz jego obowiązki przechodzą na ciebie, Aleksiej, najbardziej godnego następcę.

Ambasador i pierwszy sekretarz nadal potakując kiwali głowami.

- Niedługo - ciągnął Zeriński - będziesz miał okazję tak zademonstrować swoją władzę, że nikt w Rosji nie będzie miał wątpliwości, kto jest nowym carem.

Romanow podniósł głowę i uśmiechnął się, zapominając o żałobie.

249.

- To znaczy - dodał Żeriński - o ile dziś wieczorem wszystko się uda.

- Na pewno - powiedział Romanow z przekonaniem.

- Rozmawiałem tuż popołudniu z Fitzgeraldem.

Zaakceptował mój plan.

Stawi się w ambasadzie o czwartej po południu, kiedy pan będzie nameczu z Lawrence'em.

- Dlaczego tak wcześnie?

- zdziwił się Żeriński.

- Wszyscy powinni myśleć, że jest jednym z ekipy gastronomicznej, tak że kiedy sześć godzin później wymknie się z kuchni, nikt nato nie zwróci uwagi.

Przez cały czas będzie w kuchni pod moim okiem i wyjdzie dopiero parę minut przed rozpoczęciem pańskiej mowy pożegnalnej.

- Doskonale - powiedział Żeriński.

- I co potem?

- Razem z nim przyjdę do tego pokoju, skąd weźmie karabin.

Następnie pojedzie windą do galerii nad salą balową.

Żeriński kiwnął głową.

- Zajmie stanowisko za wielkim posagiem Lenina i będzie tamtkwił, póki pannie dojdzie do tego fragmentu przemówienia, gdzie pan dziękuje Amerykanom za ich gościnność i gorące przyjęcie, jakie panu wszyscy zgotowali, et cetera, et cetera, szczególnie prezydent Lawrence.

W tym momencie zaplanowałem dłuższą owację.

Musi pan wtedy stać absolutnie nieruchomo.

- Dlaczego?

- spytał Żeriński.

- Bo Fitzgerald nie pociągnie za spust, jeżeli się będzie spodziewał, że pan się gwałtownie poruszy.

- Rozumiem.

- Kiedy odda strzał, wejdzie na parapet przy cedrze w ogrodziona tyłach ambasady.

Wczoraj po południu kazał nam kilka razy powtarzać całą operację, ale dziś wieczorem odkryje pewną różnicę.

- Mianowicie?

- zagadnął Żeriński.

- Pod drzewem będzie czekało sześciu moich goryli - rzekł Romanow.

- Zastrzela go, zanim jego stopa dotknie ziemi.

- Ale twój plan ma jedną drobną wadę.

Romanow zrobił zdziwioną minę.

- Jakim cudem mam przeżyć strzał oddany przez tak świetnego strzelca z tak małej odległości?

Romanow wstał z krzesła i wziął do ręki karabin.

Wyjął kawałek metalu i wręczył go prezydentowi.

- Co to jest?

- spytał Żeriński.

- Iglica - odparł Romanow.

XXXI

Dwa białe BMW pędziły na zachód drogą numer 66, ścigając pustą taksówkę, która na całej trasie na lotnisko Dullesa przekraczała dozwoloną szybkość.

Druga taksówka bez pośpiechu sunęła w stronę Stadionu Cooke'a w Maryland.

Connor przetrwał swoją decyzję o wyborze stadionu, zjedawszystkimi niebezpieczeństwami, zamiast ambasady.

Zbyt łatwo wpuszczano go do tego budynku i z niego wypuszczano; nikt nie mógł być aż tak bez troski, jeżeli chodziło o zachowanie środków bezpieczeństwa, zwłaszcza podczas wizyty prezydenta.

Gdy Connor wysiadł przed stadionem, dokładnie wiedział, dokąd iść.

Powędrował szeroką, żwirowaną dróżką do północnego wejścia; stały tam dwie długie kolejki ludzi, którzy kręcili się tu przed każdym meczem w nadziei, że zostaną zatrudnieni w tym dniu.

Jedni po prostu potrzebowali pieniędzy, inni zaś, wyjaśnił Pug, byli tak zagorzałymi kibicami Czerwonoskórych, że poszliby na wszystko, łącznie z łapówką, byle tylko dostać się do środka.

- Łapówką?

- spytał z niewinną miną Connor.

- O, tak.

Ktoś musi zanosić posiłki do apartamentów dyrekcji - rzekł Pug przymrużając oko.

- A potem mieć najlepszy widok na

mecz.

- To fascynujący materiał do mojego artykułu - zapewnił go

Connor.

W pierwszej kolejce czekali ci, którzy chcieli pracować na zewnątrz stadionu, przy organizacji parkingu na dwadzieścia trzy tysiące samochodów i autobusów, przy sprzedaży programów, poduszki pamiętek dla siedemdziesięciu ośmiu tysięcy widzów.

W drugiej ustawili się ci, którzy liczyli na pracę na stadionie.

Connor dołączył do tej kolejki, w większości składającej się z młodych bezrobotnych oraz tych, których Pug nazwał młodymi emerytami - nałło251.

gowcami, którzy zwyczajnie lubili regularne wypadki z domu.

Pugnawet opisał, jak ci ludzie się ubierają, żeby nikt ich nie wziął za bezrobotnych.

W tym szczególnym dniu kandydatom przyglądała się grupa agentów Secret Service.

Connor czytał "Washington Post" posuwając się z kolejką wolno do przodu.

Prawie całą pierwszą stronę poświęcono mowie Żerińskiego na wspólnej sesji Kongresu.

Reakcje kongresmanów były generalnie wrogie.

Gdy przewrócił stronice przeczytał artykuł wstępny, uznał, że Żerińskiemu może on sprawić przyjemność.

Przerzucił się do działu miejskiego i krzywo się uśmiechnął, kiedy przeczytał o przedwczesnej śmierci wybitnego naukowca ze swego rodzinnego miasta.

- Hej - usłyszał czyjś głos.

Connor obejrzał się i zobaczył szykownego młodzika, który ustawił się za nim w kolejce.

- Hej - odpowiedział i czym prędzej wrócił do swojej gazety.

Nie chciał się wdawać w niepotrzebną rozmowę z kimś, kto potem mógłby być zwany jako świadek.

- Jestem Brad - oznajmił chłopak i wyciągnął dłoń do niego.

Connor uściśniętą, ale nic nie powiedział.

- Mam nadzieję, że dostanę pracę w jednej z wież oświetleniowych - rzekł chłopak.

- A pan?

- Czemu akurat tam?

- zagadnął Connor, pomijając pytanie.

- Bo tam będzie stanowisko dowódcy ochrony prezydenta, a ja chcę się przekonać, jak wygląda jego praca.

- Dlaczego?

- spytał Connor, związując gazetę.

Tej rozmowy z pewnością nie mógł uciąć.

- Myślę o wstąpieniu do Secret Service, kiedy skończę studia.

Już się zapisałem na kurs podyplomowy, ale chcę przyjrzeć się ich pracy z bliska, zanim postanowię, czy pójść do Secret Service, czy zostać prawnikiem.

Jedyną pracą, której nikt nie chce, to zanoszenie posiłków chłopakom z Secret Service na wieżach oświetleniowych za polami bramkowymi.

Ludzi odstrasza to trochę.

Sto siedemdziesiąt dwa stopnie, pomyślał Connor, który zrezygnował z wież oświetleniowych na samym początku, nie zważając na wspinaczkę, lecz z braku możliwości ucieczki.

Brad zaczął mu opowiadać historię swego życia i zanim Connor przesunął się do przodu kolejki, wiedział już, do jakiej szkoły chłopak chodził, że to

raz jest na ostatnim roku kryminologii w Georgetown - co skierowało jego myśli do Maggie - i dlaczego ciągle może się zdecydować, czy wybrać zawód agenta, czy prawnika.

- Następny - powiedział głos.

Connor odwrócił się do mężczyzny, który siedział za stołem na krzyżakach.

- Co panu zostało?

- spytał Connor.

- Niewiele - odparł mężczyzna, spoglądając na listę oznaczoną aptaszkami.

- Może coś z robót kuchennych?

- spytał Connor.

Tak jak Brad dobrze wiedział, gdzie chce być.

- Zostało tylko mycie naczyń albo roznoszenie posiłków pracownikom na stadionie.

- To mi odpowiada.
- Nazwisko?
- Dave Krinkle - rzekł Connor.
- Dowód tożsamości?
- Connor podał prawo jazdy.

Mężczyzna wypisał przepustkę, a fotograf, który wystąpił do przodu, zrobił Connorowi polaroidem zdjęcie, które po kilku sekundach zostało prasowane do przepustki.

- Gotowe, Dave - rzekł mężczyzna i podał kartonik Connorowi.

-Ta przepustka pozwoli ci się poruszać po stadionie poza strefą specjalnie chronioną, do której należą apartamenty dyrekcji, loże klubowe i część zarezerwowana dla ważnych osobistości. Ale tam niemusisz chodzić.

- Connor skinął głową i przypiął przepustkę do swetra.
- Zgłoś się do pokoju czterdzieści siedem, tuż pod blokiem H.
- Connor skierował się w lewo.

Wiedział dokładnie, gdzie jest pokój czterdzieści siedem.

- Następny.

Przejście przez trzy punkty kontrolne, z czujnikiem magnetycznym włącznie, trwało o wiele dłużej niż poprzedniego dnia, gdyż teraz obsadzone one były przez personel Secret Service, a nie przez wynajętych ochroniarzy.

Gdy Connor znalazł się na stadionie, spokojnym krokiem powędrował wewnętrznym przejściem, koło muzeum i pod czerwonym transparentem z napisem "ZWYCIĘŻYMY!", aż dotarł do schodów oznaczonych tabliczką: "Pokój 47.

Obsługa gastronomiczna" i strzałką skierowaną w dół.

W małym pomieszczeniu u podnóża schodów kręciło się kilkunastu mężczyzn.

Po ich minach było widać, że nie są tu pierwszy raz.

Rozpoznał kilku, którzy stali przed nim w kolejce.

Żaden niewyglądał na takiego, co nie potrzebuje pieniędzy.

Usiadł w kącie i wyciągnął gazetę; ponownie przeczytał prognozy dotyczące meczu. Tony Kornheiser uważał, że byłby to cud, gdyby Czerwonoskórzy zwyciężyli Pakowaczy - najwspanialszą drużynę kraju.

W istocie przewidywał dwudziestopunktową przewagę.

Connor liczył na całkiem inny wynik.

- Uwaga - usłyszał głos.

Podniósł głowę i zobaczył potężnego mężczyznę w stroju kucharza, który stał z przodu.

Miał około pięćdziesiątki, olbrzymi podwójny podbródek i ważył chyba ze stowadzieścia kilo.

- Jestem szefem ekipy gastronomicznej - oznajmił - i jak widzicie, żywą reklamą tego interesu.

- Paru weteranów uprzejmie się roześmiało.

- Mam dla was dwie propozycje.

Albo możecie myć naczynia, albo roznosić posiłki pracownikom stadionu i chłopakom, którzy pilnują bezpieczeństwa.

Kto do mycia naczyń?

- Większość mężczyzn!

w pokoju podniosło ręce.

Mycie naczyń, objaśniał Pug, zawsze cieszyło się popularnością, ponieważ pomywacze nie tylko inkasowało dziesięć dolarów za godzinę, ale dla niektórych resztki z łóż dyrektora były najlepszym posiłkiem w ciągu całego tygodnia.

- Dobra - powiedział kucharz, wybierając pięciu mężczyzn i zapisując ich nazwiska.

Skompletował listę.

- Teraz kelnerowanie.

Można albo obsługiwać kierownictwo, albo personelowi pilnującemu bezpieczeństwa.

Kierownictwo?

- spytał, spoglądając znad notatnika.

Prawie wszyscy pozostali podnieśli ręce.

Znowu szef zapisał pięć nazwisk.

Skończywszy, stuknął w notes i oznajmił: - Niech wszyscy, którzy są na liście, teraz zgłoszą się do pracy.

- Weterani wstali z miejsc, zszuraniem przeszli obok niego i zniknęli w drzwiach, które, jak wiedział Connor, wiodły do kuchni.

W pomieszczeniu zostały tylko Connor i Brad.

- Mam jeszcze dwie prace przy chłopakach z bezpieczeństwa - rzekł szef ekipy gastronomicznej.

- Jedną fantastyczną, drugą lewą.

Który z was będzie miał więcej szczęścia?

- Spojrzał z nadzieją na Connora, który skinął głową i wsadził rękę do tylnej kieszeni spodni.

Szef podszedł do niego, nawet nie spojrzawszy na Brada.

- Czuję, że wolałbyś komfort superkranu - powiedział.

- Jakby pan zgadł - rzekł Connor i wręczył mu banknot studencki.

- Właśnie tak myślałem - uśmiechnął się szef ekipy gastronomicznej.

254

Connor nie odzywał się, kiedy tłuszcioch chował pieniądze do kieszeni, jak przepowiedział Pug.

Ten człowiek był co do centa wart swej zapłaty.

- Przede wszystkim niepowiniem w ogóle go zapraszać - mruknął Tom Lawrence wsiadając do śmigłowca "Marinę One", który zabierał go z Białego Domu na stadion Czerwonoskórych.

- Mam przeczucie, że nasze kłopoty jeszcze się nie skończyły - rzekł Andy Lloyd, zapinając pas.

- Dlaczego?

Co jeszcze możesz stać złego?

- zapytał Lawrence, gdy łopatki śmigłowca zaczęły się powoli obracać.

- Przed powrotem Żerińskiego do Rosji mamy jeszcze dwie publiczne imprezy i założyłbym się, że podczas jednej z nich Fitzgerald będzie na nas czekał.

- Tego wieczoru nie powinno być żadnych problemów - rzekł Lawrence.

- Ambasador Pietrowski wiele razy powtarzał funkcjonariuszom Secret Service, że jego ludzie zdołają ochronić własnego prezydenta.

Zresztą, kto by chciał ryzykować przy tak silnych środkach bezpieczeństwa?

- Normalne zasady nie mają zastosowania w przypadku Fitzgeralda - zauważył Lloyd.

Prezydent spojrział w dół na ambasadę rosyjską.

- Byłoby trudno dostać się do tego budynku - powiedział.

- A co dopiero z niego wyjść.

- Fitzgerald nie miałby takiego problemu dziś po południu, na stadionie z prawie osiemdziesięcioma tysiącami widzów - odparł Lloyd.

- To jedynymiejsce, gdzie łatwo się wśliznąć i wymknąć.

- Andy, nie zapominaj, że będzie tylko trzynastominutowe okienko, kiedy mógłby się coś stać.

Ale przecież każdy, kto wejdzie na stadion, zostanie skontrolowany przez czujniki magnetyczne i niewnieś nawet szczyrka, nie mówiąc o karabinie.

- Myśli pan, panie prezydencie, że Fitzgerald o tym nie wie?

- spytał Lloyd, gdy śmigłowiec skręcił na wschód.

- Jeszcze nie jest za późno, by odwołać ten punkt programu.

- Nie - stanowczo sprzeciwił się Lawrence.

- Skoro Clinton mógł stanąć na środku stadionu olimpijskiego w Atlancie podczas ceremonii otwarcia Igrzysk, to ja mogę zrobić to samo w Waszyngtonie przed meczem futbolowym.

Andy, do cholery, żyjemy w demokracji, i nie pozwolę, żeby nasze życie podlegało takim dyktando.

tom. I nie zapominaj, że ja też tam będę, ryzykując tak samo jak Żeriński.

- Zgadzą się - rzekł Lloyd.

- Ale jeżeli Żeriński zginie, nikt nie będzie pana wychwalał za to, że pan przy nim stał, a już najmniej Helen Dexter.

Ona pierwsza wytknie.

- Jak myślisz, Andy, kto dziś wygra?

- zagadnął prezydent.

Lloyd uśmiechnął się.

Jego szef często stosował taki wybieg, jeśli nie chciał rozmawiać na niemiły temat.

- Nie mam pojęcia - odparł.

- Ale póki dziś zobaczyłem, jak wielu moich pracowników tłoczy się do jadących przodem samochodów, nie zdawałem sobie sprawy, że wśród personelu Białego Domu! jest tylu kibiców Czerwonoskórych.

- Niektórzy z nich są zapewne kibicami Pakowaczy - zauważył Lawrence.

Otworzył teczkę, którą miał na kolanach, i zaczął odczytywać krótkie charakterystyki gości, których spotka na stadionie.

[

- No dobra - powiedział szef ekipy gastronomicznej.

- Słuchaj pan.

- Connor zrobił taką minę, jakby cały zamienił się w słuch.

]

- Agenci Secret Service dostają przekąskę o dziesiątej i lunch - ycolę, kanapki i na co jeszcze mają ochotę - na początku meczu.

Najpierw bierzesz paniały fartuch i czapkę z godłem Czerwonoskórych, bo inaczej nie wpuszczą pana z powrotem.

Potem jedziesz pan windą na siódme piętro i czekasz pan, aż włożę jedzenie do windy kuchennej.

Trzeba przycisnąć guzikz lewej strony - ciągnął, jakby miał do czynienia z dziesięciolatkiem - topodjedzie w minutę.

Connor mógłby mu powiedzieć, że winda kuchenna jedzie z suterenu na siódme piętro dokładnie czterdzieści siedem sekund.

Jednak ponieważ korzystały z niej jeszcze dwa piętra - drugie (miejsca klubowe) i piąte (apartamenty dyrekcji) - może trzeba będzie poczekać, aż w pierw zostaną załatwione zamówienia stamtąd, a wtedy zajmie to trzy minuty.

- Jak podjedzie pańska taca, zanieśiesz ją pan agentowi, który ma stanowisko na platformie na tyłach superekranu we wschodnim krańcu stadionu.

Zobaczy pan drzwi z napisem "Tylko dla personelu" na końcu korytarza po lewej stronie.

- Trzydzieści siedem kroków, przypomniał sobie Connor.

- Oto klucz.

Otworzysz je pani pójdziesz pan krytą kładką, która doprowadzi pana na tył superekranu.

- Sześćdziesiąt cztery metry, pomyślał Connor.

W czasach, kiedy grał w futbol, przebiegał taką odległość w siedem sekund.

256

Podczas gdy szef ekipy gastronomicznej objaśniał to, co Connor już znał, ten przyglądał się windzie kuchennej.

Miała wymiary sześćdziesiąt pięć centymetrów na osiemdziesiąt, a w środku wyraźny napis: "Maksymalne obciążenie 70 kg".

Connor ważył 95 kilogramów i miał nadzieję, że projektant zostawił trochę zapasu.

Były jeszcze dwa inne problemy: nie mógł windy wypróbować, a poza tym nie był w stanie zapobiec zatrzymaniu windy na piątym lub drugim piętrze, kiedy będzie zjeżdżał w dół.

- Zapukasz pan do drzwi - ciągnął szef ekipy gastronomicznej - i wtedy agent odsunie zasuwę i wpuści pana do środka.

Jak mu pomasz tacę, możesz pan pójść na tył stadionu i obejrzeć pierwszą kwartę.

W przerwie zgłosisz się pan po tacę i wstawisz ją pan do windy.

Naciśniesz pan zielony guzik, wtedy jedzie do suterenu.

Potem możesz pan oglądać mecz do końca.

Czy to zrozumiałe, Dave?

Connorakusiło, żeby powiedzieć: nie, szefie.

Czy zechciałby pan powtórzyć jeszcze raz, ale wolniej?

- Tak, szefie.

- Jakieś pytania?

- Nie, szefie.

- Dobra.

Jak oficer będzie pana dobrze traktował, to na koniec wysłę mu befsztyk.

Po wszystkim zgłóś się pan do mnie po zapłatę.

Pięćdziesiąt dolarów.

- Mrugnął.

Pug wyjaśnił, że poważni kibice nie zgłaszają się po zapłatę, jeżeli chcą być ponownie zatrudnieni.

- Niech pan pamięta - przestrzegł.

- Jak szef powie "zapłata", ma pan mrugnąć.

Connor nie miał zamiaru brać pięćdziesięciu dolarów, ani kiedykolwiek tu wracać.

Mrugnął.

XXXII

- Dlaczego Lawrence leci na mecz śmigłowcem, a ja się muszę tłucsamochodem?
 - zapytał Żeriński, gdy kawalka składająca się z dziewięciu aut wyjechała przez bramę ambasady.
 - On tam musi być przed panem - rzekł Titow.
 - Chce przywitać się z wszystkimi gośćmi, żeby w chwili, gdy pan przyjedzie, sprawiać wrażenie, jakby znał ich całe życie.
 - Ale za metody rządzenia krajem!
 - zauważył Żeriński.
 - Co nieznaczy, że to popołudnie jest ważne.
 - Milczał chwilę.
 - Wie pan, widziałem nawet karabin, z którego Fitzgerald chcemy zabić.
 - Titow wyglądał na zaskoczonego.
 - To ten sam model, który CIA podrzuciła mu w Sankt Petersburgu.
 - Ale doskonale.
 - Włożył rękę do kieszeni marynarki.
 - Jak pan myśli, co to jest?
 - zapytał, pokazując coś, co wyglądało jak żęty gwóźdź.
 - Nie mam pojęcia - Titow potrzęsął głową.
 - Iglica remingtona 700 - odparł Żeriński.
 - Toteż można mu nawet pozwolić pociągnąć za spust, nim ochroniarze podziurawią go kulami jak sito.
 - Zbliżył ją do oczu.
 - Chyba każę ją oprawić i postawię na moim biurku na Kremlu.
 - Wrzucił iglicę z powrotem do kieszeni.
 - Czy tekst mowy, którą mam wygłosić wieczorem, został przekazany prasie?
 - Tak, panie prezydencie - odparł Titow.
 - Składa się głównie z zwyczajowych frazesów.
 - Można być pewnym, że nie przedrukują jej ani słowa.
 - A moja spontaniczna reakcja po zabiciu Fitzgeralda?
 - Też tu jest, panie prezydencie.
 - Doskonale.
 - Chciałbym trochę posmakować - rzekł Żeriński, rozsiadając się wygodnie.
 - Titow wyjął z walizeczki, którą miał przy sobie, tekturową teczkę i zaczął czytać ręcznie pisany tekst.
- 258
- "W dniu, kiedy mnie wybrano, prezydent Lawrence zatelefonował do mnie na Kreml i osobiście zaprosił mnie do swego kraju.
 - Przyjąłem jego propozycję w dobrej wierze.
 - I co się dzieje?
 - Moją wyciągniętą ręką napotyka niena gałązkę oliwną, ale na wycelowany we mnie karabin.
 - Gdzie?
 - W mojej własnej ambasadzie.
 - Następnie dowiaduję się, że zaspust pociągnął agent CIA.
 - Gdyby nie to, zesprzyjało mi szczęście.
 - "
 - Były agent.
 - przerwał Żeriński.

- Uważam, że będzie roztropniej - powiedział Titow podnosząc wzrok znad notatek - jeżeli od czasu do czasu pan się pomyli, a nawet będzie się pan powtarzał.

Dzięki temu nie będzie mógł sugerować, że z góry pan wiedział, co się stanie.

W Ameryce ludzie lubią wierzyć w spiski.

- Będzie mi przyjemnie, jeżeli pogłębię ich paranoiczną podejrzliwość - rzekł Żeriński.

- Chcę, żeby Amerykanie długo po usunięciu Lawrence'a pisali o tym, jak doprowadziłem do kompletnego upadku stosunków między obydwoma krajami.

Administracja Lawrence'a będzie tylko drobnym epizodem w historii odrodzenia imperium rosyjskiego pod moją prezydenturą.

- Uśmiechnął się promiennie do Titowa.

- A kiedy to osiągnę, nie będzie więcej mowy o wyborach.

Ponieważ będę sprawował władzę aż do śmierci.

Connor spojrzął na zegarek.

Za cztery dziesiąta.

Przycisnął guzik windy kuchennej i usłyszał szum silnika, gdy kabina powoli ruszyła na siódme piętro.

Stadion miał zostać otwarty dla publiczności dopiero za trzydzieści cztery minuty, ale, jak Connor wiedział, minie sporo czasu, zanim tłum przecisnie się przez wszystkie punkty kontrolne i miejsca, gdzie zainstalowano trzydzieści czujników magnetycznych.

Jednak on się musiał trzymać o wiele bardziej ścisłego harmonogramu niż ktokolwiek inny na stadionie.

Czterdzieści siedem sekund później zabrał tacy nacisnął guzik, dając znać personelowi w podziemiach, że do niego dotarła.

Poszedł szybko pasażem nasiódmym piętrem, minął kiosk i stanął przed drzwiami z napisem "Tylko dla personelu".

Trzymając tacę w lewej ręce, prawą otworzył drzwi kluczem i wśliznął się do środka.

Następnie zapalił światło i powędrował kładką na tył superkranu.

Znów spojrzął na zegarek - osiemdziesiąt trzy sekundy.

Za długo, ale ponieważ przy ostatnim biegu nie będzie miał tacy, powinien przeprowadzić całą operację, od dachu

do podziemia, w niecałe dwie minuty.

Jeżeli wszystko pójdzie według planu, znajdzie się poza stadionem i w drodze na lotnisko, zanim ustawią blokady na drogach.

Connor umieścił tacę na jednej ręce, a drugą zapukał do drzwi.

Po kilku sekundach otworzył mu wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, którego sylwetka odcinała się na tle prostokąta światła.

- Przyniosłem panu przekąskę - powiedział Connor z przyjaznym uśmiechem.

- Klawo!

- ucieszył się snajper.

- Włóż pan do środka.

- Wziął tacy kanapkę z wołowiną.

Connor poszedł za nim cienką platformą z ocynkowanej stali na tyłach olbrzymiego ekranu wideo, składającego się z 786 zespołów minikineskopów.

Agent Secret Service usiadł i wbił zęby w kanapkę.

Connor starał się, żeby nie zauważył, jak uważnie przygląda się jego karabinowi.

Superekran miał wysokość trzech pięter, jedno powyżej i jedno poniżej platformy.

Connor postawił tacę koło oficera, który siedział na schodach, prowadzących w dół.

Interesowała go puszka dietetycznej coca coli, a nie rozglądający się wokół Connor.

- Przy okazji - powiedział między jednym łykiem a drugim.

- Jestem Arnie Cooper.

- Dave Krinkle - przedstawił się Connor.

- No to ile zabuliłeś, chłopie, za przyjemność spędzenia ze mną tego popołudnia?

- spytał Arnie, szczerząc zęby.

"Marinę One" usiadł na ładowisku dla śmigłowców na północny wschód od stadionu.

Limuzyna podjechała z cichym szumem silnika, zanim schodki dotknęły ziemi.

Po chwili ze śmigłowca wyłonili się Lawrence z Lloydem i prezydent odwrócił się, żeby pomachać dużej grupie sympatyków, po czym wszedł do czekającego auta.

Prawie pół kilometra do stadionu przebyli w niecałą minutę, nie zatrzymywani przez żadne kontrole.

John Kent Cook, prezes klubu Czerwonoskórych, czekał u wejścia do stadionu.

- To wielki zaszczyt, panie prezydencie - powiedział do Lawrence'a, gdy ten wysiadł z samochodu.

- Miło cię widzieć, John - odparł prezydent, ściskając rękę szczupłemu, siwowłosemu mężczyźnie.

Cooke zaprowadził gości do prywatnej windy.

- John, czy naprawdę wierzysz, że Czerwonoskórzy wygrają?

- zagadnął Lawrence.

260

- Panie prezydencie, to podchwytliwe pytanie, którego można się było spodziewać po polityku - odparł Cooke, gdy wchodzili do windy.

- Wszyscy wiedzą, że jest pan kibicem numer jeden drużyny Pakowaczy.

Ale muszę panu odpowiedzieć - tak.

Czerwonoskórzy będą bronić starego Dystryktu Kolumbii.

I wygrają.

- "Washington Post" się z tobą niezgadza - rzekł prezydent, gdy drzwi windy rozsunęły się na piętrze dla prasy.

- Jestem pewien, panie prezydencie, że jest pan ostatnią osobą, która by wierzyła we wszystko, co pisze "Post" - odparł Cooke.

Obydwaj wybuchnęli śmiechem.

Cooke wprowadził prezydenta do swojej łóżki, dużego, wygodnego pokoju położonego nad linią środkową, z doskonałym widokiem na całe boisko.

- Panie prezydencie, chciałbym panu przedstawić kilka osób, które uczyniły z Czerwonoskórych najwspanialszą drużynę futbolową w Ameryce.

Zaczęła od mojej żony Rity.

- Miło cię poznać, Rito - prezydent uściśnął kobiecie rękę.

- Gratuluję sukcesu na balu w Operze Narodowej.

Podobno zebrano rekordową kwotę pod twoim przewodnictwem.

Pani Cooke rozpromieniła się z dumy.

Lawrence umiał przytoczyć stosowną anegdotę lub fakt związany z każdą osobą, którą spotkał, łącznie z małym, starym człowieczkiem w blezerze Czerwonoskórych, który w żadnym razie nie mógłby być dawnym zawodnikiem.

- To jest Pug Washer - rzekł John Cooke, kładąc rękę na ramieniu staruszka.

Pug.

- ...

jest jedynym człowiekiem w historii, który dostał się do Galerii Sławnych drużyny Czerwonoskórych, nie rozgrywając żadnego meczu - dokończył prezydent.

Pug uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Mówią też, że wie więcej o historii drużyny niż ktokolwiek inny.

Pug przysiągł w duchu, że nigdy więcej nie będzie głosował na republikanów.

- Więc powiedz mi, Pug, ile punktów - w rozgrywkach Pakowaczek kontra

Czerwonoskórzy - przez cały sezon zdobyli ci pierwsi, gdy ich trenerem był Vince Lombardi, w porównaniu z drugimi pod opieką tego samego trenera?

- Pakowacze czterysta pięćdziesiąt dziewięć, Czerwonoskórzy czterysta trzydzieści pięć

- odparł Pug z żalnym uśmiechem.

261.

- Tak myślałem - on nie powinien nigdy odejść od Pakowaczy -prezydent poklepał Puga po ramieniu.

-Czy pan wie, panieprezydencie -odezwał się Cooke - że nigdy nie udałomi się zadać pytania na temat Czerwonoskórych, na którePug nie znałby odpowiedzi?

- Czy ktoś kiedyś cię zagiął, Pug?

- spytał prezydent, znowuzwracając siędo chodzącejencyklopedii.

- Bez przerwy próbują, panie prezydencie - odparł Pug.

- Tylkowczoraj jeden facet.

Pug nie zdążył skończyć zdania, kiedy AndyLloyd dotknął łokcia Lawrence'a.

- Przepraszam, że przerywam, alewłaśnie dostałemwiadomość, że prezydent Żeriński zapiąć minut zajędzie przed stadion.

Pan prezydent razem z panem Cooke powinien teraz udać się do północno-wschodniego wejścia, żeby go przywitać.

- Tak, naturalnie - rzekł Lawrence.

Odwrócił się do Puga.

-Skończymy naszą rozmowę, jak wrócę.

Pug skinął głową.

Prezydentze swą swiłą opuściłpokój i poszedłpowitać Zerińskiego.

- Trochę tu ciasno - zawołał Connor, przekrzykując hałas wielkiegowentylatora pod sufitem.

-Pewnie - zgodził się Amie, pociągnąwszy ostatni łyk coca coli.

- Ale to taka robota.

-Spodziewa się pan dziś jakichś kłopotów?

- E, nie, niekoniecznie.

Jasne, będziemy w stanie pełnego pogotowia, kiedy prezydenci wyjdą na boisko, ale to potrwa tylkoosiem minut.

Chociaż, gdyby tozależało od kapitana Braithwaite'a, to żadnemu z nich nie pozwoliłby wychylić nosa z łoży.

Connor kiwnął głową i zadał jeszcze kilka obojętnych pytań, wsłuchując się uważnie w brooklyńskiakcent Arnie'ego i wyłapujączwroty, których ten często używał.

Gdy Arnie pochłaniał czekoladowe ciastko, Connor spojrział przezlukę międzyobracającymi się tablicami reklamowymi.

Większośćagentów Secret Servicenastadionie też miała przerwę na przekąskę.

Skupił uwagę na wieży oświetleniowej poza zachodnim polem bramkowym.

Był tam Brad, który pilnie przysłuchiwałsię funkcjonariuszowi, pokazującemu łożę właściciela stadionu.

Właśnietakichludzi potrzeba w Secret Service, pomyślał Connor.

Odwrócił się do Arnie'ego.

262

- Przyjdęznovu na początku meczu.

Z talerzem kanapek, kawałkiem ciastai coca colą.

Pasuje?

- Jeszcze jak.

Ale z ciastem lepiej ostrożnie.

Nieprzejmuję się,jakżona gdera, że przytyłem, ale ostatnio zaczął mi docinać dowódca ochronyprezydenta.

Zabrzmiała syrena, dając znak personelowi stadionu, że minęłopół do jedenastej i bramy zostają otwarte.

Kibice zaczęli napływać na trybuny, przeważnie kierując się wprost na miejsca, które zajmowały.

Connor zabrał pustą puszkę coca coli oraz plastikowe pudełko i postawił je na tacy.

- Przyjdę z lunchem, jak zacznie się mecz -oznajmił.

-Dobra - rzucił Arnie, który patrzył przez lunetkę na tłum poniżej.

- Aleniek pannie puka, póki prezydenci nie wrócą do łóż.

Nikomiu pozamną niewolno tu być, kiedy oni wyjdą naboisko.

- W porządku, rozumiem - powiedział Connor, rzucając ostatnie spojrzenie na karabin agenta.

Kiedy odwrócił się dowojścia, dobiegł go głos z radiotelefonu.

- Herkules trzy.

Arnie odpiął radiotelefon od pasa, nacisnął guzik i powiedział:

- Tu Herkules trzy.

Co jest?

Connor marudził przy drzwiach.

- Wszystko gra, kapitanie Braithwaite.

Właśnie miałem rzucić okiem na zachodnią trybunę.

- Dobrze.

Zamelduj, jeżeli zauważysz coś podejrzanego.

- Tak jest- rzekł Arnie i z powrotem przypiął radiotelefon do pasa.

Connor cicho zamknął za sobą drzwi i postawił pustą puszkę coca coli nastopniu.

Sprawdził, która godzina, potem szybkim krokiem przemierzył kładkę i otworzył drzwi na końcu.

W pasażu roilo się od kibiców podążających na swoje miejsca.

Dotarli do szybu windy, znów spojrzal na zegarek.

Pięćdziesiąt cztery sekundy.

Podczas finałowego biegu nie może przekroczyć trzydziestu czterech.

Nacisnął guzik.

Poczerdziestu siedmiu sekundach zjawila się winda kuchenna.

Widać nie wzywał jej nikt z drugiego ani piątego piętra.

Connor wstawił tace do środka i ponownie nacisnął guzik.

Winda natychmiast ruszyła

w dół.

Nikt nawet nie spojrzal na Connora, który w białym fartuch kucharskim i klubowej czapeczce kroczył niedbale koło kiosku

263.

w stronę drzwi z napisem "Tylko dla personelu".

Wśliznął się do środka, zamknęła sobą drzwi na klucz i bezszelestnie stąpając wąską kładką wrócił na tył superekranu.

W odległości kilku metrów od wejścia zatrzymał się i spojrzał na potężny stalowy wspornik, podtrzymujący masywny ekran wideo.

Connor złapał się poręczy, potem upadł na kolana.

Wychylił się do przodu, schwycił wspornik obydwoma rękami i przerzucił ciało przez poręcz.

Wpatrywał się cały czas w ekran, który według planu architekta znajdował się w odległości trzynastu metrów.

Odnosił się wrażenie, że to kilometr.

Widział stąd mały uchwyt, ale wciąż nie miał pewności, czy drzwi zapasowe, wyraźnie zaznaczone na planie, rzeczywiście istnieją.

Zaczął się powoli czołgać po wsporniku, ani razu nie spoglądając pięćdziesięciometrową przepaść pod sobą.

Miał uczucie, jakby to były dwa kilometry.

Kiedy wreszcie doczotgał się do końca, opuścił nogi i mocno uchwycił się rękami, jakby był na grzbiecie konia.

Na superekranie, który przed chwilą pokazywał powtórkę przyłożenia podczas ostatniego meczu Czerwonoskórych, teraz szła reklama sklepu sportowego Modeli.

Connor zaczerpnął tchu, schwycił rączkę i pociągnął.

Kłapa odsunęła się, odsłaniając obiecany kwadratowy otwór o boku pięćdziesięciu czterech centymetrów.

Connor wolno opuścił się do środka i zasunął kłapę.

Czuł napierającą ze wszystkich stron stal i żałował, że nie zabrał ze sobą grubych rękawic.

Miał wrażenie, jakby tkwił w środku lodówki.

Jednak z każdą minutą nabierał pewności, że gdyby trzeba było się uciec do zapasowego planu, nikt nigdy by nie odkrył, gdzie jest.

Trwał zawieszony wewnątrz pustej stalowej belki pięćdziesiąt metrów nad ziemią przez ponad półtorej godziny, z najwyższym trudem obracając rękę, by sprawdzić, która godzina.

Ale przecież w Wietnamie spędził kiedyś dziesięć dni, stojąc wyprostowany w bambusowej klatce, w wodzie aż po brodę.

Czegoś takiego, jak podejrzewał, Arnie nigdy nie doświadczył.

XXXIII

Żeriński uściśnął serdecznie dłonie wszystkim, których mu przedstawiono, i nawet zaśmiewał się z żartów Johna Kenta Cooke'a.

Pamiętał nazwiska wszystkich gości na każde zadane pytanie odpowiadał uśmiechem.

Amerykane zwą to ofensywą wdzięku, powiedział mu Titow.

Tym większą zgrozę wzbudzi to, co zaplanował dla nich wieczorem.

Już słyszał, jak goście mówią dziennikarzom:

- Zachowywał się bez troski i z nadzwyczajną swobodą, zwłaszcza w stosunku do prezydenta, o którym ciągle mówił "mój drogi, bliski przyjaciel Tom".

Goście przypomną sobie, że Lawrence nie był tak serdeczny, lecz traktował przybyśza z Rosjidością oziębłą.

Po skończonych prezentacjach John Kent Cooke uderzył łyżką w stół.

-Żałuję, że muszę przerwać tak miłą uroczystość - zaczął - ale czas ucieka, a jest to prawdopodobnie jedyna okazja w moim życiu, kiedy będę pouczał naraz dwóch prezydentów.

- Tu i tam rozległ się śmiech.

Cooke nałożył okulary i zaczął czytać z kartki, podanej przez asystenta prasowego.

- O jedenastej dwadzieścia udam się wraz z oboma prezydentami do południowego wejścia stadionu, a o jedenastej trzydzieści sześć poprowadzę ich na boisko.

- Podniósł głowę.

- Załatwiłem, że owacja będzie głośniejsza - powiedział z uśmiechem.

Rita roześmiała się trochę za głośno.

- Gdy znajdziemy się na środku boiska, przedstawię prezydentom kapitanów obu drużyn, a ci z kolei przedstawią swoich zastępców i trenerów.

Potem zaprezentuję prezydentom organizatorów meczu.

O jedenastej czterdzieści wszyscy zwrócą się w stronę zachodniej trybuny, gdzie orkiestra Czerwonoskórych odegra rosyjski hymn narodowy, a po krótkiej przerwie "Gwiazdzisty sztandar".

Punktualnie o jedenastej czterdzieści osiem nasz czcigodny gość prezydent Żeriński rzuci srebrnego dolara.

Potem razem z obydwoi madzientelmenami powrócę tutaj, gdzie - jak mam nadzieję - wszyscy z przyjemnością będą patrzeć, jak Czerwonoskórzy biją Pakowaczy.

Prezydenci roześmiali się.

Cooke podniósł oczy znad kartki, szczęśliwy, że połowa ciężkich obowiązków zanim.

- Czy są jakieś pytania?

- zapytał.

- Tak, John, ja mam pytanie - odezwał się Żeriński.

- Niewytłumaczyłeś, po co mam rzucić monetę.

- Żeby kapitan, który zgadnie, czy orzeł, czy reszka, mógł zdecydować, kto rozpoczyna grę.

- Co zaśmieszny pomysł - skwitował Żeriński.

Upływały minuty i Connor coraz częściej spoglądał na zegarek.

Nie chciał tu tkwić dłużej niż było konieczne, ale potrzebował czasu, żeby się oswoić z karabinem, którego nie używał od lat.

Znowu sprawdził, która godzina.

Dziesięć po jedenastej.

Odczeka jeszcze siedem minut.

Choćby się niecierpliwił, nigdy nie wyrzuci się za wcześnie - to tylko zwiększa ryzyko.

Dwanaście po jedenastej.

Pomyślał o Chrisie Jacksonie i o tym, jak się poświęcił, żeby mu dać tę jedyną szansę.

Czternaście po jedenastej.

Pomyślał o Joan i okrutnej, niepotrzebnej śmierci, którą zarządził Gutenberg, tylko dlatego, że byłajego sekretarką.

Piętnaście po jedenastej.

Pomyślał o Maggie i Tarze.

Jeżeli mu się powiedzie, to może będą mogły żyć spokojnie.

Tak czy owak, wątpił, czy jeszcze zobaczy.

Siedemnaście po jedenastej.

Odsunął klapę i powoli wypełził nazewnątrz.

Zebrał siły, przerzucił nogi przez wspornik i mocno ścisnął go udami.

Jak przedtem, nie patrzył w dół, pokonując trzynaśc metrów do kładki.

Dotarłszy do celu, schwycił występ poprzeczki i podciągnął się w górę.

Przez kilkasekund wspierał się o poręcz, by ochłonać, poczym wykonał serię ćwiczeń rozluźniających.

Dwadzieścia siedem po jedenastej.

Głęboko odetchnął, po razostatni powtarzając w myślach swój plan, a potem szybko skierował się do stanowiska agenta, przystając tylko, by podnieść pustą puszkę coca coli, którą zostawił na stopniu.

266

Głośno zastukał do drzwi.

Nie czekając na odpowiedź, otworzył je, wszedł do środka i przekrzykując szum wentylatora zawołał:

- Tylko ja!

Arnie wyrzwał z górnego pomostu, palcami prawej ręki dotykając spustu armalite'a.

- Spływaj!

- rzucił.

-Mówiłem, żeby nie wchodzić, póki prezydenci nie zejną z boiska.

Niewiele brakowało, żebym strzelił.

- Przepraszam - rzekł Connor - ale tu jest tak gorąco, że postanowiłem przynieść panu jeszcze jedną coca colę.

Podał w wyciągniętej ręce pustą puszkę, Arnie pochylił się i wyciągnął po nią wolną rękę.

Gdy dotknął palcami brzegu puszkę, Connor ją puścił, schwycił go za przegub i z całą siłą szarpnął do dołu.

Arnie wrzasnął spadając z hukiem i uderzył głową w platformę.

Karabin potoczył się pometalowej podłodze.

Connor okręcił się i skoczył na swego przeciwnika, nim tamten zdążył wstać.

Gdy podniósł głowę, Connor trafił go w prosty w podbródek, co na

moment go oszołomiło, i schwycił kajdanki, które tamten miał u pasa.

Kątem oka dostrzegł kolano, celujące w jego krocze, ale zrobił unik i cios przeszedł bokiem.

Kiedy Arnie usiłował stanąć na nogi, Connor wymierzył mu kolejny cios, tym razem w nos.

Usłyszał trzask i po twarzy Arnie'ego popłynęła krew, nogi się pod nim ugięły i upadł.

Connor znów na niego skoczył, a kiedy Arnie próbował wstać, z taką siłą uderzył go w prawe ramię, że ten padł na platformę i znieruchomiał.

Connor zrzucił długi biały fartuch, koszulę, krawat, spodnie, skarpetki i czapkę.

Cisnął wszystko w kąt, potem odpiął kajdanki Arnie'ego i szybko zdjął z niego mundur.

Włożył go, ale okazało się, że spodnie są kilka centymetrów za krótkie, a buty dwa numery za małe.

Musiał podciągnąć skarpetki i zostać w swoich pantoflach treningowych.

Niesądził, aby w zamęcie, jaki miał spowodować, ktoś sobie przypomniał, że widział agenta Secret Service w nieregulaminowych butach.

Connor wyciągnął krawat z kieszonki i mocno związał kostki Arnie'ego.

Podźwignął nieprzytomnego mężczyznę i oparł go o ścianę, przerzucił jego ręce wokół

stalowej belki, która biegła przez szerokość superekranu, i zatrzęsął na przegubach kajdanki.

Na koniec wyjął chusteczkę z kieszeni, zrolował ją i wepchnął Arnie'emu do ust.

Biedny drań przez kilka dni będzie obolały.

A to, że straci parę zbędnych kilogramów, które wytykał mudowódca, raczej nie ulży mu w cierpieniach.

267.

- Nie bierz tego do siebie - powiedział Connor.
Położył czapkęciemne okulary Arnie'ego koło drzwi i schwycił jego broń - tak jakmyślał, karabinek automatyczny M-16.
Nie była to jego ulubionabroń, ale mógłz jejpomocąwykonać zadanie.
Prędko wszedł poschodach na podestdrugiego piętra, gdzie siedział Arnie, ująłjegalornetkę i przez lukę między tablicą ogłoszeniową i ekranem wideoprzyjrzał się tłumowi.
Za dwadzieściaosiem dwunasta.
Od wejścia Connorado wnętrzaobudowy superekranu minęły trzy minuty i trzydzieści osiem sekund.
Nawalkę przewidział w swoim planie cztery minuty.
Zacząłgłęboko, równo oddychać.
Nagle z tyłu usłyszał:
- Hercules trzy.
Wpierwszejchwili nie wiedział, skąddochodzi głos, ale zaraz sobie przypomniał o małym radiotelefonie u pasa Amie'ego.
Odpiał go.
- Herkules trzy.
Co jest?
- Arnie, myślałem, żeś się gdzieś zawieruszył - powiedział dowódca.
- Wszystko w porządku?
Nopewnie.
Musiałem sięodlać i pomyślałem, że lepiej nie robić tego nad tłumem.
- Słusznie - rzekłBraithwaite wybuchając śmiechem.
- Obserwujswój odcinek.
Niedługo Czerwone Światło i Wodospad wyjdą na boisko.
- Tak jest - powiedział Connor akcentem, zajaki matka by goprześwieciła.
Połączenie zostało przerwane.
Za dwadzieścia sześć dwunasta.
Rozejrzał siępo stadionie.
Tylkokilka czerwonych i żółtych miejsc nie było zajętych.
Starał sięnie patrzećw dół na skąpo odziane Czerwone Skórki, wymachujące wysoko nogami.
Tłum ryknął nawidok drużyn,które wyłoniły się z tuneli na południowym krańcu stadionu.
Zawodnicy pobiegłitruchtem na środek boiska i tłum zaczął skandować:"Niech żyją Czerwonoskórzy".
Connor podniósł do oczu lornetkę i skierowałjąną wieże oświetleniowe, wznoszące się wysoko ponad stadionem.
Prawie wszyscyagenci obserwowali badawczo tłum,sprawdzając, czy gdzieś nie czaisięniebezpieczeństwo.
Żaden z nich nie interesował sięjedynymmiejscem, skąd miałonadciągnąć.
Connor dostrzegłmłodego Brada,który sprawdzał, rząd za rzędem, północną trybunę.
Chłopak miałminę, jakbybył w siódmym niebie.

268

Connor obrócił się spojrzął przez lornetkę na linięśrodkową boiska.

Obydwaj kapitanowie stali teraz naprzeciwko siebie.

Za dwadzieścia cztery dwunasta.

Tłum znów ryknął, gdypojawił się JohnKent Cooke, z dumą wiodący obydwu prezydentów w towarzystwiekilkunastu ochroniarzy, niemal takich dryblasów jak zawodnicy.

Connorowi wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że zarówno Żeriński, jak i Lawrence mają na sobie kamizelki kuloodporne.

Z chęcią wymierzyłby karabin w Żerińskiego i natychmiast ustawił kropki podziałki celownika tak, by znalazły się na jego głowie, ale nie mógł ryzykować, że zostanie dostrzeżony przez któregoś zestrzelców wyborowych na wieżach oświetleniowych.

Wszycy mieli karabiny przyłożone do ramienia.

Wiedział, że wyszkolono ich tak, że potrafili wycelować i wystrzelić w ciągu niespełna trzech sekund.

Kiedy prezydentom przedstawiano graczy, Connor obserwował flagę Czerwonoskórych, łopocącą na wietrze nad zachodnim krańcem stadionu.

Otworzył zamek i stwierdził, że, jak się tego spodziewał, broń ma pełny magazynek, jest odbezpieczona i niezareperowana.

Wprowadził pierwszy nabój do komory i zaryglował zamek.

Tędrzątk podziałka na niego jak huk pistoletu startowego i nagle poczuł, że serce bije mu prawie dwa razy szybciej.

Za dziewiętnaście dwunasta.

Prezydenci rozmawiali teraz z organizatorami meczu.

Connor widział przez lornetkę, jak John Kent Cooke nerwowo spogląda na zegarek.

Pochylił się i coś szepnął doucha Lawrence'owi.

Amerykański prezydent kiwnął głową, dotknął łokciem Żerińskiego i zaprowadził go na wolną przestrzeń między drużynami.

Na trawie widać było dwa małe białe kółka: w jednym narysowano niedźwiedzia, w drugim orła, aby przywódcy wiedzieli, gdzie stanąć.

- Panie i panowie - zahuczał głośnik.

- Zostanie odegrany hymn narodowy Republiki Rosyjskiej.

Proszę wstać.

Rozległ się stukot krzeseł, gdy tłum wstawał z miejsc.

Wielu zdejmowało czapeczki klubowe Czerwonoskórych, zwracając się w stronę orkiestry i chóru na zachodnim krańcu boiska.

Dyrygent wznosił pałeczkę, trzymał ją chwilę nieruchomo i nagle opuścił z rozmachem.

Tłum niespokojnie słuchał melodii, którą znali tylko nieliczni.

Connor już wiele razy przeżył się, gdy grano hymn narodowy Rosji, lecz stwierdził, że mało orkiestr pozakrajem gra we właściwym tempie, bądź wie, ile zwrotek trzeba wykonać.

Postanowił więc spróbować jedynejszansy, kiedy zagrają "Gwiazdzisty sztandar".

Gdy orkiestra skończyła grać hymn rosyjski, zawodnicy zaczęli się przeciągać i truchtać w miejscu, żeby uspokoić nerwy.

Connor czekał na ponowny ruch pałeczki kapelmistrza jak na sygnał, by skierować celownik na Żerińskiego.

Spojrzał na maszt flagowy po drugiej stronie stadionu: chorągiew Czerwonoskórych zwiślała luźno, co dowodziło, że prawie nie ma wiatru.

Kapelmistrz drugi raz podniósł pałeczkę w górę.

Connor umieścił karabin w luce pomiędzy trójkątną tablicą ogłoszeniową i ekranem wideo, opierając go na drewnianej ramie.

Przesunął lunetę celownika po boisku, po czym skierował ją na tył głowy Żerińskiego, ustawiając kropki podziałki do chwili, aż zajęła środek pola widzenia lunety.

Zabrzmiały pierwsze takty hymnu amerykańskiego i obydwaj prezydenci wyraźnie znieruchomieli.

Connor zrobił wydech.

Trzy.

dwa..

jeden.

Delikatnie nacisnął spust w chwili, gdy Tom Lawrence położył prawą rękę na sercu. Zaintrygowany nagłym ruchem Zeriński spojrział w lewo i pocisk przeleciał nie czyniąc mu krzywdy koło prawego ucha.

Siedemdziesiąt osiemtysięcy fałszujących głosów sprawiło, że nikt nie usłyszał miękkiego pacnięcia niewielkiego kawałka metalu, który wpadł w trawę poza środkową linią boiska.

Brad, leżąc na brzuchu na platformie wieży oświetleniowej wysoko nad lożami dyrekcji, bacznie wpatrywał się w tłum przez lornetkę.

Jego wzrok zatrzymał się na "Jumbo-Tronie".

Superekran wypełniała nadnaturalnej wielkości sylwetka prezydenta Lawrence'a z ręką na sercu, z werwą śpiewającego hymn narodowy.

Lornetka ześliznęła się Bradowi.

Nagle poderwał ją do oczu.

Wydało mu się, że coś widzi w luce pomiędzy trójkątną tablicą ogłoszeniową i ekranem wideo.

Sprawdził jeszcze raz.

To była lufa karabinu, wycelowana w środek boiska, stercząca przez lukę, w której wcześniej widział Arnie'ego spoglądającego przez lornetkę.

Naregulował ostrość i spojrział w twarz, którą już dziś widział.

Nie wahał się ani chwili.

- Oślaniaji ewakuuj!

Strzelec!

Brad mówił tak nagłaco i z taką powagą, że Braithwaite i dwaj przeciwnajperzy automatycznie skierowali lornetki na "Jumbo-Tron".

W ciągu kilkusekund nastawili ostrości zobaczyli Connora przymierzającego się do drugiego strzału.

"Spokojnie - mówił sobie Connor.

- Nie spiesz się.

Masz mnóstwo czasu".

- Głowa Zerińskiego wypełniła pole widzenia lunety celownika.

Connor nastawił kropki podziałki i wypuścił powietrze płuc.

Trzy. dwa.

Pocisk wystrzelony przez Braithwaite'a uderzył go w lewe ramię, odrzucając do tyłu.

Drugi pocisk wpadł ze świstem przez lukę, w której przed chwilą tkwiła jego głowa.

Hymn narodowy dobiegł końca.

Dwadzieścia osiem lat wykształcenia przygotowało Connora na ten moment.

Każde włókno jego ciała krzyczało, żeby uciekał.

Natychmiast przystąpił do realizacji planu A, próbując lekceważyć dręczący ból w ramieniu.

Dotarł do drzwi, zgasił światło i wydostał się na kładkę.

Próbował przebiec do następnych drzwi, prowadzących do pasażu, ale stwierdził, że musi zmobilizować całą energię, aby w ogóle się poruszać.

Czterdzieści sekund później, w chwili gdy prezydentów odprowadzano z boiska, dotarł do drzwi.

Usłyszał wrzask tłumu, kiedy Czerwonoskórzy szykowali się do kopnięcia piłki inauguracyjnego meczu.

Connor otworzył drzwi, chwiejnie podszedł do windy kuchennej i parokrotnie dźgnął palcem guzik.

Usłyszał buczenie małego silnika i winda zaczęła pięć się powoli na siódme piętro.

Rzucił spojrzenia w lewo i prawo, badając, czy nie nadciąga niebezpieczeństwo.

Ból w ramieniu nasilił się, ale wiedział, że nic na to nie może poradzić.

Wszelkie organa ścigania sprawdziłyby najpierw miejscowe szpitale.

Wetknął głowę do szybu i zobaczył zbliżający się wierzch windy.

Jeszcze piętnaście sekund.

Nagle winda stanęła.

Ktoś do niej coś wkłada albo wyjmuje na piętrze zarezerwowanym dla dyrekcji.

Connor instynktownie podjął decyzję, by wprowadzić w życie plan rezerwowany, do czego nigdy dotąd nie musiał się uciekać.

Wiedział, że lada chwila przez te drzwi wpadnie oddział specjalny do ochrony prezydenta.

Ruszył z powrotem najszybciej jak mógł do drzwi prowadzących na tył superekranu.

Winda kuchenna ruszyła znowu.

Taca z kanapkami, kawałek tortu czekoladowego i coca cola, na którą czekał Arnie, zjawiała się po kilku sekundach.

Connor znów prześliznął się przez drzwi z napisem "Tylko dla personelu", nie zamykając ich na klucz.

Musiał zmobilizować całą siłę woli, by pokonać odległość sześćdziesięciu metrów, ale wiedział, że lada chwila przez te drzwi wpadnie oddział specjalny do ochrony prezydenta.

Dwadzieścia cztery sekundy później Connor dotarł do masywnego wspornika, na którym wspierał się ekran wideo.

Uchwycił poręcz prawą ręką i opuścił się na występ poniżej w chwili, kiedy drzwi korytarza otworzyły się na oścież.

Wśliznął się pod kładkę i usłyszał biegnące w jego stronę dwie pary nóg; kroki zadudniły mu nad głową i zatrzymały się przed wejściem na tyły konstrukcji superekranu.

Przez szparę widział, jak oficer z pistoletem w ręku pchnął drzwi.

Nie wchodząc do środka, po omacku szukał kontaktu.

Connor odczekał, aż zapali się światło i dwaj oficerowie zniknęli za drzwiami, i dopiero wtedy zaczął się czołgać po trzynastometrowym wsporniku trzeci raz tego dnia.

Ale teraz mógł się trzymać tylko prawą ręką, co znacznie zwalniało tempo.

Musiał też uważać, żeby krew kapiąc z lewego ramienia spadała w otchłań pod nim, nie zostawiając widocznych śladów na wsporniku.

Oczom pierwszego agenta Secret Service, gdy wszedł do środka, najpierw ukazał się Arnie przypięty kajdankami do stalowej belki.

Zbliżył się powoli do niego, rozglądając się na wszystkie strony.

Jego partner osłaniał go, kiedy zdejmował Arnie'emu kajdanki, delikatnie opuszczał go na podłogę, wyjmował mu z ust chusteczkę i badał puls.

Nie ulegało wątpliwości, że Arnie żyje.

Arnie podniósł oczy na sufit, ale nic nie mówił.

Pierwszy agent natychmiast zaczął wchodzić po stopniach na drugi poziom, jego towarzysz zaś go osłaniał.

Pierwszy ostrożnie sunął po występie za olbrzymim ekranem.

Przez stadion przetoczył się ogłuszający ryk tłumu, witający przyłożenie zaliczone przez Czerwonoskórych, ale agent nie zwracał na to uwagi.

Gdy doszedł do końca, odwrócił się i skinął głową.

Drugi zaczął się wspinać na najwyższy poziom, gdzie przeprowadził podobne rozpoznanie.

Obydwaj oficerowie wrócili na niższy poziom, dwukrotnie sprawdzając każdą możliwą kryjówkę, kiedy przemówił radiotelefon pierwszego:

- Hercules siedem.

- Hercules siedem, słucham.

- Znaleźliście kogoś? - spytał Braithwaite.

- Nie ma tu nikogo oprócz Arnie'ego, który w bieliźnie był przypięty kajdankami do stalowej belki.

Jedne idrugie drzwi były otwarte, i przez całą drogę aż do pasażu widać ślady krwi, tak że na pewno go pan trafił.

Musi tu gdzieś być.

Ma na sobie mundur Arnie'ego, więc łatwo wpadnie w oczy.

- Nie liczcie na to - rzekł Braithwaite.

- Jeżeli to ten, którego mam na myśli, to może być tuż pod waszym nosem;

XXXIV

W Pokoju Ovalnym trzej mężczyźni słuchali nagrania z taśmy magnetofonowej.

Dwaj byli w strojach wieczorowych, trzeci w mundurze.

- Jakto znalazłeś?

- spytał Lawrence.

- W kupce odzieży, którą Fitzgerald zostawił na pomoście za superekranem - odparł dowódca ochrony prezydenta, Braithwaite.

- W tylnej kieszeni dżinsów.

- Ile osób słuchało taśmy?

- spytał Lloyd, starając się ukryć niepokój.

- Nikt poza nami trzema w tym pokoju, panie prezydencie - rzekł Braithwaite.

- Gdy tylko ją włączyłem, natychmiast tu się zgłosiłem.

Nie poinformowałem nawet mojego szefa.

- Jestem ci za to wdzięczny, Bili - powiedział prezydent.

- Ale co z tymi, którzy byli świadkami incydentu na stadionie?

- Oprócz mnie tylko pięciu ludzi wiedziało, że coś się dzieje, i może pan być pewien ich dyskrecji.

Czterech należy do mojego personelu od dziesięciu lub więcej lat i do spółki znają tyle sekretów, że mogliby pogrążyć czterech ostatnich prezydentów, nie mówiąc o połowie Kongresu.

- Czy ktoś widział Fitzgeralda?

- spytał Lloyd.

- Nie, proszę pana.

Dwaj agenci, którzy przeszukiwali miejsce tuż po incydencie, nie natknęli się na żaden ślad z wyjątkiem kupki odzieży, mnóstwa krwi i jednego z moich ludzi, przykutego kajdankami do belki.

Po przesłuchaniu taśmy rozkazałem, żeby niesporządzano ani pisemnego, ani ustnego raportu o incydencie.

- A co z człowiekiem, który wisiał na belce?

- spytał prezydent.

- Po prostu się pośliznął i spadł ze stopnia.

Wystałem go na miesiąc na chorobowe.

- Wspomniał pan piątą osobę - rzekł Lloyd.

- Tak, proszę pana.

Student, który był z nami na wieży oświetleniowej.

- Skąd może być pan pewien, że nie będzie mówił?

- Jego podanie o przyjęcie do Secret Service leży w tej chwili na moim biurku - odparł kapitan.

- Myślę, że ma nadzieję, że zostanie przydzielony do mnie, jak tylko skończy szkolenie.

Prezydent się uśmiechnął.

- A pocisk? - spytał.

- Przekopałem kawał boiska, żeby go wydobyć po meczu - rzekł Braithwaite podając prezydentowi spłaszczony kawałek metalu.

Lawrence wstał z biurka, odwrócił się i wyjrzał przez okno w wykuszu.

Nad Kapitołem zapadał zmierzch.

Objął wzrokiem trawnik, myśląc o tym, co ma powiedzieć.

- Ważne, Bili, żebyś wiedział jedno -przemówił w końcu.

- Ten głos na taśmie rzeczywiście brzmi jak mój, ale ja nigdy nikomu nie epodsuwałem myśli, żeby zabić Żerińskiego czy kogoś innego.

- Panie prezydencie, nie mam co do tego wątpliwości, w przeciwnym wypadku nie byłoby mnie tutaj.

Ale muszę być z panem równie szczerzy.

Gdyby ktoś z Secret Service zdawał sobie sprawę, że to Fitzgerald jest tam w środku, prawdopodobnie pomógłby mu uciec.

- Jaki człowiek może budzić taką lojalność?

- spytał Lawrence.

- W pańskim świecie chyba Abraham Lincoln – rzekł Braithwaite.

- W naszym Connor Fitzgerald.

- Chciałbym go spotkać.

-To będzie trudne, panie prezydencie.

Nawet jeżeli jeszcze żyje, to jakby zapadł się pod ziemię.

Nie chciałbym, aby moja kariera zależała od tego, czy go aresztuję.

- Panie prezydencie- przerwał Lloyd.

- Jestpan już spóźniony siedem minut na obiad w ambasadzie rosyjskiej.

Lawrence uśmiechnął się i uściśnął rękę Braithwaite'owi.

- Jeszcze jeden szlachetny człowiek, o którym nie mogę powiedzieć Amerykanom - rzekł z kwaśnym uśmiechem.

- Przypuszczam, Bili, że dziś wieczorem też będziesz na służbie.

- Tak, panie prezydencie.

Zostałem odkomenderowany do ubezpieczania całej wizyty prezydenta Żerińskiego.

- Więc może zobaczę cię później. Bili.

Gdybyś miał jakąś wiadomość o Fitzgeraldzie, chciałbym ją natychmiast usłyszeć.

- Oczywiście, panie prezydencie - rzekł Braithwaite, odwracając się, by odejść.

Lawrence i Lloyd powędrowali w milczeniu do południowego wejścia, gdzie stało w szeregudziewięćlimuzyn z zapalonymi silnikami.

Prezydentwsiadłdo szóstego samochodu i zwrócił się do szefapersonelu:

- Jak myślisz, Andy, gdzie on jest?

-Nie mam pojęcia.

Ale gdybym wiedział, prawdopodobnie zaciągnąłbym się do oddziału Braithwaite'ai pomógłbym mu uciec.

- Dlaczego nie możemy mieć kogoś takiego na stanowisku dyrektoraCIA?

-Moglibyśmy mieć, gdyby żył Jackson.

Lawrence odwrócił się i spojrział w okno.

Coś mu nie dawało spokoju od chwili, kiedy opuścił stadion, ale gdy eskorta motocykli wjeżdżała w bramę ambasady rosyjskiej, wciąż nie mógł sobie uprzytomnić, co to było.

- Dlaczego on jest taki zły?

- spytał Lawrence na widok Żerińskiego, który chodził tam iz powrotem przedambasadą.

- Panie prezydencie, jest pan spóźniony siedemnaście minut-powiedział Lloyd spójrzawszy na zegarek.

-Wielkie rzeczy.

Szczerze mówiąc, ten przekłety facet ma szczęście, że żyje.

- Myślę, że nie może pan wykorzystać tego jako usprawiedliwienia.

Kawalkada zahamowała przed rosyjskim prezydentem.

Lawrenc wysiadł z samochodu i powiedział:

- Witaj, Wiktorze.

Przepraszam, że parę minut się spóźniliśmy.

Żeriński nie próbował ukryć niezadowolenia.

Po chłodnym przywitaniu, milcząc, wprowadził honorowego gościa do ambasady, a potem schodami do pełnego ludzi Zielonego Pokoju.

Potem podbył pretekstem odszedł, porzucając prezydenta Stanów Zjednoczonych na pastwę ambasadora Egiptu.

Lawrence omiatał wzrokiem pokój, tymczasem ambasador usiłował zainteresować go wystawą egipskich wytworów kultury materialnej, którą niedawno otwarto w Smithsonian Institution.

- Tak, spróbuję znaleźć okienko w moim programie, aby ją zobaczyć - powiedział automatycznie prezydent.

- Wszyscy, którzy naniej byli, mówią, że jest wspaniała.

- Ambasador się ropromienił, Lawrence zaś dostrzegł człowieka, którego szukał.

Zamienił jeszcze kilka słów z trzema ambasadorami, dwiema żonami ambasadorów i korespondentem politycznym "Prawdy", zanim dotarł wreszcie do Harry'ego Nourse'a bez wzbudzania podejrzeń.

- Dobry wieczór, panie prezydencie - przywitał go prokurator generalny.

- Musi pan być zadowolony z wyniku dzisiejszego meczu.

- Jasne, Harry - powiedział prezydent.

- Ciągle powtarzam, że Pakowacze wszędzie i zawsze potrafią pokonać Czerwonoskórych.

- Zniżył głos: - Chciałbym, żebyś przyszedł do mojego biura o północy.

Potrzebuję porady prawnej.

- Oczywiście, panie prezydencie - odparł cicho prokurator generalny.

- Rito - powiedział prezydent, zwracając się na prawo.

- Byłoby bardzo miło spędzić razem popołudnie.

Pani Cooke odpowiedziała prezydentowi uśmiechem.

W tym momencie w głębi zabrzmiał gong i lokaj ogłosił, że podano do stołu.

Gwar rozmów przycichł i goście skierowali się do sali balowej.

Lawrence'a posadzono między panią Pietrowską, żoną ambasadora, i Jurijem Olgiwiczem, nowo mianowanym szefem rosyjskiego przedstawicielstwa handlowego.

Prezydent wkrótce odkrył, że Olgiwicz nie zna słowa po angielsku - następna subtelna aluzja ze strony Żerińskiego o jego stosunku do zwiększenia wymiany handlowej między obu krajami.

- Musi pan być zadowolony z wyniku dzisiejszego meczu - powiedziała żona rosyjskiego ambasadora, gdy przed prezydentem stawiano miskę barszczu.

- Oczywiście, Olgo - rzekł Lawrence.

- Ale wątpię, czy większość publiczności była w tej sprawie po mojej stronie.

Pani Pietrowską się zaśmiała.

- Czy orientowałaś się w przebiegu meczu?

- spytał prezydent, ujmując łyżkę.

- Niezupełnie - odparła.

- Ale na szczęście siedziałam koło Puga Washera, który chętnie odpowiadał na moje nawet najprostsze pytania.

Prezydent upuścił łyżkę, nie nabrawszy zupy.

Popatrzył na drugą stronę sali na Lloyda i oparł podbródek na pięści.

Był to znak, którego używał, kiedy chciał pilnie rozmawiać z szefem personelu Białego Domu.

Lloyd wybąkał kilka słów usprawiedliwienia do swej sąsiadki z prawej, zwinął serwetkę i położył na stole, po czym podszedł do prezydenta.

- Chcę się natychmiast zobaczyć z Braithwaite'em - szepnął Lawrence.

- Chyba wiem, jak znaleźć Fitzgeralda.
Lloyd bez słowa wymknął się z sali.

Tymczasem kelner sprzątnął miskę z barszczem stojącą przed prezydentem.
Lawrence usiłował się skupić na tym, co mówi jego sąsiadka, ale myślał tylko o Fitzgeraldzie.

Chyba coś o tym, jak będzie tęsknić do Stanów Zjednoczonych, gdy jej mąż przestanie być ambasadorem.

- A kiedy to będzie?

- zagadnął, bynajmniej nie ciekaw odpowiedzi.
- Mniej więcej za półtora roku - odparła.

Przed prezydentem postawiono talerz z wołowiną na zimno.
Nadal rozmawiał, podczas gdy jeden kelner podał mu jarzyny, a chwilę drugi przyniósł ziemniaki.

Wziął do ręki nóż i widelec w chwili, gdy Lloyd wrócił dosali.
Za moment znalazł się przy prezydencie.

- Braithwaite czeka w "Bryce".
- Mam nadzieję, że nic się nie stało - powiedziała pani Pietrowską, gdy Lawrence zaczął składać serwetkę.
- Nic takiego, Olgo - zapewnił ją Lawrence.

- Nie mogą znaleźć mojego przemówienia.
Ale ja wiem, gdzie je wetknąłem.

- Wstąpił, a gdy wychodził, Lloyd szedł za nim krok w krok.
Lawrence opuścił salę balową, zszedł na dół drewnianymi schodami do drzwi wejściowych, zbiegł po stopniach i usiadł w trzecim samochodzie.

Lloyd i szofer stanęli przy limuzynie, którą otoczyło kilkunastu agentów Secret Service, bacznie rozglądających się na wszystkie strony.

- Bili, jest człowiek, który będzie wiedział, gdzie ukrywa się Fitzgerald, jeżeli znajduje się jeszcze na stadionie.

Odszukaj Puga Washera, to znajdziesz Fitzgeralda.
Kilka chwil później prezydent otworzył drzwiczki samochodu.

- W porządku, Andy - powiedział.

- Wracajmy, zanim oni odkryją, co szykujemy.
- A co szykujemy?

- spytał Lloyd, doganiając prezydenta na schodach.
- Później ci powiem - rzucił prezydent, wkraczając do sali balowej.
- Ale panie prezydencie - rzekł Lloyd.

- Będzie pan jeszcze potrzebował.
- Nie teraz - powiedział Lawrence, siadając koło żony ambasadora z przepaszającym uśmiechem.
- Znalazł pan? - zapytała.

- Co takiego?
- Pańskie przemówienie - powiedziała pani Pietrowska.

Lloyd w tym momencie położył na stole między nimi tekturową teczkę.
- Oczywiście - przytaknął Lawrence i klepnął teczkę.

- Przy okazji, Olgo, co słyhać u córki?
Ma na imię Natasza, prawda?
Czy nadal studiuje malarstwo Fra Angelico we Florencji?

- Ujął nóż i widelec.

Prezydent spojrział w stronę Żerińskiego, tymczasem wyrosli przy nim kelnerzy i sprzątnęli talerze.

Odłożył nóż i widelec, zadowalając się kromką czerstwego chleba z bryłką masła i dowiadując się, jak się wiedzie Nataszy Pietrowskiej na pierwszym roku studiów we Florencji.

Zauważył, że rosyjski prezydent staje się coraz bardziej niespokojny, wręcz zdenerwowany, wmiarę, jak zbliża się pora jego przemówienia.

Z miejsca założył, że Żeriński szykuje kolejną bombę.

Ta myśl odebrała mu apetyt na malinowy suflet.

Gdy Żeriński w końcu przemówił do gości, Nawe tnajgorliwsi wielbiciele musieliby uznać jego wystąpienie za co najwyżej przeciętne.

Ci, którzy byli najbliżej, dziwili się, dlaczego zwraca się tak często do masywnej figury Lenina, stojącej na galerii nad salą balową.

Lawrence pomyślał, że to chyba nowy nabytek, gdyż mógłby przysiąc, że jej tu nie było podczas pożegnalnego obiadu Borysa.

Czekał, kiedy Żeriński powtórzy swoje przesłanie do Kongresu, ale tak się nie stało. Ku zadowoleniu Lawrence'a ściśle się trzymał nijakiego tekstu, nadesłanego po południu do Białego Domu.

Lawrence rzucił okiem na swoje przemówienie, które powinien był przejrzeć razem z Andym w samochodzie.

Szef personelu Białego Domu nakreślił kilka sugestii na marginesach, ale na siedmiu stronach nie było ani jednego dowcipnego zdania, ani jednego fragmentu godnego zapamiętania.

Ale Andy też miał ciężki dzień.

- Na zakończenie chciałbym podziękować Amerykanom za ich gościnność i serdeczne przyjęcie, z jakimi spotykałem się wszędzie podczas mojej wizyty w waszym wielkim kraju, a zwłaszcza ze strony prezydenta Toma Lawrence'a.

Oklaski, które powitały to zdanie, były tak gromkie i długotrwałe, że Lawrence podniósł wzrok znad notatek.

Żeriński stał nieruchomo i wpatrywał się w figurę Lenina.

Dopiero gdy ustały brawa, usiadł.

Wcale nie wyglądała zadowolonego, co zdziwiło Lawrence, bo w jego opinii mowa została przyjęta o wiele gorzej, niż nato zasługiwała.

Lawrence wstał, by odpowiedzieć.

Jego przemówienie przyjęto z grzecznym zainteresowaniem, ale bez entuzjazmu.

- Miejmy nadzieję Wiktorze - powiedział na zakończenie- że to pierwsza z wielu twoich wizyt w Stanach Zjednoczonych.

W imieniu wszystkich gości życzę ci bezpiecznego powrotu do domu w dniu jutrzejszym.

Lawrence uświadomił sobie, że dwa kłamstwa w jednym zdaniu to za dużo, nawet jak na polityka, i żałował, że nie przeczytał wcześniej tego zdania.

Usiadł nagrodzony pełnymi szacunku oklaskami, bladymi w porównaniu z owacją, jaką dostał Żeriński za równie marne wystąpienie.

Gdy podano kawę, Żeriński podniósł się z miejsca i podszedł do dwuskrzydłowych drzwi po drugiej stronie sali.

Niebawem zaczął życzyć gościom dobrej nocy donośnym głosem, wyraźnie dając do zrozumienia, że chce, by wszyscy jak najszybciej sobie poszli.

Kiedy kilka zegarów w ambasadzie wybiło dziesiątą, Lawrence wstał i powoli ruszył w stronę gospodarza.

Ale, niczym Cezara na Kapitolu, nieustannie go zatrzymywali różni obywatele, pragnąc dotknąć skraju szat imperatora.

Gdy wreszcie dobiegł do drzwi, Żeriński lekko mu się skłonił, po czym razem z nim zszedł po schodach na pierwsze piętro.

Żeriński nic nie mówił, więc Lawrence miał okazję przyjrzeć się stojącej na pierwszym podeście figurze Chrystusa Ukrzyżowanego dłuta Nieizwiastnego.

Dziwił się, że Jezus przetrwał, skoro wrócił Lenin.

U dołu kamiennych stopni odwrócił się, by pomachać gospodarzowi, ale Żeriński znikł już w ambasadzie.

Gdyby zadał sobie trud i odprowadził Lawrence'a za drzwi, ujrzałby czekającego na niego w samochodzie dowódcę ochrony prezydenta.

Braithwaite nic nie mówił, póki nie zamknięto drzwiczek limuzyny.

- Miał pan rację, panie prezydencie.

Pierwszą osobą, którą ujrzał Żeriński, gdy wracał odprowadziwszy Lawrence'a, był ambasador.

Jego ekscelencja uśmiechnął się wyczekująco.

- Czy Romanow jest w budynku?

- ryknął Żeriński, niezdolny dłużej tłumić gniewu.

- Tak, panie prezydencie - rzekł ambasador biegnąc za swoim przywódcą.

- On jest.

- Natychmiast go wezwać!

- Gdzie pana znajdę?

- Tam, gdzie był pański gabinet.

Ambasador pomknął w przeciwną stronę.

Żeriński pomaszerował długim, marmurowym korytarzem i prawie nie zwalniając pchnął drzwi gabinetu ambasadora, jakby to był worek treningowy.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, był leżący na biurku karabin.

Usiadł na wielkim, obciążonym skórą krześle, zwykle zajmowanym przez ambasadora.

Niecierpliwie czekając, wziął do ręki karabin i zaczął mu się przyglądać.

Zajrzał do lufy i zobaczył, że pojedynczy nabój jest na miejscu.

Przyłożył broń do ramienia i czując, jak idealnie jest wyważona, zrozumiał, dlaczego Fitzgerald gotów był lecieć przez pół Ameryki po bliźniaczy egzemplarz.

W tym momencie zauważył, że iglica została umieszczona z powrotem.

Żeriński usłyszał dwóch mężczyzn biegnących korytarzem.

Nim dotarli do gabinetu, położył sobie karabin na kolanach.

Wpadli do środka.

Żeriński bezceremonialnie wskazał im dwa miejsca po drugiej stronie biurka.

- Gdzie się podział Fitzgerald?

- spytał Romanowa, zanim ten usiadł.

- Zapewniał mnie pan w tym pokoju, że stawi się tutaj o czwartej po południu.

Chełpił się pan, że wszystko się uda, że zgodził się na pański plan.

To pana własne słowa!

- Panie prezydencie, tak uzgodniliśmy, kiedy rozmawiałem z nim zaraz po północy.

- Więc co się wydarzyło między północą i czwartą po południu?

- Kiedy moi ludzie jechali z nim do miasta dziś rano, kierowca musiał się zatrzymać przed światłami.

W pewnej chwili Fitzgerald wyskoczył z samochodu, przebiegł na drugą stronę jezdni i wszedł do przejeżdżającej taksówki.

Ścigaliśmy ją przez całą drogę na lotnisko, a gdy wreszcie dogoniliśmy przed dworcem lotniczym, okazało się, że Fitzgeraldaw niej nie ma.

- Prawda jest taka, że pozwoliliście mu zwać - rzekł Żeriński.

- Czy nie tak?

Romanow zwiesił głowę i milczał.

Prezydent zniżył głos do szepta.

- O ile mi wiadomo - powiedział, zatraskując zamek – kodeks mafii przewiduje karę dla tych, którzy nie wywiązali się z kontraktu.

Romanowze zgrozą wpatrywał się w Żerińskiego, który wymierzył karabin w jego pierś.

- Tak czy nie?

- cicho spytał Żeriński.

Romanow kiwnął głową.

Żeriński uśmiechnął się do człowieka, który zgodził się z wyrokiem własnego sądu i delikatnie nacisnął spust.

Pocisk z zaokrągloną częścią denną uderzył Romanowa w pierś około dwa i pół centymetra poniżej serca.

Siła uderzenia rzuciła jego gibkie ciało o ścianę, gdzie tkwiło przez parę sekund, poczym ześliznęło się na dywan.

Strzępy mięśni odłamki kości rozprysły się na wszystkie strony.

Ściany, dywan, frak ambasadora, biała plisowana koszula - zostały obryzgane krwią.

Żeriński obrócił się powoli ku swojemu byłemu posłowi w Waszyngtonie.

- Nie, nie!

- krzyknął Pietrowski i upadł na kolana.

-Ja rezygnuję!

Rezygnuję!

Żeriński ponownie nacisnął spust.

Kiedy usłyszał trzask, przypomniał sobie, że w komorze był tylko jeden nabój.

Wstał z krzesła

z rozczarowaną miną.

-Musi pan oddać ten frak do pralni - powiedział, jakby ambasador poplamiał sobie rękaw jajkiem.

Odłożył karabin naburko.

-Przyjmuję pańską rezygnację.

Ale zanim pan złoży urząd, proszę dopilnować, żeby ciało Romanowa jakoś połatano i wysłano do Sankt Petersburga.

- Ruszył do drzwi.

-Niech pan się pośpieszy – chcę tam być, kiedy będzie chowany razem z ojcem.

Pietrowski, wciąż na kolanach, nie odpowiedział.

Było mu niedobrze i bał się otworzyć usta.

Przy drzwiach Żeriński odwrócił się do skulonego dyplomaty.

- Zważywszy na okoliczności, byłoby rozsądnie wysłać ciało pocztą dyplomatyczną.

xxxv

Gdy Żeriński wchodził po schodkach do Iljuszyna, padał gęsty śnieg, tworząc dookoła gęsty, biały dywan.

Tom Lawrence stał na płycie lotniska w długiej, czarnej pelerynie.

Adiutant trzymał nad jego głową wielki parasol.

Żeriński zniknął w drzwiach nawet się nie odwracając, aby uczynić tradycyjny pożegnalny gest na użytek fotoreporterów.

Widać niedocierało do niego, że to czas życzliwości dla wszystkich ludzi.

Departament Stanu wydał już komunikat.

Mówił ogólnikowo o sukcesie czterodniowej wizyty nowego rosyjskiego prezydenta, o ważnych krokach podjętych przez obydwa kraje i nadziei na dalszą współpracę w przyszłości.

"Pożyteczna i konstruktywna" – na takie określenia zdecydował się Larry Harrington przed poranną konferencją prasową, a potem dorzucił jeszcze "krok do przodu". Dziennikarze, którzy właśnie obejrzeliby odjazd Zerińskiego, przetłumaczą słowa Harringtona na: "nieużyteczna i niekonstruktywna i bez wątplenia krok wstecz".

Tuż po zatrzaśnięciu szarych drzwi Iljuszyn wyrwał do przodu, jakby, niczym jego pan, nie mógł się doczekać, kiedy ruszy w drogę.

Lawrence pierwszy odwrócił się tyłem do samolotu, który ciężko się potoczył na pas startowy.

Szybko podszedł do czekającego śmigłowca, gdzie zastał Andy'ego Lloyda ze słuchawką telefonu przy uchu.

Gdy łopatkami wirnika zaczęły się obracać, Lloyd prędko zakończył rozmowę, a kiedy "Marinę One" uniósł się w górę, Lloyd przechylił się i poinformował prezydenta o wyniku nagłej operacji, którą przeprowadzono tego dnia o świcie w szpitalu Waltera Reeda.

Lawrence skinął głową, gdy Lloyd przedstawił mu w zarysie postępowanie, zalecane przez agenta Braithwaite'a.

- Zatelefonuję osobiście do pani Fitzgerald - powiedział.

Resztę krótkiej podróży prezydent i Lloyd poświęcili na przygotowanie dospotkania, które ich czekało.

Prezydencki śmigłowiec wylądował na południowym trawniku i żaden z nich nie odezwał się słowem w drodze do Białego Domu.

Sekretarka Lawrence'a niespokojnie czekała u drzwi Pokoju Owального.

- Dzień dobry, Ruth - powiedział prezydent trzeci raz w tym dniu.

Oboje byli na nogach większą część nocy.

O północy zjawił się bez zapowiedzi prokurator generalny i oznajmił Ruth Preston, że został wezwany na spotkanie z prezydentem.

Tego nie było w kalendarzu.

O drugiej w nocy prezydent, Lloyd i prokurator generalny pojechali do szpitala Waltera Reeda - ale znów w kalendarzu prezydenckim nie było wzmianki o wizycie ani nazwiska pacjenta, którego mieli odwiedzić.

Wrócili po godzinie siedzieli jeszcze półtorej godziny w Pokoju Owalnym.

Prezydent wydał polecenie, aby im nie przeszkadzać.

Kiedy Ruth przysłała dziś rano dziesięć po ósmej do Białego Domu, prezydent był już w drodze do bazy lotniczej Andrews, by dopełnić oficjalnych obowiązków związanych z zakończeniem wizyty Zerińskiego.

Ruth wątpiła, czy jej szef w ogóle kładł się spać tej nocy, choć miał na sobie inny garnitur, koszulę i krawat niż wtedy, kiedy ostatnio go widziała.

- Ruth, co mamy teraz?

- zapytał, choć dobrze wiedział.

- Interesanci wyznaczeni na dziesiątą czekają od czterdziestu minut.

- Naprawdę?

Więc przyślij ich tutaj.

Prezydent wkroczył do Pokoju Owального, otworzył szufladę biurka i wyjął dwa arkusze papieru i kasetę magnetofonową.

Położył kartki na bibularzu przed sobą i wsunął kasetę do magnetofonu nabiurku.

Do pokoju wkroczył Andy Lloyd z dwiema teczkami pod pachą.

Zajął swoje zwykłe miejsce obok prezydenta.

- Czy masz oświadczenie?

- spytał Lawrence.

- Tak, panie prezydencie - odparł Lloyd.

Rozległo się pukanie do drzwi.
Ruth otworzyła je i zaanonsowała:
- Dyrektorka CIA i jej zastępca.
- Dzień dobry, panie prezydencie - powiedziała żywo Helen Dexter wchodząc do Pokoju Owalnego wraz z zastępcą, który postępował o krok za nią.
Ona też miała pod pachą teczkę.
Lawrence odpowiedział na powitanie.
- Ucieszy pana wiadomość - mówiła dalej Dexter, zajmując jedno z dwu krzeseł naprzeciwko prezydenta - że udało mi się uporać z problemem, który, jak się baliśmy, mógł wystąpić podczas wizyty rosyjskiego prezydenta.
W istocie mamy wszelkie powody, by sądzić, iż rzeczona osoba nie stanowi już zagrożenia dla tego kraju.
- Czy możliwe, że jest to ta sama osoba, z którą uciałem sobie pogawędkę kilka tygodni temu?
- spytał Lawrence i rozparł się wygodnie.
- Chyba pana nie rozumiem, panie prezydencie - rzekła Dexter.
- Więc pozwolę sobie panią oświecić - oznajmił Lawrence.
Pochylił się do przodu i wcisnął guzik magnetofonu na biurku.
- Pomyślałem, że powinienem do pana zatelefonować i powiedzieć, że uważam tę misję za bardzo ważną.
Gdyż nie wątpię, że jest pan właściwym człowiekiem, żeby ją spełnić.
I mam nadzieję, że zgodzi się pan jej podjąć.
- Panie prezydencie, cenię sobie pańskie zaufanie, i jestem wdzięczny, że znalazł pan czas, żeby do mnie osobiście zatelefonować.
Lawrence zatrzymał magnetofon.
- Niewątpliwie potrafi pani w prosty sposób wytłumaczyć, jaki dlaczego doszło do tej rozmowy - powiedział.
- Nie jestem pewna, panie prezydencie, czy pana rozumiem.
Agencja nie jest wtajemniczona w pańskie osobiste rozmowy telefoniczne.
- To może, ale nie musi być prawda - rzekł prezydent.
- Ale ta rozmowa nie wyszła z tego gabinetu.
- Oskarża pan Agencję o.
- O nic nie oskarżam Agencji.
Oskarżenie jest wymierzone w panią osobiście.
- Panie prezydencie, jeżeli to ma być żart.
- Czy wyglądam na osobę, która żartuje?
- spytał prezydent i znów włączył magnetofon.
- Uważałem, że to najmniejsze, co mogę zrobić w tej sytuacji.
- Dziękuję, panie prezydencie.
Wprawdzie pan Gutenberg zapewnił mnie o pańskim zaangażowaniu i sama pani dyrektor, jak pan wie, dzwoniła dziś po południu, aby to potwierdzić, jednak nadal nie czułem się zdolny podjąć się tego zadania, póki nie byłem pewien, że to pański rozkaz.
Prezydent znowu się pochylił i zatrzymał magnetofon.
- Jest tego więcej, jeżeli chce pani posłuchać.
- Mogę pana zapewnić - powiedziała Dexter - że operacja, o której wspomina Fitzgerald, była tylko rutynowym zadaniem.
- Mam uwierzyć, że CIA obecnie uważa zabójstwo rosyjskiego prezydenta za rutynowe zadanie?
- powiedział z niedowierzaniem Lawrence.
- Nigdy nie chcieliśmy zabić Żerińskiego - ostro zaprotestowała Dexter.

- Tylko powiesić za to niewinnego człowieka- odparował prezydent.

Po długim milczeniu dodał: - i w ten sposób usunąć wszelkie dowody, że to pani kazała zabić Ricarda Guzmana w Kolumbii.

- Panie prezydencie, mogę pana zapewnić, że CIA nie miała nic wspólnego z.

- Connor Fitzgerald powiedział nam coś przeciwnego dziś wcześniej rano- oświadczył Lawrence.

Dexter milczała.

- Może zechce pani przeczytać zaprzysiężone oświadczenie, które podpisał w obecności prokuratora generalnego.

Andy Lloyd otworzył jedną ze swych teczek i podał Dexter i Gutenbergowi oświadczenie podpisane przez Connora Fitzgeralda i potwierdzone przez prokuratora generalnego.

Kiedy oboje zaczęli czytać oświadczenie, prezydent zauważył, że Gutenberg lekko się spocił.

- Za radą prokuratora generalnego upoważniłem Secret Service, żeby aresztowano was oboje pod zarzutem zdrady stanu.

Jeżeli zostacie uznani za winnych, kara może być tylko jedna.

Dexter nie odzywała się.

Jej zastępcę wyraźnie się trząsał.

Lawrence zwrócił się do niego.

- Oczywiście, Nick, jest możliwe, że nie zdawałeś sobie sprawy, iż dyrektorka nie dysponowała wystarczającymi uprawnieniami, aby wydać taki rozkaz.

- Jak najbardziej, panie prezydencie – wybuchnął Gutenberg.

-W rzeczywistości wprowadziła mnie w błąd, że polecenie zabicia Guzmana wyszło bezpośrednio z Białego Domu.

- Tak myślałem, Nick - rzekł prezydent.

- Prokurator generalny sugerował, że gdybyś podpisał ten dokument - podsunął mu kartkę papieru - to kara śmierci mogłaby być zamieniona na dożywocie.

- Cokolwiek to jest, niech pan tego nie podpisuje!

- rozkazała

Dexter.

Gutenberg zignorowała ją.

Wyjął z kieszeni pióro i podpisał się

międzydwoma zaznaczonymi ołówkiem krzyżykami pod jednozdaniową rezygnacją z stanowiska wicedyrektora CIA, z ważnością oddziwiającej rano tego dnia.

Dexter obrzuciła go spojrzeniem pełnym nieskrywanej pogardy.

- Gdyby pan odmówił, oni nie ośmieliliby się posunąć dalej.

Mężczyźni są tacy tchórzliwi.

- Obróciła się do prezydenta, który podsunął jej kartkę z jej własną rezygnacją ze stanowiska dyrektorki CIA, również z ważnością od dziewiątej rano tego dnia.

Podniosła wzrokna Lawrence'a i wzywająco rzuciła:

- Niczego nie podpiszę, panie prezydencie.

Powinien pan już dotej pory zrozumieć, że mnie nie tak łatwo nastraszyć.

- Cóż, Helen, jeżeli nie zdobędzie się pani na takie samo honorowe rozwiązanie jak Nick, to po wyjściu z tego pokoju natknie się pani za drzwiami na dwóch agentów Secret Service, którzy panią aresztują.

-Nie zastraszysz mnie, Lawrence - rzuciła Dexter, wstając z krzesła.

- Panie Gutenberg - powiedział Lloyd, gdy Dexter ruszyła do drzwi, pozostawiając na biurku nie podpisany arkusz papieru -Uważam, że dożywocie, bez nadziei na warunkowe zwolnienie, jest za wysoką karą, zważywszy na okoliczności.

Szczególnie, że został pan oszukany i nie wiedział, co się dzieje.

Gutenberg kiwnął głową.

Dexter była przy drzwiach.

- Moim zdaniem, kara sześciu, najwyżej siedmiu lat więzienia, byłaby właściwsza w pana przypadku.

A przy niewielkiej pomocy Białego Domu skończyłoby się na trzech do czterech.

Dexter znieruchomiała.

- Ale to by oczywiście oznaczało, że zgadza się pan na.

- Na wszystko się zgadzam.

Na wszystko - wyrzucił z siebie Gutenberg.

na występowanie w charakterze świadka oskarżenia.

Gutenberg znów kiwnął głową i Lloyd wyjął dwu stronicowe oświadczenie z drugiej teczki, którą trzymał na kolanach.

Były wicedyrektor rzucił tylko na nie okiem, po czym wziął do ręki pióro i złożył podpis u dołu drugiej strony.

Dexter schwyciła gałkę drzwi, zawahała się, a potem wolno wróciła do biurka.

Rzuciła swemu byłemu zastępcy ostatnie spojrzenie pełne obrzydzenia, po czym schwyciła pióro i nabazgrała swój podpis między dwoma zaznaczonymi ołówkiem krzyżykami.

- Jest pan głupcem, Gutenberg - powiedziała.

- Oni nigdy by nie zaryzykowali powołania Fitzgeralda na świadka.

Każdy nie w ciemną białą adwokata podważyłby jego zeznania.

A bez Fitzgeralda nie byłoby procesu.

Jestem pewna, że prokurator generalny już to im wytłumaczył.

- Odwróciła się, aby wyjść.

- Helen ma rację - rzekł Lawrence, zbierając biurka trzy dokumenty i podając je Lloydowi.

- Jeżeli ta sprawa stanęłaby na wokandzie, Fitzgerald nigdy nie mógłby wystąpić w sądzie.

Dexter stanęła jak wryta; atrament na jej rezygnacji jeszcze nie wysechł.

- Z żalem muszę was poinformować - rzekł prezydent, że Connor Fitzgerald zmarł za dwanaście siódma dziś rano.

XXXVI

Kondukt żałobny wolno szedł wzgórzem.

Cmentarz Narodowy w Arlington był pełen ludzi, choć chowano człowieka, który nigdy nie szukał publicznego uznania.

Po jednej stronie grobu stał prezydent Stanów Zjednoczonych szefem personelu Białego Domu i prokuratorem generalnym u boku.

Naprzeciw zaś kobieta, która od czterdziestu minut nie podniosła głowy.

Z prawej miała córkę Tarę, z lewej przyszłego zięcia, Stuarta McKenzie.

Cała trójka przyleciała z Sydney w dwa dni po telefonie od prezydenta.

Wielki tłum zgromadzony wokół grobu był dla Maggie Fitzgerald dowodem, jak wielu przyjaciół i sympatyków miał Connor.

Poprzedniego dnia na spotkaniu w Białym Domu Tom Lawrence powiedział wdowie, że ostatnie słowa, które wyrzekł Connor, mówiły o jego miłości do żony i córki.

Prezydent powiedział też, że chociaż widział jej męża raz, zapamięta go dokońca życia.

"Tak wyraził się człowiek, który spotyka się z setką ludzi dziennie" - zapisała Tara wieczorem w swoim dzienniku.

Kilka kroków przed prezydentem stał nowomianowany dyrektor CIA i grupa mężczyzn i kobiet, którzy nie zamierzali tego dnia stawić się do pracy.

Przybyli tu z czterech krańców świata.

Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, bez jednego włosa na głowie, stojący trochę z boku, rozpaczliwie szlochał.

Nikt by nieuwierzył, że najbezważelniejsi gangsterzy w Afryce Południowej byłiby szczęśliwi wiedząc, że Carl Koeter wyjechał z kraju choćby na kilka dni.

Również agenci FBI i Secret Service zjawili się tłumnie.

Kapitan Braithwaite stał naczelnym kilkunastu strzelców wyborowych, a każdy z nich byłby zadowolony, gdyby kresu kariery zasłużył na opinię następcy Connora Fitzgeralda.

Wyżej na stoku, zapełniając cmentarz jak sięgnąć okiem, stali krewni z Chicago, profesorowie z Georgetown, partnerzy brydżowi, irlandzcy tancerze, poeci i ludzie z różnych środowisk.

Chylili głowy, czcąc pamięć człowieka, którego kochali i szanowali.

Kondukt zatrzymał się na Sheridan Drive, w odległości kilku metrów od grobu.

Ośmioosobowa gwardia honorowa dźwignęła trumnę z lawety, wsparła na ramionach i rozpoczęła powolny marsz w kierunku grobu.

Trumnę spowijała amerykańska flaga, na niej spoczywały baretki odznaczeń wojennych.

W środku leżał Medal of Honor.

Niosący trumnę doszli na miejsce, postawili ją delikatnie na ziemi i dołączyli do pozostałych żałobników.

Ojciec Graham, od ponad trzydziestu lat ksiądz rodziny Fitzgeraldów, podniósł rękę.

- Przyjaciele - zaczął.

- Księża często bywają wzywani, aby wychwalać zmarłych parafian, których ledwo znali i których dorobek nie zawsze jest oczywisty.

Ale to nie dotyczy Connora Fitzgeralda.

Jako student będzie pamiętany jako jeden z najlepszych futbolistów, jakiego kiedykolwiek wydał Uniwersytet Notre Dame.

Jako żołnierza nigdy nie potrafiłbym określić go lepiej niż kapitan Christopher Jackson, dowódca jego plutonu, który pisał: "Oficer nieustraszony w obliczu niebezpieczeństwa, który zawsze przedkładał życie podwładnych nad swoje".

Jako pracownik oddał prawie trzydzieści lat życia w służbie dla kraju; rozejrzyjcie się dookoła, aby się przekonać, jak wielkim poważaniem darzyli go jego koledzy.

Ale przede wszystkim będziemy go pamiętać jako męża Maggie i ojca Tary.

Nasze serca jednoczą się z nimi obiema.

- Ojciec Graham zniżył głos.

- Miałem szczęście zaliczać się do jego przyjaciół.

Nie mogłem się doczekać, kiedy usiadziemy razem do brydża podczas świąt Bożego Narodzenia.

Mówiąc prawdę, liczyłem na to, że odegram te dziesięć dolarów, które straciłem przegrywając robra przed jego ostatnim wyjazdem.

Dobry Boże, chętnie bym oddał wszystko, co posiadam, żeby jeszcze raz z nim przegrać.

Sportowiec, żołnierz, profesjonalista, kochanek, ojciec, przyjaciele w moich oczach - chociaż nigdy nie miałbym odwagi powiedzieć tak w jego obecności, bo by mnie wyśmiał - bohater.

Connorze, niedaleko stąd leży inny amerykański bohater.

- Stary ksiądz podniósł głowę.

- Gdybym był Johnem Fitzgeraldem Kennedym, byłbym dumny, że spoczywam na tym samym cmentarzu co Connor Fitzgerald.

Mężczyźni, którzy nieśli trumnę, wystąpili do przodu i opuścili ją do grobu.

Ojciec Graham uczynił znak krzyża, ukląkł, pochylił się, wziął garść ziemi i rzucił na trumnę.

- Prochem byłeś, w proch się obrócisz - zaintonował, a trębacz z oddziału piechoty morskiej odegrał capstrzyk.

Gwardia honorowa złożyła zdjętą z trumny flagę w idealny trójkąt i oddała ją w ręce najmłodszego kadeta, osiemnastoletniego chłopaka, który jak Connor urodził się w Chicago.

Normalnie wręczyłby ją wdowie ze słowami:

"Pani, w imieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych".

Ale nie dziś.

Dzisiaj pomaszerował w inną stronę.

Drużyna piechoty morskiej wzniosła karabiny i oddała dwadzieścia jeden salw honorowych, gdy młody kadet stanął na baczność przed prezydentem Stanów Zjednoczonych i przekazał mu flagę.

Tom Lawrence przyjął ją, powoli okrążył grób i stanął przed wdową.

Maggie uniosła głowę i usiłowała się uśmiechnąć do prezydenta, gdy jej podawał narodowy sztandar.

- W imieniu wdzięcznego kraju wręczam pani flagę Republiki.

Otoczają panią przyjaciele, którzy dobrze znali pani męża.

Żałuję, że nie spotkał mnie ten zaszczyt.

- Prezydent skłonił głowę i powróci na swe miejsce.

Kiedy orkiestra piechoty morskiej zagrała hymn narodowy, położył rękę na sercu.

Nikt się nie poruszył, dopóki Maggie, prowadzona przez Tarę Stuarda, nie podeszła do bramy cmentarza.

Stała tam blisko godzinę, ściskając dłonie wszystkim, którzy uczestniczyli w ceremonii.

Dwaj mężczyźni, którzy podczas pogrzebu tkwili na szczycie wzgórza, poprzedniego dnia przylecieli z Rosji.

Nie przybyli tu, żeby opłakiwać zmarłego.

Wrócą do Sankt Petersburga wieczornym samolotem i zameldują, że ich usługi nie są już potrzebne.

XXXVII

Samolot prezydenta Stanów Zjednoczonych "Air Force One" po wylądowaniu na moskiewskim lotnisku został otoczony przez czołgi.

Prezydent Zeriński wyraźnie nie zamierzał dać Tomowi Lawrenceowi sposobności sfotografowania się na użytek publiki w Ameryce.

Nie było też zwyczajowych przemówień w stylu "witamy w Rosji", wygłaszanych na podium na lotnisku.

Oczom Lawrence'a, który z posepną miną zszedł po schodkach samolotu, ukazał się widok marszałka Borodina stojącego w wieżycze czołgu.

Kiedy obaj prezydenci spotkali się w końcu dziś przed południem na Kremlu, Zerińska początek zażądał, aby natychmiast zmniejszyć siły NA TO, patrolujące zachodnie granice Rosji.

Zważywszy na sromotną porażkę projektu ustawy o ograniczeniu zbrojeń jądrowych, biologicznych, chemicznych i konwencjonalnych w Senacie oraz dobrowolny powrót Ukrainy do Związku Sowieckiego, prezydent Lawrence wie, że nie może nic a nic ustąpić, jeżeli chodzi o rolę NATO w Europie, zwłaszcza że Helen Dexter, świeżo wybrana do Senatu, ciągle nazywano "czerwoną kukłą".

Po rezygnacji senator Dexter ze stanowiska szefowej CIA w ubiegłym roku po to, by "bardziej otwarcie przeciwstawiać się biednej polityce zagranicznej prezydenta", na Kapitolu słyszy się już, głosy, że może ona zostać pierwszą kobietą-prezydentem.

Podczas dzisiejszych wstępnych rozmów na Kremlu prezydent Zeriński nie ukrywałby najmniej, że.

Stuart podniósł wzrok znad pierwszej strony "Sydney Morning Herald" i spojrzał na Maggie, która weszła do kuchni w dżinsach i swetrze.

Mieszkali w jednym domu pół roku, a jeszcze nigdy nie widział, żeby choć jeden włos nie leżał jej tak, jak trzeba.

- Dzień dobry, Stuarcie - powiedziała.

- Czy jest coś ciekawego w gazecie?

- Zeriński demonstruje siłę przy każdej okazji - odparł Stuart - a wasz prezydent robi dobrą minę do złej gry.

W każdym razie tak uważa korespondent "Heralda" w Rosji.

- Zeriński rzuciłby na Biały Dom bombę nuklearną, gdyby mu to uszło na sucho - rzekła Maggie.

- Czy nie masz dla mnie weselszej wiadomości w sobotni rano?

- Premier ogłosił datę drugiego referendum na temat tego, czy Australia ma się stać republiką.

- Ależ jesteście ślamazarni - rzekła Maggie, wsypując do miski płatki kukurydziane.

- Myśmy się pozbyli Brytyjczyków ponad dwieście lat temu.

- Jestem pewien, że nam nie zabierze to więcej czasu - zaśmiał się Stuart.

Do kuchni wkroczyła jego żona w szlafroku.

- Dzień dobry - powiedziała sennym głosem.

Maggie zsunęła się ze stołka i pocałowała ją w policzek.

- Usiądź tutaj i zjedz płatki kukurydziane, a ja ci zrobię tymczasem omlet.

Nie wolno ci.

- Mamo, ja nie umieram na suchoty, tylko jestem w ciąży - powiedziała Tara.

- Wystarczą mi płatki kukurydziane.

- Wiem, tylko że.

-...że ty nigdy nie przestajesz się zamartwiać - wpadła jej w słowo Tara i objęła matkę.

- Zdradzę ci sekret.

Nie ma żadnego medycznego dowodu, że poronienia są dziedziczne; tylko zdręczające się matki.

Co dziś ważnego w gazecie?

- spojrzała na Stuarta.

- Moja sprawa karna zajmuje czołowe miejsce - na szesnastej stronie - powiedział, pokazując trzy krótkie ustępy, upchnięte w lewym dolnym rogu.

Tara dwa razy przeczytała relację i dopiero potem zauważyła:

- Ale oni nawet nie wymienili twojego nazwiska.

-Nie.

W tej chwili bardziej interesuje ich mój klient - przyznał Stuart.

-Ale to się zmieni, jak go wyciągnę.

- Mam nadzieję, że gonie wyciągniesz - powiedziała Maggie, rozbijając drugie jajko.

- Twój klient to nędzna kreatura i do końca życia nie powinien wyrzeć z więzienia.

- Za kradzież siedemdziesięciu trzech dolarów?

- spytał z niedowierzaniem Stuart.

- Bezbronnej starej kobiecie.

- Ale to było pierwszy raz.

-Chyba chcesz powiedzieć, że został złapany pierwszy raz.

- Wiesz, Maggie, byłabyś świetnym prokuratorem - rzekł Stuart.

-Nie powinnaś brać tego półrocznego urlopu, tylko zapisać się naprawo.

Podejrzewam, że dożywocie za zwędenie siedemdziesięciu trzech dolarów nie znalazłoby wielu zwolenników.

- To by się jeszcze okazało, młody człowieku - odcięła się Maggie.

Coś z łoskotem spadło na wycieraczkę.

- Idę po pocztę- oznajmił wstając Stuart.

-On ma rację - odezwała się Tara, gdy matka postawiła przednią talerz z omletem.

- Ni powinnaś tracić czasu jako nie płatna gosposia.

Jesteś na to o wiele za dobra.

- Dziękuję, kochanie - rzekła Maggie.

Wróciła do kuchenki i rozbiła jeszcze jedno jajko.

- Ale tak mi tu dobrze z wami.

Mam nadzieję, że nie nadużywam waszej gościnności.

- Ależ skąd - odparła Tara.

- Ale już minęło ponad pół roku od.

- Wiem, kochanie, jednak potrzebuję jeszcze trochę czasu, nim będę mogła się zdobyć na powrót do Waszyngtonu.

Do rozpoczęcia jesienno semestru wydobrzeję.

- Ale ty nawet nie przyjmujesz zaproszeń na to, colubisz.

-Na przykład?

- Wzeszłym tygodniu pan Moore zaprosił cię do opery na "Fidelia", a ty mu powiedziałaś, że tego wieczoru masz inne plany.

-Mówiąc szczerze nawet nie pamiętam, co robiłam - powiedziała Maggie.

- Ja pamiętam.

Siedziała w swoim pokojui czytała "Ulissesa".

- Taro.

Ronnie Moore to uroczy mężczyzna i na pewno jest świetnym fachowcem w tym swoim banku.

Ale poco ma spędzać wieczór ze Mną i wysłuchiwać, jak bardzo mi brak twego ojca?

Ja też nie mam ochoty się z nim spotykać i słuchać, jak uwielbiał swoją zmarłą żonę; jak jej było na imię?

- Elizabeth - rzekł Stuart, który wszedł z poranną pocztą.

-Ronnie to sympatyczny gość.

- I ty też?

- spytała Maggie.

-Przestańcie się martwić o moje życie towarzyskie.

- Postawiła przed Stuartem talerz z jeszcze większym omletem.

- Powinienem ożenić się z tobą, Maggie - powiedział z szerokim uśmiechem.

-Byłbyś o wiele lepszym kandydatem niż większość mężczyzn,

Z którymi staracie się mnie swatać- rzekła Maggie, poklepując zięcia po głowie.

Stuart roześmiał się i zaczął sortować listy, z których większość była do niego.

Dwa podał Tarze, trzy Maggie, swoją kupkę odłożył na bok i zajął się sportowym działem "Herakła".

Maggie nalala sobie drugą filiżankę kawy i dopiero potem zajęła się korespondencją. Jak zwykle, najpierw obejrzała znaczki, nim podjęła decyzję, którą kopertę najpierw otworzyć.

Na dwóch widniał taki sam znaczek z wizerunkiem Jerzego Waszyngtona.

Natrzecim był kolorowy obrazek zimorodka.

Najpierw otworzyła list australijski.

Przeczytała go i podała Tarze, która z każdym zdaniem bardziej się rozpromieniała.

- Bardzo pochlebny - rzekła Tara, podając list Stuartowi.

-Owszem, bardzo - powiedział Stuart, szybko przebiegłszy go wzrokiem.

- Jak odpowiesz?

- Odpiszę z wyjaśnieniem, że nie szukam pracy.

- Ale w pierw muszę się dowiedzieć, któremu z was mam za to podziękować.

-Pomachała listem.

- Jestem niewinna - rzekła Tara.

-Mea culpa - przyznał Stuart.

Wcześniej się nauczył, że nie ma co nabierać Maggie.

Zawsze się połapie.

- Zobaczyłem ogłoszenie w "Heraldzie" i pomyślałem, że masz idealne kwalifikacje na to stanowisko.

Może nawet za wysokie.

- Podobno dyrektor Biura Przyjęć odchodzi na emeryturę pod koniec roku akademickiego - powiedziała Tara - więc będą szukać kogoś na jego miejsce.

Kto przyjmie tę pracę.

- Posłuchajcie mnie oboje - rzekła Maggie sprzątajac talerze.

-Jestem na półrocznym urlopie i pierwszego sierpnia zamierzam wrócić do Waszyngtonu i kontynuować moją pracę dyrektorki Biura Przyjęć w Georgetown.

Uniwersytet w Sydney musi sobie znaleźć kogoś innego.

- Usiadła i otworzyła następną kopertę.

Ani Tara, ani Stuart nie odzywali się słowem, kiedy Maggie wyjęła czek na 277 tysięcy dolarów amerykańskich podpisany przez sekretarza skarbu.

"Pełne odszkodowanie" – wyjaśniał załączony list – za śmierć męża, oficera CIA, poległego w czasie wykonywania obowiązków służbowych.

Czyż oni kiedyś zrozumieją, co znaczą słowa

"pełne odszkodowanie"?

Szybko otworzyła trzeci list.

Zostawiła go na koniec, rozpoznawszy staroświecki krój czcionki.

Dobrze wiedziała, kto go przysłał.

Tara trąciła łokciem Stuarta.

- Doroczny list miłosny od doktora O'Caseya, jeśli się nie mylę - powiedziała scenicznym szeptem.

- Muszę przyznać, że mi zaimponował.

Jak ciętu znalazł?

- Mnie też zaimponował- rzekła Maggie z uśmiechem.

- Przynim przynajmniej nie muszę udawać.

-Rozdarła kopertę.

- Proszę, żebyście za godzinę obydwie były przed domem, gotowe do odjazdu - powiedział Stuart, spojrzawszy na zegarek.

Maggie popatrzyła znad okularów, które wkładała do czytania i uśmiechnęła się.

- Zamówiłem stół na lunch w knajpce na plaży.

- Och, jesteś niezrównany -powiedziała Tara z westchnieniem uwielbienia.

Stuart właśnie chciał jej przyłożyć gazetą w głowę, gdy rozległ się okrzyk.

- Rany boskie!

Zdumieni popatrzyli naMaggie.

W jej ustach zabrzmiało to niemal jak bluźnierstwo.

- Co się stało, mamó?

- spytała Tara.

-Czy nadal ci się oświadcza, czy też w końcu ożenił się z kim innym?

- Anijedno,anidrugie.

Zaproponowano mu pracę dziekana wydziału matematycznego na uniwersytecie w Nowej Południowej Walii i przybywa,żeby się spotkać z rektorem przed podjęciem ostatecznej decyzji.

- Lepiej być nie mogło - rzekła Tara.

- W końcu jest przystojny i zawsze cię wielbił.

Ijak nam ciągle przypominasz, tata z trudem z nim wygrał.

Czego więcej mogłabyś żądać?

- Obawiam się, że to niezupełnie prawda - powiedziała Maggiepo długim milczeniu.

-Co chcesz przez to powiedzieć?

- Cóż, rzeczywiście był przystojny i wspaniale tańczył, ale był też trochę nudziarzem.

-Ale zawsze mi mówiłaś.

- Wiem, co ci mówiłam - ucięła Maggie.

- Nie patrz tak na mnie,młoda damo.

Jestem pewna, że od czasu do czasu też się droczysz zeStuartem wspominając tego młodego kelnera z Dublina, który.

- Mamó!

W każdym razie on jest teraz.

- Kim?

- spytał Stuart.

- ...

wykładowcą w Trinity College w Dublinie- dokończyła Tara.

- Poza tym szczęśliwie się ożenił i ma troje dzieci.

Czego nie można powiedzieć o większości twoich dawnych sympatii.

- To prawda - przyznał Stuart.

- Więc powiedz mi - zwrócił siędo Maggie - kiedy doktor O'Casey przybywa do Australii?

Maggie wyjęła znowu list i przeczytała: "Wylatuję z Chicago czternastego, na miejscu będę piętnastego".

- Ależto dzisiaj – rzekł Stuart.

Maggie kiwnęła głową i czytała dalej: "Zatrzymam się na noc w Sydney, a następnego dnia spotkam się z rektorem i zaraz potem wrócę do Chicago".

- Zanim wrócimy z weekendu - powiedziała Maggie podnosząc głowę - on będzie w drodze powrotnej do kraju.

- Jaka szkoda - odezwała się Tara.

- Potych wszystkich latach chętnie bym zobaczyła wiernego doktora Declana O'Caseya.

- Jeszcze masz szansę- rzekł Stuart, spojrzawszy na zegarek.

- O której godzinie ląduje samolot?

- Dwadzieścia po jedenastej - powiedziała Maggie.

- Obawiam się, że nie zdążymy.

A ponieważ nie podał, gdzie się zatrzyma, nie ma sposobu, żeby się z nim skontaktować przed jego odlotem do kraju.

- Nie bądź taką pesymistką - rzekł Stuart.

- Jeżeli wyjedziemy za dziesięć minut, dotrzemy na czas na lotnisko.

Będiesz mogła zaprosić go na lunch.

Tara spjrzała na matkę, która wyraźnie nie zapaliła się do tego pomysłu.

- Nawet gdybyśmy zdążyli, on by prawdopodobnie odmówił- powiedziała.

- Będzie zmęczony po długim locie i musi się przygotować na jutrzejsze spotkanie.

- Ale przynajmniej się postarasz - rzekła Tara.

Maggie złożyła list, zdjęła fartuszek i powiedziała:

- Masz rację, Taro.

Po tych wszystkich latach przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Uśmiechnęła się do córki, prędko wyszła z kuchni zniknęła na piętrze.

W swoim pokoju otworzyła szafę i wyjęła ulubioną sukienkę.

Nie chciała, żeby Declan pomyślał o niej jako o kobiecie w średnim wieku - choć to było niemądre, gdyż nią była.

On też miał swoje lata.

Przejrzała się w lustrze.

Znośnie, uznała, jak na pięćdziesiąt jeden lat.

Nie przytyła, ale przez ostatnie pół roku na czole pojawiły się dwie nowe zmarszczki.

Maggie zeszła na dół, gdzie ujrzała Stuarda, który chodził tam z powrotem.

Wiedziała, że samochód jest już załadowany i prawdopodobnie silnik na chodzie.

- Schodź, Taro!

- zawołał w górę trzeci raz.

Tara zjawiła się po kilku minutach i jego irytacja wyparowała w chwili, gdy się uśmiechnęła.

- Nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć - powiedziała Tara, siadając tyłu.

- Nawet jego imię brzmi romantycznie.

- Mnie też tak wtedy brzmiało - przyznała Maggie.

- Co znaczy imię?

- zacytował z uśmiechem Stuart, manewrując samochodem na podjeździe i wyjeżdżając na drogę.

- Mnóstwo, kiedy ktoś się urodził jako Margaret Deirdre Burke- odparła Maggie.

Stuart wybuchnął śmiechem.

- Kiedy byłam w szkole, napisałam kiedyś do siebie list zaadresowany "Doktorostwo Declanostwo O'Caseyowie".

Ale przez to Declan nie stał się ani trochę bardziej interesujący.

- Nerwowo dotknęła włosów.

- A czy nie jest możliwe - spytała Tara - że po tylulatach doktor O'Casey zmienił się w zabawnego, krzepkiego i światowego mężczyznę?

- Wątpię- odparła Maggie.
- Raczej jest pompatyczny, pomarszczony i nadal jest prawiczkim.
 - Skąd możesz wiedzieć, że jest prawiczkim?
 - zdziwił się Stuart.
 - Bo wszystkimo tym rozповідаł- rzekła Maggie.
 - A dealem romantycznego weekendu była dla niego konferencja matematyczna, na której wygłasza rozprawę z dziedziny trygonometrii.
- Tara wybuchnęła śmiechem.
- Jednak trzeba przyznać, że twój ojciec nie był od niego o wiele bardziej doświadczony.

Spędziłyśmy razem naszą pierwszą noc na ławce w parku i jedyne, co straciłam, to ranne pantofle.

- Stuart tak się śmiał, że o mało nie zawadził o krawężnik.
- Kiedyś odkryłam, jak Connor stracił niewinność - ciągnęła Maggie.
 - Z dziewczyną, którą nazywano - wyszeptano niby w sekrecie - Napalona Nancy.
 - On ci nie mógł tego powiedzieć - z niedowierzaniem zauważył Stuart.
 - Pewno, że nie.

Nigdy bym tego nie odkryła, ale jednego wieczoru spóźniłam się z treningu.

Postanowiłam, że zostawię mu wiadomość w szafce w szatni i na wewnętrznej stronie drzwi zobaczyłam wyskrobane imię Nancy.

Ale nie mogłam się skarżyć.

Kiedy sprawdziłam szafki kolegów z jego drużyny, okazało się, że Connor miał najmniej punktów.

Tara kuliła się ze śmiechu i prosiła matkę, żeby już przestała.

- Kiedy twój ojciec wreszcie.

Zanim dotarli na lotnisko, Maggie opowiedziała wszystkie historyjki o rywalizacji między Declanem i Connorem, i na myśl o zbliżającym się spotkaniu z dawnym partnerem do tańca po tylu latach zrobiło się jej nieswojo.

Stuart zahamował przy krawężniku, wyskoczył z samochodu i otworzył przed nią drzwiczki.

- Lepiej się pospiesz - powiedział, spojrzawszy na zegarek.

- Mamo, czy chcesz, żebyz tobą poszła?

- spytała Tara.

- Nie, dziękuję, córeczko - odparła Maggie i szybko, żeby niezmienić zdania, skierowała się ku rozsuwanym drzwiom.

Spojrzała na tablicę przylotów.

Samolot linii United z Chicago wylądował zgodnie z rozkładem, dwadzieścia po jedenastej.

Teraz dochodziła za dwadzieścia dwunasta.

Nigdy po nikogo niewyszła tak późno na lotnisko.

Im bliżej była wyjścia dla przylatujących, tym bardziej zwalniała, w nadziei, że się miną z Declanem.

Postanowiła, że pokręci się tu przez piętnaście minut, a potem wróci do samochodu.

Przyglądała się przybyłym pasażerom, wychodzącym przez bramkę.

Młodzi, promienni, pełni entuzjazmu, z deskami surfingowymi pod pachą;

w średnim wieku, zaafierowani i zatroskani, kurczowo trzymający dzieci; starzy, powolni i zamyśleni, zamykający pochód.

Zastanowiła się, czy w ogóle pozna Declana.

A może już koło niej przeszedł?

Przecież ostatnio widzieli się przed trzydziestu laty a on się nie spodziewał, że ktoś przyjdzie go przywitać.

Znowu popatrzyła na zegarek - dobiegało piętnaście minut.
Po-myślała o talerzu gnocchii kieliszku chardonnay przy lunchu w Cronulli, a potem drzemce w popołudniowym słońcu, podczas gdy Stuart i Tara będą się ślizgać na deskach surfingowych.

Nagle zobaczyła jednorękiego mężczyznę, który wyłonił się z przejścia.

Nogi się pod nią ugięły.

Wlepiała wzrok w człowieka, którego ani na moment nie przestała kochać, i pomyślała, że upadnie.

W oczach wezbrały jej łzy.

Nie żądała wyjaśnienia.

Na to będzie czas później, dużo później.

Pobiegła do niego, nie widząc nikogo dookoła.

Kiedy ją ujrzał, uśmiechnął się tym znajomym uśmiechem, który dowodził, że wie, iż go przyłapano.

- Mój Boże, Connor!

- zawołała, zarzucając mu ręce na szyję.

-Powiedz mi, że to prawda.

Dobry Boże, powiedz, że to prawda!

Connor przytulił ją mocno prawym ramieniem; lewy, pusty rękaw luźno zwisał.

- To prawda, moja ukochana Maggie - powiedział z wyraźnym irlandzkim akcentem.
- Niestety, choć prezydenci mogą prawie wszystko, ale jak kogoś uśmiercać, nie ma innej rady, trzeba zniknąć na jakiś czas i wcielić się w kogo innego.
- Wypuścił z objęć kobietę, którą pragnął tulić każdej godziny przez ostatnie pół roku, i spojrzał na nią.
- Mój wybór padł na doktora Declana O'Caseya, uczonego, który zastanawia się nad przyjęciem posady w Australii, bo pamiętam, jak kiedyś mi mówiłaś, że chciałaś zostać panią Declanową O'Casey.
Przypuszczam, że Australijczycy nie będą się zbytnio interesować moim geniuszem matematycznym.

Maggie spojrzała na niego do góry.

Łzy ciekły jej strugą policzkach, nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

- Ale ten list, kochanie - powiedziała.

- Skrzywione "e".

Jak ty.

- Tak.

Pomyślałem, że sprawię przyjemność tym drobiazgiem - rzekł Connor.

- Kiedy zobaczyłem w "Washington Post" twoje zdjęcie, jak stoisz nad grobem naprzeciw prezydenta, a potem przeczytałem te hołdy dla twego nieżyjącego męża, pomyślałem: Declan, mój chłopcze, to twoja ostatnia szansa poślubienia tej młodzianki Margaret Burke ze Wschodniej Strony.

- Uśmiechnął się.

- Więc jak, Maggie?

Wyjdiesz za mnie?

- Connorze Fitzgerald, będziesz musiał się długo tłumaczyć - powiedziała Maggie.

- Rzeczywiście, pani O'Casey.

Do końca życia.

Spis treści

Księga pierwsza: W drużynie .

Księga druga: Samotny gracz

Księga trzecia: Wynajęty zabójca

Księga czwarta: Żywy i martwy .